

KATE FURNIVALL

BIAŁA PERŁA



# BIAŁA PERŁA

*Dla Sama i Duncana,  
z miłością*

## PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować Joannę Dickinson i wspaniałej ekipie z Little Brown za ich niewyczerpany entuzjazm i zaangażowanie. Specjalne podziękowania należą się mojej agentce Teresie Chris za to, że tak żarliwie wierzyła w sukces tej książki. Wiara ułatwia pracę.

Dziękuję Anne Goring za szczodrość, z jaką podzieliła się ze mną osobistymi doświadczeniami z dawnych Malajów, Marie Bedford za jej spostrzegawczość i doświadczenie żeglarskie, jak również Marian Churchward za mistrzowskie opanowanie mojej klawiatury.

I jak zawsze dziękuję Normanowi za to, że przeżywał wraz ze mną każdą stronę tej książki.

## ROZDZIAŁ 1

### *Malaje 1941*

Connie *zabiła* człowieka nie pierwszy raz. Ale tego dnia ktoś to widział.

Zderzak samochodowy powinien być martwym przedmiotem, ale dwunastego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku chromowany zderzak jej chryslera royala rocznik 1938 przemówił. Najpierw wydał rozdzierający uszy metaliczny zgrzyt. Potem trzask, gdy pękł, ścinając jeden z drewnianych wsporników podtrzymujących zadaszenie nad chodnikiem przy bulwarze Alexandra Parade. Jeszcze później z ciepłym, głuchym stukotem uderzył w ludzkie ciało. Odgłosy te Connie miała słyszeć bez końca. Zgrzyt. Trzask. Stukot. I od początku, jak na karuzeli w wesołym miasteczku, gdzie ciągle gra hałaśliwa muzyka.

„Słońce jest źródłem życia”. Słyszała te słowa w radiu poprzedniego wieczoru. Ten, kto je wypowiedział, nigdy nie mieszkał na Malajach. Jadąc zatłoczonymi ulicami Pa-luru, mrużyła oczy, mimo to czuła, jakby słońce okładało pięściami jej mózg. Wiele razy miała ochotę wziąć najlepszą strzelbę myśliwską męża, tę, którą przed rokiem kazał sprowadzić z Londynu, wycelować w wiszącą na niebie wielką, żółtą kulę i pociągnąć za spust. Przestrzelić ją jak balon. Kiedy mu o tym wspomniała, tylko dziwnie spojrział.

Cholera jasna, że też akurat tego dnia musiały pęknąć jej okulary. Dlatego była taka rozdrażniona. Bez okularów zawsze dostawała koszmarnej migreny. Oczywiście tylko

na słońcu. Słońce. Skrzywiła się, odklejając plecy od oparcia i *czując*, jak wilgotna bluzka znowu przywiera do tapicerki. Słońce to zbyt łagodne słowo. Słońce świeciło w Anglii. Ogrzewało zanurzone w trawie nagie stopy i ostrożnie zaglądało pod rondo słomkowego kapelusza. Uwielbiała słońce. Nieludzki upał i wilgotność powietrza w samym sercu Malajów ją zabijały.

Po intensywnych opadach deszczu poprzedniego dnia na drodze na północ od miasta osunęło się błoto. Dlatego była spóźniona, dlatego tak bardzo spieszyła się do klubu na spotkanie z Harriet Court, z którą była umówiona na pływalni. Harriet miała bzika na punkcie punktualności i nie tolerowała spóźnień. Connie wcisnęła się wielkim amerykańskim samochodem między dwie riksze - od których roilo się tu jak od tłustych, czarnych, irytujących much - i wypatrzyła przerwę w strumieniu pojazdów. Natychmiast przyspieszyła, by skręcić w Alexandra Parade, wysadzany drzewami elegancki bulwar pełen imponujących kamiennych gmachów, kolonialną pieczęć, którą Brytyjczycy przystawili na tym uległym kawałku Półwyspu Malajskiego.

Dokładnie w tym samym momencie inny samochód wykonał identyczny manewr. Było to szykowne coupe, które przebiło się przez sznur samochodów i niezdarnych rikszy z bezwzględnością czarnopłetwego rekina przecinającego fale Oceanu Indyjskiego.

- Uważaj, do cholery! - krzyknęła Connie, gwałtownie naciskając pedał hamulca.

Było za późno. Opanowała rozedrganą kierownicę, ale tył samochodu przestał jej słuchać. Z przyprawiającą o mdłości pustką w żołądku poczuła, że zarzuca, że szerokim, niekontrolowanym ruchem sunie w bok. Spoczone dłonie ślizgały się po kierownicy. Chrysler otarł się błotnikiem o czarny samochód, ale zamiast zwolnić, pod wpływem zderzenia nabrał jeszcze większego impetu. To właśnie zgrzyt metalu o metal zwrócił uwagę przechodniów, którzy

wytrzeszczonymi z przerażenia oczami patrzyli, jak pędzi na nich dwutonowy pocisk. Chrysler podskoczył, gdy jedno z kół wpadło w głęboki rynsztok, ale nie zatrzymał się, i wtedy ludzie rozpierchli się na wszystkie strony.

Czas zwolnił. Struchlała z przerażenia Connie po prostu patrzyła. Widziała, jak jakaś kobieta szarpie za rękę dziecko, porywając je z ziemi, widziała jej otwarte w przeraźliwym krzyku usta. Dokładnie na wprost niej stał sparaliżowany strachem starzec w słomkowym kapeluszu i widziała, jak na jego wyblakłych flanelowych spodniach wykwita ciemna plama wilgoci. Z szalejącym w piersiach sercem szarpnęła kierownicą. Maskę samochodu przesunęła się odrobinę w prawo i ścięła jeden ze słupów podtrzymujących zadaszenie, pod którym przechodnie mogli schronić się przed piekącym słońcem. Trzask pękającego drewna zabrzmiał jak wystrzał. Starzec przykucnął, osłaniając rękami głowę. Zderzak minął go o szerokość kapelusza i wycelował gdzie indziej: w ubraną w jaskrawozielony sarong, przysadzistą Malajkę z plecionym koszykiem na ramieniu.

- Uciekaj! - krzyknęła Connie, ze wszystkich sił naciskając pedał hamulca. - Uciekaj!

Proszę cię, błagam, szybciej!

Ale kobieta wiedziała, że nadszedł jej czas. Ze duchy wybrały ją i że nie ma przed nimi ucieczki. W ostatniej chwili odwróciła się przodem do pędzącego na nią samochodu. Spojrzała jej prosto w oczy i poruszyła ustami, ale wypowiedziane przez nią słowa zginęły w przeraźliwym krzyku Connie, bo ułamek sekundy później zderzak przemówił po raz trzeci. Z głuchym stukotem uderzył w ludzkie ciało. Oczy kobiety zmieniły się w dwie przepelnione bólem czarne sadzawki, potem zniknęły. Samochód gwałtownie szarpnął i znieruchomiał.

Nie! W głowie Connie rozbrzmiewało tylko jedno słowo. Nie!

Cała się trzęsła, szczekała zębami. Wysiłkiem woli oderwała palce od kierownicy i chwyciła za chromowaną

klamkę drzwiczek. Pchnęła je, otworzyła, z trudem wysiadła i pobiegła w stronę maski. Najpierw zobaczyła dwie bose stopy z podeszwami pokrytymi czerwonym pyłem, potem karmelowe nogi i brzeg zielonego sarongu. Reszty ciała nie widziała, bo zasłaniał je tłum gapiów, który jednak rozstąpił się, robiąc jej przejście. Jakby była nieczysta.

- Niech pan wezwie karetkę! *Pangil ambulans!* - krzyknęła do mężczyzny w pasiastym rzeźnickim fartuchu. Mężczyzna coś odpowiedział, ale była zbyt zdenerwowana i nic nie zrozumiała.

Malajka leżała na plecach, ale nie zmiażdżona, nie w krwawej masie połamanych i popękanych kości, tylko cała i nietknięta, wyprostowana, jakby przez pomyłkę ucięła sobie drzemkę na słońcu. Ogarnięta ulgą Connie upadła na kolana i podniosła jej bezwładną rękę. W porównaniu ze spoconymi dłońmi Connie ręka kobiety była sucha i ciepła, o krótkich kołkowatych palcach, które zacisnęły się kurczowo na jej kciuku. Ona żyje! Dzięki Bogu, ona żyje! Ale oczy Malajki pozostawały zamknięte.

- Karetka już jedzie, zaraz będzie tu lekarz, proszę się nie ruszać - wyrzuciła z siebie Connie. Tak bardzo zaschło jej w gardle, że słowa te zdawały się płynąć z ust kogoś obcego.

Nachyliła się nad nieruchomą kobietą i osłoniwszy ją przed słońcem, cicho spytała:

- Bardzo boli?

Malajka nie odpowiedziała.

- Strasznie mi przykro, przepraszam, nie chciałam... - Straciła głos.

Chciała objąć tę nieszczęsną kobietę i ukołysać ją łagodnie, zaśpiewać jej cichutko, tak jak swojemu synkowi Teddy'emu, kiedy upadł i zadrapał sobie kolano. Chciała spytać, gdzie ją boli, i ucałować to miejsce, żeby bolało mniej. Ale najbardziej chciała spojrzeć jej w oczy.

- Proszę - wymamrotała. - Jeśli mnie pani słyszy, niech pani otworzy oczy.



Wciąż nic, żadnej reakcji.

Gęste czarne rzęsy spoczywały na zakurzonych pulchnych policzkach, siateczka cieniutkich żyłek ciągnęła się aż na skroń, gdzie zaczynał tworzyć się siniak. Malajka musiała być w jej wieku, mieć trzydzieści, trzydzieści cztery lata, chociaż w jej gęstych czarnych włosach, ściągniętych w kok na tyle głowy, widać już było ślady siwizny. Może jednak była starsza. Miała szeroki nos i ręce w dziwnych brązowych plamach, jakby pracowała z jakimiś chemikaliami. Boże, z jakiego świata ją wyrwałam?

Nie było krwi. Nie licząc małego siniaka, ani na ciele, ani nawet na sarongu nie było najmniejszego śladu, który wskazywałby na to, że coś się stało. Connie pozwoliła więc sobie na odrobinę nadziei, że to tylko szok. Zaczęła do niej cicho przemawiać, chcąc pobudzić oszołomiony mózg do działania. Spytała, jak ma na imię, gdzie mieszka, kogo zawiadomić o wypadku, co jest w zmiażdżonym koszyku. Głaskała ją po rękę, po ramieniu, dotykała jej policzka.

- Tak mi przykro - powtarzała.

Oczy się otworzyły. Nagle. Gwałtownie. Bez najmniejszego ostrzeżenia: były zamknięte, raptem się otworzyły i na widok tej malutkiej szparki życia serce podeszło Connie do gardła.

- *Selamat pagi* - powiedziała. - Dzień dobry. Oczy nie były już czarne - były czerwone od krwi.

- Karetka już jedzie - dodała szybko.

Usta Malajki drgnęły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Kołkowate palce zacisnęły się jeszcze mocniej, pociągnęły ją za rękę i Connie nachyliła się tak nisko, że próbując coś usłyszeć, poczuła na uchu wilgotny oddech. Po raz pierwszy, odkąd ukłękła, zdała sobie sprawę, że otacza je krąg ludzi. Białych twarzy. Słomkowych kapeluszy. Zobaczyła rade wąsy. Ciemny mundur z miedzianymi guzikami. Usłyszała głosy, które coś do niej mówiły, zlewając się z sobą w bezsensownym bełkocie. Drgnęła na widok młodej dziewczyny w wieku około szesnastu lat, która

przykucnęła przy Malajce z drugiej strony. Jej twarz ginęła za kurtyną jedwabście czarnych włosów, ale oczy patrzyły oskarżycielsko. Tuż za nią stał wysoki chłopak z gniewnie zaciśniętymi ustami. W sarongu i koszuli bez rękawów machinalnie szarpał palcami guzik.

- Znacie ją? - spytała Connie. Dziewczyna spojrzała zimno.

- To nasza matka.

Connie zrobiło się niedobrze.

- Przepraszam - powtórzyła. Puste, bezużyteczne słowo. - To był wypadek.

- Biała pani... - Cichy, gardłowy szept z ust leżącej na chodniku Malajki, szelest ledwo słyszalnych słów.

- Jestem. - Connie ścisnęła ją za rękę. - Jestem tu, pani dzieci też.

- Posłuchaj...

- Słucham. - Jej ucho ocierało się prawie o z trudem poruszające się usta. Znowu cisza, długa pauza. Upał dnia zebrał siły, zaatakował i poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją mocno w kark. - Słucham.

- Przeklinam cię, biała pani. Twoją rodzinę. Twoje v dzieci. I ciebie. Przeklinam was wszystkich.

Słowa ostre jak ukąszenie kobry, ale Connie nie puściła małej ręki. Przekrwione oczy otworzyły się szerzej, posłały złe spojrzenie i gwałtownie się zamknęły. Palce zwiotczały.

- Nie! - krzyknęła Connie. - Nie odchodź. Przeklnij mnie jeszcze raz, przeklinaj, ile chcesz, ześlij na moją głowę wszystkie złe duchy, ale nie umieraj.

Wyrósł przed nią policjant.

- Pani Hadley, jest już karetka. Oni się nią zajmą.

Mężczyźni w białych uniformach delikatnie odsunęli ją na bok. Wstała. Silne dreszcze wstrząsały jej ciałem i krępowały umysł. Przemawiały do niej łagodne głosy, czyjeś ręce prowadziły ją tak ostrożnie, jakby była ze szkła i mogła się zaraz rozpaść. Kiedy zdała sobie sprawę, że idą

w stronę cienistego budynku tuż obok, wyszarpnęła się i przeszukała wzrokiem tłum, ale syn Malajki i jej córka zniknęli.

- Niech pani usiądzie, pani Hadley.

- Niech pani to wypije.

- Przeżyła pani silny wstrząs.

- To nie była pani wina. Mamy świadków. Policjanci z pytaniami i notesami uśmiechali się do

niej współczująco, mówili, że jest wolna i może wracać do domu, że chętnie ją podwiozą, ale ona pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Muszę odebrać syna ze szkoły. Gmach, w którym udzielono jej schronienia, angielski

bank, miał grube, chłodne kamienne ściany, a pod sufitem małego gabinetu, gdzie siedziała, wirował duży wentylator mieszający ciężkie powietrze. Dyrektor banku miał opaloną łysą głowę i uśmiechał się do niej łagodnie.

- Proszę się nie spieszyć, moja droga - powiedział. - Na pewno pani zdąży.

Siedziała tam samotnie, wsłuchując się w rozbrzmiewające w jej głowie odgłosy. Zgrzyt. Trzask. Głuchy stukot.

Jak powiedzieć siedmioletniemu chłopcu, że jego mama zabiła właśnie człowieka na ulicy?

Connie zaciskała palce na kierownicy tak mocno, że kłykcie zbieleły jej jak kreda. Milczała, bojąc się, że z jej spieczonych ust wymkną się nieodpowiednie słowa. Przednią szybę zaciekłe atakowały tłuste owady. Wyjeżdżała z miasta z Teddym, który siedząc w fotelu obok, machał nogami i paplał o kolorach skóry pytona.

Czy dzieci w Anglii też rozmawiają o takich rzeczach? Ile z nich mówi swojej matce, że szarżująca kobra królewska może poruszać się z prędkością galopującego konia? Czy to normalne?

Na Malajach nic nie było normalne.

Wracali do domu i czekała ich trzynastokilometrowa przejażdżka do posiadłości Hadleyów. Była to rozległa połać ziemi, która należała do ich rodziny od trzech pokoleń i którą siłą rąk wydarli dżungli pod koniec dziewiętnastego wieku, by następnie założyć tam - nieco na północny wschód od Kuala Lumpur - największą plantację drzew kauczukowych w regionie. Plantacja, obszar mieniący się w słońcu gęstej zieleni, miała ponad dwa tysiące hektarów powierzchni, ciągnęła się w stronę rozmytych w błękicie gór i dawała pracę prawie siedmiuset robotnikom: Malajom, Tamilom i Chińczykom.

Przed dziewięciu laty, gdy młodzieńczo podekscytowana Connie po raz pierwszy zeszła z pokładu statku, by poczuć tutejszy upał, zdumiała ją nie tylko wielkość posiadłości i bajeczne wprost piękno, ale i władza, jaką jej właściciel - *Tuan Besar* - miał nad swoimi robotnikami. Nigel był tu prawdziwym bogiem - bogiem, ojcem, sędzią, dyrektorem banku, lekarzem i królem Salomonem, wszystkim tym naraz. Jeśli przy nazwisku któregoś z robotników postawił czarny krzyżyk, człowiek ten nie mógł znaleźć pracy w całym regionie, ale jeśli był sprawnym zbieraczem albo jeśli dobrze suszył, walcował i przycinał lateksową krepę w magazynach, poddając się obowiązującej na plantacji dyscyplinie, Nigel cenił go i dobrze traktował.

Prawie wszystkich robotników znał z imienia. Wspomnił jej o tym, kiedy tańczyli wolnego fokstrota w hotelu Dorchester w Londynie, i już wtedy bardzo jej tym zaimponował. Tu, w tropikach, w tym bezbrzeżnym morzu brązowych i żółtych twarzy, stwierdziła, że to jeszcze bardziej niezwykle.

- Mamusiu, dlaczego tak wolno jedziemy? - spytał niecierpliwie Teddy.

- Jestem po prostu ostrożna, kochanie.

- Ale w takim tempie będziemy w domu za dwa dni.

- Nigdzie się nam nie spieszy. Teddy odwrócił się do niej w fotelu.

- A właśnie, że tak. Muszę zbudować nowy samolot. Connie zaryzykowała i na ułamek sekundy oderwała

wzrok od drogi. Monsunowe deszcze wypluły czerwoną ziemię i na drodze roilo się od dziur i wyżłobionych przez wodę kanałów, które mogły zniszczyć miskę olejową samochodu. Twarz synka była bardzo poważna, oczy okrągłe i jasne jak kasztany, i patrzył na nią tak natarczywie. Zauważyła zielone smugi od trawy na jego szkolnym mundurku, białej koszuli i szarych spodenkach, zobaczyła rozerwany kołnierzyk i wiele mówiące zadrapanie na policzku.

- Co się stało? - spytała, szybko przenosząc wzrok z powrotem na nierówną drogę. Mimo pękniętego zderzaka i wgiętego błotnika samochód dawał się prowadzić, musiała tylko ostrożnie omijać dziury.

- Znowu biłeś się z Jackiem?

Syn stanowczo pokręcił głową i wpadający przez otwarte okno wiatr potargał jego gęste brązowe włosy. Żeby nie wiem jak często wozila go do fryzjera, błyskawicznie odrastały, okalając jego twarzyczkę i opadając aż za uszy.

- Nie - odparł. Kiepski był z niego kłamca.

- Jack jest twoim przyjacielem - zauważyła łagodnie.

- Wcale nie.

- Och, synku. O co wam znowu poszło?

Teddy osunął się w fotelu i bez słowa zaczął zdrapywać strup na nodze. Dała mu czas. Za oknem przesuwały się młode drzewa, dokładnie co trzy metry jedno. Mijali działkę numer szesnaście, gdzie jak okiem sięgnąć ciągnęły się oddalone od siebie o dziewięć metrów rzędy sadzonek. Zgodnie z zaleceniami Malajskiego Instytutu Badań nad Kauczukiem na jednym hektarze powinno sadzić się sześćset drzewek, by następnie, kiedy będzie już można zebrać z nich pierwszy lateks, zmniejszyć ich liczbę do dwustu pięćdziesięciu. Ale Nigel tak dobrze nawoził ziemię, że nawet przy trzystu na hektarze wciąż dawały pierwszoszedne plony.

Słońce wisiało niemal dokładnie nad nimi i tworzące się pod młodymi drzewami bulwiaste cienie nadawały im wygląd przysadzistych i bezbronnych. Szkoła zaczynała się o ósmej i kończyła o pierwszej, by uniknąć wyczerpującego popołudniowego upału. Powietrze w samochodzie było równie przytłaczające jak jej myśli.

„Posłuchaj, biała pani”. Słowa orały mózg, zagłuszając warkot silnika.

- Tu nic nie przetrwa.

Nie chciała powiedzieć tego na głos. Poczula, że Teddy patrzy na nią i wsuwa rękę między oparcie fotela i jej spocone plecy. Robił to tylko wtedy, kiedy coś go niepokoiło. Jego zaciśnięta w piąstkę dłoń była biedna i ciepłutka jak mały kotek.

- My też nie? - spytał.

- Ależ skąd. Twoja przyjaźń z Jackiem też na pewno przetrwa. Chciałam tylko powiedzieć... - Chryste, co ja chciałam powiedzieć? - Chciałam tylko powiedzieć, że na tych dziurawych drogach szybko zużywają się opony. I samochody łatwo się psują.

- To dlatego miałaś dzisiaj wypadek? Bo samochód się zepsuł?

- Nie, kochanie. To była wina innego samochodu, ale nie przejmuj się. Wyklepiemy karoserię i będzie jak nowy. A teraz powiedz, o co wam poszło.

- Jego brewster buffalo zestrzelił mojego faireya.

Connie zamarło serce. Z czubkiem języka między białymi ząbkami jej mały synek przez cały weekend mozolnie sklejał samolot z balsy. A Jack zniszczył go teraz podczas brutalnej zabawy. Cały on. Samoloty budował mu ojciec, dlatego Jack, wiedząc, że zawsze może dostać nowy, tak niefrasobliwie się z nimi obchodził. Tymczasem Teddy uparł się, by każde skrzydło i ogon wycinać samemu, następnie sklejać ze sobą ze zdumiewającą wprost cierpliwością. Produkt końcowy bywał trochę toporny, tu i ówdzie nierówny i postrzępiony na brzegach, ale chłopiec two-

rzył go własnymi rękami i Connie była niezwykle dumna z jego małych, wysmarowanych klejem palców.

Odkąd w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku w Europie wybuchła wojna, miał obsesję na punkcie samolotów i na ścianach jego sypialni roilo się od lotniczych znaków rozpoznawczych. Potrafił nazwać każdą maszynę, jaką zobaczył na niebie, tak jak inni nazywają ptaki.

- Nie martw się - powiedziała. - Pomogę ci zbudować nowy.

Uśmiechnął się lekceważąco, więc z udawanym rozdrażnieniem klepnęła go w nagie kolano.

- Chwileczkę, młodzieńcze. Może i nie mam tak zręcznych palców jak ty, ale nikt nie pobije mnie w wyciskaniu kleju z tubki.

Teddy zachichotał i ucieszyła się, słysząc jego beztroski śmiech. Zjechała na pobocze i dała mu dziesięć centów. Był to jeden z ich rytuałów. Ilekroć wracali ze szkoły do domu, syn kupował jakiś owoc na przydrożnym straganie. Stragan rozłożył się przy małej kapliczce zbudowanej z jaskrawo pomalowanych kamieni i ozdobionej kwiatami plumerii. W kapliczce stał niebieski posązek hinduskiej bogini i miseczka kolorowego ryżu.

Obok kapliczki przycupnął duży, łysy szczur, pogryzając skradzione z miseczki ziarenka. Teddy przeskoczył przez koleiny, podszedł do straganu i wskazał dwa duże kawałki arbuza. Patrzyła, jak rozmawia ze sprzedawcą -mówił po malajsku znacznie lepiej niż ona. Chłonał dziwne słowa tak łatwo, jak poduszka chłoneła nocą jej dziwne sny. Mieszkał tu przez całe swoje krótkie życie i nie bał się tego obcego, egzotycznego kraju. Nie bał się węży, na których widok ogarniał ją paralizujący lęk, ani komunistycznych agitatorów w szeregach robotników Nigela, którzy mogli poderżnąć mu w nocy gardło.

Tego roku w kopalniach cyny w Gambangu i kopalniach złota w Raubie wybuchło wiele strajków i niepokoje

rozszerzały się teraz na cały półwysep. Od wybuchu wojny w Europie zapotrzebowanie na kauczuk do produkcji opon i uszczelk stale rosło i produkt ten stał się towarem pierwszej potrzeby. Ameryka i Wielka Brytania nie mogły się bez niego obyć. W rezultacie jego cena wystrzeliła w górę jak rakietę. Od pięciu do dwunastu pensów za niecałe pół kilo, dlatego robotnicy, którzy pomagali go produkować, żądali solidnej podwyżki swoich niskich zarobków. Dobrze ich rozumiała. Największymi wicherzycielami byli nie oni, tylko Chińczycy, którzy podburzali bezh-07 skich Malajów, ale Nigel zapewniał ją, że już niedługo to wszystko się skończy. Mówił, że to nie Chińczyków powinni się obawiać, tylko Japończyków.

Siedzieli w samochodzie, jedząc czerwonego arbuza i z wprawą snajpera wypluwając przez okno czarne pestki - krótka chwila normalności w dniu, który normalny nie był. Skończywszy jeść, wyrzuciła zieloną skórkę na pobocze i pół minuty później pokryła ją błyszcząca warstwa czarnych mrówek, które swoimi wielkimi, sprawnymi szczękami w mgnieniu oka potrafiły unicestwić owoc. Był to kraj, gdzie dżungla i mieszkające w niej krwiożercze owady pożerały dosłownie wszystko. Zwłaszcza ludzi o delikatnej białej skórze.

Wytrzeła ręce w chusteczkę, przetarła Teddyemu twarz. Uśmiechnęła się.

- Chodź, panie pilocie. Jedźmy zbudować nowy samolot. Faireya?
- Lepszy będzie blenheim. Ma więcej bomb.
- Świetnie. No to zbudujemy blenheima.

Ruszyła, wypełniając głowę myślami o dziurach na drodze, o ostrożnej jeździe, o miniaturowych częściach samolotu niepewnie sklejonych płynnym cementem, o jego zapachu, o gładko spływającym z pędzelka lakierze - robiła wszystko, byleby tylko odpędzić od siebie widok Malajki na chodniku i pokrytych czerwonym pyłem stóp.

- Mamusiu, dlaczego płaczesz?



- Nie płaczę.
- A właśnie, że tak.
- Nie, kochanie, oczy mi łzawią, bo zbiłam okulary.
- Tatuś będzie się gniewał, że rozbiłaś samochód? O cholera. Nigel uwielbiał swego chryslera.
- Nie przejmuj się. Samochód da się łatwo naprawić. W przeciwieństwie do czerwonych stóp. I przekrwionych oczu.

## ROZDZIAŁ 2

Siedziała w ciszy w bungalowu. Bungalowami nazywano tu domy wszystkich białych, bez względu na to, ile miały pięter. Ciemność wciskała się jak oliwa między drewniane listewki żaluzji i wpływała do pokoju, wypełniając wąską lukę między dniem i nocą, tak charakterystyczną dla tropików. Ochłodzić, prawie się nie ochłodziło, ale przynajmniej nie robiło się goręcej i już samo to przyniosło ulgę. W ogrodzie i w otaczającej go dżungli nocne stworzenia rozpoczęły codzienny koncert złożony z pisków, krzyków, pohukiwań, szczebiotów i świergotów tak głośnych, że wwierały się w mózg i rozpraszały myśli.

„Po prostu staraj się tego nie słuchać, staruszek”, powtarzał wesoło Nigel. Na początku, kiedy jeszcze się na to uskarżała.

Staraj się tego nie słuchać. To tak, jakby próbowała nie oddychać. W dusznym powietrzu grzmiał zgrzytliwy chór niezmordowanych cykad i monotonny rechot żab. Zamknęła oczy i znowu pomyślała o kobiecie, która już nigdy tego nie usłyszy, o jej klęczącej na chodniku córce, jej synu o gniewnych czarnych oczach i długich rzęsach. W głowie Connie rozbrzmiewały echem głosy, które słyszała w Pa-lurze, głosy, które tak stanowczo zapewniały: „To nie pani wina. To wina tamtego samochodu. Nieostrożnego kierowcy”.

Jak mogli oskarżać tamtego, skoro to ona ją przejechała? Byli ślepi czy co?

„Przeklinam cię, biała pani”. Słowa jak cztery długie szpile.

„Przeklinam”. Jej gorący oddech pachniał kardamonem.

„Cię”. Jej splaszczony nos rozszerzył się, wyczuwając nadchodzącą śmierć. Wypełniająca czarne źrenice wściekłość utonęła w krwi.

„Biała pani”. Nie знаła nawet jej nazwiska.

Zadrżała, zadrzęsły się jej złożone na kolanach ręce. Czy właśnie to zrobiły z niej Malaje? Zmieniły ją w morderczynię, która odbierała ludziom życie z niefrasobliwością rozdeptującego karaluchy służącego? Naszły ją inne wspomnienia, które próbowała pogrzebać pod lawiną codziennych zebrań, spotkań, meczów tenisowych, domowych trosk i dziecięcego śmiechu przy budowie samolotów z balsy. Wszystko, byleby tylko zagłuszyć odgłos, jaki wydaje ludzka głowa obijająca się o schody. Łup, łup, łup. Głuchy, zdradliwy odgłos, który noc w noc odpędzał sny, by obudzić ją w mokrym od potu prześcieradle i zaprosić na koncert zawodzących za moskitierą komarów.

- Co ty robisz w tej ciemnicy?

Zapłonęło światło i oślepiąca szybko zamrugęła. Nigel. Nie słyszała, jak wraca.

- Ten gamoń nie zapalił lamp? - spytał z wyrzutem.

- Był tu, ale go odesłałam.

- Dlaczego?

- Chciałam... - Urwała. Chciałam zobaczyć, jak to jest leżeć w grobie. Uśmiechnęła się. Bielutka koszula z podwiniętymi rękawami, brązowe szorty - zawsze zdumiewało ją, że nawet po tak długim dniu, który zaczynał się o wpół do szóstej rano, gdy Nigel wychodził na odprawę z kulisami, że nawet po tak ciężkim dniu mąż wciąż wygląda rześko i świeżo.

Jak on to robił? Inni dosłownie wiedli w upale, a ich ubrania wyglądały jak mokre łachy na wieszaku. Ogarnęło ją uczucie dumy. Z krótko ostrzyżonymi brązowymi włosami i zbyt pociągłą twarzą Nigel nie należał do

mężczyzn zabójczo przystojnych, miał za to osobowość. Pewność siebie Anglika, który uważa, że ma prawo podbić i ucywilizować jakiś kraj bez względu na to, czy jego mieszkańcy życzą sobie tego, czy nie.

- Chciałam posiedzieć trochę w ciszy i spokoju.

- Zły dzień?

- Tak.

- Witaj w klubie. Mój też był podły. - Nigel podszedł do barku, stylowego, nowoczesnego mebla z drewna klonowego, który przysłano im z Mapie & Co. w Londynie. Otworzył rzeźbione drzwiczki, odsłaniając zastawione zielonym szkłem półki i rzędy butelek. - Napijmy się. Dżin z limonką?

- Czemu nie?

Czemu nie? Dlaczego nie miałyby utopić się w dżinie? Dlaczego nie miałyby się po prostu upić, pić, aż odgłosy w jej głowie zleją się w monotony, bezsensowny pomruk? Czemu nie? Cóż, po pierwsze, nie przepadała za alkoholem, po drugie, musiała zadbać o syna. Dopilnować, żeby Malaje nie zdusiły go tak jak ją.

- Dziękuję - powiedziała, biorąc szklankę. - Dlaczego miałeś zły dzień?

- Przez ten cholerny Komitet Restrykcyjny.

- Znowu? Co wymyślili tym razem?

Komitet Restrykcyjny był międzynarodową organizacją, którą założono w celu ograniczenia dostaw kauczuku na rynek, żeby zapobiec nadprodukcji i spadkowi cen. Każdemu zrzeszonemu w niej krajowi - Malajom, Holenderskim Indiom Wschodnim i Indochinom - komitet przyznawał ściśle określoną transzę, zaznaczając, że kraj ten może wyeksportować dokładnie tyle i ani kilograma więcej. Jego zarządzenia były solą w oku wszystkich plantatorów, którzy woleli zrzeszać się w kartele i ustanawiać swoje własne normy.

- Dostałem dzisiaj telegram - mruknął Nigel, opadając na swój ulubiony stary fotel ratanowy. - Nie chcą podnieść limitu.

- Przecież to absurd. Wiem: zapomnieli, że jest wojna. - Connie chciała zażartować, żeby go trochę rozweselić, ale on zacisnął usta i wziął to na poważnie.

- Na to wygląda. Przekłęci głupcy. Ale z Singapuru przyleciał dzisiaj pewien młody oficer, który przyznał, że Amerykanie i Brytyjczycy jak szaleni gromadzą zapasy na wypadek, gdyby japońskie okręty wojenne... - Urwał. - Co się stało, staruszek? Cała się trzęsiesz. Masz gorączkę?

- Nie, ależ skąd. To tylko te słowa. Kiedy je słyszę, ciarki mnie przechodzą.

- Okręty wojenne? Wcale się nie dziwię.

Nie, nie „okręty wojenne”. „Japońskie”. Znowu naszły ją wspomnienia, znowu ujrzała wpatrzona w nią wąskie, podłużne oczy, szczupłe męskie ramiona, kształtną japońską głowę pochyloną w nienagannym skłonie powitalnym.

Nigel podniósł szklanekę do ust i przyjrzał się Connie.

- Co się stało? Źle wyglądasz, staruszek. Staruszek. Staruszek. Staruszek. Jeszcze nie była stara. Jeszcze nie.

- Nic mi nie jest. - Wypiła łyk dzinu, zaczekała, aż alkohol spłynie do żołądka, i dodała: - Miałam dzisiaj wypadek.

- Co?

- Jakiś samochód otarł się o błotnik i straciłam panowanie nad kierownicą.

- Jezus Maria! Rozbiłaś wóz?

- Zabiłam kobietę.

Dwa krótkie słowa. Jak bomba, która wybuchła w pokoju, ogłuszając ich oboje. Nigel odstawił szklanekę i wstał. Z zaczerwienionymi policzkami i zaciśniętymi ustami przeczesał ręką krótkie włosy i stanął dokładnie naprzeciwko niej. Nachylił się.

- Constance, na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno.

- To dobrze. Nie przejmuj się, już dzwonię do Tommy'ego.

Tommy Mcintyre był ich prawnikiem, wielkim, tęgim mężczyzną, który jąkał się, chyba że wypił kilka szkockich. Nigel podszedł szybko do telefonu, podniósł słuchawkę i wybrał numer. Patrzył przez ramię i był smutny, jakby ją stracił, jakby już widział ją za kratkami. Odwróciła wzrok i kilkoma długimi łykami dopiła dzin, czując, jak pali jej żołądek. Po krótkiej rozmowie Nigel odłożył słuchawkę.

- Jest w Kuala Lumpur.

Kuala Lumpur, stolica Malajów, było kiedyś małym, obskurnym miastem - w połowie dziewiętnastego wieku założyli je Chińczycy - ale odkąd przedsiębiorczy Brytyjczycy otworzyli tam Urząd Rezydenta Kolonialnego, którego zadaniem było dogadywanie się z miejscowymi sułtanami, Kuala Lumpur zmieniło się w ruchliwą metropolię. Nigel zaczął chodzić po pokoju tak szybkim, nerwowym krokiem, że zapragnęła ukoić jego niepokój.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

- Kiepsko to wygląda, Constance. Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

- Już mówiłam. O błotnik otarł się jakiś samochód i wpadłam w poślizg. Wóz zjechał na chodnik i potracił kobietę.

Nie. To ja ją potraçałam. Tak chciałam powiedzieć: nie wóz, tylko ja.

- Na ulicy?

- Tak. Byli tam jej syn i córka.

- Boże święty, to jeszcze gorzej.

- Wiem. Tysiąc razy gorzej. Widzieli, jak umiera ich matka, kobieta niewiele starsza ode mnie. Koszmar.

- Co powiedziała policja?

- Puścili mnie do domu.

- Zadzwoń do Duffy'ego. Na pewno wie, co się dzieje i kiedy postawią ci zarzuty.

Chciała powiedzieć: to nie była moja wina, ale nie mogła, nie umiała skłamać. Duffy, główny inspektor George

Duffery, regularnie grał z Nigelem w krykieta. Mąż znowu wybrał numer i stanął tyłem do niej. Widziała, jak opadają mu ramiona. Opadały powoli, milimetr po milimetrze, im dłużej trwała rozmowa, tym szybciej, wreszcie opadły zupełnie i usłyszała ciche westchnienie. Nigel odłożył słuchawkę i odwrócił się, choć nie od razu. Ale kiedy już stanął twarzą do niej, natychmiast spostrzegła, że jest zirytowany.

- Boże, ale mnie nastraszyłaś!

- Jak to?

Wziął szklankę, podszedł do otwartego barku, dolał sobie i dorzucił lodu z korkowego kubelka.

- Nie powiedziałaś, że ta przeklęta kobieta była Malajką.

- Czy to jakaś różnica?

Wiedziała, że tak. Wyczytała to z jego twarzy.

- Policja nie wniesie oskarżenia - dodał Nigel. - Możemy odetchnąć.

- Ona już nie.

- Co?

- Ona już nie może. - Connie wstała i odstawiła szklankę na stolik, żeby zabrał ją potem służący. - Chyba wezmę zimny prysznic.

- Constance.

Zawahała się, ale mąż nie powiedział nic więcej. Jego buty zastukały na wypolerowanej podłodze, wreszcie stanął tuż przed nią i spojrzał zatroskanymi oczami. Brązowe oczy pluszowego misia, zawsze tak o nich myślała. To właśnie między innymi te oczy przykuły jej uwagę, kiedy poznali się na przyjęciu w Londynie. Miesiąc później byli już zaręczeni. Oświadczył się jej w tropikalnej cieplarni w Kew Gardens. Od dawna o tym nie myślała.

- Wszystko w porządku, Nigel. - Położyła rękę na jego opalonym nagim ramieniu i natychmiast poczuła, jak pod dotykiem jej dłoni tężeją mu mięśnie. - Nie myśl o tym teraz, skup się na tym amerykańskim attache.

Posłała mu wymuszony uśmiech, opierając się pokusie, by przyłgnąć do jego czystej, białej piersi i poprosić go o pocieszenie. Ale nie, zabrała rękę i zobaczyła, że z ulgi drgają mu kącki ust. Oczami nigdy nic nie zdradzał, ale zawsze zapominał o ustach.

- Me zapomnij zajrzeć do Teddy'ego - dodała wesoło. - Buduje nowy samolot.

Na samo wspomnienie o synu jego pociągła twarz natychmiast pojaśniała i spojrzał czule w stronę drzwi.

- Biedaczysko. Dopiję drinka i pójdę powiedzieć mu dobranoc. - Podniósł szklankę do ust, ale zanim wypił, surowo dodał: - Tak przy okazji, staruszko. Następnym razem każ się zawieźć do miasta naszemu syce. Po to są szoferzy. Gdybyś zrobiła tak, jak prosiłem, i gdyby z tobą pojechał, może nie doszłoby do wypadku i ta kobieta by żyła.

Connie wyszła.

Wzięła prysznic, minęła podest schodów i skręciła do sypialni. Mieszkali w wielkim domu, pełnym zakamarków. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym roku zbudował go dziadek Nigela, który zbił fortunę na żyznej malajskiej ziemi. Ale tamten dom, ten oryginalny, został na chybił trafił rozbudowany przez jego ojca, tak że rozgałęział się teraz w najmniej oczekiwanych kierunkach. Ale, co dziwne, ostatecznie okazał się bardzo wygodnym domem, może nie tak wspaniałym i imponującym jak te nowsze i bardziej wyszukane, ale Connie go lubiła. Najbardziej podobały jej się otaczające go ze wszystkich stron werandy i balkony z kutego żelaza, gdzie wieczorem mogła usiąść z książką i złapać trochę leciutkiego wiatru bez względu na to, z jakiego wiał kierunku.

Dopatrzyła się w nim tylko jednej wady, a mianowicie tego, że z nadmiarem ciemnego tekowego drewna i na błysk wypolerowanymi ciemnymi podłogami dom był za-



nadto męski. Ciężkie, rzeźbione schody prowadziły prosto do rozległego holu wejściowego, narzucając atmosferę męskiej dominacji, która - jak zdążyła się już przekonać - była uosobieniem życia kolonialnego na Malajach. Próbowwała rozjaśnić te ponure barwy kolorowymi zasłonami, ciężkie, posępne meble zastąpiła jaśniejszymi i nowocześniejszymi, ale nic nie mogła poradzić na te przekłete schody.

Mijając sypialnię syna, usłyszała monotonne mruczenie: Nigel czytał Teddy'emu bajkę na dobranoc. Miał dobry głos, czysty i melodyjny, w obecności syna zawsze łagodny. Zresztą nigdy go nie podnosił, nawet na kulisów, kiedy czymś go zdenerwowali, i to, że był taki opanowany, wzbudzało zaufanie. Ale czasem wołałaby, żeby ten spokój przysł, żeby choć raz puściły mu nerwy, odsłaniając to, co w sobie ukrywał.

Drzwi do sypialni były uchylone, więc przystanęła. Nigel i Teddy siedzieli obok siebie na brzegu łóżka, a na kolanach syna leżał zwinięty w kłębek Pippin, jego piesek, szorstkowłosy terier. Po katastrofalnym dniu widok ten sprawił, że poczuła się tak, jakby wreszcie stanęła na twardej ziemi. Cieszyła się ich bliskością, tym, w jaki sposób ubrany w pasiastą piżamkę Teddy opiera się o ojca, nieświadomy, że kiwa głową, ilekroć kiwa głową Nigel, że tak samo jak on ściąga brwi, kiedy słowa nabierały powagi. Na krześle obok łóżka siedziała *amah*, Chala, jego niania, drobniutka Malajka we wzorzystej tunice i długiej, prostej sukience. Z rękami pod podbródkiem, jak zahipnotyzowana słuchała wraz z nim.

- *Teddy obrócił się ku domowi i zawołał: - Chodźcie... chodźcie... ichneumon walczy z wężem!\**

Connie uśmiechnęła się. Była to ulubiona bajka Ted-dy'ego, opowiadanie Rudyarda Kiplinga o chłopcu imieniem Teddy i ichneumonie Rikki-tikki-tavi. Stojąc w korytarzu, wysłuchała jej do końca.

\*Przekład: Franciszek Mirándola.

*- Pilnował ogrodu, jak przystało ichneumonowi, który zna swe obowiązki, a gotowość jego zębów i pazurów sprawiła, że okularniki omijały stale bungalow i ogród, nie śmiąc wtargnąć za otaczający je mur.*

Potem po cichutku poszła w stronę ciężkich drzwi z birmańskiego drewna tekowego na końcu korytarza.

Weź mnie za rękę.

Jej nieme słowa trafiły w przepaść pośrodku białego prześcieradła z najprzedniejszej egipskiej bawełny, dzielącą łóżko na jej stronę i stronę męża.

Weź mnie za rękę. Jestem tu i potrzebuję cię. Nie słyszysz?

Było parno i leżąc nago pod muślinowym namiotem moskitiery, czuła, jak przygniata ją ciężkie powietrze, jak naciąga skórę na głowie. Nie widziała mlecznego kształtu moskitiery, bo było za ciemno, ale wiedziała, że tam jest, że wisi nad nią jak całun otulający ich małżeństwo. Nigel leżał na plecach, cicho pochrapując, wydając dźwięki taktowne i łagodne, jakby nie chciał jej przeszkadzać nawet we śnie.

Jej ręka zaczęła skradać się ostrożnie w stronę jego ręki. Connie wstrzymała oddech i wypuściła powietrze dopiero wtedy, kiedy ich dłonie znalazły się w odległości nie większej niż szerokość jej małego palca, kiedy połaskotały ją sprężyste włoski na jego nadgarstku. Delikatne muśnięcie, leciutki jak piórko dotyk, który wykradała mu co noc, kiedy spał. Jak złodziejka. Na dworze, za rozległym trawnikiem i pachnącymi hibiskusami, huczała dżungla, obejmując władzę nad nocą. Niekończące się świergotanie i krakanie, brzęczenie, rechotanie i gdakanie, niosące się echem szlochanie i grzmiące szczekanie - wszystko to wlewało się do sypialni, wsiąkało w pot i fałdy lepkiego prześcieradła.

Tej nocy odgłosy dżungli jej nie przeszkadzał, bo tej

nocy nie chciała spać. Pragnęła cofnąć się w czasie, sekundę po sekundzie odtworzyć te przełomowe chwile, kiedy straciła panowanie nad samochodem i swoim życiem.

Gdyby tak szybko nie weszła w zakręt...

Gdyby ten drugi samochód tak bardzo się nie spieszył.

Gdyby gwałtowniej szarpnęła kierownicą, mocniej nacisnęła hamulec...

Gdyby nie zbiła okularów albo nie umówiła się z Harriet na basenie...

Czy to kara? To kara?

Pokręciła głową na wilgotnej poduszce i niespokojne kosmyki włosów oplótły jej gardło jak macki. Zapętłony umysł bez końca wyświetlał obraz po obrazie: spocone ręce, śliska kierownica, uliczny stragan z prażoną kukurydzą, szeroko otwarte usta bezzębnego straganiarza, kiedy minął go sunący w poślizgu samochód. Brązowy pies, który w ostatniej chwili czmychnął na bok z podwiniętym ogonem. Nie wiedziała nawet, że to wszystko widziała. Ale jeszcze gorszy, znacznie gorszy był widok twarzy córki i syna, gdy oczy ich matki zaczęły tonąć we krwi.

Weź mnie za rękę.

Przewróciła się na bok, przodem do ciemnego kształtu ciała męża, i przewracając się, musnęła ramieniem jego rękę. Natychmiast ją zabrał, jakby go oparzyła, i wymamrotał coś przez sen. Paliło ją w piersiach, czuła tam ostry fizyczny ból i zdała sobie sprawę, że przestała oddychać. Nabrała powietrza i natychmiast przypomniało jej się inne męskie ramię, chłodne, bezwłose i gładkie jak lustro. Silne ramię Sho Takehashiego.

Przez jedną przerażającą chwilę wyraźnie słyszała jego oddech, jakby wciąż żył, jakby był w jej sypialni. Leżała, wyteżając słuch. Bojąc się, że zaraz dotknie jej twarzy.

## ROZDZIAŁ 3

Nigdy dotąd nie była na posterunku policji. Ten w Fakirze mieścił się przy Swettenham Road, na tyłach biblioteki publicznej z wieżą i zegarem, który pracowicie wydzwaniał kwadranse. Był zbudowany z ponurej szarej cegły i nad głównym wejściem miał niebieską lampę z kloszem wysmarowanym zmiażdżonymi trupami komarów. Zdjęła nowe okulary i weszła na schody.

W środku było bardziej elegancko, niż się spodziewała. Siedząc sztywno na tylnym siedzeniu samochodu -tego ranka prowadził Ho Bah, ich chiński *syce* - wyobrażała sobie ciasną poczekalnię z poplamionym linoleum na podłodze i okienkiem z drewnianymi drzwiczkami, przez które będzie musiała rozmawiać z jakimś krzepkim, przysadzistym policjantem. Była przygotowana na twarde, sceptyczne spojrzenia, które wyczują mordercę z odległości dziesięciu kroków. Ale nie, czekało ją miłe zaskoczenie. Pokój był duży i przestronny, z pomalowanymi na kremowo ścianami i oknami z widokiem na strzeliste palmy w parku naprzeciwko. Pod sufitem wirowały łopaty wentylatora, mieszając ołowiane powietrze, a pod ścianą, na wprost gładkiej, błyszczącej mahoniowej ludy, od lat polerowanej łokciami, stał równy rząd krzesel. Kiedy podeszła bliżej, dyżurny policjant podniósł wzrok znad notesu.

- Dzień dobry, pani Hadley.

Zaskoczenie. Policjant ją znał.

- Posterunkowy Forester. Wczoraj spisywałem pani zeznania. W banku.

- Przepraszam. Miałam jakieś... zaćmienie.

- To normalne, przeżyła pani wielki szok.

Szok. To dlatego czuła się taka oderwana? Przyjrzała mu się uważnie: piegi, usługany uśmiech, koścista twarz. Tak, pamiętała go, ale jak przez mgłę. Jakby widziała go kiedyś pod wodą, rozmytego i zamazanego.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał uprzejmie. Uśmiechnęła się i natychmiast się odprężył.

- Panie posterunkowy, chciałabym spytać o nazwisko kobiety... - Którą zabiłam. No dalej, powiedz to. Powiedz to na głos, żeby wszyscy słyszeli. Kobiety, którą zabiłam. -...która zginęła w tym wczorajszym wypadku.

Policjant zmarszczył czoło. Cała uprzejmość wyparowała. Poprowadził ją do małego gabinetu na końcu pokoju i już ścisnęła rękę tęgiemu starszemu mężczyźnie, który patrzył na nią inaczej, niż się spodziewała, przenikliwie i pytająco. Miał małe, sterczące na wszystkie strony wąsy i zastanawiała się, co chce pod nimi ukryć. Uścisk dłoni nie pozostawiał wątpliwości co do jego władzy, a dodatkowo wzmacniał go srebrzysty warkoczyk na mundurze.

- Inspektor Stoner.

Wskazał jej krzesło, ale nie usiadła. Nie zamierzała zostawać tam ani sekundy dłużej, niż musiała. W gabinecie panował zaduch. Ściany były zupełnie nagie, nie licząc oprawionego w ramkę zdjęcia króla Jerzego VI w gronostajach. W kącie stała szara szafka na dokumenty, a na środku stół z dwoma krzesłami. Jak w pokoju przesłuchań. Zdenerwowała się jeszcze bardziej. Podziękowała mu uśmiechem i została przy drzwiach.

- Dzień dobry, panie inspektorze. Nie chcę panu przeszkadzać. Wpadłam spytać o nazwisko kobiety, która zginęła w tym wczorajszym wypadku.

Inspektor kiwnął głową. Ale tak jakoś dziwnie.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia, pani Hadley.

Cieszę się, że nic się pani nie stało. Ale myślę, że nazwisko tej kobiety nie powinno pani obchodzić.

Connie milczała. To nie jej należały się wyrazy współczucia.

- Niestety - ciągnął inspektor - kierowca czarnego sportowego auta, który spowodował wypadek, uciekł z miejsca zdarzenia i nie udało nam się go zatrzymać. Czy chciałaby pani dodać coś do swoich zeznań?

- Nie.

Policjant przyglądał jej się bacznie przeszywającymi jak igła oczami.

- Jej nazwisko, panie inspektorze - powtórzyła. - Można?

Zapadła cisza długa na tyle, że wkrótce stała się niezręczna. Ona patrzyła mu prosto w oczy, a on zastanawiał się pewnie, jak bardzo może zdenerwować członkinię potężnego rodu Hadleyów.

- Sai-Ru Jumat - odparł niechętnie.

- Ile miała lat?

- Chyba trzydzieści pięć.

- I dwoje dzieci?

Aby ukryć poirytowanie, inspektor uciekł wzrokiem w bok.

- Gdzie mieszkała? - drążyła z uporem Connie.

- Najlepiej będzie, jeśli to zostawimy, pani Hadley. -Jego westchnienie było gęste jak miód.

Miała ochotę wyrwać mu te wąsy, wyszarpać z gardła słowa, których nie chciał wypowiedzieć. Ale uśmiechnęła się tylko i zalotnie odrzuciła do tyłu włosy.

- Oj, panie inspektorze, chcę tylko sprawdzić, jak się czują te biedne dzieci. Widziały śmierć matki, to musiało być dla nich straszne przeżycie... - Słowa te utknęły jej w gardle jak garść kamyków.

- Proszę się nimi nie przejmować. Zajmuje się tym pan Macintyre, radca prawny pani męża.

Wyciągnął rękę i przez krótką, przyprawiającą o mdło-

ści chwilę myślała, że chwyci ją wielkimi łapami i założy kajdanki. Ale on tylko poklepał ją pocieszająco po ramieniu.

- Niech się pani nie trapi, moja droga. Takie rzeczy najlepiej jest zostawić zawodowcom. Dam pani radę: proszę o tym zapomnieć.

Wysunęła się spod jego ręki.

- Panie inspektorze, byłabym wdzięczna, gdyby potraktował pan moją prośbę poważnie. To, że ci ludzie są Malajami, nie znaczy, że...

- Pani Hadley, sytuacje takie jak ta wymagają od nas dużej delikatności.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Rozmawiała pani o tym z mężem?

- Oczywiście. To właśnie on zasugerował, żebym tu przysłała.

Kłamstwo było tak rażące, że jej nie uwierzył. Nie wierzył jej ani przez sekundę. Sztywno otworzył drzwi i wezwał dyżurnego.

- Forester, proszę pomóc pani Hadley.

- Dziękuję - powiedziała grzecznie i wyszła z gabinetu.

Palur był miastem, które Anglicy zbudowali dla Anglików. Czuli się tu tak, jakby spacerowali po Piccadilly w Londynie. Do tego dziwnego kraju, tak pod każdym względem obcego europejskiej wrażliwości, sprowadzili swoje domy i gmachy, by zademonstrować tubylcom, jak żyją cywilizowani ludzie. A żyli bynajmniej nie w lichych attapach z pokrytymi liśćmi dachami, regularnie zdmuchiwanymi przez monsuny, z bambusowymi palami zamiast fundamentu, które wyglądały - wypisz, wymaluj - jak dziecięcy domek na drzewie. Nie, oni mieszkali w domach solidnych i trwałych, takich z eleganckimi portykami i ko-

rynckimi kolumnami. W domach dobrych, szacownych i bardzo angielskich. Gdyby Connie potrafiła wyłączyć wszystkie zmysły oprócz wzroku, wyobraziłaby sobie, że wciąż jest w Anglii.

Mogłaby spojrzeć na ceglany gmach giełdy, gdzie wyklócano się o cenę kauczuku, kopry i przypraw, na gmachy angielskich banków z błyszczącymi mosiężnymi tabliczkami przy drzwiach czy na kościelną wieżę i od razu przenieść się do Anglii, przynajmniej w wyobraźni. Iluzję psuły jedynie kwietniki pod oknami. Były zbyt krzykliwe, zbyt kipiące kolorami, zbyt rozwiązłe. Zbyt pełne malajskich sił żywotnych, które rodziły rozrywające chodnik paprocie i pnącza, zdolne zburzyć dom, jeśli choćby na chwilę odwróciło się wzrok.

Przed dziewięcioma laty, kiedy Nigel ukląkł przed nią na jedno kolano, by z twarzą czerwoną jak jego ulubiony hibiskus ujął jej dłoń w obie ręce i spytać, czy zechce dzielić z nim życie na Malajach, z podniecenia mocniej zabiło jej serce. Poczowała czystą radość. Oczywiście powiedziała „tak”, i to tak szybko, że omal nie połknęła języka. Teraz zamknęła oczy i spróbowała przywołać to gwałtowne pożądanie, ale było nieuchwytnie jak mgła zalegająca nad dżunglą i pełzająca po ich trawniku. Wertowała mapy i atlasy, by dowiedzieć się jak najwięcej o tym dzikim, cudownym kraju, który miał stać się jej domem, rozkoszowała się egzotycznymi dźwiękami: Malakka, Kuala Lumpur, Penang.

O tak, poznała fakty i związane z tymi miastami nazwy. Odkryła, że Malaje to długi na sześćset czterdzieści kilometrów półwysep w kształcie palca, rozciągający się od Syjamu na północy aż po parną wyspę Singapur na południu. Ze kraj ten, jeden z największych w świecie eksporterów kauczuku, jest porośnięty gęstą dżunglą i że pośrodku -niczym kręgosłup - przecinają go góry.

Dowiedziała się, że jego mieszkańcy: Malajowie, Chińczycy i Hindusi, mają dziedzicznych władców, sułtanów -ten górnołotny tytuł wzbudził w niej śmiech - którzy wy-



bierają spośród siebie Yang di-Pertuan Agonga, czyli króla Malajów. Podniecona wędrowała po mapie, zwiedzając tak egzotyczne miejsca jak Selangor, Terengganu czy Johore, a z książek do historii wyczytała, że najpierw skolonizowali Malaje Holendrzy i potem, na mocy traktatu z tysiąc osiemset dwudziestego czwartego roku, przekazali je Anglikom. Sir Thomas Stamford Raffles wciągnął na maszt brytyjską flagę i zmienił Singapur w największy port handlowy na Dalekim Wschodzie.

- To prawie na równiku - ostrzegł ją Nigel. - A na równiku jest gorąco. Roześmiała się wtedy. Tak, dobrze pamiętała swój beztroski dziewczęcy śmiech, gdy odrzekła:

- Jakie to egzotyczne! Wspaniale. Tam będą papugi!

O naiwności! Tak, papugi były, jak najbardziej. Całe ich jarmarcznie kolorowe stada. Stada papug, dziwacznych dzioborożców i skrzekliwych pekaków, a wszystkie kłuły w oczy krzykliwymi barwami. Najgorsza była kukułka indyjska, *burong mati anctk*, która całymi godzinami żałobnie zawodziła. Teddy powiedział jej, że *burong mati anak* znaczy „mały martwy ptaszek”, i od tamtego czasu ilekroć słyszała jej kukanie, chciało jej się płakać.

Ale nikt nie ostrzegł jej, że jest to kraj upalnych nocy i ostrych zapachów - smrodu bijącego z pozbawionych odpływu rynsztoków, smażących się na ulicy ryb, spalonego oleju kokosowego, drewna sandałowego i olejków do włosów. Kraj żarłocznych owadów, które mogły pożreć człowieka żywcem, kraj pełen odgłosów dżungli, które nawiedzały ludzi we śnie. Kraj, gdzie szerokie miejskie aleje i monolityczne gmachy rządowe sąsiadowały z podrzędnymi tancbudami i koszmarnymi slumsami.

Wyszła z posterunku, zmrużyła oczy i skręciła w lewo, poprawiając rondo kapelusza, żeby osłonić twarz przed słońcem. Szła w kierunku portu. Nie było to miejsce, gdzie w normalnych okolicznościach ośmieliłaby się pójść. Dlatego im dalej zostawiała za sobą ulice ze zna-

jomymi restauracjami i sklepami, tym bardziej czuła się niepewnie.

Robiła błąd? Inspektor Stoner był przekonany, że tak. Ale nie mogła tego tak zostawić. Po prostu nie mogła.

Szło się nieprzyjemnie, bo ziemia była śliska i pokryta szlamem. Connie ostrożnie omijała resztki rozkładających się warzyw, owoców i Bóg wie czego jeszcze. Tu, na nabrzeżu, gdzie powietrze smakowało rybami i przywierało do włosów i ubrania, uliczni handlarze wykrzykiwali coś, podtykając jej pod nos płaty surowej ryby, szczypce krabów i żywe ośmiornice.

- *Tidak*. Nie, dziękuję.

Szła dalej, ale w tłumie kulisów z ciężkimi tobołami na nagich plecach nie było to łatwe. Po lewej stronie ciągnęły się rzędy godownów, olbrzymich magazynów, gdzie składowano towary przed załadunkiem na okręty, które płynęły najpierw do Singapuru, a potem do Europy. Odruchowo odszukała wzrokiem magazyny swego męża. Zdawały się większe i lepiej zadbane niż pozostałe, a nad drzwiami każdego z nich wielkimi czarnymi literami wypisano jego nazwisko. Wiedziała, że w środku leżą prostokątne płachty kauczuku z ich plantacji, produkt końcowy uzyskiwany z mlecza lateksowego zebranego z tysięcy drzew.

Kauczuk był siłą życiową Malajów, ale, co dziwne, pojawił się tu dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku. Nigel powiedział jej, że pochodzące z Brazylii nasiona wykiełkowały w królewskim ogrodzie botanicznym Kew Gardens w Londynie, następnie Frank Swettenham przewiózł czterometrowej wysokości sadzonki na Malaje, gdzie oczyszczono dla nich kawałek dżungli. Malaje i kauczuk - okazało się, że to strzał w dziesiątkę, małżeństwo doskonałe, tak jak Chiny i nasiona maku, które

Anglicy zawieźli tam, by zainicjować handel opium. Wyglądało na to, że Europejczycy mają sporo grzechów na sumieniu.

Nabrzeże było miejscem bardzo ruchliwym i hałaśliwym, pełnym sztab cyny, które niczym sterty dziecięcych klocków czekały na transport. Sungei Perik, Srebrna Rzeka płynąca na zachód do cieśniny Malakka, była szeroka i brązowa jak grzbiet żółwia. Roiły się na niej setki sampanów, które jak irytujące muchy pierzchały na boki przed przepływającymi statkami, ciągle szukając okazji do zrobienia interesu albo zbijając się przy brzegu w niespokojne stada. Connie przystanęła, by spytać o drogę Malaja, który wymachiwał stalowym parangiem, ostrą jak brzytwa maczetą, którą można było rozłupać ludzką czaszkę. Stał przy wielkiej stercie ananasów i ścinał ich kolczaste liście, nucąc pod nosem jakąś dziwną, monotonną melodię. Czubkiem maczety wskazał rząd ciągnących się wzdłuż torów nędznych chat.

- Tam - powiedział.

- Dziękuję. *Terimah kasih*.

- Niedobre miejsce - dodał. - Nie dla kobiety.

Connie wytarła pot z oczu, zmrużyła je i z mocno bijącym sercem spojrzała na wałace się rudery. Były zbudowane z kawałków zardzewiałej blachy i były jak przyciętego bambusa.

- Rzeczywiście - przyznała. - Niedobre. Nie dla kobiety.

Słowa te pobrzmiwały jej w głowie jak echo. Weszła do blaszanego miasteczka i zanurkowała pod suszące się na wilgotnym powietrzu ubrania, wiszące bezwładnie na sznurach rozciągniętych w poprzek ulicy i przywiązanych do chwiejących się drewnianych słupów. Czowała się jak intruz. Zdawała sobie sprawę, że rzuca się w oczy i nie jest tu mile widziana. Od panującego między ruderami odoru dostała mdłości. Białe kobiety nie zapuszczały się w takie miejsca, nie chodziły w czystych białych pantofelkach

brzegiem biegnącego środkiem rynsztoka, wstrzymując oddech, by nie wdychać smrodu zalegających tam ekskrementów i odpadków. Mimo to szła naprzód.

Labirynt blaszanych chat ciągnął się bez końca, ale tylko nieliczne - te miały szczęście - wzniesiono na drewnianych palach, by uniknąć zalania podczas nieuchronnych powodzi, które nawiedzały okolicę, ilekroć niebiosa postanowiły sobie ulżyć. Większość stała tyłem do nabrzeża i pokrywała je sadza z buchających dymem kominów łodzi parowych i statków, które co chwila przepływały tak blisko brzegu, że blaszane ściany drżały i dygotały ze strachu.

A więc to tutaj mieszkała Sai-Ru Jumat. Tu był jej dom. Connie poczuła w piersiach ostry, przeszywający ból. Tu był dom tej kobiety. Był. Tu mieszkała. Tu budziła się co rano, tu co noc śniła. Connie wyobraziła sobie przysadzistą Malajkę w zielonym sarongu siedzącą w kucki na progu, tak jak kobiety, które obserwowały ją teraz dużymi, nieufnymi oczami. Słyszała jej głos, wyraźny i ostry. „Posłuchaj...”. Jak furkot, jak warkot. „Przeklinam cię, biała pani”. Była rozedrgana, nerwy miała napięte jak postronki. Jak, w jaki sposób miała przerzucić pomost między przeszłością i terażniejszością?

Znalazła jej dom. Chata opierała się o sąsiednią i różniła od innych tylko tym, że była przyozdobiona girlandami białych kwiatów, symbolem śmierci. Kiedy spytała

O drogę jakąś kobietę, ta powiedziała jej, że tego właśnie ma szukać, białych kwiatów. Teraz, kiedy już tu dotarła, przerażająca świadomość tego, co zrobiła rodzinie Sai-Ru, ścisnęła ją za gardło tak mocno, że Connie omal nie odwróciła się i nie uciekła. Nikt by nie wiedział. Tylko ona i Sai-Ru. Tak, Sai-Ru by wiedziała.

Stała na zastępującym próg kawałku deski i zapukała do uchylonych drzwi, które wisiały na jednym zawiasie. Z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk, poczuła ulgę. Mogła odejść. Ale kiedy oczy przywykły do półmroku, zobaczyła sylwetkę młodego mężczyzny siedzącego po turec-

ku na środku pokoju. Siedział nieruchomo jak posąg, ale po chwili... Gwałtownie drgnęła. To był on. Złożone ręce, skrzyżowane nogi, gęste czarne włosy, wpatrzone w nią oczy - to, co w nich zobaczyła, nawet w tym przyćmionym świetle, przyprawiło ją o wstrząs. Nienawiść? Nie, to za mało powiedziane. Miała przed sobą syna Sai-Ru Jumat.

- *Selamat pagi* - powiedziała. - Dzień dobry. Nazywam się Constance Hadley.

Nie odpowiedział. Ale i nie odwrócił wzroku.

- Bardzo przepraszam, *maaf* - ciągnęła niezręcznie. - Wiem, że to nieodpowiednia chwila, ale czy mogę wejść?

Chłopak wciąż milczał. Nie drgnął mu ani jeden mięsień. Connie weszła do pokoju i potworna duchota uderzyła ją w piersi jak młot. Płuca walczyły o każdy haust powietrza. Poczowała silny zapach kleju i wiórów. Chłopak siedział na tkanej macie, wokół której leżały drewniane kasetki różnych rozmiarów i w różnej fazie wykończenia. Jedne miały szklane wieczko i były już wypolerowane, inne, wciąż w stanie surowym, czekały na swoją kolej. Chłopak musiał widzieć, że zerknęła w ich stronę, ale nic nie powiedział.

- Przyszłam przeprosić - powiedziała cicho. - Za to, co zrobiłam waszej mamie, i zaproponować pomoc. - Odczekała chwilę. - Porozmawiaj ze mną.

Jego intensywnie czarne oczy po raz pierwszy oderwały się od niej i uciekły w bok. Porozmawiaj ze mną. Jesteś taki młody. Zdjęła kapelusz i uklękła na pokrywających podłogę trocinach, żeby jej twarz znalazła się na wysokości jego twarzy.

- Wiem, że mnie nienawidzicie - powiedziała spokojnie - i wiem, że macie ku temu powody. Ale niech to nie powstrzymuje was przed przyjęciem rekompensaty, bo...

Zauważyła, że chłopak patrzy na swoją rękę. Na jego dłoni leżał motyl. Ale nie jedno z tych małych, jaskrawo-kolorowych stworzeń, które unosiły się stadami nad kwiatami bugenwilli i uroczynu w jej ogrodzie, tylko olbrzymi motyl z dżungli o skrzydłach większych niż cała jego dłoń,

z dwoma czarnymi ogonami, długimi jak sznurowadła, które czekają, aż ktoś je zawiąże. Wspaniały. Barwy jego skrzydeł mieniły się opalizującymi błękitami, kolorem lilii i wyraźnymi plamami złota. Musiał być martwy, bo się nie poruszał, i wtedy zrozumiała, do czego służą drewniane kasetki. Dwie z nich były już wyłożone białym aksamitem i zawierały kolekcję motyli na szpilkach. Wyglądały jak miniaturowe trumny.

Syn Sai-Ru nie odrywał wzroku od motyla na rękę, jakby jego piękno dawało mu schronienie przed brzydotą, jaką widział w niej. Miała ochotę zabrać go i przytknąć do serca. Skraść to piękno.

- Sprzedajesz je? - spytała.

- Biali kupują - wymamrotał, nie podnosząc głowy. - Martwe rzeczy. Lubią.

Pomyślała o głowie antylopy na ścianie w gabinecie męża. O wspaniałej tygrysiej skórze na podłodze salonu Harriet. O stopie słonia, która służyła w klubie za bardzo przydatny stolik.

Zaczerwieniła się.

- Tak - przyznała. - Lubią.

W malutkim pokoju znowu zapadła cisza. Connie rozejrzała się. W kącie leżały dwa materace, zwinięte, żeby nie zabierały miejsca, ale nigdzie nie zauważyła moskitiery. Na półce stało kilka garnków i patelni, pod półką była prymitywna kuchenka z cegieł. Czy rozpalanie ognia w takim pomieszczeniu nie groziło pożarem? Zerknęła na sufit i zrobiło jej się niedobrze. Z krokwi zwisała pajęczna nić, a na niej, dokładnie nad jej głową, wisiał pajak wielkości bentleya. Tylko nie krzycz. Nie krzycz!

- Jak ci na imię? - Myślała, że nie odpowie, ale odpowiedział.

- Razak. - Wciąż patrząc na motyla, chłopiec oblizał swoje mocne, białe zęby. Jeśli widział pajaka, obecność stworzenia była mu zupełnie obojętna.

- Razak, tak jak mówiłam, chciałabym wam pomóc, tobie i twojej siostrze.

- Nie chcę. Żadnej pomocy. Nie od pani.

- Pozwól. *Tolong*. Proszę.

- *Tidak*. Nie. , ,

Mimo to wyjęła z torebki dużą żółtą kopertę, przesunęła ją w jego stronę i papier zaszeleścił na macie jak skóra jaszczurki.

- To wystarczy na pogrzeb mamy. I na trochę więcej. Na dużo więcej.

Tym razem na nią spojrzął. Prosto w oczy, zimnym spojrzeniem czarnych oczu.

- Odejdź.

Po raz kolejny uświadomiła sobie, że jest bardzo młody, że ma nie więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Nienawiść wzbudzała w nim arogancję, gniew burzył delikatną linię jego ust. Wszystko przez nią.

- Chciałabym również zaproponować ci pracę - ciągnęła, jakby nic nie powiedział. - Albo na plantacji mojego męża, gdzie mógłbyś nauczyć się zbierać kauczuk, albo, jeśli wolisz, w przetwórni, tu na nabrzeżu, w Palurze.

Uważnie sondowała jego twarz. Przymknął oczy, żeby ukryć wzrok pod długimi rzęsami. Ale musiał zacisnąć rękę, bo motyl zatrzepotał nagle wielkimi skrzydłami.

- On żyje! - wykrzyknęła zaskoczona.

Razak trzymał go palcami za dolną część tułowia. Podniósł drugą rękę i pogłaskał go delikatnie po włochatym grzbiecie.

- Jest piękny - szepnęła.

- Biali chcą wszystko zabić.

Palily ją policzki, po jej karku spływały kręte strumyczki potu.

- Jeśli chcesz, możesz pracować w moim ogrodzie. Nie wypuszczając motyla, znowu posłał jej to czarne

spojrzenie, sięgnął za siebie i wyjął zza pleców malut-

ki ogarek świecy i kartonowe zapałki z nazwą klubu: Pod Fioletowym Misiaczkim. Trzasnął zapałką, zapalił świecę, postawił ją na macie i wziął kopertę. Otworzył ją, wyjął dwudziestodolarowy banknot i przytrzymał go nad płomieniem. Banknot natychmiast zajął się ogniem i szerniał, wtedy Razak rzucił go na matę i wyjął następny. Potem kolejny i jeszcze jeden. Każdy płonął jak mała pochodnia.

Connie milczała. Kiedy spalił dziesiąty, pochyliła się i chwyciła kopertę.

- Dość! - powiedziała. - Już rozumiem.

Szybko wstała, pochylając głowę, żeby uniknąć spotkania z tym przeklętym pajakiem.

- Nie mogę przywrócić jej do życia - powiedziała spokojnie do pochylonej nad motylem głowy, walcząc z kipiącym w niej gniewem. - Ale mogę dać wam to, czego życzyłyby wam matka: lepszy dom, pracę, a nawet wykształcenie. Naprawdę nie chcesz?

- *Tidak biak* - odparł nosowo i zabrzmiało to bardziej jak warknięcie psa niż słowa wypowiedziane przez człowieka. - To niedobre. Ty też niedobra. Odejdź. Ona cię przeklęła. - Splunął na matę.

Connie nie powiedziała nic więcej. Walcząc z odrazą -wokół jednego z garnków pełzła ohydna stonoga - położyła kopertę na półce i wyszła. Miała ściśnięte gardło i trzęsły się jej ręce. Między piersiami spływał pot. Przystanęła na upiornym słońcu, zdała sobie sprawę, że zapomniała kapelusza. Zaklęła pod nosem i zajrzała do mrocznej chaty, ale nie, postanowiła tam nie wracać. Razak wciąż siedział z rękami na kolanach. Oberwał motylowi skrzydła.



## ROZDZIAŁ 4

Niebo cierpiało, jakby wciąż oplakiwało śmierć matki. Białe, jaskrawy ból wrzynał się w jej ciemną skórę jak rana. Powietrze smakowało solą, więc oblizwała usta, czując, że zaciskają się oczekująco. Tak, dzisiaj będzie dobry dzień. Niebo o tym wiedziało, ale nie chciało, żeby była szczęśliwa. Pokręciła głową i odrzucając na ramiona czarne, błyszczące włosy, pokazała niebu swoje niebezpiecznie ostre białe zęby. Nikt nie życzył jej szczęścia. Nikt oprócz jej brata Razaka. Buntowniczym gestem zatknęła za ucho jasno-czerwony kwiat, przytuliła do piersi pozostałe i zwinna jak kotka zanurkowała między samochody.

- Kupi pani?

Przez otwarte okno czarnego samochodu, który cicho mrużąc, zatrzymał się na skrzyżowaniu przed dworcem, włożyła do środka rękę z kilkoma kwiatami. I uśmiechnęła się szeroko. Nie była głupia. Kwiaty były dla białej damy, łasicy o pustych, rozbieganych oczach, ale uśmiech dla mężczyzny o czerwonej twarzy, który siedział za kierownicą.

- Nie - odmówiła stanowczo łasica. - Nie.

- Proszę. Są piękne. Dla pani. - Rzuciła bukiet na jej bujne łono. Mężczyzna dodał gazu. Maya stanęła na stopniu samochodu i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, pokazując mu czubek różowego języka. - Dolar?

- Na miłość boską, Eunice, daj jej tego dolara, bo się nie odczepi.

Łasica odwróciła głowę i zobaczyła iskry w jego oczach,

gdy obmacywał wzrokiem jej młode, kształtne piersi ukryte pod sarongiem. Z nadmiernym pośpiechem wetknęła banknot do jej ręki, ale kiedy samochód ruszył, wyrzuciła kwiaty przez okno. Maya podniosła je szybko, żeby nikt ich nie przejechał, za co kierowca samochodu sunącego z tyłu skarcił ją rykiem klaksonu. Wbiegła między riksze i limuzyny, szukając dobrego celu i uważając na bose stopy. Kilka razy jakiś sukinsyn przejechał jej po palcach. Właśnie zwalniał rolls-royce.

- Kwiaty? Są piękne. Pan kupi.

- Wsiadaj.

Otworzyły się tylne drzwiczki i mężczyzna o ziemistej cerze i wielkich jak lisia kita rudych wąsach spróbował chwycić ją za rękę. Maya szybko się cofnęła. Siedzący za kierownicą Sikh w turbanie nawet nie zerknął przez ramię, jakby do tego przywykł.

- Ja nie na sprzedaż - oświadczyła. - Na sprzedaż tylko kwiaty. Za dwa dolary.

- Nie bądź niemądra. Wskakuj, przejedziemy się. Ile?

- Dziesięć dolarów. Jestem dziewicą.

- Akurat.

- Pokaż pieniądze.

- Nie jestem głupi. - Mężczyzna uśmiechnął się gorzko. - Znam takie jak ty.

- Ja jestem inna.

Nachyliła się szybko, jakby chciała go pocałować i kiedy zeszywniał na skórzanym siedzeniu, wyrwała złotą szpilkę z jego krawata i zniknęła. Wtopiła się w tłum brązowych twarzy jak ryba, która staje się niewidzialna, płynąc w migoczącej w słońcu ławicy.

- Dlaczego mężczyźni są tacy głupi?

Wzruszyła ramionami i przez następne dwie godziny sprzedawała kwiaty, skacząc od samochodu do samochodu. Tak, dzisiaj był dobry dzień, miała rację. Z bezcennymi dolarami bezpiecznie ukrytymi w saszetce u pasa, czujnym, wrogim spojrzeniem obrzucała wszystkich tych, któ-

rzy wchodzili jej w drogę. Kiedy słońce stanęło w zenicie, kiedy asfalt zaczął parzyć w stopy i zmałał ruch, poszukała schronienia w cieniu za kasą biletową na dworcu.

Usiadła w kucki na pokrytej czerwonym pyłem ziemi i włożyła do ust porzuconą skórkę pomarańczy. Zamknęła oczy, ssąc ją powoli i leniwie zastanawiając się, o czym by dzisiaj pomarzyć. O tym, że wychodzi za mąż za jakiegoś starca, który nagle umiera - z jej małą pomocą oczywiście - a ona zostaje najbogatszą wdową na Malajach i może robić, co chce? A może o tym, że kąpie się w rzece - jej gorące nogi obmywa woda czysta i zimna jak kremowe lody - i znajduje perłę wielką jak jajo zimorodka. Jest jak olbrzymie jaskrawe oko na jej dłoni i kiedy pokazuje ją Razakowi...

- Wstawaj! - Ktoś kopnął ją w udo, boleśnie objając kość.

W ułamku sekundy zerwała się z ziemi gotowa do ucieczki.

- Odwal się, Hakim.

- Co ty, do diabła, robisz, leniwa dziwko? Nie płacę ci za spanie!

- Ty wredny kłamco - syknęła. - Ty za nic mi nie płacisz!

Ale nie, uważała, żeby nie przesadzić. Hakim był jej szefem. To on przydzielał im ulice. Niski i pulchny, prowadził interesy w całym mieście, szemrane interesy, które wymagały nieustannego napływu taniej siły roboczej. To od niego zależało, czy dostanie dobre miejsce, czy złe. Dzisiaj dał jej dobre, bo rano pozwoliła mu się pocałować. Ale tylko w usta, nigdzie indziej. Surowo tego przestrzegała. Nikt nie miał prawa dotknąć jej ciała. Nigdy. Absolutnie nikt.

Na tym właśnie - dobrze o tym wiedziała - polegał problem z jego marzeniami. Hakim był stary i bogaty i na pewno chciałby włożyć w nią kawałek swojego ciała, otrzeć się o nią swoją jaszczurczą skórą. Aż się wzdrygnęła.

Trzepnął ją w ucho i roześmiał się, demonstrując rząd błyszczących złotych zębów, jakby chciał ją ugryźć.

- Nie próbuj mnie przechytrzyć, Maya. Zobaczmy, co tam masz.

Sięgnął po jej saszetkę. Była mądra, wiedziała, że nie warto stawiać oporu. Znieruchomiała, łypiąc na niego spode łba, kiedy wysypawszy zawartość saszetki na dłoń, zaczął liczyć monety. Przeliczył je dwa razy i schował wszystkie do kieszeni.

- A dla mnie? - spytała.

1 Wrzucił do saszetki kilka nędznych miedziaków.

- To za mało!

Hakim znowu się roześmiał. Tuż za nim stało czterech chudych jak tyczka młodych mężczyzn. Oni też się roześmiali. Jego wilcze stado.

- Więcej nie dostaniesz. Zbijająś baki.

Maya zagryzła policzek, żeby nie wybuchnąć. Odwróciła się bez słowa, by odejść, ale on chwycił ją za włosy i oplótł je wokół pięści, tak że musiała boleśnie odchylić głowę. Cicho pisnęła. Hakim nachylił się tak nisko, że swoim tłustym policzkiem dotknął jej policzka, ale tym razem zrobił to bez żadnej przyjemności. Oczy miał czarne i zimne jak rekin. Wolną rękę włożył szybko pod sarong i ścisnąwszy palcami jej małe piersi, wyjął stamtąd jedwabne zawiniątko. Maya jęknęła.

- Ty złodziejska kurwo! - krzyknął.

I uderzył ją w twarz. Otwartą dłonią, niezbyt mocno; obrywała już dużo mocniej. Mimo to zatoczyła się do tyłu, straciła równowagę i wpadła na jednego z jego wilków. Na tego o mętnych oczach, ze szramą od noża na szyi. A on, młodszy od niej, ale dobrze umięśniony, dla zabawy wykręcił jej rękę. Żałośnie zaskomlała, lecz Hakim nie zwrócił na to uwagi.

Wyjął z zawiniątka dolary.

- Posłuchaj, dziwko. Oszukasz mnie jeszcze raz i po-chlastam ci gębę tak, że już nikt nie zechce oglądać twojego ; uśmiechu. - Błysnął złotymi zębami. - Rozumiesz?

Kiwnęła głową i spróbowała się wyszarpnąć. Jej bosa stopy zryły ziemię.

Hakim uderzył ją jeszcze raz.

- Zamknij się i słuchaj. Wieczorem masz być Pod Fioletowym Misiaczkiem. Leena zachorowała.

- Nie. Proszę. Nie lubię...

Znowu ją uderzył, tym razem mocno. Poczowała, że z ust płynie jej krew.

- Masz tam być. - Podniósł rękę. - Jasne?

Nie czekała, aż ręka opadnie. Zatopiła zęby w policzku młodego wilka i kiedy przeraźliwie wrzasnął, wyrwała mu się, puściła pędem w stronę rogu i usłyszała krzyk Ha-kima.

- Bądź tam albo zdechniesz, zdziro!

Nie zatrzymała się. Oglądali się za nią ludzie. W tropikach biegały tylko małe dzieci. Było za gorąco i ręce błyszczały jej od potu. Przeklęty Hakim. Złotozęby wąż, niech piekło pochłonie jego i jego nasienie. Ale przebiwszy się przez kilka zatłoczonych ulic, przystanąła na chwilę w zakurzonym cieniu świątyni buddyjskiej, żeby złapać oddech, i wsłuchując się w dźwięk poruszanych wiatrem dzwoneczków pod jej okapem, zacisnęła palce na złotej szpilce ukrytej w podtrzymującym sarong węźle. I roześmiała się dzikim, gniewnym śmiechem.

Wgryzła się w ciepłutkie chapati, które kupiła na ulicznym straganie za swój marny poranny zarobek, i poszła do domu. Tego dnia ruch w porcie był większy niż zwykle. Przeszukała wzrokiem rzekę - miała kolor błota - i zobaczyła nowo przybyłe okręty. Wojenne, szare jak węgorz rzeczny. A więc w mieście będzie więcej angielskich mundurów, broni i pijaków. Czy białych nigdy nie zmęczą te wojenne gry? Dla ich słabych umysłów wojna była jak opium, podniecająca i uzależniająca. Ale Malajowie nie potrzebowali ich okrętów, tak jak nie potrzebowali ospy wietrznej czy moskitier.

Wzruszyła wąskimi ramionami i potruchtła uliczką. Teraz, kiedy nie było już wiecznie wrzeszczącej matki i jej kija, wracała do domu chętnie i wesoło. Gdyby nie Razak, uciekłyby z miasta już przed laty. Zerknęła na niebo i kiwnęła głową. Dobrze, zbierało się na deszcz, będzie mogła umyć włosy przed... Coś w niej drgnęło i poczuła w brzuchu silne, zimne mdłości. Początkowo nie wiedziała dlaczego i szybko się rozejrzała. Coś tu było nie tak, tylko co?

I wtedy zobaczyła jej jasne włosy. W tym wąskim, zatłoczonym świecie czarnych jak smoła głów, ciemniejszych od herbaty skór, wystających kości policzkowych i szerokich nosów kobieta o złocistych włosach i subtelnej bladej twarzy rzucała się w oczy. Wokoło falowało morze jaskrawych sarongów i kebaj, a ona była w czyściutkiej lnianej sukience i białych skórzanych pantofelkach. Wyglądała jak delikatna czapla w stadzie wron.

Maya natychmiast ją poznała, tak jak poznałaby linie na swojej dłoni. Była to biała pani, kobieta, która zabiła samochodem jej matkę. Właśnie wyszła z ich domu i minęła ją ledwie o długość ramienia, ale zobaczyła jedynie ciemną, anonimową twarz w gęstwinie innych anonimowych twarzy.

- Razak! - zawołała zaniepokojona i szybkim krokiem weszła do chaty.

Izba tonęła w ciemności. Wiszący w powietrzu zły nastrój otarł się o jej twarz jak lepka pajęczyna. Cokolwiek się tu stało, wszystko zmieniło i poczuła, że jej świat zaczyna się chwiać.

- Razak!

Jej brat bliźniak siedział na macie wśród drewnianych kasetek. Miał mocno splecione palce u rąk, jakby bał się, że zaraz kogoś uderzy. Patrzył na nią jak na kogoś obcego.

- Razak, czego szukała tu ta biała kobieta?

- Przebaczenia.

- Prosiła o nie?

Brat gniewnie pokręcił głową.

- Nie. Chciała je kupić.

Maya przykucnęła obok niego i niecierpliwie spytała:

- Za ile?

Razak łypnął na nią spode łba i, odwrócił wzrok, ale chwycił go za ramię i potrząsnęła.

- Ile wzięłeś?

- Nic.

- Ty głupcze!

- Ona zabiła członka naszej rodziny. Powinniśmy okazać szacunek duchowi matki.

Brat spojrział na ulicę jak ślepiec, widząc tam rzeczy, których ona mogła się tylko domyślać. Maya cicho westchnęła. Razak nie miał pojęcia, jaki jest piękny, że jest piękniejszy od niej, że będzie taki i w przyszłości. Bogowie musieli być pijani, kiedy zauważyli nowo uformowane bliźnięta w łonie matki i postanowili się trochę zabawić ich kosztem. Zamieszali paluchami i całe piękno podarowali chłopcu, a całą mądrość dziewczynce. Nocą, kiedy w niebie grzmiało i huczało, wciąż słyszała ich gromki śmiech, ale ich nie przeklinała. Za bardzo kochała brata.

Co rano cieszyła się widokiem jego ciemnozłotej skóry, widokiem jego cudownych czarnych oczu niezdolnych do ukrycia targających nim uczuć, jego gęstych, prostych włosów, silnych rąk i nóg. Nie udały się bogom tylko usta. Pełne i czerwone, były bardziej miękkie niż jej usta, bardziej miękkie i bezbronne. Czasem denerwowała się, patrząc na nie, bo zdradzały, jak łatwo można go zranić. Tego się właśnie bała. Dlatego postanowiła nie wyjeżdżać.

- Okazać szacunek? - warknęła. - Naszej matce? Kobiecie, która, kiedy miałam dziesięć lat, sprzedała moje ciało temu, kto dał najwięcej? Która skatowała ci kijem nogi tak bardzo, że całe posiniały i nie mogłeś na nich ustać? Szacunek dla kogoś takiego?

- Zamilcz! Odszczekaj to! - Razak odwrócił się do niej z gniewnym błyskiem w oczach, ale wiedziała, że nie chodzi mu o nią. Był zły na matkę. Za to, że umarła. Ze żyła. -Zle się czuła - ciągnął. - Nie była sobą.

Maya pogłaskała go uspokajająco po ramieniu.

- Jak mogła dobrze się czuć, skoro każdego centa, którego zarobiłam albo ukradłam, wydawała na opium?

Brat zwiesił głowę.

- Przestań. Okaż jej duchowi szacunek, na jaki zasługuje.

Maya zamilkła. Nie chciała go denerwować. I wtedy zauważyła na podłodze słomkowy kapelusz, który mrugał do niej w półmroku, wołając jej imię. Podniosła go, pogładziła po rondzie, włożyła go na głowę i uśmiechnęła się do brata.

- Spójrz. Czy wyglądam jak biała pani?

- Zdejmij to. To przynosi pecha. Maya szybko zdjęła kapelusz.

- Co chciała dać?

- Pieniądze. Spaliłem je. Pieniądze i pracę.

- Pracę?

- W swojej posiadłości.

- Zgodziłeś się?

- Me. Zhańbiłbym matkę, spokój jej ducha.

- Chciała dać coś dla mnie?

- Nie.

- Aha. O mnie zapomniała, pamiętała tylko o tobie.

- Rozmawiała z tobą po wypadku i na pewno cię zapamiętała. - W jego głosie zabrzmiała nutka rozżalenia. Wołała już gniew.

Rozwiązała sarong i wyjęła złotą szpilkę.

- Spójrz.

Popatrzył na szpilkę, nie pytając, skąd Maya ją ma.

- Zapłacimy nią za pogrzeb.

- Nie - jęknęła z trwogą.

- Tak. - Wyciągnął rękę i zabrał jej szpilkę. - Dziękuję, siostrzyczko. *Terimah kasih*. Dusza matki będzie miała wygodną podróż.

A szpilka skończy w kieszeni kapłana, pomyślała Maya, ale zatrzymała to dla siebie. Długo siedzieli bez słowa obo-



jętni na upał i brzęczenie owadów. Ich myśli splatały się ze sobą i wyczuła, że wypełniająca ich obskurny pokoik ciemność zaczyna powoli ustępować.

- A więc pracy też nie przyjąłeś?

- Nie. Nie będę dla niej pracował ani jej pomagał. Maya przysunęła się bliżej, odgarnęła na bok kawałki drewna i objęła go za szyję.

- Nie będziemy jej pomagać, braciszku. - Nachyliła się do jego ucha i szepnęła: - Ale jeśli zrobisz to, co powiem, zniszczymy ją.

- Nie chcesz?

Pijak pólleżał na byle jak skleconej scenie, z chwiejącą się głową wymachiwał jednodolarowym banknotem, jakby jego zapach mógł zwabić ją bliżej. Kręcąc figlarnie drobnymi biodrami, ruszyła w jego stronę, więc dorzucił jeszcze dolara.

W gęstym powietrzu wisiał smród papierosowego dymu i piźmowy zapach taniego seksu. Klub Pod Fioletowym Misiaczkiem był tandetną spelunką, gdzie przyga-szano światło, by ukryć brudne wnętrza i gdzie zawyżano ceny, żeby Hakim mógł wypchać pieniędzmi kieszenie. Piwo rozcieńczano tu wodą. Maya nienawidziła tej nory. Nienawidziła tego smrodu, potu i tych obleśnych spojrzeń. Już półnaga, tańcząc w rytm muzyki płynącej z pianina z boku sceny, zawirowała w miejscu i jej lekka, przezroczysta spódniczka pokazała wszystkim, że nie ma pod spodem bielizny. Na widok ciemnych, sekretnych włosów między jej udami pijak jęknął i rzucił na scenę dziesięciodolarowy banknot.

Powoli i kusząco Maya chwyciła go palcami prawej nogi. Stała na lewej, podniosła wysoko tę z banknotem i szeroko rozkraczona pochyliła się do przodu tak nisko, że włosy zasłoniły jej twarz jak kurtyna. Ściany zadrżały

od oklasków, a pijak zaczął walić pięściami w scenę. Tego właśnie chcieli. Żadnych twarzy. Żadnych imion. Tylko kobiecego ciała. Nie tylko Malajowie tu przychodzili; co najmniej połowa gości miała białą skórę. Dwóch mężczyzn przy najbliższym stoliku było najpewniej żołnierzami, choć bez mundurów, a ten spokojny, który zawsze siadał w kącie plecami do ściany, wyglądał na żonatego. Nigdy nie wypijał więcej niż dwie szkockie i nigdy nie klaskał, po prostu siedział i patrzył na scenę smutnymi oczami.

Klub szczycił się tym, że potrafił zaspokoić wszystkie gusta. Występowali tu striptizerzy i striptizerki o wszystkich kolorach skóry: czarnej, brązowej, żółtej, a nawet białej: pracowała u nich rodowita Rosjanka, która przyjechała z Chin. Tańczyli tu młodzieńcy transwestycy, piękniejsi niż prawdziwe dziewczęta, występowali młodzi mężczyźni, gibcy i wysmarowani błyszczącym olejkim, którzy uprawiali na scenie zapasy. Pewna Syjamka występowała z żywym pytonem, a wysoki Etiopczyk przechadzał się po scenie z pejczem i grupą uległych nagich niewolników, mężczyzn i kobiet, którzy głośno jęczeli i skamlali.

W burzy okrzyków i oklasków Maya zrzuciła skąpą spódniczkę i zatańczyła powolny, zmysłowy taniec, który zawsze rozgrzewał gościom krew i zachęcał ich do zamawiania kolejnych drinków. Hakim będzie z niej zadowolony. Może nawet pozwoli jej zatrzymać te dziesięć dolarów. Zeszła ze sceny i wciąż naga popędziła do wspólnej garderoby na zapleczu. Mężczyźni i chłopcy, dziewczęta i kobiety tłoczyli się tam, zdejmując i wkładając ubranie, i walcząc o miejsce przed lustrem. Nikt nie zważał na czyjaś nagość. W pomieszczeniu unosił się intensywny zapach spoconych ciał.

Udało jej się uratować swój sarong z podłogi. Chciała uciec, zanim Hakim złapie ją i zabierze jej pieniądze, ale kiedy zaczęła przepychać się do drzwi, zobaczyła Rosjanę, która płakała przed kawałkiem zbitego lustra opartym

o półkę. Dziewczyna wycierała łzy, jednocześnie pokrywając policzek grubą warstwą różu, by ukryć duży, świeży siniak.

- Hakim? - spytała Maya.

Rosjanka kiwnęła głową. Nie było sensu pytać dlaczego i za co. Jeśli Hakim miał ochotę użyć pięści, zawsze znalazł powód.

- Nic ci nie jest?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Była tak słaba i załamana, że Hakim miał pewnie ochotę dokończyć dzieła. Uwolnić ją od cierpień jak rannego ptaka.

- Powinnaś odejść - ciągnęła z wahaniem Maya. - Zanim cię zabije.

Błada Rosjanka uśmiechnęła się do niej ze słodką miną, co Mayę zirytowało, bo widać było, że dziewczyna poddała się nieszczęściu.

- Tflfc.-Nie.

- Są inne kluby.

- Próbowałam wszędzie - odparła po malajsku z silnym obcym akcentem. - Wszędzie jest tak samo. Nieważne. Już niedługo nas tu nie będzie.

- Jak to? . ;

- Niedługo tu przyjdą.

- Kto? - Maya ukryła banknot w węźle sarongu, chcąc jak najszybciej skończyć rozmowę, ale ciekawiło ją, o czym dziewczyna mówi. - Policja? Hakim im płaci. Spokojnie, na pewno z nim nie zadrą.

Rosjanka westchnęła i znowu spojrzała w lustro, przyglądając się siniakowi.

- Nie Hakim. Japończycy.

- Co takiego? - Maya wstrzymała oddech.

- Nie słyszałaś?

- Nie.

- Od lat okupują Chiny. A teraz szykują się na Malaje. Maya odetchnęła.

- Nie, musiałaś źle słyszeć. Tygrys nie rzuci się z pazurami na Anglików, nie ma tyle odwagi. - Ruszyła do drzwi. Słowa dziewczyny nie przypadły jej do gustu.

- Ostrzegam cię, ja ich widziałam - dodała cicho Rosjanka. - Widziałam, co robili Chińczykom. Oby cię tu nie było, kiedy przyjdą.

Mówiła przez płaczliwie ściśnięte gardło, więc Maya lekko, lecz stanowczo odwróciła ją ku sobie i mocno nią potrząsnęła.

- Przestań! Przestań, słyszysz? Anglicy to zasrane sukinsyny, bo ukradli nam kraj, ale mają wielką armię. Mają broń i setki samolotów. Widać je na niebie. Nikt ich nigdy nie pobije. - Zabrała ręce. - Malaje są bezpieczne, możesz mi wierzyć.

## R O Z D Z I A Ł 5

Osiemdziesiąt kilometrów na południe od Paluru, w rozlatującej się drewnianej budzie na brzegu mulistej rzeki Sungai Lereh, Morgan Madoc wyrzucił przez okno nagiego mężczyznę. Było już ciemno, w parnym powietrzu wibrowały nocne odgłosy dżungli, mimo to plusk dało się wyraźnie słyszeć.

- On umie pływać? - spytała z łóżka przerażona Malajka.

- A kogo to obchodzi?

Madoc chwycił z podłogi ubranie mężczyzny, z portfela, który znalazł w marynarce, wyjął garść malajskich dolarów, zabrał tani zegarek kieszonkowy ze stolika nocnego, po czym wyrzucił ubranie przez okno, by dołączyło do jego właściciela. Koszula próbowała latać, lecz po krótkiej chwili poddała się i pokonana wpadła do rzeki, lądując w smudze odbijającego się od wody żółtawego światła. Madoc z przyjemnością zauważył, że buty zatonęły od razu.

- Obym cię tu więcej nie widział! - wrzasnął.

Ciemność milczała. Nie słychać było plusku, najmniejszego szmeru wody. Ale może tamten był dobrym, silnym pływakiem i umiał pływać po cichu. A może i nie. Madoc wzruszył szerokimi ramionami, zamknął okno i spojrzął na dziewczynę.

- Co się stało?

Malajka była naga. Szczupłe, karmelowe nogi wciąż miała rozrzucone na czystym białym prześcieradle, ręka-

mi masowała szyję. Od ucha do ucha jej szyję przecinała okrutna czerwona pręga, jak ślad od stryczka, a dziewczyna pokasływała, mecząc cicho jak małe jagnię. Jak nowo narodzone jagnię na farmie jego ojca w Brecon Beacons, kiedy był mały. Dawno temu, w innym życiu.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Nie, nic. Lubił na ostro.

Madoc powiódł fachowym okiem po jej wiotkim ciele i kiwnął głową. Nie licząc szyi, nic jej się nie stało. Mała, drobna, bez grama tłuszczu - jak na dwudziestośmioletnią dziewczynę wciąż wyglądała nieźle. Nie była w jego typie. Wolał takie przy kości, takie, które można chwycić, objąć i ścisnąć, ale klientom podobały się dziewczyny chude jak patyk. Delikatne i kruche. Przy odrobinie *szczęścia jeszcze przez parę lat* będzie mogła robić za osiemnastkę, pod warunkiem że ukryje pod rzęsami te cholerne oczy. W oczach odbijało się całe życie.

- W takim razie przyślę ci następnego - powiedział. Malajce drgnęły ramiona.

- Może najpierw coś dla mnie, szefie?

Nie lubił marnować dobrego towaru na dziewczyny, ale oczy skakały jej jak świerszcze i mogła nie dotrzeć do rana. Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął dwa skręty - trzymał je tam dla specjalnych klientów - rzucił je na łóżko, i patrzył, jak Malajka zrywa się z pościeli. Natychmiast przypaliła jednego od lampy naftowej na toalecie, zaciągnęła się głęboko i z rozkoszy zamknęła oczy, gdy narkotyk wypełnił jej płuca i jak rozpuszczający się w herbacie cukier przeniknął do krwi. Madoc prychnął z niesmakiem. Prawie przez całe swoje czterdziestoczteroletnie życie rozpadającymi się łodziami przemycał opium na zachodnie wybrzeże Malajów, ale sam nigdy tej trucizny nie tknął. Widział, co to świństwo może zrobić. Mogło zniszczyć człowiekowi życie. Przeżyć na wylot umysł. Tylko głupcy i frajerzy nurzali się w tym gównie.

- Masz pięć minut - powiedział i zszedł na dół.

Tego dnia w barze było tłoczno, bo drwale w górze rzeki dostali wypłatę. Madoc przystanął na szczycie schodów, zapalił papierosa i powiódł wzrokiem po zadymionej sali. Dobra, może nie był to hotel Raffles w Singapurze, ale przynajmniej lokal należał do niego. Uśmiechnął się szeroko. W barze panowała dzicz i bezprawie, ale roiło się w nim od nadzianych facetów, którzy chcieli tylko jednego: jak najszybciej wydać ciężko zarobioną forszę.

A bar U Morgana chętnie im w tym pomagał. Dziewczyny na górze harowały jak najęte, wódka płynęła strumieniami. Dziewczyny najczęściej odwiedzali Malaje, którzy jako muzułmanie nie pili alkoholu. Ale była tu również banda hałaśliwych chińskich drwali i grupka wstawionych już białych, którzy właśnie wtoczyli się do baru, prowokując do zaczepki Chińczyków. Madoc zaciągnął się dymem i zmrużył oczy. Przypomnił mu się Angol o grubym karku, którego wrzucił do rzeki. Obojętnie wzruszył ramionami. Nie był to pierwszy biały, którego zabił, i na pewno nie ostatni.

Przebił się przez zatłoczoną salę, klepiąc gości po ramieniu i wymieniając powitania płynną malajszczyzną, wreszcie wszedł za ladę, gdzie biała kobieta w średnim wieku robiła lemoniadę dla jakiegoś muskularnego Tamila o dziobatej twarzy. Duża i krzepka miała wielkie piersi i zadek hipopotama, ale nie dawała dmuchać sobie w kaszę. Ponieważ jej ciało wypełniało prawie całą szerokość wąskiego przejścia, przeciskając się za nią, Madoc nie mógł oprzeć się pokusie i szybko ścisnął jej pośladki, mięsiste i ciepłe jak melon w słońcu. Pod bawełnianą sukienką poczuł wilgotną od potu skórę, ale w tej samej chwili kobieta sięgnęła do tyłu i trzepnęła go po łapach. Nie poruszyła nawet butelką, którą trzymała w drugiej ręce.

- Madoc - jęknął tamilski drwal. - Nie obmacuj jej, kiedy z nią rozmawiam.

Kitty stłumiła śmiech.

- Znowu ten Walijczyk? Nie zważaj na niego, ja nie zważam.

Madoc wziął butelkę spod lady i otarłszy się nadgarstkiem o jej krzepką łydkę, podniósł klapę i wyszedł z za lady.

- Barmanka zawsze może poskarżyć się szefowi - rzucił przez ramię.

- Ale to ty jesteś jej szefem - zauważył drwal.

- No właśnie.

- Kiedyś poskarżę się mężowi - powiedziała ze śmiechem Kitty. - A on da ci popalić.

- To będzie ciekawe.

Madoc szedł w stronę stolika na końcu sali, gdzie siedziało trzech mężczyzn w czystych białych koszulach. Kitty spojrzała na nich, potem znowu na niego. Na chwilę spotkali się wzrokiem i w niemym ostrzeżeniu puściła do niego oko. Uważaj. Madoc kiwnął głową i podszedł do stolika, gdzie siedzieli tamci. Japończycy.

- Dolewkę sake, panowie? - zaproponował po angielsku i postawił butelkę na środku stołu. Z krzesła obok zrzucił śpiącego pijaka i przysiadł się do białych koszul. -Dobrze się bawicie?

- *Arigato*, dziękujemy, Madoc-san. Duży dzisiaj ruch.

Ten, który odpowiedział, był z nich najmłodszy i najgrzeczniejszy, o czym Madoc zdążył się już przekonać. Zdawało się, że tylko on umie się uśmiechać. Wszyscy trzej mieli gładkie twarze, krótko ostrzyżone włosy i wąskie ramiona, choć robili wrażenie sprawnych fizycznie i wysportowanych. Ten najstarszy, sądząc po siwiźnie we włosach, mężczyzna w jego wieku, miał zimne, nieprzeniknione oczy i prawie wcale nie mrugał. Mało mówił. Madoc nie wiedział, czy dlatego, że słabo znał angielski, czy dlatego, że wolał nie zdradzać swoich myśli. Podejrzewał, że powodem było to drugie. Poczęstował ich papierosem, ale z odrazą odmówili precyzyjnym ruchem głowy, po czym



wyjęli i zapalili swoje. Była to już prawie rutyna i powinien przywyknąć. Ale wciąż go tym irytowali.

- Chyba już słyszeliście, prawda? - spytał.

- *Hai*, tak - odparł ten grzeczny.

- Dlatego przyjechaliśmy, Madoc-san - powiedział ten trzeci, który chciał najwyraźniej od razu przejść do rzeczy. Przysunął szklankę do butelki.

Madoc dolał im sake i po raz pierwszy okazali odrobinę zainteresowania.

- Do dna! - rzucił, chociaż sam nie wypił.

Wypili ryżową wódkę, odstawili szklanki i spojrzeli na niego z cieniem niecierpliwości na twarzy. Madoc nachylił się do przodu z łokciami na stole i ten najmłodszy poszedł w jego ślady.

- Pewnie już słyszeliście, że nasi chłopcy się ruszyli. Ci z północy.

- *Hai*, tak, obilo nam się o uszy. Nasze Dowództwo Planowania Strategicznego chciałoby wiedzieć, ile batalionów i...

Do baru weszło dwóch marynarzy, którzy zaczęli przepychać się do lady. Madoc zerknął na nich, wyczuwszy, że jego kompani zeszywnieli.

- Niska ranga - mruknął. - Spokojnie.

Tamci przyplłynęli tu pewnie sampanem, żeby zobaczyć, co można znaleźć w dżungli, poszukać dzikszych kobiet i bardziej palącej whisky. Słuchy o barze Morgana krążyły po wszystkich miastach na wybrzeżu. Szukasz ładnych dziewczyn? Dobrej marychy? Rulety czy pokera? Wpadnij do nas! Marynarze byli rośli i muskularni, ale przy Malajach czy Chińczykach każdy robił wrażenie krzepkiego i wysokiego. Kusiło go, żeby postawić im zimne piwo i zaprosić do salki na zapleczu. To właśnie tam tłukł prawdziwą kasę, w dusznym, ciasnym pokoju, na ruletce i na kartach. W małej, brudnej klitce, gdzie marzenia raz po raz pierzchały jak sen i gdzie ludzie tracili wszystko, by mimo to wrócić i spróbować ponownie.

Marynarze mieli mleko pod wąsem. Po ich różowej angielskiej cerze poznał, że są na Malajach od niedawna, że przyплыли tu pewnie ze świeżymi posiłkami. W tej części świata robiło się coraz bardziej nerwowo i wiedział, że morze patrolują dwa wielkie brytyjskie okręty wojenne, krążownik „Repulse” i pancernik „Prince of Wales”. Marynarze rozejrzeli się z zainteresowaniem, ale znieruchomieli na widok jego skośnookich towarzyszy. Większość żółtków miała na tyle oleju we łbie, by stąd wyjechać - sytuacja ciągle się pogarszała, bo Europejczycy nie byli pewni, czy Japończycy ośmielą się zaatakować - i Madoc nie rozumiał, dlaczego jego kumple od sake uparli się, by przychodzić tu we trzech. Jednego nikt by nie zauważył. Trzech rzucało się w oczy jak wieloryb na drzewie. Ale w ilości siła.

- Panowie - zaproponował cicho - zaczerpniemy trochę świeżego powietrza?

Podszedł do marynarzy i skierował ich do Kitty. Poszli tam potulnie jak baranki. Otworzył drzwi, wziął głęboki oddech, wciągając do płuc powietrze ciężkie i gęste jak sake, i wyszedł w czarną noc. Dżungla i rzeka powitały go swoimi odgłosami jak starego przyjaciela, ale on ich prawie nie słyszał, może z wyjątkiem nawoływania żab, grzmiącego i uporczywego jak ból zęba.

Jego bar stał na błotnistym spłachetku ziemi na końcu drewnianego pomostu, na małej polanie, którą Madoc bez niczyjej zgody wydarł gęstej dżungli. Omijając namorzynowe bagniska, które wyciągały ku niemu szare korzenie jak martwe ramiona, pewnego wilgotnego popołudnia przyплыł tu łodzią i oczyścił dynamitem czterdzieści parę metrów kwadratowych lasu. Noc przespał w dusznym namiocie, w wyłupanym w ziemi kraterze, a rano zabrał się do roboty. Od tamtego czasu minęło dwanaście lat. Za długo, o wiele za długo.

Wyjął kolejnego papierosa, przypalił go od tłącego się niedopałka i właśnie patrzył, jak ten z paczki wysysa życie

z tego w ręku, gdy dołączyli do niego Japończycy. Poruszali się bezszelestnie jak węże.

- Madoc-san - zaczął cicho ten grzeczny. - Czekamy. Madoc uciekł żółtej plamy światła sączącego się z okien

baru i zaprowadził ich w głęboki cień budynku po prawej stronie. Jego sylwetka majaczyła na tle bezgwiazdznego nieba jak pusta, czarna skorupa. Ale na widok tych niedokończonych ścian uderzyła mu krew do głowy i drgnął, jakby ugryzł go moskit. Miesiąc po miesiącu budynek piał się mozolnie w górę, ale potrzebował więcej cegieł, więcej piasku, więcej cementu, więcej ołowianych rur, więcej drutu... Więcej pieniędzy. Zaciągnął się dymem, by zamaskować ciężkie westchnienie, stracił popiół na przelatującą obok ćmę i powiedział im to, co chcieli usłyszeć.

- Generał Brooke-Popham zaszył się w Singapurze i konferuje z generałem Heathem. Robią propagandę, rozpowszechniają wiadomość, że my, Anglicy, jesteśmy przekonani, że nasza obrona jest silna, a broń skuteczna. Szydzą z japońskiej armii.

Z ciemności dobiegł cichy syk. Syknął ten najstarszy.

- Brooke-Popham jest pewny, że nie będziecie mieli odwagi tknąć Malajów. Może Sumatrę czy Syjam, ale nie sam półwysep. Twierdzi, że wasze karabiny nie umywają się do naszych i że wasze czołgi nigdy nie przejadą przez dżunglę. Uważa, że RAF, nasze siły lotnicze, jest nie do pokonania. Że nie mielibyście najmniejszych szans. - Madoc uśmiechnął się do siebie pod osłoną mroku. W sumie nieźle się bawił. - Przypomina, że wasza armia walczy z niedobitkami chińskiej już od lat i wciąż nie może pokazać im, kto tam rządzi.

- Fakty, Madoc. Chcę faktów, nie kłamstw cuchnącego dżinem starego generała.

A jednak. Siwy żółtek mówił po angielsku. Ciekawe.

- Proszę bardzo - ciągnął spokojnie Madoc. - Gubernator uważa, że przypuścicie atak z Singory i Patani w Syjamie. Obrona jest już przygotowana.

- Gdzie?

- Na Ledge.

- *Hai*, tak - mruknął cicho któryś.

Madoc wiedział, że najważniejsza będzie skuteczna obrona szosy z i do Patani. Biegła przez góry do żyznego i słabo bronionego zachodniego wybrzeża. Pola ryżowe w okolicach Perlis i Kedah też wymagały obrony, to oczywiste, ale o wiele ważniejsze było teraz lotnisko w Alor Star. Gdyby wpadło w ręce wroga, Anglicy straciliby Penang, a nawet - niech Bóg broni - Butterworth.

- A co z Alor Star? - spytał ten najstarszy, jakby grzebał szpilką w jego myślach.

- Ma silną obronę.

- Gdzie?

- Na północ od lotniska. W Jitrze.

Zapadła długa cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że gdyby Japończykom udało się opanować górską drogę do Patani, mogliby uderzyć Anglików w miękkie podbrzusze spoza linii obronnej w Jitrze.

- Skąd pan o tym wie?

- Jedna z moich dziewczyn jest kochanką podpułkownika wywiadu.

- To sprawdzona wiadomość?

- Naturalnie. Jak zawsze.

- Ilu żołnierzy broni Ledge?

- Boję się, że tego nie wiem.

Madoc oczywiście wiedział: do obrony Ledge generał Heath trzymał w odwodzie dwa bataliony. Zachował jednak tę informację dla siebie. Daj kotu za dużo śmietany i się porzyga. Najstarszy Japończyk zrobił krok w jego stronę i stanął tak blisko, że Madoc poczuł zapach przypraw w jego oddechu. Skośnooki chciał go nastraszyć, ale tylko go zirytował. Madoc nie lubił, kiedy ktoś próbował przyprzeć go do muru. Nie drgnąwszy z miejsca, dmuchnął żółtkowi dymem prosto w twarz. Ten odwrócił się szybko i zaklął.

Madoc wrócił do prostokątnej plamy światła z baru,

bo nie ufał tym sukinsynom i bał się, że wbiją mu między żebra kawał ostrej jak brzytwa tokijskiej stali, a wtedy nie zbudowałby już kasyna, prawda? Wyciągnął rękę. Tamci zaczęli się cicho naradzać i usłyszał, jak z rzeki wyłazi coś dużego, jak wyłazi i wpełza w gęste poszycie dżungli. Ani chybi jeden z nocnych stworów. W końcu podszedł do niego ten grzeczny i położył mu na dłoni małą paczkę.

- Funty brytyjskie?

- Oczywiście. Tak jak pan sobie życzył.

Madoc nie tykał meksykańskich dolarów, nic niewartej waluty, która była w obiegu prawie w całych Malajach. Ufał tylko banknotom z królewską podobizną. Otworzył paczkę, sprawdził jej zawartość i kiwnął głową do obserwujących go w milczeniu mężczyzn. Drgnęło mu serce. Potrzebowali go. I tylko to się liczy, pomyślał.

- *Sayonara*, panowie - rzucił wesoło. - Do widzenia. Wiecie, gdzie mnie szukać.

- Tak - odparł bezbarwnym głosem ten najstarszy. - Wiemy, i to dokładnie.

Kiedy Madoc ruszył w stronę baru, baldachim dżungli przecięła błyskawica, która śmignęła między wierzchołkami drzew jak rozbłysk z lufy karabinu. Zadudnił odległy grzmot i na liście ciemnych bananowców spadły pierwsze krople deszczu, płaskie jak mała moneta. Japończycy wbiegli na pomost, gdzie cumowała ich łódź, a on stał na deszczu, patrząc, jak przepychają się, by jak najszybciej wejść na pokład. W końcu zawarczał silnik i odpłynęli.

„Wiemy, i to dokładnie”.

Nie brzmiało to zbyt dobrze.

## ROZDZIAŁ 6

- Na miłość boską, Constance, po co ty to czytasz? -Nigel nie potrafił ukryć poirytowania.

Connie szybko zamknęła książkę i przytuliła ją do piersi obronnym gestem, jakby chciał jej zabrać. Uśmiechnęła się zmieszana. Książka miała ośle uszy od lat czytania i oglądania.

- *Angielski ogród wiejski*. - To tytuł. Przeczytała go na głos.

Ścisnęła kartki palcami, przytrzymała je, jedną po drugiej puściła i przed jej *oczami* jak żywe mignęły kolorowe łubiny i ostróżki, *łącznie* ze wskazówkami na temat najlepszych podłoży ogrodniczych dla peonii.

Mąż ciężko westchnął.

- Nie masz tego dość? - spytał. - Spójrz. Tam, przed siebie.

Siedziała na zachodniej werandzie, gdzie uciekła przed porannym słońcem. Nauczyła Teddy'ego robić gwiazdę: bez trudu zademonstrowała mu wszystkie ruchy, a potem, gdy przyszła jego kolej na harce na trawniku, przytrzymała i prostowała mu nogi. Teraz chwalił się nowo nabytą umiejętnością Pippinowi, który skakał mu na brzuch i wśród warczenia i chichotów powalał go na ziemię.

- Spójrz - powtórzył Nigel. Tym razem niecierpliwie.

Spojrzała na bezkres niemożliwie zielonego trawnika, na kaskady bugenwilli lejących się jak wino z dachu werandy, na sadzawkę jaskrawoczerwonych hibiskusów,

malajskiego kwiatu narodowego, na dostojne orchidee i tajemniczo ciemne liście palmy nibong. Nigel miał rację: wszystkie te rośliny były cudowne. Jak cieszący oko bogaty, soczysty gobelin. Boże, kiedy, do licha, przestanie wreszcie tęsknić za przebiśniegami, żonkilami i...

- Jak może ci się tu nie podobać? - spytał cicho Nigel.

- Ależ podoba mi się, przecież wiesz. Tu jest jak w raju. - Wskazała ręką stadko papug, które lądowały właśnie na drzewie, wyklócając się o najlepsze miejsce. Tylko nie jak w moim raju, dodała w duchu. Słyszac jednak w jego słowach nutkę dumy i zadowolenia, nie powiedziała tego na głos. Nigdy by nie śmiała. - To przez ten list od mamy. Przypomniła mi się Anglia. - Schowała książkę, wtykając ją między poduszkę i oparcie fotela. - Mama pisze, że u nich mróz. - Teatralnie przewróciła oczami. - Kto przy zdrowych zmysłach chciałby teraz chodzić po śniegu w zimnych kaloszach?

Ja. Ja bym chciała. Zakupy świąteczne w rękawicach i ciepłym szalu, pieczone kasztany prosto z ognia. Lodowa pajęczyna na szybach. Ja. Ja.

Roześmiała się.

- Spójrz na Teddy'ego.

Wyczuła, że mąż patrzył na nią przez chwilę, zanim przysiadł na balustradzie i zawołał:

- Wyglądasz jak krab z zadartymi szczypcami! Wyprostuj nogi!

Była niedziela, jej ulubiony dzień tygodnia. W niedzielę życie w dziwny sposób gęstniało. Jakby nauczyło się, że tego wyjątkowego dnia nie wolno mu się za bardzo rozwadniać. Ten niedzielny rytuał wprowadziła zaraz po narodzinach Teddy'ego i ku jej zaskoczeniu Nigel chętnie go zaakceptował.

Dni PT - przed Teddym - wyglądały zupełnie inaczej. Niedziela była wtedy przypominającym ślimaka stworem bez kształtu i radości, ponurym przerywnikiem po pracowitym tygodniu. Dniem pełnym sztywnych, niezręcznych

godzin, kiedy udawała, że czyta angielskie gazety albo pisze listy do domu, dniem urozmaiconym jedynie drugim śniadaniem w klubie czy partyjką halmy i bilardem z przyjaciółmi, przyémionym dżinem, który zagłuszał panującą w domu ciszę. Ale odkąd w ich życiu pojawił się Teddy, ten mały rozchichotany wiercipięta, wszystko się zmieniło. Nie tylko dlatego, że był synem właściciela wielkiej posiadłości, chociaż to też się na pewno liczyło, ale dlatego, że w chwili, kiedy jego malutkie jak kijanka paluszki zacisnęły się na dużym kciuku Nigela, podbił serce ojca.

- Trzyma się jak małpka - powiedział szorstko mąż.

Ale nie dała się temu zwieść. To był nowy Nigel, Nigel, którego brązowe oczy warstwa po warstwie odsłoniły nagle coś nowego, coś, czego nigdy w nim nie widziała, czego istnienia nawet nie podejrzewała. Działo się tak, ilekroć brał syna na ręce. Nareszcie mogła dać mu coś, czego naprawdę chciał - a nie nową strzelbę czy głupie spinki do mankietów - coś, czego w głębi duszy pragnął. Bo na pewno nie pragnął jej, chociaż zawlókł ją do tego przekłętego raj. Miłość do syna zbudowała między nimi kruchy most, a ona co niedzielę ostrożnie wzmacniała go kolejnymi podporami i poręczami, aż most stał się mocny i trwały.

Wtedy *amah* Chała dostawała wolny dzień. Connie nalegała, żeby Nigel długo spał, co najmniej do dziewiątej, bo tylko w niedzielę nie musiał wstawać o piątej i jechać na plantację do robotników. Teddy pomagał jej siodłać konia na poranną przejażdżkę po okolicy, a kiedy zegar w holu wybijał dziewiątą, wpadał do ich sypialni z rozszczekany Pippinem, żeby obudzić tatę. Tuż za nimi szedł Masur, ich bezszelestny służący w białej tunice, z jajecznicą, kopiastą stertą grzanek, dżemem śliwkowym, dwoma obranymi owocami mango i dużym dzbankiem earl greya, śniadaniem na tacy, które Teddy i Nigel zjadali, zanim zdążyła wrócić do domu na prysznic.

Resztę dnia spędzali na zabawie, zwykle grając w krykieta na trawniku.



- Tylko dziewczyny rzucają od dołu - szeptał Nigel do syna, kiedy przychodziła jej kolej.

W krykieta, a czasami w krockieta. Pippin, wiecznie roz-kudłany terier, uwielbiał zatapiać zęby w drewnianej piłce, porywać ją i ku uciesze Teddy'ego z pyszczkiem otwartym tak szeroko, że groziło to zwichnięciem szczęki, uciekać z nią w krzaki.

Śmiech. To była najważniejsza zmiana. Śmiech zdejmował z niej ciasny gorset, który ścisnął jej płuca przez resztę tygodnia. Nigel też to odczuwał. Widziała, że jest swobodniejszy, nie tak spięty, widziała, jak kołnierzyk jego bielutkiej jak śnieg koszuli robi się mokry od potu. Kiedy upał stawał się nie do zniesienia, szukali schronienia w rozkosznym cieniu na werandzie, gdzie stały bambusowe fotele, które z biegiem lat dopasowały się kształtem do ich ciała.

Masur przynosił im świeżo wyciśniętą lemoniadę, a kiedy Teddy był młodszy, czytała mu książki Jamesa Biggles-wortha, opowieści o wyczynach dzielnego pilota, który latał sopwith camelem w wielkiej wojnie. Synek często wtedy zasypiał, podobnie jak Nigel, który ucinął sobie drzemkę „na czterdzieści mrugnięć okiem”, i wtedy mogła obserwować ich pokryte cętkami światła twarze. Miały niemal identyczny podłużny kształt. Ich szerokie usta też były podobne, ale podczas gdy usta syna układały się w spokojny półśmiech, mąż zaciskał swoje nawet we śnie.

Ale teraz siedmioletni Teddy ani myślał tracić czas na coś tak nudnego jak popołudniowa drzemka. Miał niespożyte wprost siły i często za nim nie nadążała. Kiedy proponowała, żeby trochę zwolnił, patrzył na nią osłupiały, marszczył piegowaty nosek i mówił:

- Mamusiu, ty się starzejesz.

Starzała się? Naprawdę? Może Nigel miał jednak rację, nazywając ją „staruszką”. Miała dopiero trzydzieści cztery lata, ale stała już po kolana w rowie, który prowadził prosto do grobu. Szybko zamrugła, zdawszy sobie sprawę, że mąż coś powiedział.

- Przepraszam. Zamyśliłam się. Co mówiłeś?
- Będziemy mieli gościa.
- Kogo?
- Johnnie Blake przychodzi na lunch.
- Johnnie? Nie wiedziałam, że wrócił. Uśmiechnęła się szeroko. Nie mogła się powstrzymać.

Porucznik pilot John Blake tryskał witalnością, ale temperował ją w sposób tak wesoły, dowcipny i czarujący, że wszędzie był mile widzianym gościem. On i Nigel przyjaźnili się już w Eaton, potem na jakiś czas stracili ze sobą kontakt i przed kilku laty wpadli na siebie na uroczystym przyjęciu u gubernatora w Singapurze.

- Jak dwa pingwiny po latach rozłąki - powiedziała ze śmiechem, patrząc, jak obejmują się we frakach na powitanie. Byli tego samego wzrostu i w tym samym wieku - mieli wtedy trzydzieści lat - różnili się tylko włosami, bo Nigel miał włosy starannie przyлизane oliwką, a płowa czupryna Johnniego fruwała na wszystkie strony niesforna jak jego uśmiech.

- Uważaj na niego - ostrzegł ją czule Nigel, gdy go przedstawiał. - Mógłby otworzyć muzeum złamanych serc.

Ale Johnnie nigdy nie przeholował, ani razu. Czasem tego żałowała.

- Cudownie! - wykrzyknęła. - Teddy się ucieszy.

Jej syn podziwiał go i wielbił jak bohatera. Trochę ją to martwiło. Kiedy oddaje się komuś całe serce, można przeżyć gorzki zawód.

Upewniła się, czy na stole stoi najlepsza porcelana i najlepsze kryształowe kieliszki, które kiedyś należały do matki Nigela. Jego rodzice zginęli w katastrofie lotniczej na lotnisku pod Palurem, kiedy miał osiemnaście lat. Na jego oczach.

Boże, jak to jest, kiedy dziecko widzi gwałtowną śmierć matki i ojca? Jaki wywiera to na nie wpływ? Wypełnia wzburzeniem, tak jak Razaka, lawinami gniewu, które schodzą i zasypują je w najmniej oczekiwanym momencie?

Nie wiedziała.

Pomyślała jednak, że widok kryształowych kieliszków matki mógłby podpalić lont i doprowadzić go do wybuchu. Pod wpływem nagłego impulsu zawołała Masura i zebrała je ze stołu.

- Zabierz je. Przynieś inne. Szybko. Leicas/ Pospiesz się. Masur, który pracował u nich prawie od sześciu lat, spojrzał na nią lekko rozbawiony, ale zrobił, co kazała.

- *Terimah kasih*. Dziękuję.

- Będzie dzisiaj *tuan* Blake?

- Tak, przyjdzie na lunch.

- Teraz jest bardzo zajęty na niebie.

- Na pewno. Nie martw się. Nieba pilnuje RAF, intruzi nie mają z nim żadnych szans.

Nie powiedziała, kim ci intruzi są. Oboje zbyli to milczeniem.

- Cudownie wyglądasz, Connie. Jak to możliwe, że ilekroć was widzę, ty młodziejysz, a stary Nigel robi się coraz bardziej zrzędlawy, jak jego ojciec?

- Panie poruczniku - odrzekła z uśmiechem - jest pan niepoprawnym flirciarzem.

Trzymając ją za ręce, by nie uciekła przed jego pełnym podziwu spojrzeniem, Johnnie ucałował ją w oba policzki, na francuską modłę. Przebrała się w błękitną sukienkę, tę, która tak ładnie opinała jej wąskie biodra, a długie, jasne włosy ułożyła w luźną falę i spięła perłową klamrą, żeby wyglądać bardziej szykownie. Ilekroć przyjeżdżał Johnnie, Palur ze swoimi skostniałymi kolonialnymi zwyczajami wydawał się miastem bardzo prowincjonalnym.

Elegancki - to słowo pasowało do niego najbardziej. Żadne inne. Kiedy na powitanie podniósł do góry Teddy'ego, wszystko od razu pojaśniało i nawet ciemne schody przestały być takie ponure. Tak, był wysoki i elegancki, zwłaszcza w niebieskoszarym mundurze RAF-u, jednocześnie bardzo naturalny w każdym geście, jak choćby wtedy, kiedy zdjął marynarkę i beztrąsko rzucił ją na bok, gdzie już czyhał Teddy.

- Constance, pozwól, że przedstawię ci pana Fitzpayne'a.

Nigel odwrócił się do stojącego w progu mężczyzny. Kiedy ten ruszył w ich stronę, Connie miała wrażenie, że do salonu wkracza czysta siła. Fitzpayne był niższy od jej męża, ale bardziej barczysty; przyszedł w ciemnej koszuli z krótkimi rękawami i widziała silne mięśnie jego ramion. Miał stalowoszare oczy, które nie uśmiechnęły się do niej na powitanie. Patrzyły tak zimno, że omal się nie cofnęła i nie uciekła. Ale nie, wyciągnęła do niego rękę.

- Witamy w domu Hadleyów.

- Przepraszam, że nachodzę państwa w niedzielę. Ale pani mąż był łaskaw zaprosić mnie na lunch.

Nigel roześmiał się wesoło.

- Przecież nie mogłem pozwolić, żeby umarł z głodu, prawda?

- To moja wina - wtrącił Johnnie z przepraszającym uśmiechem. - Wracaliśmy razem pociągiem z Kuala Lumpur i chyba przypadliśmy sobie do gustu. Fitz to prawdziwy wilk morski, prawda, Firz? Doskonale zna się na łodziach i Nigel na pewno zechce z nim porozmawiać o „Białej Perle”.

„Biała Perła”, dwudziestometrowa łódź, która rozcinała morskie fale jak rasowy jacht, była miłością jego życia.

- Zapraszamy na lunch - powiedziała Connie. - Chętnie poznamy tajemnice prawdziwego wilka morskiego.

Fitzpayne ściągnął gęste brwi.

- Nikt nie lubi zdradzać swoich tajemnic.

Ścisnęło ją w gardle.

- To prawda - wykrztusiła i roześmiała się teatralnie.

- Jedne są mniejsze, inne większe - rzucił Johnnie, machając ręką w kierunku Singapuru. - Powiadają, że generał Gordon Bennett... - Spojrzał na Teddy'ego i pytająco uniósł brwi.

- Dowódca Królewskich Australijskich Sił Zbrojnych na Malajach - dokończył natychmiast chłopiec.

- Brawo! Bardzo dobrze, Teddy, widać, że się na tym znasz. - Johnnie potargał mu włosy.

- Nie mam ochoty wysłuchiwać generalskich tajemnic - powiedział Nigel. - Bardzo dziękuję. Przynajmniej nie w obecności tego szkraba.

- Opowiesz nam przy koniaku, Blake - dodał ich nowy znajomy.

Rozglądał się po pokoju, jakby oceniał jego proporcje, jedwabne makaty, przeszklony mahoniowy kredens pełen starych sreber, a nawet stertę starych gazet szeleszczących kartkami w podmuchach wiatru z wirującego pod sufitem mosiężnego wentylatora. Nie. Ktoś, kto tak krytycznym okiem przyglądał się temu salonowi, nie mógł wzbudzić w niej ciepłych uczuć.

- Chodźmy na drinka na północną werandę - zaproponowała wesoło. - Teraz jest tam cień.

- Dobry pomysł - zgodził się z nią Nigel.

- Chodźmy, panie pilocie - powiedział Johnnie do Teddy'ego. - Zobaczmy, co też może kryć się w tej torbie. - Zdjął z ramienia skórzaną torbę i podniósł ją do góry tak kusząco, że Pippin zaczął podskakiwać jak czarna gumowa piłeczka.

Teddy'emu od razu pojaśniała twarz. Poszedł za John-niem jak miniaturowy cień. Zaciekawiony Nigel też. Connie spojrzała na Fitzpayne'a.

- Pójdziemy?

Wreszcie zwrócił na nią uwagę. Widząc, że jest skępowana, chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic, w ką-

ciku jego ust pojawił się tylko cień pełnego zadowolenia uśmiechu. Wpadające przez żaluzje słońce malowało na podłodze jasne pasy. Przeszedł po nich bez słowa, stąpając jak po szkle.

Atmosfera podczas lunchu była bardzo ożywiona. Może dlatego, że rozmawiali o tym, jak Królewskie Siły Zbrojne pod dowództwem sir Roberta Brooke-Pophama zamierzają wzmocnić obronę Malajów. A może dlatego, że Connie była trochę niespokojna i wypłała za dużo wina. I za dużo mówiła. Zdawała sobie z tego sprawę, ale jej język mówił sam z siebie, jakby bał się odpocząć. Wypytała Johnniego o Singapur, gdzie jadł kolację z gubernatorem, sir Shentonem Thomasem.

- Co jeszcze? Co jeszcze robiłeś?

- Byłem w kinie. Na *Obywatelu Kanie* z Orsonem Wellesem. Kiedy będą go u was wyświetlali, koniecznie musicie pójść. Wspaniały film.

- O samolotach? - spytał z nadzieją Teddy. Nigdy nie był w kinie.

- Nie, ale idź na *Dumbo*. Dumbo to słoń, który umie latać. - Johnnie roześmiał się, widząc jego minę. - A w sklepie na Tanglin Road znalazłem to. - Teatralnym ruchem wyjął z torby małą paczkę i podał ją przez stół Teddy'emu.

Chłopiec rozwinął ją niecierpliwie i jego oczom ukazało się tekturowe pudełko z latającym modelem samolotu.

- Frog interceptor! - zapiszczał.

Otworzył pudełko i z nabożną czcią obejrzał jego zawartość. Małymi palcami pieśczośliwie przesunął po srebrzystym samolociku, który miał ledwie dwadzieścia pięć centymetrów długości. Dotknął gumowej taśmy, która go napędzała, dotknął złożonych skrzydeł, które po wyjęciu z pudełka nasadzało się na wystające z kadłuba kołeczki.

- Dziękuję, wujku, bardzo dziękuję. - Uśmiechając

się od ucha do ucha, Teddy spojrział na ojca siedzącego u szczytu stołu. - Jeśli dobrze nakręcić gumę, przeleci prawie sto metrów. Mój kolega Jack tak mówi, ale on dostanie takiego dopiero pod choinkę.

- Rozpuszczasz chłopaka - powiedział z uśmiechem Nigel.

- Tatusiu, mogę trochę polatać?

- Oczywiście, ale spokojnie, powoli. Zaczekaj, aż skończymy jeść.

Teddy popatrzył niecierpliwie na talerze. I zaczął wpychać do buzi wielkie porcje pieczonej baraniny, chcąc zachęcić wszystkich do szybszego jedzenia.

Siedzący po jego lewej stronie Fitzpayne obserwował go w ponurym milczeniu. Podczas lunchu mówił tak mało, że Connie zastanawiała się, po co w ogóle przyszedł. Miał mocno zarysowaną szeroką twarz i gęste ciemne brwi, a widząc, jak przygląda się meblom, im, a nawet psu, który obwąchiwał mu buty, czuła się trochę nieswojo. Żałowała, że Johnnie go przyprowadził. Z grzeczności spróbowała wciągnąć go do rozmowy.

- Pan też był ostatnio w Singapurze?

Fitzpayne odłożył widelec i spojrział na nią z powagą.

- Owszem.

- Jaki panuje tam nastrój? Czytałam w „Straits Timesie”, że coraz częściej mówi się o wojnie.

- To prawda.

- Ale chyba nie na Malajach?

- To bardzo prawdopodobne.

- Bzdura - nie wytrzymał Nigel. - Japończycy nie zaryzykują. Może uderzą na Jawę albo Syjam, ale nie na Malaje, zobaczycie. Singapur jest obstawiony wycelowanymi w morze piętnastocalówkami. Zdmuchniemy żółtków z wody.

- Jest jeszcze dżungla - zauważył beznamiętnie Fitzpayne. - Zapomina pan, że mogą nadejść od północy.

Powiedział to tak, że Connie poczuła, jak po plecach przechodzi jej zimny dreszcz.

- Absurd - wtrącił Johnnie. - Żadna armia, a już na pewno czołgi, nie przedrze się przez dżunglę i przez ma-lajskie góry, żeby zaatakować Singapur od tyłu. Te tereny są nie do przejścia. - Wesoło podniósł kieliszek. - Nie strasz nas, panikarzu. Zwłaszcza kobiet i dzieci.

Ale było już za późno. Connie naszyły złe przeczucia.

- Naprawdę będzie wojna? - spytał Teddy. W jego młodziutkim głosie zabrzmiała nutka tak wielkiego podniecenia, jakby rozmawiali o Bożym Narodzeniu.

- Ależ skąd - odparł jego ojciec. - Naszym zadaniem jest zaopatrywanie aliantów w kauczuk, cynę i ryż. Jesteśmy im potrzebni. Nie możemy dać się uwikłać...

Fitzpayne roześmiał się smutnym, ironicznym śmiechem.

- Chce się pan założyć, panie Hadley?

Nigel poczerwieniał i Connie współczuła mu, widząc, że jest rozdarty, że musi pełnić rolę gospodarza, choć gość go zirytował.

- Koszałki-opałki, szanowny panie - wymamrotał i poprosił służącego o dolewkę. Przez chwilę kręcił winem w kieliszku, tworząc tam wir, którego widok chyba go uspokoił. - Japończycy ugryźli już więcej, niż mogą przełknąć, i nie będą wtykali tu nosa. Generał Percival już tego dopilnuje, obroni nasze lotniska. A ty i twój RAF dacie popalić ich okrętom wojennym. Prawda, Johnnie? Nie ma szans, żeby ich wojska wkroczyły na Malaje. - Uśmiechnął się do syna. - Dlatego nie martw się, młody człowieku.

Teddy kiwnął głową, bawiąc się kawałkiem marchewki na talerzu. Był rozczarowany.

Connie zapomniała o jedzeniu - było zresztą za gorąco - i skupiła uwagę na Fitzpaynie. Próbowwała odgadnąć, dlaczego zaprzyjaźnił się z Johnniem.

- Służy pan w wojsku? - spytała.

Fitzpayne patrzył na nią trochę za długo, co nie było zbyt grzeczne, w końcu odpowiedział:



- Nie. Żegluję.

- Naprawdę? To miło. Mój mąż też uwielbia żeglować. Prawda, Nigel?

Nigel burknął coś do kieliszka. Przy stole zapadła niezręczna cisza i tym razem Connie postanowiła nic nie mówić. Odezwał się Johnnie.

- Wczoraj słyszałem w klubie, że władze chcą internować tutejszych Japończyków i zamknąć ich w obozach pracy. Tych, którzy jeszcze pozostali.

Connie poderwała wzrok.

- W obozach pracy?

- Tak, na wszelki wypadek, żeby nie szpiegowali. Dlaczego wciąż to czuła, nawet teraz? Jakby coś dźgnęło ją od środka w zębra.

- W Palurze nie ma zbyt wielu Japończyków - zauważyła. Za szybko oddychała. Nagle zachciało jej się palić. Tak, miała ochotę zapalić cienką, czarną cygaretkę z wąziutką złotą obrączką wokół filtra. Poczuć jej delikatny dotyk na ustach. I żeby ktoś podał jej ogień.

- To prawda - zgodził się z nią Nigel. - Prawie wszyscy uciekli do dżungli.

- Co się stało z tym, który tu kiedyś był? - spytał Johnnie. - Tym, który robił interesy na jedwabiu. Słyszeliście coś o nim?

To było jak czarna mgła. Zasnuła oczy tak szybko, że Connie musiała przytrzymać się brzegu obrusa. Słyszała szum wzbierającej rzeki i wiedziała, że to dudniąca w uszach krew.

- Pamiętasz go, Connie?

Słowa jak z dna brudnej, dawno zapomnianej studni. Wspinały się po cembrowinie, po wystających ceglach i kamieniach, by ją dopaść.

„Pamiętasz go, Connie? Jak się ten facet nazywał?”.

Tak, pamiętała go. Nazywał się Shohei Takehashi. Sho.

- Zatańczy pani?

To były pierwsze słowa, jakie do niej wypowiedział. Obserwował ją przez cały wieczór zza chmury papierosowego dymu przy sąsiednim stole w nocnym klubie May-fair w Palurze, a ona udawała, że nie czuje na sobie wzroku jego czarnych oczu, gdy orkiestra grała *Don't Fence Me in* Cole'a Portera. Siroc, tak się nazywali, a ich muzyka była gorąca jak pustynny wiatr. Czuła pulsowanie krwi w nadgarstku.

„Zatańczy pani?”

Już otworzyła usta, żeby odmówić. Ale wtedy ktoś siedzący przy ich stole wstał - Henry, mąż Harriet? - i powitał eleganckiego Japończyka jak dawno niewidzianego kuzyna, jak businessmen wita biznesmena, dopóki ten jest mu potrzebny. Obrazy wryły się w pamięć tak mocno, że widziała je nawet teraz. Sposób, w jaki pochylił głowę w eleganckim ukłonie, jego gładka jak masło skóra. Jego pełne gracji ruchy, delikatne kości. Jego pełne usta.

Stał tam cierpliwy jak sintoistyczny mnich, słuchając, rozmawiając i czekając. Ani na krok nie odstąpił od ich okrągłego stołu. Było ich dziesięcioro, czworo już na parkiecie, pozostali śmiali się i pili. I kiedy Nigel pograżył się w poważnej rozmowie o podatkach z Williamem Barratem z Jardine's, największej giełdy w rejonie Pacyfiku, Sho nachylił się ku niej i ponownie spytał:

- Zatańczy pani?

Tym razem powiedziała „tak”. Na parkiecie było tłoczno, więc przytulił ją do siebie. Był wyższy od niej, ale niedużo, i pod jedwabną marynarką, w miejscu, gdzie lekko spoczywała jej ręka, czuła napięte mięśnie jego ramienia. Pachniał piżmowym, korzennym zapachem, który pieścił jej wrażliwy nos. Prawie się do siebie nie odzywali. Była tylko jej ręka na jego dłoni i jego starannie wypielęgnowane perłowe paznokcie z jedwabście białymi obłączkami. Najwyraźniej nie pracował fizycznie.

Ich stopy poruszały się zgodnym rytmem. Palce trzymał mocno na jej krzyżu, a ich czubki przesuwają się delikatnie w górę i w dół kręgosłupa. Kiedy ostatnio dotykał ją tak jakiś mężczyzna? Jakby jego skóra wysysała coś z jej skóry. Głód, pożądanie, pragnienie, coś jak huczący podwodny prąd podczas odpływu. Czuła to, tak jak czuła, że patrzy na jej usta, włosy i policzki, ilekroć odwracała wzrok. Kiedy muzyka ucichła i ruch wokół nich ustał, spojrzała mu prosto w oczy.

- Dziękuję - powiedziała.

- Za co?

- Za to, że pan zaczekał.

- Czekanie na coś cennego nie jest trudne.

- To zależy, prawda? - odrzekła cicho. - Coś, co jest cenne dla jednego, dla drugiego może być zupełnie bezwartościowe.

- Wszyscy dokonujemy wyborów. - Uśmiechnął się swoimi podłużnymi, migdałowymi oczami, nie próbując nawet zamaskować pożądania kryjącego się pod tymi układnymi słowami.

- I wszyscy musimy żyć z ich konsekwencjami - zauważyła.

Nie, ten mężczyzna nigdy nie nazwałby jej „staruszką”. Zatańczyli jeszcze jeden taniec, wolnego walca, i na tym się skończyło. Odprowadził ją z galanterią do stołu, skłonił się i odszedł. Ale spotkali się już następnego dnia. I dwa dni później.

- Na miłość boską, Constance, kto to jest? - spytał Nigel, wskazując widelcem postać za drzwiami na taras.

Connie szybko zamrugła. Wciąż była na lunchu. Stał przed nią nietknięty pudding z papają i kremem waniliowym. Nie pamiętała, kiedy go podano. Wszyscy spojrzeli w stronę drzwi, a ona poczuła, że ma spocone dłonie,

lepkie jak od oliwy. Była pewna, że to Sho. Tak pewna, że podniosła leżący obok talerza nóż do sera i mocno zacisnęła palce na rękojeści. Powoli odwróciła głowę.

W pierwszej chwili nic nie zobaczyła, bo oślepiło ją słońce. Żaluzje w oknach były na wpół zamknięte, ale przeszklone drzwi na taras zostawiła szeroko otwarte, by wpuścić do środka choć trochę wiatru i żeby Pippin mógł wyjść. Jak na prostokątnym obrazie widać było za nimi spokojny zielony trawnik pnący się łagodnie ku domowi. Słyszała, jak Nigel oddycha głośno przez nos, siedząc przy drugim końcu stołu. Za drzwiami były trzy szerokie, półokrągłe schodki, a u ich podstawy ktoś stał. Jakiś mężczyzna. Zmrużyła oczy i zobaczyła wzorzysty sarong i czarną koszulę bez rękawów. Zmarszczyła brwi. Prędzej by umarła, niż pokazałaby się w sarongu. Mężczyzna poruszył się i zalała ją fala ulgi. Mogła wreszcie przełknąć ślinę.

- Masur! - krzyknął Nigel. - Pozbądź się tego człowieka.

Connie zerwała się na równe nogi, przewracając krzesło.

- Nie, nie, wszystko w porządku, ja go znam. To Ra-zak. Syn Sai-Ru Jumat, tej kobiety z wypadku.

Razak patrzył na nią. Patrzył tak intensywnie, że przeszedł ją dreszcz, ale zaraz potem z nieśmiałym uśmiechem pochylił głowę. Jaki on jest piękny, pomyślała.

- Wejdz, Razak.

Zwinny jak gazela chłopiec wbiegł na schody.

## R O Z D Z I A Ł 7

Pokazała mu ogród. Poprosił o pracę tu, w domu; nie chciał mieć nic wspólnego z kauczukiem. Wyjaśniła mu taktownie, że jako wykwalifikowany zbieracz zarobiłby więcej niż jako ogrodnik, ale nie ustąpił. Pokręcił tylko głową ze wzrokiem wbitym w stopy, zakurzone sandały, takie z cienkim rzemykiem między palcami.

- Ile ty masz lat? - spytała.

- Szesnaście.

- A twoja siostra?

- Szesnaście.

- Jesteście bliźniętami. Cudownie.

- Tak.

- Jak siostra ma na imię?

- Maya.

- Ma pracę?

Razak lekko zmarszczył brwi.

- Tak, tańczy.

- Malajskie tańce są piękne, byłam kiedyś na występie. Muszę ją kiedyś zobaczyć.

Trochę się speszył, więc nie drażyła tematu. Nie dziwiła się, że nie chce, by ktoś wtykał nos w jego życie. Dlatego dalej opowiadała mu o ogrodzie. Nie znał się na roślinach, ale podobał się jej sposób, w jaki dotknął płatków kwiatu strelicji królewskiej - zrobił to tak, jakby były czymś bezcennym - i jak wierzchem dłoni musnął zielone, błyszczące liście jejarumu. Reszty na pewno się nauczy.

- Chodź - powiedziała.

Pociągnęła go na ścieżkę, która biegła za dom, gdzie za żywopłotem z wysokich cyprysów zaczynała się druga część ogrodu.

- To jest warzywnik - wyjaśniła, wprowadzając go tam wyciętym w cyprysach łukowatym wejściem. - To tutaj zapędzi cię pewnie Malik, nasz główny ogrodnik.

Był to zwykły ogród warzywny. To wszystko. Nic specjalnego. Lubiła uprawiać warzywa jeszcze bardziej niż kwiaty i spędzała tu dużo czasu, zbierając je i sadząc. Ogród po prostu zawsze tu był, jak coś trwałego i oczywistego. I wtedy zobaczyła reakcję Razaka. Wytrzeszczył oczy i zdumiony rozdziawił usta.

- Bardzo, bardzo duży - wymamrotał.

Duży? Uważała, że jest zwyczajny, normalnej wielkości.

- Udaje nam się zjeść wszystko, co tu wyrośnie. Razak pokazał jej trzy palce.

- Pani, *tuan* Hadley i chłopiec.

- No i służba oczywiście. Oni też jedzą warzywa. Tak jest sprawiedliwie, bo to oni muszą odpędzać mały i papugi. Nie uwierzysz, ale jest tu mała z łysym ogonem, która uważa, że wszystkie te melony i kabaczki uprawiamy specjalnie dla niej.

Roześmiał się. Po raz pierwszy się odprężył i nie wyglądał już jak jeden z tych jelonków, które zaglądały czasem do ogrodu. Wystarczyło mrugnąć i uciekały. Nie chciała, żeby Razak przed nią uciekał.

- Może weźmiesz trochę warzyw do domu? - zaproponowała.

- Nie jestem małą. Ani papugą. Zaczerwieniła się.

- Wiem.

Razak ukląkł na czerwonej ziemi, zerwał z krzaka żółtą paprykę i wgrzył się w nią zębami. Wyobraziła sobie ten ciepły, słoneczny smak. Chłopiec podniósł wzrok, uśmiechnął się i Connie wiedziała już, że zostanie.

- Witaj w domu Hadleyów - powiedziała.
- Dziękuję. *Terimah kasih*.
- Gdzie nauczyłeś się angielskiego?
- Byłem służącym. W Palurze.
- Naprawdę? Jeśli wolisz, możesz być służącym i u nas...

Natychmiast zamknął się w sobie. Jakby kazała mu wskoczyć do jamy pełnej węży. Pokręcił głową i znowu wbił zęby w żółty mięsz.

- Podoba mi się warzywnik. Roześmiała się.
- Mnie też.

Maya chodziła nerwowo po ulicy, umierając z niecierpliwości. Gdzie on był? Dlaczego jeszcze nie wrócił? Czy biała pani go uciszyła? Spojrzała na niego i kazała mężowi przydzielić go do kulisów w kauczukowym lesie? Tam praca była bardzo ciężka, niedobra dla rąk i kręgosłupa, i słyszała cicho szeptane opowieści o ludziach, którzy spędzili tam tyle lat, że leśne duchy ukradły im serca. Ukradły i porozwieszały na drzewach, gdzie są do tej pory, migocząc, tańcząc jak świetliki i płacząc z bólu. Ona nigdy ich nie widziała, ale inni widzieli. Nie chciała, żeby spotkało to jej brata.

Weszła do swojej nędznej chaty, rzuciła się na podłogę i usiadła z podkurczonymi kolanami. Było duszno, a w stronę drzwi pełzł olbrzymi krocionóg. Podniosła nogę i rozgniotła go nagą piętą. Miała sprzedawać kwiaty dla Hakima, ale nie mogła trzeźwo myśleć, a kiedy w ogóle myślała, to tylko o tym, żeby Razak bezpiecznie wrócił do domu. Hakim i jego wilki dobiorą się jej do skóry i będzie musiała za to zapłacić. Ale co tam. Najwyżej.

Nigdy nie miała zegarka i nie potrafiłaby powiedzieć, która godzina, nawet gdyby go miała, ale widziała cienie

przesuwające się po ratanowej macie. Tak liczyła mijające godziny, a tego dnia cienie wędrowały bardzo powoli. Do jej małej twarzy przywierały wilgotne włosy, więc odrzuciła je do tyłu, zwinęła w czarny kok na czubku głowy i spięła je bambusową drzazgą. Próbowwała odpędzić złe myśli, żeby pierzchły w upał ciasnej chaty, ale nie mogła, bo były jak szczury, które pomykają to tu, to tam, szukając ciemnej nory. Kiedy Razak w końcu wrócił, zerwała się na równe nogi.

- Gdzieś ty był tak długo?

Nióśł stos warzyw, melonów, fasoli i innej zieleniny, stos tak wysoki, że musiał przytrzymywać go podbródkiem. Maya roześmiała się i zwędziła mu ogórek.

- U Hadleyów - odparł. - Tak, jak kazałaś.

Stanął w kącie, otworzył ramiona i rzucił wszystko na podłogę. Buchnął kurz.

- Daj to Salidowi - mruknął. - Będzie miał dla świń. Nie zjem niczego z jej ogrodu.

Maya usiadła po turecku na macie i naląła mu szklankę herbaty'. Musiała poczekać, aż brat do niej wróci. Biała pani go ukradła.

- Poprosiłem, żeby dała mi pracę w ogrodzie - powiedział w końcu. - Tak, jak chciałaś.

- Bardzo dobrze.

- Zaprowadziła mnie tam. - Umilkł i zaskrzyły mu się oczy. - Jest piękny. Taki duży i tylko dla trzech osób.

Bez słowa popatrzyli na swoją malutką izbę.

- No i? - ponagliła Maya.

- Warzywnik jest olbrzymi. Pięć razy większy od ogrodu starego Greneya. Pamiętasz go? Miał dziesięcioosobową rodzinę, całą wykarmił i zostawało mu jeszcze na sprzedaż.

- Pamiętam.

- Powiedziała, że uprawia warzywa dla swojej rodziny i dla służby. Ale służba sprzedaje je pewnie na targu, a ona nic o tym nie wie. - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Jak można być tak głupim?



- Wszyscy biali są głupi i nie rozumieją nikogo oprócz siebie samych.  
Co było potem?

- Zostawiła mnie z ogrodnikiem, tym najważniejszym. Pochodzi z Penangu i mówi tak, jakby ogród należał do niego. Chyba sam zmienia się w roślinę, bo ma na nogach dziwne narośle, coś jakby korzenie, i przez cały czas miele jęczorem.

- I co ci ten jęczor powiedział? - spytała podekscytowana Maya.

- Ze codziennie rano pani Hadley zawozi chłopca do szkoły i odbiera go, kiedy słońce jest w zenicie. Już nie prowadzi samochodu. Teraz prowadzi ich *syce*.

Maya zmarszczyła brwi. Nie to chciała usłyszeć.

- W weekendy jeździ konno, wczesnym rankiem, kiedy jest jeszcze chłodno. *Tuan Besar* wychodzi z domu przed świtem i wraca długo po zachodzie słońca. Czasem *jeżdżą* do znajomych, wieczorem. Ogródnik mówi, że zawsze wozi ich *syce*. *Tuan* lubi wypić, a drogi są wyboiste.

Razak umilkł i przyjrzał się siostrze spod długich rzęs.

- Jesteś zadowolona? Maya uśmiechnęła się.

- Kocham tego ogrodnika, jakby był moim własnym ojcem.

- Chciałaś powiedzieć, że bardziej.

Roześmiali się, ale był to śmiech cichy jak szmer rozchodzących się po wodzie zmarszczek. Ich ojciec pracował w kopalni cyny. Bił ich i ich matkę, kiedy tylko naszła go na to ochota, ale pewnego dnia zniknął. Wrócił do swoich braci-węży, mawiała jadowicie matka.

Maya wskazała leżące w kącie warzywa.

- Sprzedam je. Razak pokręcił głową.

- Nadają się tylko dla świń.

Maya ciężko westchnęła, ale nie zaprotestowała. Postawiła przed nim talerz curry z jagnięciny z ryżem i butelkę piwa.

- Sprzedałam dzisiaj dużo kwiatów - skłamała. Nie powiedziała mu o kopercie, którą znalazła za garnkami na półce.

Connie była niespokojna. W nocy padało. Potężna, gwałtowna ulewa zatrzęsła ścianami domu i długo bębniła w dach. Zajrzała do Teddy'ego, ale syn nawet się nie poruszył. Lubiła na niego patrzeć - nawet przez moskitierę -kiedy spał, tuląc do poduszki ciepły, różowy policzek. Wtedy, w nocy, widziała, jak zaczyna tracić swój dziecięcy wygląd, jak rysy jego twarzy - szczęka, brwi, nos - wyostają się powoli, dając jej przedsmak tego, jak będzie kiedyś wyglądał. Powtarzała sobie, że jeśli będzie mu się tak przyglądała, nie przeżyje wstrząsu, kiedy Teddy stanie przed nią jako młody mężczyzna z nogami długości nóg swojego ojca. Kiedy dziecko zniknie pod maską dorosłości.

Podniosła moskitierę, odgarnęła kosmyki włosów i pocałowała go w czoło.

- Kolorowych snów, kochanie - szepnęła i pogłaskała go po piersi. Nie mogła pozbyć się tego nawyku, tego, że tak bardzo lubiła czuć cichutkie bicie jego serca.

Opuściła na palcach sypialnię synka. Kiedy weszła do swojej, zobaczyła Nigela, który siedział na łóżku, zdejmując skarpetki. Miał ładne stopy, gładkie i kształtne. Musiało jej to wystarczyć, bo nie licząc jego stóp, łydek i przedramion, od lat nie widziała nic więcej. Zastanawiała się przez chwilę, co by zrobił, gdyby nagle podeszła bliżej i zaczęła rozpinać mu koszulę. Pewnie odpędziłby ją jak ćmę, która wślizgnęła się w nocy przez żaluzje.

- Nie podobał mi się ten Firzpayne - powiedział. - On i jego pomysły.

Connie westchnęła i z rękami pod głową wyciągnęła się na swojej stronie łóżka. Mruczenie wentylatora pod sufitem było monotonne i uporczywe jak deszcz.

- Mnie też nie - odparła. - Ale to znajomy Johnniego, więc nie mogliśmy tak po prostu wziąć go za ucho i wyrzucić, prawda?

Nigel chrząknął i wszedł do garderoby. Connie podniosła nogi i spódnica zjechała jej na biodra. Przyjemnie było odsłonić uda i wystawić je na delikatne podmuchy wiatru, ciepłe jak czyjś oddech. Zamknęła oczy.

- Nie powinnaś zatrudniać tego chłopaka - zauważył Nigel.

- Dlaczego?

- Nie wyjdzie z tego nic dobrego.

Słyszała, jak dyszy i sapie. Co wieczór robił w garderobie pięćdziesiąt pompek.

- Chcę mu tylko pomóc. Po tym, co zrobiłam, mogę mu zaproponować przynajmniej tyle.

- Macintyre mówi, że to nie była twoja wina. Nie jesteś mu nic winna.

Connie nie odpowiedziała. Przesunęła palcami po łydce i miękkiej skórze pod kolanem.

- Lepiej się w to nie mieszać, staruszek. „Staruszek”. Spuściła nogi na podłogę i wstała. Weszła

do garderoby i oparła się o futrynę drzwi. Drżące łokcie, cynobrowe policzki - Nigel zawzięcie „pompował”. Na jego skroni pojawiała się i znikwała sina żyłka.

- Posłuchaj, a jeśli on ma rację?

- Kto?

- Ten Fitzpayne. Co będzie, jeśli Japończycy przedrą się przez dżunglę od północy? Jesteśmy dokładnie na ich drodze.

- Nie ma na to szans... - Nigel z trudem wyprostował rękę. - Żadnych.

- Ale czy nie powinniśmy się przygotować? Na wszelki wypadek. Bo jeśli...

- Nie ma takiej potrzeby.

- Uważam, że...

- Nie panikuj.

Connie zagryzła język. Czekala, az maz skonczy cwiczyc. Boze, jak bardzo chcialo jej sie palic. Jak zawsze, kiedy byla zdenerwowana. Nigel w koncu skonczył i poszedł do łazienki, gdzie zaczął pluskać się i prychać jak hipopotam. Jak co wieczór. Kiedy wyszedł w jedwabnym szlafroku, wciąż na niego czekała. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Nie myśl o tym, Constance. Japończycy są tchórzliwi i nie mają ani jednego samolotu, który dorównałby naszym. Są bez szans i dobrze o tym wiedzą, dlatego nie ma się czy m denerwować. Tacy jak Johnnie znają się na rzeczy. A na takich jak Fitzpayne nie zwracaj uwagi. To tchórze bez kręgosłupa moralnego. - Poklepał ją po ramieniu, położył się i spuścił moskitierę, jak welon.

Connie przysiadła na brzegu łóżka.

- Ale powinniśmy być przygotowani.

- Na miłość boską, Constance. To zupełnie niemożliwe, ale nawet gdyby udało im się jakoś przedrzeć przez dżunglę i przejść przez góry, nie byłiby na tyle głupi, żeby robić krzywdę takim jak my. Potrzebują naszego kauczuku. Potrzebują mnie, bo beze mnie nie będą go mieli. - Dlatego... - Uśmiechnął się pocieszająco i poklepał poduszkę. -Kładź się i przestań się zamartwiać.

Connie poszła do swojej garderoby, rozebrała się, rzucając ubranie na podłogę, i krytycznym okiem przyjrzała się sobie nagiej w dużym lustrze.

- Ale nie potrzebują mnie - szepnęła. - Ani Teddy'ego.

- Chcę się z tobą kochać, Connie.

Linijki tekstu rozmazały się i rozlały. Pamiętała to nawet teraz, po dwóch latach. Czytała wtedy *Głęboki sen* Raymonda Chandlera. Sho zawiózł ją wysoko na wzgórze, kilometry od wszystkich i wszystkiego, co dotąd znała i widziała. Powietrze było tak czyste i chłodne, że z ulgi zakręciło jej

się w głowie. Siedzieli w cieniu, na trawie, i czytali, opierając się o siebie plecami, jak dwie podpórki. „Chcę się z tobą kochać, Connie”.

Odłożyła książkę i pocałowała go w usta. Powoli rozpięła mu białą koszulę i pocałowała go w serce. Pieściła rękami jego pierś, dotykając każdego mięśnia, każdego żebra, każdej wypukłości. Tak szybko oddychał. Jego skóra smakowała jak grzanka z cynamonem.

Kochali się na otwartym powietrzu, czego nigdy dotąd nie robiła, i towarzyszyło im tylko odległe pohukiwanie gibona i granie świerszczy. Było niesamowicie. W uszach dudniła krew, ciało, ręce i nogi, prężyło się z oddaniem jak ciało wylegującej się na słońcu kotki. Wiedziała, że skoczyła w przepaść, ale zamiast spaść, płynęła w powietrzu.

Kiedy się obudziła, było już ciemno, ale przynajmniej przestało padać. Krople deszczu kapały z drzew jak łzy. Leżała na plecach i wspominała. Raz, kiedy leżeli nago na łóżku w pokoju hotelowym w Kuala Lumpur, śmiejąc się i wrzucając sobie do ust maleńkie dzikie truskawki, Sho pomalował różowym sokiem jej sutek i spytał:

- Kiedy twój mąż tak cię ostatnio tulił? - Objął ją i przesunął palcami po jej łopatkach i biodrach.

- Lata temu.

Sho pochylił głowę, polizał jej sutek i jęknęła.

- A kiedy ostatni raz się z nim kochałaś?

- Jeszcze dawniej.

Dokładnie przed czterema laty i trzema miesiącami. Wytężyła wzrok, by odnaleźć w ciemności zarys jego ciała. W pierwszych miesiącach małżeństwa wszystko układało się normalnie, to znaczy tak, jak w jej wyobraźni było między innymi nowożeńcami: pocałunek na dobranoc w dni powszednie - potem Nigel gasił światło - a w sobotę i niedzielę seks. Wmawiała sobie, że mąż bardzo cięż-

ko pracuje. Że w tygodniu jest za bardzo zmęczony. Że to normalne. Ale potem Harriet Court opowiedziała jej o swoim spokojnym, poważnym i tyjącym już mężu, który potrafił napastować ją w sypialni kilka razy w ciągu jednej nocy - „jest nienasycony”, tak mówiła - i Connie zaczęła zastanawiać się, czy ich normalność jest rzeczywiście normalna. Po narodzinach Teddy'ego Nigel nie dotknął jej przez rok, a kiedy wreszcie dotknął, zrobił to tylko dlatego, że go sprowokowała. Zasugerowała mu, że może warto by się postarać o drugie dziecko, i znowu się nią zainteresował, ale seks był taki jakiś od niechcienia. Szybki. Bez pieszczot. Bez pocałunków w usta. Bez lizania sutków. Uśmiechała się wtedy i całowała go w policzek, ale w środku krzyczała.

Z jakichś powodów nie mogła zajść w ciążę i co miesiąc, kiedy pojawiały się zdradzieckie plamy okresu, mąż patrzył na nią tak, jakby ktoś dźgnął go nożem w brzuch.

- Przykro mi - mówiła. Bo naprawdę było jej przykro. Za nich oboje.

- Nie szkodzi, staruszko. Następnym razem.

Ale oczy miał mętne, a usta zaciśnięte jak Teddy, kiedy powstrzymywał płacz. W końcu stracił nadzieję. I przestał próbować. Zostawiał ją samą na jej stronie łóżka, grzecznie odtrącając jej zaloty. To właśnie wtedy prześcieradło pękło na pół, to właśnie wtedy rozdarła je przepaść. Przepaść, która stale się powiększała. Noc po nocy, rok po roku. Zaczęła nienawidzić łóżka, bo było miejscem... Bolesnie ścisnęło ją w gardle. Miejscem jej porażki. Miejscem frustracji. Samotnią. Mogła wybierać i przebierać. Bywało, że spędzała noc na werandzie, czytając do świtu książkę i walcząc z moskitami. Nigel ani razu nie spytał, gdzie była. Czasem zastanawiała się, czy w ogóle zauważył jej brak.

Przewróciła się na bok, twarzą do pleców męża, wsłuchując się w jego spokojny oddech i szmer wiatru pieszczącego liście erytryny. Długo leżała z otwartymi oczami.

Potem przysunęła się bliżej i delikatnie przyłgnęła do jego ciała, obejmując go w pasie i przytulając się na łyżeczkę. Ani drgnął. Oddychał tak samo jak przedtem. Ale była pewna, że nie śpi i, co gorsze, że wie, że ona to wyczuwa.

Leżała tak bez ruchu przez pół godziny, pieszcząc oddechem jego kark i wdychając jego zapach. Kiedy w końcu wróciła na swoją stronę łóżka, nie wydał żadnego dźwięku. W sypialni panowała grobowa cisza.

## ROZDZIAŁ 8

Pływanie jest jak płacz. Wszystko wypłukuje. Woda w otwartym basenie w Victoria Club nie była zimna, ale trochę chłodziła skórę, a kiedy skóra była chłodna, Connie mogła lepiej myśleć. Tak, musiała pomyśleć. Opracować plan ratowania syna przed nadchodzącą wojną. Skoro jej mąż był na tyle uparty, na tyle krnąbrny, by nie dopuszczać do siebie myśli, że Japończycy mogą najechać ten kraj, będzie musiała zrobić to sama.

Przewróciła się na plecy i kraulem na grzbiecie przepłynęła jeszcze dziesięć długości basenu.

- Connie - krzyknęła Harriet - zamierzasz wyjść dzisiaj z wody?

Niebo było jak wielkie bezbarwne prześcieradło. Wyglądało tak, jakby spiekło się na słońcu i jakby po oparzeniach pozostała błyszcząca biała blizna. Connie zamknęła oczy, by go nie widzieć, i zaliczyła kolejne dwadzieścia basenów.

- Connie! Jeśli natychmiast nie wyjdiesz, skurczysz się jak zwiędłe warzywo!

Nie. Ona wiedła dopiero po wyjściu z wody. Czy Harriet tego nie widziała?

Lubiła ją za jej śmiech. Był głośny i skrzekliwy jak rechot czarownicy - gdy Harriet się śmiała, cichły rozmowy, a ona zawsze chichotała. Miała ciemne włosy i strzygła się



na pazia. Jej mocno zarysowana męska twarz wyraźnie kontrastowała z rozmarzonymi brązowymi oczami i delikatnym podbródkiem, który często podpierała ręką, jakby głowa i jej zawartość były za ciężkie dla szyi.

- No to mów, zdradź mi wszystkie tajemnice - powiedziała, kiedy Connie wreszcie dołączyła do niej w cieniu na werandzie. Czekala na nią szklanka lemoniady z lodem, ale ona przywołała służącego i zamówiła dwie kawy. - Pewien mały ptaszek z podkreconymi wąsikami - ciągnęła Harriet - powiedział mi, że do miasta zawitał nasz wspaniały porucznik pilot Blake i nie skinąwszy nawet inną głową, od razu poleciał do domu państwa Hadleyów. - Uśmiechnęła się promiennie. - Ciekawe dlaczego.

- Powiedz swojemu wujowi Jasperowi, że wszystko mu się pomyliło. Johnnie przyjechał tu ze znajomym z Kuala Lumpur i Nigel zaprosił ich na lunch.

- Naprawdę?

- Jak Bożę kocham.

- No dobrze, wierzę. - Harriet nachyliła się ku niej z zaciekawionymi oczami. - Dalej jest taki przystojny?

- Jeszcze przystojniejszy!

Roześmiały się i zaczęły omawiać szczegóły kolejnej akcji charytatywnej: organizowały bal połączony ze zbiórką pieniędzy na zakup bombowca dla Brytyjskich Sił Zbrojnych. Wszystkie kolonialne żony włączały się w tego rodzaju imprezy. Czuły wtedy, że uczestniczą w wysiłku wojennym, tak jak ich zapracowani mężowie, którzy zaopatrywali brytyjską armię w kauczuk, cynę i ryż. Mieszkali tysiące kilometrów od kraju, ale patriotyzm nosiło się tu z wielką dumą, jak medal na piersi.

- Elspeth Saunders organizuje loterię fantową - przypomniała jej Harriet.

Obie przewróciły oczami.

Elspeth wyglądała jak filigranowy chochlik i miała tyle dzieci, że nie wiedziała, co z nimi robić. Była matką Jacka, najlepszego przyjaciela Teddy'ego, i jego sześciorga braci

i sióstr. Zawsze chciała prowadzić loterię, ale ponieważ szybko się nudziła, zostawiała nagrody na kuchennym stole, gdzie rozprawiły się z nimi labradory.

Obie jęknęły i Connie wykorzystała tę chwilę, żeby przemycić szybkie pytanie.

- Harriet, co Henry mówi o wojnie? - Henry Court, mąż przyjaciółki, był ważnym, wysoko wykwalifikowanym księgowym i ciągle przesiadywał w zadymionych gabinetach na naradach z kolonialną wierchuszką. - Na pewno coś wie.

- O wojnie w Europie?

- Nie. Tutaj, na Malajach. Uważa, że do niej dojdzie?

- Boże drogi, ależ skąd! - Harriet rozszerzył się nos i Connie przypomniał się jej koń, który robił tak, ilekroć zarywał kopytami przed przeszkodą. - Co to za absurd?!

- Myślisz?

- Skąd ten pomysł? Johnnie coś wam powiedział?

- Nie. Przeciwnie. Powiedział, że Malajów broni trzysta trzydzieści pięć najlepszych samolotów. I że Japończycy się nie odważą.

- No właśnie, on wie najlepiej. Ciągle przesiaduje na naradach w najwyższym dowództwie. Henry mówi, że to niemożliwe. Singapur jest za dobrze chroniony, a pozostałą część półwyspu nieustannie patrolują samoloty RAF-u.

- Tak mówi?

- Przestań. Generał Brooke-Popham i generał Percival wiedzą, co robią. Nie bądź taka ponura. Japończycy nigdy nie przedrą się przez dżunglę.

- Johnnie przyprowadził znajomego, który uważa inaczej.

- To powiedz mu, że plecie bzdury - prychnęła Harriet.

Connie chciała jej wierzyć. Może Henry zdradził jej więcej, niż powiedziała? Podano kawę i piła ją w zamyśleniu, patrząc na drobną Malajkę na drugim końcu werandy. Dziewczyna polerowała mosiężne okucia kufra, w którym

przechowywano stroje na bale przebierańców. Łatwo było zauważyć, że to dzięki armii tubylców klub tak sprawnie funkcjonuje.

- Wszyscy mówią, że Japończycy są tchórzliwi i niezdyscyplinowani. A ja uważam, że to nieprawda.

- Ale dlaczego?

- Zajęli już Koreę, Mandzurię i prawie całe Chiny. Gdyby nie byli karni i dobrze uzbrojeni, jak by to zrobili?

Harriet rozdziawiła usta.

- Connie, czyś ty oszalała? Gwarantuję ci, że uciekną z podwiniętym ogonem, kiedy tylko usłyszą pierwsze wystrzały naszych.

- Mają potężną armię.

- Kto ci to powiedział?

- Nie wiem. Ktoś.

- To powiedz mu, że się myli. Poza tym wszyscy wiedzą, że Japończycy są fatalnymi pilotami. Nie mają zmysłu równowagi, bo matki nosiły ich na plecach, kiedy byli dziećmi. Okropny zwyczaj.

Connie wzięła ze stolika ciemne okulary i włożyła je, chociaż siedziały w cieniu. Nie chciała, żeby Harriet widziała jej oczy. Bo wspominała. Sho skaczącego z kamienia na kamień w płynącej leśną doliną rzece. W wilgotnym, zielonkawym powietrzu jego ręce i nogi były złociste, pokryte cętkami światła. Skakał jak latająca ryba, lekko i bez najmniejszego wysiłku. Miał świetny zmysł równowagi. Wprost znakomity. Dotarłszy na drugi brzeg, zerwał z drzewa kolczasty owoc durianu i - znowu po kamieniach - wrócił z powrotem. Ukląkł, nisko pochylił głowę i podarował jej cuchnący durian jak klucze do swojego królestwa. Pamiętała jego oddech na swoich stopach, ciepły dotyk jego włosów, gdy ukucnęła i przeczesła je ręką.

Ale jego żywiołem była ziemia, nie powietrze, zawsze tak uważała. Nie wiedziała dlaczego. Może miało to coś wspólnego z tym, jak przewracał ją na czerwoną ziemię, na twardą podłogę albo na matę tatami w ich leśnej chatce.

Jej plecy były mozaiką drobnych skaleczeń, zadrapań i śladów po ugryzieniach owadów. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, Nigel nigdy ich nie widział.

- Myślę, że to my przeżyjemy szok - powiedziała. Wstała i przeszła na drugi koniec werandy, gdzie Ma-

lajka czyściła na kolanach mosiężny stolik. Jej ciemne ręce błyszczały od potu. Klęczała tyłem do nich.

- Maya? To ty, prawda?

Dziewczyna podniosła wzrok. Oczy miała czujne i nieufne. Ale nie zaskoczone. A więc wiedziała, że to ona tam siedzi.

- Tak, *mem* - odrzekła. W białym nijakim uniformie, z włosami upiętymi w przyozdobiony kwiatem kok robiła wrażenie starszej niż wtedy, miała w sobie mniej z dziecka. Mówiła głosem cichym i spokojnym, bez cienia gniewu, którego Connie tak bardzo się obawiała.

- A więc jednak dostałaś pracę.

- Tak, *mem*. Dziękuję. - Dziewczyna wciąż klęczała. Connie pociągnęła za odpowiednie sznurki, żeby przez

dwa dni w tygodniu Maya mogła pracować w klubie. Zapadło milczenie, cisza gęsta jak rzeczny muł, i dziewczyna znowu spuściła wzrok. Na jej włosach usiadła tłusta mucha i Connie odpędziła ją ruchem ręki. Rozmawiała z Mayą pierwszy raz od dnia wypadku i czuła, jak coś przygniata jej piersi. Ich pośrednikiem był Razak, ale teraz uświadomiła sobie, że powinna była wcześniej stawić czoło córce Su-Rai Jumat.

- Mayu - powiedziała - tak mi przykro. *Maaf*. Dziewczyna wymamrotała coś po malajsku, ale nie

podniosła głowy. Tylko mocniej ścisnęła szmatkę do polerowania. Długo tkwiły tak bez ruchu. Connie zdawała sobie sprawę, że obserwuje je zaintrygowana Harriet, docierał do niej szum wentylatora, który grzechotał jak kościotrup w metalowej beczce.

- Posłuchaj - powiedziała w końcu - przydałaby mi się twoja pomoc. Masz czas po południu?

Nareszcie. Podniosła oczy. Bardzo ostrożnie.

- Zapłacę ci - dodała Connie.

Kąciki małych ust podjechały do góry, ale oczy wciąż były smutne.

- Tak. Pomogę pani.

- Dziękuję. - Connie położyła rękę na jej ramieniu i przez cienką białą bawełnę poczuła ciepło jej ciała.

Maya była zdenerwowana. Podążała nieśmiało dwa kroki za *mem* Hadley, aż weszła do sklepu kolonialnego przy Marlborough Street. Weszła? Może ona, ale nie *mem* Hadley. Nie, ta biała pani o jasnych włosach i cerze jak kość słoniowa nie chodziła. Maya obserwowała każdy jej krok, to, w jaki sposób obejmowała w posiadanie każdy skrawek ziemi, na którym postawiła nogę i który - tak to wyglądało - położono tam specjalnie dla niej. Powietrze rozstępowało się przed nią i opadało jak wilgotna kurtyna, odcinając ją od innych. Była taka niedostępna. Maya zmrużyła oczy. Taka tajemnicza.

- Zaczekaj tu.

Więc zaczekała. Oparła się o półkę, wyjęła spinki, potrząsnęła głową i włosy otuliły jej twarz jak czarny welon. Kiedy ostatnim razem była w tym sklepie, wrzucono ją do brudnego rynsztoka, bo próbowała ukraść garść ryżu. Cofnęła się za stos puszek i popatrzyła na naklejki: brzoskwinie. Jaki głupiec jadłby oszukane brzoskwinie, skoro na targu codziennie można było kupić prawdziwe, świeże?

Obserwowała *mem* Hadley. Studiowała jej gesty. Przyglądała się sztywno wyprostowanym plecocom, długiej szyi. Temu, jak uśmiechała się do wąsacza za ladą. Był w brązowym kombinezonie z guzikami jak rząd czarnych oczu. Ta jej pewność siebie. Czula się tu jak ryba w wodzie. Wskazała sprzedawcy worek mąki i worek ryżu.

- Dostarczyć do domu, szanowna pani?

- Nie, dziękuję, panie Endicott. Jestem samochodem. I jeszcze to. -  
Podała mu listę.

Z radości aż wydał policzki, jakby wypchał je swoimi brzoskwiniami.

- Oczywiście. Zechce pani na chwilę spocząć? Może napije się pani herbaty? Mój pomocnik mógłby przywieźć zakupy furgonetką, gdyby...

Ale ona tylko pokręciła głową. Z miłym, lecz stanowczym uśmiechem wysłała go między półki. Idąc, zerknął na Mayę, ale chyba jej nie widział, bo w głowie miał tylko dolary. Zdejmował z półek torby i kartony, po czym układał je na ladzie; głośno sapnął, kiedy musiał wejść na drabinę, by dosięgnąć pudełka świec.

Maya nie umiała czytać, ale rozumiała obrazki. Krowy na kwadratowych puszkach i świnie na okrągłych. To były puszkki z mięsem. Obrazki herbacianych liści, ziarenek kawy i łyżeczek pełnych cukru na torebkach, obrazki ciasteczek na kolorowych pudełkach. Patrzyła, jak sprzedawca dokłada do stosu słoiki, butelki i zapałki, jak rzuca na ladę worki suszonej fasoli i wielki kawał soli. Ilekroć przynosił coś nowego, *mem* Hadley z zadowoleniem kiwała głową.

Co ona robiła? Czy było tak jak z tym warzywnikiem? Kupowała o wiele więcej, niż potrzebowała, i była tak głupia, że o tym nie wiedziała?

- Chodź tu, Mayu. Podeszła bliżej.

- Wybierz któryś dla siebie.

Maya spojrzała na nią pustym wzrokiem. O co jej chodziło?

- Ja wezmę zielony, dla Teddy'ego - ciągnęła ze śmiechem *mem* Hadley. - To jego ulubione.

Trzymała pod pachą duży szklany słoje pełny podłużnych kolorowych kryształków. Maya stała nieruchomo, nie wiedząc, co robić.

*Mem* Hadley włożyła do słoja rękę i wyjęła zielony kryształek w błyszczącym papierku.

- Widzisz? Ten jest miętowy. Mają różne smaki. Który byś chciała?  
Uśmiechała się zachęcająco, czekając na jej reakcję. I nagle Maya zrozumiała. *Mem* Hadley chciała dać jej kolorowy kryształek za śmierć matki. Bolało ją, że nie może splunąć na te piękne białe stopy w pięknych białych bucikach.

Włożyła palce do słoja i wyjęła pierwszy lepszy kryształek. Był czerwony.

- *Terimah kasih*. Dziękuję, *mem*.

- Ten jest o smaku czarnej porzeczki.

Maya spojrzała na kryształek. I co teraz? Co miała z nim zrobić? Wepchnąć go jej do gardła?

- To lizak.

- Lizak.

- Coś w rodzaju cukierka - odpowiedziała łagodnie *mem* Hadley. - Będzie ci smakował. Te żółte są bananowe, te pomarańczowe brzoskwińowe, ten w paski ma smak arbuza, a ten... - Urwała i spojrzała na nią. - To nic takiego, Mayu, to tylko słodczyce.

Maya kiwnęła głową. Ukryła twarz za włosami, jeszcze raz włożyła rękę do słoja i wyjęła kryształek w paski.

- Dla Razaka.

- Oczywiście.

Sprzedawca w kombinezonie z rzędem guzików stanął przed nimi i pogłaskał wąsy jak brązowa mysz.

- Czy to wszystko, szanowna pani?

Biła z niego chciwość. Chciwość, chciwość, chciwość.

- Tak, dziękuję. Proszę dopisać to do mojego rachunku.

- Zaparkowała pani przed sklepem?

- Tak.

- Chłopcze!

Z zaplecza wyszedł młody Malaj z miotłą. Zignorował Mayę i uśmiechnął się wstydliwie do *mem*.

- Załaduj to - rozkazała brązowa mysz.

- Poniosę kryształki, *mem* - zaoferowała się Maya.

Ze słojem jak z dzieckiem pod pachą wyszła ze sklepu, biała pani przodem, ona za nią.

Siedziała obok syce Ho Bah. Ho Bah był Chińczykiem o kościstej twarzy i siwych włosach jak ptasie gniazdo, które ukrywał pod szoferską czapką. Zielony uniform wisiał na nim jak na wieszaku, jakby jego właściciel zamierzał kiedyś przytyć. Nie odzywał się do niej. Ani na nią nie patrzył. Zaszurała zakurzonymi sandałami i wytarła je w czyściutką matę pod nogami, mimo to nawet na nią nie zerknął. Miał ochotę ją skrzyczeć i z trudem się powstrzymał, drgnął mu tylko mięsień przy oku.

Samochód był amerykański. Wielki i krzykliwy jak wszyscy Amerykanie. Miał błyszczące chromowane klamki i długi stanowczy nos. Ale ona знаła jego tajemnicę. Wiedziała, że potrafi zabijać. Dobrze ukrywał pazury, ale słyszała jego tygrysi warkot, tak jak słyszała go ich matka. Po cichu wcisnęła rękę między siedzenie a drzwiczki i zatopiała paznokcie w płową tkaninę, żeby drapać go i ranić.

Jeździła już samochodem. Kiedyś. W czasach, kiedy matka raz po raz ją sprzedawała. Czasem jeździła z białymi, czasem z czarnymi. Nie robiło jej to żadnej różnicy. Bez ubrania i po ciemku wszyscy mężczyźni są tacy sami. I tego samego chcą. Niektórzy robili jej to w samochodzie, przy syce, który przyglądał się im w lusterku. Ogarnięta paniką drgnęła i zerknęła na chińskiego szofera, ale nie, tego nie znała. Miała dobrą pamięć do twarzy.

Sunęli ulicami Paluru i przyjemnie było patrzeć, jak ludzie odwracają głowę, by spojrzeć na cicho mruczący czarny samochód. Ale zamiast pojechać drogą na północ, na plantację Hadleyów, gdzie myślała, że jadą, z zaskoczeniem stwierdziła, że zostawiając za sobą szerokie aleje i ceglane domy, skręcają w labirynt wąskich uliczek prowadzących na nabrzeże. Spojrzała przez ramię. Biała pani



siedziała z tyłu wśród worków i pudełek, odkreślając coś na swojej liście. W pewnej chwili z ołówkiem nad kartką, zamyślona zerknęła w okno. Maya poszła za jej wzrokiem. Biała pani patrzyła na ruchliwą wstęgę brązowej wody, którą było widać za magazynami. Na rzekę. Dlaczego tam jechali? Na nabrzeże, do ich blaszanego miasteczka? Po co?

I nagle wszystko zrozumiała. Było oczywiste, że ta *mem*, ta biała pani, morderczyni matki, chciała im pomóc. Dając wszystko to, co było w samochodzie. Wyobraziła sobie góry pudełek i mięsa w puszkach w bagażniku, worki mąki i ryżu na tylnym siedzeniu, świece i ciasteczka na fotelu. Uśmiechnęła się, nie mogła się powstrzymać. Ona i Rzak będą urzędzeni na wiele miesięcy. Ale kiedy wyjdą z domu, któryś z miejscowych uliczników będzie musiał tego popilnować. Tak, zapłaci mu słodkimi kryształkami. Bo gdyby ktoś się dowiedział, co mają w chacie...

Drogę zajechała im riksza, a na wąskiej drodze do torów i miasteczka wyrósł tłum kulisów z ratanowymi koszami na plecach. Chciała na nich krzyknąć. Chciała kazać kościstemu Chińczykowi zatrąbić klaksonem. Nabrzeże kipiało ruchem i zobaczyła wielki statek handlowy z czerwonymi kominami i dźwigami, które rozładowały towary. Powietrze drżało z gorąca i potu, cuchnęło rzeką. Maya niecierpliwie pochyliła się do przodu, chcąc, by samochód jechał szybciej. W tym samym momencie w tłumie po lewej stronie dostrzegła przejście i już miała wskazać je szoferowi, ale on zamiast w lewo, skręcił w prawo.

- Nie! - tchnęła. - Nie!

*Syce* spojrzał na nią, pierwszy raz, a jego ciemne oczy były jak przepełnione odrazą szparki.

- Milcz, ulicznico - mruknął. Maya odwróciła się.

- *Mem* - krzyknęła - gdzie my jedziemy?

Biała pani podniosła wzrok znad kartki i spojrzała na nią tak, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o jej istnieniu.

- Do portu. Zobaczysz nasz jacht, „Białą Perłę”.

## R O Z D Z I A Ł 9

- Kurwa!

Piła ześlizgnęła się na palce.

- Kurwa mać! - zaklął znowu Madoc na widok zakrwawionych kłykci. Krew pobrudziła drewno, kapiała na ziemię.

Natychmiast zaroiło się od czarnych much. Tu, w dżungli, skaleczenia nie chciały się goić, zakażenie wdawało się bez względu na to, jaką ilością jodyny je się polało. Madoc robił ramy okienne do nowego kasyna, które budował obok baru, i właśnie przycinał drewno na kwadratowym kawałku ubitej ziemi między barem i pomostem. W powietrzu unosił się zapach trocin i przypomniało mu się dzieciństwo, ojciec piłujący na podwórzu wielkie bale. Krok dalej Kitty wygładzała drewno papierem ściernym. Kiedy wyprostowała się, by obejrzeć skaleczenie, między jej obfitymi piersiami zobaczył jeziorko potu, które błyszczało tam jak spodeczek gęstego mleka.

- O Chryste! - jęknęła. - Chodź. - Chwyliła go za nadgarstek i mocno ścisnęła wystrzępione brzegi rany. - Do domu.

Zaprowadziła go do kuchni, zostawiła go z ręką w zlewie i poszła po środek odkażający i bandaż. Kiedy skończyła robotę, dłoń była owinięta białą gazą, a w pustym żołądku paliło go od brandy, którą w niego wlała.

- Teraz lepiej? - spytała, przyglądając mu się z rękami na szerokich biodrach.

- O wiele.
- Na dzisiaj koniec z piłowaniem.
- Muszę skończyć okna, bo...
- Koniec z piłowaniem - powtórzyła bez uśmiechu.
- Kurwa!

Podeszła do niego tak blisko, że poczuł ostry zapach jej potu. Delikatnie poklepała go po policzku.

- Z kurwami też, tygrysie.

Roześmiał się i pocałował ją mocno w usta.

- To zrób mi coś na śniadanie, a potem pojedę do miasta.

Odsunęła się od niego i zmarszczyła czoło.

- Po co?
- Mam coś do załatwienia.

O nic nie spytała, chociaż uniosła brwi, dając mu do zrozumienia, że tego nie pochwała. Odwróciła się do płyty.

- Jajka?
- Dzięki.

Była jedną z nielicznych kobiet, które wiedziały, kiedy się zamknąć.

- Dokończę za ciebie - rzuciła, wbijając jajka do miseczki.
- Nie trzeba. Jutro będę już mógł pracować. Wzruszyła mięsistymi ramionami.

Wiedział, że po jego wyjeździe Kitty i tak pójdzie piłować. Kiedy postawiła patelnię na płycie, podszedł do niej i pocałował ją w szyję. Miała skórę kobiety, która za długo mieszkała w tropikach, ale on taką uwielbiał, bo była miękka i sprężysta jak skórka brzoskwini. Pobrali się przed dwudziestu pięciu laty, a on wciąż pragnął ją dotykać.

- Przywieźć ci coś? - spytał.
- Tak. Sól.

Sól była w tropikach niezbędna jak powietrze.

- Przywiozę.

Spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Pilnuj się tam, Madoc. W mieście.

Kiwnął głową. To wystarczyło.

W grudniu Kitty kończyła pięćdziesiąt lat; była sześć lat starsza od niego. Mogła mieć siwe jak gołąb włosy, kurze łapki wokół oczu i krzywe w kolanach nogi, mogła stracić dwa tylne zęby, ale nigdy nie straciła żelaznej woli. Wiele razy opatrywała mu rany i wyciągała go z aresztu. Piła z nim szampana ze złotego pucharu i jadła gorzką korę, kiedy nie było nic do jedzenia. Trwała przy nim zawsze i wszędzie.

Tak, będzie się pilnował. Przecież musiał zbudować dla niej kasyno.

Łódź pyrkotała w dół rzeki i woda przesuwiała się jak brązowy cień. Wszystko spowijała szara mgła - jej palce wiły się wokół drzew, kradnąc znajome punkty orientacyjne. Łódź była zwykła, miejscowa, długa i wąska, ze stareń-kim silnikiem, ale zawsze dopływał nią tam, gdzie chciał, no i bardzo się przydawała, kiedy musiał zniknąć w jakimś przesmyku albo ukryć się na namorzynowych bagnach.

Dopiero świtało. Zawsze wcześniej wstawał, bo lubił zaczynać robotę przed wschodem słońca. Wtedy było naj-chłodniej. Ale dzisiaj nie myślał o oknach ani o drzwiach, dzisiaj wędrował myślami gdzie indziej. Durny głupiec. Dlatego poharatał się piłą.

Miał coś do załatwienia. W Tampangu, jedenaście kilometrów w dół rzeki. Na myśl o tym coś ożyło mu w brzuchu. Chryste, nie. Zachowuj się, Madoc. Załatw, co trzeba, i zabieraj tyłek z powrotem do domu. Sęk w tym, że ciągle było mu mało, że nie był tak do końca zadowolony ani ze swojego życia, ani z baru. Pragnął czegoś więcej. Ciągle więcej. Pokręcił głową, usiadł niżej i dostrzegł jakiś ruch w wodzie. Tuż obok przepływał gruby jak ramię wąż. Kusilo go, żeby wychylić się za burtę, schwytać bydlaka, zanim zanurkuje w mroczne głębiny, i zabrać go do domu na kolację, ale

w ostatniej chwili się opamiętał. Zabrał rękę i dodał gazu -stary silnik jęknął, narzekając, że za dużo, i łódź skoczyła do przodu. O tak, Kitty dobrze go znała. „Pilnuj się tam, Madoc”. Wiedziała, że niebezpieczeństwo kusi go i pociąga. Ze działa na niego jak czary.

Tampang był jak glut w błotnistej dżungli. Kiedy ś kopano tu cynę. Potem przestano. Złoża się wyczerpały i górnicy poszli dalej. Większość przyплыnęła tu z Chin i garstka została. Chińczycy to twardzi ludzie. Minęło kilka lat i ich blaszane chaty zniknęły, by ustąpić miejsca solidnym domom. Niektórzy pozakładali małe plantacje kauczukowców, inni handlowali ryżem, kawą, korzeniami i owocami, ananasami i papajami. Zaczęli ściągać tu ludzie w poszukiwaniu pracy i tak powstało coś, co niektórzy nazywali miastem. On wciąż nazywał to glutem.

Większość domów była drewniana, dokładnie w centrum stała drewniana, lecz bardzo ładna świątynia buddyjska. Szafranowe sarongi mieszkających w niej mnichów dodawały koloru głównej ulicy. Mieszankę uzupełniał meczet i sąsiadująca z nim dumna kaplica metodystów.

Hałaśliwi uliczni handlarze i straganiarze oferowali przechodniom dosłownie wszystko, od szpaków w klatce i kapeluszy z jaszczurczej skóry po zarysowaną płytę gramofonową z piosenką *Mad about the Boy* Noela Cowarda. Madoc odpędził natrętów, przeciął ulicę i wszedł do jedyne go w mieście hotelu: do Ritza. Ilekroć otwierał odrapane drzwi, nazwa ta wzbudzała w nim śmiech.

- Kąpiel - zażądał.

Szczupła malajska dziewczyna zaprowadziła go do łazienki, podała mu ręcznik, uciekła wzrokiem w bok i spytała:

- To wszystko?

- Wszystko - odparł stanowczo. Wypędził ją na korytarz klapsem w pupę i zamknął drzwi na klucz.

Malutką łazienkę powoli wypełniła para. Madoc rozebrał się i spojrzał na swoje zamglone odbicie w lustrze na ścianie. Im więcej miał lat, tym bardziej nie lubił tego robić, bo czuł się wtedy tak, jakby patrzył na swojego ojca. Średniego wzrostu i całkiem znośny dla oka, zawsze był szczupły i gibki. Szybki i zwinny jak chart, jednocześnie niepozorny, jak przeciętniak. Ludzie szybko zapominali, jak wygląda. Bardzo mu to odpowiadało.

Z westchnieniem rozkoszy zanurzył się w wodzie, zapalił cygaro i z obandażowaną ręką na brzegu wanny zaczął rozważać dostępne możliwości.

Zanim wyszedł na ulicę, miękką i rozleniwioną jak śpiące dziecko, słońce zdążyło już rozproszyć mgłę. Wszedł do zakładu fryzjerskiego i usiadł w fotelu.

- *Selamat datang* - powitał go z ukłonem malajski fryzjer. - Witaj.

Madoc wiedział, że facet jest gadułą, ale to mu nie przeszkadzało. To niesamowite, ile można dowiedzieć się w takich miejscach. Młody hinduski pomocnik fryzjera owinął mu twarz wilgotnym ręcznikiem i kiedy spotkali się wzrokiem, pytająco uniósł brew. Madoc lekko skinął głową.

- Aj, nic, tylko kłopoty i *kłopoty* - jęknął golibroda i zaczął wprawnie wywijać brzytwą. - Dziki słoń stratował wczoraj kukurydzę mojej żony. A tydzień temu łódź jej brata uprowadzili piraci z Sumatry. - Splunął na czystą podłogę. - Piraci to przekleństwo mórz.

Madoc stłumił śmiech.

- To nie słoń ani piratami powinniście się teraz martwić. Nawet oni dadzą nogę przed Japońcami.

- Japońce nie przyjdą - odparł fryzjer z szerokim uśmiechem. - Jesteśmy Anglikami.

- Obyś miał rację.

- Mam, zobaczysz.

Hindus gadał tak, dopóki nie skończył pracy i nie zniknął za bambusową zasłoną, by przynieść bezcenne zdjęcie swojego nowego wnuczka z Penangu. Kiedy tylko zasłona opadła, jego pomocnik podwinął fartuch i wyjął zza pasa pistolet. Madoc od razu go rozpoznał: była to rosyjska tetetka, TT-33, samopowtarzalny pistolet Tokariewa. W całkiem dobrym stanie.

Nie pytał, skąd Hindus go ma, tylko sięgnął do głębokiej kieszeni i położył na jego dłoni pięć dolarów. Transakcja trwała sekundę i przeprowadzili ją bez słowa, tak że kiedy fryzjer wrócił, jego klient siedział już wygodnie w fotelu, przygotowując się na podziwianie wnuczka i na obowiązkową kąpiel w płynie po goleniu. Chryste, jak ten płyn śmierdział.

- Madoc, cuchniesz burdelem!

Madoc wybuchnął śmiechem. Siedział przy stoliku w barze, pijąc z jego właścicielem. Andrew Tarrow był starym kutwą, ale wiedział, gdzie szukać dobrych dziewczyn i miał niezłą brandy. Jako jeden z białych, którzy się zasymilowali, chodził w sarongu i żył z malajskimi dziewczynami o błyszczących czarnych włosach i wąskich biodrach.

- Wszystkie są do siebie podobne - mawiała Kitty. - Nie zauważa nawet, kiedy jedna odchodzi, a druga przychodzi.

Madoc wiedział jednak, że to nieprawda. Ilekroć widział, że ten Szkot zakochuje się w kolejnej czarnookiej laleczce, zawsze go ostrzegał. Ale zawsze było tak samo. Dziewczyny zabierały mu, co tylko mogły, i jechały dalej. Dlatego, aby zarobić na życie, Tarrow musiał ciągle harować w barze zamiast wycofać się z interesu i leżeć do góry brzuchem na wypchanym forsą materacu. Nie on jeden

tak na tym wyszedł. Na Malajach roilo się od jemu podobnych.

Bar tonął w półmroku, bo na dworze panował upał i żaluzje były opuszczone. Muchy brzęczały monotennie zbyt ociężałe, by unikać packi, z którą Tarrow się nie rozstawał.

- Znalazłeś te dwie? - spytał Madoc, przechodząc do interesów.

- Tak. Mam dla ciebie cztery, będziesz mógł wybrać.

- Ile?

Tarrow uśmiechnął się cierpliwie.

- Zaczekaj, aż je zobaczysz. Wtedy dobijemy *targu*.

- Dobrze?

- Mmm.

Madoc z trzaskiem położył na stole dwudziestodolarowy banknot.

- Na zaliczkę.

Banknot zniknął w kieszeni Tarrowsa, zanim jakkolwiek mucha zdążyła na nim usiąść, a nawet tylko o tym pomyśleć. Madoc chciał zainwestować w dwie nowe dziewczyny do swojego baru. Wojskowi ciągle przenosili się z miejsca na miejsce i interes szedł całkiem dobrze. Dopił brandy i chciał już wyjść, ale wtedy Tarrow odchrząknął. Madoc spojrzał na jego zaciśnięte usta.

- O co chodzi, Andre w?

- O Buli Chana.

- To znaczy?

- Jest w mieście.

- No i?

- Szuka cię.

Madoc poczuł, że zaraz dostanie rozwolnienia. Wstał.

- Dzięki za ostrzeżenie.

- Co my zrobimy, Madoc?

- A propos Buli Chana?

- Nie. - Tarrow ze smutkiem pokręcił głową. - Co zrobimy, jeśli przyjdą tu ci przekłeci *Japończycy*. *Zmasakrują*



nas, wszystkich razem i każdego z osobna, tak jak w Chinach.

- Nie, trzeba się tylko zabezpieczyć.

- Zabezpieczyć? O czym ty gadasz?

- O tym, że nie zamierzam tracić wszystkiego, co odłożyłem dla siebie i Kitty.

- Niby jak ich powstrzymasz, jeśli zechcą spalić ci bar? Madoc odsunął kopniakiem krzesło.

- Będę go bronił i chronił. W jedyny sposób, jaki znam.

Tym razem nie było czasu na łażenie po mieście -musiał jak najszybciej wyjechać. Kupił sól dla Kitty, ale unikał głównej ulicy, trzymając się bocznych, tych prowadzących do rzeki. Teraz schodził szybko drewnianymi schodami na molo, pod którym ukrył łódź. Im szybciej odpali silnik, tym lepiej. Rwała go ręka, jakby uszkodzone zakończenia nerwów tańczyły w parze z pulsującym w gardle strachem. Jeszcze cztery stopnie. Słońce błysnęło w leniwej rzece jak ostrzegawcza raca. Alarm podniósł ptak tok-tok.

Cios wyrzucił go w powietrze i zwałił ze schodów. Ziemia huknęła go w twarz, ale z wieloletniego doświadczenia wiedział, że nie wolno się teraz zatrzymywać. Przetoczył się, ukląkł na jedno kolano i oberwał z buta w gębę. Coś trzasnęło. Poczul w ustach smak krwi. Oczy zasły mu mgłą.

- Madoc!

Czyjś ostry głos. Chrapliwy jak agonalne rżenie. Natychmiast go rozpoznał. Należał do człowieka, którego próbował uniknąć: do Buli Chana. Niski, przysadzisty i o szerokiej piersi Chan był szefem miejscowego odłamu chińskiej triady. Madoc zadarł z nim kiedyś i ledwo uszedł z tego z życiem. Chan stał teraz na ostatnim stopniu schodów z pistoletem w ręku. Część mózgu Madoca, ta głupsza, zarejestrowała, że jest to samopowtarzalny mauser

HSc, natomiast ta mądrzejsza zauważyła, że lufa pistoletu jest wycelowana prosto w jego serce.

Z trudem wstał. Po jego prawej i lewej stronie stało dwóch chińskich zbirów, każdy z metalowym prętem w ręku. Madoc ciężko oddychał. Potylicą bolała go tak bardzo, jakby mu ją rozłupali, mimo to zmusił się do uśmiechu.

- Buli Chan, jaka miła niespodzianka. Słyszałem, że przeniosłeś się do Kuala Lumpur. I przejąłeś teren Han Tu. - Podniósł z trawy torebkę soli i odwrócił się, by odejść. - Nie zwracaj na mnie uwagi, właśnie miałem odpływać.

- Madoc!

Na jego ramię spadł metalowy pręt. Chryste! Sparaliżowało mu pół twarzy.

- Chan, zabierz ode mnie tych zasrańców!

- To jest moja rzeka.

- Jasne.

- Trzymaj się od niej z daleka.

- Ale o co ci chodzi? Ja nic nie robię. Tyle krzyku o parę kilo opium? Robię to tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy. Nigdy nie wkraczam na twój teren.

Spojrzenie małych oczek Chana bolało jak ukąszenie osy. Madoc kłamał i obydwaj o tym wiedzieli. Buli Chan podniósł pistolet trzy centymetry wyżej i lufa mierzyła teraz dokładnie w środek jego czoła.

- Masz tam gówno zamiast mózgu. Jesteś jak śmierdzący szczur, który zżera własny ogon.

- I tu się mylisz.

- Wiem, że przemycasz broń.

- Nieprawda.

- Niemieckie karabiny. W górę rzeki.

- Nie.

- Gębę masz jak psia dupa, srasz kłamstwami.

- Ktoś ci nagadał bzdur... - Madoc sięgnął do pasa po pistolet.

Buli Chan kopnął go jeszcze raz. But trafił w krocze. Ból przebiegł przez ciało i eksplodował w mózgu. Madoc upadł na kolana i na oślepił zamachnął się pistoletem. Wnętrznosci ścisnął mu strach, zimny jak dotyk ręki trupa.

- Już po tobie, Madoc.

Opadły metalowe pręty. Kitty, chyba się nie pilnowałem.

## ROZDZIAŁ 10

Nigdy.

Maya spojrzała na wąski trap i na wirującą pod nim oleistą rzekę, która długimi jęzorami brudnej piany lizała podpory mola. Jakby chciała się do niej dobrać.

Nigdy w życiu.

Z zachodu powiał silniejszy wiatr i fale urosły jeszcze bardziej. Kołysały łodziami, targały trapem w górę i w dół, do przodu i do tyłu. Chybotliwy pomost kłapał jak sztuczna szczeka starej Mamy Telok. Skrzypiały liny, trzeszczały deski.

Prędzej umrę.

- Chodź, Mayu, pospiesz się.

Biała pani weszła na pokład z pudłem puszek pod jedną pachą i czterema torebkami cukru pod drugą. Tak po prostu, spacerkiem. Weszła i zniknęła. Wciąż tuląc do piersi słoje z kolorowymi kryształkami, Maya zrobiła dwa kroki do tyłu. Drewniane deski mola były twarde, solidne i stabilne. W pewnej odległości za nią, na nabrzeżu, parkował samochód i chiński szofer wyładowywał właśnie zakupy z bagażnika.

- Mayu! - zawołała biała pani z wnętrza jachtu. - Pomóż mi poukładać te...

Maya przestała słuchać. Mogłaby zniknąć w tłumie kulisów, oby dalej od tych wszystkich domów na wodzie, które morze mogło pożreć jednym kłapnięciem fal. Jeszcze mocniej przytuliła do piersi słoje.

- Wchodzisz na pokład?

Pytanie zaskoczyło ją i wystraszyło. Odwróciła się. Stał przed nią barczysty biały mężczyzna, stał tak blisko, że poczuła się nieswojo. Zamiast w zwykłym europejskim ubraniu, w koszuli i szortach, był w luźnych czarnych spodniach, jak Chińczyk, i w rozpiętej pod szyją tunice. Oczy miała na wysokości jego piersi i widziała wystające spod kołnierza ciemne, sztywne włosy. Zawsze ją to fascynowało, to, że u białych włosy rosły w tak dziwnych miejscach, ale kiedy podniosła wzrok i zobaczyła jego twarz, natychmiast o tym zapomniała. Wiedziała, że musi być ostrożna. Mężczyzna miał zimne, stalowe oczy i wiedziała, że jeśli nie będzie uważała, zajrzy jej do głowy i odczyta myśli.

- Wchodzisz na pokład? - powtórzył i wyczuła, że się z niej naśmiewa.

- Tak.

- To wchodź, nie będę cię zatrzymywał. Odcinał jej drogę ucieczki.

- Tak - powiedziała i ze spiętą twarzą stanęła przodem do jachtu.

Trap znowu zachybotał. Zachlupotała omywająca burtę woda. Maya podniosła nogę i zamarła. Nagle chwyciły ją pod pachy czyjeś silne ręce, chwyciły, podniosły, wniosły na trap i postawiły dokładnie na jego środku. Maya zastygła bez ruchu, zbyt przerażona, by krzyknąć.

- To nie gryzie - rzucił ze śmiechem mężczyzna. - Śmiało.

Popchnął ją lekko w plecy i nogi ożyły: żeby nie stracić równowagi, potruchtała przed siebie i wpadła na pokład, ale nie upuściła słoja. Pokład zakołysał się i oszalałe ze strachu serce podeszło jej do gardła.

- Pierwszy raz na łodzi? - Mężczyzna roześmiał się wesoło, wciąż stojąc na środku tego przekłętego trapu, jakby nie dostrzegał jego oszalałych skoków i podskoków. Zachowywał idealną wprost równowagę i widać było, że czuje się lepiej tutaj niż na stałym lądzie.

Łypnęła na niego spode łba.

- Czego pan chce?

Jej gniew rozbawił go jeszcze bardziej.

- Zechcesz powiedzieć pani Hadley, że przyszedłem?

- Jakie nazwisko?

Ale w tym momencie z wnętrza łodzi wyszła *mem* Hadley. Zobaczyła go i zanim uśmiechnęła się promiennie, przez jej twarz przebiegł cień irytacji.

- Pan Fitzpayne, dzień dobry. Co pana sprowadza?

- Szukam łodzi dla klienta. - Mężczyzna machnął ręką w stronę nabrzeża. - Zobaczyłem, jak rozładowuje pani samochód, i przyszedłem pomóc.

- Bardzo pan uprzejmy.

Powiedziała to sztywno, bez zachęcającego uśmiechu. Weszła na trap i mężczyzna musiał się cofnąć.

- Mayu - powiedziała - zanieś ten słój do kambuza i wstaw do bakisty.

Kambuz? Bakista? Czy to jakiś nowy język? Maya ruszyła w stronę dziury, z której wyszła biała pani, z nadzieją, że znajdzie tam kambuz. Albo bakistę. Jacht gwałtownie zachybotał i przewrócił jej się żołądek, mimo to zbiegła schodkami na dół, woląc dziurę niż ten nieszczęsny trap. Znalazła się wewnątrz łodzi. Natychmiast otoczyło ją lakierowane drewno i mosiądz, lśniące, błyszczące okucia, i stanęła z rozdziawionymi ustami. Spodziewała się czegoś szorstkiego i chropowatego. Drewnianych ławek do siedzenia, takich z listewek, może jakiegoś stołu, metalowego, żeby nie zjadły go żuki. Kilku skrzyń po herbacie do przechowywania rzeczy. Tak było na łodziach rybackich i sampanach i myślała, że tak samo będzie tutaj. Spodziewała się wszystkiego, ale nie tego, nie takiego luksusu. W tej łodzi było nieskończenie wygodniej niż w domach większości ludzi.

Mogłabym tu zamieszkać. Z Razakiem.

Szybko zlustrowała wzrokiem każdy centymetr kwadratowy wnętrza i już miała schować słój do jednej z wielu

szafek na ścianach, gdy jacht dostał czkawki i znowu straciła równowagę. Wyprostowała się i wyrzwała przez małe, okrągłe okienko.

Rzeka stawała dęba. Bawiła się nią.

- Piękny jacht.

- Dziękuję. - Connie szła szybko w stronę samochodu.

- Od dawna go pani ma?

- Od kilku lat. - . Dokładnie od dziewięciu. Nigel kupił go dla niej w prezencie ślubnym i na jej cześć nazwał „Białą Perłą”.

- Często państwo żeglują? - dążył Fitzpayne. Mimo tych pytań nie powiedziała, żeby zachowywał się przyjaźnie.

- Kiedy mamy ochotę.

W pierwszych latach małżeństwa żeglowali co weekend, ale teraz organizowali tylko krótkie wypady do cieśnin i wokół wysp, najczęściej ze znajomymi. Tak jak wszystko w ich związku, robili to jedynie na pokaz.

- Zaniosę to - rzuciła do chińskiego szofera, gdy doszli do samochodu. Wzięła duży karton ciasteczek, kilka kartonów zapalek, paczkę bandażu i woreczek kawy. - Ty przynieś mąkę i...

Ho Bah głośno prychnął, żeby okazać niezadowolenie. Connie spojrzała na zwaliste worki i przeniosła wzrok z powrotem na niego. Syce skrzyżował ręce na piersi. Connie westchnęła. Kłopot polegał na tym, że Ho Bah nie był już młodzieniaszkiem - służył u Nigela od wielu lat -i uważał, że jako doświadczony szofer nie powinien robić rzeczy, które inni szoferzy zazwyczaj robili. Jak choćby nosić worków. Mimo to Nigel nie chciał go odprawić.

- Pani pozwoli - przerwał jej Fitzpayne. Bez wysiłku zarzucił jeden worek na jedno ramię, drugi na drugie i nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę jachtu.

Coś w ich spotkaniu napawało ją niepokojem. Wyglądało to tak, jakby Fitzpayne tylko na to czekał, jakby celowo ją w to wmanewrował, chociaż nie miała pojęcia po co i dlaczego. Dopędziła go obładowana torbami i podziękowała mu za pomoc, ale on patrzył nie na nią, tylko na jacht.

- Wybiera się pani w podróż? - spytał.

- Nie.

- Przechowuje tu pani zapasy?

- Nie.

Na tym rozmowa się skończyła. Szli w milczeniu, mijając kołyszące się na cumie jachty. Po mulistej rzece uwijały się sampany i wąskie łodzie rybackie, a zachodni wiatr niósł zapach morza z sieci rozłożonych na nabrzeżu jak wielkie pajęczyny. Tubyłcy w szerokich chińskich kapeluszach siedzieli leniwie, naprawiając je godzinami w palącym upale. Connie wiedziała jednak, że kiedy tylko słońce zacznie opadać i na oleistych falach zakołyszą się mewy ze złożonymi skrzydłami, ludzie ci i ich sieci znajdą się na łodziach. Na dziobach jak świetliki zatańczą latarnie i rybacy wyruszą na nocny połów krabów i gurami.

Doszli do trapu „Białej Perły” i już miała nań wejść, gdy Fitzpayne przystanął i z twarzą na wpół zasłoniętą workami spytał:

- Pani Hadley, czyżby zamierzała pani opuścić Palur?

- Zadaje pan bardzo dużo pytań.

- Tylko dlatego, że interesują mnie łodzie i jachty.

- Co pan właściwie robi?

- Kupuję je i sprzedaję.

- Obawiam się, że ten jacht nie jest na sprzedaż.

Po raz pierwszy posłał jej ostre, taksujące spojrzenie. Miał trzydzieści kilka lat i mocno zarysowaną twarz - niezbyt ładną, bo szczęka była zbyt masywna, a czoło zbyt wydatne - którą jeszcze bardziej uwydatniały odrzucone do tyłu gęste brązowe włosy. Jego uczesanie i twarz były jak stanowcza, bezkompromisowa deklaracja: jestem taki,



jaki jestem. Już miała się odwrócić i wejść na trap, kiedy silny podmuch wiatru porwał brzeg jej kremowej sukienki i zadarł do góry. Spód pofrunął jak latawiec i Connie zobaczyła, że Fitzpayne zerka na jej gołe nogi. Niecierpliwym gestem ręki przytrzymała dół sukienki i rozdrażniona weszła na pokład. Jej plan potajemnego zgromadzenia zapasów na jachcie zaczynał brać w łeb. Zniosła pakunki do saloniku i zobaczyła Mayę, która przycupnąwszy w kącie jak mała brązowa sowa, z wytrzeszczonymi oczami bezwładnie kiwała głową za każdym skrzypnięciem jachtu. Wciąż kurczowo tuliła do piersi słój.

- Dobrze się czujesz? - Connie rzuciła kartony na stół.

- Tak, *mem*.

- *Źle* wyglądasz.

- Tak, *mem*.

Connie podeszła bliżej i ostrożnie dotknęła jej czoła, niemal bojąc się, że dziewczyna ją podrapie; było w niej coś dzikiego, nie do końca oswojonego. Skórę miała zimną i wilgotną.

- To przez to kołysanie, Mayu? Robi ci się niedobrze?

- Nie, *mem*. Lubię, jak kołysze. Było widać, że kłamie.

- Wolałabyś zaczekać na brzegu?

- Nie, *mem*. - Oczy jej się zapadły i przełknęła ślinę, jakby miała zaraz wymiotować.

- Zaparzę herbatę.

Kiwnęła głową i ukryła twarz za zasłoną włosów. Connie poklepała ją z zakłopotaniem po ramieniu i usłyszała ciężkie kroki na pokładzie. Chwilę później ukazał się Fitzpayne z workami.

- Mógłby pan wrzucić je do bakisty na dziobie? Napije się pan herbaty? - Była przekonana, że odmówi.

- Chętnie, dziękuję. Zaraz przyniosę resztę.

- Nie trzeba, mogę...

- To żaden kłopot. Wrócę, zanim woda się zagotuje. I zniknął. Niech go szlag!

Mai było niedobrze. W jej brzuchu grasował morski potwór. Biała pani *zabiła* jej matkę, a teraz obróciła klątwę przeciwko niej, zsyłając na nią chorobę.

Maya widziała już takie rzeczy. W dżungli. Widziała czarownika. Czarownik potrafił uleczyć jednym dmuchnięciem przez nos i zabić dotknięciem palca. Żołądek podjechał do góry i poczuła, że macki morskiego potwora wślizgują się jej do gardła. Jęknęła. Biała pani natychmiast odstawiła imbryk, podeszła do niej i tym razem dotknęła jej głowy. Pogłaskała ją lekko i niebezpiecznie.

Uciec jak od Hakima? Nie mogła. Za bardzo bała się trapu i białego mężczyzny o szerokich ramionach. Stał przy schodach, pijąc herbatę i uśmiechając się do dziewczyny. Czekał na jej śmierć.

- Źle wygląda - powiedziała Connie.

- Pewnie nigdy dotąd nie była na wodzie - odrzekł Fitzpayne.

- Im szybciej zejdziesz na ląd, tym lepiej.

Było nieznośnie gorąco. Od tygodni tu nie wietrzono i w saloniku wisiało ciężkie, zastałe powietrze, nic więc dziwnego, że dziewczynie zrobiło się niedobrze. Connie poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Co ten Fitzpayne tu robił? Czego chciał?

Spokojnie piła herbatę, ale czuła się tak, jakby jej skóra zrobiła się nagle za ciasna, jakby przez pomyłkę znalazła się w nie swojej. Dokładnie tak jak wtedy, gdy widziała na drodze węża albo słyszała, jak parskając i prychając, przez rosnącą tuż za płotem dżunglę przedziera się bawół błotny. Tak jej organizm reagował na niebezpieczeństwo. Tylko dlaczego, u licha, Fitzpayne miałby jej zagrażać?

Nie, to czysty absurd. Od wypadku była bardzo nerwo-

wa, a obecność Mai bynajmniej nie pomagała. Sam widok, zapach włosów, oczy, które były oczami zabitej matki -wszystko to przypominało Connie, co zrobiła, jednocześnie każąc to naprawić. Przyglądała się twarzy dziewczyny, żeby wryła się jej w pamięć, żeby w nocy, podczas tych bezsennych godzin, gdy gapiała się na moskitierę, mogła poszukać w niej zakamuflowanych urazów. Maya nie była piękna, ale nie była również nijaka. Jej twarz tryskała młodzieńczą witalnością - było w niej coś porywczego i przenikliwego, coś, co przykuwało wzrok, odciągając go od widoków bardziej konwencjonalnych. Ale dostrzegła w niej i mądrość. Widziała to w dzikiej nieufności kryjącej się pod każdą miną dziewczyny: życie obdarowało nią Mayę aż w nadmiarze.

Zdała sobie sprawę, że Fitzpayne wciąż stoi przy drzwiach i się jej przygląda. Postawiła filiżankę na spodeczku i spytała:

- Po co pan tu przyszedł, panie Fitzpayne?

- Już mówiłem. Szukam łodzi.

- Po co?

- Lubię mieć otwarte oczy.

Dlaczego miała wrażenie, że Fitzpayne wcale nie mówi o kupowaniu i sprzedawaniu łodzi?

- Pani Hadley, gratuluje pani dalekowzroczności. To oczywiste, że zamierza pani uciec.

Powiedział to tak, że poczuła się jak tchórz. Zaczerwieniła się. Do jej butów ściekały strumyczki potu.

- Naprawdę myśli pan, że mój mąż nie ma racji, mówiąc, że Japończycy nie przedrą się z wojskiem przez dżunglę?

- Z największym szacunkiem, ale mąż mówi jak typowy kolonialista. Ślepy na wszystko, oprócz chwały Imperium Brytyjskiego, nie zwraca uwagi na to, co ma pod nosem. Japońska gospodarka jest w ruinie. Eksport jedwabiu do Ameryki i Europy stanowił czterdzieści procent ich obrotu handlowego z zagranicą, a teraz, po Wielkim

Kryzysie, ich rynek całkowicie się załamał. Muszą szukać surowców gdzie indziej.

- Ale chyba nie tutaj?

- Dlaczego? Syjam, Birma, Sumatra, Filipiny...

- Dość! Liga Narodów im nie pozwoli.

Firzpayne podszedł bliżej i z pogardliwym uśmiechem odstawił filiżankę.

- Tak jak nie pozwoliła Niemcom w Europie? Liga Narodów jest jak stary bezzębny pies. Nie ma żadnej władzy. Japończycy dobrze o tym wiedzą. Generał Tojo, ich premier, też doskonale to rozumie i nie będzie stał z założonymi rękami, patrząc, jak Amerykanie bezkarnie nakładają na nich embargo na import ropy.

Nachylił się ku niej i w ciszy usłyszała jego oddech.

- Proszę mi powiedzieć, co zrobiłaby pani na ich miejscu? Siedziałyby pani w pustej kuchni i głodowała? - Przeszył ją spojrzeniem stalowoszarych oczu. - Czy raczej uzbroiłaby się pani i walczyła o przeżycie?

Connie wstała.

- Nie wszyscy są gotowi kraść, szanowny panie. Mój mąż jest uczciwym człowiekiem i zapewnił godne życie setkom, jeśli nie tysiącom Malajów, którzy bez niego przymieraliby głodem. Dlatego wolałabym, żeby nie mówił pan źle o kimś, kto...

Fitzpayne skłonił się energicznie. Tak jak kiedyś Sho. Potem wyprostował się i z zimnym uśmiechem powiedział:

- Przepraszam, popełniłem błąd.

Przez chwilę patrzyli na siebie, w końcu Connie krótko kiwnęła głową.

- Przeprosiny przyjęte. - Spojrzała na Mayę, która obserwowała ich bez słowa zwięzonymi oczami. - Chodź, Mayu. Pora iść.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Zostanę.

- Słucham?

- Boi się trapu - powiedział Fitzpayne.

Z głośnym, zupełnie nieoczekiwanym śmiechem zarzucił ją na ramię jak worek mąki, wskoczył na schody i nie zważając na jej żalose jęki - miauczała jak mały, biedny kociak - zaniósł ją na nabrzeże. Gdy tylko postawił ją na suchym lądzie, dziewczyna zniknęła w kłębiącym się tłumie.

Connie obserwowała ich z pokładu.

- Zabrała mój słój...

Fitzpayne podniósł rękę na pożegnanie i odszedł. Nie podobał jej się sposób, w jaki chodził: maszerował tak, jakby nic nie mogło go zatrzymać. Nie wiedzieć czemu była pewna, że oboje tu wrócą.

- Co tak uciekasz, mała zdiro?

Nie, nie, nie, tylko nie Hakim. Poczowała się tak, jakby ktoś wyrwał jej serce z piersi. Żeby uniknąć ciosu, gwałtownie skręciła, zgubiła przy tym sandał i zdarła sobie kawałek skóry ze stopy. Schowała się za straganem z rybami, nie zważając na to, że szydzą z niej szkliste oczy graników, ale któryś z młodych wilków chwycił ją od tyłu i zaprowadził do Hakima.

- Gdzie się ukrywałaś, dziwko?

- Nigdzie. Pracowałam.

Uderzył ją na odlew w twarz i głowa odskoczyła jej do tyłu tak mocno, że coś trzasnęło w karku. Przed jej oczami zamigotały świetliste punkciki.

- Ty pracujesz dla mnie, dziwko!

- Nie. - Maya splunęła na niego, ale za słabo i ślina spadła łukiem na ziemię. Myślała, że znowu oberwie, ale cios nie padł. Hakim się roześmiał. To było jeszcze gorsze. Potem pogłaskał ją po głowie i uszczypnął w policzek. To było jeszcze gorsze od tamtego. Znacznie gorsze.

- Pod Fioletowym Misiaczkiem - syknął. - W tym tygodniu masz tam być co wieczór.

Maya próbowała pokręcić głową, ale za mocno ścisnął jej policzek.

- Ta głupia rosyjska dziwka zadźgała się nożem. Maya wytrzeszczyła oczy.

- Dlatego lepiej tam bądź. - Hakim uśmiechnął się szeroko i zastanawiała się dlaczego, dopóki nie zobaczyła, że wstawił sobie złoty ząb. Pewnie chciał się nim pochwalić. - Inaczej wyślę po ciebie moich chłopców, a oni nie są tacy mili jak ja.

Jego czarne oczy wysysały z niej życie, zmieniały ją w martwy przedmiot. Splunęła na niego jeszcze raz i tym razem trafiła.

Nie zważając na jej przeraźliwe skomlenie, wyrwał jej słój z kryształkami i odszedł.

Szkoda, że ta głupia rosyjska dziwka nie wbiła noża między jego tłuste łopatki.

## R O Z D Z I A Ł 11

Będzie walczyła, wiedziała, że będzie.

„Siedziałyby pani w pustej kuchni i głodowała?”.

Otworzyła górną szufladę komody w garderobie i podniosła stos równiutko ułożonych apaszek z najlepszego chińskiego jedwabiu.

„Czy raczej uzbroiłaby się pani i walczyła o przeżycie?”.

- Tak, panie Fitzpayne - przyznała na głos w samotnym zaciszu - ma pan rację. Kraj czy człowiek to bez znaczenia. Wszyscy walczymy o przeżycie. Ja zmierzam przeżyć. Dla Teddy'ego.

Wsunęła rękę pod apaszki i jej palce otarły się o coś twardego na dnie szuflady. Zacisnęła je, wyjęła rękę i smuga słońca rozblęła, puszczając na ścianę tęczowe zajączki. Srebrna papierośnica. Connie otworzyła ją i z niesmakiem spojrzała na papierosy. Przed rokiem, kiedy schowała ją pod apaszkami, było ich dziesięć, teraz tylko trzy. Wyjęła jeden i zamknęła papierośnicę. Rozległ się cichy metaliczny trzask i drgnęło jej serce, zatrzęsła się ręka. Jej oczy nie mogły oprzeć się pokusie i spojrzała na elegancki grawerunek na środku pokrywki, na inicjały S.T., które wryły jej się w pamięć jak piętno. Shohei Takehashi.

- Nakryłem cię.

Porucznik pilot John Blake opadł ze śmiechem na stojący obok niej ratanowy fotel. Siedziała na werandzie, dopa-

lając papierosa, wciągając do płuc długie, zwiewne smużki dymu i wydmuchując je gwałtownie, by rozpędzić chmurę bzyjących nad głową owadów. Paliła i przez cały czas obserwowała milczącego Razaka, który grabił grządkę azalii po drugiej stronie trawnika.

- Myślałem, że rzuciłaś.

- Bo rzuciłam. - Wyciągnęła się ze śmiechem na bambusowym szeslongu, czując, jak opuszcza ją całe napięcie. Dlaczego Johnnie zawsze tak na nią działał? - Dlatego nie mów nic Nigelowi.

Johnnie przytknął palec do ust na znak milczenia. Miał ładne palce, długie i zwinne. I pewne ręce. Wyobraziła sobie, jak manewrując drążkiem sterowniczym samolotu, trzyma w nich życie innych. Uśmiechnął się rozbawionymi niebieskimi oczami i wyjął z kieszeni paczkę dunhilli. Znowu był w mundurze i nagle dostrzegła w tym coś złowróżbnego.

- Chyba nie wyjeżdżasz?

- Niestety. Samolot mnie wzywa. Spuściła nogi na podłogę i usiadła prosto.

- Dlaczego? Co się stało?

- Wiesz, ludzie zaczynają panikować, krążą różne plotki...

- Ale jakie?

- Nic, czym warto by się przejmować, słowo. - Potarł kłykciami policzek.

A więc kłamał. Pod tą urokliwą maską było coś, co próbował ukryć, a w jego oczach dostrzegła ciemność, w której widziała rzeczy o wiele posepniejsze niż ładny ogród, żółtopiórego nektarnika spijającego soki z kwiatu russelii, niż wygodną przystań, jaką zawsze mu oferowała. Wyczuła, że sercem i duszą Johnnie jest już wysoko na niebie, że przypięty pasami siedzi w kabinie samolotu. Mimo to przyszedł ich odwiedzić.

Wstała i pociągnęła go za rękę.

- Chodź, pójdziemy na spacer.



- A gdzie Teddy?

- Na urodzinach u Jacka. Objada się pewnie galaretkami i chwali swoim interceptorem. Byłeś bardzo hojny. Teddy będzie rozczarowany, że nie mógł się z tobą pożegnać.

- To świetny chłopak.

Uśmiechnęła się, wzięła go pod rękę i poszli przed siebie ścieżką wśród tulipanowców obsypanych świeżymi pomarańczowymi kwiatami. Po deszczu wszystko było lepkie i wilgotne, a rozgorączkowane cykady grały ze zdwojoną energią. Dopasowała do niego rytm kroków. Jego wypolerowane na błysk buty chrzęściły na żwirze, świeżo uprasowane stałowszarsze spodnie obejmowały luźno długie, szczupłe nogi. Zawsze, ilekroć przychodził, miała wrażenie, że nigdzie nie jest mu tak dobrze jak u nich.

Connie podobał się delikatny dotyk jego ciepłego ramienia pod jej ramieniem, ale chociaż bardzo brakowało jej takich kontaktów, nigdy się z niczym nie zdradziła, nigdy nie przekroczyła granicy tego, co wypadało przyjacielom.

- Uważaj na siebie. Wiesz, że będę się denerwowała. Nigel oczywiście też.

Nagle przystanął, przystanąła więc i ona. Minęli już łukowate przejście wycięte w cyprysach i byli w ogrodzie warzywnym, ale miała wrażenie, że zamiast na ogród Johnnie patrzy w siebie. Kiedy podniósł ręce i przeczesał nimi swoje jasne włosy, z bólem zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Johnnie próbował odpędzić strach, który oblepiał go jak pot.

- Och, Johnnie... - Objęła go i przytuliła.

Milczał. Był bardzo blady i czuła, że cały się trzęsie, że jego ciało leciutko wibruje i drży. Głęboko oddychając, przez chwilę ukrywał twarz w jej włosach, potem cofnął się i odwrócił głowę.

- Przepraszam - szepnął. Był już opanowany.

- Będzie aż tak źle? - spytała cicho.

- Nie, nie, ależ skąd. - Wyprostował się. - Nie wiem, co

mnie napadło. Aż mi wstyd. - Pokręcił głową i uśmiechnął się z przymusem, a ona udała, że tego nie widzi. - Nie ma się czym denerwować - dodał. - Na Pacyfiku zauważono konwój japońskich okrętów transportowych pod eskortą pancerników. To nic takiego.

- Płyną tutaj?

- Mało prawdopodobne. Powłoka chmur jest tak duża i niska, że widziano ich tylko przez chwilę. Nie denerwuj się. - Objął ją w tali i poszli dalej, w stronę grządki melonów. - Pewnie płyną do Sajgonu na rutynowe manewry. Generał Percival jest po prostu ostrożny, to wszystko.

- Ale musicie to sprawdzić, tak? Kiwnął głową.

- Tak. To jak szukanie igły w stogu siana, ale chłopcy z mojego dywizjonu mają sokoli wzrok.

- Życzę ci *szczęścia*, Johnnie.

- Dzięki.

Zapadło niezręczne milczenie i zastanawiała się, czym ją zaraz zaskoczy.

- Słyszałem w klubie, że miałaś wypadek. . Szybko zamrugała. Żółte melony zdawały się puchnąć w słońcu.

- Tak.

- Przykro mi.

Nie chciała o tym mówić.

- Nigel jest w magazynach.

- Wiem.

- Pożegnasz się z nim?

- Oczywiście.

Zabrał rękę i ich cienie się rozdzieliły.

- Wyjeżdżam dopiero późnym wieczorem i chciałbym pójść przedtem do kina.

- Jaka szkoda. Nigel ma dzisiaj posiedzenie rady plantatorów, a potem kolację.

Johnnie pochylił się i z przesadną uwagą przyjrzał rzędomi cebuli.

- Wiem. - I nie podnosząc głowy, dodał: - To *Filadelfijska opowieść* z Katherine Hepburn i Carym Grantem. Podobno świetny film. Nie poszłabyś ze mną?

Tego się nie spodziewała. Zerknęła przez ramię i w przejściu zobaczyła obserwującego ich Razaka. Powoli wypuściła powietrze.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

Spytał ją o to, kiedy wiązała mu muszkę. Lubiła to robić. Była to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy mogła go dotknąć.

Stali w garderobie, przed wysokim lustrem, w którym pyszniła się elegancka para: on w nowiutkim białym smokingu, ona w seledynowej sukni odsłaniającej nagie ramiona i miękką, delikatną szyję. Gdyby kiedykolwiek zobaczyła, jak jakaś kobieta tak czule i poufale zawiązuje mężowi muszkę, jak zatroskany mąż spogląda na nią ze zmarszczonymi brwiami, pomyślałaby pewnie: jacy oni są szczęśliwi.

- Na pewno? - powtórzył.

- Oczywiście, że nie. Będzie mi miło.

- Dzięki, staruszko. Nie mogę nie pójść na tę przeklętą kolację, a nie chcę, żeby Johnnie spędził ostatni wieczór sam. Zrobiłabyś mi wielką przysługę.

- Przecież mówiłam... - Precyzyjnymi ruchami palców założyła na siebie pasemka jedwabiu. - To podobno świetny film, a ja dawno nie byłam w kinie.

- Nie będziesz się nudziła?

- Nie.

- Z Johnniem miło się rozmawia.

- To prawda.

- No to baw się dobrze.

Ostatnie muśnięcie i koniec. Wyprostowała muszkę i obiema dłońmi docisnęła ją do białej koszuli.

- Jest pan przystojnym *mężczyzną*, panie Hadley.

- Nie bądź niemądra.

Mimo to widziała, że sprawiła mu przyjemność.

W radiu grała orkiestra taneczna Jacka Hiltona, ale o japońskim konwoju nie wspomniano jak dotąd ani słowem. Władze nie chciały pewnie wzbudzać paniki, ale ją to denerwowało, bo niby dlaczego ci lubujący się w tajemnicach biurokraci i wojskowi zakładali, że ludzie są półgłówkami, którzy zasługują tylko na słuchanie muzyki tanecznej? W Palurze był port, co prawda niewielki, ale był, a podczas wojny porty bombardowano. Nawet ona o tym wiedziała.

- Nigel, nie sądzisz, że powinniśmy zbudować podziemny schron, taki, jakie mają w Londynie. Schrony Andersona, tak je chyba nazywają.

Nigel stał przed małą szafką z tekowego drewna, z której wyjął srebrną piersiówkę, ale spojrzał na nią, marszcząc brwi, i jego pociągła twarz jeszcze bardziej się wydłużyła. Piersiówka znieruchomiała przy ustach. Connie zrobiło się przykro, że zepsuła mu nastrój.

- Ale po co? - spytał.

- Na wypadek gdybyśmy potrzebowali jakiegoś... schronienia.

Nigel pociągnął łyk z piersiówki. Pewnie brandy.

- Nie - odparł stanowczo. - Nie mów tak, Constance. To czysty defetyzm.

Odpuściła to sobie. Podeszła bliżej i zanim zdążył uciec, pocałowała go w policzek. Jego skóra pachniała dobrą wodą kolońską i chciała przytrzymać dłużej usta, ale cofnęła się, jeszcze raz poklepała go po piersi i powiedziała:

- Szkoda, że nie możesz z nami iść.

- Nie martw się. Będiesz w dobrych rękach.

Boże, Nigel, czy ty nic nie rozumiesz? To nie o ręce Johnniego się martwię. Martwię się o swoje.

Już po tobie, Madoc.

Słowa te dudniły głucho w pękającej z bólu czaszce. Gdzie, do diabła, je słyszał? Mózg miał w kawałkach, myśli roztrzaskane i za nic nie mógł poskładać ich do kupy. Uchylił powiekę. Leżał we własnym łóżku. Na dworze było ciemno. To ranek czy wieczór? Czuł zapach rzeki. I zapach swojego ciała. Chciał się poruszyć, ale wszystko go bolało, każdy najmniejszy nawet fragment skóry. Niektóre jak jasna cholera. Za oknem przemykały nietoperze, szybkie i rozedrgane, i jego oszołomiony, skonsternowany umysł wmówił sobie, że zbierają się, by wyssać z niego całą krew. Spróbował otworzyć drugie oko, ale nie mógł, bo było spuchnięte.

- Nareszcie się obudziłeś! Najwyższa pora. Nie znam nikogo, kto by lubił tak długo spać.

Kitty stała przy łóżku z filiżanką w jednej ręce i z myjką w drugiej. Skupił na niej wzrok zdrowego oka. Miała pulchną, gniewną, porytą zmarszczkami twarz, ale teraz była to najpiękniejsza twarz na tym cholernym świecie.

- Kitty? Co się stało?

- Skąd mam, do diabła, wiedzieć?

- Nie pamiętam, jak wróciłem.

- Wcale się nie dziwię.

Powoli, jeden po drugim, zaczęły wracać do niego wspomnienia. Jak obrazy.

- A to skurwysyn! - Polizał zęby: jeden był złamany.

- Kto?

- Buli Chan.

- Ty głupia niemoto! Mówiłam, żebyś na siebie uważał. - Nachyliła się i przyjrzała oku. - Bardzo boli?

Zrobił błąd: pokręcił głową i wybuchła w niej feeria dziwnych kolorów, uszy spuchły mu od huków.

- Nie. Jak wróciłem?

- Gdy zapadł zmrok, a ciebie wciąż nie było, wsiadłam do łódki i popłynęłam cię szukać.

- Płynęłaś po ciemku taki kawał drogi?

Wzruszyła ramionami.

- Leżałeś na brzegu. Załadowałam cię do łodzi i przywiozłam. - Surowo zmarszczyła brwi. - Ale przysięgam, że następnym razem zostawię cię szczerom na pożarcie.

- Następnego razu nie będzie.

- Oby. - Zaczęła myć mu twarz. I nie robiła tego delikatnie. - Znowu nadepnałeś Chanowi na odcisk? Kiedy ty się wreszcie nauczysz?

Madoc zamknął zdrowe oko, poddając się energicznym ablucjom. Jak tylko Kitty skończyła, dźwignął obolałe ciało z pościeli i usiadł, czując, jak ze zgrzytem ocierają się o siebie postrzępione końce żeber.

Kitty powoli pokręciła głową.

- Jak dokończyłabym bez ciebie budowę kasyna? Madoc wypluł kawałek zęba.

- Tylko tym dla ciebie jestem? Pieprzonym murarzem?

- Tak.

Żona objęła go, przytuliła i poczuł na skórze jej gorący oddech.

Drzwi klubu wychodziły na zaułek, małą uliczkę, gdzie organizowano walki kogutów i gdzie ludzie o zażółconych od opium białkach żyli we mgle kłamstw i fantazji, nie panując nad swoimi szklistymi jak kulki oczami. Był to zaułek alfonsów i prostytutek, uliczka, gdzie roiło się od typów impulsywnych, jak i pamiętliwych. Gdzie wybuchały bójki i błyskały noże. Gdzie ludzie krzyczeli z bólu i czasem umierali.

Maya szła spieszenie przez ciemność, wypatrując wilków Hakima. Lubili czatować pod drzwiami klubu i macać towar, zanim ten wyszedł na scenę, ale tego wieczoru dotarła do garderoby nietknięta. Już nie zbierało jej się na wymioty. Czar, który rzuciła na nią biała pani, stracił moc, gdy uciekła z jachtu. Ha! A niby taka była potężna! Maya

pękała z dumy. Pokonała słabość i zwymiotowała tylko raz, zaraz po tym, jak wróciła do domu, by opowiedzieć bratu o pływającym domu, który szeptał jej do ucha różne rzeczy, trzeszcząc, grzechocząc, jęcząc i napawając ją strachem tak wielkim, że przez cały czas przechodziły ją dreszcze.

W ciasnej, zatłoczonej garderobie rzuciła na podłogę kebaję i sarong i zaczęła nacierać oliwką ręce i nogi, żeby błyszczały w rozjarzonym na scenie świetle. Ubrany w siedem welonów niezwykle wysoki malajski chłopak o oczach pomalowanych kohlem jak kobieta nerwowo obgryzał polakierowane paznokcie. Miał zaraz wychodzić.

- Spokojnie, Tunku - powiedziała. - Pokręcisz tym swoim tyłeczkiem i nikt nie zauważy, że masz krosty na podbródku.

- Wyglądam jak trup.

Maya nacierała właśnie oliwką swoje małe piersi.

- Wyglądasz tak, że można by cię zjeść. Zrobisz furorę. Chłopak zachichotał, posłał jej całusa i wybiegł z garderoby. Maya włożyła swój skąpy kostium i poszła za nim.

Powietrze w klubie było gęste i szare jak futro królika, bo nad stolikami wisiał gruby całun papierosowego dymu. Tego wieczoru atmosfera była wyjątkowo hałaśliwa i niespokojna. Występ Tunku najsporniej komentowali angielscy żołnierze siedzący przy stoliku tuż przy scenie. Będzie musiała na nich uważać. Mogli próbować ją dotknąć. Przy stoliku pod ścianą, tam, gdzie zwykle, nad szklanką whisky siedział mężczyzna o smutnych oczach, a przy stoliku pośrodku sali dwóch grubasów z prawie pustą butelką dżinu. W przyćmionym świetle widziała kropelki potu błyszczące w fałdach ich skóry, widziała głód w pełnych pożądania oczach.

Zacisnęła powieki. Ostatni raz. Poprzysięgła sobie cichutko, że to już ostatni raz. Że nigdy więcej. Przeklęła Fioletowego Misiaczka. Przeklęła Hakima, skazując go na tysiąc tortur w piekle, żeby smażył się tam przez całą wieczność dręczony przez diabły, które miały więcej zło-

tych zębów, niż on mógłby mieć przez pięć żyć. Musiała stąd uciec. Musiała *zabrać* stąd Razaka i uciec. Gdzieś, gdzie będzie bezpiecznie.

Wysoki chłopak zbiegł nago ze sceny, ciągnąc za sobą siedem welonów.

- Teraz ty - syknął.

Teraz ja. Ostatni raz.

Johnnie Blake i Connie wyszli z kina uśmiechnięci. Pó takim filmie trudno było się nie uśmiechać, trudno było się nie śmiać, gdy widząc, jak boski James Stewart wnosi do domu wstawioną Katherine Hepburn, Johnnie nachylił się do niej i szepnął:

- To jak nieść żyrafę, same nogi i zęby.

Potem poszli do klubu Sequin, gdzie orkiestra Srebrne Gwiazdy wygrywała zgrabne synkopy na trąbkach i saksofonach i gdzie kontrabasista przewracał oczami, ilekroć ona i Johnnie śmigali przed nim w tańcu. Tak, Johnnie umiał tańczyć. Umiał opowiadać. Umiał słuchać. W fokstrocie trzymał ją lekko w ramionach i żadne z nich ani słowem nie wspomniało o tym, co wydarzyło się w ogrodzie. Rozmawiali o jazzie, o filmach z Fredem Astaire'em i o tym, czy teraz, kiedy Edward VIII zrezygnował z tronu dla pani Simpson, tej amerykańskiej rozwódki, król Jerzy VI pozwoli mu kiedykolwiek odegrać pożyteczną rolę w życiu królestwa. Rozmawiali o wielu rzeczach, ale nie wspominali o Nigelu. Ani razu.

Wypili butelkę szampana i chociaż Connie próbowała się opanować, zauważyła, że coraz częściej nachylają się ku sobie przy małym, okrągłym stoliku, nachylają tak blisko, że prawie dotykają się głowami. Zauważyła, że jej palce coraz częściej muskają rękaw jego marynarki, a jego - jej nagie ramiona, że pozostawiają tam trwałe odciski, że coraz częściej w ich rozmowie pojawiają się przerwy. Małe niebezpieczne luki.



Wzięła się w garść i wstała.

- Muszę już wracać.

- Naprawdę? Dopiero jedenasta. Te plantatorskie kolacje ciągną się do rana, a ja wyjeżdżam dopiero.

- Nie, Johnnie. Jestem zmęczona.

Wiedział, że to kłamstwo, jednak zerwał się z krzesła z nieoczekiwaną energią i szerokim uśmiechem.

- Oczywiście. Jestem samolubny, myślę tylko o sobie. Musisz być skonana po tym...

Skonana. Skonać. Konać - słowa te pojawiły się znikąd. Konać na lądzie. Konać w powietrzu. W zestrzelonym samolocie, który spada w kuli ognia.

- Johnnie - powiedziała cicho. - Nie ryzykuj, dobrze? -Wzięła go za rękę.

- Nie wiesz, że całe życie jest ryzykiem? Zatłoczona, zadymiona sala, błyszczące jak brylanty

światła, uwodzicielsko pulsująca muzyka, a oni byli tam przez chwilę zupełnie sami. Spotkali się wzrokiem. W końcu z trudem zabrała rękę i odeszła na bok, odmawiając sobie czegoś, co wypełniłoby pustkę w piersiach.

- Connie...

Posłała mu wymuszony uśmiech.

- Wypijmy. - Wziął kieliszki ze stolika, prawie puste, ledwie z łykiem szampana na dnie. - Za naszą przyszłość. -Wetknął jej kieliszek do ręki.

Podniosła go do ust.

- Za twoją - poprawiła go łagodnie. - Za twoją bezpieczną, szczęśliwą przyszłość.

Spojrzeli sobie w oczy i wypili.

Na dworze było ciemno i mokro. Z niskich chmur padała mżawka, ale z nagranych przez słońce ścian wciąż buchało ciepło, które snuło się po ulicy jak coś żywego i trującego. Idąc Alexandra Parade w kierunku Victoria

Club, gdzie czekał chrysler z Ho Bah, który pewnie spał za kierownicą, celowo zmieniła trasę, by nie przechodzić koło banku, gdzie po wypadku przesłuchiwała ją policja.

Szli w bezpiecznej odległości od siebie i ich kroki rozbrzmiewały echem na opustoszałych ulicach. Z zadowoleniem gulgotały kanały burzowe, latarnie malowały na chodniku żółte trójkąty światła, które wyglądały jak kamienie w płytkim strumieniu. Szli szybko, pochylając głowy przed deszczem, gdy nagle poczuła, że Johnnie bierze ją pod rękę i skręca w boczną uliczkę, poza zasięg światel nielicznych samochodów sunących powoli główną ulicą.

- Co się stało? - spytała.

Pociągnął ją do bramy, by schronić się przed deszczem.

- Ciągłe myślę o tym patrolu, Connie. Nachodzą mnie złe myśli. Dręczy mnie przeczucie, że coś pójdzie nie tak.

- Och, Johnnie, na pewno wrócisz cały i zdrowy.

- Chcę pożegnać się z tobą na osobności, a nie na zatłoczonym parkingu przed klubem.

- To był cudowny wieczór. Dziękuję i...

Nachylił się i pocałował ją w usta. Odskokczyła do tyłu jak oparzona.

- Nie, przestań, jestem zamężna. Nigel jest twoim dobrym przyjacielem. - Wyszła na deszcz, idąc szybko w stronę światel, ale on dogonił ją tuż przed rogiem. Odwrócił ją ku sobie.

- Connie - szepnął. - Nie odchodź.

Tym razem, kiedy ją pocałował, nie umiała się cofnąć i wbrew swojej woli przywarła do niego całym ciałem. Rozkoszowała się dotykiem jego włosów, miękkością skóry pod uszami, siłą muskularnego ramienia, którym ją tulił, narastającym pożądaniem, które ich łączyło. Wstydziała się swojego ciała. Tego, że nie chciało pozwolić mu odejść. Wypełniającego ją pożądania, pulsującego gorąca między nogami, tego, że tak bardzo chce otworzyć ustami jego usta.

Nie słyszeli zbliżających się w ciemności kroków.

- Dobry wieczór, Johnnie. Odskoczyli od siebie.

- Dobry wieczór, Nigel - odparł Johnnie.

- To nie miało żadnego znaczenia - powtórzyła.

- Nie?

- Zegnaliśmy się, to wszystko.

Zostawili Johnniego pod klubem i jechali teraz jaguarem Nigela, podskakując na nierównej drodze. Odległa błyskawica przecięła nocne niebo na pół, wzmógł się deszcz. Piszczwały zgarniające wodę wycieraczki. Za tylną szybą pojawiały się i znikwały reflektory chryslera z Ho Bah za kierownicą.

- Skoro tak, to dlaczego ukryliście się w bocznej uliczce? - Nigel nawet na nią nie spojrział. Patrzył prosto przed siebie, na drogę.

- Nigdzie się nie ukrywaliśmy.

- Nie?

- Nie. Tam było zaciszniej niż na parkingu przed klubem. Johnnie denerwuje się jutrzejszym lotem.

- Tak?

- Tak. Potrzebował kogoś, kto by go przytulił i uspokoił. To wszystko.

- Rozumiem.

Connie odwróciła się w fotelu twarzą do męża. Reflektory chryslera oświetliły jego profil i zobaczyła, że Nigel ma dziwnie zniekształconą szczękę. Wykrzywioną jak po silnym ciosie.

- Rozumiesz? Naprawdę? Rozumiesz, że każdy potrzebuje czasem kontaktu fizycznego, by przypomnieć sobie, że życie to nie tylko...

- Wiem - przerwał jej krótko. - To dlatego trzymał rękę w twoich włosach? Dlatego cię całował? To dlatego wy-

glądałaś tak, jakbyś chciała w niego wejść? Tak Wygląda zwykle pożegnanie?

- Tak.

Zacisnął zęby tak mocno, że aż głośno zazgrzytały. Connie oparła się o drzwiczki, by odsunąć się jak najdalej od niego i zaczerpnąć świeżego powietrza, które letnimi falami wpadało przez otwarte okno. Wiatr potargał jej włosy, tak jak palce Johnniego. Długo milczeli. Rosnące na poboczu palmy pochylały się nad nimi, szeleszcząc niewidocznymi w ciemności liśćmi. Wsłuchiwali się w rechotanie żab i granie cykad, bo było to lepsze niż wsłuchiwanie się w swój cichy, kontrolowany oddech.

- Co ty tam właściwie robiłeś? - spytała, gdy na zboczu odległego czarnego wzgórza pojawiły się światła domu.

- Miałem dość. Przemówień, cygar i tych niekończących się kłótni. Chciałem się przewietrzyć i poszedłem na spacer nad rzekę.

Nigdy dotąd nie przyszło jej to do głowy. Ze on też się tu dusi. Dom - ze wszystkimi swoimi obowiązkami i powinnościami - był coraz bliżej.

I nagle Nigel spytał:

- Jak się nazywał ten Japończyk?

Serce podjechało jej do gardła.

- Shohei Takehashi.

- Właśnie. Wiesz, co mi powiedział?

- Nie - tchnęła.

- Ze Anglicy nie będą tu siedzieć w nieskończoność. Ze wyeksploatowaliśmy ten kraj do cna, że zbiliśmy fortunę i że teraz kolej na innych. Chełpił się, że tymi innymi będą oni, Japończycy.

Connie oblizwała spieczone usta.

- Naprawdę?

Rozmowa nagle ustała, jakby zabrakło im paliwa, i Nigel ciężko westchnął.

- Constance - powiedział głucho. - Jeśli wojna dotrze na Malaje, wszystko zniszczy i zniweczy.

## R O Z D Z I A Ł 1 2

Maya pojawiła się w domu Hadleyów dwa dni później. O dziesiątej rano Connie zobaczyła jej sylwetkę na długim wysypanym żwirem podjeździe. Dziewczyna była w turkusowej kebai i sarongu kolorowym jak pawie ogon. Mieszkańcom tego kraju brakowało czasem jedzenia, ale nigdy nie potrafili odmówić sobie uczyty barw i kolorów. Było oczywiste, że trzynaście kilometrów dzielących ich od Pa-luru Maya przeszła na piechotę.

Connie ucieszyła się na jej widok. Ucieszyła się tak bardzo, że aż ją to zaskoczyło. Martwiła się o nią jeszcze bardziej niż o Razaka. Razak przyjeżdżał codziennie o piątej rano dużą, otwartą ciężarówką, która przywoziła z miasta robotników. Większość mieszkała tu, na miejscu, w osiedlu pracowniczym, w dużych, przestronnych barakach dla setek samotnych mężczyzn i oddzielnych chatach dla małżeństw.

Nigel zbudował dla nich dobrze wyposażoną infirmerię i co miesiąc badał ich lekarz, dr Rossiter z Paluru. Mąż zawsze uważał, że zdrowy robotnik to szczęśliwy robotnik. Connie nie była tego taka pewna. Podejrzewała, że szczęśliwym robotnikiem jest robotnik dobrze opłacany, ale z nim nie polemizowała. Plantacja była jego królestwem i nie lubił, kiedy wtrącała się w nie swoje sprawy. Ona miała tylko dopilnować, by mężczyźni dobrze traktowali swoje żony. Kazała też zbudować specjalną chatę dla zatrudnionej na stałe położnej - mały barak z czystą salą porodową - żeby w razie potrzeby zawsze była na miejscu.

Nigdy nie przestawało jej zdumiewać, ile rodziło się u nich dzieci - spod kolorowych szalów matek co roku spoglądały na nią tuziny wielkich niemowlęcych oczu. Założyła dla dzieci coś w rodzaju szkoły, ale frekwencja była bardzo słaba, a Nigel powiedział, że Connie nie rozumie mentalności tubylców. Że ci ludzie pracują rękami, a nie głową. Odparła, że w miastach mieszkają setki malajskich prawników, lekarzy i biznesmenów, którzy świetnie sobie radzą, ale on roześmiał się tylko i powiedział, że wystarczy dać Malajowi dobrą curry, fajkę do palenia i hamak do leżenia, a z zadowoleniem spędzi w nim cały dzień, śpiąc, marząc i opowiadając o rybim potworze, którego złowił w rzece gołymi rękami, albo o leśnej nimfie, która tańczyła dla niego nago we śnie.

Wiedziała, że ma rację, ale mu tego nie powiedziała. Tak jak nie przyznała się do tego, że zdradziła go z jego najlepszym przyjacielem. Macki poczucia winy ścisnęły jej gardło i krępowwały język. Od tamtego wieczoru Nigel pracował do późnej nocy i wstawał przed świtem, tak że prawie ze sobą nie rozmawiali. A dzisiaj rano, kiedy rozsunął moskitierę, zapalił światło i wstał, położyła rękę na ciepłym miejscu, gdzie kilka sekund wcześniej leżało jego ciało.

- Connie.

Poderwała głowę zaskoczona siłą jego głosu. Stał po drugiej stronie moskitiery jak rozmyta postać ze snu, patrząc na jej zblakaną rękę. Przez chwilę myślała, że jest zły, bo naruszyła granice jego terytorium - na swój sposób rzeczywiście je naruszyła - ale w pasiastej piżamie, z potarganymi włosami i wciąż rozspaną twarzą wcale nie wyglądał na rozgniewanego. Wyglądał jak trzydziesto-siedmioletni Teddy.

- Przepraszam - szepnęła. - Tak mi przykro. Podniósł wzrok.

- Wiem - powiedział ze smutkiem i wyszedł.

Przez cały ranek siedziała na tarasie, wspominając tę

chwilę, przerażona jej plastycznością, świadoma, że jest to coś zbyt ciężkiego, by dało się wypchnąć z łóżka. I właśnie wtedy zobaczyła Mayę na podjeździe. Dziwne było to, że dziewczyna niosła martwego kurczaka w ręku i trzymając go za chudą szyję, machała nim na wszystkie strony. Connie wstała i zeszła schodami na dół.

- Jak się masz, Mayu.

Dziewczyna podeszła do niej nieufnie, najpierw otoczony chmurą brzęczących much kurczak w jej wyciągniętej ręce, potem ona. Niebo było jak błękitna płachta, jaskrawe jak jej sarong, ale i oproszone strzępiastymi obłoczkami, jakby w kilku miejscach rozerwane.

- To dla *mem* - powiedziała, podtykając jej pod nos martwego ptaka. - Zgubiłam słodkie kryształki.

Zgubiłam? Prędzej objadłam się nimi z Razakiem, aż się pochorowaliśmy. Ale nie, Connie wiedziała, że mądrzej będzie przyjąć podarunek, chociaż Maya skradła go pewnie z czyjegoś podwórka.

- Dziękuję, *terimah kasih*. - Złożyła ręce, pochyliła głowę i chwyciła kurczaka za szyję.

Wiedziała, że popełniła błąd. Kiedy tylko usiadła z nimi w swoim gabinecie, od razu dotarło do niej, że źle to rozegrała. Spotkanie było zbyt oficjalne, odbywało się w zbyt onieśmielającym miejscu. Maya i Razak przycupnęli na brzegu krzesła jak dwa nerwowe, czarnookie ptaszki. Ze ścian patrzyły na nich olejne portrety jej rodziców w wieczorowych strojach, patrzyła na nich ona, mała dziewczynka na huśtawce. Ten świat musiał być dla nich jak obca planeta. Powinna była posadzić ich na werandzie i gdyby chcieli, mogliby przynajmniej uciec.

Mimo to parła naprzód. Usiadła przy biurku.

- Chcę porozmawiać z wami o tym, jak mogłabym wam pomóc. Teraz, kiedy wasza mama...

Razak głośno wciągnął przez nos powietrze.

- ...odeszła - ciągnęła niepewnie - pomyślałam, że może chcielibyście pójść do szkoły.

Zgodnie pokręcili głową.

- Wasza mama na pewno by tego chciała.

Ku jej zaskoczeniu Razak pochylił się do przodu i dotknąwszy czołem kolan, wydał przeraźliwy pisk. Pisk ciągnął się bez końca, wypełniając pokój, drapiąc sufit i odbijając się od okien. Wysoki, zgrzytliwy dźwięk, który przeszył jej ciało, wnikając do kości i krwi.

- Razak - powiedziała. - Tak mi przykro...

Pisk ustał równie nagle, jak się zaczął, i powietrze znieruchomiało.

Connie wstała.

- Zrobię wszystko, żeby naprawić to, co zrobiłam waszej matce.

- *Tadak*. Nie. - Razak usiadł prosto. - Chcę tylko pracy. Nic więcej. Nie od pani.

Maya zerknęła na niego i syknęła coś po malajsku. Razak zadrżał i objął się w pół, jakby dźgnęła go nożem, potem wstał i po cichu ruszył do drzwi.

- Tylko pracy - powtórzył i wyszedł.

Jego siostra siedziała nieruchomo ze ściągniętą gniewem twarzą.

- Mayu - powiedziała ostrożnie Connie. - Razak już wybrał. Ale ty możesz wybrać inaczej.

Dziewczyna łypnęła na nią spode łba.

- Jesteśmy bliźniakami.

- Jak chcesz. Możesz tu pracować i mieszkać z naszymi pracownikami. Nie musiałybyś dojeżdżać codziennie z Paluru.

Gniewne zmarszczki zniknęły i Maya się uspokoiła.

- Porozmawiam z nim. - Ale już kiwała głową i Connie miała poczucie małego sukcesu. Pomagała im, robiła postępy.

- Dobrze. Zaprowadzę cię teraz do kuchni i...



Ktoś cicho zapukał do drzwi. Otworzyła je i zobaczyła Teddy'ego, który stał tam z rozwianymi, potarganymi przez wiatr włosami i policzkami błyszczącymi jak czerwone jabłka. Było widać, że biegł.

- Mamusiu, zobacz, co złapałem.

Wyciągnął rękę. Na jego palcach leżała jaskra wopoma-rańczowa jaszczurka. Connie roześmiała się i delikatnie ujęła ją w dłoń. Dopiero wtedy syn zauważył stojącą za nią Mayę i posłał jej słodki, nieśmiały uśmiech.

- Maya będzie u nas pracowała - powiedziała Connie. - Mayu, to jest mój syn Teddy.

Dziewczyna miała wielkie oczy. Jak pełne zazdrości czarne sadzawki.

Siedziała z Teddym na werandzie, zabawiając się układanką. Ich ulubioną, tą z wiejskim podwórzem w pięknych, łagodnych angielskich barwach. Bez jaskrawych błękitów czy krzykliwych czerwieni. Nawet paw - skąd, u licha, na wiejskim podwórzu wziął się paw? - był lekko przygaszony i stonowany. Widok starego konia pociągowego zawsze wywoływał w niej lawinę dźwięków i zapachów domu - nie, nie domu; domem była teraz ich malajska posiadłość - zapachów Anglii, ale w zadziwienie i swego rodzaju zakłopotanie zawsze wprawiało ją to, że tę układankę tak bardzo lubił Teddy.

Z drugiej strony podobało mu się opowiadanie Kiplinga o Rikki-Tikki-Tavi i opowieści o wyczynach pilota Bigglesa, chociaż nigdy nie był w Indiach ani w Niemczech. Miał po prostu bogatą wyobraźnię i badał otaczający go świat z odwagą, która czasem ją przerażała. Tym razem przyniósł do domu jaszczurkę. Ale równie dobrze mógł to być olbrzymi krocionóg, rogaty żuk czy nieszczęsna rzekotka. Najgorsze były pająki.

Układanki wydawały się bezpieczniejsze. Maya obser-

wowała ich zafascynowana. Przysiadła po turecku na taborecie i całą uwagę skupiając na dziwnych drewnianych kształtach, mruzczyła coś pod nosem. Ilekroć Teddy dopasowywał nowy kawałek i podekscytowany głośno piszczał, zerkwała na niego, potem na Connie i przenosiła wzrok z powrotem na układankę. *Amah* Chała siedziała w kącie, nucąc jakąś pozbawioną harmonii melodię, szyjąc - miała bardzo zwinne palce - i ignorując Mayę, tak jak ignorowałyby pewnie bezpieczeństwa kota.

Trzasnęły drzwi i chwilę później na werandę wszedł Nigel. Wniósł z sobą zapach zewnętrznego świata i Connie natychmiast podniosła głowę, by sprawdzić, czy są jakieś wiadomości o Johnnie, ale po jego minie poznała, że nie.

- Wcześniej wróciłeś - skonstatowała zaskoczona. Było dopiero południe.

- Nagła sprawa z limitami. Muszę wziąć coś z biurka. - Miał rozpięty kołnierzyk i widać było trójkątny kawałek ogorzałej skóry.

- Tatusiu, zobacz, co złapałem. - Teddy otworzył pokrywkę bezcennego pudełka po cygarach i pokazał mu jaszczurkę. Gad popatrzył na Nigela, poza tym ani drgnął.

- Dobra robota, młodzieńcze. Ładna zdobycz. Powinieneś nabić ją teraz na patyk, upiec na ogniu i spróbować, jak smakuje. W twoim wieku tak robiłem.

Teddy spojrzał na ojca z surową naganą w oczach.

- Nie, muszę jej doglądać. I ją karmić.

- Czym?

- Świerszczami. Nigel stłumił śmiech.

- Przejmij pałeczkę, Constance.

Connie jęknęła z udawanym przerażeniem, a on pochylił się i pocałował syna w głowę; żałowała, że nie pocałował i jej. Dopiero wtedy zauważył Mayę na taborecie. Natychmiast przestał się uśmiechać, cały zeszytniał i wyprostował się powoli.

- Kto to? - spytał.

- Maya Jumat.  
- Jumat? Czy nie tak nazywała się kobieta, którą...  
- Tak. Maya jest jej córką.  
- Wyrzuć ją stąd.  
- Co takiego? Nigel, nie...  
- Wyrzuć ją stąd, Constance - powtórzył stanowczo. Odwrócił się tyłem do dziewczyny. - Nie chcę jej widzieć w moim domu.

Skonsternowana Connie wstała, nie wiedząc, co sprowokowało tę nagłą falę antypatii.

- Przyjęłam ją do pracy...  
- Nie, kategorycznie zabraniam. - Pociemniały mu żyły na skroni.  
- O co ci, do licha, chodzi?

Nigel odwrócił się do dziewczyny, która beznamiętnie patrzyła na swoje sandały. Na jej twarzy nie było widać żadnej reakcji na ten niespodziewany wybuch.

- Wyjdz stąd - rzucił mąż. Nie podniósł głosu, ale powiedział to ostro i z wrogością.

- Nie, dlaczego? - spytała Connie. - Chcę, żeby została.

Ale było już za późno. Maya zsunęła się z taboretu, zeszła schodami na dół i zniknęła za rogiem domu. Jej cień ciągnął się niechętnie za nią, jakby chciał zostać.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Connie zdawała sobie sprawę, że Teddy patrzy na nich z zaczerwienionymi policzkami.

- Chała - powiedziała - zabierz Teddy'ego na rower, dobrze?

- Tak, *mem*.

Malajka wzięła chłopca za rękę i poprowadziła go do garażu, gdzie stał rower. W normalnych okolicznościach syn skakałby z radości, ale teraz *wyraźnie* się ociągał, powłócząc nogami i oglądając się za siebie tak, że bolało serce. Zapomniana jaszczurka została w pudełku.

Connie ciężko usiadła na krześle.

- Co cię napadło, Nigel?

- Nie chcę jej tu widzieć.

- Ale dlaczego?

- Nic o niej nie wiesz. - Mąż zaczął chodzić nerwowo po werandzie. - Na litość boską, zabiłaś tę kobietę, a teraz zapraszasz jej córkę do domu, gdzie mieszka małe, bezbronne dziecko. Nie rozumiesz, jakie to ryzykowne? Nie wystarczy, że dałaś pracę jej bratu?

- Próbuję im pomóc.

Kroki ucichły. Nigel stanął naprzeciwko niej. Oddychał głośno i ciężko. Zdawało się, że jego oddech burzy stężałe powietrze, tak jak ta niespodziewana konfrontacja - takie miała wrażenie -burzyła ich związek, wyciągając na wierzch pogrzebane na dnie uczucia. Od dawna się nie kłócili. Ale dlaczego akurat teraz, w dodatku o tę niepozorną dziewczynę? Connie wytarła spocone czoło. Cienista weranda prawie nie chroniła przed upałem. Szpaler czerwonych mrówek zaczynał już badać pozostawioną na stole układankę. Boże drogi, czy w tym kraju nic się przed nimi nie uchowa?

- Nigel - powiedziała cicho i spokojnie. - Ja chcę jej pomóc.

- Chryste, to daj jej trochę pieniędzy!

- Próbowałam. Jej brat nie chce ich przyjąć. Chyba uraziłoby to ducha ich matki.

„Przeklinam cię, biała pani”. Cichy szept w głowie, smak popiołu w ustach. Rozpaczliwie chciało jej się palić. Dosunęła krzesło do stołu i ruszyła w stronę schodów.

- Gdzie idziesz?

- Poszukać Mai.

- Nie chcę jej tu widzieć, Constance. Nie w mojej posiadłości.

Connie zamarła. Jej stopa zawisła tuż nad wysypaną żwirem ścieżką, która białą wstęgą opasywała cały dom, jej serce zgubiło rytm i opadło na dno piersi. Tymi czterema słowami Nigel odebrał jej wszystko. Wszystko to, w co jako żona plantatora przez ostatnie dziewięć lat wkładała całą siebie. Bez protestu wytrzymała tę straszną du-

chotę, dobrała i zorganizowała służbę, wydawała kołacje, z uśmiechem na ustach chodziła na mecze tenisowe i przyjęcia, urodziła mu syna - zniszczył to wszystko czterema krótkimi, prostymi słowami.

Nie w mojej posiadłości.

Nie powiedział: w posiadłości Hadleyów.

Ani w tej posiadłości.

Ani w naszej.

Nie. To była jego posiadłość. Tylko jego. Nie ich. Ona się nie liczyła, nie tu, nie na Malajach. Machnęła ręką, odpychając na bok powietrze, jakby ani przez chwilę dłużej nie mogła nim oddychać, potem odwróciła się, minęła męża, weszła do domu i pokonując po dwa stopnie naraz, wbiegła schodami na górę. Wpadła do mrocznej sypialni i z trzaskiem zamknęła drzwi. Żaluzje były opuszczone i podłogę przecinały błękitne cienie. Po szybie szalała wyczerpana pszczoła obładowana woreczkami pyłku. Jej bzy-czenie rozrywało uszy.

Connie weszła do garderoby i gwałtownym szarpnięciem otworzyła szufladę komody. Papierośnica była na miejscu. Za każdym, razem myślała, że już jej tam nie będzie. Wyjęła papierosa - teraz zostały tylko dwa - usiadła na brzegu łóżka i zapaliła. Zaciągała się powoli i nierówno, wciągając do płuc zapach Shohei Takehashiego, wciągając go w ciemne zakamarki umysłu.

- Jesteś piękna.

- Nie zmieniaj tematu.

- Nie masz pojęcia, jaka jesteś cudowna.

- Przestań, Sho! Nie słuchasz, co mówię. Wzbudzając w niej rozkoszny dreszcz, pocałował ją

w szyję, skubnął ustami koniuszek ucha, popieścił pierś. Zawsze tak było. Umiał ją rozproszyć, oderwać umysł od ciała, żeby nie mogła się skupić i trzeźwo pomyśleć.

Nie, Sho. Nie rozbieraj mnie na części. Nie niszczyć kogoś, kogo tak starannie pozszywałam.

- Posłuchaj - powtórzyła. - Musisz przestać do nas przychodzić. Wiem, że myślisz, że nikt nie będzie nic podejrzewał, bo jesteś szanowanym handlowcem, bo studiowałeś w Cambridge i mówisz po angielsku lepiej niż Anglicy, ale...

Roześmiał się i pocałował ją w nagi brzuch.

- Ale to nie znaczy, że nikt nic nie zauważy.

- Dlaczego? - spytał. - Nigel mnie lubi.

- Bo to zbyt niebezpieczne.

- Nie, moja słodka Connie. Nic nam nie grozi.

- Zacznie coś podejrzewać.

- Ha! Przeceniasz go. Rozmawiam z nim godzinami o kauczuku.

- Co wy, u licha, macie sobie do powiedzenia?

- Nigel opowiada mi o nowych odmianach drzew, z których będzie można zebrać dwa razy więcej mleczka lateksowego, o tym, ile kauczuku wywożą stąd Amerykanie. Narzeka na podatek od przekroczonych norm, które narzucił wasz rząd, martwi się o zgromadzone w magazynach zapasy. Cieszy się, że ktoś chce słuchać o jego pasji. - Musnął ustami jej sutki, a ona, nie mogąc się powstrzymać, pogłaskała go po głowie. - Bo kauczuk jest jego pasją, droga Connie.

Jej szyję i policzki pokrył rumieniec.

- Wiem. To prawda. Kauczuk. Nie ja.

Usiadła i odsunęła się od niego. W malutkiej, rozpadającej się palmowej chatce było duszno i gorąco. Sho znalazł ją w dżungli, ledwie kilka kilometrów od jej domu, przy zarośniętej ścieżce, w którą nikt się nie zapuszczał. Gęstwina była tak wielka, że ledwo mogła przecisnąć się tam samochodem, a ostatni odcinek drogi musiała pokonywać pieszo. Była to doskonała kryjówka z jednej strony strzeżona przez niespokojną brązową rzekę, która cicho szemrała, kiedy się kochali. Sho przywiózł czyste prześcieradła i im-

bryk, a ona go wyśmiała. Wypełnił chatkę kwiatami, wielkimi i soczystymi, od których powietrze robiło się ciężkie i ospałe.

- Poza tym - dodał, przysuwając się bliżej i wodząc palcem po jej udzie - lubię odwiedzać cię w domu. Jesteś wtedy zupełnie inna.

- Inna? Jak to?

- Jesteś wtedy doskonałą angielską gospodynią, elegancką i czarującą. - Podniósł jej nogę, zaczął masować spód dużego palca. Poczowała się tak, jakby pieścił nerw prowadzący prosto do jej serca. - Taka niedostępna. Spokojna. Taka... opanowana. - Ścisnął palec.

Connie pisnęła z bólu i zabrała nogę.

- Możemy spotykać się tutaj. Nie przychodź już do nas. Mówię poważnie.

W jednej chwili coś między nimi zawisło. Dżungla omyła łóżko swoim wilgotnych oddechem i mimo upału Connie zadrżała z zimna.

- Ja nie żartuję, Sho. - Podciągnęła kolana do piersi i objęła je rękami.

Sho nachylił się ku niej. Miał ostry podbródek i nieprzeniknione czarne oczy.

- Wiesz, co dzieje się teraz w Japonii? - spytał. - Wiesz?

- Wiem, że podbiliście Koreę i Chiny i że...

- Nie. W Japonii. Podniosła wzrok.

- Nie, nie wiem.

- Tworzymy nowy rodzaj człowieka, człowieka nacjonalistę. Od pierwszych dni szkoły ciało i umysł każdego dziecka przygotowujemy do wojny. Kiedy dzieci kończą pięć lat, zaczynają ćwiczyć i ćwiczą codziennie. Chodzą w wojskowych mundurach i śpiewają wojskowe pieśni. Wpaja się w nie kodeks busido, kodeks postępowania samurajskich wojowników. Zginąć w bitwie to umrzeć w chwili najdoskonalszej z możliwych, tak jak umiera spadający z drzewa kwiat wiśni. Wierzą, że cesarz Hirohito

jest bogiem, że Japonia jest niezwyciężona, że Japończycy są wybranym narodem i nie mogą się już doczekać, kiedy pójdą na wojnę.

Connie zasłoniła usta.

- Ty też w to wierzysz, Shohei Takehashi-san? Chwycił ją za rękę, przyciągnął bliżej i gwałtownie pocałował w usta.

- Chcę, byś wiedziała, co się dzieje - szepnął natarczywie. - Nasze stare firmy handlowe i włókiennicze, takie jak Mitsubishi i Yasuda, przestawiły się na produkcję broni i amunicji, podobnie jak te nowe, Mori i Nissan. Każdy pracownik trzy razy dziennie oddaje pokłon w kierunku tokijskiego pałacu. Są gotowi umrzeć za cesarza. - Oczy błyszczały mu w półmroku. - Chcę, żebyś o tym wiedziała, bo musisz zrozumieć, że Japonia zmiecie was z powierzchni Azji, was i całe wasze imperium. Ze tysiące Anglików padną pod samurajskimi mieczami. Słabi zawsze ugną się przed silniejszymi, a my jesteśmy teraz najsilniejsi.

Connie próbowała się wyszarpnąć, ale to nie zwykły handlowiec ją trzymał - trzymał ją japoński wojownik. Promienie słońca sączyły się przez muślinową zasłonę, którą przypięła do okna, żeby do chaty nie naleciało owadów, malując na jego twarzy sieć ciemnych linii i Sho wyglądał jak w samurajskiej masce.

- Ale ja cię ochronię, Connie. Kiedy nadejdzie pora, stanę u twojego boku.

- Dlaczego? - wykrztusiła.

- Bo jesteś moja. - Złagodniała mu twarz i pochylił się, by ucałować wierzch jej dłoni.

- Nie wygłupiaj się. Chcesz mnie tylko zdenerwować. Roześmiał się lekko.

- Oczywiście.

Więc dlaczego znowu zadrzała? Dlaczego poczuła w brzuchu coś zimnego i wstrętnego?



## R O Z D Z I A Ł 1 3

Teraz, po nieprzyjemnej scenie na werandzie, gniewnym gestem zgasiła papierosa, jakby chciała o tym zapomnieć. Od tamtej pory, od ich spotkania w chatce, minął cały rok, dwanaście długich miesięcy, jednak obrazy wciąż były ostre i wyraźne. Czy nie nadeszła już pora, by zaczęły rozmazywać się na brzegach, jak stara fotografia?

Podniosła żaluzje i wpuszczając do pokoju falę gorąca, wyjrzała na trawnik i ogród. Po jednej stronie zaczynała się dżungla, gęsta i zwarta jak ściana, po drugiej kilometrami, aż po majaczące w oddali wzgórza i doliny, ciągnęło się kauczukowe imperium Hadleyów. Skrzęcała się w słońcu zielen, całe jeziora zieleni, w której można było utonąć. Za oknem przeleciały dwie zielone papugi, skrzecząc na nią z niesmakiem i lądując na gałęzi drzewa. Gdzieś rozszcze-kał się Pippin. Pewnie był z Teddym, który jeździł rowerem na betonowym placu za garażem. Zaschło jej w ustach, zaczynała boleć ją głowa. Kusił ją ten ostatni papieros, więc odwróciła się do komody, ale w tym momencie ktoś zapukał cicho do drzwi.

- Proszę.

Chała. Uchyliła drzwi i ostrożnie wetknęła do pokoju swoją pulchną twarz.

- Potrzebuje mnie pani?

Była wesołą czterdziestolatką, służyła u nich od pięciu lat i trochę za bardzo lubiła chapati. Patrzyła na nią z zatroskaniem. Zabrzęczała bransoletami na rękę i powtórzyła:

- Potrzebuje mnie pani?

- Nie w tej chwili, nie.

- Na pewno?

- Na pewno. Dziękuję.

Ale bransolety nie zniknęły. Chała przestąpiła z nogi na nogę. Connie ciężko westchnęła i podeszła do drzwi.

- O co chodzi, Chała. Co się stało?

- Ona mówi, że *mem* jest smutna. Że mnie potrzebuje. Potrzebuje pomocy.

- Boże, nie jestem smutna, chciałam tylko odpocząć... -Urwała. Tamte słowa dotarły do niej dopiero teraz. - Zaraz. Kto tak mówi? Kto ci powiedział, że jesteś mi potrzebna?

- Ta uliczna kotka.

Connie zmarszczyła czoło.

- Uliczna kotka? Aha, Maya, tak?

- Tak, *mem*.

- Powiedziała ci, że cię prosiłam?

- Nie, *mem*. - Chała uśmiechnęła się lekko, by wyjaśnić nieporozumienie. - Powiedziała, że mnie pani potrzebuje. Spytałam, po co, a ona mówi, że pani smutno. - Znowu przestąpiła z nogi na nogę. - *Mem* jest smutna?

- Dziękuję za troskę, Chała, ale nie, nic mi nie jest. -Connie zmarszczyła brwi. - A gdzie jest Teddy?

- Na rowerze. - Malajka uśmiechnęła się szeroko i zachichotała. - Uczy się jeździć w kółko... - Zakreśliła palcami, żeby to zademonstrować. - Ale ta czarna zaraza - tak nazywała Pippina - ta zaraza... -

- Chała!

Chała urwała. Stłumiła śmiech.

- Tak, *mem*?

- Gdzie jest Maya?

- Pilnuje Teddy'ego.

Connie struchlała. Od stóp po głowę zalała ją fala zimna. Szybko wyszła z pokoju, zbiegła schodami na dół i frontowymi drzwiami wypadła na oślepiające słońce.

- Teddy! - krzyknęła. - Teddy!

Nie mogła go znaleźć. Bolało ją w piersiach. Nie mogła znaleźć swojego syna. Ani jego psa. Jasnoczerwony rowerek leżał porzucony na placyku za garażem i jego chromowana kierownica błyszczała w słońcu jak tysiąc oczu.

Nie rób mu krzywdy, Mayu. Błagam cię, nie rób mu krzywdy. Nie zrób mu tego, co zrobiłam waszej matce. To tylko mały chłopiec, nic nie zawinił.

Całą nadzieję pokładała w Pippinie. Jeśli pies z nim był, może po prostu się gdzieś bawili, w krzakach, pod długimi palcami drzewa rzewni, na sianie, może czołgali się pod szopą, szukając żab.

- Ajib! - krzyknęła do ogrodnika. - Widziałeś gdzieś *tuana* Teddy'ego?

Ogrodnik pokręcił głową.

- Bawi się - odparł z uśmiechem i zaczął mówić coś o trawniku, ale mu przerwała.

- Znajdź go. Szybko.

Przebiegła przez cały ogród, wołając syna, przeszukując warzywnik, sad i domy za stajnią. Oddychała coraz szybciej i chrapliwiej.

- Szukaj dalej, Ajib! - krzyknęła. - Ściągnij wszystkich ogrodników!

Wpadła do garażu i zobaczyła, że nie ma jaguara. Nigel pojechał do miasta, ale Ho Bah został.

- Czy *tuan* zabrał ze sobą syna? - spytała. Szczupły, gibki *syce* polerował karoserię chryslera.

- Nie, *mem*. Pojechał sam.

- Ho Bah, Teddy gdzieś przepadł.

Chińczyk wytrzeszczył stare oczy i ze współczuciem zmarszczył czoło.

- Niedobry chłopiec. Znajdę go.

- Weź samochód i poszukaj na drodze.

Wyobraziła sobie, jak z ręką w ręce Mai, drobiąc chudymi, zakurzonymi nóżkami, Teddy idzie do miasta. To aż trzynaście kilometrów: co mu ta dziewczyna naobiecowała? Czym go skusiła, że wbrew surowemu zakazowi wy-

szedł poza teren ogrodu? Ho Bah wskoczył do samochodu i wyjechał tyłem z garażu, ale kiedy wóz zniknął na podjeździe, pomyślała: Razak. Gdzie jest Razak? Powrócił kolejny obraz: motyl między jego palcami. Oberwane skrzydła, zmiażdżone piękno. Jej głowę wypełniła ciemność.

- Razak! - krzyknęła ile sił w płucach. Wystraszyła papugi, ale odpowiedziała jej tylko cisza.

Wpadła do domu, biegnąc od pokoju do pokoju wraz z depczącą jej po piętach Chałą.

- Teddy! - wołała.

- Teddy! - wtórowała jej piskliwie Chała.

Kazała służbie przeszukać każdy kredens, zajrzeć pod każde łóżko, do każdej szafy. Zerwała pościel z łóżka Teddy'ego, jakby mógł schować się pod poduszką. Zburzyła indiański wigwam w pokoju do zabawy i igloo pod stołem bilardowym. Wbiegła do kuchni i wywlekła ciężkie worki z ryżem ze spiżarni, by sprawdzić, czy się za nimi nie schował.

Co to za matka, która gubi własnego syna?

Warkot silnika na podjeździe, chrzęst kół na żwirze. Ho Bah? Nigel? Wybiegła z domu i zobaczyła na podjeździe taksówkę, żółtego forda. Wysiadał z niej Fitzpayne w brązowej koszuli i spodniach z twillu.

- Panie Fitzpayne, to nie jest dobry moment na wizytę.

- Przyjechałem w interesach. Porozmawiać z pani mężem. Powiedziano mi, że jest w domu.

- Nie. Wyjechał.

Fitzpayne stał sztywno, przyglądając się jej uważnie. Musiała koszmarnie wyglądać, ale było jej wszystko jedno. Irytowała się, że on nie chce odejść.

- Jestem bardzo zajęta - dodała szorstko. - Nie mam czasu na pogawędkę o jachtach. Życzę miłego dnia.

Odwróciła się. Gdzie teraz, gdzie teraz? Gdzie jeszcze nie szukała? Dlaczego Pippin nie szczeka? Dlaczego Maya...

- Pani Hadley? Co się stało? Odejdź. Odejdź!

Przyspieszyła kroku. Sad - tak, jeszcze raz przeszuka sad. Szybko przeszła przez ogród warzywny i wyciętym w żywopłocie przejściem wbiegła do sadu, przez cały czas rozgarniając wzrokiem krzaki i korony drzew w poszukiwaniu białej koszulki i potarganych brązowych kędziorków. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła, że truchta za nią Fitzpayne.

- Co się stało? - powtórzył.
- Zgubiłam syna. - Potworność tych słów omal jej nie zadusiła.
- Przeszukała pani dokładnie dom i ogród?
- Tak, wszystko.
- W takim razie musi być gdzie indziej.
- On wie, że nie wolno mu wychodzić z ogrodu. Fitzpayne lekceważąco prychnął.
- To chłopak. Chłopcy lubią łamać zasady, mają to we krwi.
- Mój szofer przeszukuje drogę.
- Jadąc tu, nie zauważyłem żadnego dziecka. Zgasł w niej ostatni promyk nadziei.
- Skoro tak... - Fitzpayne spojrzał w dal. - Jest albo na plantacji, albo w dżungli. - Powiedział to tak swobodnie, jakby mówił o zgubionym bucie. - Obstawiałbym dżunglę.
- Nie... - Błagam, nie!
- Jest tu jakieś wyjście?

Bez słowa zaprowadziła go za kępę rododendronów, do wąskiej furtki w ogrodzeniu. Korzystali z niej służący, którzy wychodzili tędy, by nazbierać drewna na opał albo zapolować na małpę na kolację.

- Pójdziemy? - Fitzpayne cofnął się, czekając, aż Connie podejmie decyzję.

Otworzyła skobel i pchnęła furtkę.

Było tak duszno, jakby ktoś zatkał jej nos wilgotną myjką. Cuchnęło gnijącymi roślinami i zwierzęcym piżmem.

Pochylały się nad nią gigantyczne ratanowce, chcąc udusić ją zwisającymi z gałęzi zielonymi wężami, w koronach drzew grasowały pokrzykujące upiornie gibony. Duszny upał zaatakował, kiedy tylko weszła na wąziutką ścieżkę wijącą się w gąszczu. Wiedziała, że gdzieś na górze jest niebo, ale go nie widziała, bo zasłaniała je warstwa zieleni, gruba i zbita jak trawnik do krokietu.

Próbowała iść szybko, lecz na próżno. Drogę zagradzały olbrzymie paprocie. Musiała je omijać i grzęzła po kostki w rozmokłej ziemi, a zapach jej skóry przyciągał tysiące skrzydlatych owadów. Po dwóch minutach mokra bluzka przy warła jej do pleców, po sześciu ściana wszędobyłskiej zieleni stępiła zmysły. Gęstwina tłumiła wszystkie dźwięki. Dwadzieścia pięć metrów wyżej nawoływały się dzioborożce, ale tutaj, na ziemi, każdy szelest i szmer ginął wśród ociekających wodą liści. Czowała się jak owinięta mokrym dywanem.

Klątwa Sai-Ru Jumat działała. I niszczyła jej życie.

- Teraz! < Wyteżyła słuch. Nic. Pokręciła głową.

- Szczekanie psa.

Miał dobry słuch. Ona nic nie słyszała. Serce zabiło jej szybciej.

- Gdzie?

Zszedł ze ścieżki i rozgarnął gąszcz. Natychmiast to usłyszała: Pippin.

- Teddy! - krzyknęła - Teddy! - ale krzyk ucichł, kiedy tylko opuścił usta. Zdusiły go ciemne, błyszczące liście.

Parła przed siebie, siekąc rękami dżunglę, nienawidząc jej, karząc ją chłostą i burząc się przeciwko władzy, która odebrała jej syna. I nagle ku jej zaskoczeniu Teddy śmignął jej przed oczami. Dosłownie śmignął. W powietrzu, trzy metry nad wąskim parowem, siedząc okrakiem na kłodzie

drewna. Kłoda wisiała na linie przywiązanej do grubej gałęzi sześć metrów wyżej. Chłopczyk huśtał się na niej jak na wahadle. Trzymał się liny, ale siedział mocno odchylony do tyłu z wyrazem najwyższej radości na twarzy. Poruszał ustami, chyba coś mówił.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że naśladuje warkot silnika. Teddy latał, pilotował wyimaginowany samolot.

Stojący na brzegu parowu Pippin zobaczył ją i wesoło zaszczekał.

- Mamusiu! - Syn uniósł jedną rękę i pomachał do niej, uśmiechając się entuzjastycznie. - Mamusiu, zobacz! Ja... -Przeleciał tak blisko, że wyciągnęła rękę, by go schwytać, ale w ostatniej chwili lina pociągnęła go do tyłu. - Ja latam!

Pot zamarzył jej na policzkach, gdy spojrzała prosto w oczy Razakowi i Mai stojącym po drugiej stronie parowu. Ich brązowe ręce trzymały Teddy'ego za koszulę, tak że nie mógł do niej wrócić.

„Przeklinam cię, biała pani”. Te cztery niewypowiedziane słowa wisiały między nimi jak miecz, pełzały po dnie parowu, szeleściły w martwych zaroślach.

- Oddajcie mi syna - rozkazała.

Nagle usłyszała jakiś ruch. Kątem oka zobaczyła brązową koszulę Fitzpayne'a, która znikwała w parowie. Myślała, że jest powolny, ciężki i masywny, dlatego była zaskoczona jego zwinnością: poruszał się z wdziękiem i szybkością lamparta. Bliźniaki natychmiast zwolniły uchwyt i puściły Teddy'ego.

Kiedy syn poszybował w jej stronę, chwyciła go, zdjęła z kłody i postawiła na ziemi. Miał umorusaną twarz, wysmarowaną na zielono koszulkę i ubłocone do kolan nogi, ale oczy świeciły mu się wesoło, a z ust płynął nieprzerwany strumień słów. Wskazał ręką gałąź, do której była przywiązana lina.

- Razak wszedł aż tam!

Ale ona prawie go nie słyszała. Syciła nim oczy, spijała każdy szczegół jego twarzy, chłoneła delikatną miękkość

jego skóry, łuk rzęs, kąt nachylenia głowy. Wzięła go za rękę i przycisnęła ją do siebie tak mocno, jakby chciała ją przyszyć, tak jak Chała przyszywała koraliki do pasków materiału wokół swoich kostek. Niejasno zdała sobie sprawę z kilku innych rzeczy. Dotarło do niej, że przestała boleć ją głowa. Ze patrzą na nią Razak i Maya. Ze tuż za nimi stoi Fitzpayne. Ze Teddy próbuje zabrać rękę.

- Dobrze - powiedziała. - A teraz do domu.

Syn otworzył usta, by jęknąć, ale zanim zdążył zaprotestować, Fitzpayne wziął go pod pachę jak rolkę brezentu i ruszył w kierunku ścieżki. Teddy wierzgał i radośnie piszczał, młóćąc brudnymi nogami liście i gałęzie. Pomyślała, że Nigel nigdy nie potraktowałby go tak brutalnie, ona też nie.

Może na tym właśnie polegał problem.

Odesłała bliźniaki do domu.

- Teddy'emu nie wolno wychodzić z ogrodu - powiedziała. Spojrzała surowo na syna. - Doskonale o tym wie.

- Ale ja byłem z Mayą i Razakiem - burknął - to nie moja wina.

- Z gniewu pociemniały mu oczy.

- Znasz zasady. Czyj to był pomysł?

- Mój - przyznał się Razak. - Dla chłopca to dobra zabawa.

- Właśnie - poparł go Teddy. - Dobra zabawa.

- Ale nie bez pozwolenia. Najpierw trzeba było mnie spytać.

- *Mew.* nie było - powiedziała cicho Maya.

- Nie mogę zatrudniać kogoś, komu nie ufam. Przyjdźcie jutro rano i powiem wam, co postanowiłam. A teraz idźcie.

Bez słowa sprzeciwu odwrócili się i poszli przed siebie podjazdem. Przez cały czas była świadoma, że Fitzpayne stoi u stóp schodów i paląc papierosa, przygląda im się



uważnie. Irytowało ją to. Wzięła Teddy'ego za rękę i poprowadziła do domu.

- Dziękuję za pomoc - rzuciła przez ramię.

W holu Chała zaczęła całować Teddy'ego w brudne policzki i łajać go za to, że zdenerwował matkę.

- Pora na kąpiel - powiedziała Connie.

- Chwileczkę. - W drzwiach stał Fitzpayne. - Chciałbym z panią porozmawiać.

- Przepraszam, ale nie teraz. Jestem bardzo wdzięczna za pomoc, ale... - Urwała. Fitzpayne przeciął hol i wszedł do salonu, jakby go tam zaprosiła. Szybko poszła za nim. -Przepraszam, ale nie pamiętam, żebym pana zapraszała.

- Proszę usiąść.

- Nie, dziękuję. Muszę wykąpać syna.

- Niech pani usiądzie.

Podszedł bliżej, położył jej ręce na ramionach i posadził ją na sofie. Nogi ugięły się pod nią, jakby były z waty. Bez najmniejszego oporu, bez niczego. Bardzo ją to zaskoczyło, nawet zaszokowało. A zaraz potem poczuła, że cała się trzęsie.

- Jest pani bardzo blada. To szok. Proszę przez chwilę posiedzieć.

Podszedł do barku, otworzył go, nalał duży kieliszek brandy i wrócił. Pokręciła głową. Ukucnął przed nią i przyjrzał się jej uważnie.

- Dobrze to pani robi - powiedział.

- Nie. Dziękuję.

Nie nalegał. Wzruszył ramionami i wypił sam.

- Wezwać służbę?

- Nie. Dziękuję. - Czuła, że szczękają jej zęby. Zamknęła oczy.

Nie wstał. Nie poklepał jej po kolanie ani nie wziął za rękę. Po prostu został przy niej, czekając, aż upora się z tym wszystkim sama. Ale nie odszedł. Mijały minuty i poczuła, że mdłości zaczynają ustępować, że serce, które jeszcze niedawno biło powoli i niemrawo, teraz wyraźnie przy-

spieszyło i że w skroniach niecierpliwie dudni puls. Kiedy otworzyła oczy, Fitzpayne patrzył w okno. Miał mocno zaciśnięte usta i gniewnie rozszerzone nozdrza. Przypominał narowistego konia, którego kiedyś miała i który nie lubił, kiedy zamykano go w boksie. Usiadła prosto i natychmiast przeniósł na nią całą uwagę. Poczęstował ją papierosem. Podał jej ogień i zapaliła. On też zapalił, zaciągnął się głęboko, wstał i podszedł do drzwi.

- Lepiej?

- Tak.

- Pani policzki nabrały koloru, a usta nie są już sine. Zawstydzila się.

- Dziękuję.

- Powie mi pani, o co tu chodzi?

- Nie.

Kiwnął głową.

- Kiedy byłem tu ostatni raz, powiedziałem, że wszyscy mamy swoje tajemnice. Pamięta pani? - Skłonił się lekko i wyszedł.

- To nie są żarty, Teddy. Nie wolno ci wychodzić z ogrodu bez pozwolenia mamy albo taty. Nawet jeśli ktoś będzie cię prosił. To bardzo ważne.

- Ale czemu? - Łódź uderzyła dziobem w brzeg białej porcelanowej wanny i usta syna ułożyły się w podkówkę. -W ogrodzie jest nudno.

- Bo może stać się coś złego. Może zdarzyć się jakiś wypadek albo...

- Tak jak tobie z samochodem? Connie z trudem przełknęła ślinę.

- Właśnie. Albo możesz skądś spaść. A my nie będziemy wiedzieli, gdzie jesteś ani jak ci pomóc. Martwilibyśmy się, tak jak ja dzisiaj. - Pociągnęła go za kosmyk mokrych włosów. - Rozumiesz?

Nadaşany Teddy odsunął głowę.

- Tak, mamusiu.

- To dobrze. Bo wpadłam na pewien pomysł. Syn natychmiast spojrzał na nią z ożywieniem.

- Jaki?

- Doszłam do wniosku, że powinniśmy przeżyć razem jakąś przygodę, ty, tata i ja...

- Tak. - Teddy od razu zapomniał o łódce.

- Źe dobrze by nam zrobił dzień twardego, traperskiego życia. Na przykład na plantacji.

Teddy uśmiechnął się promiennie.

- I rozpalimy ognisko?

- Oczywiście.

- I coś ugotujemy?

- Tak. I zbudujemy szałas.

Podeksytowany syn uderzył ręką w wodę, ochlapując ją ze śmiechem, lecz nagle znieruchomiał i spojrzał na nią niespokojnie.

- Ale tylko my, tak? - spytał. - Tylko my?

- Tak. Jak chcesz, możesz zaprosić Jacka.

- I nie będzie słuźących?

Nareszcie zrozumiała, o co mu chodzi. Ponieważ słuźba zajmowała się w domu wszelkimi pracami fizycznymi, myślał, że będzie tak i na biwaku. Uświadomiła sobie, że jej siedmioletni syn aż pali się, żeby ubrudzić sobie ręce. Cóż, na plantacji będzie mógł przynajmniej zrobić to bezpiecznie.

- Ani jednego - obiecała. - Wszystko będziemy robić sami. Chyba że chcesz, żeby pojechał z nami ktoś, kto nauczy nas rozpalać ogień bez zapalek i budować szczelny dach z liści. To zależy od ciebie.

Syn myślał przez chwilę z poważną miną.

- Tak - powiedział w końcu. - Zabierzemy Razaka. Zamarło jej serce.

- Może niekoniecznie jego, kochanie. Moglibyśmy zabrać któregoś z naszych ogrodników albo... Ajiba. Ajib umie...

- Mamusiu - jęknął błagalnie Teddy. - Proszę, zabierzmy Razaka!

- Będę musiała o tym pomyśleć.

- Ale nie wyrzucisz ich, prawda? Bo to ja ich w to wpakowałem.

W jego głosie zabrzmiała nutka poczucia winy. Natychmiast ją usłyszała, ten ściskający gardło żal.

- Teddy, oni postąpili bardzo źle.

Przykrył jej dłoń, którą trzymała na brzegu wanny, swoją małą dłonią.

- Przepraszam, że złamałem zasady, mamusiu. Już nigdy więcej nie wyjdę z ogrodu, obiecuję.

Przyjęła tę gałązkę oliwną i na znak pokoju pocałowała go w mokre czoło.

Razak miał zapatrzone w dal puste oczy. Siedzieli z siostrą ramię w ramię na skrzyni stareńkiej ciężarówce, która zatrzymała się, by ich zabrać. Promienie słońca padały prosto na ich głowy, na szczęście zerwał się wiatr, który jęczał teraz w gałęziach drzew. Maya wiedziała, że zbiera się na burzę. Widziała wędrujące nad odległymi wzgórzami chmury i chciała jak najszybciej dotrzeć do domu.

- Razak - powiedziała gniewnie - masz serce beczącego kozła.

Brat zamrugał, poruszył powoli długimi rzęsami, jakby wracał z dalekiej podróży.

- To ona ma cierpieć - odparł z powagą. - A nie dziecko.

- Ale umówiliśmy się, że skazemy ją na cierpienia, kradnąc jej syna. - Maya nie dodała, że mieli również zażądać od niej dolarów. Nie chciała wysłuchiwać kolejnego wykładu na temat szacunku dla ducha matki. Duch matki? Olać ducha matki.

- I ukradliśmy go. Biała pani cierpiała. - Razak spoj-

rzał na nią z błyskiem satysfakcji w oczach. - Widziałas jej twarz.  
Maya się uśmiechnęła.

- Tak, widziałam.

- Ten ból. -

- I złość.

Brat zamruczał gardłowo, tak z głębi piersi.

- Prędzej umrze, niż zapomni ten dzień.

- Przez tę twoją głupią zabawę z chłopcem straciliśmy tylko czas. -  
Klepnęła go w udo, ale złapał ją za rękę i przytrzymał.

- Ten chłopiec jest jak szczeniak. Musi się bawić. Musi...

- Razak, mam to gdzieś. On jest tylko narzędziem, niczym więcej.

Brat westchnął i jego oddech zmieszał się gorącym wiatrem i pyłem.

- Mayu, czasem boję się, że ty w ogóle nie masz duszy. Bardzo mi to ciąży.

Jego słowa bolały, ale to ukryła. Musiała postępować bardzo ostrożnie.

- Jutro wrócisz tam sam - powiedziała. - Biała pani mnie wyrzuci, ale ciebie zatrzyma. Teraz tylko od ciebie zależy, czy wyciśniemy krew z jej żył. - Spojrzała na chmury kłębiące się na niebie jak pszczoły. - Będę wiedziała, kiedy nadejdzie moja kolej.

- Dlaczego? Przecież mieliśmy pojechać tam razem. Powiedział to z niepokojem w głosie. Ucieszyła się, że

chciałby pojechać z nią. Pokręciła głową i odpędziła muchy od ust.

- On nigdy na to nie pozwoli.

- Kto?

- Jej mąż.

- Dlaczego?

- Bo go znam.

Razak odwrócił się zaciekawiony.

- Znasz go?

- Tak. To mężczyzna o smutnych oczach, który przychodzi do klubu na whisky i zawsze siada pod ścianą.

Tego wieczoru Nigel wrócił późno. Wszedł do domu prosto z deszczu, kiedy samotnie tańczyła szybkiego quickstepa w salonie. Odsunęła na bok meble, kopniakiem odrzuciła dywan, przygasiła światło i puściła płytę, coś Glen-na Millera. Kroki były skomplikowane, krew pulsowała do rytmu muzyki - Connie zamknęła oczy. Nigel stał w progu i patrzył. Zatrzymała się, kiedy tylko go zobaczyła, ale nie miała pojęcia, od kiedy obserwuje ją zdumiony. Stała przed nim i odruchowo wyciągnęła do niego rękę.

- Zatańcz ze mną - szepnęła, kołysząc biodrami.

Ku jej zaskoczeniu mąż zdjął marynarkę, wziął ją w ramiona i puścili się w taniec. Odchyliła do tyłu głowę, wyprężając szyję i rozpuszczając włosy, i pierwszy raz od wielu lat czując, jak dotykają jej ciepłe, wilgotnie ręce męża, bo jedna obejmowała ją w talii, a druga lekko ścisnęła jej palce. Rzadko prosił ją do tańca, nawet podczas spotkań towarzyskich, czego bardzo żałowała, bo świetny był z niego tancerz.

Kiedy muzyka przestała grać, natychmiast zostawił ją, podszedł do gramofonu i podniósł igłę. A ona stała na środku pokoju ze spuszczonej rękami i przywierającymi do spoconego karku włosami. Padający deszcz, przyćmione światło - w salonie zrobiło się intymnie mimo wypolerowanej na błysk podłogi, dużej i pustej powierzchni. Uderzyło ją, że Nigel ma zmęczoną twarz, że jak na trzy-dziesięcioletniego mężczyznę wygląda bardzo staro, że widać to zwłaszcza po zapadniętych policzkach.

Posłała mu ciepły uśmiech.

- Napijesz się czegoś? Whisky z wodą? Ale żadne z nich się nie poruszyło.

- Często tak tańczysz? - spytał.

- Czasem. Kiedy czuję się samotna. Albo kiedy nie mogę znaleźć dla siebie miejsca.

- Teraz też nie możesz? Wzruszyła ramionami.

- Wśród kolonialnych żon to normalne. Niewiele mamy tu do roboty.

Bez słowa podszedł do niej blisko. Przez jedną głupią chwilę myślała, że chce ją pocałować. Ale Nigel spojrział na nią tak przeszywającym wzrokiem, że poczuła, iż próbuje przebić jej cienką jak pajęczyna zbroję, pancerz, który chronił ją i strzegł przed tymi badawczymi oczyma.

- Już nigdy więcej go nie całuj. Obiecuj mi to.

Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Wypowiedział te słowa tak cicho, że ledwo je usłyszała. Niepewnie podniosła rękę, dotknęła jego policzka i choć raz się nie cofnął.

- Obiecuję.

- Dziękuję.

- Odezwał się?

- Nie. Jak dotąd nie.

Od razu wiedziała, że kłamie, ale udała, że mu wierzy.

- Powiesz mi, kiedy się czegoś dowiesz?

- Oczywiście.

Zabrała rękę, mimo to nie odszedł, i wyczuła zapach whisky w jego oddechu.

- Co się stało, Nigel?

- Constance, kategorycznie żądam, żebyś odprawiła dziewczynę, którą widziałem tu dziś po południu. Znajdź kogoś innego. Proszę. Ona jest niebezpieczna.

Kiwnęła głową.

- Jeśli cię to ucieszy...

Na tym polega kłopot z poczuciem winy. Każe ci mówić „tak”, kiedy chcesz powiedzieć „nie”.

## R O Z D Z I A Ł 14

Madoc pracował przy budowie kasyna ciężiej i szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Miał świadomość, że zaczyna brakować mu czasu. Wiedział, że ten, kto zwycięży w nadciągającej wojnie, mając dość cierpienia i nieszczęść, zechce przepuścić swoje ciężko zarobione pieniądze na ruletkę i karty - a gdzie będzie mu lepiej niż u Morgana? Kitty obandażowała mu żebra i obmyła rany, a on wychylał co rano kieliszek taniej brandy na przytępienie bólu.

- Za dużo pijesz - burknęła żona.

- Piję w sam raz - odburknął.

Wypił jeszcze pół kieliszka i poczuł, jak brandy pali mu wnętrzności. Nie jadł jeszcze śniadania, chociaż pracował już od dwóch godzin, od świtu.

- Przynajmniej zjedz coś.

Żeby zrobić jej przyjemność, usiadł przy stole, patrząc, jak żona kręci się po ciasnej kuchni i jak podaje mu jajecznicę na boczku. Jajecznica ładnie pachniała, ale nie był głodny. Ostatnio, od spotkania z Buli Chanem, nigdy nie był głodny. Coś przewracało mu się w żołądku, zżerało go od środka. Wbił widelec w jajecznicę, bawiąc się nią na talerzu.

- Usiądź, Kitty. Chcę ci coś powiedzieć.

Kitty po cichu odstawiła patelnię i usiadła przy starym, rozchwierutanim stole, na którym kiedyś wyjmowała mu kulę z uda. Skrzyżowała ręce na blacie i zmrużyła oczy.

- Jeśli coś mi się stanie, to znaczy, coś złego...

- Nic ci się nie stanie - odparowała.

- Pod warunkiem



że nie zrobisz nic głupiego i nie będziesz niepotrzebnie nadstawiał swojego durnego, twardego łba. - Nie podniosła głosu, chociaż czuł, że ma ochotę. Spróbował jeszcze raz.

- Jeśli coś mi się stanie, pod figowcem jest zakopane pudełko. Stare blaszane pudełko po herbatnikach, takie z obrazkiem króla Jerzego na pokrywce. Leży dość głęboko. Znajdziesz w nim pieniądze na powrót do domu.

Myślał, że będzie zaskoczona. Zaskoczona i pewnie wkurzona. Że może nawet zobaczy na jej twarzy wyraz zakamuflowanej ulgi. Ale zobaczył tylko, jak w jej wnętrzu roztapia się coś twardego; poznał to po płynnym miodzie w jej orzechowych oczach.

Wzięła go za rękę.

- Nie wiesz, że ja już jestem w domu? - Powiedziała to z uśmiechem, który mówił, że znalazłaby lepsze zastosowanie dla stołu niż jedzenie na nim jajeczniczy.

Stał na drabinie, waląc młotkiem w belki stropowe, żeby dobrze się ułożyły. Skończywszy dach, chciał zabrać się za urządzenie wnętrza. Zamówił już stoliki do kart - chociaż jeszcze za nie nie zapłacił - i zamierzał pojechać do Kuala Lumpur, żeby z któregoś z tamtejszych klubów ściągnąć tu dobrze wyszkolonego krupiera. Najlepszy byłby taki z francuskim akcentem. Podobał mu się ten pomysł; napaleńcy ciągnęliby w górę rzeki całymi stadami.

Wrócił do pracy, gwizdząc wesoło, chociaż po ulewie wszystko było mokre: belki, młazcząca pod drabiną ziemia i on sam. Później zdał sobie sprawę, że błędem było właśnie to nieszczęsne gwizdanie. Zagłuszało inne dźwięki, nawet przeraźliwy rechot żab po deszczu. Dlatego nie słyszał warkotu dobijającej do pomostu motorówki ani zbliżających się kroków. Gdyby słyszał, może wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Madoc-san.

Cholera! Młotek zamarł w powietrzu. Madoc spojrział w dół na okrągłą głowę, na krople deszczu błyszczące na krótko ostrzyżonych siwych włosach i na zadowoloną z siebie gębę. Był to jeden z jego japońskich kontaktów, ten najstarszy, ten, który lubił udawać, że słabo mówi po angielsku.

- Dzień dobry - powiedział i zszedł na dół. Młotek wciąż trzymał w ręku. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Obserwował jego twarz i widział, że Japończyk próbuje zamaskować swoją butę i niechęć. Jego wąziutkie oczy były jak oczy kota i nie miał wątpliwości, że myślał jest on.

- Mam dla pana zadanie - powiedział z największą uprzejmością.

- Dobrze płatne? '

- Oczywiście.

- Chcecie więcej informacji?

- Nie. - Japończyk pocił się w upale. A może kryło się pod tym coś więcej? Był w płaszczu przeciwdeszczowym, który osłaniał czyściutkie ciemne spodnie, ale buty miał uwalane błotem sprzed jego klubu. - Nie tym razem. Tym razem chcę... stu rowerów.

Zabrzmiało to tak absurdalnie, że Madoc wybuchnął śmiechem.

- Co takiego? Cesarska Armia Wielkiej Japonii chce najechać Malaje na rowerach?

Wciąż się śmiał, gdy jego rozmówca zimno dodał:

- Właśnie. Tak.

Madoc natychmiast przestał się śmiać. W ciszy, która zapadła, słyszał, jak palmy ocierają się o siebie i wzajemnie drażnią, tak jak zachowanie Japończyka drażniło jego.

- To szaleństwo - powiedział. Chyba niezbyt mądrze. Niski żółtek wyprostował się, wypinając wąską pierś.

- Cesarska Armia Wielkiej Japonii nie jest szalona. Jest największą i najlepszą siłą bojową.

- Na rowerach!

- Jest pan głupcem! Wy i wasza brytyjska armia nic nie wiecie. Myślicie, że zatrzyma nas malajska dżungla! - Japończyk chwycił się za pierś, jakby jego serce chciało rzucić się na Madoca, w kącikach jego ust błyszczała ślina. -Mamy czołgi, które zniszczą wasze linie obronne, mamy rowery, które przewiozą nas przez dżunglę tak szybko, że otoczmy was, zanim skończycie pić swoją angielską herbatę!

- Jezu. - Madoc przejrzał nagle na oczy. Tubylcy jeździli rowerami przez dżunglę codziennie, codziennie pokonywali ją wzdłuż i wszerz. Dlaczego nie miałyby tego zrobić cała armia?

- Sto rowerów? Będziecie potrzebowali tysiąca. Japończyk zeszywniał.

- Niech pan nie myśli, że nie przywieziemy swoich.

- To po co wam więcej?

- Dużo rowerów się zepsuje. Na trasie muszą czekać zapasowe.

- Chryste. - Madoc poczuł, jak po plecach przebiegają mu zimne ciarki, i po raz pierwszy uwierzył, że Japońcom może się udać.

- Sto rowerów - powtórzył żółtek.

- Będzie trudno. Na kiedy chcecie je mieć?

- Natychmiast.

Madoc roześmiał się mu w twarz i ruszył do drabiny.

- Madoc-san, jak pan śmie się ode mnie odwracać? Madoc przystanął i warknął:

- Mam gdzieś wasze maniery.

Japończyk wyjął z kieszeni płaszcz dwa duże żółte koperty.

- Jedna na rowery. - Wykrzywił szyderczo usta. -A druga dla pana.

Madoc zastanawiał się, czy mu nie przyłać. Ale koperty były grube. Wiedział, że rower można kupić tu za parę dolców i piwo. Nie patrząc na Japończyka, wyrwał mu z ręki

koperty i rozerwał tę dla niego. Z trudem udało mu się zachować kamienną twarz. W środku czaiła się prawdziwa pokusa, więcej pieniędzy, niż potrzebował na wykończenie nowego kasyna do standardu, który ściągnąłby graczy ze wszystkich stron. Mógłby zatrudnić najlepsze dziewczyny, zamówić najprzedniejszą whisky, nareszcie kupić Kitty obrączkę ślubną, mógłby...

Kurwa mać! Splunął na ziemię i schował koperty.

Japończyk miał zimne, surowe oczy, twarde i błyszczące.

- Dwa dni. Mają być za dwa dni.

- Za cztery.

- Za trzy.

- Zgoda.

Japończyk wyczuł, że ktoś go obserwuje i gwałtownie odwrócił głowę. To była Kitty. Stała z żelazną patelnią w ręku. W przepoconej jasnozielonej bluzce, w żółtym sarongu na obfitych biodrach i z włosami upiętymi w niesforny kok wyglądała zupełnie niegroźnie.

Kołysząc biodrami, podeszła bliżej.

- Jakies problemy, Madoc? - spytała obojętnie.

- Nie. Nasz przyjaciel właśnie się żegna.

- To dobrze.

Japończyk najeżył się jak pies przed walką, ale chociaż się wyprostował i tak był kilka centymetrów niższy od niej.

- Pani mąż i ja rozmawiamy o interesach - powiedział lekceważąco.

- Tak? Moim zdaniem robicie z nim za dużo tych zasranych interesów. A teraz zjeżdżaj stąd, ty i twoje żółte dupsko.

Widząc minę Japończyka, Madoc z trudem powstrzymał śmiech, ale wesołość szybko ustąpiła miejsca przerażeniu, gdy żona podeszła do drabiny i trąciła ją ramieniem. Drabina spadła. Madoc zdążył odskoczyć, ale drabina odbiła się i grzmotnęła Japończyka, który wylądował w błocie. Błyskawicznie pozbierał się i wstał, ale gdy skłonił się

sztywno przed Kitty, przez jego twarz przebiegł cień nienawiści. Potem bez słowa odszedł w stronę pomostu.

Madoc chciał ją zdrowo ochrzanić. Japończyk stracił przez nią twarz, a żółtkom się tego nie robi. Ale zamiast ją złać, objął ją, wtulił się między wielkie piersi i mocno pocałował w usta. .

Białe złoto.

Tak nazywano kauczuk. Tę mlecznobiałą ciecz, która jak płynny złoty pył wpływała do kieszeni białego człowieka.

Jadąc na koniu drogą przez plantację, Connie spojrzała do góry. Hen, wysoko, rozciągało się łukowate sklepienie z delikatnych liści i smukłych gałęzi, które chroniło przed palącym tropikalnym słońcem, przepuszczając jedynie wąziutkie promyki łagodnego światła.

Tu panował porządek. Tu miała pewność, że nic się nie stanie. Tu wszystko było pod kontrolą. Ciągące się kilometrami regularne rzędy drzew - *Hevea brasiliensis* - ich wysokie cętkowane pnie, proste i trwałe jak marmurowe kolumny w kościele, drobne listowie pod nogami, jak dywan z zielonych piór - to koło myśli. Tu można było swobodnie oddychać.

Nie to, co w chaosie dżungli.

Wybrali niedzielę. Wczesny ranek, kiedy było naj-chłodniej i nad ziemią unosiła się zielona mgiełka jej ciepłego oddechu. Ale Connie wiedziała, że długo tak nie będzie. Włożyła kapelusz z szerokim rondem, lekką muślinową bluzkę, bryczesy i mocne buty do chodzenia. Ona i Nigel osiodłali konie, a Teddy małego tureckiego kucyka Pucka. Razak wołał iść pieszo. Gdy zaproponowała mu konia, spojrzał na nią tak, jakby chciała włożyć mu petardę między nogi. Zdziwiła się, że Nigel tak chętnie zgodził się go zabrać, jednocześnie była wzruszona, że chce spra-

wić tym przyjemność jej i synowi. Jechali gęsiego, mijając zastępy młodych i starych drzew, które górowały nad nimi, trzeszcząc grubymi gałęziami jak starcy schorowanymi stawami.

Wszędzie drzewa, kilometry identycznych drzew i pachnące ziemią wilgotne powietrze - otaczający ich monotony widok zaczynał być dezorientujący i trochę niepokojący. Gdziekolwiek spojrzeła, wszystko wyglądało tak samo. Nie miała pojęcia, jak to możliwe, że Nigel nie gubi się w tym zielonym kauczukowym kalejdoskopie, ale nie, prowadził ich pewnie i bez wahania. Ilekroć mijali jakiegoś zbieracza albo kulisa czyszczącego rowy melioracyjne lub wyrrywającego z nich zielsko, wołał: *Selamat pagi, Ghani*. A oni odpowiadali: *Selamat pagi, Tuan*. Zawsze z łagodnym uśmiechem, zawsze z grzecznym skinieniem głowy. Jakby odwiedził ich ukochany król. Nic dziwnego, że Nigel to uwielbiał.

- No i jesteśmy - powiedział. - Doskonałe miejsce. Connie się rozejrzała. Na pierwszy rzut oka miejsce nie

różniło się od innych, tych, które mijali po drodze, i nagle zobaczyła skrawek dżungli. Tuż przed sobą. Przyjrzała mu się nieufnie.

- Tak! - zapiszczał radośnie Teddy, zsuwając się z kucyka z energią, której zazdrościła mu po dwóch godzinach w siodle. - Możemy rozbić obóz.

Nigel machnął ręką w stronę dżungli.

- Tam zbierzemy budulec na szałas, a obóz rozbijemy... chyba tutaj. - Rozejrzał się z satysfakcją. - Za tymi drzewami jest rzeka.

Connie zsiadła z konia. Musiała przyznać, że miejsce - wąski pas zielonej trawy wciśnięty między kauczukowce i ciemną wstęgą dżungli - jest rzeczywiście idealne. Mąż i chłopcy zaczęli przygotowania, a ona zajęła się końmi. Zdjęła siodła, wytarła gorące, spocone grzbiety koni, zaprowadziła je do rzeki, gdzie napiły się wody i ochłodziły nogi, potem przywiązała w cieniu i wróciła do obozu. Le-

zał tam już stos palmowych liści, a Teddy, z zaczerwienioną z wysiłku twarzą, włókł po trawie kolejne. Idący za nim Razak niósł pięć długich, prostych gałęzi, a Nigel naręcze patyków. Uśmiechnął się do niej szeroko i pomachał pa-rangiem. Uzgodnili z synem, co ze sobą zabiorą: parang, złowieszczo wyglądającą malajską maczetę, długi nóż do zdejmowania skóry z tego, co ewentualnie upolują, i kociołek do gotowania wody. Do tylnej kieszeni spodni Connie ukradkiem schowała pudełko zapalek i płaską butelkę ze środkiem odkażającym. Na wszelki wypadek.

Zbudowanie chatki, małego szałas w kształcie litery A, trochę trwało.

- Tylko żeby nie przeciekało - zawołała ze śmiechem, patrząc, jak Teddy pokrywa ścianę kolejną warstwą liści. -Bo lunie i przemokniemy.

- Nie przemokniemy!

Miał zwinne palce. Wystarczyło raz pokazać mu, jak przeplatać liście, i potem świetnie radził sobie sam.

Było dużo śmiechu i wesołych krzyków, ale szałas zaczynał powoli nabierać kształtów. Był trochę chwiejny, ale całkiem przyzwoity i zauważyła, że nawet Razak dobrze się bawi. Błyszczały mu oczy i pracując, zerkał na nią nieśmiało. Tylko Nigelowi wolno było używać parangu - nie chcieli żadnego wypadku - ale kiedy poszli nad rzekę, okazało się, że chłopak znakomicie włada nożem. Po pas w wodzie, zastygł bez ruchu jak posąg, czekając na odpowiedni moment, a potem uderzył, mocno i błyskawicznie. Gdy podniósł rękę, na czubku noża drgała ryba.

- Dobra robota! - zawołał Nigel, a Teddy zaklaskał w dłonie.

Razak skłonił się nisko z ręką w górze i szerokim uśmiechem na twarzy.

Tylko dlaczego zaraz potem zabrała mu nóż i wypatroszyła rybę sama?

Rozpalili ognisko - jej zapalkami - i ugotowali zdobycz. Teddy złapał dwie nakrapiane jaszczurki o jasnożółtych oczach, ale mimo nalegań ojca nie chciał upiec ich na ogniu. W południe przez godzinę lało, tak jak prawie codziennie, więc we czworo schowali się do szałas, gdzie -o dziwo! - było zupełnie sucho, nie licząc kilku kropel wody, które Connie poczuła na karku. Zrobiło się trochę chłodniej, z czego bardzo się cieszyła. Kiedy z ciasnej chatki wyszli na zielony świat, przesiąknięty wodą i parujący jak gorąca wanna, zauważyła, że mąż jest dziwnie niespokojny, jakby zaczynał mieć dość tej zabawy. Wtedy przypomniało jej się, co Sho mówił o jego pasji.

- Nigel - zaproponowała - może korzystając z okazji, opowiesz Teddy'emu o kauczukowcach?

Mąż spojrzał na syna.

- Dobry pomysł. Chcesz? Teddy nie podskoczył z radości.

- Kiedyś będziesz się tym zajmował - zauważył Nigel.

- Ja chcę - odezwał się Razak. Wskazał rząd drzew. -Chcę się nauczyć.

Nigel uśmiechnął się do niego.

- No to chodźcie.

Poprowadził ich w głąb plantacji, od czasu do czasu dotykając cętkowanej kory drzew z czułością, z jaką ona targała Teddy'emu włosy.

- Kto powie, jak się te drzewa nazywają? - zadudnił jak nauczyciel do pięćdziesięciu uczniów.

- To one mają imiona? - spytał Teddy.

- *Pokok getah* - odrzekł Razak.

- Prawidłowa odpowiedź. To malajska nazwa.

- *Hevea brasiliensis* - rzuciła z uśmiechem Connie.

- Bardzo dobrze. To z kolei jest nazwa naukowa. *Hevea brasiliensis*. - Powtórzył, bo ładnie się ją wymawiało. Podprowadził ich bliżej drzewa, żeby obejrzeeli długie, ukośne nacięcie przez pół obwodu pnia, które wyglądało jak wielka



blizna po operacji wyrostka robaczkowego. - To wymaga bardzo dużych umiejętności. Jeśli zbieracz natnie korę za głęboko, zniszczy siłę życiową drzewa. Ma specjalny nóż, który wbija tylko na głębokość sześciu milimetrów i przecina naczynka lateksowe. Nie może uszkodzić miazgi, cienkiej jak papier warstwy między korą i drewnem, bo drzewo umrze. I musi pracować szybko. Jeśli jest naprawdę dobry, nacina od pięciuset do sześciuset drzew dziennie.

Connie popatrzyła na wielką ranę, na rany na sąsiednich drzewach i zrobiło jej się ich żal. Codziennie je kaleczono, skaleczenia nigdy się nie goiły. Każdy pień był przepasany metalowym drutem z porcelanowym zbiorniczkiem na końcu rany, do którego skapywało mleczko. Teddy włożył do zbiorniczka palec.

- To lateks - powiedział Nigel. - W magazynach przerabiam go na gumę. A wiesz, dlaczego guma nazywa się gumą?

Teddy robił z lateksu kulkę.

- Bo się ciągnie i można nią... ścierać?

- Brawo! Bo już pierwsi plantatorzy zauważyli, że można nią ścierać to, co napisze się ołówkiem. - Wskazał wąski pasek lateksu, który oblepiał spód nacięcia. - A to nazywamy koronką. - Oderwał pasek od kory. - Już skoagulo-wana. - Zrobił z lateksu lepłą kulkę i rzucił ją do syna. -Kauczukowce robią wrażenie delikatnych, ale są bardzo wytrzymałe. Ich drewno jest twarde jak tekowe.

Razak podszedł bliżej i przesunął dłoń po pniu. Dotknął rany, pogłaskał korę.

- Ile lat?

- Zaczynamy zbierać, kiedy ma siedem, co dwa dni przez cały rok. Im starsze drzewo, tym większe zbiory. Cykl produkcyjny kauczukowca to mniej więcej trzydzieści lat.

- Już stwardniało - powiedziała Connie do syna - ale wypływa spod kory jako mleczko.

- To jego krew - szepnął Razak.

- To prawda - zgodził się z nim Nigel. - Płynie szybciej, kiedy jest chłodno. Dlatego zbieracze zaczynają pracę przed świtem. Chodzą po swojej działce, robią sześćset nacięć i po kilku godzinach wracają, żeby zebrać lateks, który przestał już płynąć. Przelewają zawartość zbiorniczków do wiadra i dodają amoniaku, żeby nie zakrzepła. Ale to... - Włożył rękę do zbiorniczka i wyjął garść stwardniałego lateksu. - To się nazywa gruda. - Rzucił ją Razakowi.

- Dziękuję. - Razak pochylił głowę. - *Terimah kasih.*

- Już skoagulowany.

Connie się uśmiechnęła. Tego słowa na pewno nie znali, ani Teddy, ani Razak.

- Stwardniały - przetłumaczyła.

- Skoagulowany... - mruknął syn. Podbiegł do sąsiedniego drzewa i z ręką nad zbiorniczkiem spojrzał pytająco na ojca.

- Śmiało - rzucił ze śmiechem Nigel.

Teddy wygrzebał ze zbiorniczka kulę stwardniałego lateksu i zaczął robić z niego kulkę. Podniósł ją do nosa i powąchał. W przesuwającym się między drzewami świetle Connie zobaczyła, że zmienia mu się twarz, jakby właśnie poczuł zapach swojej przyszłości.

Nigel usiadł z nią na grubej gałęzi. Nie tuż obok niej i nie blisko, ale na tym samym porośniętym mchem konarze. Wyprostował nogi, spędził muchy z kolana i razem patrzyli, jak chłopcy śmieją się i rzucają w siebie kauczukowymi kulkami. Ilekroć Teddy trafił, mąż z satysfakcją klepał się po udach.

- To był dobry dzień - powiedziała Connie. - Dla nas wszystkich.

Nigel kiwnął głową, nie odrywając wzroku od chłopców.

Connie cierpliwie czekała.

- Co się stało, Nigel?

- Johnnie Blake jest w szpitalu. Jego samolot rozbił się podczas lądowania. Podobno podwozie nie wytrzymało.

Serce zabiło jej głucho i szybko.

- Boże, biedny Johnnie. Jest ciężko ranny?

- Ma pogruchotane ramię. Connie zasłoniła ręką usta.

- Mogło być gorzej. Nigel milczał.

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Wczoraj.

- I nic mi nie powiedziałaś?

- Nie. - Mąż nagroził oklaskami celny rzut Razaka. -Już go wypisują, ale nie chce jechać do Anglii na rehabilitację i wraca do Paluru. Zaprosiłem go do nas. Nie chcę, żeby mieszkał samotnie w klubie.

- Oczywiście. Kiedy przyjeżdża?

- Jutro.

- Mógłbyś najpierw to ze mną uzgodnić.

- Właśnie uzgadniam.

Czuła, że w zagłębieniu jej obojczyka zbiera się pot. Na but wspinał się żuk koloru łajna i wielkości piłeczki pingpongowej. Potrząsnęła nogą.

- Zajmiemy się nim. - Wstała. - Pójdę zajrzeć do koni. Odwróciła się i wtedy Nigel powiedział:

- Pamiętaj, że dałaś słowo, Constance. Mam nadzieję, że go dotrzymasz.

Connie odeszła w stronę rzeki.

Napoila konie i przytknęła czoło do boku swojej ko- Biedny Johnnie - szepnęła.

Przykucnęła na brzegu, patrząc na żółte motyle gania-

jące się wokół kamieni. Bawiły się jak dzieci. Zanurzyła kapelusz w letniej wodzie, potrząsnęła nim i włożyła go na głowę, by ochłodzić myśli, ale odwróciła głowę, słysząc jakiś nieprzyjemny odgłos. Coś jak chrapliwy kaszel nałogowego palacza. Otworzyła oczy. O Chryste!

Niecałe dwa metry dalej leżał olbrzymi waran. Connie znieruchomiła. Potwór wyglądał jak kuzyn krokodyla, był dłuższy od człowieka i miał pokryte łuskami ciało zbudowane z potężnych mięśni. Patrzył na nią maleńkimi oczkami i z wysuniętym do przodu wąskim łbem szybko poruszał szarym językiem, smakując powietrze, wachając jej pot. Zaczął smagać ziemię masywnym ogonem, przesuwając leżące na brzegu kamienie i strasząc konie.

Connie powoli wstała. Warany rzadko atakowały ludzi -tak opowiadano - chyba że ktoś był mały albo ranny. Albo martwy. Monstrum otworzyło pysk i zasyczało. Connie zaczęła się cofać, powoli, powolutku, i właśnie wtedy usłyszała krzyk. Wysoki, przeraźliwy krzyk, który nie ustawał i mroził krew w żyłach. Krzyk Teddy'ego.

Zapomniała o waranie. Odwróciła się i wbiegła na zbocze. Kiedy tylko znalazła się na górze, od razu zobaczyła biegnącego ku niej syna. Biegł z szeroko otwartymi ustami, pokazując wszystkie zęby i rozpaczliwie krzycząc:

- Mamusiuuu! Był zalany krwią.

Krew była na rękach. Na koszuli. Na szyi. Pędził, szyb^ ko przebierając małymi, opalonymi nóżkami. Nie, nie, nie!

Wpadł w jej ramiona, pachnąc strachem i krwią. Szybko wzięła go na ręce i pobiegła w kierunku szałas. Zobaczyła Razaka, który stał, patrząc na coś leżącego na ziemi.

- Mamusiu - krzyknął jej do ucha Teddy. - Tatuś jest ranny!

Przytuliła go mocno, czując zapach jego skóry i ziemi we włosach.

- Ty krwawisz.

- Nie. To tatusia... - Policzki miał mokre od łez. Dobiegła do szalasu.

- Nigel!

Mąż leżał na plecach, zasłaniając rękami twarz, jakby chciał coś w sobie zatrzymać.

- Constance... - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Pomóż mi, na miłość boską.

Nogawkę miał przesiąkniętą krwią od kostki aż po udo. Connie postawiła syna na ziemi, pocałowała go w policzek i uklękła na mokrej trawie obok męża. Trawa też była zalana krwią.

- Już dobrze - powiedziała spokojnie. - Zaraz to obejrzę. - I nie podnosząc głowy, dodała: - Razak, zabierz stąd Teddy'ego. - Powiodła wokoło wzrokiem i krok dalej zobaczyła parang. Na ostrzu była krew.

- Co się stało?

Zacząła podnosić rozerwany materiał nogawki. Był czerwony od krwi i przywierał do skóry, ale podniosła go najdelikatniej, jak tylko umiała. Nigel gwałtownie nabrał powietrza, cichutko załkał. Na widok tego, co zobaczyła, zrobiło jej się niedobrze. Połowa łydki była odcięta i zwisała na cienkim pasku skóry. Głęboką dziurę w nodze zalewała krew. Widać było kość i białe ścięgna.

- Od parangu - szepnął stojący z tyłu Razak.

- Kto to zrobił?

- *Tuan*, to *tuan*. Oczywiście, że *tuan*.

- Nigel. - Connie pochyliła się nad mężem i zabrała mu rękę z twarzy. Wstrząsnął nią kolor jego twarzy. Nigel miał sine usta. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Kość jest chyba cała, ale mocno krwawisz. - Ściągnęła bluzkę i została w jedwabnej halce, niezbyt przyzwoitej i wilgotnej, wyrwała z kapelusza skórzany pasek. - Zrobię, co będę mogła. - Oczy miał tak ciemne, że prawie fioletowe,

zupełnie jak nie swoje. - Boję się, że będzie bolało, ale... -Dotknęła jego policzka.

Nigel kiwnął głową i spocony zamknął oczy. Szybko owinęła mu nogę paskiem, tuż nad kolanem, owinęła i mocno zawiązała. Chwyła jakiś patyk, wepchnęła go pod pasek i zakręciła nim, aż opaska werżnęła się w skórę. Nigdy dotąd nie miała do czynienia z takimi ranami, najwyżej z drobnymi skaleczeniami czy płytkimi urazami, i ten widok napawał ją przerażeniem, mimo to ani razu nie zadrżała jej ręka. Jeszcze raz przyjrzała się ranie.

- Nigel - powiedziała stanowczo - nic się nie martw. To tylko płat skóry. Docisnę go, zabandażuję i zawiozę cię do domu. Doktor Rossiter założy szwy. Nic ci nie będzie.

Płat skóry. Raczej kawał zwisającego na skórze krwawego mięsa.

Zawiozę cię do domu - tylko jak? W tej przeklętej dziczy?

Z ulgą wyjęła z kieszeni butelkę ze środkiem odkażającym, poląła palce i zaczęła wyjmować z rany kawałki kory i liście, które pozostawił tam parang. Wszystko było zalane krwią, ale teraz, kiedy założyła opaskę uciskową, Nigel krwawił zdecydowanie mniej. Musiało go bardzo boleć, ale opaska zrobiła swoje i krzyknął tylko raz, kiedy wraz z kawałkiem kory podniosła podłużny fragment mięśnia.

Przez cały czas mówiła do niego łagodnie, nie miała pojęcia co. Poląła ranę środkiem odkażającym i głośno jęknął. Pot piekł ją w oczy. Podniosła głowę i zaskoczona, zobaczyła, że po drugiej stronie klęczy Razak, trzymając rannego za rękę i mamrocząc coś po malajsku, a naprzeciwko niego Teddy, który trzymał rannego za drugą rękę, nie odrywając przerażonych oczu od jego twarzy.

Nigel był śmiertelnie blady, ale miał otwarte oczy i usta zaciśnięte w cienką linię. Bardzo mu współczuła. Wytarła mu pot z czoła i zaczęła przygotowywać się do zamknięcia

rany. Podniosła odcięty kawał ciała i nie zwracając uwagi na wstrząsające mężem dreszcze, przycisnęła go do łydki. Ostrożnie wygładziła skórę, wyrównała brzegi i zabandażowała łydkę bluzką. Potem przewiązała nogę odciętymi rękawami.

- Już po wszystkim. - Nie wiadomo, jakim cudem zmusiła mięśnie twarzy do pracy i posłała mu uśmiech. - Załatwione. Zrobiłam, co mogłam, teraz zajmie się tobą lekarz. Ale jestem pewna, że nic ci nie będzie.

- Dziękuję.

Powiedział to z taką pokorą, że omal się nie rozplakała.

„Jestem twoją żoną, Nigel, twoją żoną!”.

Ręce miała usmarowane krwią, więc wytarła je w trawę, tymczasem Teddy doprowadził konie. Objęła go i uścisnęła. Wciąż klęczący Razak milczał. Nie wiedziała, co dzieje się w jego głowie, i z trudem powstrzymała się, by nie powiedzieć mu, co dzieje się w jej.

- Będziesz musiał wsiąść na konia - powiedziała cicho do męża.

- Wiem.

- Mogłabym cię tu zostawić i sprowadzić lekarza, ale dłużej by to trwało.

- Nie. - Nigel podparł się łokciem. - Dam radę.

- Straciłeś dużo krwi. Osłabiesz. Uśmiechnął się krzywo.

- Konno mogę jeździć nawet przez sen. Ona też się uśmiechnęła.

- Jesteś ostatnim z naszych szalonych kawalerzystów. Niepewnie kiwnął głową i wyciągnął do niej rękę, żeby

pomogła mu wstać. Było ciężko, ale razem z Teddym i Ra-zakiem postawili go na zdrową nogę i wsadzili na konia. Kiedy usiadł prosto, zobaczyła, jak na muślinowym bandażu rozkwita czerwony kwiat.

- Prowadź, synu - rzucił Nigel.

Teddy spojrzał na niego z niepokojem, trącił nogami

boki kucyka i powoli ruszył. Connie szła obok męża, prowadząc konia za uzdę i wraz z towarzyszącym im po drugiej stronie Razakiem podtrzymując Nigela.

- Nie trzeba - wymamrotał mąż.

- Nie chcę, żebyś spadł.

Nigel nachmurzył czoło.

- Nie zamierzam.

Ale po chwili okazało się, że siedzenie prosto kosztuje go za dużo wysiłku i bezwładnie opadł na szyję konia. Podróż powrotna ciągnęła się w nieskończoność. Narastał upał, było tak duszno i wilgotno, że halka przykleiła się jej do ciała. Nad ich głowami krążyły stada much zwabionych zapachem krwi, ale ona widziała tylko coraz ciemniejszą plamę na nodze męża i coś, co wyglądało jak szkarłatne monety, które staczały się z jego buta, znacząc na trawie czerwony szlak.

Nie podobało jej się, że ten piękny ciemnoskóry chłopiec bez przerwy szepcze coś do męża w języku, którego nie rozumiała, do szalu doprowadzało ją to, że tak szybko powiedział: „*Tuan*, to *tuan*. Oczywiście, że *tuan*”. Uważała, że nie ma w tym nic oczywistego. . . .



## ROZDZIAŁ 15

- Jak to się stało?

- Nijak, zwykły wypadek.

Siedziała przy łóżku. On był w pasiastej piżamie i trzymał nogę w bambusowej klatce, żeby bandaż nie dotykał prześcieradła. Na kolanach miał tacę i namawiała go, żeby zjadł trochę jajecznicy z grzanką, ale nie chciał. Miał zaczerwienione policzki. I lekką gorączkę.

Doktor Rossiter był cudowny i jego sprawne, łagodne ręce szybko uśmierzyły cały lęk i strach. Dokładnie oczyścił ranę, pozszywał ścięgna i więzadła, zszył skórę i obandażował nogę. Nigel był słaby jak małe kocię, ale doktor dał mu na sen coś, co wyglądało jak końskie tabletki. O czwartej rano obudził się w ciemności i zobaczył ją na krześle.

- Głodny? - spytała z nadzieją. Lekarz powiedział, że musi jeść, bo stracił dużo krwi.

- Nie.

- Boli?

Nie czekając na odpowiedź, z buteleczki na nocnym stoliku wyjęła dwie tabletki i podała mu je z filiżanką herbaty z mlekiem. Nigel skrzywił się, ale połknął je i popił. Musiało go bardzo boleć. Przez następną godzinę to drzemał, to się budził. Przed świtem do sypialni wślizgnął się Teddy, który posiedział trochę na jej kolanach, ale w końcu wyszedł, żeby nakarmić Pippina. Kiedy Nigel znowu się obudził, przez szpary w żaluzjach wpadały już pierwsze

promienie słońca, a na podjeździe panował ruch. Mąż spojrzał w okno i zmarszczył brwi.

- Spokojnie - powiedziała. - Davenport wszystkim się zajmie.

Davenport, mężczyzna o tubalnym głosie i nienasyconej chęci do ciężkiej pracy, był zarządcą plantacji.

- Dziękuję, Constance.

- Za co?

- Za to, że przywiozłaś mnie wczoraj do domu.

- Nigel, jak to się stało?

- Wypadek, i tyle. - Chciał zbyć jej pytanie pstryknięciem palcami, ale nie miał siły.

- Przecież ścinałeś już gałęzie parangiem i zawsze byłeś ostrożny.

- Teraz też byłem.

Zatrzymała wzrok na jego twarzy. Było w niej coś zagubionego, mętna niepewność w oczach, dziwne ułożenie ust. Jakby przestraszył się samego siebie. Położyła mu rękę na ramieniu i pogłaskała je, ale nie skórę, tylko okrywające ją prześcieradło.

- Widocznie za mało - powiedziała łagodnie. - Czy coś się stało, że omsknęła ci się ręka?

- Nie - odparł.

Za szybko. O wiele za szybko. Czuła gorąco pod palcami.

- Spróbuj coś zjeść.

Ale on zamknął już oczy. Już się od niej odciął.

- Teddy.

Drewniany kogucik w ręku, czubek języka w kąciku ust - syn pochylał się nad drewnianą układanką. Szybko podniósł głowę, jakby bał się złych nowin. Był poniedziałek i powinna zawieźć go do szkoły, ale nie miała serca. Chciał być blisko ojca.

- Tatuś śpi, ale już mu lepiej. Prosił, żebym ci powiedziała, że bardzo mu wczoraj pomogłeś. Ze dzielnie jechałeś przodem i wskazywałeś drogę.

- Pamiętałem wszystkie skręty, prawda?

- Właśnie. Lepiej niż ja. Byłam z ciebie dumna.

Do oczu napłynęły mu łzy. Spojrzał na układankę, odłożył kogucika i wziął kawałek niebieskiego nieba.

- Tatuś szybko wydobrzeje - powiedziała z przekonaniem.

Teddy kiwnął głową, udając, że z nosem dwa centymetry od blatu szuka następnego kawałka.

- Teddy. - Usiadła obok niego. - Powiedz, co tam się stało. Tuż przed wypadkiem.

Zerknął na nią kątem oka.

- Nic.

- Co wtedy robiliście, ty i Razak?

- Bawiliśmy się.

- Kauczukowymi piłeczkami?

- Tak.

- A tatuś przecinał gałąź, tak?

- Tak.

Zapadła cisza, jak wypełniona milczeniem luka. Connie wzięła fragment drewna, starego angielskiego dębu, i położyła go w odpowiednim miejscu, czując, że syn nie odrywa wzroku od jej twarzy.

- Rzucaliście się piłeczkami? - spytała, patrząc na układankę.

- Nie. Rzucaliśmy nimi do góry. Na zmianę. Żeby zobaczyć, kto wyżej rzuci.

- Razak rzucił piłeczką w tatusia?

- Nie! - Syn spojrział na nią osłupiały.

Znalazła go na końcu ogrodu warzywnego. Pracował w cieniu żywopłotu, kopiąc szpadlem dół w świeżo

spulchnionej ziemi; był w sandałach, zbyt lichych do takiej roboty.

- Razak.

Podniósł głowę, czekając, aż do niego podejdzie. Miał nieufną minę, jakby wiedział, co go czeka. Błyszczała mu skóra.

- Razak...

- Jak *tuan*?

- Lepiej.

- Cieszę się.

- Na pewno? Energicznie kiwnął głową.

- *Ya*, tak.

- Przyszłam ci powiedzieć, że już cię nie potrzebuję,

- W warzywniku? Celowo jej nie zrozumiał.

- Nie. W ogóle. Nigdzie.

Stali w ciszy, którą przerywało jedynie skrzeczenie siedzącego w pobliżu szpaka. Czuli się niezręcznie i była na niego zła, ale nie chciała tego okazać. Patrzył na nią przez długą chwilę spod długich czarnych rzęs.

- Nie jestem niedobry - powiedział.

- Zwalniam cię. Ale weź to.

Podła mu skórzany portfel wypchany banknotami. Ponieważ nie chciał go wziąć i nawet nań nie spojrzał, wcisnęła mu go do ręki. Palce miał młodsze i delikatniejsze, niż myślała. Kiedy się cofnęła, wrzucił portfel do dołka i zasypał go ziemią.

- Do widzenia, Razak - powiedziała oschle i odeszła. Nagle wyrósł tuż przed nią ze spiętą z gniewu twarzą.

- Ja nie jestem zły, *mem*. To *mem* jest zła. Nad pani głową krążą złe duchy, szepczą do ucha. - Zrobił z dłoni gadające usta, otwierając je i zamykając, podtykając je pod jej nos. - Widziałem je. One kłamią.

Odwrócił się i długimi, zwinnymi susami pobiegł przez ogród. Oszołomiona Connie zamarła. Mówił prawdę? Na-

prawdę je słyszał? Czy ten cichy szum w głowie to właśnie to, duchy? Myślała, że to z nerwów i niewyspania, ale może się myliła?

Wracała do domu i patrząc na uciekający przed nią poramy cień, z trudem powstrzymywała się, by nie odpędzić go machnięciem ręki.

Porucznik pilot Johnnie Blake przyjechał kilka minut po ósmej rano. Lewą rękę miał na temblaku i był bez munduru, w rozpiętej pod szyją koszuli i szarych flanelowych spodniach. Powitała go w drzwiach, wyściskała i zaprowadziła do salonu, ale kiedy przytrzymała go na długość ramienia i przyjrzała się jego twarzy, natychmiast posmutniała. Johnnie był zmęczony, wyczerpany, miał ciemne worki pod oczami i błyszczący ślad po oparzeniu tuż przy lewym uchu.

- Boże, co z was za idioci! - powiedziała ze śmiechem. - Obydwa ranni, świetna z was para.

- Nigel ranny? Co się stało?

- Nie, nie, nie rób takiej miny, już wszystko dobrze. Jest na górze. Czeka go kilka dni łózkowej banicji.

- Ale co się stało?

- Próbował odrąbać sobie nogę parangiem.

- Jezu Chryste! To śmiertelnie niebezpieczna broń. - Johnnie zamknął oczy, otworzył je, uśmiechnął się i spytał:

- Jak się czuje?

- Wraca do siebie. Doktor Rossiter go pozszywał. A ty? Jak twoje ramię?

- To tylko draśnięcie. - Przewrócił oczami. - Jestem wściekły, że na miesiąc zrobili ze mnie inwalidę, zwłaszcza teraz.

- W takim razie zatrzymam cię tu w charakterze jego oficjalnego zabawiacza. Musisz tylko pilnować, żeby Nigel nie stawał na chorej nodze, dopóki rana dobrze się nie zagoi. Zgoda?

- Zgoda. Jeśli to pomoże, będę chodził w błazeńskim kapeluszu.  
- Świetnie! A teraz biegnij na górę się przywitać. Umiera tam z nudów. I przypomnij mu, że w łóżku nie ma palenia! Zaraz przyniosę wam kawę...

- Lepszy byłby dżin.

- O tej porze? Za wcześnie na alkohol.

- Nie dzisiaj. Sobie też nalej. Dobrze ci robi.

Stał przez chwilę, patrząc na nią z miną, której nie mogła zgłębić. Potem odwrócił się, energicznie przeciął hol i jego długie nogi i potargane jasne włosy zniknęły na schodach. Szybko zrobiła trzy drinki - dżin z gorzką wódką - i poszła na górę. Nigel siedział na brzegu łóżka z nogami na podłodze. Już otworzyła usta, żeby go za to złączyć, ale zobaczyła jego twarz i natychmiast je zamknęła. Mąż był przerażony. Jego skóra miała kolor starego wosku. Patrzył na Johnnie-go, który opierał się o parapet.

- Nie! - krzyknął.

- Co się stało? - spytała.

- Przekłęci mordercy! Zbombardowali Pearl Harbor.

- Pearl Harbor?

- Na Hawajach. Amerykańską bazę wojskową. Boże, to katastrofa nie tylko dla nas, ale i dla całej Azji Wschodniej. Zniszczyli amerykańską flotę. - Nigel wytarł nadgarstkiem usta, jakby chciał zetrzeć te słowa na proch.

- Siedemnaście japońskich bombowców G3M zaatakowało również Singapur - dodał cicho Johnnie. - Raffles Place leży w gruzach, sześćdziesiąt osób zginęło, ponad siedemset jest rannych. W Tengah i Seletarze zbombardowali lotnisko, biedni Gurkhowie też strasznie oberwali.

Connie ścisnęła ręką szyję, żeby zdusić krzyk, który rozpierał jej płuca jak monstrualna zjawa. W głowie słyszała śmiech upiórów.

- To wojna, Constance - powiedział Nigel. - To wojna.

„Oni są uzależnieni”.

Ta myśl powstała w jej głowie dwa dni później, gdy popatrzyła na siedzących wokół mężczyzn i kobiety w zadymionym barze klubu Victoria. „Są uzależnieni od władzy. Jeśli ktoś odbierze im ten kraj, z jego cyną, kauczukiem i drewnem, stracą poczucie tego, kim są, tracą cel w życiu”.

Nigel został w domu, ale jako jeden z uzależnionych, właściciel żywej malajskiej ziemi, duchem był z nimi.

- Atak na Pearl Harbor to znak, że równowaga sił na Pacyfiku została drastycznie zachwiana - powiedział Henry Court, wychyliwszy kieliszek krwawej mary. - Ale znaczy to również, że ci przekleci jankesi przestali się wreszcie ociągać. Japończycy dali im kopa w tyłek i zmusili ich do wypowiedzenia wojny.

- Najwyższa pora! - krzyknął ktoś z sali.

W barze roilo się od ludzi i każdy chciał zabrać głos. Pozbijali się w grupki wokół radia i w palarni, stłoczyli w stadka jak zdenerwowane owce, które czują, że gdzieś w pobliżu krąży wilk. Cała społeczność Paluru przeżyła silny wstrząs i wszyscy szukali bezpieczeństwa w gromadzie. Byli tak przejęci swoim strasznym losem, że nie zauważyli, iż tubylcy, ci z miasta i portu, pierzchają do swoich kalongów, wiosek ukrytych w dżungli.

- Premier Churchill - przypomniał zebranym Henry - mianował Duffa Coopera ministrem-rezydentem do spraw Dalekiego Wschodu w Singapurze. Cooper wszystkiego dopilnuje. To świetny fachowiec.

Connie siedziała bez słowa przy stoliku z jego żoną Harriet, pijąc kawę i słuchając podniesionych głosów mężczyzn.

- Krążą plotki - mówił emerytowany major o rumianych policzkach - że Japończycy szykują desant morski od północy, od strony Kota Bharu, ale jeśli choćby jedna żółta noga postanie na malajskiej ziemi, generał Arthur Perci val i nasza 53 Brygada Piechoty pokażą im, gdzie raki zimują.

- Poza tym ma w odwodzie Hindusów z III Korpusu i Australijczyków z 8 Dywizji. Japońcy uciekną, gdzie pieprz rośnie.

- No i jest jeszcze RAF. Nasze brewstery rozniosą ich w pył.

Wszyscy mieli coś do powiedzenia.

Connie przewróciła oczami i spojrzała na Harriet, która z ponurą determinacją niszczyła olbrzymią porcję ptysiów. Kiedy była zdenerwowana, zawsze szukała ucieczki w jedzeniu.

- Johnnie Blake mówi co innego - szepnęła Connie. - Mówi, że mamy na Malajach za mało samolotów i że brewstery są przestarzałe i słabo wyposażone. Powiedział Nigelowi, że mają za mało części zapasowych i personelu naziemnego, żeby skutecznie walczyć...

- Chryste!

- I że antagonizmy między RAF-em i Królewskimi Australijskimi Siłami Powietrznymi jeszcze bardziej pogarszają sytuację. Nigel wpadł w furję. - Connie popatrzyła na grupkę mężczyzn wykrzykujących coś pod wirującymi wentylatorami. - Mówi, że teraz musimy się zjednoczyć, czy chcemy tego, czy nie.

Wysłuchali orędzia prezydenta Franklina D. Roosevelta do narodu, w którym powiedział, że dzień siódmego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku przejdzie do historii jako dzień hańby, a w „Straits Timesie” przeczytała, że premier Churchill wysłał do cesarskiego rządu Japonii notę, w której napisał, że „nasze kraje są w stanie wojny”.

„W stanie wojny”.

Te trzy słowa były jak wielkie kamienie. Jak olbrzymie głazy, które mogły ich wszystkich zmiażdżyć. Nagle usłyszeli monotony warkot samolotu wysoko w górze i z mocno bijącym sercem spojrzeli na sufit. Ale mężczyzna, który stał samotnie w przeszklonych drzwiach prowadzących na taras, paląc papierosa, powiedział:



- Spokojnie. To bombowiec Bristol Blenheim. Nagi chłopcy nas obronią. Tak jak obronili Penang.

Connie odwróciła się poirytowana tonem jego głosu i zobaczyła szyderczo wykrzywione usta. On też ją zobaczył i pozdrowił skinieniem głowy. Fitzpayne. Wszyscy wiedzieli, że Japończycy, ich myśliwce i bombowce, dzień w dzień atakują Penang, wyspę u zachodnich wybrzeży Malajów, że niebo nad Georgetown przesłania codziennie do osiemdziesięciu samolotów naraz. Zginęło i zostało rannych setki cywilów, tak jak w Singapurze. Zbombardowane były lotniska i tory kolejowe.

- Kto to? - spytała Harriet z widelczykiem pełnym kremu tuż przy ustach.

Connie odwróciła wzrok.

- Nikt. Handluje jachtami.

Harriet kiwnęła głową, ale wzroku nie odwróciła.

- Nikt od nas - mruknęła Connie.

Wstał jeden z plantatorów, wyraźnie zniecierpliwiony i zdenerwowany.

- Nie podoba mi się pański ton, szanowny panie - powiedział. - Nasi piloci dają z siebie wszystko, ryzykując życie dla...

- Czy wiecie państwo - przerwał mu beznamyślnie Fitzpayne - że na Malajach nie ma ani jednego czołgu? Czy bez broni pancernej można prowadzić nowoczesną wojnę?

- Udowodnił pan właśnie, jak mało zna Malaje. Przez tę dżunglę nie przedrze się żaden czołg. Od północy nie zaatakuje nas żadna armia, a w Singapurze mamy wycelowane w morze działa. Zapewniam pana, że to właśnie stamtąd nadciągnie prawdziwe zagrożenie.

Przez salę przetoczył się pomruk zgadzających się z nim głosów.

Fitzpayne uśmiechnął się i pogardliwie zacisnął usta.

- Panowie, to pokazuje, jak mało znacie Japończyków. - Wzruszył ramionami i wyszedł do ogrodu.

- Chryste! - Harriet schowała do torebki zawiniętego

w serwetkę ptysia. - A kto ich w ogóle zna? Są prawem dla samych siebie.

Connie szybko wstała.

- Muszę iść. Mam kilka spraw do załatwienia, potem jadę do szkoły po Teddy'ego.

- Naprawdę?

- Tak.

Umysł jej nie pracował. Trzepotał się na granicy czegoś, czego nie chciała widzieć. Ruszyła do drzwi, lecz nagle przystanęła, spojrzała na Harriet i półgłosem dodała:

- Harriet, nasz jacht jest gotowy do drogi. Jeśli ty i Henry chcecie się przyłączyć, zapraszam.

Zaszokowana Harriet szybko zamrugała. Gwałtownie wciągnęła powietrze i ścisnęła ją za rękę.

- Dziękuję. - Spojrzała przez salę na męża. - Porozmawiam z nim. Ale co z Nigelem? Nie zechce zostawić domu, to całe jego życie.

- Namówię go.

- Jak?

- Znam kogoś, kogo kocha bardziej niż dom. Harriet uśmiechnęła się zazdrośnie.

- Ciebie?

Connie się zaczerwieniła.

- Nie. Teddy'ego.

„Japończycy to zdeterminowany i zdyscyplinowany naród”.

Słowa Sho. Przypomniały jej się, kiedy stała w kolejce po naftę. Mieszkańcy Paluru zaczęli wpadać w panikę, robiąc zapasy podstawowych artykułów spożywczych i niektóre sklepy już je racjonowały, zwłaszcza herbatę, cukier, ryż i mąkę. W kolejce po naftę stali głównie mężczyźni i służący, którzy pozdrawiali ją uprzejmym skinieniem głowy, zaskoczeni widokiem żony samego Nigela

Hadleya, ale ona nie zwracała uwagi na ich ciekawskie spojrzenia. Poczła się bezpieczna dopiero wtedy, kiedy porwała z lady dwie duże metalowe bańki i kiedy Ho Bah ruszył za nią z dwiema kolejnymi.

Przypomniało jej się, jak siedząc po turecku, Sho sącył ciepłą sake i jadł cieniutkie plasterki surowej ryby w ich leśnej chatce. Był w czarno-fioletowym kimonie z wizerunkiem wijącego się smoka, jaskrawego jak malajskie kwiaty. Wyglądał świeżo i miał chłodną skórę, mimo straszliwej duchoty po burzy, która zatrzęsała ścianami wątlej chatki.

- Wierzę - odparła.

- Że jesteście zdeterminowani i zdyscyplinowani.

- Tak. Jeśli jesteś typowym przykładem japońskiej mentalności.

Sprawiła mu tym przyjemność. Jego czarne oczy rozbłysły w półmroku, a usta rozchyliły się jak zawsze wtedy, gdy czegoś od niej chciał, pocałunku czy nowej pieśczoły. Tego dnia jednak zachowywał się dziwnie od samego początku, od chwili, kiedy przyszła. Przyniósł dla nich jedwabne kimona, chociaż każdą minutę spędzali zazwyczaj nago, i położył na podłodze mały jak chustka kwadratowy kawałek białego jedwabiu w charakterze stołu. Siedząc naprzeciwko niego po swojej stronie białego kwadratu, dałaby dużo, żeby zamiast pić sake, zapalić papierosa. Nie lubiła już ich chaty. Wolałaby spotykać się z nim wszędzie, byle nie tutaj. Sho pozawieszał na ścianach zwoje z japońskimi napisami, a pod sufitem rozciągnął sznur, z którego zwisały rzeźbione drewniane zwierzęta o dziwnych, złośliwych pyskach. Coraz częściej czuła się tu jak w bambusowej klatce, wątlej i rozchwierutanej, mimo wszystko w klatce, takiej samej jak jej elegancki dom z szerokimi, ciemnymi schodami.

- Posłuchaj, może w przyszłym tygodniu spotkamy się na wzgórzach? Tam jest chłodniej. Teddy'ego mogłaby odebrać ze szkoły matka jego kolegi, a my...

- Tu mi się podoba.

- Pora na zmianę. Spojrzał na nią.  
- Masz rację. Dlatego dzisiaj zacznę przygotowywać cię do wyjazdu do Japonii.

Drgnęło jej serce, mocno i boleśnie. Nagle zdała sobie sprawę, że to koniec ich romansu, i ogarnął ją smutek.

- Nie bądź niemądry. Nie mogę wyjechać. - By złagodzić znaczenie tych słów, uśmiechnęła się i nachyliła, by dotknąć gładkiej, bladej skóry na jego piersi, w miejscu, gdzie rozchylało się kimono, ale on cofnął się poza zasięg jej rąk.

- Każdy może zrobić to, co chce - powiedział.

- Ja mam syna, Sho.

- Ładny chłopiec.

- Nigdy bym go nie zostawiła.

- Zabierzesz go do Japonii.

- Nie. Szanuję twój kraj, ale nie chcę tam mieszkać.

Chatkę wypełniła cisza. Zimna i lepka cisza, która przywarła do jej stóp, jakby pobliska rzeka wystąpiła z brzegów. I jak rzeka pachniała, tym samym stęchłym zapachem, zapachem zgnilizny. Sho wstał, obszedł malutki pokój i ukląkł tuż za nią. Zasłonił jej uszy i przytrzymał głowę, tak że nie mogła na niego spojrzeć.

- Connie - powiedział dziwnym, cichym głosem. - Jesteś moim życiem.

Chciała się uwolnić, ale trzymał mocno i w jej głowie rozbrzmiało echo dudniącej w uszach krwi.

- Puść mnie, Sho.

Musnął oddechem bok jej szyi.

- Nigdy cię nie puszczę. Jesteś moim życiem, moją miłością, powodem, dla którego żyję na tej ziemi.

Jej gardło ścisnął strach. Poglaskała go po rękach.

- To nie tak, Sho - powiedziała. - Nasz romans nie jest wielkim romansiem, takim na śmierć i życie. To raczej...

- To raczej co? Czym w takim razie jest? Spróbowała wyszarpnąć głowę i roześmiała się wesoło, ale nie zwolnił uścisku.

- To chwila cudownej przyjemności, rozkoszny epizod, którego i tobie, i mnie bardzo brakowało i za który jestem ci wdzięczna. Ale ty mnie nie kochasz. Ty kochasz podniecenie i tajemnicę. Ty tego łakniesz, jesteś do tego stworzony. - Poklepała go w palce i lekko dodała: - A teraz zapomnijmy o sake i chodźmy do łóżka. - Zsunęła z ramion kimono i nie mogąc oprzeć się jej powabowi, natychmiast zabrał ręce.

Pocałował ją w łopatkę.

- Nie chcę twojej wdzięczności - szepnął. - Chcę twojej miłości. Jesteś teraz częścią mnie, należysz do mnie. Wspólne życie jest nam pisane...

Odwróciła się, przeczesala rękami jego włosy i pocałowała go w usta.

- Ciii...

Rozebrała go, wdychając ciepły zapach jego ciała. Od samego początku uprzedzała go, że nie zostawi Nigela ani Teddy'ego. Nie okłamywała go, nie zwodziła. Była z nim szczerą. Tymczasem on od początku okłamywał ją, udając, że łączący ich układ jest tylko przelotnym romanssem, podczas gdy tak naprawdę przez cały ten czas kawałek po kawałku zbierał ją w swoim sercu. Jak mogła tego nie zauważyć? Próbował ją wykraść, wywieźć do Japonii. Nie chciała go urazić, ale wiedziała, że to nieuniknione. Wstała, splotła palce z jego palcami i zaprowadziła go do łóżka.

To będzie ich ostatni raz.

Jego ręka spoczywała ciężko na jej szyi, uciskając tchawicę. Ale Connie ani drgnęła. Czekala bez ruchu w zupełnej ciszy. Oddychała płytko w rytm jego oddechu na wypadek, gdyby oszukiwał ją i w tym. Leżał z zamkniętymi oczami, słysząc zawodzenie much i czując pajęczę muśnięcia cieniutkiej smugi słońca na nagiej nodze. Jakby

była w łóżku obok Nigela, z tą samą sztywną, bezsenną czujnością - co za ironia losu. Przeszedł ją dreszcz. Nie ufała Sho. Już nie.

Kiedy była absolutnie pewna, że zasnął, wyczerpany ich namiętymi wyczynami, wyślizgnęła się spod jego ramienia, po cichutku wstała i na palcach poszła po ubranie. Sho ułożył je starannie w kącie, na czyściutkim prześcieradle, które rozłożył tam specjalnie w tym celu. Był bardzo dokładny i miał swoje nawyki. Stała się jednym z nich, nie zdając sobie sprawy, jaki będzie miało to wpływ na kogoś takiego jak on. Zaląła ją fala smutku, żalu po tym, co oboje" stracili. Dlaczego mężczyźni zawsze odczuwają potrzebę władzy nad kobietami, tak jak kusi ich władza nad krajem? Nie mogą po prostu sobie odpuścić?

Musiała zapalić. Czuła się tak, jakby jej język obrósł gniewem, ale nie gniewem na Sho czy Nigela. Silnym gniewem na siebie. Włożyła bieliznę i otworzyła walizeczkę, z którą Sho nigdy się nie rozstawał i z której teatralnym gestem wyjmował słodkie przysmaki. Papierosów na wierzchu nie było, podniosła więc dużą żółtą kopertę i na dnie zobaczyła paczkę dunhilli. Wyjęła jednego, pstryknęła zapalniczką i głęboko zaciągnęła się dymem. Musiała odejść. Bez pożegnania. Z koperty, którą wciąż trzymała w ręku, wysunęła się zapisana kartka i jak liść sfrunęła na podłogę.

Connie podniosła ją i zobaczyła, że to coś po angielsku. Zaczęła czytać.

## R O Z D Z I A Ł 16

Rzeka i wiatr próbowały się przekrzyczeć i dach domu drżał od głębokiego, dźwięcznego ryku. Madoc leżał w łóżku i słuchał. Źle spał, ale nigdy nie sypiał dobrze. Kitty mówiła, że to z powodu dochodzących z dżungli wrzasków i krzyków oraz jej bezustannego, ciężkiego oddechu, ale on wiedział, że to nie dlatego. Za dużo miał w głowie. Za dużo przeszłości, która chodziła po mózgu w wielgach-nych buciorach, nie pozwalając mu zasnąć.

Powiedział Kitty o rowerach i bardzo się jej to nie podobało. Nie był pewny, czy podoba się jemu. Ale Japońcy zapłacili z góry, a on przyjął pieniądze. Dobili targu i miał na tyle oleju we łbie, by wiedzieć, że zerwanie umowy z japońskim wojskiem nie wchodzi w grę. Z ciężkim westchnieniem przewrócił się na bok, objął ramieniem grań wielkiej góry, czyli Kitty, i pomyślał o dochodach z nowego kasyna. Zapłacił już za stoły. Z ramion spadł mu przynajmniej jeden ciężar.

Poprzedniego wieczoru do małej, obskurnej salki na zapleczu zwałił się tłum i sytuacja wymknęła się spod kontroli, gdy okazało się, że jest za mało stołów do gry w oczko i ruletki. Zrobiło się paskudnie. Musiał skorzystać z pomocy tokariewa, którym rozbił kilka czaszek. Potem ściągnął z góry dziewczyny, żeby pokazały klientom gołe uda. Uspokoił się dopiero wtedy.

Położył rękę na miękkim jak poduszka biodrze Kitty. Skórę na twarzy i rękach miała twardą i opaloną, jak to

w tropikach, ale w sekretnych miejscach, na udach, brzuchu, piersiach i ramionach, gładką jak u młodej dziewczyny. Uwielbiał tę bladość i delikatność. Uwielbiał błękitne żyłki tuż pod powierzchnią, cieniutkie jak wypełniona niebieskim atramentem pajęczyna. Ostrożnie, tak, by jej nie obudzić, dotknął gęstych włosów między jej udami. Połaskotały go w rękę.

Odkąd ją poznał, nie pożądał żadnej innej kobiety. W młodości Kitty była dziewczyną wysoką i posagową. Uśmiechnął się, wspominając, jak to wpadł kiedyś do sklepu bławatnego w Putney w Londynie, żeby kupić belę białej bawełny - wtedy pierwszy raz zobaczył jej niespokojne oczy i burzę włosów. Poprosił, żeby przyszyła mu guziki do koszuli, bo stracił je podczas bójki ulicznej; w tamtych czasach często się bił. Potem zaczekał przed sklepem i kiedy skończyła pracę, odprowadził ją w deszczu do domu.

Dobrze się razem bawili. Wtedy, na początku. Nigdy nie pytała go, skąd bierze pieniądze, gdy kieszenie pękały mu od banknotów, ani gdzie się podziały, kiedy nie miał nic. Zabierał ją na tańce do Ritza i na łódkę w Oxf ordzie, ale gdy przez miesiąc nie miał nawet na jedzenie, Kitty karmiła go kanapkami pod drzewem w Hyde Parku. Żył z kombinowania. Nigdy nie miał stałej pracy. Handlował wszystkim, co wpadło mu w ręce: samochodami, papierosami, chartami i dziewczynami, a kiedy nie mógł zarobić inaczej, szukał czegoś w mrocznych zaułkach londyńskich doków.

Tamtego dnia, gdy przyszedł do niej z zakrwawionymi rękami i drżącymi ramionami, nie wahała się ani chwili. Opatrzyła mu rany, ukryła go w szopie na działce ojca i poszła załatwić paszporty - paszporty i papiery potrzebne do ślubu. Nie było obrączek, nie było kościelnych dzwonów ani nawet bukietu kwiatów, ale nazajutrz, po krótkiej ceremonii ślubnej, znaleźli się na pokładzie statku do Australii. Nie spytał, skąd wzięła pieniądze na bilety, ale już nigdy więcej nie wspomniała o rodzicach, których na ślubie oczywiście nie było.



Australia mu się nie podobała. Za dużo tam było pyłu i psów dingo. Dlatego po paru latach obijania się po kątach, popłynęli najpierw na Filipiny, a potem do Singapuru. W Singapurze miał kłopoty przez podrobiony podpis, więc przenieśli się do Kuala Lumpur i w końcu do Tam-pangu i tam po raz pierwszy zapuścili korzenie. Długie i rozległe, przykuły go na dobre do kawałka ziemi, który wydarł dżungli, i do baru Morgana. Kochał Malaje, kochał ich zapach, ich tłusty, gorący pot. Lubił tubylców, ludzi ciepłych i beztroskich, ale nie znosił tych nadętych Angoli, którzy skradli ten kraj garstce sułtanów i podzielili go między siebie. Wbijając angielską flagę w żyzną malajską ziemię, Stamford Raffles narozrabiał jak jasna cholera.

Ale najbardziej przeszkadzali mu tu Chińczycy, ludzie tacy jak Buli Chan i jego triada. Byli piekielnie zdeterminowani, podstępni i bezlitośni. Byli... Z zamyślenia wyrwał go jakiś dźwięk. Nagle zdał sobie sprawę, że leśna ciemność zaczyna ustępować pierwszym szeptom złotawego światła, które sunęło po ścianie, błyszcząc jak spadająca gwiazda. Dźwięk był początkowo cichy i odległy, ale szybko się zbliżał. Głęboki warkot. Warkot silnika.

- Kitty! - Madoc potrząsnął ją za ramię. - Kitty, obudź się!

- Waruj, tygrysie - wymruczała sennie. - Chce mi się spać. Spróbuj za godzinę. - Naciągnęła prześcieradło na twarz.

- Posłuchaj!

Kitty głucho jęknęła i podniosła głowę.

- Samolot - syknął jej do ucha.

- Na pewno nasz.

- Nie wiadomo.

Pomruk silnika zmieniał się w ryk.

Madoc jak burza wyskoczył spod moskitiery i chwycił z krzesła ubranie. Potrząsnął butami - te przeklęte pająki.

- Wstawaj! Nie zapalaj światła. Szybko!

- Na miłość boską, daj mi spać! - Kitty ukryła twarz w poduszce.

Zerwał z niej prześcieradło.

- Wstawaj! Ale już! - Podniósł z podłogi jej ubranie i rzucił je na łóżko.

Żona usiadła i ziewnęła.

- Przesadzasz, Madoc, nie panikuj.

- Ubieraj się - powtórzył natarczywie. - Musimy uciekać.

Rzuciła w niego butem i zniknęła w kuchni. Gdy niecałe dwie minuty później wróciła i ledwo widoczna w półmroku przeciągnęła się jak kotka, on zdążył już wrzucić do torby nóż, zapalki, świece, latarkę i kawał sera. Za pasem miał pistolet.

- Chryste, Madoc! Mówię ci, że to ten cholerny RAF.

Nie zamierzał się z nią kłócić. Chwycił ją za ramię, wypchnął za drzwi i pociągnął za sobą do dżungli. Nie patrzył w górę, ale wciąż słyszał nadlatujący samolot i ani przez sekundę nie pomyślał, że maszyna ma na ogonie znaki RAF-u. Zatrzymał się, kiedy tylko dobiegli do drzew. W uszach dudniła mu krew, czuł, że ramię Kitty ocieka potem. Znieruchomieli ukryci na skraju dżungli, patrząc w niebo, które na wschodzie szybko zmieniało się w złoto. Widać tam było czarną sylwetkę dwusilnikowego bombowca, wciąż tak małą, że mogłaby uchodzić za przypiętą do klapy broszkę.

- Madoc - szepnęła żona. - Powiedz, że to ja mam rację...

Ale zanim skończyła mówić, od kadłuba samolotu oderwało się coś, co wyglądało jak kilka małych jajek - oderwało się i poszybowało w kierunku polany, na której stał ich bar. Madoc nie mógł na to patrzeć. Nie zważając na oblepiające policzki pajęczyny i na pijawki, które tępymi łebkami wgryzały się w ciało, wciągnął żonę do mrocznej dżungli.

O świcie wrócili, ale bez pośpiechu. Nie, żeby miał jakąś nadzieję. Wściekłość spaliła mu płuca do tego stopnia, że wycinając nożem przejście w gęstwinie, musiał przystanąć i pochylić głowę, bo zabrakło mu tchu. Milczeli. Ani słowem nie wspomnieli o wybuchach i o przypominającej ryk wulkanu eksplozji zbiornika z paliwem do generatora.

Widok, jaki tam zastali, wydarł mu część duszy. Wszystko przepadło. Bar, kasyno, budynki gospodarcze, pomost i łódź - zniknęły, jakby z nieba wychyłała gigantyczna ręka i przeorała pazurami całą polanę. Pozostała jedynie spalona ziemia i okopcony gruz. Wiele razy zaczynał życie od nowa, w nowym miejscu i z nowym nazwiskiem. Ale teraz było inaczej: to był jego dom, jedyny, jaki mieli on i Kitty. Skończył czterdzieści cztery lata i był już za stary, by zaczynać po raz kolejny.

Rozejrzał się szybko, poszedł nad rzekę i stanął na brzegu. Nawet woda cuchnęła dymem. Odwrócił się tyłem do polany i stał tak ze zwieszoną głową i zamkniętymi oczami, chociaż słyszał, jak Kitty grzebie w rumowisku. Znowu ją zawiódł i wiedział, że i tym razem nie będzie miała do niego pretensji. Gdyby trzymał się z daleka od Japończyków, gdyby nie był tak cholernie chciwy, do niczego by nie doszło.

Odwrócił głowę i zobaczył jej wypiętą szeroką pupę: nisko pochylona Kitty wyjmowała coś z okopconego sadzą gruzu. Na małym stosie u jej stóp leżało kilka rzeczy, które zdążyła już wygrzebać: stalowy parang bez rękojeści, osmolona puszka peklowanej wołowiny, kawałek lustra, cynkowa miska i zupełnie nietknięta, cudem ocalała szczoteczka do zębów.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że ją obserwuje. Jej mina powiedziała mu więcej niż wszystko. Szybko podszedł bliżej, ale się cofnęła.

- Przepraszam - szepnęła.

- To nie twoja wina,
- Moja. To ja zwałam na niego drabinę.
- Nie, zrobili to po to, żebym nie doniósł władzom o tych rowerach.
- O rowerach! - warknęła. - Myślisz, że jestem głupia? Wiedzieli, że gdybyś poszedł z tym do władz, gdybyś powiedział im choć słowo o tych waszych interesach, od razu trafiłbyś do więzienia.
- Jeśli nie zrobili tego za rowery, to pewnie za coś innego. - Kłamał i chciał, by mu uwierzyła. - Przepraszam, Kitty. Powinienem był wiedzieć, że to się źle skończy.

Wytarła w spódnicę brudne ręce i spojrzała na niego z krzywym uśmiechem.

- Zawsze się tak kończy. Powoli kiwnął głową.
- Może to i lepiej. Teraz damy tym sukinsynom popalić.

Connie mocno trzymała syna za rękę. Zaniósła naftę na jacht, odebrała go ze szkoły i szli teraz do biblioteki.

Teddy uwielbiał bibliotekę. Był to okazały gmach o grubych ścianach i z małą wieżą zegarową nad nabijanymi ćwiekami drzwiami. Syn lubił to miejsce ze względu na obfitość książek, w których mógł wybierać i przebierać, a ona dlatego, że był to najchłodniejszy budynek w Palu-rze. Nie wlatywały tam muchy i nie dochodził upał, dzięki czemu grzbiety książek nie pleśniały, a kartki nie zwijały się na rogach, tak jak w wilgoci panującej w ich domu. Prawie nad całym miastem unosił się odór ścieków - czuć go było nawet w eleganckim hotelu Windsor - ale w bibliotece zagłuszał go wyraźny zapach skóry, papieru i farby drukarskiej. Przypominał jej Anglię.

Nie spieszyli się. Z nisko pochyloną głową oglądali książkę po książce, oceniając je i wybierając. Po półgo-

dzinie Teddy zdecydował się w końcu na *Białego Kła* Jacka Londona i na powieść przygodową Enid Blyton z serii „Słynna Piątka”, a ona na najnowszą Agathę Christie i biografię Ernesta Shackletona. Na samą myśl o lodzie i śniegu poczuła się lepiej.

- Dzień dobry. Dobrze pani wygląda. Jak się masz, Teddy?

- Pan Fitzpayne. Znowu się spotykamy.

Uściskał jej rękę mocno i krótko. Wyszedł z czytelnicy, gdzie na długich stołach leżały gazety, ale ona nie mogła wyzbyć się wrażenia, że nie jest to przypadek ani zbieg okoliczności. Był w płóciennej czapce i luźnych spodniach, jakby wracał z rybackiego kutra.

- Myślałem, że już pani wyjechała - powiedział. -Wszyscy są teraz tak rozemocjonowani, że...

- Rozemocjonowani? Tak pan to nazywa?

- Widziałem panią dzisiaj na jachcie.

Czy było coś, czego ten człowiek nie widział?

Wyszli na ulicę i włożyła okulary. Po szarej, miękkiej ciszy, jaka panowała w bibliotece, miejski hałas, ostry i przenikliwy, raził uszy. Warczały silniki samochodów, niósł się gwar rozmów, bo ludzie stali grupkami na chodniku, wymieniając się pogłoskami i analizując najmniejsze nawet strzępy wiadomości.

Fitzpayne spojrzał na Teddy'ego. ,

- Były jeszcze jakieś przygody w dżungli?

- Nie, proszę pana - odparł z uśmiechem syn.

- Co wypożyczyłeś? Teddy pokazał mu książkę.

- O psie zaprzęgowym.

- Świetna rzecz. Czytałem ją, jak byłem chłopcem. Zapadła cisza i Fitzpayne przeniósł na nią wzrok.

- Słyszałem o wypadku pani męża. Bardzo mi przykro.

- Czy słyszy pan o wszystkim, co dotyczy mojej rodziny? - Zabrzmiało to ostrzej, niż chciała.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem i uchylił czapkę.

- Mam nadzieję, że szybko wróci do zdrowia. - Powiedział to tak, jakby się żegnał. Ale nie odszedł i wciąż stał przed nią, jakby mieli do załatwienia jakąś niedokończoną sprawę.

Czego od niej chciał?

- Dziękuję - powiedziała. - Życzę miłego dnia. I z Teddym u boku odeszła.

Szybkim krokiem szła w stronę samochodu, który- z syce za kierownicą parkował w cieniu pod rzędem palm. Spotkanie z Firzpayne'em ją zirytowało. Ciągłe ją nachodził i nie miała pojęcia dlaczego. Może prowadził jakieś interesy z Nigelem i miał nadzieję, że mu pomoże? Czyżby chodziło o „Białą Perłę”? O to? O jacht?

Szła skrajem zatłoczonego rynku pełnego kolorowych straganów, gdy ktoś dotknął jej ramienia.

- Connie, słyszałaś coś?

Elsbeth Saunders, matka Jacka, przyjaciela Teddy'ego. Była blada, miała zapadnięte oczy i włosy w strąkach. Connie podejrzewała, że znowu jest w ciąży.

- Elspeth, powinnaś siedzieć w domu, odpoczywać. Ten przekłety upał cię wykończy.

- Tak się boję - powiedziała półgłosem, żeby dzieci nie usłyszały. - Co będzie, jeśli oni tu przyjdą? Podobno robią z jeńcami potworne rzeczy.

- Nie martw się. Po to mamy generała Percivala i jego armię, żeby odparł ich atak. A naszego wybrzeża bronią „Prince of Wales” i „Repulse”. Nic nam nie grozi. Churchill dopilnuje, żeby dobrze nas strzeżono.

Pocieszająco ucisnęła jej rękę, ale odwróciła wzrok, bo nie umiała kłamać. Wiedziała, że Churchill ma teraz na głowie mnóstwo innych spraw. Usłyszała znajomy odgłos i w tej samej chwili ktoś krzyknął:

- Dajcie im popalić, chłopcy! Poślijcie tych sukinsynów do piekła!

Monotonne buczenie samolotowych silników. Mieszkańcy Paluru przywykli już do tego odgłosu, ponieważ niebo nad Malajami patrolował RAF - był to dźwięk, który przynosił pocieszenie i dawał poczucie bezpieczeństwa. Connie zadarła głowę i na jaskrawoniebieskim niebie zobaczyła pięć błyszczących w słońcu maszyn, myśliwiec i cztery ciężkie bombowce. Pomachała im ręką. Buczenie przybierało na sile.

- Mamusiu! - Przerażony Teddy miał szeroko otwarte usta. - Mamusiu, to nie nasze! Mają podwójny ogon, to japońskie!

Connie chwyciła go za rękę i puściła się pędem przed siebie.

Pierwsza bomba spadła na rynek. Potężna fala uderzeniowa dźwignęła Teddy'ego z ziemi i rzuciła go na krawężnik, rozdierając bębenki w uszach i paraliżując mózg. Connie wzięła syna na ręce i pobiegła dalej. Spadły kolejne bomby i znowu zatrzęsała się ziemia.

Ryk eksplozji dochodził również od strony portu. Na ulicy rozległ się krzyk. Bomby spadały bez końca i rozedrgane powietrze poszarzało. Waliły się domy, ogień przeskakiwał ze sklepu na sklep, płuca wypełniały się pyłem i dymem.

Biblioteka. Musimy do biblioteki. W bibliotece była piwnica, w piwnicy będą bezpieczni. Teddy objął ją rękami za szyję i oplótł w talii nogami, ale wiedziała, że ma otwarte oczy, oszołomione i pełne niedowierzania. Zrobiło jej się niedobrze. Na jezdni leżały rozerwane na kawałki ciała. Krzyczał do nich jakiś mężczyzna z płonąca brodą. Zgasiła ogień gołymi rękami i popędziła dalej. Kilkanaście centymetrów przed nimi runął słup telegraficzny i z drutów, wijących się na ziemi jak osmolone węże, buchnął snop iskier. Ominęła je z głucho bijącym sercem. Wokół nich rozpętało się piekło.

- Mamusiu! - krzyknął jej do ucha Teddy. - Japoński myśliwiec! Zero!  
Ponad rykiem pożarów niósł się nowy dźwięk, suchy trzask i stukot karabinów maszynowych. Connie odwróciła się, jeszcze mocniej tuląc do siebie syna, i na widok, jaki zobaczyła, stanęło jej serce. Na końcu ulicy leciał nisko jednosilnikowy myśliwiec, prosto na nich, jakby już zwęszył zapach krwi. Powoli i metodycznie ostrzeliwał rannych i okna domów, wrywając ze ścian kawały tynku, zabijając konie, rozdzierając pulchne policzki jakiejś Malajki, która wygrażała pięścią nadlatującemu potworowi. Biblioteka była tuż, tuż i Connie zalała falą ulgi. Zmusiła nogi do jeszcze szybszego biegu, ale kilka kroków od drzwi drogę zaszedł jej mężczyzna w lekkiej kurtce i podartych spodniach. Wytoczył się chwiejnie na jezdnię i runął na ziemię tuż przed nią.

- Pomocy! - wycharczał, z trudem łapiąc oddech. Tam, gdzie miał kiedyś ucho, ziała mokra, czarna dziura. Po szyi spływała mu krew, krew lała się z jego nóg.

Chciała krzyknąć: nie teraz. Nie teraz!

Zatrzymała się jednak i postawiła Teddy'ego na ziemi. Chwyliła mężczyznę za rękę i próbowała mu pomóc, żeby wstał, ale miał połamane nogi. Ryk samolotowego silnika bombardował jej zmysły, wprawiał w wibrację wypełniające płuca powietrze. Ratatata - stukot karabinów maszynowych tłumił wszystkie inne dźwięki. Teddy miał otwarte usta, coś krzyczał, a ona wciąż próbowała dźwignąć z ziemi rannego mężczyznę, podpierając go ramieniem. Syn krzyczał coraz głośniej, ale go nie słyszała.

- Uciekaj, Teddy! - wrzasnęła. - Do biblioteki! Spróbowała jeszcze raz, ale ranny znowu osunął się na

kolana. Miał udręconą twarz, nieprzytomnie wczepiał się w nią rękami. Odepchnęła syna.

- Uciekaj!

Myśliwiec był prawie nad nimi. Teddy szarpnął ją za



rękaw i rozluźniła palce. Mężczyzna coś krzyknął. Zrozpaczona zgięła się w pól, wzięła go na plecy i ruszyła chwiejnie w stronę drzwi. Syn zwolnił i chociaż jego twarzyczka skurczyła się z przerażenia, zrównał z nią krok, chcąc jej pomóc.

- Nie! Uciekaj, Teddy! Uciekaj!

Coś runęło jej na plecy, omal nie zwałając jej z nóg. Nie upadła tylko dlatego, że podtrzymała ją czyjaś silna ręka. Ktoś wpadł na nią i jednym szarpnięciem zrzucił rannego na chodnik, który z sykiem i mlaskiem siekały już kule -w słońcu zatańczyły kawałki betonu. Ten sam ktoś pchnął ich na kamienną ścianę biblioteki i mocno przygniótł. Za nimi niósł się krzyk rannego mężczyzny.

Myśliwiec przeleciał. Connie odwróciła głowę i zobaczyła ogarniętych paniką ludzi, którzy pierzchali na wszystkie strony i padali na chodnik. Jeszcze więcej ciał leżało na błyszczącym asfalcie. Bolały ją uszy, palce wykręconej do tyłu ręki mocno wbijała we włosy syna.

- Teraz! Szybko!

Przygniatający ich do ściany mężczyzna zrobił krok do tyłu i natychmiast się odwróciła, by zobaczyć, kto ich uratował. Patrzyły na nią szare oczy Fitzpayne'a.

- Do środka - rozkazał. - Szybko. On zawróci.

- Szybko, Teddy!

Pociągnęła za sobą syna, ale zaraz przystanęła, patrząc na mężczyznę, który prosił ją o pomoc. Leżał w kałuży krwi, a dziury w jego kurtce wyglądały jak szkarłatne guziki. Szklistymi oczami patrzył prosto w słońce. W kąciku lewego oka siedziała mucha, spijając zeń wilgoć.

- Przepraszam - szepnęła Connie.

- Niech pani nie będzie głupia - syknął wściekle Fitz-payne. - Mało brakowało i byście zginęli.

Connie gniewnie potrząsnęła głową.

- Ilu ludzi musi jeszcze umrzeć, zanim ten kraj będzie miał mnie dość i wreszcie mnie wypluje?

Wszędzie książki i książki: w piwnicy mieszały się zapachy. Było duszno i gorąco, przepocone ubranie przywierało do ciała. Ale wciąż miała przynajmniej ciało i kończyny, do których mogło przywierać. Prześladował ją widok letniej kurtki poszatkowanej kulami i jej gardło ścisnęła wściekłość. Chciałaby zrzucić japoński samolot z nieba i rozerwać go na strzępy.

Przyszli i inni. Jedni prowadzili rannych, drudzy staczali się ze szlochaniem ze schodów. Kilku czołgało się, pozostawiając za sobą lepki krwawy ślad. Bandażowała ich pociętymi na pasy halkami i koszulami, pocieszała i uspokajała, kołysała w ramionach tych, którzy musieli się do kogoś przytulić i wypłakać. Ilekroć w pobliżu wybuchała bomba, zasłaniała im uszy. Wycierała im łzy. I przez cały czas cicho przeklinała.

- Mówi pani do siebie?

Znowu Fitzpayne. Przyszli tu przed dwiema godzinami i od tamtej pory go nie widziała.

- Nie - mruknęła, prostując plecy. - Opowiadam Japończykom, co bym zrobiła tym, którzy walczą z niewinnymi cywilami. - Odgarnęła z czoła pozlepiane włosy. - Jak tam jest?

- Niedobrze. Samoloty ciągle wracają, falami.

- Co pan tam robił?

- Nic. Odkopywałem z ruin ocalałych.

Przyjrzała mu się uważniej. Był brudny. Miał białe od pyłu włosy, rozerwaną koszulę i zakrzepłą krew na ramieniu.

- Panie Fitzpayne...

- Proszę mi mówić Fitz.

- Fitz, musi pan chyba odpocząć.

Wzruszył ramionami i posłał jej krzywy uśmiech.

- Pani też. - Rozejrzał się i zmarszczył brwi. - Gdzie syn?

- Teddy? - Wskazała kątem głowy, gdzie siedziała

grupka dzieci. Teddy czytał im książkę. - Pomaga mi. Jest bardzo dzielny.

- Tak jak jego matka.

Spojrzała na niego, ale nie, to nie było szyderstwo. Właśnie skończyła bandażować czoło jakiejś kobiecie, więc wziął ją za łokieć i odprowadził na bok. Oparł się o ścianę i na chwilę zamknął oczy.

- Ma pan papierosy? - spytała.

Kiwnął głową i wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalki. Connie przypaliła jednego, podała mu go i zapaliła sama. Wydmuchała smugę dymu i poczuła, że powoli opuszcza ją napięcie.

- Byłam nieuprzejma, przepraszam. Jestem panu bardzo wdzięczna, że nam pan pomógł. Po prostu chciałam...

- Nieważne. Chciała pani go uratować, ale... - Spojrzał na nią swoimi przebiegłymi, inteligentnymi oczami. - Nie da się uratować wszystkich.

Rozejrzała się, popatrzyła na stłoczonych w piwnicy rannych.

- Ale kilku się dało - powiedziała cicho. - Wierzy pan w klątwy?

- Oczywiście. Pani nie?

Spojrzała na niego zaskoczona. Tego się nie spodziewała. Z gorzkim grymasem zaciągnęła się dymem.

- Podąża za mną śmierć. Jak wierny pies. Całe rozbawienie momentalnie znikło.

- Prowokuje ją pani? - spytał.

- Ależ skąd. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Wie pan, co powiedziała mi pewna dziewczynka, kiedy bandażowałam jej rękę? Ze jestem aniołem.

- Anioły przynoszą szczęście.

- Ale nie anioły śmierci.

Natychmiast jego oczy i głos zrobiły się chłodne.

- Na to skazała panią klątwa?

- Tak.

- Nie, pani Hadley, nie może pani trzeźwo myśleć. Otarła się pani dzisiaj o śmierć, to dlatego.

I nagle zrobił coś, czego nigdy by się nie spodziewała. Chwycił ją za podbródek i mocno potrząsnął, jakby chciał wstrząsnąć jej myślami. Przez cały czas przeszywał ją spojrzeniem i czuła dotyk jego szorstkich palców, intymny dotyk mężczyzny, którego prawie nie знаła. Uważnie sondował jej oczy.

- Dlaczego jest pani na mnie zła? - spytał z z troskaniem.

Wyszarpnęła mu się

- Martwię się o męża. Pewnie już słyszał o nalocie.

- Proszę się nie denerwować. Wysłałem tam kogoś. Mąż już wie, że nic wam się nie stało.

Powiedział to tak, jakby wykonał nic nieznaczący gest. Connie była zdumiona.

- Dziękuję. To bardzo miło z pańskiej strony.

Po drugiej stronie piwnicy rozplakało się niemowlę.

- Słyszysz pani? - spytał ostro. - To są odgłosy życia, nie śmierci. Niech pani pomyśli o tym, kiedy znowu przygniecie panią ciężar klątwy.

- Odebrałam je.

- Słucham?

- To dziecko. Tu, w piwnicy, godzinę temu. - Roześmiała się, widząc jego zaskoczoną minę. - Nie jestem akuszerką, ale nikt inny nie umiał pomóc tej biednej kobiecie.

- Ha! - Fitzpayne klepnął ją w plecy tak mocno, że zakaszła. - A więc klątwa już nie działa, odpędziła ją pani.

Connie drgnęła.

- Jak to?

- Życie za życie.

Uciekła wzrokiem w bok. Nie chciała, by widział, jakie wrażenie wywarły na niej te słowa. Zapiekły ją oczy. Zgasiła papierosa.

- Muszę wracać.

- Nie musi pani. Wygląda pani... Dość już pani dla nich zrobiła.  
Spojrzała na swoje zakrwawione ubranie. Dotknęła włosów. Były  
brudne od ziemi i pyłu.

- Nie - powiedziała. - Muszę. -

Nie pierwszy raz widziała tyle krwi, nie pierwszy raz czuła jej zapach.  
Nie, to nie był pierwszy raz. Pierwszy raz był w leśnej chatce, w dniu,  
kiedy wszystko się zmieniło.

- Co czytasz? - spytał ostro. Już nie spał. Wystarczył jeden oddech i ze  
snu przeszedł w stan pełnej czujności.

Już ubrana, siedziała po turecku w nogach łóżka. W rękę ścisnęła  
gęsto zapisaną kartkę z jego walizeczki. Przedtem patrzyła na twarz  
śpiącego kochanka, na znajomy łuk czarnych brwi, jego policzki, na  
senną linię ust. I kiedy spróbowała pogodzić ten widok z tym, co  
przeczytała, umysł odmówił posłuszeństwa.

- Czytam o tym, co robiłam w zeszłym tygodniu - odparła  
beznamiętnie. -1 dwa tygodnie temu, i trzy tygodnie temu...

- To są moje prywatne dokumenty.

- A to... - Potrząsnęła nimi w dusznym powietrzu. -To jest moje  
prywatne życie.

Usiadł prosto i wyciągnął rękę.

- Oddaj - rzucił zimno. Zsunęła się z materaca.

- Kazałeś komuś mnie śledzić.

- Nie. Pilnować.

- Śledzić! - Podniosła kartkę. - *Z tego, co zaobserwowałem, obawy, że  
pani Constance Hadley miewa romanse, są bezpodstawne.* - Rzuciła  
kartkę na podłogę. - *A to? Pani Hadley jest według mnie kobietą  
opanowaną i lubianą przez znajomych, z którymi rozmawiałem. A to?  
Spi z mężem w jednym łóżku.*

Kogo przekupiłeś, żeby zdobyć ten smakowity kąsek? Kogoś ze służby?

Siedział zupełnie nieruchomo.

- Musiałem być ciebie pewny.

- Skoro mi nie ufasz - warknęła - możesz być pewny jednego: tego, że z nami koniec.

Pobladł jeszcze bardziej, zmieniły mu się oczy. Błyskawicznie podszedł do drzwi i nagi zagroził jej drogę ucieczki.

- Nie! - krzyknął. - Nie!

Ten nagły wybuch wytrącił ją z równowagi. Nigdy dotąd nie okazywał, że Connie jest dla niego czymś więcej niż tylko miłą popołudniową rozrywką. I nagle ich przyjaźń legła w gruzach, bezbarwna i rozdeptana jak niedopałki papierosów u jej stóp. Zobaczyła, że Sho spogląda na swoją skórzaną walizeczkę i sposób, w jaki to robił, natychmiast wzbudził w niej czujność. Rzuciła się w tamtą stronę i porwała ją z podłogi.

Ale nie, nie odszedł od drzwi.

- Zostaw to, Connie.

Otworzyła walizeczkę. Tym razem sięgnęła do zapinanej na zatrzask przegródki i szybko przejrzała palcami jej zawartość. Wyjęła mały notes z szagrynowymi okładkami. Kartka po kartce był zapisany równym, starannym pismem, głównie japońskim, ale były tam i fragmenty po angielsku. Zauważyła imię Nigela. I swoje. Przewróciła kartkę. Opis magazynów, opis grzewni, gdzie wytwarzano gumę, opis całego procesu. Znowu japońskie pismo, potem szkic krążownika „Repulse” i suchego doku w Palu-rze. Nazwisko Johnniego Blake'a obok słów: *300 samolotów*. Lista pułków pod nagłówkiem: *Dowództwo sił zbrojnych na Malajach: III Korpus Hinduski, 8. Dywizja (Australia), 11. Dywizja, Pułk Malajski, 53. Brygada Piechoty*. I znowu japońskie pismo, strona po stronie.

Zamknęła notes z gniewnym trzaskiem i zobaczyła na okładce czerwony napis: *300 białych tyranizuje 100 milionów*

*Azjatów*, a pod nim: *Naszymi drzwiami jest KOTA BHARU*. płynąca w żyłach krew zwolniła. Wreszcie dotarło do niej, kim jest Shohei Takehashi. Wstrząs obezwładnił mózg.

- Jesteś szpiegiem - syknęła. - Japońskim szpiegiem.

Co mu powiedziała?

Ileż to razy słuchał opowieści Nigela o przemyśle kauczukowym na Malajach? Ileż to razy rozmawiał z John-niem o lotniskach, o niezniszczalnych działach strzegących Singapuru, o tamtejszej bazie marynarki wojennej?

Kota Bharu? Co to, do diabła, jest?

Brzuch ścisnęły jej kleszcze strachu i rzuciła notes, jakby parzył w ręce. Sho miał kamienną twarz. Ruszył w jej stronę i myślała, że chce go podnieść, ale on uderzył ją w twarz tak mocno, że omal nie wybił jej zębów. W nosie coś pękło i całą głowę objęły macki bólu. Na usta ściekała krew, ciepła i słona.

Connie zamrugwała, zaklęła i potrząsnęła głową, żeby oprzytomnieć. I kiedy znowu wziął zamach, była przygotowana i ze wszystkich sił grzmotnęła go pięściami w nagą pierś, aż zacharczało mu w płucach. Rzuciła się do drzwi, ale chwycił ją od tyłu za włosy. Próbowwała go uderzyć, ale zachwiała się i zatoczyła, bo pociągnął ją w bok jak szmacianą lalkę.

Miała tylko ułamek sekundy, żeby trzeźwo pomyśleć. Zaopiekuj się Teddym, Nigel. Nawet jeśli mi nie przebaczysz, zaopiekuj się naszym wspaniałym synem. Potem ściana wybiegła jej na spotkanie i uderzyła ją w skroń. Naderwała jej ucho. Umysł ogarnęła ciemność, gęsta jak sadza mrok i Connie zapomniała, jak się oddycha.

## ROZDZIAŁ 17

Gdy po nalocie wyszła z Teddym na ulicę, widok potwornych zniszczeń rozkrwawił jej serce. Spod gruzów wydobywano ciała zabitych, ale karetki woziły tylko żywych, więc martwych układano na skrzyniach ciężarówek i każdego z szacunkiem przykrywano workami.

Fitzpayne uparł się, by jej towarzyszyć.

- Zrobiło się niebezpiecznie - powiedział. - Wszędzie grasują szabrownicy.

Teddy był bardzo blady i kurczowo ścisnął ją za rękę.

- Kto to są szabrownicy?

- Ludzie, którzy biorą to, co do nich nie należy.

- Jak piraci?

- Coś w tym stylu.

- I pójdą do więzienia?

- Jeśli zostaną schwytani.

Na ulicy roiło się od ludzi grzebiących w stertach gruzu i poskręcanych belek. Szabrownicy? Czy ratownicy? Connie nie wiedziała, ale było jej wszystko jedno. Chciała tylko jak najszybciej zawieźć syna do domu. Pod jego oczami zagościły cienie, których nigdy tam dotąd nie było.

- Patrz. - Wyciągnęła rękę. - Jest nasz samochód. -Chrysler stał przy krawężniku, dokładnie tam, gdzie go zostawili.

- Zobaczę, czy jest Ho Bah - powiedział Teddy i pobiegł przodem, ciesząc się, że zaraz pojedą do domu.

Fitzpayne zerknął na nią kątem oka.



- Proszę się nie martwić. Jest młody, szybko dojdzie do siebie.

- Oby.

- Przednia szyba jest rozbita.

- Przekłęci Japończycy! Niech ich szlag trafi!

Fitzpayne nie skomentował jej nagłego wybuchu. Teddy stał już przy samochodzie. Zajrzał do środka przez boczną szybę, otworzył i zamknął usta, i zeszywniały mu nogi. Connie puściła się biegiem.

- Boże - jęknęła. - Ho Bah!

Był tam. W samochodzie. Leżał bezwładnie na przednim siedzeniu z raną od kuli na czole. Prawie nie było krwi, tylko mała, okrągła dziurka. Syn krzyknął, kiedy go przytuliła, krótko i przenikliwie. Fitzpayne podniósł starego *syce bez* żadnego wysiłku, jak martwego kurczaka, i położył go na tylnym siedzeniu. Connie przykryła go delikatnie dywanikiem z bagażnika, a Fitzpayne zmiotł odłamki szkła z deski rozdzielczej i przednich foteli. Ona usiadła na miejscu pasażera z synem na kolanach, on za kierownicą.

Jechali długo. Ulice były zryte lejami po wybuchach bomb, zasypane gruzem ze zniszczonych budynków i zablokowane przez powalone słupy telegraficzne, ale cierpliwy i ostrożny Fitzpayne wywiózł ich w końcu z miasta na drogę do plantacji. Teddy siedział z głową opartą na jej ramieniu, a ona mówiła, jak bardzo jest z niego dumna. Nie płakał. Na nic się nie skarżył, ale przez cały czas szczekał zębami.

Po bójce z Sho odzyskała przytomność nagle i gwałtownie. Bolała ją głowa. Otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że leży na podłodze w ich leśnej chatce i ma związane z przodu ręce. Bolała ją również cała twarz, a nos miała zatkany krwią i musiała oddychać przez usta. Serce waliło jej jak młotem. Shohei Takehashi siedział ubrany na łóżku,

przyglądając się jej z miną tak smutną, że aż przerażającą. Zastanawiała się, czy nie usiąść, ale nie była pewna, czy da radę, a nie chciała, by widział, że jest osłabiona. Postanowiła nie wstawać.

- Sho - powiedziała. Głos miała ochryply, ale spokojniejszy, niż się spodziewała. - Mówiłeś, że mnie kochasz.

- Bo cię kocham.

- To wypuść mnie. Nikomu nie powiem o twoim dzienniku.

Usta drgnęły mu w lekkim uśmiechu. ,

- Oboje wiemy, że to nieprawda.

- Jeśli mnie wypuścisz, pojedę z tobą do Japonii. Jego ciemne oczy rozjaśnił na chwilę błysk triumfu. Dostał to, czego chciał.

- Pojechałabyś?

- Tak.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Kiedy wstał z łóżka i podszedł bliżej, szybko usiadła. Nie chciała, żeby jej pomagał. Pogłaskał ją po głowie.

- Złe wyglądasz, kochanie.

Pokój i jego twarz były to ostre, to nieostre.

- Proszę, rozwiąż mnie.

Wciąż głaskał ją po włosach, ale przez cały czas powoli kręcił głową. Wtedy się domyśliła. Już wiedziała, że ten smutny gest i zatroskane spojrzenie nie ma nic wspólnego z krępującymi ją więzami, że nie dlatego ją głaszcz. Była dla niego za dużym zagrożeniem - zamierzał się jej pozbyć. Z cichą determinacją zmusiła nogi do pracy i wstała. On też wstał i spojrzał na nią nieufnie.

- Sho, po co pogarszać sytuację?

Próbowała sobie przypomnieć, gdzie są kluczyki. Jak daleko zostawiła samochód? Da radę tam dobiec?

Tak. Tak, musi. Chodzi o moje życie, o życie Teddy'ego.

- Nie rób tego, Sho. Rozstańmy się i niech każde z nas pójdzie swoją drogą.

- Nie mogę cię zostawić, Connie. Zaczarowałaś mnie i zacząłem popełniać błędy. Przez ciebie za dużo pisałem po angielsku. Może... - Nachylił się, by popieścić jej poharataną twarz, ale się cofnęła. - Może w głębi serca chciałem, byś się dowiedziała.

- Dlaczego?

- Bo wtedy musiałbym cię zabić. Tylko tak mogę się od ciebie uwolnić.

Powiedział to bardzo spokojnie. Bez żadnych gróźb i owijania w bawełnę. Jakby mówił, że chce ją pocałować.

- Wychodzę, Sho. Nie próbuj mnie...

Zanim zdążyła dokończyć, wyjął nóż. Nie wiedziała skąd, ale nóż był cieniutki jak wafelek, jak sztylet, którym -tak sobie wyobrażała - płatni zabójcy zabijali kiedyś papieży we Włoszech. Wyobraziła sobie, jak to wąskie ostrze przebija skórę i wślizguje się między jej żebra. Nabrała powietrza, by krzyknąć, by uderzyć go związanymi rękami i wybiec z chaty. Wiedziała, że nie ma szans, ale nie zamierzała stać i beczynnie czekać.

Uratowała ją malajska dżungla, ta sama dżungla, której tak nienawidziła. Między drzewami przedzierało się stado gibbonów, które z przeraźliwym wrzaskiem, wyciem i krzykiem ścigały pewnie jakiegoś intruza, wypełniając okolicę odgłosami nieokiełznanej agresji. Kiedy Sho odwrócił się i spojrzał w okno, podniosła ręce i ze wszystkich sił uderzyła go między łopatki. Sho stęknął, zachwiał się i zatoczył. Wtedy rzuciła się do drzwi, potracając go po drodze. Kątem oka zobaczyła, że Sho traci równowagę i pada, ale nie zwolniła, dopóki nie chwyciła za klamkę.

Zatrzymał ją ten dźwięk. Odgłos, który przedarł się przez mgłę bólu, furii i strachu. Wysoki, upiorny krzyk. Odwróciła się. Sho leżał na brzuchu w szkarłatnej jak kwiat kałuży krwi, a z jego gardła dochodziło przyprawiające o mdłości rżenie.

Uciekaj! Nie zatrzymuj się!

Zawróciła. Ostrożnie pochyliła się nad kochankiem

i przewróciła go na plecy. W jego gardle tkwił nóż, a on sam wciąż zaciskał palce na kościanej rękojeści. Krew buchała z rany na koszulę. Nadział się, padając.

- Sho!

Z trudem przecięła więzy i ściągnęła bluzkę, przytknęła ją do jego szyi, ale bulgotanie nie ustało, bo z rany z cichym sykiem wciąż wydobywały się bąbelki powietrza. Szybko wyjęła nóż. Ostrze wysunęło się z mokrym mlaśnięciem, które miało prześladować ją przez wiele nocy. Uciskając ranę bluzką, nachyliła się z trzepoczącym się w piersiach sercem, przytknęła usta do jego ust i zaczęła powoli wtłaczać powietrze do płuc. Wdech i wydech, wdech i wydech.

- Oddychaj! - krzyknęła. - Oddychaj!

Ale Sho nie zareagował. Jego ciało zeszywniało i znieruchomiało. W ciągu kilku sekund zgasły w nim wszystkie oznaki życia. Jego oczy były teraz tylko dwiema czarnymi dziurami w czaszce i wiedziała już, że jej kochanek nie żyje.

- Sho!

Mimo to wciąż robiła mu sztuczne oddychanie. Jeszcze mocniej i szybciej niż przedtem. Jakby chciała ożywić go na siłę, wbrew jego woli.

- Nie odchodź - szeptała. - Nie umieraj. Wycierała ustami jego krew, czuła na zębach jej smak,

ale chociaż nie ustawała w wysiłkach, słyszała, jak powietrze, które próbowała wpompować mu do płuc, ucieka ze świstem przez dziurę w gardle. W końcu, ciężko dysząc ze zmęczenia, usiadła na piętach i pogłaskała go po martwym policzku.

- Sho - powiedziała cicho. - Nie możesz odebrać mi syna.

Siedziała przy nim trzy godziny. Krew zakrzepła i była teraz jak czarna, gęsta melasa. Mimo upału skóra Sho zrobiła się zimna, ciało zaczęło obkurczać się na kościach.

Odpędzała muchy. Przez ciemną, lepka plamę na deskach szła żółta jaszczurka, ostrożnie podnosząc nóżki. Zleciały się chmary tłustych, błyszczących much zwabionych zapachem świeżej krwi i kiedy spędzała je z jego szyi, siadały na jej twarzy.

Wreszcie wstała i owinęła mu głowę poszewką. Potem chwyciła Sho za nogi i wywlekła go z chaty. Łup, łup, łup -głowa zadudniła głucho na trzech stopniach schodów.

Uginały się pod nią kolana, ale zawlekła go aż na brzeg rzeki. Gdyby wrzuciła ciało do mulistej, brązowej wody, zostałyby pożarte w ciągu kilku godzin. Ale mogło również popłynąć jak kłoda w dół rzeki, gdzie znaleźliby je wieśniacy albo rybacy. Z ukrytą w rękach twarzą przykucnęła przy Sho, kiwając się do przodu i do tyłu i cichutko zawodząc. Wiedziała, że jeśli opowie policji, co się stało, na zawsze straci syna.

Wstała, wróciła do chaty, zebrała należące do nich rzeczy, łącznie z jego walizką i notesem, rozpała ognisko i wrzuciła wszystko do ognia. Potem, w czymś w rodzaju ceremonii pogrzebowej, rozsypała popiół na wodzie.. W ciągu ostatniego miesiąca kilka razy widzieli tu warana, wielkiego, mierzącego ponad dwa metry jaszczura, który wyłaził z namorzynów i chodził po brzegu, jakby patrolował swoje włości. Teraz działała szybko i sprawnie. Nacięła nożem lewe ramię i kiedy popłynęła krew, znacząc drogę czerwonymi kroplami, szybko przeszła od kępy namorzynów do ciała Sho. Przyjdź i zjedz mnie.

Trzęsącymi się rękami chwyciła kluczyki do swojego samochodu i do jego forda. Ruszyła w stronę ścieżki, nie zdając sobie sprawy, że po jej policzkach spływają łzy.

Kiedy w końcu wróciła do domu, Nigel czekał na nią w drzwiach.

- Na miłość boską, co się stało?

- Byłam na spacerze. Szukałam chłodnego, przewiewnego miejsca na skałach niedaleko Malu i spadłam.

- Wyglądasz tak, jakby potrącił cię autobus.

- Muszę się umyć. Nie chcę, żeby Teddy widział mnie w takim stanie.

- Zadzwonię do doktora Rossitera.

- Nie, nie trzeba. Nic mi nie jest.

- Zadzwonię.

- Nie, proszę.

- Jak ty wyglądasz? Jesteś ranna. Już do niego.

- Nie. Daj spokój. Chcę tylko... odpocząć.

- Constance, inne żony nie wracają do domu całe we krwi. Dlaczego to zawsze ty musisz się wyróżniać? Dlaczego to zawsze ty nie umiesz się dostosować?

- Nie, Nigel, to nie tak. To nie ja odstaję od reszty świata. To reszta tych przeklętych Malajów odstaje ode mnie.

Tym razem czekał na nią Johnnie Blake, zdrową ręką osłaniając oczy przed ostrym słońcem. Firzpayne nie wysiadł.

- Dziękuję, Fitz - powiedziała łagodnie.

- Niech pani zajmie się synem.

- Na pewno to zrobię.

- Zostawię samochód za stajnią.

- Nie, proszę go wziąć. Nie chcę, żeby wracał pan do miasta piechotą. Zrobił pan dzisiaj aż za dużo, poza tym tamci mogą znowu przylecieć. - Ze smutkiem spojrzała przez ramię na tylne siedzenie. Samochód podskakiwał na wybojach i spod dywanika wystawała ręka starego *syce*.

-Pochowamy go tutaj, u nas. Urządzimy mu ładny pogrzeb. Prawda, Teddy? - Potargała synowi włosy.

Teddy nie odpowiedział. Wyrwał się z jej objęć i wyskoczył z samochodu, jakby nie chciał zostać w nim ani chwili dłużej. Minął Johnniego i wpadł do domu. Wszystko zaczynało się rozpadać.

- Constance!

Nigel stał w salonie, podpierając się drewnianą kulą. Wolną ręką obejmował Teddy'ego, który tulił się do niego drżącymi ramionami. Na ten widok zalała ją fala miłości, która zdusiła wszystkie słowa.

- Constance! - powtórzył Nigel.

Miała poszarzałą twarz i był nieogolony. Nigdy nie widziała go nieogolonego. Wstrząsnął nią wyraz jego twarzy, wyraz bezgranicznej udręki. Szybko podeszła bliżej.

- Tak się cieszę, że wróciłam - powiedziała szczerze.

Kula upadła z trzaskiem na podłogę i Nigel objął ją ramieniem, tuląc mocno do siebie i syna. Oddychał ciężko i głośno. Przytuliła policzek do jego policzka, czując, jak raz po raz jej skóra ociera się o szorstką szczecinę.

W nocy rozpętała się burza. Deszcz lał strugami, bębniąc w szyby, i gdyby znowu nadleciały japońskie samoloty, nic by nie usłyszeli. Wiatr targał drzewami, łamał gałęzie i ciskał nimi w ciemność z trzaskiem, od którego waliło jej serce. Ale burza, nie burza, i tak nie mogłaby zasnąć. Chodziła nerwowo po sypialni. Cholera jasna, dałaby wszystko za papierosa. Mała lampa rzucała światło na jej stronę łóżka i po pokoju złodziejskim krokiem skradały się cienie.

Nigel leżał na plecach. Miał zamknięte oczy, oddychał płytko i regularnie, jakby mocno spał, ale ona wiedziała, że nie śpi. Obeszła na palcach łóżko i wślizgnęła się pod moskitierę. Usiadła na brzegu prześcieradła, starając się nie dotknąć męża.

- Nigel - szepnęła. Nie zareagował.

- Nigel, musimy wyjechać.

Powieki mu nie drgnęły, ale z ust wydobyło się ciche:

- Nie.

- Tu jest zbyt niebezpiecznie. Wszystko przemyślałam. Musimy zamknąć dom i wyjechać z Paluru.

Z westchnieniem otworzył oczy i przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Nie miała pojęcia, co chodzi mu po głowie.

- I dokąd byśmy wyjechali?

- Do Singapuru. Tam jest bezpieczniej. Mówią, że Japończycy nigdy tak daleko nie dotrą.

- Nie, Constance. Nie zostawię mojej posiadłości.

- Oni tu przyjdą. Zabiją nas.

- Mylisz się. Już ci mówiłem: Japończycy potrzebują kauczuku, dlatego nie zrobią nam krzywdy.

- Tobie może nie, ale ja nie jestem im potrzebna. Ani Teddy.

W półmroku zobaczyła, jak zaciskają mu się usta.

- Nie ma mowy, żeby dotarli tak daleko na południe. Mamy najlepszą armię w świecie. Trochę wiary, Constance. - Spróbował się uśmiechnąć. - W armię i we mnie.

- Zrozum, że życie mojego syna jest dla mnie ważniejsze niż sterta gumy. Że nigdy tak nie zaryzykuję.

Mówili szeptem. Jakby wypowiedane cicho słowa były mniej niszczycielskie.

- Nie mogę, Constance. Nie mogę porzucić tego, co zbudował mój ojciec i dziad. To jest mój dom. Dom twój i Teddy'ego. Nie mogę go zostawić.

- Nie możesz? Czy nie chcesz?

Nigel szybko zamknął oczy, odcinając się od niej. Położyła mu rękę na piersi na znak, że wciąż tu jest. Serce biło mu mocno i szybko.

- Jutro - szepnęła. - Jutro wyjedziemy.



Noc była długa, dręczyły ją obrazy bombardowania, widok rannych. Cztery razy była u Teddy'ego, który rzucał się przez sen i szarpał, zrywając z siebie prześcieradło. Utulała go i uspokajała. Całowała jego wilgotne włosy i modliła się, by zapomniał o szkarłatnych guzikach na kurtce martwego mężczyzny.

Wraz ze świtem nadciągnęła krwistoczerwona mgła i zdawało się, że wierzchołki drzew płoną żywym ogniem.

- No więc? - Drgnęła. Stała w oknie i nie wiedziała, że mąż już nie śpi.  
- Niby dokąd mielibyśmy wyjechać?

Nie odwróciła się.

- Już ci mówiłam. Do Singapuru.

- Japończycy zbombardowali na pewno wszystkie drogi i tory kolejowe. Nasze wojska natykają się podobno na zburzone mosty.

- Wiem. Dlatego chcę tam popłynąć.

- „Białą Perłą”?

- Tak. Chyba że jest uszkodzona albo zatona. Nigel, musimy uciekać, dobrze wiesz, że musimy. Ze względu na Teddy'ego.

- Moglibyście popłynąć we dwoje.

Odwróciła się dopiero teraz. Siedzący za moskitierą mąż miał potargane włosy i zaróżowione policzki z piętnem snu.

- I zostawić cię tu?

- Tak.

- Nigdzie bez ciebie nie pojedę.

Roześmiał się szczekliwie, krótko i nieprzyjemnie.

- Niby dlaczego?

- Dlatego, że jesteś moim mężem.

Spotkali się wzrokiem, wiedząc, że to nieprawda, nie w pełnym tego słowa znaczeniu.

- Cholera jasna, przecież z tą przeklętą nogą nie dam rady. A sama sobie nie poradzisz.

- Jest jeszcze Johnnie - zauważyła.

- Tak, w świetnej formie. Z tą ręką?  
- Zaprosiłam Harriet i Henry'ego...  
- Co takiego?  
- Wiem, że nie umieją żeglować. Ale mogłabym poprosić kogoś jeszcze.

- Kogo?  
- Znajomego Johnniego, tego Fiztpayne'a.  
- Tego parweniusza, który...  
- On zna się na jachtach, Nigel.

Do pokoju wkradła się cisza. Connie chciała podejść do męża, potrząsnąć nim, pocałować go w szorstki policzek, by wreszcie przejrzał na oczy, ale została przy oknie.

- Nie pozwolę, żeby Teddy wpadł w ręce Japończyków - oznajmiła. Nigel odrzucił moskitierę i jego twarz nabrała ostrości.

- Dobrze, Constance. Popłynę...

Z ulgą ruszyła ku niemu, ale natychmiast ją zatrzymał.

- Ale nie dzisiaj - dokończył. - Nie jutro. Popłyniemy dopiero wtedy, kiedy dowiemy się, co się dzieje na północy. Jeśli nasze wojska odeprą Japończyków, a jestem przekonany, że tak będzie, zostaniemy. Zgoda?

- Zgoda. - Connie nie odrywała wzroku od jego twarzy. - Ale jeśli sytuacja naszych wojsk się pogorszy...

- To niemożliwe. Zobaczysz.

Na tym poprzestała. To jej wystarczyło. Na razie.

Mimo potężnego trzyipółlitrowego silnika jaguar SS nie lubił rozmokłych dróg. Miał niskie zawieszenie i szorował brzuchem po błocie, podskakując na wybojach bez względu na to, jak starannie je omijała. Jechała do Paluru, by na własne oczy zobaczyć, co z „Białą Perłą”, sprawdzić, czy bomby nie rozerwały jej na kawałki. Myśl, że mogły, napawała ją wściekłością.

Po drugiej stronie szosy rozciągały się pola plantacji,

podmokłe i posępne. Na ziemi leżały liście i gałęzie, niebo było jak szare prześcieradło, mimo wiatru, który bezustannie mieszał chmury. Przez otwarte okno wpadał do samochodu, dzięki czemu było trochę chłodniej i czuła, że ma sprawniejszy umysł, jaśniejsze myśli.

- Jak Teddy?

Zerknęła w lewo. Johnnie uparł się, by towarzyszyć jej w charakterze opiekuna, chociaż z uszkodzonym ramieniem nie mógł prowadzić. Cieszyła się, że z nią jedzie. Jego obecność odpędzała najgorsze myśli.

- Jest bardzo cichy. Za cichy.

- Wczoraj przeżył prawdziwe piekło. - Johnnie położył jej rękę na ramieniu, ale zaraz ją zabrał. - Ty też.

- Porozmawiasz z nim?

- Z Teddym?

- Tak. Powiesz mu, jak z tym sobie radzić, z gwałtem i przemocą? Jesteś pilotem, zawsze podziwiał cię jak bohatera. Teraz zobaczył prawdziwe oblicze wojny, przekonał się, że samoloty, które tak uwielbia, sieją śmierć, więc powiedz mu, że każdy się boi, że to normalne. Że nie jest przez to tchórzem.

- O Chryste. Biedny chłopak.

- Próbowałam mu to powiedzieć, ale nie chce mnie słuchać.

- Oczywiście, porozmawiam z nim.

- Dzięki.

Odwrócił się do niej i kątem oka zobaczyła, że się uśmiecha.

- Z tobą też mam porozmawiać?

Poczuła wielką ulgę i roześmiała się wesoło, kontrując kierownicą, bo przednie koła znowu zarzuciły w błocie.

Wiele ulic Paluru zamknięto dla ruchu. Szkody materialne były bardzo duże. W mieście panowała nerwowa

atmosfera, powszechna czujność, bo chociaż mieszkańcy próbowali jak najszybciej powrócić do normalnego życia, to wciąż zerkali w niebo. Samoloty przylecą znowu -wszyscy o tym wiedzieli.

Musiała często cofać, zawracać i skręcać, i w końcu udało jej się dotrzeć do rzeki, ale na widok, jaki tam zobaczyli, doznała wstrząsu. Nabrzeże było zryte lejami po wybuchach bomb, pirsy zniszczone, łodzie roztrzaskane, maszty jachtów połamane jak zapałki. Niektóre z kotwiczących w kanale liniowców wciąż się paliły, a patykowate, nogi niezdamnych dźwigów wyglądały jak pijacy śpiący na zmiażdżonych ciężarówkach. Nad wszystkim wisiała zasłona kłębiącego się dymu.

- Dalej nie wolno! - Policjant podniósł rękę w białej rękawiczce.

- Jadę do...

- Przykro mi. - Nachylił się do okna, pokazując im wąsy a la Ronald Colman. - Na nabrzeżu leży niewybuch. Obowiązuje całkowity zakaz wjazdu.

- Nie rozumie pan. Muszę...

- Daj spokój, Connie - powiedział Johnnie.

- Nie, muszę sprawdzić, czy jacht jest...

- Daj spokój.

- Nie mogę. Ta przeklęta japońska bomba nie powstrzyma mnie...

- Przestań. - Johnnie zdjął jej rękę z kierownicy i przytrzymał. - Dość tego. Jacht może zaczekać.

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Zawróciła, zaparkowała w bezpiecznej odległości od brzegu i wysiadła.

- Przepraszam - powiedziała. - Masz rację. Nie chciałam... - Urwała.

Naprzeciwko ciągnęły się rzędy godownów, magazynów, w których na transport czekały bogactwa tego kraju: cyna, kauczuk, drewno, przyprawy korzenne, ryż, olej palmowy, banany, ananasy i mnóstwo innych towarów.

Na najlepszym miejscu stały magazyny Hadleya. Z tym że już nie stały. Zmieniły się w czarne sterty gruzu tłącego się i dymiącego tak cuchnącym dymem, że musiała zatkać nos.

- Kauczuk Nigela - wyszeptała. - Boże, serce mu pęknie.

- Jest ubezpieczony - powiedział Johnnie dziwnie bezbarwnym głosem.

- Nie o to chodzi. Kauczuk to całe jego życie, dla kauczuku je i oddycha. To jego... - Oderwała wzrok od dymiących ruin i spojrzała na Johnniego.

Po policzkach spływały mu łzy.

Dalej było jeszcze gorzej, o wiele gorzej. Przenoszący się z chaty na chatę ogień strawił slumsy za torami, zmieniając je w popiół. Ocalało ledwie kilka bud, zresztą tylko dzięki temu, że w nocy spadł deszcz. Strażacy byli zbyt zajęci gaszeniem magazynów, by zawracać sobie głowę brudnymi ruderami. Ilu ludzi tam zginęło? Ilu zdołało uciec?

- Oni sajakszczury-powiedział cicho Johnnie.-Porzucają jedno miejsce i natychmiast zaczynają budować gniazdo w innym. Nie martw się. Wielu na pewno przeżyło.

Ale ona się martwiła. Stawiała stopy w popiele i widziała smutek i rozpacz ludzi grzebiących w zgliszczach tego, co kiedyś było ich domem. Wypytywała o bliźnięta Juma-tów, ale nikt nic nie wiedział. Nikogo nic nie obchodziło. Dym gryzł ją w oczy, mimo to szła dalej, chcąc przeszukać każdy zakamarek nieszczęsnego miasteczka. Johnnie nie odstępował jej na krok. W pewnej chwili zobaczyła pokrytego popiołem Malaja, który siedział w kucki przed zgliszczami swojej chaty, tuląc do siebie szerniałe kości dziecka. Miał mlecznobiałe oczy i cicho nucił jakąś melodię.

- Ty! - zawołał. Podeszła bliżej.

- Przykro mi z powodu pańskiej straty - powiedziała. Ale cóż te słowa znaczyły?

Ślepiec skinął szarą głową. Skóra zwisała mu z policzków, jakby miał jej za dużo.

- Umarli - mruknął i wyciągnął do niej brudną rękę. Uścisnęła ją.

- Co to znaczy?

- Ty tu byłaś.

„Skąd on wie? Przecież jest niewidomy”.

- Zna pan bliźniaki Jumatów, Razaka i Mayę? - spytała z nagłą nadzieją.

Położył jej rękę na okopconych kościach w zagłębieniu ramienia i przesunął nią po nich. Connie zadrżała, ale się nie cofnęła. Jeszcze wczoraj to dziecko biegało na słońcu. Ślepiec pochylił głowę i przytknął usta do nagiej czaszki.

- To Mai - szepnął.

- Dziecko Mai?

- *Ya*. Tak.

Zalała ją fala współczucia dla tej młodej dziewczyny. Miała dziecko, ale w chacie go wtedy nie było. Nie było tam nic, co wskazywałoby, że Maya jest matką.

- Ile miało lat? - spytała.

Ślepiec pokazał trzy palce. Trzy lata. A więc zachodząc w ciążę, musiała mieć dwanaście lat i sama była dzieckiem.

- Gdzie ona jest? *Mana*?

Ślepiec wydał dziwny, wibrujący dźwięk.

- Nie żyje.

Drgnęło jej serce. Nie, błagam. Tylko nie ona.

- *AR*azak?

- Poszedł.

- Gdzie?

- Do piekła. - Ślepiec zachichotał i potarł palcami policzki, złościąc nierówne smugi w pokrywającym twarz popiele.

Wcisnęła mu do ręki portmonetkę, a on suchymi, spierzchniętymi ustami ucałował czubki jej palców.

Wyszła z miasteczka z trzęsącymi się rękami, z trudem znajdując drogę w dymiących zgliszczach.

- Spójrz! - zawołał Johnnie. Wszedł na nasyp kolejowy. - Widać maszt „Białej Perły”. - Uśmiechnął się pocieszająco. - Przynajmniej ona nie zatonęła.

- Dzień dobry.

Tropiła go przez dwa dni, zanim trafiła do tego obskurnego baru na skraju miasta. Trociny na podłodze, umalowane jak lalki miejscowe dziewczyny za ladą - zdziwiła się, że Fitzpayne bywa w takich spelunkach. W zadymionej sali panował mroczny nastrój. Mężczyźni o hardych twarzach i twardych pięściach pochylali się nad kuflami piwa, szepcząc, plując na podłogę i strzelając palcami w geście zadowolenia. Załatwiali podejrzone interesy. Zatrudniali i zwalniali pracowników. Ściany ociekały gęstą jak tłuszcz chciwością i kiedy weszła do środka, poczuła, że wszyscy patrzą nie na nią, tylko na jej złoty zegarek i sznur pereł na szyi.

- Pani Hadley!

Fitzpayne wstał. Siedział przy stole z dwoma kompanami i butelką whisky. Zachwiał się lekko i z niesmakiem zdała sobie sprawę, że jest pijany, chociaż była dopiero czwarta po południu.

- Nie wiedziałem, że bywa pani w barze Goodringtona. Z jego piersi dobył się cichy śmiech i widziała, że z niej

kpi. Stłumiła poirytowanie. Nie zamierzała dać się sprowokować.

- Panie Fitzpayne, czy możemy porozmawiać na osobności?

Spojrzała wymownie na jego towarzyszy, z których jeden miał gęstą, potarganą brodę, a drugi musiał brać ostatnio udział w bójce, bo na pamiątkę został mu nos i podbite oczy. Obaj gapili się na nią bezczelnie, z dziwnymi uśmiezkami na twarzach.

Fitzpayne roześmiał się głośno i wytrącił kopniakiem krzesło spod tego brodatego.

- Wynocha! Dama nie ma na czym usiąść. Mężczyźni zniknęli, Fitzpayne pstryknął palcami i umalowana Malajka przyniosła jej szklankę. Przytrzymał dla niej krzesło.

- Proszę spocząć, pani Hadley. Zawahała się.

- Tak daleko pani zawędrowała - dodał półgłosem - że równie dobrze może pani powiedzieć, o co chodzi.

- Nie spodziewałam się, że będzie pan pijany. Posłał jej szeroki uśmiech.

- Wszyscy miewamy momenty słabości. - Usiadł. - Nawet pani. Korciło ją, żeby wyjść.

- Mam dla pana propozycję. Podniósł brew. Znowu z niej drwił.

- Pracy - dodała szybko i usiadła.

- Rozumiem. - Nalał jej whisky i podsunął szklankę. Nie była zbyt czysta. - Słucham. Co to za propozycja?

- Chciałabym zatrudnić pana jako szypra „Białej Perły”. Mój mąż jest ranny i nie może sterować.

Jego brwi ułożyły się w czarną, gniewną linię.

- To dlaczego, do diabła, to nie on siedzi w tej spelunie, prosząc mnie o pomoc?

Connie zaczerwieniła się.

- Już mówiłam. Jest ranny.

Fitzpayne nachylił się ku niej, fragment po fragmencie sondując jej twarz. Czowała, że czerwieni się jeszcze bardziej.

- A pani? - spytał głosem tak zmienionym, że aż obcym. - Pani też?

- Ja? Ależ skąd.

- Myślę, że jest pani w błędzie - ciągnął tym samym głosem. - Wczoraj, kiedy na Palur spadł deszcz bomb, wszyscy odnieśliśmy rany. Pani też. - Odchylił się do tyłu i skrzyżował muskularne ręce. - I pani syn.

Uderzyła ręką w stół.

- Nie przyszłam tu rozmawiać o moim synu.



Przyglądał się jej bez słowa, aż straciła cierpliwość.

- No więc? - spytała ostro. - Zgadza się pan?

- Dokąd chce pani płynąć?

- Do Singapuru.

Powoli pokiwał głową.

- Mogą być kłopoty.

- Dlaczego?

- Może pani nie zauważyła, ale jest wojna. Spodziewała się po nim znacznie więcej. Z trudem zrobiła uprzejmą minę.

- Żegnam pana. Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas. - Zaczęła wstawać z krzesła.

- Jeju, spokojnie - powiedział, jakby była płochliwym źrebięciem, i posadził ją z powrotem na krzesło. - Po co ten pośpiech?

- Jest pan pijany. Na nic mi się pan nie przyda. Zmarnowałam tylko czas.

Roześmiał się cicho i podał jej szklankę. Pokręciła głową.

- Nie powiedziałem, że nie zostanę szyprem pani wspaniałego jachtu. Proszę, niech pani wypije i zapali papierosa. - Rzucił na stół paczkę playersów. - Tymczasem ja rozważę pani propozycję.

Tego dnia jego oczy nie były stalowoszare, tylko mgliście fioletowe i skojarzyły jej się z zimowym porankiem w Anglii, z przenikającym do szpiku kości mrozem. Spojrzała na szklankę w jego wyciągniętej ręce. Nie znosiła whisky. Mimo to wzięła szklankę i wypła wszystko jednym haustem, czując, jak alkohol rozdziera jej wnętrzności. Spokojnymi rękami wyjęła papierosa z paczki i przypaliła jego zapalkami. Fitzpayne uśmiechnął się bez słowa i dolał sobie whisky.

Milczeli przez pięć minut. Ona paliła papierosa, a kiedy któryś z pijaków za długo się na nią gapił, rzucała mu groźne spojrzenie. Niepokoiło ją tylko to, że ilekroć za szybko poruszała głową, brzegi stołu rozmywały się i zaokrąślały, jakby stół też częściowo spłonął w pożarze, który szalał

w mieście. To przez tę whisky. Nie patrzyła na Fitzpayne'a, unikała jego wzroku, ale z każdą upływającą minutą było jej coraz bardziej głupio i czuła, jak od stóp pełźnie w niej w górę fala gorącego gniewu. Mogłaby poprosić innych; powtarzała sobie, że go nie potrzebuje, że takich jak on jest pełno. Na miłość boską, uciec z Paluru, w dodatku na pokładzie „Białej Perły”? Nie opędziłaby się od chętnych. Więc dlaczego się w to pakowała?

Whisky stępiła jednak ból, który z biegiem lat stał się częścią jej codziennego życia, tak jak jedzenie, uśmiechanie się i mycie zębów. Nie, ból nie zniknął, ale ukrywał się teraz pod alkoholem. I kiedy już się tam ukrył, w jej mózgu rozwarła się nowa jego część, co zdumiało ją i przeraziło. Szybko zamrugła, bo część ta była oszałamiająco jasna i klarowna, jak kryształowy kieliszek. Oślepiająco czysta, jak świeżo wysprzątany, na błysk wypucowany pokój. I to właśnie ta ukryta w głębi mózgu część wypluła z siebie prawdę: ufała temu mężczyźnie.

Uświadomiła to sobie, gasząc papierosa w blaszanej popielniczce. Ufała Firzpayne'owi - co za wstrząs. Nie zawsze jej się podobał, ani on, ani jego dziwne humory, no i w tym, że ni z tego, ni z owego pojawiał się w jej życiu, było coś nie tak. Ale jeśli miała z rodziną stawić czoło niebezpieczeństwu, czuła, że jest to człowiek, którego powinna mieć na pokładzie.

- No i? - spytała zaczepnie. - Pana pięć minut minęło. Odstawił szklankę i rozciągnął usta w leniwym uśmiechu.

- Zastanawiałem się, jak długo pani wytrzyma.

- Czy to znaczy, że pan się zgadza?

- Oczywiście. Oboje wiemy, że zgodziłem się w chwili, kiedy mnie pani poprosiła.

- Niech pana diabli wezmą - mruknęła i naląła sobie whisky.

## ROZDZIAŁ 18

W jej głowie pękła tama. I znowu zalała ją chęć do życia. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że umarła i że na lata dała się pogrzebać w czerwonej ziemi posiadłości Hadleyów. Stała przy relingu na dziobie „Białej Perły”, patrząc na promienie słońca, które odbijały się od wody i błyskały wokoło jak pijane świetliki, i wielkimi haustami wdychając życie. Nie małymi łydkami, po których zawsze chce się więcej, tylko potężnymi łykami, które wymiatały z głowy wszystkie śmieci i poluźniały ciasny węzeł u podstawy czaszki.

Wywiozła syna daleko poza zasięg tego, co kojarzyło się z bombami. Teraz musiała otworzyć przed nim nową przyszłość, która poszerzy jego horyzonty i wyniesie go poza otępiające rzędy drzew kauczukowych, *Hevea brasiliensis*. W dniu, kiedy na Palur spadły bomby, Teddy zobaczył o wiele więcej, niż dziecko powinno kiedykolwiek widzieć. Mimo to zanim weszli na pokład, Nigel złożył kategoryczne oświadczenie.

- Wyjeżdżamy tylko na jakiś czas, staruszko - powiedział. - Nie uciekamy, tylko wywozimy syna w bezpieczne miejsce do czasu, aż ustaną bombardowania i wróg zostanie pokonany.

„Nie uciekamy”. W nocy zastanawiała się czasem, kto właściwie jest ich wrogiem. Szalę przeważyla w końcu strata krążownika „Repulse” i pancernika „Prince of Wales”, zatopionych przez japońskie torpedy, i wycofanie

się Brytyjczyków z Penangu. Dopiero to zdopingowało Nigela do działania. Tak, namówiła go do wyjazdu, ale nawet teraz kurczowo trzymała się relingu na wypadek, gdyby w ostatniej chwili zmienił zdanie. Żagle rozdymały się na wietrze jak eleganckie skrzydła - płynęli na zachód, w kierunku otwartego morza, żłobiąc biały szlak w mulistej wodzie rzeki. Kliwer i bukszpryt wskazywały drogę, jakby wiedziały, dokąd zmierzają i jak wielkie nadzieje zawiera w sobie ten delikatny, opływowy kadłub.

Stała bez ruchu, paląc papierosa od Johnniego. Była w słomkowym kapeluszu, zawiązanym pod brodą, żeby nie porwał go wiatr. Cieszyła się, że kapelusz ma szerokie rondo, które chroniło ją nie tylko przed palącym słońcem, ale i przed czujnym wzrokiem Nigela. Mąż siedział na ławce z podpartą nogą i podejrzliwie obserwował na przemian stojącego przy sterze Fitzpayne'a i ją. Jakby jej nie ufał, jakby nie wiedział, co może zaraz zrobić.

W bok trąciło ją czyjeś drobne ramię.

- Teddy. - Z uśmiechem objęła syna. - Zobacz. Jastrząb. Poluje. - Nisko nad wodą szybował szary ptak z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Wyglądał jak poruszający się leniwie starzec.

Teddy popatrzył w tamtą stronę i jego oczy rozbłysły na chwilę jak nowe miedziane monety. Podniosło ją to na duchu. Od tamtego dnia w Palurze oczy syna miały kolor rzecznego mułu i nie zmienił go nawet mały żółw, którego przyniosła do domu. „Biała Perła” miała jednak moc czarodziejskiej różdżki.

Syn oparł o nią głowę i obserwując jastrzębia, spytał:

- Mamusiu, dlaczego Jack z nami nie popłynął?

- Bo jego rodzice postanowili zostać trochę dłużej w mieście.

Elsbeth Saunders schroniła się wraz z dziećmi na posterunku policji i wyszła z bombardowania cała i nietknięta, mimo to zdecydowała - według Connie bardzo niemą-

drze - nie wyjeżdżać z Paluru. Teddy westchnął ze smutkiem.

- To oni zginą - powiedział.

- Ależ skąd. Nie martw się, kochanie. Kiedy uznają, że nadeszła pora, też na pewno wyjadą.

- Przecież pora już nadeszła. - Podniósł głowę, sondując jej twarz. - Tak mówiłaś.

- To prawda. Nadeszła dla nas. Gdybyśmy zwlekali, bomby mogłyby uszkodzić jacht.

Teddy z powagą kiwnął głową.

Jak mogło to wszystko zrozumieć małe dziecko, skoro gubili się w tym nawet dorośli, choćby ona? Jak to się stało, że w ogóle wybuchła wojna? Jak to możliwe, że tak nagle odebrała im ich świat? Teddy kochał Malaje. Mieszkał tu całe życie, tu był jego dom, tak jak mówił Nigel. Obaj chcieli tu wrócić, ojciec i syn, wrócić i sadzić niekończące się rzędy kauczukowców dla przyszłych pokoleń.

- I Chała - burknął. - Chała też została.

- Och, Teddy, nie gniewaj się na nią. Chała bardzo cię kocha, ale wyjazd z Paluru byłby dla niej za dużym krokiem. Pamiętaj, że wielu Malajów nigdy nie wyjeżdża poza granice rodzinnego miasta czy wioski.

Syn znowu kiwnął głową jak stary mędrzec. Nachyliła się, połaskotała go i zachichotał jak małe dziecko, którym przecież był. Gdzieś pod pokładem zaszczekał Pippin.

- Już za cztery dni święta - powiedziała.

- Czy Święty Mikołaj przyjdzie na jacht? Tu nie ma komina.

- Oczywiście, że tak. Nie martw się. Ma specjalne sanie, takie z pływakami, i przylatuje nimi do mieszkających na łodziach dzieci.

- A renifery dobrze pływają.

- Ale wtedy i tak będziemy już w Singapurze. Podróż zajmie nam trzy, cztery dni, zależnie od wiatru.

- Gdzie będziemy mieszkać?

- Zarezerwowałam dla nas pokoje w hotelu. - Zmieniła temat. -  
Chcesz, żebym spytała tatę, czy pożyczy ci lornetkę, żebyś mógł  
popatrzeć na brzeg?

- Tak! Proszę.

Nigel udawał, że czyta książkę *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya, i kiedy stanęła przy relingu z twarzą do wiatru, przez chwilę nic nie mówił. Pod okiem Fitzpayne'a Henry Court szybko uczył się wybierać żagle i fały, a Ra-zak mocować - albo „obkładać”, jak mówił Fitzpayne - liny na knagach i polerach. Connie bawiło, że Henry chwalił się swoimi nowo *nabytymi* umiejętnościami, bo Johnnie, który mógł posługiwać się tylko jedną ręką, robił to ze znacznie większą wprawą i bez niepotrzebnego hałasu.

Uwielbiała fale i rozkoszny dreszcz podniecenia, który przechodził ją, gdy kołysała się wraz z pokładem. Radość z tego, że nareszcie jest w ruchu, że nie siedzi już w miejscu, w klatce, że włosy targa jej wiatr, że powietrze nie oblepia jej już potem - wszystko to razem sprawiło, że była bardziej tolerancyjna dla naburmuszonego męża. To, że jest na pokładzie „Białej Perły” i nie może nią sterować, frustrowało go i wprawiało w ponury nastrój.

Podniósł głowę znad książki i spojrzał na nią spod daszka płóciennej czapki.

- Jak nasz syn? Lepiej?

- Tak, zdecydowanie.

- To dobrze. - Z nachmurzoną twarzą spojrzał nieufnie w puste niebo.

- Możesz pożyczyć mu lornetkę? Będzie uważał. Mąż nie znosił  
pożyczać swoich rzeczy, nawet synowi,

ale wystarczyło, że zerknął na dziób, zobaczył jego pełną nadziei  
minę i od razu się zgodził.

- Jest w szafce, w naszej kajucie.

- Dziękuję - powiedziała wesoło. - Może w Singapurze kupimy mu taką pod choinkę?

- Zobaczymy. - Nigel powrócił do lektury.

- Jak tu gorąco.

Luk, zejściówka i znalazła się w salonie. Harriet siedziała przy stole, układając pasjansa. Zmieniła się, hałaśliwy śmiech odszedł w zapomnienie i chociaż nie okazywała nikomu wrogości, zdecydowanie zamknęła się w sobie. Connie miała wrażenie, że przyjaciółka żałuje swojej decyzji i podejrzewała, że cierpi na chorobę morską, ale mimo licznych namów nie chciała wstać od stołu i wyjść na pokład. Siedziała w salonie i godzinami układała pasjansa, bezustannie uszczuplając zapas kruchych ciasteczek.

- Jak można tyle jeść i nie tyć? - spytała ze śmiechem Connie.

Usiadła na miękkiej ławce, tuż obok przebijającego pokład masztu w przedniej części saloniku. Lubiła to miejsce. Czowała, że właśnie tu bije serce jachtu, w blasku mosiężnych okuć i grubo lakierowanych drewnianych ścian. Siedzenia były pokryte ciemnoczerwonym materiałem, który we wpadającym z pokładówki słońcu zmieniał kolor na krwawy. Odsunęła ciasteczka poza zasięg ręki Harriet.

Przyjaciółka odkryła kolejną kartę i zirytowana prychnęła.

- Do diabła z tym! Nic mi nie wychodzi.

- Czym się tak martwisz?

Harriet odgarnęła włosy i z nagłym rozbawieniem spojrzała na nią znad pikowego asa.

- Szybciej by było, gdybym powiedziała ci, czym się nie martwię.

Świetnie. Chciała przynajmniej rozmawiać.

- Dobrze. W takim razie czym się nie martwisz?

Harriet podparła się ręką pod brodę i długo myślała.

- O swoje małżeństwo.

Trzy proste słowa. Cormie położyła głowę na stole i omal nie zaszczołała z zazdrości.

- Szczęściara - rzuciła z uśmiechem.

Henry Court bywał głośny i pompatyczny - kiedy wypinał pierś i układał w grzebień porastające ją włosy, przypominał papugę kakadu - ale serce miał tam, gdzie trzeba: w kieszeni żony.

- Wyjdź na pokład.

- Nie, dzięki. - Harriet potasowała karty. - Opowiedz mi lepiej o swoim panu Fitzpaynie.

- On nie jest mój. Wynajęliśmy go, to wszystko. Nic o nim nie wiem.

- Może warto się dowiedzieć. Nie wygląda na zwykłego pomocnika.

- Nie - odrzekła w zamyśleniu Connie. - To prawda.

- W takim razie dlaczego się zgodził? Bo go poprosiłam, pomyślała Connie.

- Kto go tam wie - odparła lekko. - Może lubi jachty. Wstała, schowała kruche ciasteczka do puszeki, zostawiła Harriet z kartami i poszła poszukać lornetki.

Ich mała kajuta była wyłożona mahoniem, tak jak salonik. Connie przytknęła rękę do ściany i poczuła, jak drewno wibruje życiem. Stała tak chwilę, by odpędzić wstrząsający obraz Sho leżącego na słońcu w poszewce na głowie, który nagle znowu ujrzała.

Zwalczyła znajome mdłości i szybko podeszła do małej szafki przy łóżku po stronie Nigela. Uklękła, bez trudu znalazła futerał, ale zamknawszy drzwiczki, nie wstała. Oparła głowę o łóżko, które dzieliła z mężem, jakby zbyt ciążyły jej myśli.

Mijał czas. Nie wiedziała, jak długo klęczała w ciszy.



Maya chciała umrzeć.

Gdyby miała nóż, poderznąłaby sobie gardło. Leżała na brzuchu w śmierdzącej czarnej dziurze, a jej duch skamlał w głowie, prosząc, by go wypuściła. Obok niej leżał w ciemności Razak. Obejmował ją ramieniem i mocno przytulał głowę do jej głowy, przytrzymując ją, powstrzymując i nie pozwalając jej wyjść po cichu z jednego życia i przejść do następnego. Och, bracie mój, to niesprawiedliwe. Pozwól mi umrzeć. Ale brat miał połowę jej duszy i nie chciał jej puścić. Leżała więc cicho, ale w środku gwałtownie drżała, bardziej niż wtedy, kiedy miała gorączkę.

Wiedziała, co to jest. To była kara. Razak przez cały czas miał rację, a ona się myliła. Ołać ducha matki. Pomyślała o niej tak nieostrożnie, jakby wylewała rano siki po nocy. Ołać ducha matki. Aj! Co za wstyd. Nie okazała szacunku zmarłym i teraz matka mściła się na niej.

Przebacz mi, mammo.

Miała wrażenie, że jej brzuch rozrywają ostre szpony, i musiała mocno zaciskać powieki, by powstrzymać łzy. Duch matki rozszarpał wnętrze córki, kładąc cierpieć katusze. Znowu poczuła odór swoich własnych wymiocin i znowu poprosiła matkę o przebaczenie.

Nigdy by nie pomyślała, że jej duch jest tak potężny, że bezużyteczny za życia, może zadać tyle bólu po śmierci. Znowu ogarnęło ją przerażenie, jak bezdomnego psa, i za nic nie mogła go odpędzić. Pomszczę cię, mammo. Przysięgam na moje życie. Pomszczę nie dla pieniędzy, tylko dla ciebie. Złe zrobiłam, naśmiewając się z twojej klątwy.

W chwili, gdy wypowiadała w myśli te słowa, do ciemnej dziury wpadłoienne światło. Było jak oddech anioła i miało głos, który powiedział:

- Boże święty, a kogóż my tu mamy?

To była biała pani. Wyciągnęła ich z dziury, przeprowadziła przez pokój i z uśmiechem wielkim jak kawał me-

łona pociągnęła na schody. Dlaczego ich nie skrzyczała? Dlaczego się śmiała? Jasność dnia oślepiła Mayę i musiała zamknąć oczy. Gdy tylko je otworzyła, w ułamku sekundy zobaczyła aż za dużo. W gardle ścisnęło ją z przerażenia.

- Razak - szepnęła, szukając ręki brata.

Wszędzie wokół kłębiła się woda. Podskakiwali jak korek na szerokiej rzece, której brzegi były tak daleko, że wyglądały jak cienka, zielona linia. To dlatego biała pani się śmiała. Ciągnęła ich na brzeg łódki, chciała wrzucić głowę w brązowe fale.

- Nie! *Tidak!* - zaskomlała. Nie do białej pani i nie do zachłannego ducha rzeki. Do swojej matki. - Wybacz.

Biała pani od razu przestała ich ciągnąć i Maya zobaczyła, że dokładnie naprzeciwko nich siedzi mężczyzna z baru, mąż *mem*.

Duch matki jest jednak wszechpotężny, pomyślała.

- Mamy pasażerów na gapę. Zobaczcie, kogo znalazłam w schowku pod tylnym pokładem.

Zleciały się ciekawskie twarze, tyle twarzy. Maya chciała uciec, ale na łodzi nie było uliczek, więc stała tam, patrząc na swoje nogi i czując, że pokład kołysze się jak na grzbiecie wieloryba.

- Maya chora - powiedział Razak. - Potrzebuje pomocy.

- Och, Mayu. - Znowu biała pani i jej łagodny głos. - Masz. Wypij to i poczujesz się lepiej. - Wcisnęła jej do ręki płaską butelkę.

Woda. Kapnęła na usta i Maya nie mogła się powstrzymać: zaczęła szybko pić. Piła i piła, ale chociaż jej wnętrzności błagały o wodę, jakby chciały się w niej utopić, nagle poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Pędem minęła męża białej pani, dopadła barierki i zwymiotowała do rzeki. Trucizna? Objęła się wpół. Ktoś stojący z tyłu wybuchnął śmiechem, więc odwróciła się i spojrzała prosto w oczy człowiekowi z żelaza, który znalazł ich w dżungli. Stał z jedną ręką na wielkim kole, miał otwarte usta i głośno się śmiał.

- Ma chorobę morską - powiedział. - A nie wyszliśmy jeszcze w morze.

Przycupnęła w cieniu. Siedziała na ciepłym pokładzie, opierając się plecami o burtę i czując, jak łódź podskakuje, drży i szamocze się na falach. Położyła głowę na kolanach i delikatnie objęła się wół, żeby się nie rozpaść. Śmierć tańczyła teraz trochę dalej, więc spod przymkniętych powiek mogła popatrzeć na łódź i jej pasażerów.

Uznała, że jest tu prawie tak samo jak Pod Fioletowym Misiaczkim: grupa ludzi, którzy zerkają na siebie niepewnie, podczas gdy hen, wysoko w górze, trzepoczą olbrzymie białe skrzydła, a nawet rozmawiają ze sobą i cicho klaszczą, zupełnie jak publiczność. Tyle tylko, że ci, którzy przychodzili do klubu, byli głodni seksu, a ci tutaj czegoś dużo bardziej niebezpiecznego. Ci tutaj byli głodni przyszłości. Nie wiedzieli, że najpierw trzeba przeżyć dzień dzisiejszy, a dopiero potem jutrzejszy? Zanimby się spostrzegli, przyszłość byłaby już za nimi. Więc po co się o nią martwić?

Spuściła głowę jeszcze niżej i schowała się za kurtyną czarnych włosów. Wiedziała, że tamci obrzucają ją podejrzliwymi spojrzeniami, jakby chcieli poszperać w jej głowie: ten złotowłosy z obandażowanym ramieniem i uśmiechniętą maską na twarzy i ten przysadzisty, rumiany, ten, który nie lubił łodzi, ale lubił własny głos. Tylko *tuan* Hadley na nią nie patrzył. Zawołał Razaka, kazał mu usiąść obok siebie i uczył go gry płaskimi, okrągłymi guzikami na czarno-białej desce. Jego mały syn stał obok i szeptem udzielał mu rad. Rozmawiali po malajsku. Maya czuła się wykluczona.

Ale nie, najbardziej niepokoił ją Żelazny Człowiek o oczach jastrzębia. Stał za tym wielkim kołem i kiedy na niego patrzyła, robił się większy i większy, aż wypełnił sobą całą łódź.

- Chcesz ciasteczko?

Chłopiec trzymał w ręku mały, brązowy prostokąt. Maya spojrzała nań z obrzydzeniem.

- To burbon - powiedział chłopiec. - Moje ulubione. -Widząc, że dziewczyna nie ma ochoty na poczęstunek, nieśmiało dodał: - Jeśli nie weźmiesz, wszystkie zje pani Court. - Gestem ręki wskazał czarną dziurę w podłodze i prowadzące na dół schody.

Maya jak przez mgłę pamiętała, że gdy biała pani wyciągnęła ich z kryjówek i poprowadziła przez lśniący drewniany pokój, siedziała tam jakaś kobieta. Przy stole, a nad stołem unosił się jej małpi śmiech. Miała włosy jak czarny hełm i patrzyła na nich, tak jak Europejczycy patrzyli na wszystkich Malajów. Jakby zeszli z czystego chodnika i wdepnęli prosto w kupę końskiego łajna.

- Ona nie je, tylko zje - powiedział chłopiec.

- Ty nie? - spytała.

- Nie tak jak ona.

Żre? Co to znaczy? Że ma tygrysie kły czy rozrywa jedzenie pazurami?

Chłopiec przykucnął naprzeciwko niej i położył ciasteczko na jej kolanie, tuż przy policzku.

- Dlatego lepiej od razu zjedz. Rozumiesz?

- Tak.

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, mimo to wzięła ciasteczko. Był na nim jakiś napis, ale nie umiała go przeczytać. Powąchała je nieufnie - pachniało czymś słodkim. Na samą myśl, że miałyby je zjeść, zrobiło jej się niedobrze.

- Podoba ci się tu? - spytała, żeby zapomnieć o ciasteczku.

- Tak, jest piękny.

- Ale co?

- No, jacht.

- Mówisz o nim jak o dziewczynie. Czemu?  
- Nie wiem. - Chłopiec zmarszczył czoło tak samo, jak jego ojciec. -  
Może dlatego, że dziewczyny są ładne.

Maya rozejrzała się wokoło.

- Ta łódź nie jest jak dziewczyna, jest brzydka. Samo drewno i sznury.  
I białe prześcieradła. Robi, co jej każą. Jak służąca.

- Niektóre służące są ładne - zauważył z uśmiechem chłopiec. - Na przykład ty.

Łypnęła na niego spode łba. Albo nigdy nie widział ładnej dziewczyny, albo kłamał.

- Razak jest ładny - powiedziała, a on nie wiedząc czemu zaczął tak się śmiać, że omal nie upadł na plecy. Potem usiadł prosto i powiedział jej, jak się wszystko nazywa: dziób, rufa, luk, boja kotwiczna, kajuta, zęza, kambuz, bom, żagle, forsztag, liny, fały, raksa, zaczep, rumpel...

Zatkała sobie uszy. Chłopiec roześmiał się i oderwał jej ręce od głowy.

- Jacht może mieć żagiel trójkątny albo czworokątny - ciągnął. - „Biała Perła” ma trójkątny. - Pokazał do góry. - Widzisz? Trójkątny.

Maya zasłoniła oczy.

- A tam jest watersztag i bukszpryt - dodał, pokazując na przód.

Maya szybko wyrzuciła ciasteczko za burtę.

- A ubikacja to ustęp.

Chłopiec odwrócił się, *zobaczył*, że ciasteczko zniknęło i wyjął z kieszeni inne. To było pokryte jakimś puchem.

- Dobrze, nie? - spytał, błyskając przyjaźnie oczami.

Włożyła ciasteczko do buzi. Patrzył, jak gryzie je i połyka, ale wtedy zawołał go ojciec i Teddy od razu do niego pobiegł. Zatkała usta obiema rękami, żeby nic z nich nie wypadło, i usłyszała czyjś tubalny śmiech. Znowu ten o stalowych oczach. Stał przy kole - jak się ono nazywa? Raksa? A może ustęp? - i się z niej naśmiewał.

I nagle pokład gwałtownie opadł. Maya zerwała się na równe nogi, zwymiotowała ciasteczko za burtę, upadła na kolana, ukryła twarz w dłoniach i jęknęła. Ktoś pogłaskał ją delikatnie po plecach i usłyszała głos *mem*, która mówiła coś tak cicho i łagodnie, że skurcz brzucha zaczął powoli ustępować, mimo gwałtownych protestów ducha matki, który wył w jej uszach.

W tropikach słońce zachodzi jak spadający kamień". Najpierw niebo płonie, podpalając szkarłatem chmury, potem błyskawicznie gaśnie i pozostaje tylko szary popiół. Connie była zawiedziona, że ten codzienny spektakl trwa tak krótko. Na wodzie był jeszcze ładniejszy, bo płonęły nawet fale wokół jachtu. Wychyliła się za reling i czując na twarzy powiew świeżego wiatru, patrzyła, jak ogień rozbłyska i gaśnie. Tuż nad jej głową przeleciało stadko nietoperzy, które gwałtownie zniżywszy lot, śmignęły za bak-burtę. Śledziła je wzrokiem zahipnotyzowana zwinnością, z jaką szybowały w powietrzu. Cieszyć się taką wolnością i swobodą - ciekawe, jak to jest?

- Moskity panią zjedzą - ostrzegł ją głos Fitzpayne'a.

Pozostali pasażerowie zeszli już pod pokład na kolację - Harriet przygotowała świeże ryby, grzyby i smażony ryż - ale Connie nie czuła głodu. Była za bardzo spięta. Fitzpayne stał za sterem przed malutką, otwartą nadbudówką i zaczynała myśleć, że ktoś go do niego przyspawał. Płynęli w dół rzeki. Sztaksel, grot i bezan były wyostrzone na wschodni wiatr i kiedy się odwróciła, na tle ciemniejącego nieba zobaczyła zarys jego szerokich ramion.

- Moglibyśmy stanąć w dryfie - zaproponowała. - Odpocząłby pan.

- Myślałem, że wynajęła mnie pani, bym dowiózł was do Singapuru, możliwie najszybciej.

- To prawda.

- Dlatego płyniemy dalej.

Nie odpowiedziała, ale i nie zeszła pod pokład.

- Wspaniale się ją prowadzi - dodał z uśmiechem, spoglądając na żagle. - W umiarkowanym wietrze, takim jak teraz, jest zwrotna, szybka i świetnie reaguje na ster. - Roześmiał się, ale wiedziała, że nie jest to śmiech przeznaczony dla niej, tylko dla „Białej Perły”. Widać było, że jacht mu się podoba, choćby po tym, w jaki sposób dotykał steru.

Cisza przed nadciągającą nocą zawisła nad wodą jak mgła - słychać było tylko delikatny syk, z jakim dziób przecinał fale, i szelest żagli. Connie milczała, ciesząc się wieczornym spokojem i lekkim kołysaniem łodzi. Pierwszy raz od roku, pełnego udręki, koszmarów i wyrzutów sumienia po tym, co zrobiła w leśnej chatce, poczuła, że wokół jej myśli zaczyna narastać cieniutka warstewka ukojenia.

- On dalej nie popłynie. Dobrze pani o tym wie. Z zamyślenia wyrwał ją głos Fitzpayne'a.

- Słucham?

- Pani mąż.

Fitzpayne wyostrzył na wiatr, więc zaczęła wybierać liny.

- Nigel? Nigel dalej nie popłynie? Oczywiście, że popłynie. Aż do Singapuru, tak jak my wszyscy. Wiem, że wciąż trwają tam bombardowania, ale miasto ma silną obronę i Japończycy go nie zdobędą. Tam będziemy bezpieczni. Odżyjemy i zaczekamy, aż ta straszna wojna się skończy.

W żółtym świetle, sączącym się z salonu przez szklany dach podwyższonej pokładówki, zobaczyła, że Fitzpayne sceptycznie wykrzywia usta.

- Nie ma pani zamiaru tam zostać, tak samo jak ja.

- Nie pamiętam, żebym zwierzała się panu z moich zamiarów.

Jego cichy śmiech rozmył się w zapadającej ciemności.

- Pani mąż nigdy nie wyjedzie z Malajów.

- Nie zna go pan.

- Ale znam takich jak on. Oni się z tym wszystkim zrośli i uważają, że imperium się bez nich nie obejdzie.

- Możliwe.

- Ich ukochane imperium wali się właśnie w gruzy, ale oni są ślepi. Słusznie pani robi, chcąc wrócić do Anglii.

- Kto panu powiedział, że chcę wrócić do Anglii?

- A nie chce pani? - Roześmiał się lekko, nie oczekując odpowiedzi i wciąż przeszywając ją wzrokiem. - Nie? - Mówił bardziej do siebie niż do niej.

- Panie Fitzpayne... - Odpędziła ręką żarłocznego mo-skita, który tańczył nad jej głową. - Czy wie pan, że komary, które tak okropnie bzyczą, są zupełnie nieszkodliwe? To na te ciche trzeba uważać, na te bezszelestne. To one roznoszą malarię. To one są niebezpieczne, i to ich trzeba się wystrzegać.

Fitzpayne przyjrzał się jej uważnie.

- Nie, pani Hadley - odparł. - Tego nie wiedziałem.

Pod pokładem „Białej Perły” były trzy kajuty, wszystkie luksusowo urządzone, tak jak salonik. Kajutę główną zajmowała ona i Nigel. Ta wysunięta bardziej do przodu też miała podwójne łóżko i przeznaczyli ją dla Harriet i Henryego. Trzecia mieściła się na rufie i była w niej piętrowa koba. Teddy wdrapał się natychmiast na górną pryczę i położył na niej plecak, zaznaczając swoje terytorium. Johnnie Blake spał na dolnej, ale kiedy Connie przyszła powiedzieć synowi dobranoc, prycza była pusta, bo Johnnie, Nigel i Courtowie grali w brydża w salonie. Ona nie zносиła brydża. Uważała, że jest to gra specjalnie wymyślona po to, by doprowadzać do tarć i unikać normalnej rozmowy.

Pod pokładem rufowym, w małej niszy za zasłoną,



stały jeszcze dwie wąskie koje, gdzie w normalnych okolicznościach spała służba lub załoga. Jedną zajął Fitzpayne, chociaż wyglądało na to, że nie zamierza z niej korzystać, a drugą przydzielono Razakowi. Maya nie chciała zejść na dół pod pokład, więc Cortnie dała jej koc i kubek.

- Dziękuję, *teñmah kasih* - powiedział grzecznie Razak, ale spuścił długie rzęsy, by nie zobaczyła, jakie myśli się za nimi kryją.

Connie weszła na koję Teddy'ego, zawadzając nogą

o niską drewnianą barierkę, która miała chronić śpiącego przed wypadnięciem podczas sztormu.

- Zobacz, co dla ciebie mam. - Usiadła obok syna; nad głową prawie nie było miejsca. Pomachała zeszytem

1 ołówkiem. - Pamiętnik. Dziennik.

Teddy obejrzał go, przesuwając palcem po pustych kartkach.

- Jedna strona to jeden dzień - ciągnęła zachęcająco. - Możesz tu pisać, co chcesz.

- Ale co?

- Nie wiem. Co tylko przyjdzie ci do głowy. Mógłbyś na przykład opisywać to, co widziałeś na rzece albo...

Teddy stłumił śmiech.

- A mogę opisać, jak pani Court przestraszyła się pająka?

- Oczywiście!

- Ma skórzany pasek. - Syn podniósł kciukiem klamerkę.

- Tak, jak skończysz pisać, zapniesz go i nikt tego nie przeczyta.

- Nawet ty?

- Nawet ja. - Connie z powagą kiwnęła głową. - Do pamiętnika się nie zagląda.

Teddy objął ją za szyję i pocałował w policzek. Ona też go objęła, wdychając słodki, ciepły zapach jego skóry, a potem przeczytała mu rozdział *Białego Kła*. Kiedy zeszła

z pryczy i po cichutku ruszyła do drzwi, oddychał płytko i regularnie i miał zamknięte oczy.

- Mamusiu - szepnął - kiedy dorosnę, zostanę piratem.

Odwinęła bandaż i delikatnie zdjęła opatrunek. Był poplamiony żółtą ropą. Uśmiechnęła się do męża z nadzieją, że pomyśli, iż rana dobrze się goi, i zaczęła przemywać ją środkiem odkażającym. Nigel leżał na plecach, udając, że jest mu wszystko jedno, ale w żółtym świetle lamp naftowych widziała napięcie malujące się na jego twarzy.

- Johnnie jest na pokładzie z Fitzpayne'em. Wiatr wieje teraz na południe ku wschodowi. Nic się nie martw, już niedługo będziesz mógł do nich dołączyć. - Mówiła głupoty, ale chciała, żeby mąż choć trochę się odprężył.

Nigel nawet nie podniósł głowy.

- Nie pocieszaj mnie, staruszek. Nie jestem Teddym. Jak to wygląda?

Connie zaczerwieniła się i przyjrzała nodze.

- Górna część rany dobrze się goi - powiedziała wesoło - ale dolna, tam, gdzie ostrze dotarło do kości, jest wciąż spuchnięta i zaogniona. Ale mniej niż wczoraj. - Ostatnie stwierdzenie było kłamstwem.

- To dobrze. - Nigel nie powiedział nic więcej. Czekał na nowy opatrunek.

Connie ostrożnie przytrzymała łydkę ręką, zaczęła ją bandażować i pomyślała, że do chwili wypadku nie dotykała jego nóg od - musiała dobrze się zastanowić - chyba od ośmiu czy dziewięciu lat. Zapomniała już, jakie to uczucie. Silne mięśnie, sprężyste włoski na goleni i miękkie, jedwabiste gładkie na łydce. Skóra opalona od lat chodzenia w szortach.

- Trzeba odprawić tę dziewczynę. Omal nie upuściła jego nogi.

- Mayę?

- Tak.

- Nie.

- Ona nie znosi wody. Przez cały dzień choruje. Najwyższa pora się jej pozbyć. Najlepiej jutro rano.

- Nie bądź śmieszny. Jest kilometry od domu. Nie możemy wysadzić jej na jakiejś plaży, na zupełnym pustkowiu. Co cię napadło? Dlaczego jej tak nie lubisz?

- Będziemy mieli przez nią kłopoty. Zobaczysz. Nie chcę, żeby łąziła po moim jachcie.

- Po moim jachcie - poprawiła go spokojnie. - Dałeś mi go w prezencie ślubnym, pamiętasz?

Sztywno skinął głową i nic nie powiedział. Zawiązała bandaż i poklepała go po kolanie.

- Czuję się za nich odpowiedzialna. - Zdmuchnęła lampę na stoliku. - Byłam bardzo wzruszona, kiedy ich tu znalazłam. Mieli kłopoty i przyszli do mnie, uznali, że mogą. Przynajmniej pod tym względem zastąpiłam im matkę.

Swojej lampy nie zgasiła, bo chciała trochę poczytać. Powiesiła szlafrok na drzwiach, zostając w cieniutkiej koszuli. Najlepiej czułaby się bez niczego, bo w kajucie panowała straszna duchota - podczas rejsu wszystkie bulaje były zamknięte i zabezpieczone - ale wiedziała, że Nigelowi by się to nie spodobało. Łóżko było mniejsze niż to w domu i nie daj Boże, mógłby jej niechcący dotknąć w tej ciasnocie. Położyła się i poczuła, że mąż odsuwa się od niej.

- O co chodzi, Nigel?

Rozmawiali szeptem, bo ściany były bardzo cienkie. Wystarczyło powiedzieć coś głośniej i wszyscy to słyszeli. Po pokładzie ktoś chodził - pewnie Johnnie albo Razak - i nagle zapragnęła tam być, wśród tych wszystkich komarów i nietoperzy, zapragnęła poczuć chłodny oddech rzeki. Ufała Fitzpayne'owi. Wiedziała, że doskonale radzi sobie za sterem.

- Musieliśmy wyjechać i wiem, że jesteś nieszczęśliwy, ale do twojego powrotu Davenport wszystkim się zajmie.

- Do naszego powrotu.

- Tak, oczywiście.

Umilkli, wsłuchując się w skrzypienie i ciche potrzaskiwanie drewna: „Biała Perła” zmieniła hals i właśnie rozprostowywała kości po manewrze. Connie wyobraziła sobie Mayę z głową nad czarnymi wodami rzeki.

- Ale Razaka lubisz - dodała, jeszcze bardziej zniżając głos. - On ci nie przeszkadza.

Ku jej zaskoczeniu mąż długo nie odpowiadał i zamknął oczy, jakby ciążyły mu powieki. Po chwili jednak się odezwał.

- Razak jest w porządku, nie ma złych zamiarów. Dziewczyna ma.

- Ale jeśli wysadzimy ją na brzeg, on pójdzie za nią.

- Myślisz? Nie jestem pewny. Podoba mu się na jachcie i bardzo chce zobaczyć Singapur. Sam tak powiedział. Teddy też go lubi.

- Nigel, Razak i Maya są bliźniętami. On jej nie zostawi.

- Szkoda. Mam nadzieję, że się mylisz. - Powiedział to tak bezbarwnym głosem, że było oczywiste, iż nie chce już rozmawiać.

- Dobrej nocy, Nigel. - Wzięła książkę ze stolika.

- Dobrej? Wątpię. - Nagle odwrócił głowę i spojrzał prosto na nią. - Dlaczego ci tak bardzo na niej zależy? Bo chyba nie dlatego, że zabiłaś jej matkę.

„Zabiłaś jej matkę”. Pierwszy raz powiedział to tak brutalnie. Poczowała, że otwiera się w niej głęboka rana.

- Chodzi o możliwość wyboru, Nigel. Wszyscy chcemy ją mieć. Ludzie ubodzy, tacy jak Maya i Razak, są jej pozbawieni, przede wszystkim Maya, bo jest dziewczyną. Nie wiem, może nie zechce się uczyć, może odrzuci moją pomoc w znalezieniu pracy, ale chcę jej pokazać, że ma prawo...

- Nie chodzi o nią, prawda?

- Jak to?

- Chodzi o ciebie. - Nigelowi gniewnie błyszczały

oczy, chociaż wciąż mówił szeptem. - O to, że nie chcesz zachowywać się tak jak inne kobiety, że chcesz wszystko kontrolować, wszystkim kierować.

Wyrosła między nimi przezroczysta ściana lodu i Connie poczuła, jak zamarza pot na jej skórze.

- Tak - odparła cicho. - Chcę panować nad swoim życiem. Chcę wiedzieć, że odpowiadam za swoje decyzje, tak jak ty za swoje.

- Nie myśl tylko, że pozwolę ci kierować życiem mojego syna.

- Naszego syna. Nigel odwrócił głowę.

- Czytaj sobie.

## ROZDZIAŁ 19

Była trzecia nad ranem. Connie wyczuła, że zmienia się wiatr i że Fitzpayne postawił więcej żagli. Podniosła głowę i wytężyła słuch. Tak, jacht szedł teraz z wiatrem, wyraźnie przyspieszył. Nigel musiał spać na plecach i cicho pochrapywał, więc ubrała się po ciemku, zaparzyła herbatę w kambuzie i bezszelestnie wyszła na pokład.

W twarz uderzyło ją nocne powietrze. Wybudziło ją z odrętwienia, w które wpadła, kiedy mąż *powiedział* „mojego syna”, jasno i wyraźnie dając do zrozumienia, że jeśli tylko zechce, w każdej chwili może odebrać jej dziecko. Przystanęła, dostosowując się do ruchu długich, swobodnych fal, i wiedziała już, że są na morzu. Czuła jego oddech, smak soli na ustach. Szli pod pełnymi żaglami, a ćmy oblepiające lampę na rufie wyglądały jak warstwa błyszczącej farby.

Johnnie drzemał na ławce; musiał się porządnie spracować przy wybieraniu żagli. Fitzpayne stał za sterem, utrzymując jacht na kursie. Nie wiedział, że przyszła, bo wiatr zagłuszał jej kroki, i w świetle lamp wyraźnie widziała go z profilu. Uderzyła ją ta mocno zarysowana twarz, twarz delikatnie odmieniona, jakby w ciągu nocy zmienił mu się układ kości.

Dlatego że znalazł się na pokładzie „Białej Perły”? Czy to płynąca pod nimi woda i targający żaglami wiatr pozbawiły go sztywności i widocznego w ruchach napięcia? Kołysał się wraz z pokładem, jakby był z nim zrośnięty,

a jego włosy przedtem zaczesane mocno do tyłu ciemnobrązowymi kosmykami spadały mu teraz na twarz.

- Herbaty? - spytała. , . Zaskoczyła go i roześmiał się cicho.

- Dziękuję.

- Czy pan nigdy nie śpi?

- To pan porucznik pilot Blake zasłużył sobie na sen. Pomagał mi przez całą noc.

- Znowu wypowiadasz nadaremnie moje imię? - Johnnie usiadł i poprawił temblak. Rozmawiali cicho, żeby nie obudzić śpiących pod pokładem.

- W kambuzie masz herbatę - powiedziała. - Musisz lecieć z nóg. Idź się przespać, teraz moja kolej.

Johnnie wstał i ziewnął.

- Poradzisz sobie?

- Oczywiście. Idź. Daj odpocząć ręce.

- Obudźcie mnie za parę godzin. Będę...

- Zmiataj stąd!

Johnnie roześmiał się, dotknął jej ramienia i zniknął w luku.

- Biedny jest - powiedziała. - Utknął tu z tą ręką, podczas gdy jego koledzy latają. - Zadarła głowę, popatrzyła na wielki łuk czarnych chmur i przez chwilę nie wiedziała, czy morze jest nad nią, czy pod nią. Słyszała tylko jego oddech.

- Zastąpię pana. Niech pan usiadzie.

Fitzpayne zawahał się. Po jego minie poznała, że chce odmówić, że wolałby nie przekazywać jej steru. Chociaż nie, puścił koło i odszedł na bok, jakby nagle przypomniał sobie, kto jest właścicielem jachtu. Zajęła jego miejsce.

- Dziesięć stopni na południe. Niech pani tak trzyma.

Zerknęła na mosiężny kompas oświetlony małą lampką oliwną i kiwnęła głową. Prąd ściągał ich w lewo, więc lekko odbiła w prawo. W ciemności widać było tylko latarnię na dziobie, niewyraźny zarys masztu i bączka na pokładówce. Dziwne, ale cieszyła się odosobnieniem, ja-

kie przynosiła noc, delektowała się tym, że nic nie widząc, mogła swobodnie kierować swoim życiem. Otaczające ich fale były zupełnie czarne i miały tylko błyszczące grzbiety.

- Zmieniła się pani.

Głos dobiegł z ciemności. Wiedziała, że Fitzpayne tam jest, ale widziała tylko jego zamazaną sylwetkę i koniuszek papierosa, który wyglądał jak siedzący na ławce świetlik.

- Nieprawda - odrzekła.

Wiatr skradł jego śmiech. Przecież to on się zmienił, nie ona. Gwałtownie załopotał żagiel i usłyszała, jak Fitzpayne wybiera sztagi na bakburcie. Świetlik wyskoczył za burtę i utonął.

- Prawda - powiedział cicho. - Kiedy tylko wypłynęliśmy.

- Nie.

- Tak. Wychynęła pani ze skorupy.

- Byłam w skorupie?

- Tak.

Zapalił kolejnego papierosa. Osłonił zapałkę dłońmi, jednak płomień oświetlił jego oczy i uderzyła ją przenikliwość tego spojrzenia, które zdawało się sięgać do jej gardła, by coś z niej wydobyć. Tylko co? Czego od niej chciał? Nie były to oczy mężczyzny skrępowanego konwenansami.

- Tak, w pękniętej, ale w skorupie.

- Myli się pan.

- Czyżby?

Podszedł do niej po cichu - był na bosaka - i tylko nowy świetlik w jego ręku wskazywał, skąd i dokąd idzie. Stał w kręgu światła wokół kompasu, szarmancko pochylił głowę i podał jej papierosa.

- Inaczej się pani śmieje, inaczej się pani porusza, szczerze się pani uśmiecha. Teraz już rozumiem dlaczego... - Urwał.

- Dlaczego co? - spytała.

Wzruszył ramionami i wycofał się w ciemność.



- W taką noc jak ta czasem kuszą nas słowa, których lepiej nie wypowiadać.

- Niech mi pan coś o sobie opowie, panie Fitzpayne.

- Fitz.

- Za dużo pan o mnie wie.

- Więcej, niż pani myśli. - Powiedział to szeptem. Przez sekundę myślała, że się przesłyszała, zwłaszcza że jak gdyby nigdy nic mówił dalej. - Nie ma co opowiadać. Handluję łodziami, już mówiłem. Bardzo nudne zajęcie.

- Co pana sprowadziło na Daleki Wschód? Zapadła cisza i jacht cicho westchnął.

- Pani i ja przyjechaliśmy tu w poszukiwaniu tego samego.

- To znaczy?

- Ekscytacji. Poczucia swobody. Roześmiała się.

- Jeśli tak, to ja tego nie znalazłam. A pan?

- Może kiedyś. Trochę. Teraz prowadzę spokojne życie. Nie uwierzyła mu, ale puściła to kłamstwo mimo uszu.

- W Singapurze nie będzie spokojnie.

Zaciągnęła się dymem i wyobraziła sobie tłumy uciekinierów takich jak oni, które wlewają się do miasta, uchodząc przed wrogimi wojskami. Nigel chciał wrócić do Pa-luru wraz z całą rodziną i podjąć przerwana pracę, ale ona nie miała złudzeń. Wiedziała - była o tym przekonana - że jego świat runął i że ten, który go zastąpi, będzie zupełnie inny. Że bez względu na to, kto w końcu przejmie władzę na Malajach - czy to Japończycy, czy Europejczycy, czy może nawet łagodni tubylcy - walka będzie ciężka, a cena wysoka. Ona jednak nie miała zamiaru brać w tym udziału.

Nigel zamykał dom z głębokim żalem - przez kilka dni jeździł nawet po posiadłości, ukrywając gdzieś co bardziej wartościowe rzeczy - ale ona nie wzięła prawie nic. Tylko trochę ubrań. Parę złotych pierścionków. Perłowy naszyjnik. Były jej polisą ubezpieczeniową i nie rozstawiała się z tym nawet w łóżku. Nie ufała złym duchom Sai-Ru Ju-

mat. Zwłaszcza kiedy przypominała się jej zryta zmarszczkami smutku twarz męża, gdy po raz ostatni zamknąwszy frontowe drzwi domu, tulił w rękę swój największy skarb: klucz. Bardzo mu współczuła. Tu przynależał, tu było jego miejsce, w tym nieznośnie gorącym i wilgotnym kraju. Rozumiała to, rozumiała, jak wiele poświęcił z miłości do syna.

Wiedziała, że gdy „Biała Perła” rozwinęła żagle i poniosła ich jak na skrzydłach, pękło mu serce, jego „ja” zgubiło drogę. Dlatego wybaczała mu złe nastroje i ostre słowa, dlatego poskramiała radość, z jaką za każdym razem patrzyła na elegancki zarys dziobu i czekający w oddali świat.

- Pani Hadley.

Drgnęła, nie wiedząc, kiedy Fitzpayne do niej podszedł. Przyglądał się jej uważnie i pomyślała, że zaraz położy rękę na drewnianych szprychach, ale nie położył. Czowała bijącą od niego siłę, gwałtowną i skupioną.

- Na jachcie nie ma prywatności. - Mówił niskim głosem, wśród szelestu żagli. - A my musimy o czymś porozmawiać.

- Panie Fitzpayne, jedyną rzeczą, którą muszę zrobić, to uciec jak najdalej stąd.

Kiwnął głową.

- Ma pani wspaniałego syna. Rozumiem, że chce go pani chronić i ukryć w bezpiecznym miejscu. Pytanie tylko gdzie?

- W Singapurze. Tak jak mówiliśmy.

- Dobrze pani zrobiła, wyjeżdżając z Paluru. Japońskie wojska przetoczą się przez Malaje jak walec i zniszczą armię Percivala. Yamashita nie okaże litości Anglikom, którzy byli na tyle głupi, by tam zostać.

Connie zadrżała mimo ciepłej nocy.

- Część moich przyjaciół została.

- Wszystkich pani nie uratuje. - Bardziej usłyszała, niż zobaczyła lekki uśmiech na jego twarzy. - A nasza podróż na południe może nie być... łatwa.

- Wiem.

Zerknęła w nieme czarne niebo. Już mu nie ufała i przez chwilę nasłuchiwała warkotu silników samolotowych. Nie, słyszeli tylko ciche gaworzenie jachtu i szum morza. Doskonale zdawali sobie sprawę, w jak niebezpiecznej są sy-tuacji.

- Czuję się odpowiedzialna. - Nie chciała tego mówić, ale słowa popłynęły same, bez ostrzeżenia. - Odpowiedzialna za życie wszystkich na jachcie, bo to ja zaproponowałam im ucieczkę.

Fitzpayne niecierpliwie wciągnął powietrze.

- Nie licząc pani syna, każdy z nich podjął decyzję sam. Każdy z nich odpowiada za siebie. Niech pani nie zapomina, że gdyby zostali w Palurze, pewnie by już nie żyli.

- Wiem. - Lekko drgnęły jej ramiona. - Mimo to... Nagle nachylił się ku niej i poczuła jego oddech, który zmieszał się z wiatrem na jej policzku.

- Niech pani posłucha...

- Tak?

- Umie pani strzelać?

- Tak, ze strzelby. W Anglii polowałam... - Dopiero teraz zrozumiała, o co ją pyta. Nie chodziło o strzelanie do bażantów.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, umiem.

Bez słowa sięgnął za pazuchę i wcisnął jej do ręki ciężki metalowy przedmiot. Nie musiała nawet patrzeć, wiedziała, że to pistolet.

- Nabity - powiedział. - Proszę go nie odbezpieczać, chyba że będzie trzeba.

Zaschło jej w gardle, serce tłukło się w piersiach jak ptak.

- Dziękuję - powiedziała zdumiona, że ma tak spokojny głos. Jakby dziękowała mu za papierosa.

Metal był ciepły od jego ciała i cięższy, niż się spodziewała. Spojrzała na rękę. Urządzenie do zabijania - myśl ta

przeraziła ją, ale ciężar, dotyk i solidność pistoletu sprawiły, że poczuła się silniejsza, bardziej niezwykła. To dlatego mężczyźni wszczynają wojny? Bo kiedy ma się broń w ręku, chce się jej użyć?

- Dziękuję.

- Jeszcze jedno. Nie wiadomo, jak długo będziemy płynąć. Powinna pani racjonować żywność.

- Mamusiu, chodź zobacz.

- Co się stało, kochanie?

- Łódź. - Teddy mówił szeptem, zasłaniając ręką usta jak zawsze, gdy chciał powiedzieć jej coś w sekrecie.

Bez wielkiego entuzjazmu rozwiązywała krzyżówkę w cieniu pod parasolem, więc chętnie wstała i podeszła do syna. Nigel był z Johnniem pod pokładem, gdzie grali w szachy i pilnowali Harriet. Podczas śniadania Connie ogłosiła, że od tej pory żywność będzie ściśle racjonowana, i Harriet wybuchła gniewem. Dlatego Nigel został wybrany oficjalnym strażnikiem jachtowych zapasów: do południa każdemu przysługiwało tylko jedno ciasteczko, koniec z łasuchowaniem. Najbardziej jednak martwiła się o zapasy wody. Gdyby musieli spędzić na morzu dłuższy czas, gdzie by je uzupełnili? Dlatego wprowadziła całkowity zakaz prania w wodzie pitnej i od tej pory wszyscy mieli prać ubrania i zmywać naczynia w morskiej.

Teddy usadowił się na rufie i przez cały ranek omiatał horyzont lornetką Nigela, pisząc coś w swoim dzienniku i liżąc czubek ołówka, tak jak jego ojciec. Zastanawiała się, co, u licha, syn tam wypisuje, ale się nie wtrącała. Przy sterze stanął Henry, który próbował utrzymać kurs i robił to bardzo niezdarnie; Fitzpayne musiał więc wybrać szota i wydawał mu rozkazy. Tego dnia wiatr był kapryśny i Connie niecierpliwiła się, że płyną tak wolno. Podeszła do syna i spojrzała tam, gdzie pokazywał swoją małą rącz-

ką. Długie, ciężkie fale ustąpiły miejsca krótkim, ale horyzont był czysty.

- Nic nie widzę, kochanie. Ale przecież spotkaliśmy już kilka łodzi. W cieśninie, pamiętasz? Mnóstwo ludzi szuka teraz bezpiecznego schronienia.

Teddy zmarszczył czoło i zauważyła, że bardzo się opalił i cały nos ma obsypany drobnymi jak pył piegami.

- To nie jest zwykła łódź - szepnął. - To jest *pinisiq* i płynie za nami od samego rana.

- *Pinisiq*? Co to, u licha, jest?

- Och, mamó. To taka specjalna łódź, Malaje przewożą takimi towary.

- Naprawdę?

- Tak. Ma grot, żagiel gafłowy, ostry dziób i jest bardzo szybka.

- Jak ty dużo wiesz, Teddy.

Syn pokręcił głową, tracąc cierpliwość.

- Sama zobacz! - Wcisnął jej do ręki lornetkę. Przytknęła ją do oczu i natychmiast zaatakowały ją

fale - aż się cofnęła. Z niesłychaną ostrością momentalnie ożył każdy spieniony grzbiet, każda zielona dolina i wzgórze. Przesunęła lornetkę wyżej i po chwili wypatrzyła na horyzoncie długi bukszpryt i trzy foki.

- Jest bardzo daleko - powiedziała.

- Ale jest, przez cały czas. - Teddy spojrzał na nią z niepokojem. - Nigdy nie pod pływa bliżej i nigdy nie znika. - Oparł ciężar ciała na jednej nodze i musiała się pochylić, by usłyszeć jego ostatnie słowa. - Ona chyba nas ściga.

U jej boku wyrósł nagle Fitzpayne. Przykucnął i jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Teddy'ego.

- Masz bardzo bystre oczy, młody człowieku.

- Ona nas goni?

Fitzpayne stłumił śmiech i położył mu rękę na ramieniu. Miał dużą dłoń, szerszą niż Nigel, i drobne ramię chłopca dosłownie w niej zginęło.

- Nie - powiedział. - Prawdopodobnie wiezie coś do

Singapuru i chce uciec przed japońskimi samolotami. Ludzie boją się teraz handlować i wszystkiego będzie brakowało.

- Może to piraci?

- Nie - odparł z uśmiechem Fitzpayne. - Nawet indonezyjscy piraci nie są na tyle głupi, żeby wystawiać się na cel japońskich torped.

- Może powinienem mieć kordelas?

- Kordelas?

- Albo nóż za pasem. - Teddy z nadzieją odciągnął elastyczny pasek; zrobił to za mocno, otwierając przy okazji klamrę w kształcie węża. - W razie czego, gdyby nas zaatakowali.

- Tuanie Teddy - powiedział Fitzpayne poważnym głosem. - Jeśli chodzi o nóż, to kiedy się go nosi, któregoś dnia można kogoś zabić.

Connie przeszła go spojrzeniem, wróciła do krzyżówki i schowała się pod parasolem, uciekając przed wścib-skim wzrokiem ludzi.

Za dużo myśli. Na tym polegał jej kłopot. Słyszała, jak szeleszczą i drapią pazurami po pokładzie, jak wpadają na siebie szkarłatnymi i czerwonymi smugami, jak staczają się ze schodów do wnętrza łodzi. Za dużo myśli. Zbyt ciężkich jak na taką łódź.

Za dnia nie wystawiała głowy za burtę. Jeśli tylko spojrzała falom w twarz, od razu rozdziawiały paszczę, chcąc ją pożreć, dlatego siedziała na ostrym czubku łodzi, tuż za małą łódką na śmiesznym dachu salonu. Tam było najlepiej, bo jeśli trzymała nisko głowę, nie widział jej Stalwooki, ten za kołem, poza tym przez rozchylone deseczki, którymi do salonu wpadało powietrze, sączyły się głosy. Słyszała różne rzeczy. Rzeczy nieprzeznaczone dla jej uszu.

Słyszała, jak *mem* o czarnych jak smoła włosach krzyczy: „Zabiją nas! *Zabiją*, wszystkich!“. Jej mężczyzna, ten głośny, z wielkim brzuchem, powiedział wtedy: „Boże, przestań histeryzować!“. Maya nie wiedziała, co to znaczy. Potem słyszała, jak ten z brzuchem szepcze do tuana Had-leya, że nie pozwoliłby swojej żonie paradować po pokładzie w samych szortach i cienkiej bluzce bez rękawów, tak jak *mem* Hadley, a wtedy *tuan zaklął*: „Niech to szlag! Dlaczego ona nigdy mnie nie słucha?“.

Ten wysoki był inny, ten z włosami jak słońce i ręką przywiązaną do piersi jakby ciągle trzymał się za serce. Tak, ten wysoki był piękny. Nie omijał jej spojrzeniem ani nie patrzył na nią jak na wyrzucone przez rzekę szczątki. Uśmiechał się do niej, a raz, kiedy ona też się uśmiechnęła, zamiast łypnąć na niego spode łba jak na innych, dał jej się napić z płaskiej butelki.

- Żołądek ci się uspokoi - obiecał.

Poczuła się tak, jakby spalił ją od środka oddech ognistego smoka, ale miał rację, morze przestało rozdzierać ją pazurami, przynajmniej na chwilę. Pociągnęła jeszcze jeden łyk i głowę wypełnił jej gęsi puch.

- Lepiej? - spytały Słoneczne Włosy. Kiwnęła głową.

- Powinnaś patrzeć na morze, to pomaga. Radzimy tak nowym pilotom, kiedy chorują. Patrz na horyzont.

- Pan lotnik jest?

- Tak.

- Ranny w samolocie?

- Pytasz o to? - Spojrzał na temblak i zmarszczył brwi. -Tak. Diabli nadali.

- Tu pan bezpieczny.

Oczy pociemniały mu i przybrały kolor prastarego morza.

- Tak. - Ale powiedział to martwym głosem.

- Pan nie cieszy się, że bezpieczny?

- Nie.

Powiedział „nie”, ale się roześmiał. Maya nic z tego nie rozumiała. Biali ludzie mieli pokręcone umysły. Bo na przykład po co bawili się z tym psem, rzucając mu piłkę, zamiast wrzucić go do kotła na gulasz? Pies był bardzo hałaśliwy, same zęby i ogon. Syczała na niego, gdy do niej podchodził.

- Mayu - ciągnął lotnik - nam też jest bardzo ciężko.

Tylko on mówił do niej po imieniu. Jakby była prawdziwym kimś, jakby coś znaczyła. Przytknęła butelkę do ust i kiedy odchyliła do tyłu głowę, powiedział:

- Przykro mi z powodu waszej mamy.

Niedobrze przełknęła i zmarnowała trochę lekarstwa, bo wyciekło jej z buzi. Co go obchodziła jej matka? Spuściła rzęsy i oddała mu butelkę. Ale on jeszcze nie skończył.

- Jak się czuje twój brat? Musi być mu smutno, tak jak tobie.

Spojrzała na niego zaskoczona i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Pan jest dobry.

A on zaczerwienił się jak dziewczyna.

- Jeśli będziecie czegoś potrzebowali - powiedział - ty albo twój brat, daj mi znać.

Odszedł, a ona wyjrzała zza rogu dachu nad salonem i zobaczyła długie nogi, jego powiewającą na wietrze niebieską koszulę i błyszczące w słońcu włosy. Wyglądał jak apetyczna tropikalna ryba.

Próbowała zasnąć, ale fale atakowały ją, topiąc sny. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Razaka, który patrzył na nią, siedząc po turecku tuż obok. Zaniepokoił ją jego bezruch, bijący z jego pięknej twarzy blask.

- Mój bracie... - Usiadła prosto i przeciągnęła się, bo zdrętwiały jej kończyny. Życie na łodzi było nudne i nogi



rwały się do biegu. Tak, chciałyby pobiegać. Gdzieś, gdziekolwiek. - Cieszę się, że znalazłeś dla mnie czas.

Poczuł się chyba nieswojo, bo otworzył szeroko oczy.

- Mayu, jesteś i zawsze będziesz moją siostrą.

- Ale bardziej ciągnie cię do nowych przyjaciół. Do tu-ana Hadleya z tą czarno-białą deską. Do chłopca z psem i torbą pełną zabawek. Do lotnika... - Wspomnienie o lotniku przywołało uśmiech na jej usta. - Do lotnika, który opowiada o samolotach i kolacjach z sułtańskimi książętami. Ich lubisz bardziej.

Razak nachylił się i dotknął głową jej głowy. Bijące od niej ciepło wypełniło zimne zakamarki ciała Mai jak oddech smoka.

- Mayu, jak tylko dopłyniemy do Singapuru, oni wrzucą mnie do cuchnącej wody w porcie. Duchy podarowały nam kilka czarodziejskich dni. Musimy dobrze je wykorzystać.

- Wykorzystać? Jak? Razak, ja tu umieram. Otruł mnie duch matki, nie mogę nic jeść.

Pogłaskał ją po rękę. Miał delikatne palce.

- To przez te fale, siostró.

- Wiem - szepnęła. - Ale w czarnej głębinie czyha jej duch. Dlatego nie mogę na nie patrzeć.

- Jeśli zaczniesz jeść, będziesz lepiej myślała.

- Na wąskim grzbiecie „Białej Perły” aż roi się od myśli. Moje nie są potrzebne.

## ROZDZIAŁ 20

Wieczorem Fitzpayne kazał skrócić żagle.

- Będzie mocno dmuchało - powiedział.

Connie wiedziała, co może zrobić wiatr tym, którzy go lekceważą, i ucieszyła się, że zanim nadciągnął pierwszy szkwał, Fitzpayne zarefował już grota i właśnie stawiał trajsel.

- Czułbym się lepiej, gdyby *zeszła pani* pod pokład -dodał. - Tu nie będzie zbyt przyjemnie.

- Jestem jedyną doświadczoną żeglarką na pokładzie, więc nie ma pan wyboru. Nie boję się złej pogody. - Posłała mu lekki uśmiech. - Zresztą podczas sztormu pod pokładem jest okropnie.

Widziała, że mu ulżyło, bo dobrze wiedział, że podczas długich, ciemnych godzin, jakie ich czekały, będzie mu potrzebna.

- Tylko proszę potem nie mówić, że pani nie uprzedzałem - powiedział ze śmiechem. W tym samym momencie w burtę uderzyła fala i jacht zadygotał w fontannie piany.

Lunał deszcz i lał strumieniami, jakby chciał ich zatopić. Bębnił w luki i pokład tak głośno, że ona i Henry Court *prawie nie* słyszeli *rozkazów* Fitzpayne'a. Spieniona woda siekła pokład i przez szpigaty wpadała z powrotem do morza, więc gdy w sztormiakach biegali tam i z powrotem, wybierając sztagi, wyglądali jak mokre żółte foki. Wiatr zmienił kierunek. Wiał teraz z rykiem od Oceanu Indyjskiego, kładąc jacht na lewą burtę i szarpiąc linami, aż wyły

w proteście. Fitzpayne z trudem utrzymywał kurs, ale Henry był zbyt przerażony, by mu pomóc, bo szli z tak dużym przechyłem, że w każdej chwili mógł wypaść za burtę.

Nigel, Teddy i Johnnie mieli pozostać na dole i jeszcze raz sprawdzić, czy wszystko jest przymocowane. Wichura wzmogła się, fale jeszcze bardziej urosły. Cały takielunek nieustannie trzeszczał i wibrował, walcząc z napierającymi grzywaczami, na bączek i dach kabiny waliły się z hukiem kaskady wody.

Connie zajrzała na chwilę do kajuty, żeby sprawdzić, co z Teddym, ale niepotrzebnie się martwiła. Mimo ciasnoty, wilgoci i silnego kołysania syn leżał na koi, próbując z niej nie spaść, i miał rozszerzone z podniecenia oczy. Były podobne do jej oczu, z tym że z jej biła świadomość tego, co może stać się im podczas sztormu.

- Widzę, że marynarz jeszcze nie choruje - powiedziała z uśmiechem.

- Nie - odparł z dumą. - A wszyscy chorują. Nawet tata.

- Wiem. W salonie jest straszny bałagan. - W jacht uderzyła kolejna fala i Connie musiała przytrzymać się koi.

- Mogę iść na pokład?

- Nie, kochanie, nie teraz. To zbyt niebezpieczne. Teddy objął ją za szyję.

- Ja lubię, jak jest niebezpiecznie.

Gwałtownie opadł jej żołądek, mimo to roześmiała się i pocałowała go w policzek.

- Zrobiło się tak, że niebezpieczeństw wystarczy dla wszystkich, dla ciebie też, zobaczysz. - Teddy uśmiechnął się, lecz nie chciała, by jej słowa się sprawdziły. Nigdy.

Zajrzała do salonu, ale tylko Johnnie miał siłę ją powitać. Napoiła ich, rozlewając połowę wody. Odór wymiocin był tak silny, że szybko wróciła na pokład i zaproponowała Fitzpayne'owi, że go zmieni.

- Jest zimno, leci pan z nóg ze zmęczenia. - Musiała przekrzykiwać wiatr. - Steruje pan od wielu godzin.

- Dziękuję, ale nie.

Była mu wdzięczna, że nie powiedział tego, o czym oboje wiedzieli: że utrzymanie jachtu na kursie przy takiej pogodzie przekracza jej siły. Dała mu butelkę whisky i poszła schwytać poluzowaną linę. Nie widziała, że Henry wypuścił z ręki mokry szot. Ten poleciał przez zalany deszczem pokład, uderzył ją w szyję i powalił na kolana. Na domiar złego w tym samym momencie przełamała się nad nią fala. Connie wstała, wciągając do płuc wodę i wycierając sól z oczu.

Kilka razy żeglowała z Nigelem w złą pogodę, ale nigdy w taką, nigdy w nocy. Spojrzała za siebie i zobaczyła, że Fitzpayne patrzy w niebo i że wiatr zerwał mu z głowy kaptur. Bezlitośnie siekał go deszcz, ale jego twarz tryskała życiem. Dziób jachtu gwałtownie opadł. Connie straciła równowagę, zatoczyła się, wpadła na maszt i kurczowo objęła go rękami.

Spojrzała w ciemność, wypatrując Henry'ego. Gdzie on się, do diabła, podział? Jego nisko pochylona sylwetka zniknęła.

- Gdzie Henry?! - krzyknęła.

- Pod pokładem! - odkrzyknął Fitzpayne. - Kazałem mu zejść. Jeszcze by panią zabił!

- A Maya?

- Zrzuciłem ją ze schodów.

Biedna dziewczyna. Musi być przerażona.

Oprócz nich na górze został tylko Razak. W lejącym deszczu ledwo go widziała, ale trzymał się dzielnie i nie okazywał strachu. Gdy za burtą wyrosła olbrzymia fala, krzyknęła, żeby się czegoś przytrzymał. Fitzpayne natychmiast zakręcił sterem, by ustawić jacht pod martwym kątem, ale kiedy fala się zwała, omal nie pozbawiając ich zmysłów, to właśnie ona rozluźniła ręce. Momentalnie rzuciło ją w stronę rufy i wpadłaby na bezan, gdyby Fitzpayne nie wyciągnął ręki i w ostatniej chwili jej nie złapał. Przyciągnął ją do siebie i wbiła palce w jego śliski sztor-

miak. Podtrzymywał ją, dopóki nie stanęła na podnoszącym się i opadającym pokładzie.

Powiedział coś, czego nie zrozumiała, ale mimo ciemności odczytała to z ruchu jego ust: „Nie chcę pani stracić”.

- Tak łatwo się mnie pan nie pozbędzie - krzyknęła - ale może lepiej postawić ją w dryf i przeczekać?

- Próbuję dobić do brzegu - zadudnił jej do ucha.

- Ale gdzie?

- Jest tu taka zatoczka.

Kiwnęła głową. Z jej policzków i nosa spłynęła woda.

- Byle szybko.

Fitzpayne wybuchnął śmiechem. Naprawdę się roześmiał, demonstrując rząd dużych, białych zębów. Był rozradowany i ożywiony. Gdyby nie przytrzymała się jego piersi, pewnie by go uderzyła.

Nie wiedziała, jak znalazł tę zatoczkę. Zadanie było praktycznie niewykonalne, musiał mieć szósty zmysł niczym ptak. Poluzował żagle, zmienił kurs i z wiatrem od rufy uciekał przed sztormem, dopóki nie znaleźli się w malutkiej, niemal mikroskopijnej luce w zwartej linii czarnego wybrzeża, gdzie jacht wreszcie odetchnął.

Prawie na całym Półwyspie Malajskim dżungla i niekończące się lasy namorzynowe porastają dosłownie wszystko, łącznie z brzegiem, nie chcąc oddać zachłannemu morzu nawet najmniejszego skrawka stałego lądu. Jednak mała, uparta rzeczka ominęła góry i dopłynęła tu, niosąc ze sobą muł i zapach dżungli, w której wyłobila koryto. W miejscu, gdzie wpływała do morza, na północnym brzegu utworzyła płytką zatoczkę w kształcie sierpa, dlatego gdy morze wpadało w szal, tam, za wąskim pasem mangrowców dzielących ją od wzburzonych fal, jacht mógł spokojnie przeczekać każdy sztorm.

I to właśnie tam się schronili. „Biała Perła” otrząsnęła

się, z dyskretnym westchnieniem stanęła na kotwicy i Connie poczuła, że jej serce nareszcie zwalnia. Ociekając wodą, zbiegła pod pokład, by sprawdzić, jak się czuje piątka pasażerów. W salonie było strasznie nie tylko dlatego, że lał deszcz i szalał sztorm, ale również dlatego, że w powietrzu unosił się strach, drobniutkie kropelki strachu. Mieszały się z odorem wymiocin, zobaczyła, że Harriet i Maya wciąż klęczą z twarzą w misce. Maya przycupnęła w kącie, a jej skóra miała kolor morskich wodorostów. Connie delikatnie dotknęła jej głowy i dziewczyna żałośnie jęknęła.

Pozostali siedzieli na miękkich ławkach wokół stołu. Co dziwne, był tam i Teddy: spał zwinięty w kłębek, ściskając ojca za rękę tak mocno, że Nigel miał czerwone palce. Mąż rozmawiał półgłosem z siedzącym naprzeciwko Johnniem, ale kiedy weszła, natychmiast umilkł i spojrzał na nią z miną winowajcy. Rozmawiali o niej? Mówił John-niemu *coś*, *czego* mówić nie powinien? Ogarnął ją chłód. Tylko leżący na kolanach Nigela pies powitał ją radośnie.

- Jesteśmy bezpieczni - oznajmiła. - Pan Firzpayne znalazł małą zatoczkę i przeczekamy tu sztorm.

- Dzięki Bogu! - wychrypiął Henry. - Najwyższa pora. Myślałem, że nas potopicie. - Siedział sztywno z wbitym przed siebie wzrokiem i rękami zaciśniętymi, aż zbieleły mu kłyckie.

Harriet wyjęła głowę z miski i uśmiechnęła się płaczliwie.

- On żartuje, Connie. On... - Wzruszyła ramionami, jakby słowa stały się nagle czymś, z czym nie mogła sobie poradzić, i ponownie ukryła twarz w misce.

Johnnie wstał, zatoczył się, gdy podłoga salonu powędrowała do góry, wyciągnął do Connie rękę, wziął ją za ramię i posadził przy stole.

- Musisz padać ze zmęczenia. Usiądź, dam ci mocnej herbaty. Dobrze ci zrobi. Jesteśmy ci wdzięczni za ciężką pracę na pokładzie. - Ale powiedział to z przygnębieniem,

nie z wdzięcznością. - Właśnie mówiliśmy z Nigelem, jacy z nas ramole, bezużyteczne...

- Przestań, Johnnie. Nic na to nie poradzimy.

Nigel *odezwał* się dopiero teraz. Ale zamiast patrzeć na nią, patrzył na śpiącego syna, na jego małe palce splecione ufnie z jego palcami.

- Ani na to, ani na wiele innych rzeczy.

W jej krwi wciąż szalał sztorm, w uszach wciąż ryczał wiatr. Siedziała samotnie przy stole. Pozostali poszli już spać. Nigel zaniósł Teddy'ego do kajuty, ale ona nie była jeszcze gotowa do snu. Nie miała pojęcia, która godzina ani kiedy wstanie świt.

Umysł nie chciał się uspokoić. Jakby fale zalewały mózg i słonymi palcami mieszały myśli. Nie wiadomo dlaczego ciągle widziała twarz Shohei Takehashiego, wyraźnie jak księżyc w pełni. Nie wspierał się na jej ramieniu z otwartymi ustami, zakrwawionymi zębami i w poszewce na głowie. Nie. Uśmiechał się do niej cierpliwie i z szacunkiem, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz spytał: „Zatańczy pani?”. Kiedy wypowiedział dwa jedwabiście ciche słowa, które skusiły jej duszę.

A gdyby powiedziała wtedy: „Nie. Dziękuję, ale nie”. Czy teraz byłoby inaczej? Czy nie miałaby tego żelaznego ciernia w piersi? Czy mogłaby normalnie spać? Nie pamiętała już, jak to jest. Być kimś, kto może rozmawiać i śmiać się bez...

- Proszę. To panią uspokoi.

Fitzpayne postawił przed nią kieliszek pełen bursztynowego płynu. Kieliszek zaczął natychmiast zjeżdżać po stole, bo jacht znowu przechylił się na burzę, więc chwyciła go i przytrzymała. Nie słyszała, kiedy Fitzpayne zszedł na dół, ale czuła, że obserwował ją od dłuższego czasu.

- Niech pani wypije Zasnąć.

Skąd wiedział?

- powiedział. - To pomoże pani

Obudziła się. Zesztywniał jej kark, bolały ją ramiona i przez jedną niepokojącą chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Po policzku polizał ją czyjś mokry język i poczuła na twarzy niezbyt przyjemny oddech Pippina.

- Dobrze, już dobrze - jęknęła i z oczami jak szparki spróbowała usiąść, co sprowokowało psa, by wskoczyć jej na kolana i ciepłym językiem polizać ją po podbródku.

Pogłaskała go po głowie i zdała sobie sprawę, że wciąż jest w salonie i że jej mózg tańczy coś w rodzaju indiańskiego tańca wojennego. Chryste, musiała zasnąć na ławce w mokrym ubraniu. W ustach miała błoto, a raczej piasek, suchy, zgrzytliwy i przyprawiony solą. Z górnych luków wpadało światło dnia, choć matowe jak ołów, co znaczyło, że niebo wciąż było zachmurzone. Morze też pozostało niespokojne. Gdzie się wszyscy podzieli?

Nie słyszała znajomego bębnienia: przestało padać, zawsze to coś. Chciała wstać. Poszukać Teddy'ego i obejrzeć nogę Nigela. Chciała, ale zamiast tego z wbijającą się w bok poręczą i z rękami na grzbiecie Pippina oparła się *czołem* o stół i zastygła bez ruchu, czekając, aż myśli dogadają się ze sobą i poukładają. Były wymieszane i splątane, ale powoli, nitka po nitce, zaczynały się rozplątywać.

- Nalać?

Gwałtownie podniosła głowę i usiadła prosto.

- Co?

- Klin dobrze pani robi.

Fitzpayne stał z butelką w ręku i próbował się nie uśmiechać.

- Klin?

Usiadł na ławce naprzeciwko; jacht się zakołysał. Do-



piero teraz zauważyła swój pusty kieliszek. Na jego dnie zakrzepła bursztynowa skorupka. Fitzpayne dolał jej whisky. Na dwa palce.

- Proszę wypić - rzucił. - Lepiej się pani poczuje.

Jak przez mgłę pamiętała, że gdy wszyscy poszli spać, ona została. Obrazy, zamazane i wodniste, powoli nabrały ostrości: siedzący naprzeciwko niej Fitzpayne, jego ogorzała ręka nalewająca jej drinka za drinkiem. Ile ich było? Jeden? Dwa? Więcej? Jego uniesione gęste brwi, gdy wyznała, że przepłynęła kiedyś rzekę w Palurze. Nago, w nocy, pod gwiazdami, tam i z powrotem. Po co, u licha, mu to powiedziała? Patrzył na nią z rozbawieniem i zadawał pytania.

Jakie? O co ją pytał? I co odpowiadała? Niech go szlag trafi! I ją też!

- Nie - wychrypiała. - Mam dość.

- Jak pani sobie życzy. - Stłumił śmiech i wypił sam.

- Nie powinnam była pić. - Pomasowała pulsujące bólem skronie.

- Dlaczego? - Roześmiał się, ale cicho, jakby wiedział, że zaraz pęknie jej głowa. - Przez całą noc ciężko pani pracowała. Whisky odpręży i właśnie tego było pani trzeba.

Wyprostowała się i przyjrzała mężczyźnie, który uważał, że zna jej potrzeby. Nie był urokliwie przystojny, tak jak Johnnie, ani dystyngowany, tak jak Nigel. Jednak odkąd postawił nogę na pokładzie „Białej Perły” i odkąd z jego twarzy zniknął wyraz wiecznego poirytowania, twarz ta nabrała niezwykłego powabu. Niepokoiły ją tylko te nieprzeniknione oczy, ukryta w nich czujna inteligencja. Dlaczego przyszedł tu w nocy i upił ją, gdy była zbyt zmęczona, by zaprotestować? Jaki miał cel? I co mu powiedziała?

Czuła się głupio i była zażenowana. Co gorsze, przewracało się jej w żołądku i naszły ją mdłości.

- Panie Fitzpayne - powiedziała - zaufałam panu.

- Wiem i bardzo to doceniam.

- Więc proszę mi powiedzieć, dlaczego pan tu jest?

- Pani Hadley... - Nachylił się ku niej i po raz pierwszy dostrzegła oznaki zmęczenia wokół jego oczu. - Jestem tu, ponieważ powierzyła pani mojej opiece jacht i pasażerów, których muszę zawieźć do Singapuru. Z żadnego innego powodu. Dlatego proszę się nie martwić. Zawiozę ich tam, choćbym miał zahaczyć po drodze o piekło. - Roześmiał się dziwnym, nieprzyjemnym śmiechem, jakby o czymś pomyślał. - Wczoraj omal tam nie zawitaliśmy, ale wciąż jesteśmy cali. Tego pani chciała, prawda?

- Tak.

- Więc proszę się odprężyć. Wszystkim bardzo ulżyło, bo wszyscy żyją. Pani też powinna się cieszyć.

Wstała i kabina zatańczyła jej przed oczami.

- Muszę poszukać syna.

- Nic mu nie jest. Zbiera z ojcem drewno na ognisko. Nieufnie kiwnęła głową i ruszyła w stronę schodów.

Nagle zdała sobie sprawę, że wciąż jest w sztormiaku, więc zdjęła go. Chcąc jak najszybciej odetchnąć świeżym powietrzem, poszła dalej, ale w połowie schodów zatrzymała się, pochyliła i spojrzała w dół. Fitzpayne siedział z łokciami na stole i pustym kieliszkiem w ręku. Patrzył na nią, ale nie sposób było odgadnąć, co kryje się pod tą opanowaną miną. Zastanawiała się, czy widzi na jej twarzy taką samą, szczelnie przylegającą zasłonę, która strzegła cieni przemykających za nią tajemnic.

- Fitz - powiedziała. - Dziękuję.

- Za co?

Uśmiechnęła się i wyszła na pokład.

## R O Z D Z I A Ł 2 1

- Nienawidzę tej pieprzonej dżungli.

Bez względu na to, jak bardzo narzekała, jęczała, buntowała się i przeklinała, Madoc nie pozwalał jej nawet przystanąć. Kazał jej iść przez cały dzień, od świtu do nocy. Dopiero kiedy z nieba spływał ostatni promyk dziennego światła, kiedy zapadała ciemność i dżungla zaczynała kipieć życiem, dopiero wtedy pozwalał jej zwalić się jak kłoda na brezent, który rozkładał na mokrej ziemi.

- Madoc, ty sukinsynu - syknęła przez zaciśnięte zęby, gdy jedną z ostatnich zapalek podпалиł kawałek kory. - Jeśli każesz mi spędzić jeszcze jedną noc w tej zasranej dżungli, bez jedzenia, suchego ubrania, łóżka i dachu nad głową, jeśli jeszcze przez jedną noc będę musiała opędzać się od tych cholernych komarów, przysięgam Bogu, że zacznę gotować cię kawałek po kawałeczku i że na samym końcu zjem twoje wciąż bijące serce, bo nie mogę już...

- Ciii... - Madoc usiadł, położył jej nogi na swoich kolanach i zaczął szukać tłustych pijawek, które wgryzły się w jej skórę. Przypalał je płomieniem i odpadały.

- Błagam - jęknęła - rozpalmy ognisko, chociaż takie malutkie. - Ręką chwyciła go za kark i mocno nim potrząsnęła. - Proszę. Ugotujemy coś. Wysuszymy ubranie i odstraszymy zwierzęta, bo podchodzą tak blisko, że czuję ich wygłodniały oddech.

- Nie.

- Błagam.

- Nie.

- Niech cię szlag!

W migotliwym świetle płomienia przetarł środkiem odkażającym krwawiące dziury w jej nogach. Kitty nie krzywiła się z bólu i nie jęczała, tylko w śmiertelnym uścisku wbijała mu palce w szyję. Czuł się potwornie, bardzo jej współczuł, mimo to nie ustąpił.

- Nie - powiedział. - Żadnego ogniska. Japończycy mogą być tuż, tuż. Ciężko oparła mu głowę na ramieniu.

- Zwariowałeś. Zaszli tak daleko na południe? Tak szybko? Jakim cudem?

- Nie lekceważ ich. Szybko się przemieszczają. - Ironicznie wykrzywił usta, ciesząc się, że żona tego nie widzi. - Nie zapominaj, że mają rowery. Są uparci, niewidzialni, będą tak szli i szli, aż nagle rozprują ci brzuch bagnetem.

- Weź ty przestań, co?

- Przepraszam.

Kitty zwolniła uścisk i zabrała rękę.

- Tylko małe, malutkie ognisko, o nic więcej nie proszę. - Pokonana zwała się z jękiem na bok i umilkła.

Hałaśliwe crescendo świergotów, gwizdów, ryków, warkotów, pisków i pohukiwań - nocne odgłosy przerażały i ogłuszały. Jeden Bóg wiedział, jakie stwory skomponowały kakofonię tych oszalałych dźwięków, ale dudniły mu w głowie jak bęben, wypierając wszystkie myśli. Wyjął z plecaka małe zawiniątko i do jego prymitywnej pochodni zleciała się chmara wielkich ciem, które ocierały mu się skrzydłami o policzek i wpadały w ogień. Rozwinął płótno.

- Masz. - Wyciągnął rękę i przypomniało mu się, jak kiedyś, kiedy był mały, częstował tak jabłkiem konia mleczarza. - Zjedz coś.

- Odwal się.

- Musisz jeść.

- Najpierw je ugotuj.

Spojrzał na dwa duże jak mysz czerwie. Miękkie i błyszczące, miały paskudny smak, ale były pożywne i nietrujące. W plecaku niósł jeszcze martwą jaszczurkę, która po ugotowaniu smakowała jak kurczak.

- Jak zjesz, zjem i ja - nie ustępował.

Kitty milczała. Jej wielkie jak czarne wzgórze ciało - które tam, w domu, mogło wypełnić sobą cały pokój, jej nieokiełznane piersi, szerokie jak u kobyły biodra i kuszący uśmiech - skurczyło się i zmalowało. Doznał dziwnego uczucia, że dżungla zaczyna mu ją odbierać. Las zżerał jej soczyste, kremowe ciało i wysysał z niej życie, tak jak pijawki. Myśl ta zasmuciła go i przybiła. Odkąd Japończycy zbombardowali bar, dzień za dniem oboje szli na południe, bez końca przedzierając się przez dżunglę, unikając ścieżek i kampongów, tubylczych wiosek, na które mogli się przypadkiem natknąć.

- Oni mają jedzenie - zawodziła Kitty.

- Gdy przyjdą Japończycy - powiedział jej wtedy - będą polowali na każdego białego, który ukrywa się w wiosce albo w dżungli, i jeśli odkryją, że tam byliśmy, nie będziemy mieli żadnych szans.

Spojrzała na niego ponuro z utyłaną w błocie twarzą.

- Kurczę, ty się ich naprawdę boisz.

- Jak jasna cholera. Widziałas, co zrobili z barem. Oni chcą mnie zabić.

Cmoknęła go w usta.

- Najpierw będą musieli zabić mnie.

A teraz groziła, że zabije go sama, jeśli nie rozpalą ogniska i nie upieką jaszczurki. Delikatnie pogłaskał ją po brudnych włosach.

- Spij - szepnął. Pomyślał, że gdy ona odpocznie, może coś zje.

Zgasił pochodnię. I nagle, jakby wszystko przestało istnieć, jakby znaleźli się w ciemnym grobie. Madoc zadrżał, nie widząc swojej własnej ręki, chociaż trzymał ją tuż przy twarzy. Zwinął się w kłębek, przywarł do żony śmierdzącym ciałem, naciągnął na głowę brezent i szczelnie ich nim

opatulił, żeby nie oblażyły ich pająki, węże, robaki i inne pełzające po ziemi ohydztwa. W jednej ręce ścisnął nóż. Wątpił, czy uda mu się zasnąć, ale znajome ciepło ciała żony trochę go odprężyło. Tylko gardło miał suche i ściśnięte, a w ustach czuł smak gniewu, gorzki jak te przeklęte czerwce. Chryste, za papierosa zabiłby własną matkę. I wtedy lunął deszcz.

- Kitty! Kitty! Obudź się.

Zatkał jej ręką usta, żeby nie krzyknęła. Otworzyła oczy i przez chwilę jej otumaniony snem mózg myślał pewnie, że są w domu, bo z uśmiechem wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź, zobacz - szepnął.

Dopiero wtedy przypomniała sobie, gdzie są, i jej oczy przybrały kolor ziemi. Kiwnęła głową. Zabrał rękę i odpędzał muchy. Kitty bez słowa wstała. Ścieżką, którą wyciął parangiem w gęstwinie, weszli na zbocze stromego wzgórza. Wszystko było mokre, przesiąknięte wodą i śliskie. Ziemia też. Trzymał ją za rękę, pomagał jej przestępować korzenie i omijać błotniste osuwiska. Niebo, dotąd bezlitośnie czarne, powoli zaczynało robić się szare, matowe i bez życia. Wstała srebrzysta mgła, która jak złodziej pełzła ukradkiem w górę zbocza.

Na porośniętym mchem skalnym występie na szczycie wzgórza rozłożyła się kolonia jaskrawozielonych jaszczurek, które cierpliwie czekały, aż ciepło dnia rozgrzeje im krew. Poruszały się leniwie jak ślimaki. Kitty spojrzała na nie z zainteresowaniem i nadzieją na śniadanie, ale on pociągnął ją dalej.

- Spójrz! - Wskazał ręką.

Daleko za drzewami łamały się fale wciąż wzburzonego po nocnym sztormie morza. Ale trochę bliżej, na kryjącym się za gęstwiną brzegu, nad zielonym baldachimem dżungli unosiła się cienka, szara smużka. Smużka dymu.

- Durnie. Rozpalili ognisko. Niemal słyszał, jak żonie ożywa mózg.

- Śniadanie - szepnęła. - Gorące śniadanie.

Jednak gdy stali tak pod osłoną palm na skraju dżungli, to nie ognisko przykuło jego wzrok. On przez cały czas patrzył tylko na jacht. Na piękny, elegancki dwumasztowiec, który szarpał się na kotwicy jak rwący się do biegu chart. Podekscytowany zacisnął pięści.

- Kurwa - rzucił w poranną mgłę. - Bóg jednak istnieje.

- Zaczekaj, niech no na ciebie spojrzę...

- Co? Po co?

Kitty otaksowała go wzrokiem, zmarszczyła brwi, wsadziła palec do dziury w koszuli i rozdarła ją, tak że poły rozchyliły się żałośnie i zwisły.

- Świetnie - uznała. - Bardziej brudny być nie możesz. Wyglądasz jak szczotka do czyszczenia komina. - Mimo to wtarła mu trochę ziemi we włosy i urwała kilka guzików. Zadowolona kiwnęła głową. - A ja?

Brudna i spocona miała wyglodniałe oczy, a grzywą jej szarych włosów targał wiatr. Madoc rozciągnął usta w uśmiechu.

- Kitty, wyglądasz doskonale.

Kiedy podeszli bliżej, zauważył, że tamci tworzą bardzo dziwną grupkę. Było ich ośmioro: trzech mężczyzn, dwie kobiety, dwoje tubylców plus mały chłopiec. I pies. Wyglądało na to, że sztorm zapędził ich na wąski cypel między morzem i małą zatoką w kształcie podkowy u ujścia rzeki. Po jednej stronie cypla grzywacze łamały się z wściekłą determinacją na mangrowcach, nieustannie rycząc i próbując rozerwać na strzępy ich długie paluchy. Po

drugiej, w zatoczce, kłębiąca się woda to wpływała między korzenie, to spomiędzy nich wypływała, jakby szukając słabego punktu. Madoc zastanawiał się, kiedy on znajdzie słaby punkt tej grupy.

Pierwszy zauważył ich pies. Jak czarna torpeda puścił się pędem w ich stronę, ostrzegawczo szczekając: na sztywnych łapach zatrzymał się gwałtownie trzy metry od nich i obnażył kły.

- Cześć - powiedział Madoc i wyciągnął do niego rękę z tłustym czerwem na otwartej dłoni, ale pies nie dał się przekupić.

Warknął. Madoc znieruchomiał. Nie przepadał za psami. Kitty podeszła do nich z wesołym:

- Spadaj, kundlu. - Pociągnęła psa za ucho, a on wystawił język i polizął ją w rękę. - Dupa z ciebie, nie obrońca - mruknęła i zwierzak zaczął biegać wokół niej jak szalony.

- Dzień dobry! - Madoc podniósł rękę. Przez wstęgę białego piasku szedł ku nim jakiś mężczyzna.

Wiedział, kto zacz, zanim tamten znalazł się trzydzieści kroków od nich. Miał z takimi do czynienia przez całe życie. Arogancko sztywne ramiona, starannie ogolone policzki i lekko zadarty podbródek, by patrzeć na wszystkich z góry. Czyściutkie kremowe spodnie, jakby szedł na mecz krykieta w samym środku tej pieprzonej dżungli. Do tego panama przekrzywiona pod kątem, który mówił: jestem lepszy. Madoc rozpoznał jednego z władców zamorskich kolonii.

- Dzień dobry! - powtórzył i podszedł bliżej, ale tamten ani myślał uchylać kapelusza jak przed równym sobie. Ręki też do niego nie wyciągnął.

- Boże święty! - zawołał. - Skąd się tu wzięliście?

- Z dżungli. Uciekaliśmy przez dżunglę.

- Od Japończyków - dodała oschle Kitty, jakby facet był głupi.

- Są tak blisko? - Mężczyzna niespokojnie zerknął na zwarty masyw dżungli.



- Nie, zostali w tyle. Nazywam się Morgan Madoc, a to jest moja żona Kitty.

Mężczyzna pozdrowił ich skinieniem głowy, jakby byli na popołudniowej herbatce.

- Nigel Hadley.

- Potrzebujemy pomocy. - Madoc uznał, że musi mu to wyłożyć jak kluski na talerz.

Zobaczył, że od grupki oddzielił się wysoki mężczyzna z ręką na temblaku i szczupła blondynka. Blondynka szła bardzo energicznym krokiem, zupełnie inaczej niż kobiety z jej klasy społecznej, które nigdy nie raczyły chodzić szybciej niż znudzony ślimak.

- Chodźcie - zaproponował Hadley. - Przedstawię was reszcie.

Kiedy blondynka i ten z temblakiem się przybliżyli, doszło do wymiany wszelkiego rodzaju: „O mój Boże!”, „Jasna cholera!” i „Czy nic wam nie jest?”. Madoc zauważył, że ruchliwe oczy blondynki patrzą to na niego, to na Kitty i że w końcu zatrzymują się na Kitty, na szarych zmarszczkach zmęczenia i śladach po ugryzieniu owadów na twarzy.

- Biedactwo - powiedziała.

Wzięła ją pod utytłaną w błocie rękę i pochylając pod wiatr głowę, zatroskana poprowadziła powoli po sypkim piasku.

- Musi pani umierać z głodu, zaraz coś pani zje. Johnnie, podtrzymaj panią z drugiej strony. - Spojrzała przez ramię na tego, który wyglądał, jakby szedł grać w krykie-ta. - Nigel, pomóż panu. Leci z nóg.

Kiedy się odwróciła, Nigel posłał jej gniewne spojrzenie. A więc tak to wyglądało. Madoc uśmiechnął się do siebie. Kto wie, może właśnie znalazł słaby punkt.

Próbowali usmażyć jajecznicę i prawie ją spalili. Jak to możliwe, że ludzie, którzy władali tym pieprzonym imperium, nie umieli usmażyć paru głupich jajek?

Siedział na piasku, pił herbatę z porcelanowej filiżanki i trzymał język za zębami. Najpierw chciał zobaczyć, skąd wieją wiatry. Nie krzyknął, żeby zgasili to cholerne ognisko. Nie spierał się z nimi, kiedy uznali, że do rana wichura pewnie ucichnie. Zauważył, że każdy dostał małą, ściśle wydzieloną porcję jedzenia i że ta ciemnowłosa patrzy na niego tak, jakby miała ochotę wyrwać mu talerz z ręki. Chłopiec o oczach bystrych jak woda w potoku usiadł obok niego z notesem i ołówkiem i zasypał go pytaniami, których zbyt ugrzecznieni dorośli - mężczyźni ze szczotką w tyłku - nigdy by mu nie zadali.

- Widział pan Japończyków?

- Jaki samolot zbombardował wasz dom? Miał dwa silniki?

- Widział pan w dżungli lamparta?

- Jak znajdował pan drogę?

- Było dużo węży?

- Co jedliście?

- Musieliście przepłynąć rzekę?

Każdą odpowiedź zapisywał w notesie. Potem długo milczał, wreszcie spytał, cichym szeptem:

- Baliście się?

- Teddy - powiedziała żona Hadleya z czułą naganą w głosie; właśnie opatrywała Kitty. - Daj panu spokój.

Posłała mu przepaszający uśmiech i zaskoczyło go to, co przez chwilę widział w jej twarzy. To nie była kobieta pogodzona z sobą. To była kobieta, która z czymś się zmagala. Przypominała uratowaną kiedyś przez niego srokę ze złamanym skrzydłem. Na smukłych nóżkach chodziła z wdziękiem po podwórku, ale rozpaczliwie pragnęła wzbic się w powietrze i odlecieć, toteż przez cały czas wydawała ostry, zdławiony krzyk.

- I co myślisz? - wymamrotała Kitty.

- Nie zostawię nas tu, to Anglicy. - Madoc stłumił śmiech. Pił herbatę, chociaż wolałby, żeby przyprawili ją czymś mocniejszym. - Anglicy są przyzwoici.

- Ten Court się postawi.

- Hadley też.

Zostawili ich przy ognisku i resztkach spalonego jedzenia i zbili się w grupkę na brzegu. Było oczywiste, że gorąco dyskutują. Na uboczu trzymała się tylko młoda Malajka. Poszła na cypel i chodziła tam jak leśna kotka, która tylko czeka, by zatopić w czymś pazury.

- No i co myślisz? - powtórzyła Kitty między jednym widelcem jajeczniczy i drugim.

- Będzie trzy do jednego. Chłopak i Malaj nie mają prawa głosu.

- Trzy do jednego dla nas, czy dla nich? , Madoc pokręcił głową.

- Chyba dla nich.

- Cholera.

- Porucznik i Jasnowłosa będą głosowali za. Ale pozostali srają w gacie ze strachu, że na ich wspaniały jacht mógłby wejść ktoś z nizin i że byłoby nas za dużo.

Kitty wytarła kawałkiem szynki resztki żółtka na talerzu.

- Na pokładzie jest od cholery miejsca.

- Ale nie chcą dzielić się jedzeniem. Widziałaś, jak ta czarna patrzyła na mój talerz?

- Sukinsyny.

Wiatr dmuchnął im dymem w oczy i Kitty posłała mężowi przeciągłe spojrzenie.

- Dobra, Madoc, z czego się tak cieszysz? Chcesz tu siedzieć i czekać na Japończyków na tych cholernych rowerach?

Madoc oparł się ramieniem o jej ramię.

- Moja słodka Kitty, brzuch mam pełen gorącego jedzenia, ty jesteś bezpieczna i zaraz popłyniemy jachtem, za który można wziąć niezły grosz, jeśli tylko wie się, gdzie go sprzedać.

Kitty wytrzeszczyła oczy.

- Przestań. I bez tego mamy dość kłopotów.

Madoc cmoknął ją w pachnący potem policzek i popatrzył na kołyszącą się w zatoczce łódź. Przy relingu ktoś stał, jakiś mężczyzna, a młody Malaj płynął po niego bącz-kiem.

- Zmysłowa i dojrzała. Nic, tylko ją brać.

- Uważaj. Nie bądź głupcem. Nawet nas tam nie zaproszą.

Madoc pochylił się, podniósł z piasku porzucony niedopałek papierosa i przypalił go gałązką z ogniska.

- Nie doceniasz naszej pani Hadley.

- Co? Jak to?

Mówiąc o innych kobietach, zawsze uważał na słowa. Zona miała ostry język.

- Ona jest... - odparł z wahaniem, szukając odpowiednich słów. - Nie wiem, jakaś taka... wyzwolona.

- Bzdura. Wszystkie baby z jej klasy mają łańcuch na nogach. Dla nich to normalna rzecz, chodzą w tym żelastwie jak w kapeluszu.

- Ale ta nie. - Madoc zaciągnął się ostatni raz i pstryknął niedopałkiem w ognisko. - Ona wrzuciła łańcuch do morza. Dlatego mąż patrzy na nią jak na jeża.

Kitty długo milczała, patrząc w ogień. Wiatr rozwiewał jej włosy i ciskał w nią wirującym piaskiem. Ryk fal zagłuszał głosy tych na brzegu, ale on czuł, że w piersi narasta mu coś znajomego, jakby miał tam bańkę powietrza napierającą boleśnie na żebra. Zaczęło szczypać go w koniuszki palców i podeszwy stóp. To był pewny znak: gra się rozpoczęła. Zwycięzca bierze wszystko. Włożył rękę do plecaka i wymacał rękojeść pistoletu.

Nagle Kitty wybuchła śmiechem i z jej pochylonych ramion zniknęło całe napięcie. Usiadła prosto, z rezygnacją rzuciła na piasek porcelanowy talerz i posłała mu z ukosa jedno z tych spojrzeń, od których mrowiło go w lędźwiach.

- Dobra, Madoc. Próbuj.

- Panie Madoc...

- Tak?

- Martwię się o pana żonę.

- Ja też. Źle się czuje. - Madoc spojrział z z troskaniem na Kitty, która leżała bezwładnie na piasku, udając, że umiera ze zmęczenia. - Na szczęście nie ma gorączki - dodał szybko, gdy Jasnowłosa dotknęła jej czoła; jeszcze przestraszyłoby się, że zarazi ich jakimś chorobskim.

Jasnowłosa przykucnęła i położyła jej rękę na ramieniu.

- To szok - powiedziała cicho. - Wszystko straciliście.

- I głód. Aż do dziś nic nie jadła.

Rozwiane włosy, żywa twarz, usta pełne, szerokie i wyraziste - nie przepadał za blondynkami. Jak na jego gust miały zbyt bladą skórę, ale w tej coś było. I to coś go zaciekało. Czuł, że w tych delikatnych rękach i łagodnym głosie drzemie siła, której należy się wystrzegać. Natychmiast ją dostrzegł, ponieważ była to ta sama siła, którą widział w Kitty, coś jak stalowa kolczuga pod sprężystą skórą. Z jej niebieskich oczu biła pewność siebie i chociaż bardzo się starała, nie mogła jej ukryć nawet pod długimi złocistymi rzęsami.

Inni ginęli, ale on wychodził z opresji cało tylko dlatego, że umiał wyczuć ludzi. Było jasne jak słońce, że ta kobieta bez wahania wpakowałaby mu kulę w łeb, gdyby choć dotknął czegoś, na czym jej zależy. Uważaj, Madoc - w uszach pobrzmiwały mu słowa Kitty. Spojrzął na plażę, gdzie Teddy i pies kopali dołek w piasku, obaj na czwora-

kach, obaj z wywieszonymi językami. Z twarzy chłopiec był podobny do ojca, ale w oczach miał czujność i spostrzegawczość matki. Czyżby to on był jej słabym punktem? Syn?

- Co tu się dzieje?

Podszedł do nich Hadley. Z dziwną miną patrzył na pochylającą się nad Kitty żonę, a za nim stało tych dwoje, jak im tam, Courtów. Ona miała w ręku herbatnik i Madoc myślał przez chwilę, że chce go dać Kitty, ale nie, zatopiła w nim zęby i zlizwała okruszki z ust.

- Jeśli pańska żona jest tak wyczerpana, może lepiej by było, gdybyście tu zostali, zamiast płynąć z nami i narażać się na ryzyko. Nie sądzisz, Constance?

- Nie, nie sądzę. - Jasnowłosa spojrzała na niego niepewnie. - Nie możemy jej tu zostawić, to byłoby nieludzkie.

- Na miłość boską, Connie. - Court wypchnął do przodu brzuch i Madocowi przypomnieli się adwokaci, których musiał oglądać, siedząc na ławie oskarżonych. - Dobrze to przemyślałaś, zastanowiłaś się, czym to grozi?

- Na przykład czym, Henry?

- Choćby tym, że może zabraknąć nam żywności - przerwał im Hadley. - Musimy uważać na jedzenie, inaczej...

- Wszystko zje Harriet - dokończyła za niego żona i ta czarna spiekła raka.

- Jak możesz? - zaprotestował Court. - Stanowczo żądam, żebyś...

- Mogę dla was gotować. - Kitty powiedziała to cichym, smutnym głosem. Podniosła głowę i posłała Had-leyowi swój najbardziej przekonujący i potulny uśmiech. - Jestem dobrą kucharką. Spytajcie Madoca.

Och, Kitty. Jak ja cię kocham.

Tamci coś poszeptali i cała wrogość momentalnie wyparowała.

- Może jednak udałoby się znaleźć dla nich miejsce - powiedział Court, nieświadomie kładąc rękę na brzuchu. - Nie możemy ich tu tak zostawić. Japończycy idą.

Madoc musiał zagryźć język, żeby się nie roześmiać.

- Niech mnie kule biją! Czy to nie Madoc Morgan, ten portowy szczur?

Odwrócił głowę. Bączek leżał na piasku jak zmęczony żółw, a na końcu prowadzących do niego głębokich śladów stał mężczyzna z jachtu. Szerokie bary, ciemne włosy, oczy koloru świeżo naostrzonego noża - jeden z tych, których przez całe życie unikał. W ręku trzymał błyszczący parang.

- Fitzpayne! Jasna cholera!

## R O Z D Z I A Ł 2 2

- Wesołych świąt!

- Daj spokój. To nie są wesołe święta - zauważyła ponuro Harriet.

- Oczywiście, że są - nie ustępowała Connie. - Przestań, nie bądź taka smutna. Tak, jest wojna, ale my żyjemy i jesteśmy razem. Będziemy tu siedzieć co najmniej do jutra. Wiem, że liczyliśmy na coś innego, postaramy się jednak spędzić ten czas w miłej atmosferze.

Z promiennym uśmiechem popatrzyła na trzy kobiety siedzące w prymitywnym szałasie, w którym spędziły noc.

- Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Święta, których nikt z nas nigdy nie zapomni.

Sięgnęła do kartonu, który poprzedniego dnia Fitz-payne przywiózł bączkiem z jachtu, i wyjęła trzy małe pudełka owinięte delikatnymi jak jedwab zielonymi listkami. Jedno dała Harriet, drugie Kitty, trzecie Mai.

- Wesołych świąt - powtórzyła. - Życzymy pokoju ludziom na całym świecie.

Patrzyły na prezenty zaskoczone i skrzępowane, ale widać było, że sprawiła im przyjemność.

- Dzięki. - Harriet usiadła prosto i odwinęła listki.

W pudełku było pachnące werbeną mydło, sześć migdałów w cukrze, koronkowa chustka do nosa i szylkretowy grzebień z wąskim srebrnym grzbietem, jeden z czterech, które Connie dostała od babki na trzydzieste urodziny.



Harriet przytknęła mydło do nosa, zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze.

- Teraz już przypomniałam sobie, jak pachnie prawdziwe życie. -I roześmiała się głośno, tak jak dawniej.

Identyczne prezenty dostały Kitty i Maya. Kitty otworzyła swój, powoli pokiwała głową i podniosła wzrok.

- Jest pani bardzo hojna - powiedziała, wprawiając Connie w zakłopotanie.

Maya zerwała listki z pudełka i okrągłymi, zaskoczonymi oczami spojrzała na mydło, chustkę i grzebień.

- *Terimah kasih* - wymamrotała. - Dziękuję, *mem*. -Przesunęła palcami po migdałach, wrzuciła jeden do ust, chwyciła grzebień, poczesiła się, potrząsnęła włosami i zarzuciła je na ramiona. Potem uśmiechnęła się, odsłaniając małe, białe zęby.

Connie pierwszy raz widziała uśmiech na jej twarzy.

- Wesołych świąt, Mayu - powiedziała.

- Co ty, do diabła, robisz? - spytał cicho Madoc.

- Świąteczny pudding. - Pulchne ręce Kitty tkwiły po łokcie w mące, rodzynekach i Bóg wie, czym jeszcze. Z przeciekającego sufitu kapiała woda.

- Miałaś być chora.

- Idź stąd.

Jej pogryziona przez moskity twarz stężała i nagle dotarło do niego, że żona miała dobry humor, a on jej go zepsuł.

- Uważaj - szepnął. -I nie szczerz się tak.

Przeszyła go spojrzeniem, od którego ścięłoby się mleko. Wybrał deszcz zamiast jej niewyparzonego języka. Na dworze lało, tak jak leje tylko w tropikach, więc momentalnie przemókł, a głowę skatowało mu tysiąc małych młoteczków. Wszedł do szałasów dla mężczyzn, otrząsnął się i od razu poczuł aromatyczny zapach dymu z dobrego cygara. Jego płuca tęsknie westchnęły.

Jasnowłosa podarowała im po hawańskim cygarze i garści migdałów w cukrze, wszystkim mężczyznom, łącznie z nim. Migdały od razu oddał chłopcu. Nie chciał, żeby plątały mu się w kieszeni, ale za cygaro tak, bardzo jej podziękował. Zamierzał wypalić je po świątecznej kolacji, po „wieczerzy”, jak mówili tamci. Dla niego i Kitty zawsze była to i będzie kolacja.

Poprzedniego dnia zbudowali dwa szałasy z brezentu, liści i gałęzi; postawili je na skraju dżungli, gdzie najmniej wiało. W większym miały spać cztery kobiety, w mniejszym sześciu mężczyzn i chłopiec. Pomyślał, że coś tu jest nie tak, ale Hadley dobitnie oznajmił, że „panie potrzebują miejsca”. Madoc nie spytał do czego.

Rozejrzał się wokoło. Chłopiec poszedł gdzieś z matką. Na kocu siedział Hadley i grał w ludo z młodym Malajem, a tuż obok niego Court, grający w pokera z pilotem. Malaj próbował puszczać kółka z dymu, ku rozbawieniu Hadleya, który śmiał się, ilekroć chłopak parsknął i kaszlał. Wiatr rozpraszał dym po całym szałasie, odpędzając owady i targając brezentem.

- Gdzie Fitzpayne?

- Na jachcie - odparł Hadley, nie podnosząc głowy. -Naprawia pompę.

Madoc bardzo chciał obejrzeć jacht z bliska i poprzedniego dnia, gdy Jasnowłosa postanowiła popłynąć tam po koce, zaproponował, że ją zawiezie, ale wtedy przylazł Fitzpayne. I zawiózł ją sam. A on mógł tylko stać samotnie na brzegu i żałośnie patrzeć, jak zalewany strugami deszczu bączek to znika, to pojawia się wśród wzburzonych fal. Przeklęty Fitzpayne. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby jego ciemne kędziory zniknęły w głębinie i już się nie pokazały.

To, że znalazł go na tym odludziu, wstrząsnęło nim i zburzyło jego plany. Tak, będzie musiał zachować dużą ostrożność. Fitzpayne nie był głupcem. Pierwszy raz wpadli na siebie w Kuala Terengganu na wschodnim wybrzeżu

półwyspu, gdzie Madoc przyplłynął z opium z Szanghaju i skąd za dobre pieniądze miał przetrzucić na Filipiny grupę uchodźców, rosyjskich dziewczyn. Doszło do bójki na noże, w której on był po jednej stronie, a Fitzpayne po drugiej. Blizny nosił do dziś dnia. Dlaczego, do diabła, ten Fitzpayne musiał się tu pojawić?

Usiadł na rogu koca, z respektem trzymając się jak najdalej od Hadleya i jego pogardliwej gęby i jak najbliżej cygara, które Malaj rzucił na ziemię. Podniósł je ukradkiem, zmiażdżył piętą zastęp mrówek i przeniósł się myślami na pokład „Białej Perły”.

Connie cieszyła się, że Kitty jest z nimi. W tej dużej, pulchnej kobiecie było coś miłego, mimo że z nadmiarem miękkiego, nagiego ciała i dziko rozwichrzonymi włosami wyglądała jak jedna z tych obłąkanych kobiet, które chodziły po rozżarzonych węglach; widzieli je z Nigelem w hotelu Station w Kuala Lumpur, gdzie zatrzymali się w drodze do jaskiń skalnych Batu. Od razu wyczuła, że Kitty należy do tych, których warto mieć po swojej stronie -w przeciwieństwie do Harriet. Martwiła się o przyjaciółkę. Odkąd wypłynęli z Paluru, Harriet zmieniła się nie do poznania.

Strach robi z ludźmi dziwne rzeczy. Starannie skonstruowane zabezpieczenia pękają i wypełza spod nich stwór z dziko rozszerzonymi ślepiami i ostrymi pazurami. Bo jak patrzył na nią teraz Nigel? Niemal jak na kogoś obcego. To ona się zmieniła? Czy on? Z wyrachowaniem unikał jej towarzystwa i większość czasu spędzał z Johnniem, Teddym i Razakiem. Mniej z Henrym, który z każdym mijającym dniem robił się coraz bardziej nieznośny, bo strach i głód kazały mu coraz mocniej zaciskać pasa.

Niezmiernie się cieszyła, że Nigel i Teddy polubili Razaka. Uczyli go różnych rzeczy - jak na jej gust przesadzali

z wszelkiego rodzaju grami, karcianymi i planszowymi, ale śmiała się, ilekroć Razak krzyczał radośnie „Wojna!” i wygrywał. Jednak Maya zupełnie się wycofała i coraz bardziej się od nich izolowała, Connie to martwiło. Próbowwała wciągnąć ją do swoich zajęć, ale ona tylko patrzyła spod długich czarnych rzęs i kręciła głową.

Dzisiaj był pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Dlatego podczas gdy Kitty przestawiała bulgoczące na ogniu garnki, a Harriet ze szklistymi oczami słuchała Teddy'ego, który tłumaczył jej zasadę działania silnika spalinowego, ilustrując swój wykład obrazkami z *Cudownej księgi motorów* - dostał ją od Mikołaja - poprosiła Mayę, żeby pomogła jej pokroić kilka cebul. Proste zadanie.

Wyciągnęła do niej rękę z małym nożem.

- Pomożesz mi?

Maya przestała się czesać i patrzeć na lejący deszcz. Wstała, spoglądając to na nią, to na nóż.

- Tak, *mem*.

Przez chwilę pracowały ramię w ramię, siekając cebulę i obierając czosnek. W szalasiu, ich prowizorycznym domu, było w miarę sucho i przytulnie, może dlatego, że na dworze szalała burza. Dym z paleniska, nieustanne łopotanie brezentu - podczas rozmowy musiały się do siebie nachylać, by cokolwiek słyszeć.

- Lubisz gotować, Mayu?

Skupiona na siekaniu cebuli dziewczyna pokręciła głową. Connie roześmiała się wesoło.

- Ja jestem w tym beznadziejna. Wciąż nic, jakby była niemową.

- Mamy szczęście, że jest z nami pani Madoc, prawda? Mężczyźni będą zadowoleni, kiedy dostaną porządny gorący posiłek.

Maya wzruszyła ramionami. Nie ułatwiała jej zadania.

- Szukałam was po tym pożarze. Ostry nóż znieruchomiał.

- Dlaczego?

- Bo się o was martwiłam. Chciałam sprawdzić, czy uciekliście i jesteście bezpieczni.

- Jesteśmy.

- Tak. - Nóż znowu zastukał. - Ale ktoś powiedział mi, że nie żyjecie.

- Ja żyję.

- Widzę.

- Co za dureń tak powiedział?

- Jakiś ślepiec.

- Ślepiec? Już wiem, to kłamca. Uciekłam od płomieni, biegłam, biegłam i biegłam. Nie dogoniły mnie.

- Na szczęście. Inni też uciekli?

- Dużo, bardzo dużo innych. Uciekali jak szczury. Connie kiwnęła głową, odłożyła nóż i spojrzała prosto na nią.

- Ten ślepiec miał na rękach martwe dziecko, które zginęło w pożarze. Powiedział, że to twoje.

Wstrząśnięta Maya wytrzeszczyła oczy.

- Aj! On kłamie, on zawsze kłamie!

- Więc to nieprawda?

- Nie. - Maya wbiła nóż w cebulę. - Ja nie mam dziecka. - Gwałtownie potrząsnęła głową i włosy opadły jej na twarz.

Albo mówiła prawdę, albo po mistrzowsku kłamała.

Świąteczna wieczerza była bardzo dziwna. Rej wodził Nigel, jakby siedział u szczytu stołu w Palurze, a nie na palmowych liściach rozesłanych na mokrym piasku. Zawsze wygłaszał mowę, więc wygłosił ją i teraz, chociaż musiał podnieść głos, inaczej nie słyszeliby go w wyjąłym wietrze, szeleście liści i trzasku gałęzi ocierających się o brezent. Raczył nawet podziękować Kitty za smakowite curry, które ugotowała z przyprawionej korzeniami wołowiny z puszk.

- Nie jest to co prawda nasz tradycyjny pieczony indyk - powiedział - ale zważywszy okoliczności, przyznaję, że curry jest wyśmienite. A pudding wspaniały.

Fitzpayne zgasił ognisko, kiedy tylko skończyły gotować. Zdeptał je i nareszcie przestało dymić. Wszyscy mieli świąteczne przybranie na głowie. Ale nie papierową koronę, jak nakazywał angielski zwyczaj, tylko kunsztowny zielony wianek uwity przez Teddy'ego. Connie zobaczyła pajęczka, który prządl sieć we włosach Harriet, ale jej o tym nie powiedziała. Po kolacji usiedli w kręgu i śpiewali chórem kolędy. Powróciły wspomnienia, powróciły emocje.

- *Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem...* Noc nie była ani cicha, ani święta, pokój na Malajach

też diabli wzięli - słowa były tak nieprawdziwe, że Connie z trudem otwierała usta. Cisza? Spokój? Nie, życie było burzliwe. Niebezpieczne. Stali na krawędzi... czego? Przeszedł ją dreszcz i zobaczyła, jak Harriet ukrywa twarz w dłoniach, jęcząc:

- Zabrali mi dom, mój kochany dom...

- To już koniec - mruknął Henry i nie chodziło mu o kolędę.

Ku jej zaskoczeniu z przygnębienia wyrwał ich Fitzpayne, który głębokim barytonem zaintonował *Przybądźcie dziś wierni*. Pozostali dołączyli do niego, zapominając o cuchnącym oddechu dżungli i tęsknocie za minionymi świętami.

*Przybądźcie dziś . wierni, tak rozradowani i triumfujący* - Connie też śpiewała. Słowa wydawały się tak ironiczne, że chciało jej się śmiać.

Kiedy zapadł zmrok, ogarnął ją niepokój. Po kolędach bez wielkiego entuzjazmu grali w gry planszowe, a kiedy świąteczna radość trochę przygasła, dla polepszenia nastroju wyciągnęli butelkę brandy. Connie nie miała ochoty

na alkohol. Stała w drzwiach, a raczej między płachtami brezentu, które pełniły ich funkcję, *czując*, jak szalas trzęsie się i drży pod naporem wiatru. Miała tak nieodpartą ochotę, by pobiec po piachu, dopłynąć bączkiem do jachtu i postawić żagle - nawet teraz, w tej strasznej wichurze - że musiała przytrzymać się wspornika, inaczej jej nogi pobiegłyby same.

Niebo było ponuro szare, chmury sine i groźne. W taką pogodę nie wystartowałyby żaden zdrowy na umyśle pilot, zawsze to coś. Deszcz trochę zelżał, ale wiatr wciąż wyrywał drzewa z korzeniami. Za nimi rozciągał się świat ciemnej zieleni, a leżące na wąskiej plaży połamane drzewa wyglądały jak martwi żołnierze.

Najlepiej czuła się w drodze. Tyle dowiedziała się o sobie na jachcie. Radość z tego, że zostawia za sobą przeszłość. Skok do przodu, zwód w prawo, nagłe przyspieszenie. Resztki złych wspomnień wijące się na ginącym w oddali stosie. Była przekonana, że gdyby teraz podniosła kotwicę, wypłynęła w morze i nigdy nie przestała żeglować, koszmary już nigdy by nie powróciły. Umilkłyby odgłosy, które nieustannie słyszała, głuchy stukot głowy Sho na schodach leśnej chaty, stukot zderzaka wbijającego się w ciepłe ciało. Jej duszę wypełniłyby kojący szum morza, zapach soli i wodorostów zabiłyby odór krwi.

- Przemoknie pani.

Przestraszona, zamrugła i stwierdziła, że tuż obok niej stoi Fitzpayne.

- Zaraz będzie ciemno - powiedziała, myśląc o ciemności w swojej głowie.

- Pani mąż ma latarkę, a my świecezki.

- Świecezki? Wiatr od razu je zdmuchnie. Uśmiechnął się do niej dziwnym, ciepłym uśmiechem.

- Wtedy pani mąż będzie jedynym szczęściarzem, który coś zobaczy.

Poczuła, że ma gorące policzki, i cieszyła się, że jest tak mroczno. Fitzpayne przyglądał się jej z rozbawieniem.

- Ma pan papierosa? - spytała.

Poczęstował ją i osłonił dłońmi zapałkę, trzymając głowę tak blisko, że poczuła *zapach morza* w jego włosach. Wiatr rozwiewał je na wszystkie strony.

- Co z jachtem? - Wciągnęła dym do płuc. - Zbiera straszne cięgi.

- Jest w dobrym stanie. Ma mocną konstrukcję.

Popatrzyli na deszczową kurtynę, za którą kadłub „Białej Perły” biał jak ciało wyskakującego z wody delfina. Przez chwilę podziwiali go bez słowa, wdzięczni za mały skrawek lądu, który ochronił ich przed najgorszym wiatrem.

- Dzięki, że przyprowadził ją pan w bezpieczne miejsce - powiedziała. - Ją i nas.

Posłał jej ostre spojrzenie. Jego twarz tonęła w cieniu i nie mogła nic z niej wyczytać. Mimo wiatru zniżył głos.

- Proszę nie myśleć, że jesteśmy bezpieczni.

- Sztorm uziemi Japończyków tak samo jak nas.

- Niebezpieczeństwo czyha nie tylko na zewnątrz.

- Co to znaczy?

- Ze zagraża nam ktoś z naszej grupy.

Przez chwilę myślała, że mówi o niej. Że to ona im zagraża. Milcząc, pokręciła głową.

- Morgan Madoc - dodał Fitzpayne. - Niech mu pani nie ufa.

Jej serce znowu ożyło.

- Ale dlaczego?

Zanim zdążył odpowiedzieć, w szalasię ktoś krzyknął. Okazało się, że to Harriet zwymiotowała na kolana i właśnie wycierała usta nową koronkową chustką. Connie podeszła do niej i objęła ją ramieniem. Harriet trzymała się za brzuch i drżała, jęcząc jak chore zwierzę. Spojrzała oskarżycielsko na Kitty, która szła do niej z mokrą myjką.

- Coś ty mi zrobiła?

Kitty stanęła jak wryta.

- Że co?



- Otrułaś mnie.

- Przestań, Harriet. - Connie szybko przystąpiła do działania. Wzięła myjkę i zaczęła sprzątać. - Pozostali nie chorują, a wszyscy jedliśmy to samo. Musiałaś zjeść coś innego albo się przeziębiałaś.

Mężczyźni, jak zwykle bezradni w obliczu choroby, patrzyli na nie wzrokiem kota w klatce dla psów.

- Harriet. - Connie odgarnęła wilgotny kosmyk włosów z jej czoła. - Po prostu coś ci zaszkodziło. To zwykle podrażnienie żołądka albo objawy czegoś, co ujawniło się dopiero teraz... - Nie zabrzmiało to przekonująco. Na chusteczce były ślady krwi.

Wiatr znowu się nasilił. Szałas zadygotał, brezent wydał się jak żagiel. Usłyszała dziwny ryk i za późno zdała sobie sprawę, że to nie wichura.

Nie, nie, nie, nie.

Maya wyszła ukradkiem z kąta i przykucnęła obok ciemnowłosej kobiety. Chwyciła ją za bezwładne palce i zaczęła nucić śpiewną malajską melodię, jak małemu dziecku.

- Nie choruj - mamrotała. - Nie choruj.

To nie ta. To nie ta miała zachorować. Musiały zamienić się talerzami. Mężczyźni krzyczeli, wył wiatr, w szałasie panował tak straszny hałas, że wszystkie myśli zbiły się w twardą gulę.

- Nie choruj - powtórzyła bezdźwięcznie.

Kobieta pochyliła się i znowu zwymiotowała. Maya zobaczyła zdradzieckie listki w curry, którym Harriet chlusnęła na ziemię, zielone listki, które podarła na małe kawałki, żeby nikt ich nie zauważył. Popatrzyła oskarżycielsko na *mem* Hadley - dlaczego jej nic nie było? Dlaczego to nie ona wypluwała z siebie wnętrzności?

- *Mem* - szepnęła do ciemnowłosej. - Przepraszam, wiem.

Dobiegające z zewnątrz odgłosy i panująca w szałasie panika pochwyliły jej słowa i cisnęły na wiatr. Skóra kobiety przybrała szary kolor, jej oczy zniknęły w czaszce. Nie, nie, nie. To nie było dla ciebie. Dlaczego zamieniłyście się talerzami?

Ktoś chwycił ją za rękę, ktoś nią szarpnął, ktoś krzyknął coś do jej ucha. W szałasie było tak głośno, że nic nie słyszała. W dodatku rozszczękał się pies. Mimo że była ślepa i głucha, wiedziała, że to jej brat, ale nie chciała spojrzeć mu w oczy. Od razu by się domyślił. Domyśliłby się, co zrobiła - że wymknęła się w deszczu do dżungli i znalazła tam twarde, błyszczące liście, którymi ich matka uwalniała od cierpień chorujące zwierzęta i starców o mlecznych oczach gotowych uciec z tego świata. Nie podniosła głowy, Nie słuchała jego słów. Tylko z czołem przy ziemi przeproszała ciemnowłosą za swój błąd.

I nagle poczuła, że chora *mem* lekko drgnęła, jakby ktoś ją kopnął. Spojrzała na jej twarz. Kobieta miała szeroko otwarte oczy, usta w kształcie litery O i resztki wymiocin na podbródku. Na środku jej czoła wykwitł malutki szkarłatny kwiat. Przez krótką, dziwną chwilę Maya nic z tego nie rozumiała, a potem zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Teddy! To była jej pierwsza myśl.

Zobaczyła go już na rękach męża, który wybiegał właśnie na dwór. Coś rozdarło szałas na strzępy. Do środka lunął deszcz i usłyszała potworny warkot, jakby jej bębenki uszne i żebra zaatakowała gigantyczna piła tarczowa.

- Harriet - szepnęła.

Wciąż ją obejmowała i podtrzymywała. Głowa przyjaciółki opadła bezwładnie w jej stronę, jakby Harriet próbowała usłyszeć ją w tym koszmarnym hałasie.

- Harriet - powtórzyła Connie - musimy uciekać.

Zorientowała się, że przyjaciółka jej nie słyszy. Dostrzegła okrągłą dziurę po kuli w jej czole i ciemny brzuch samolotu, który ostrzelał ich obozowisko w pierwszy dzień świąt. Siedziała przy niej, przemawiała do niej, prosiła, by Harriet wstała, i nie mogła w to uwierzyć. Jak przez mgłę widziała Mayę, jej rozmazaną sylwetkę: dziewczyna leżała zwinięta w kłębek na ziemi, kurczowo ściskając Harriet za rękę. Pozostali zniknęli.

- Chodź, Harriet. Przemokniemy...

Silnym szarpnięciem ktoś postawił ją na nogi i ciało Harriet upadło na plecy. Deszcz momentalnie obmył jej twarz i zalał oczy jak łzami.

- Zostaw ją! - krzyk Fitzpayne'a.

- Nie! .

- Już za późno.

- Nie, może jeszcze żyje! Fitzpayne znowu szarpnął ją za rękę.

- Szybko, on wróci!

Usłyszała grzechotanie karabinu maszynowego, który zasypywał plażę gradem kul.

- Uciekaj!

- Nie.

Fitzpayne zaklął, dźwignął bezwładną Harriet, zarzucił ją sobie na ramię i puścił się biegiem, szarpiąc Connie za rękę tak mocno, że omal nie wyrwał jej ze stawu. Z Mayą, która przeraźliwie krzyczała i jak przerażony szczeniak deptała im po piętach, wpadli do dżungli. W głębi mrocznego lasu Connie uklękła na rozmokłej ziemi, objęła przyjaciółkę i tuliła ją do siebie, dopóki nie odepchnął jej Henry Court.

- Zostaw ją - warknął. - To przez ciebie. Gdyby nie ty, w ogóle by nas tu nie było.

Connie spuściła głowę. Wciąż klęczała. Henry wypowiedział na głos słowa, które od dawna pobrzmiwały jej w uszach.

## ROZDZIAŁ 23

Pięć dni.

Tkwili na tym małym cyplu przez pięć dni. Za dnia siedzieli pod drzewami, bo nikomu - nawet Pippinowi - nie wolno było wychodzić na brzeg. Noce spędzali w chybotliwym szałasie, który zbudowali z gałęzi, liści i resztek dziurawego brezentu z plaży.

Rozgorzał zażarty spór, czy pochować Harriet już tu i teraz, czy owinąć ją w koc, zabrać do Singapuru i urządzić jej pogrzeb na poświęconej ziemi. W końcu zwyciężył ma-lajski klimat. Pochowali ją od razu, nim upał i wilgoć zdążyły zrobić swoje. Ceremonia była krótka i prosta. W ulewnym deszczu odprawił ją Nigel, a potem wbili w ziemię zrobiony przez Fitzpayne'a krzyż, by powiedzieć robakom, gdzie leży jej ciało. Na ramieniu krzyża widniały wyryte w drewnie słowa: „Harriet Arabella Court 1905-1941”.

Uzmysłowiła to sobie wieczorem, w dniu, w którym Fitzpayne przywiózł z jachtu Johnniego i Morgana Madoca. Nigel i Razak, dwie małe, odległe sylwetki, zostali na pokładzie, patrząc za nimi i czekając na swoją kolej. Tak to zapamiętała: wszystko w dużym oddaleniu. Pracowali w piątkę od świtu. Stała wtedy pod drzewami i patrzyła, jak wiosła zanurzają się rytmicznie w fale, a zapadający wieczór malował wokół nich cieniste bruzdy. Tuż nad wo-

darni zatoki przemknęło stado jaskółek, a słońce zalewało niebo triumfalną złotawą poświatą, która spływała i na mężczyzn w łódce.

Connie zazdrościła im. Ale tak było lepiej. Musiała zostać w dżungli i pilnować Henry'ego. Siedzieli razem przy grobie Harriet w deszczu i na wietrze, podczas gdy tamci naprawiali uszkodzony jacht. Podczas drugiego przelotu japoński myśliwiec podziurawił kulami burzę poniżej linii wodnej. Mimo sztormowej pogody Fitzpayne robił, co tylko mógł, by łódź znowu nadawała się do żeglugi, łącąc dziury drewnem, smołą i pakułami, które mieli na pokładzie. Razak wypompowywał wodę z zęzy. Bolało ją, że „Biała Perła” wygląda tak żałośnie, jak pochylony starzec, i opłakiwała Harriet, przyjaciółkę, która zaufała jej na tyle, by uciec z nimi przed nadciągającym wrogiem.

Wieczne słońce rozproszyło wreszcie chmury i temperatura podskoczyła tak gwałtownie, że drzewa utonęły w wijących się girlandach mgły, w której dobiegające z dżungli ptasie krzyki i pohukiwania brzmiały wręcz upiornie. Connie często przyłapywała się na tym, że spośród natarczywego *cze-cze-cze* dziwogonów i długich, przeszywających gwizdów wydawanych przez gwarki próbuje wyłowić hałaśliwy śmiech Harriet. Czujna i uważna stawała się tylko na widok Teddyego.

Od Bożego Narodzenia syn był zamknięty w sobie i całą uwagę skupiał na słoikach z pajakami, żukami i ćmami, oglądając je przez szkło powiększające. Z kawałkami liści i kory w sterczących na wszystkie strony włosach i z nieodłącznym notesem w ręku wyglądał jak mały profesor. Tylko na twarzy malowało się zagubienie, zmęczenie skomplikowanym życiem dorosłych. Jakby zazdrościł owadom.

Zagadywała go, ale odpowiadał tylko niemym potrząśnięciem lub skinieniem głowy. Kiedy ojciec poprosił go, by popłynął z nim na jacht i dołączył do Razaka i Fitzpayne'a, tylko wzruszył ramionami. Ten obojętny gest był tak dorosły i tak do niego niepodobny, że miała łzy w oczach.

Ignorował również Kitty, która próbowała rozweselić go reszką ciasteczek ryżowych z miodem. Dotrzeć do niego udało się tylko Mai. Przyniosła mu węża. Martwego, ale węża. Teddy siedział w kucki pod bananowcem, obserwując, jak armia mrówek maszeruje po gałęzi, którą zagroził im drogę, a ona podeszła do niego i rzuciła mu go do stóp. Miał prawie metr długości i kwieciste czerwone wzory na zielonym grzbiecie. Chłopiec podniósł go ostrożnie i powiedział, że jest to węzolut rajski.

- Latający wąż. Rozpłascza się i szybuje od drzewa do drzewa.

- Ma jad? - spytała Maya.

- Nie, jest zupełnie nieszkodliwy. Żywi się jaszczurkami. Jest piękny. Ale najbardziej chciałbym mieć kobrę królewską.

- Kobra by cię zjadła.

Nie roześmiali się, ani on, ani ona. Oboje mieli poważne twarze. Jakby już wiedzieli, że życie polega na tym, że stworzenia się wzajemnie pożerają. A ludzie zabijają. Traktowali to jako coś zupełnie oczywistego. I kiedy bączek podpłynął bliżej, kołysząc się i podskakując na złocistym całunie, który rozesłało przed nim słońce, Connie wyczuła, że coś się zmieniło. To właśnie wtedy uzmysłowiła sobie, że zaczyna brakować im czasu. Jakby miała w głowie tykający zegar.

/ - Kitty - wyznał Madoc. - Chyba się zakochałem.

- Widzę. - Kitty stłumiła śmiech, rozglądając się na wszystkie strony i podziwiając eleganckie wnętrza salonu. Była na pokładzie pierwszy raz.

- Czyż nie jest to najbardziej zmysłowe stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałas?

- Przestań się ślinić. To łódź bogacza, więc czego się spodziewałeś?

- Łódź bogaczki.  
- To jej?  
- Jej - Dobra robota. - Kitty zrobiła minę.  
- Ten Japoniec zdrowo ją pokieraszował.  
- Ją czy łódź? Wymienili spojrzenia.  
- Dyskusyjna sprawa - mruknął Madoc. - Bardzo przeżyła śmierć tej Harriet.

- Widać z tego... - Kitty zajrzała do małego kambuza i z aprobatą poklepała kuchenkę. - Widać z tego, że pieniądze szczęścia nie dają. Ta baba potrzebuje...

- Ciii... - Madoc przytknął palec do jej ust i spojrzał znacząco na luki w suficie. - Na jachcie - powiedział półgłosem - nic nie uchowa się w tajemnicy. Ściany są cienkie jak papier. Wszystko słyhać.

- Wszystko?

- Wszystko.

Kitty roześmiała się cicho i otworzyła szafkę, by sprawdzić jej zawartość.

- Naprawdę?

Henry Court zrezygnował ze swojej kajuty. Bardzo miło z jego strony, pomyślał Madoc i z ochotą przyjął ją w imieniu swoim i żony. Kitty mówiła, że biedaczyna nie może spać w łóżku świętej pamięci Harriet, ale Madocowi jeden głupi duch zupełnie nie przeszkadzał - łąziła za nim cała zgraja. Court przeniósł się na wąską górną koję za zasłoną, a dolną zajął młody Malaj. Fitzpayne, który chyba nigdy nie spał, zadowolili się ławką w salonie. Malajka ciągle snuła się po pokładzie jak mroczny cień i na jej widok włosy na karku stawały mu dęba.

Podnieśli żagle o świcie, oczywiście pod dowództwem Fitzpayne'a. Wiał zmienny wiatr z południa i płynęli dość

wolno, ale Madoc chrząkał z zadowolenia, ilekroć znosiło ich z kursu. Nie spieszyło mu się do Singapuru, i to wcale. Kiedy wypływali z zatoki, widział, jak Jasnowłosa i Court stali przy relingu ze wzrokiem wbitym w skrawek dżungli, gdzie pochowali Harriet. Stali tam i stali, do ostatniej chwili, jakby nie mogli się napatrzeć. Co za absurd. Wiedział, że bez względu na to, jak głęboko ją zakopali, zwierzęta znajdą ją prędzej czy później. Prawa natury nie zmienisz. Z zamyślenia wyrwał go Fitzpayne.

- Madoc, przejmiesz na chwilę ster?

W jego obecności z ust nie wyrwało mu się ani jedno słowo niezadowolenia, nawet wtedy, gdy stał po kolana w brudnej, śmierdzącej wodzie i pomagał mu łątać dziury w burcie. Pozatykali je nasączonym smołą płótnem żeglarskim, ale mimo ich wysiłków jacht wciąż nabierał wody, co jeszcze bardziej ich spowalniało. Dlatego teraz przestał się uśmiechać i bez protestu stanął za sterem. Nawet ranna i osłabiona, łajba prowadziła się wspaniale.

- Miej oko na chłopca - szepnął do niego Fitzpayne. Czyli na syna Hadleyów. Chłopak stał na dziobie, do

nikogo się nie odzywał i z przyklejoną do oczu lornetką -bardzo zresztą kosztowną - albo patrzył w niebo, albo w regularnych odstępach czasu omiatał horyzont przed dziobem i za rufą. Za welonem mgły na zachodzie widać było garbaty zarys brzegu Sumatry, jej cienistą, zielonkawą sylwetkę. Na niebie krążyły mewy, a poranne powietrze pachniało świeżością i solą, zwłaszcza po dusznej, wilgotnej dżungli. Usłyszał kroki na schodach i na pokład wyszła pani Hadley - wyszła i z uśmiechem podała mu papierosa i coś gorącego do picia. Jej oczy były zachmurzone, a twarz znacznie szczuplejsza niż wtedy, kiedy zobaczył ją pierwszy raz.

- Dzięki - powiedział i ruchem głowy wskazał jej syna. - Lubi obserwować, co?

- Tak. Jest bardzo spostrzegawczy.

Trochę go to zaniepokoiło. Spostrzegawczy? Jak bardzo



spostrzegawczy? Co zdążył zauważyć? Nigdy nie miał do czynienia z dziećmi i w ich obecności czuł się nieswojo.

Znowu kroki i na pokład wyszedł porucznik pilot, ten przystojniak. Madoc już dawno zauważył, że facet lubił się pojawiać nieoczekiwanie przy Jasnowłosej, najczęściej pod pozorem tego, że musi rozruszać chorą rękę albo że rozwiązał mu się temblak. Ale ona trzymała go na dystans. Lubiła go, to było oczywiste, ale wyznaczyła między nimi wyraźną granicę.

Nie, pilot porucznik najczęściej zabawiał jej męża, głównie wieczorami, gdy śmiali się razem przy kartach, sprzeczali o wynik rzutu kością albo uczyli uśmiechniętego Malaja jakiejś gry. Na tym właśnie polegał kłopot z przedstawicielami ich klasy społecznej: zawsze czuli się lepiej w obecności mężczyzn niż kobiet. Uważali, że kobiety nadają się tylko do łóżka i na salę balową. Durnie. Nie mieli pojęcia, co tracą. Bo on delektował się nie tylko krągłościami ciała Kitty. Delektował się również krągłymi zawilościami jej umysłu.

- Wypatrzyłeś coś ciekawego? - Jasnowłosa przeszła na dziób i wdała się w rozmowę z synem.

Dobrze trzymała się na pokładzie. Tego dnia była w ciemnej bluzce i ciemnej spódnicy, a we włosach miała czarną wstążkę na znak żałoby po przyjaciółce. Patrząc, jak pochyła się nad synem, doszedł do wniosku, że jest w niej coś z baletnicy, ta sama elegancja ruchów. Kiedyś mieszkali razem z baletnicami, on i Kitty - omal nie roześmiał się na to wspomnienie. Cóż to były za dziwki. Dziwki i złodziejki.

- Samolot!

Głośny okrzyk i wyciągnięta na wschód ręka. Madoc drgnął. Nie mógł się powstrzymać. Miał tak, odkąd zbombardowali mu bar, i to bez względu na to, czy widział samoloty brytyjskie, czy japońskie. Paraliżujący ryk silnika wrył mu się w mózg.

Spojrzał w jasnoniebieskie niebo.

- Nic nie widzę.

- Sześć samolotów.

No tak, chłopak widział lepiej, przecież miał lornetkę.

- Nasi czy Japończycy? - spytał porucznik. Zapadła cisza, gówniarz patrzył i patrzył. Dlaczego, do diabła, Blake nie wyrwał mu lornetki z rąk i nie spojrział sam? Za grzeczny jest, cholera.

- Nasi - odparł Teddy. - Bombowce typu Bristol Blenheim.

- Na pewno?

- Mają podwójne silniki. I pojedynczy ogon.

Żeby ułatwić mu identyfikację, Madoc przez cały czas utrzymywał jacht dokładnie na kursie i musiał teraz przyznać, że gnojek zna się na rzeczy.

- Dobra robota, Teddy - pochwalił go porucznik.

Skrepowany chłopak nieśmiało kiwnął głową, a Jasnowłosa podziękowała pilotowi spojrzeniem. A więc to tak można się do niej dostać: przez syna. Madoc skrzętnie ukrył tę informację w swoim podręcznym magazynie i właśnie ją analizował, gdy nagle u jego boku wyrósł Fitz-payne, bezszelestny jak pieprzony wąż. Madoc oddał mu bez słowa ster i w tej samej chwili samoloty przeleciały nad nimi z rykiem, od którego zaszczękały mu zęby. Wszyscy podnieśli głowę. Maszyny kierowały się na południe.

- Pewnie lecą do bazy w Tengah - zgadywał pilot. - Albo do Seletaru, jeśli lotnisko ocalało. - Powiedział to ot tak, od niechcienia, ale nikt się nie nabrał. Blake dałby wszystko, żeby być teraz razem z kolegami.

- Albo zwiewają od Japońców - wymamrotał Madoc. Cios w brzuch powalił go na pokład i pozbawił tchu.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem. On patrzył z wściekłością na Fitzpayne'a, ale ten stał za sterem ze wzrokiem wbitym przed siebie, jakby ani na sekundę nie opuszczał posterunku. Był szybszy niż szarżująca kobra.

- Ciekawe - spytał - czy ci w Singapurze mają tyle oleju w głowie, by zarządzić całkowite zaciemnienie. Jak myślisz, Madoc?

Madoc pozbierał się, podniósł i łypnął na niego spode łba, ale Fitzpayne zaczął bezgłośnie pogwizdywać, udając, że tego nie widzi.

- Wszystko w porządku? - spytała zdezorientowana Jasnowłosa. - Co się stało?

- Potknął się - odpowiedział za niego Fitzpayne. - O swój wielki jęzor. Podszedł do nich porucznik.

- Oni nie uciekają, Madoc. Są brytyjskimi pilotami i bronią Malajów, ryzykując życie, by ratować takich jak pan.

Madoc mruknął coś pod nosem. Na widok tych układnych zarozumialców zawsze chciało mu się rzygać.

- To zwykły śmieć. - Słowa te eksplodowały w ciszy jak granat. Rzucony przez Fitzpayne'a.

W innych okolicznościach Madoc by się z nim porachował, ale nie, z trudem przełknął gniew, przeszył sukinsyna wzrokiem i ruszył w stronę luku. Walić ich. Walić ich wszystkich. Przeleci Kitty na łóżku, które ci durnie im odstąpili, i jeśli coś usłyszą, tym lepiej. Niech uszy spalą im się ze wstydu na popiół. Nie pora teraz się bić, ani nie miejsce.

Schodząc po schodach, usłyszał jeszcze, jak ten skurwiel woła:

- Postawmy więcej żagli. Wieczorem będziemy w Singapurze.

Za wcześnie. O wiele za wcześnie. Madoc nie był jeszcze gotowy. Wszedł do kambuza, chwycił Kitty za rękę, otworzył kopniakiem drzwi do kabiny i wtedy ten gówniarz z lornetką krzyknął:

- Znowu ten *pinisiql* - zawołał z paniką w głosie. - Ściga nas!

Zaraz potem zadudnił głos Fitzpayne'a:

- To tylko miejscowi handlarze. Nie ma się czym przejmować.

Ale Madoc miał dobry słuch. Bez trudu wyczuł, że skurwiel kłamie.

Noc zapadła tak szybko, jakby ktoś spuścił czarną kurtynę. Ale w oddali migotały światła Singapuru, wabiąc ich jak ćmy do płomienia. Na wodach cieśniny Malakka roilo się od światełek dziobowych łodzi płynących w kierunku tamtejszego portu. Wyglądało na to, że inni też postanowili uciekać po ciemku, zanim spadnie na nich pięść wojny. Jednak wschodził już księżyc, wskazując ich srebrzystym palcem i zmieniając w mlecznobiałe duchy.

„Biała Perła” drżała i zdawało się, że wyczuwa koniec podróży. Noc była parna. Między linami bezgłośnie przemykały nietoperze, fale uderzały o burty monotonnym rytmem, który powinien uspokajać, ale nie uspokajał. Connie stała przy sterze, paląc papierosa za papierosem.

- Zdenerwowana? - spytał Fitzpayne.

Widziała, że tam jest, że stoi, opierając się o maszt. Promienie księżyca rzeźbiły w mroku jego twarz, ale jak dotąd milczał i nie chciała mu przeszkadzać. Czasem wyglądał jak ktoś, kto zamyka się w sobie, by ścigać dręczące go demony, tak jak teraz. Jakby zrobił swoje i nie chciał mieć z nimi więcej do czynienia. Rozdrażniło ją to, więc odpowiedziała oschlej, niż zamierzała.

- Nie. Myślę o tym, co przed nami. Spojrzał na nią z poraną cieniami twarzy.

- Przed nami? - powtórzył - Przed nami jest Singapur.

Dmuchał wiatr, niosąc ze sobą grzybowy zapach zielonej dżungli, wspomnienie wolności, i na myśl o tym, że miałyby utknąć w Singapurze jak w więzieniu, ścisnęło ją w gardle.

- Tak - powiedziała cicho.

- Gdzie się zatrzymacie?

- Zarezerwowałam pokoje w hotelu Raffles. Ale po tych bombardowaniach nie wiem nawet, czy jeszcze stoi. - Zrobiła pauzę. - A pan?

- Nie zostanę tam długo. Wezmę kąpiel, wypiję drinka i popłynę dalej.

- Tak? - Starła się, by zabrzmiało to obojętnie. - Dokąd?

- Na pewną wyspę.

- Na jaką?

- Są tu ich tysiące, w tym mnóstwo małych i jeszcze nieodkrytych. Nawet Japończycy nie będą chcieli ich wszystkich zająć. Za dużo zachodu.

Powiedział to tak, że ścierpła jej skóra. Jakby było to zupełnie pewne.

- Myśli pan, że zajdą aż tak daleko?

- A pani nie?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, od prastarych wzgórz Sumatry dmuchnął wiatr i jacht przechylił się mocno na bakburtę. Gdy gwałtownie się wyprostował, Fitzpayne podszedł bliżej i zaproponował, że przejmie ster. Odmówiła.

- Skąd pan pochodzi, panie Fitzpayne? Roześmiał się lekko i ciepło.

- Przecież niedługo się pożegnamy. Dlaczego pani pyta?

- Bo chcę wiedzieć.

Umilkli. Trzasnęła zapalka i płomień oświetlił mu twarz. Fitzpayne przypalił dwa papierosy i zrozumiała, że zrobił to tylko po to, by mieć czas na zastanowienie. Powiedzieć coś czy nie? Podał jej jednego i odparł:

- Urodziłem się nad brzegiem morza, tu, w Azji Wschodniej. - Wypuścił kłęb dymu. - Moi rodzice byli... - Uśmiechnął się nieśmiało. - Lubili przygody. Pochodzili z Hull w Anglii, ale dużo podróżowali po całej Azji.

- Lubili żyć na krawędzi. Znowu się roześmiał.

- To prawda.

- A pan?

-Ja?

- Lubi pan żyć na krawędzi?

Odchylił się do tyłu, by lepiej widzieć jej twarz w koronkowym świetle księżyca. Pokład zakołysał się łagodnie pod ich stopami.

- Lubię spychać na krawędź innych.

Wyznanie było tak nieoczekiwane i szczere, że aż zawibrowało w nocnym powietrzu.

- Ale dlaczego?

- Bo wtedy ludzie pokazują swoją prawdziwą twarz. -Czubek papierosa zatańczył w powietrzu i Fitzpayne zaciągnął się dymem. - Kiedy opuszczają gardę i przestają udawać, dopiero wtedy widać, kim naprawdę są.

Connie poczuła, że z jej płuc ucieka całe powietrze. Coś podejrzewał? Domyślał się, do czego jest zdolna? To dlatego dał jej pistolet?

- I co pan wtedy robi? Kiedy pozna już pan prawdę.

- Prawda jest zawsze lepsza niż kłamstwo. - Dotknął jej ręki na rumplu i poczuła ciepło jego palców. - Kłamstwo osłabia - dodał cicho. - Jest pożywką dla strachu.

Pod jej mostkiem zaczęło narastać coś zimnego. Narastało, rozrastało się, dotarło aż do gardła i poczuła nieodparte pragnienie, by to z siebie wyrzucić, zwymiotować zgniły smak tych wszystkich lęków i kłamstw. Spojrzała na niego i otworzyła usta, by wypowiedzieć słowa, które kłuły ją w język jak kolczasty drut: zabiłam człowieka.

Ale wtedy nocną ciszę zburzył monotonny warkot silników samolotowych. I zanim słowa zdążyły przybrać kształt, na Singapur spadły pierwsze bomby.

Przelatywał nad nimi samolot za samolotem i jacht trząsł się w rozedrganym powietrzu. Japońskie bombowce. W jednej chwili niczym pęki ognistych żył niebo przecięły krzyżujące się w ciemności pociski smugowe, bo brytyjskie samoloty próbowały je zestrzelić.

Connie stała przy relingu, kurczowo ściskając syna za rękę. A więc to tak wygląda wojna? Tyle huku i przerażenia ściśniętego w czasie do tego stopnia, że ludzie zapominają, kim są i stają się kimś innym? Że zwykli młodzieńcy wkładają mundur i zostają bohaterami, a cywile mówią: „Kiepski pokaz dzisiaj dali, he?”, chociaż tak naprawdę myślą: „Byłem śmiertelnie przerażony”?

Reszta też stała na pokładzie niema i wstrząśnięta. Wszyscy patrzyli bezradnie, jak miasto zbiera cięgi, jak bomby trafiają w cel, jak wybuchają pożary. Nocnym powietrzem raz za razem wstrząsał głośny huk.

- Bombardują nabrzeże Keppel - powiedział Johnnie. Miał spięty głos.

- Magazyny są pełne towarów - zadudnił Nigel. -Cyna, kauczuk, ryż dla naszych wojsk. Nasi żołnierze.

Przed oczami zaroilo się jej od obrazów. Obrazów zwykłych ludzi. Ludzi zajmujących się codziennymi sprawami, spacerujących po Tanglin i Orchard Road. Siedzących w Alhambrze i Roxy i oglądających *Sokoła maltańskiego* z Humphreym Bogartem, jedzących lody. Gdzie był teraz sir Shenton Thomas, gubernator? W schronie? Rozszczękały się działka przeciwlotnicze.

- Mamusiu, spójrz!

Eksplodował samolot i z nieba spadł deszcz gorejących gwiazd. Stojący obok niej Johnnie drgnął. Na ziemi buchnęły płomienie i poczuła, że syn ma gorącą rękę z podniecenia. Fitzpayne wyciskał z jachtu ile tylko mógł, łapiąc w żagle każdy, najmniejszy nawet podmuch wiatru. Zgasił lampę na dziobie, inne łodzie też i prawdopodobieństwo kolizji w wąskiej cieśninie nagle wzrosło. Ratowało ich tylko światło księżycy.

- To już koniec - powiedziała przybita Connie.

- Czego? - spytał Teddy.

- Singapuru.

Syn zadarł głowę, sondując jej twarz.

- Dlaczego?

Wyřczył ją ten nowy, Madoc.

- Bo juź nie ma sensu tam pływac, synu - wyjaśniał. - Jeszcze parę dni i zaroi się tam od japońskich żołnierzy, czołgów i armat. Nie mamy juź tu czego szukać, nie na Malajach.

- Dość tego - warknęła.

- Ale to prawda - zawtórowała mu żałośnie jego żona. - To koniec.

Na nabrzeżu coś wybuchło i echo gigantycznej eksplozji omal ich nie ogłuszyło. Teddy odwrócił się do Johnniego.

- Przecież mieliśmy ich pokonać - powiedział oskarżycielsko.

- To nie wina Johnniego, synku. - Connie położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie mieliśmy szans, Teddy - odrzekł Johnnie. - Najmniejszych szans. - Zrozpaczony pokręcił głową. - Obrona Malajów nie należała do najwyższych priorytetów tych z Londynu, ludzi, od których zależy liczebność wojsk w tej cholernej strefie. Zakładali, że my, RAF, rozgromimy Japończyków, zanim się tu zbliżą.

Oczy Teddy'ego błyszczały w świetle księżyca, łaknąc więcej.

- Jak mogliśmy to zrobić, jakim cudem? - ciągnął bezlitośnie Johnnie.

- Bez porządnych samolotów...

- Ale Brewster Buffalo to...

- Nie, Teddy. Brewster to ciężkie, niezdarne bydlę. Jest mało zwrotny, nie ma żadnych szans z...

- Johnnie - przerwał mu Nigel. - Przestań, nie ma potrzeby.

Ona jednak wiedziała, że potrzeba jest. Wszyscy musieli stawić czoło prawdzie, nawet jej syn. Tylko tak mogli zrozumieć, co się dzieje i trzeźwo spojrzeć na przyszłość. Kłamstwami przeszłości było zasłane całe rozciągające się wokół nich morze.

- A generał Percival i nasza armia? - spytał szeptem Teddy z oczami utkwionymi w niebo, gdzie trwał dramatyczny pokaz fajerwerków. - Czy generał nie mógł...



- Nie - odparł brutalnie Johnnie. - Przydzielono mu zbieraninę źle wyszkolonych żołnierzy z Indii i Australii, którzy mieli wesprzeć 11. Dywizję pod Jitrą i Slim River. I spójrz teraz na Singapur! Percival siedzi pewnie w pokoju operacyjnym w jakiejś ruderze przy Sime Road, słyszy wybuchy bomb i przeklina swojego pecha. Cholera jasna, powinien być dostać wsparcie z morza!

- I dostał - zauważyła. - „Prince of Wales” i „Repulse”...

- Ale bez osłony z powietrza - przerwał jej Johnnie trochę łagodniejszym już głosem. - Lotniskowiec, który miał udzielić im wsparcia, musiał opłynąć całą Jamajkę i przez ten czas siedzieli tam jak kaczkki na wodzie, czekając, aż Japończycy zatopią ich torpedami. - Przygnębiony westchnął. - Teraz wszyscy jesteśmy jak te cholerne kaczkki. Oddałbym pół życia, żeby być teraz w jednej z tych starych trzeszczących maszyn.

- Cieszę się, że nie jesteś.

Connie pogłaskała syna po głowie, wsunęła palce w jego włosy i odwróciła się, by nie patrzeć, jak imperium pada na kolana.

- Co teraz? - spytał *tuan* Hadley.

Z mocno zaciśniętymi pięściami siedział u szczytu małego stołu w salonie. Maya uważnie go obserwowała. Jak to możliwe, żeby ludzka twarz tak szybko się postarzała? Jak u Tami-lów, którzy pracowali w kamieniołomach i wracali do domu w drugiej skórze z szarego pyłu. *Tuan* tak właśnie wyglądał.

- Znam pewną wyspę... - odezwał się Stalwooki.

Maya wyteżyła słuch. Stalwooki opierał się o błyszczącą ścianę. Miał potargane włosy i przymknięte oczy, jak polujący tygrys.

Nie, tygrysie, mnie nie zjesz. Za szybko biegam.

- Znam pewną wyspę - powtórzył - gdzie powinno być bezpiecznie.

- Tu jest tysiąc wysp - powiedział ten z brzuchem i martwą żoną. -  
Która to?

Stalwooki roześmiał się leniwie.

Nie, nie, nie oszukasz mnie. Uśmiechasz się jak tygrys.

- Ta jest niedaleko, na wschód stąd, w kierunku Borneo. Leży z dala od lądu. Większość tych wysp jest niezamieszкана, ale na tej mieszka garstka ludzi. Moglibyśmy naprawić jacht i uzupełnić zapasy. Mielibyście czas zastanowić się, co dalej.

Powiódł oczami po twarzach ludzi siedzących w środku łodzi, musnął wzrokiem Razaka, potem ją i leciutko kiwnął głową.

Kiwasz głową do mnie, tygrysie? Dlaczego? Bo wiesz, że ci nie ufam?

Najdłużej patrzył na *mem* Hadley. Im dłużej *patrzył*, tym w jego oczach więcej było ciemnoniebieskiego smutku. Smutku ciężkiego jak ten w jej sercu, bo najpierw straciła matkę, a teraz swój kraj. Tylko *mem* Hadley to rozumiała.

- Przykro mi, Mayu - szepnęła, kiedy minąwszy Singapur, pożeglowali dalej na południe.

Po pokoju krążyły pot i strach. Maya czuła ich zapach. Obok niej stał *tucm* z martwą żoną. Zza uszu spływał mu pot, a jego ręka zostawiła wilgotny ślad na mapie, gdy ją na niej położył.

Stalwooki rozłożył na stole wielką płachtę - nazywał ją mapą - i wszyscy zaczęli się nagle popychać, przepychać i obmacywać ją oczami. Nerwowi jak żaby. A Stalwooki to przesuwając palcem po wielkich kawałach błękitu, to dźgał nim zielone plamy, jedne długie i chude, inne szerokie i okrągłe. Plamy tłoczyły się, wpadały na siebie, a oprócz nich były tam jeszcze kawałki różowego i żółtego i dziwne szlaczki. Wiedziała, że szlaczki to pismo.

- Rozumiecie? - spytał.

Wszyscy kiwnęli głowami. Ona nie zrozumiała ani słowa. Mimo to też kiwnęła. Tylko Razak miał odwagę spytać:

- Czy to niebieskie to morze?

Ten z brzuchem parsknął śmiechem. Miała ochotę dać mu w twarz.

- Tak - odparł Stalwooki. - Morze.

Morze? Tak dużo morza? Niemożliwe, na pewno kłamał.

- A to... - Dotknął palcem wąskiego, różowego języka na mapie. - To są Malaje.

Maya wytrzeszczyła oczy. Teraz to już na pewno kłamał. Ten różowy język nie mógł być Malajami, to niemożliwe. Malaje były wielkie, na Malajach rosła niekończąca się dżungla. Kiedy szukała żółwi, bolały ją nogi od chodzenia, tak długie były tam plaże.

- To są Malaje - powtórzył Stalwooki. Ze wstydem zdała sobie sprawę, że tłumaczy to tylko im, jej i Razako-wi. - A tu jest Singapur. - Singapur był jak gruby, krótki liść na końcu różowego języka. - A to są Sumatra i Jawa. Jak widzicie, dzieli je tylko mały krok.

Rzeczywiście był tak mały, tak malutki, że z jednej wyspy na drugą mogłaby przedostać się bez łódki, nie mocząc nawet nóg w wodzie.

- Ale to znaczy - dodał Stalwooki - że generał Tojo zaatakuje ten rejon, jak tylko zdobędzie Singapur.

- Chwileczkę - wtrącił lotnik. Potrząsnął złocistymi włosami i dźgnął palcem w długą, zieloną fasolę, która była Sumatrą. - RAF ma tu 225. Pułk Bombowców z siedemdziesięcioma pięcioma blenheimami i hudsonami. I 226. Pułk Myśliwców z dwoma dywizjonami hurricane'ów.

W brzuchu łodzi zapadła niezręczna cisza. Wszyscy chcieli mu wierzyć. Morze niecierpliwie zamruczało i jacht się zakołysał. Mai żołądek podjechał do gardła.

Stalwooki zapalił papierosa i odwrócił wzrok, żeby przez chwilę nie patrzeć na stłoczonych wokół stołu.

- Wszyscy wiemy - powiedział przez dym - że w Pa-lembangu na Sumatrze Royal Dutch Shell ma swoją naj-

większą rafinerię. Przechwycenie tej i innych rafinerii jest jednym z najgłówniejszych celów japońskiej inwazji w tym rejonie Azji. - Nagle cisnął przed siebie pudełkiem zapalek. Pudełko trafiło w lampę, posypały się zapaliki, poleciało po podłodze i wpadło pod ławkę. - To oczywiste, że napadną Sumatrę i boję się, panie poruczniku, że wasze bombowce i myśliwce ich nie zatrzymają.

*Mem* Hadley spojrzała na niego i w jej niebieskich oczach Maya dostrzegła dziwny błysk.

- Więc co pan proponuje?

- Pozostaje Borneo, które jest już chyba w rękach Japończyków, i Nowa Gwinea, setki kilometrów stąd. Proponuję popłynąć tędy... - Przesunął palcem po niebieskim, omijając zielone i żółte plamy. - Wtedy Japończycy nas nie wykryją. Będziemy płynąć nocą. Ale i tak nie ma pewności. Mogą tam dotrzeć przed nami.

*Tuan* Hadley pokiwał głową. A więc musiała to być prawda. Ona też kiwnęła i ukradkiem popatrzyła po ich twarzach. Większość jak zaczarowana patrzyła na mapę, tylko ten nowy, ten z króliczymi zębami i grubą żoną, rozglądał się wokoło jak pies, który obejmuje w posiadanie nową budę i podnosi nogę, by zaznaczyć swoje terytorium. Drugą osobą, która nie patrzyła na mapę, była *mem* Hadley. Bo ona z zaróżowionymi policzkami i płonącymi z niecierpliwości oczami patrzyła w okrągłe jak księżyc okno. Jakby chciała odgryźć kawałek tego, co tam widziała.

- Co ty robisz? - Maya trąciła brata w bok.

- Czyszczę buty.

- Nie jesteś jego służącym.

- On karmi nas i chroni przed japońskimi bagnetami. A mógłby rzucić nas rekinom na pożarcie.

Maya ukucnęła obok brata. Razak siedział po turecku

na pokładzie i jego czarne włosy błyszcząły w miejscach, gdzie musnął je złoty palec wschodzącego słońca. Wszystko chciało dotykać jej pięknego brata. Wokół niego stały buty, dziesięć par butów, pięć z czarnej skóry, cztery z brązowej i jedna z kremowej jak mleko. Dotknęła tych kremowych - były miękkie jak ucho małego prosiaczka.

- Nie ruszaj. - Razak zmarszczył brwi.

- Nic im nie zrobię.

- Są wyczyszczone.

- Wszystkie należą do tuana Hadleya?

- Tak.

Maya włożyła rękę do buta, którego brat jeszcze nie wyczyścił, i but połknął całą jej pięść, jak paszcza wieloryba. Podniosła go do góry, obejrzała szwy, ohydny płaski jęzor, malutkie dziurki na bokach i sznurowadła z małymi metalowymi rurkami na końcu. Potem odwróciła go i popatrzyła na gładką, miękką podeszwę. But był ciężki i śmierdział potem białego człowieka.

- Po co komu tyle butów?

Razak zganił ją spojrzeniem i zabrał jej but.

- *Tuan* Hadley to ważny pan.

Maya nachyliła się i napluła na jeden z tych wypucowanych.

- Zapominasz, mój głupi bracie, dlaczego tu jesteśmy. Razak spochmurniał.

- Dlatego że taka była wola naszej matki.

- Nie. Nie matki, tylko moja. Matka przeklęła kobietę, która ją zabiła, i jej duch zazna spokoju dopiero wtedy, gdy klątwa się wypełni. Dotąd byłam ślepa, ale przejrzałam na oczy. - Odpędziła od siebie wspomnienia o ciepłym dotyku opiekuńczego ramienia *mem* Hadley.

Brat głośno prychnął. Maya zadrżała. Razak prychnął z odrazą, jak Anglik. Spokojnie podniósł but, wytarł ślinę i ustawił go w rzędzie tych wyczyszczonych.

- Myliliśmy się - powiedział i spojrzał na nią tak, że

poruszyła się nieswojo. - Przedtem tego nie rozumiałem. Ale teraz rozumiem. Za życia matka nie dała nam prawie nic, ale po śmierci otrzymaliśmy od niej ten wielki dar. -Zatoczył ręką łuk. - To życie. Tyle się tu uczę.

- Czego się uczysz?

- *Tuan* Teddy uczy mnie czytać po angielsku. Maya poczuła, że z zazdrości ściska ją w brzuchu.

- Znaczymy dla nich tyle, co nic, mniej niż mrówki pod tym wielkim jak kajak butem.

- Uczę się grać w ich gry.

- I co będziemy z tego mieli?

- Biali panowie grają na pieniądze.

Słowa te utknęły jej w gardle jak pancerz rogatego żuka.

- Kiedy *mem* Hadley dawała ci pieniądze, nie chciałeś ich wziąć.

- Moja mała sestro... - Razak dotknął łagodnie jej policzka. - Twoja głowa jest wciąż pełna mułu. - Oto... -Wskazał wielkie białe żagle, a potem stojące na pokładzie buty. - Oto co zostawił nam w spadku duch naszej matki. Stając przed tym samochodem, czując, jak uchodzi z niej życie i rzucając klątwę, matka wiedziała, że nam to wszystko daje.

- Razak, czy ty najadłeś się szaleju?

- Nie. Ale wiem, co myśli *tuan* Hadley. Mówi, że wrócimy na Malaje dopiero po wojnie.

- To znaczy kiedy?

- *Tuan* mówi, że za rok. Maya zmarszczyła nos.

- *Tuan* nie zna Japończyków.

- Mówi, że potem wrócimy. Da mi pracę.

- Tak, będziesz zbierał kauczuk, doił drzewa. Umrzesz tam...

- Nie. To dobra, ważna praca. *Tuan* mnie nauczy.

- A co będzie ze mną?

Pierwszy raz w jego oczach zagościł cień niepewności.

- Musisz iść tam, gdzie ja. Tak szepcze do mnie duch matki. Już nie chorujesz na łodzi, to znaczy, że jest zadowolony.

Maya chwyciła puszkę tłustej, czarnej pasty, wetknęła do niej palec i przeciągnęła nim po swoich policzkach, czole i grzbiecie nosa. Potem pomalowała twarz bratu. Już w barwach wojennych nachyliła się do jego pięknie wykrojonego ucha i szepnęła:

- Razak, zapominasz, kim jesteś.

## ROZDZIAŁ 24

Ocean był tak błękitny, jego powierzchnia tak pełna słońca, że patrząc w głębinę, nie wiedziała chwilami, gdzie jest. Była przekonana, że widzi niebo. Ławice srebrzystych ryb stawały się stadami mew tańczących w rozgrzanym powietrzu. Skrzyły się i błyszczały. Tak jak jej myśli.

Upał był okrutny; palił w głowę, chociaż była w kapeluszu, i zdawało się, że zmęczone jest samo powietrze. Płynęli przez całą noc po coraz bardziej wzburzonym morzu i mocno nimi kołysało. Ona sondowała głębokość wody, Madoc trymował żagle, a Fitzpayne prowadził ich według mapy, która - takie miała wrażenie - istniała tylko w jego głowie. Wijąc się jak wąż, przemykał ukradkiem przez archipelag złożony z ponad pięćdziesięciu wysp, groźnych jak wystające z morza czarne garby. Baldachim porastającej je gęstej dżungli był obsyty srebrzystą koronką z promieni księżyca. Często nieruchomiała, słysząc głośny ryk dzikich zwierząt i przenikliwy krzyk nocnych ptaków.

Tuż przed świtem padła na łóżko obok męża zmęczona tak bardzo, że choć raz przez kilka godzin spała bez żadnych snów. Obudziwszy się, stwierdziła, że jest już zupełnie jasno, że jacht opustoszał i że zostali tylko Fitzpayne z Teddym: obaj siedzieli na pokładzie i łowili ryby w błękitnej wodzie. Pozostali byli na brzegu. Nad ranem Fitzpayne znalazł tymczasową przystań, by ukryć „Białą Perłę”. Wpłynął do ujścia wąskiej rzeki, zwinął żagle



i ustawił jacht za zasłoną kolczastych rambutanów i skórzastopalcych kazuaryn, gdzie nie wypatrzyłby go żaden samolot.

- Złapaliście coś? - spytała. Teddy podniósł za ogon dwie ryby.

- Jednego skrzeczka i zobacz: jawajską rybę ryżową.

- Wspaniale. Jest nadziewana mięciutkim ryżem i od razu można ją zjeść?

Syn przewrócił oczami.

- No coś ty, nie bądź niemądra! - Ale roześmiał się wesoło i zrobiło jej się cieplej w sercu. Zbyt rzadko słyszała jego śmiech. - Pan Fitzpayne uczy mnie wiązać węzły -dodał podekscytowany. Rzucił ryby i chwycił z pokładu kawałek liny. - Zobacz, to jest węzeł ratowniczy.

Zwinnymi rączkami zaczął przeplatać linę, mrużąc pod nosem czarodziejskie zaklęcie:

- Królik wychodzi z norki, okrąża drzewo i wraca do norki. - Zacisnął gotowy węzeł. - Widzisz?

- Niesamowite.

Zdawało się, że od nocnego bombardowania minęły lata. Usłyszała krzyk i podniosła wzrok.

Pasażerowie „Białej Perły” grali w krykieta na krezie białego piasku. Widok był tak surrealistyczny, że się roześmiała. Nie wiedziała, że Nigel przemycił na pokład kij i piłkę.

- Tam gdzie spotka się choćby kilku Anglików - powiedział Fitzpayne - zawsze słycać stukot kija. To jedno z praw naszego wszechświata.

Connie roześmiała się i zauważyła, że znowu jest nieogolony. Ku zniesmaczeniu Nigela czasem nie zwracał tym sobie głowy, ale podobał jej się taki. Nieogolony, w starej czarnej koszuli, w spodniach z dnia na dzień coraz bardziej zielonych na kolanach, z szerokim skórzanym pasem, za którym tkwił kris, malajski nóż. Zawsze na bosaka. Z płowiejącymi od słońca włosami, tryskający

energiją nawet w najgorszym upale. Włożyć mu jeszcze kordelas między zęby i wyglądałby jak pirat Mórz Południowych.

Jej uwagę przykuł czyjś krzyk.

- Dobre zagranie!

- Zobaczcie! - wykrzyknęła. - Kitty Morgan stoi na bramce!

- Łapie lepiej niż oni.

Nigel kuśtykał za toczącą się do wody piłką, a Pippin biegał wokół niego jak oszalały i szczekał.

- Jak jego noga?

- Lepiej.

- To dobrze.

Chciała mu powiedzieć, że w jednym miejscu rana wygląda źle, że noga jest spuchnięta i owrzodzona. Jednak nie powiedziała. Nigel by tego nie zniósł.

- Dlaczego pan z nimi nie gra? - Uśmiechnęła się. Nocny horror pokryła krucha warstewka pozornej normalności: uśmiech, krykiet, wędkowanie. Tylko Maya krążyła po brzegu jak samotna dzika kotka.

- To nie dla mnie. - Fitzpayne ruchem głowy wskazał Teddy'ego, który znowu wrzucił żyłkę do wody. - Zresztą pani syn nie chciał zejść na brzeg.

Connie zmarszczyła brwi. Teddy uwielbiał krykieta, ale teraz nie chciał nawet spojrzeć w tamtą stronę. Zerknęła na Fitzpayne'a. Patrzył na jej syna i zauważyła, że złagodniała mu twarz.

- Bardzo to przeżywa - powiedziała cicho. - Coś jest z nim nie tak.

Fitzpayne zmrużył oczy.

- Z nami też.

Z nami? Miał na myśli siebie i ją? Czy ich wszystkich?

- Nie wiem, czy pan zauważył, ale jest wojna. - Ironicznie uniosła brew i ulżyło jej, gdy się roześmiał.

- Niech się pani nie martwi. Teddy to przeżyje, da sobie radę.

- Przeżyć to za mało - odparła gwałtownie. - Chcę dla niego czegoś więcej.

- W jego wieku widziałem śmierć wielu ludzi. - Mówił łagodnie. - To go wzmocni. Tu, w środku.

- Nie chce o tym rozmawiać.

- Niech mu pani pozwoli załatwić to po swojemu. Kiedy do tego dojrzeje, na pewno do pani przyjdzie. A jeśli nie, cóż, będzie pani wiedziała, że dorósł.

- Nie chcę, żeby dorósł. Jeszcze nie. Kącik ust podjechał mu do góry.

- Odwieczny krzyk protestu wszystkich matek. Potrząsnęła głową.

- Jest taki młody.

- Musi zdobywać doświadczenie. Niech mu pani nie zabrania.

Przyjrzała się jego twarzy, szukając w niej człowieka, który przekonał ją, że widok śmierci wzmacnia.

- I czego się pana zdaniem nauczy?

- Tego, jak stawiać czoło rzeczywistości. Tego, że nie wolno od niej uciekać.

Connie głośno prychnęła.

- W ucieczce od rzeczywistości nie ma czasem nic złego.

Fitzpayne podszedł bliżej. Nie dotknął jej. Ale poczuła się tak, jakby to zrobił, jakby podtrzymał ją niewidzialną ręką, ręką należącą do kogoś, kto doskonale wie, jak to jest uciekać od prawdziwego życia.

- Przepraszam. Tym ją zaskoczył.

- Za co?

- Za to, że zgodziłem się zawieźć was do Singapuru. Bardzo tego żałuję.

Stała tam i patrzyła mu prosto w oczy, robiąc wszystko, byle tylko nie zauważył, jak bardzo ją to dotknęło.

- A ja nie - powiedziała stanowczo i się odwróciła. - Idę zobaczyć, co złowil Teddy.

Wtedy dostrzegła na brzegu samotną postać. Maya znalazła kawałek ustronnej plaży za zakrętem rzeki i ukryta przed wzrokiem grających w krykieta zdjęła sarong i ke-baję. Stała nago, drobna i krucha, z błyszczącą w słońcu skórą, na której tańczyły refleksy odbitego od wody światła. Błagalnym gestem wzniosła do nieba szczupłe ramiona i z głośnym pluskiem wskoczyła do rzeki. Chlapała się w wodzie nie dłużej niż dziesięć sekund, a potem wybiegła na brzeg i otrząsnęła się jak pies. Jej długie włosy zatoczyły łuk i w powietrzu wykwitła bajeczna tęcza.

Chwila była zbyt intymna. Connie cofnęła się i poszła do syna, ale gdy spojrzała przez ramię, zobaczyła, że Firz-payne został. Wciąż patrzył na Mayę.

W popołudniowy upał poszli spać. Zapadła cisza. Jacht przestał wzdychać i skrzypieć, jakby przygotowywał się do tego, co czekało go w nocy. Connie spała niespokojnie. Powietrze było gęste, w kajucie roilo się od much i już miała wstać i wyjść na pokład, gdy to usłyszała.

Początkowo niewyraźnie. Cichy jęk. Rytmiczne ahr-ahr-ahr. Pomyślała, że to szloch. Że ktoś płacze. Spojrzała na leżącego obok niej Nigela, ale nie, spał sztywno na plecach. A może nie spał i tak jak ona wytężał słuch? Jęk był coraz głośniejszy i pomyślała o Johnniem, o jego chorym ramieniu, o bólu, z jakim patrzył na spadające z nieba samoloty kolegów. Usiadła.

Chrapliwe ahr-ahr-ahr przyspieszyło, pojawił się również inny odgłos, coś jakby głębokie stękanie. Nagle zrozumiała, co to takiego. Zapiekły ją policzki i uszy, ale ich nie zatkała. Siedziała na łóżku, patrząc na swoje blade uda i słuchając - jakby słuchała Brahmsa - jak Morgan Madoc spółkuje z żoną. Kilka razy spojrzała na męża, ale on nawet nie drgnął.

Im tamci bardziej przyspieszali, tym bardziej przyspie-

szło jej serce i wyobraziła sobie krążącą w jej ciele krew, krew coraz szybciej krążącą w żyłach, aż poczuła gorąco między udami, aż też cichutko jęknęła.

Madocowi nie podobał się panujący na jachcie nastrój. Co się z tymi ludźmi działo? Jak banda głupich kulisów godzili się na wszystkie propozycje Firzpayne'a, powierzali mu życie, żeby tylko zawiózł ich na jakąś zagadkową wyspę, gdzie przez jakiś czas mieli być bezpieczni. Sukinsyn! Jedli mu z ręki. Co on knuł?

Podnieśli kotwicę przed zachodem słońca. Była flauta i żagle zwiślały jak w letargu, co nie pasowało do panującej na pokładzie nerwowości. Wszyscy chcieli jak najszybciej dotrzeć do celu podróży, wyspy, na której zgodnie z obietnicami Fitzpayne'a będą mogli spokojnie odetchnąć, wykapać się, a nawet porządnie zjeść, bez żadnego racjo-nowania. I to właśnie tam Madoc zamierzał zrealizować swój plan. Myśl ta działała na niego jak zastrzyk adrenaliny i znowu poczuł ukłucie znajomego bólu. Bólu tęsknoty za niebezpieczeństwem, niebezpieczeństwem, którego potrzebował, tak jak inni potrzebują powietrza.

Widzieli dużo innych łodzi, które tak jak oni uciekały przed zbliżającymi się nieubłagane lotniskowcami admirała Yamamoto. Zachodzące słońce zalewało niebo krwistą czerwienią i Madoc czuł się nieswojo - wyobrażał sobie, ile krwi wsiąkało teraz w malajską ziemię. Mimo to małe łodzie rybackie *perahu* nie porzuciły swoich zajęć i wciąż wypływały na łowiska, a kilka żaglowców szło kursem na Singapur z płonną nadzieją zdobycia wolnej koi na którymś z odpływających stamtąd transportowców. Ale większość zrobiła to, co oni: rozpięzchła się po Morzu Południowochińskim w poszukiwaniu bezpiecznej przystani. Za dnia na niebie mruzczały japońskie samoloty, więc musieli uciekać na brzeg, do dżungli, przeskakiwać przez

zachłanne korzenie mangrowców i jak nocne stwory szukać schronienia w mrocznym leśnym świetle.

Na razie Madoc był pod pokładem i nie mógł zapanować nad rękami, którymi sunął po inkrustowanych lakierowanych ścianach, po błyszczących okuciach, po zapraszających krągłościach stołu i ławek. Kusilo go to wszystko, przyciągało jak magnes.

- Przestań! - syknęła Kirry. - Jeszcze nie jest twój. Błyszczały jej oczy, ale dobrze ją znał i widział kropelki

potu za jej uszami, bo włosy miała związane czarną wstążką pani Hadley. Pociła się w tym dziwnym miejscu tylko wtedy, gdy była zdenerwowana.

- Masz go? - spytał.

- Pewnie.

W kieszeni obszernej spódnicy miała tokariewa. Pistolet był zbyt duży, by nosić go za pasem; kiedy pomagał przy żaglach, ktoś mógłby go zauważyć.

Podszedł bliżej i pogłaskał ją po szyi.

- Uważaj na siebie. Kitty wybuchła śmiechem.

- Powtarzasz moje słowa, ty łajdaku. Ale on mówił serio. Zasłonił ręką jej usta.

- Ja będę - szepnął. - Na ciebie też.

Samotny samolot nadleciał dosłownie znikąd. Na zachodzie niebo już ciemniało, ale na wschodzie, mimo nadchodzącego wieczoru, wciąż było zielonkawoniebieskie. I to właśnie na wschodzie rozległ się ten rozrywający uszy dźwięk.

- To hurricane! - krzyknął Teddy.

Wszyscy wybiegli na pokład, by obejrzeć toczący się na niebie pojedynek. Japoński zero usiadł na ogonie angielskiemu myśliwcowi i zasypywał go gradem kul z karabinów maszynowych. Żeby go zgubić, hurricane wił się

i *ślizgał* w powietrzu, gwałtownie pochylał się na skrzydła, skręcał i zygzakował.

- Coś takiego! - ryknął Nigel. - Japończyk jest szybszy i bardziej zwrotny.

Hurricane oberwał w ogon. Johnnie patrzył w milczeniu z boleśnie wykrzywioną twarzą.

- Proszę - powiedział Teddy. - Niech pan weźmie lornetkę.

Ale porucznik pokręcił głową.

- Nie.

- Będzie pan lepiej widział.

- Dość już widziałem. - Mimo to nie odrywał oczu od samolotów.

Connie nie potrafiła wyobrazić sobie przerażenia, z jakim angielski pilot robił uniki, uciekając przed ogniem wroga.

- Wyżej! - krzyknął Madoc w niebo, które niczym gigantyczna pajęcza sieć było pokryte płataniną białych smug. - Chryste, dawaj wyżej!

- Próbuje - mruknął Johnnie, ledwo poruszając sinymi ustami.

- Rozbije się! - sapnęła Connie, gdy angielski myśliwiec gwałtownie zanurkował i wpadł w korkociąg.

- Nie - powiedział Firzpayne. - Udaje trupa. Jak myślisz, Blake?

- Boże, błagam!

Wszyscy zmartwieli. Patrzyli, jak Anglik i jego maszyna spadają z nieba na pewną śmierć w morskich głębinach, i radośnie krzyknęli, gdy samolot zadarł nagle dziób i z dygoczącymi skrzydłami śmignął świecą w górę. Zrobił elegancką serpentynę, usiadł Japończykowi na ogonie i otworzył ogień.

Delikatne metalowe ozebrowanie myśliwca poszło w drzazgi, ogon rozpadł się na tysiąc kawałków. Nigel, Henry, Madoc i Kitty wydali radosny okrzyk, od którego Connie dostała gęsiej skórki. Nawet Rzak krzyczał i zwy-

ciężko wymachiwał rękami. Johnnie milczał, a Teddy był jak porażony. Maya siedziała na pokładzie z ukrytą w dłoniach twarzą i nie chciała na to patrzeć.

To Fitzpayne ich ostrzegł. Chwycił za ster i krzyknął:

- Celuje w nas!

- Co? - Henry wciąż się uśmiechał i miał zlepione potem włosy. - Kto?

- Japończyk.

- Przecież oberwał.

- Szybko! Do żagli!

Connie i Morgan skoczyli do lin. Fitzpayne chciał zrobić zwrot przez rufę i musieli działać błyskawicznie. Connie poruszała palcami szybko i sprawnie, ale w najgłębszych zakamarkach jej umysłu rodziła się rozpacz, bo przypomniało jej się, co mówił o tym Sho: że japoński wojownik woli umrzeć w chwale, zabijając przy okazji wroga, niż żyć z piętnem człowieka pokonanego i zhańbionego. Mówił, że klęska jest dla nich największym poniżeniem i że japońskim żołnierzom wbija się do głowy przekonanie, iż kiedy będzie groziła im niewola, najbardziej honorowym wyjściem jest odebranie sobie życia, popełnienie harakiri. Shohei Takehashi, czy okryłam cię hańbą? Bo miałeś taką nędzną, przynoszącą wstyd śmierć. Chciała upaść na kolana i z pokorą czekać, aż jego rodak spełni na niej zemstę za to, co zrobiła.

Na szczęście zamiast tego porwała na rękę syna, który stał na pokładzie z otwartymi ustami. Zdawało się, że blado-szary brzuch japońskiego samolotu wypełnia sobą całe niebo, że jego czerwony pysk zasmakował już krwi. Przerażliwe wycie silnika zagłuszyło wszystkie myśli. Connie objęła mocno Teddy'ego i popędziła do relingu gotowa wyskoczyć za burtę. Rozejrzała się szybko w poszukiwaniu męża.

- Nigel!

On jednak stał samotnie na dziobie z buntowniczo podniesionymi pięściami. Samolot leciał prosto na niego. Dostrzegła to nawet w takiej chwili, stojąc przy relingu z ręk-



kami syna zaciśniętymi kurczowo na szyi, nawet w takiej chwili zarejestrowała ten wspaniały obraz odwagi i głupoty. Wprawił ją w osłupienie.

Minał ją w pędzie niebieski cień i wyciągnęła rękę, by go schwytać.

- Mayu! - zawołała. - Skacz!

Ale dziewczyna wyszarpnęła się, cicho skamłając.

- Ona nie umie pływać! - krzyknął Teddy.

- Pomożemy jej. - Connie stanęła na burcie.

- Teraz! Wszyscy razem! Skaczemy!

Ocean był jedwabście niebieski jak sarong Mai i przemykały w nim migotliwe cienie wielkich ryb. I nagle jacht skoczył do przodu. Nie było ani krzty wiatru. Jakim cudem Fitzpayne zdołał napęlić nim żagle, jak, u diabła, w ostatnim ułamku sekundy zdołał ruszyć „Białą Perłę” z miejsca? Z rozdzierającym uszy rykiem japoński myśliwiec uderzył w morze dokładnie tam, gdzie przed chwilą byli, wzniesając gigantyczną fontannę wody, która zwała się z hukiem na pokład. Czubek skrzydła zawadził o kadłub i jacht zadrżał.

Przemoczona Connie obejmowała syna, patrząc, jak woda porywa Pippina i rzuca nim na przeciwległą burtę, jak przerażony pies zrywa się na nogi z położonymi uszami. Myślała, że się przewrócą, ale nie. „Biała Perła” miała dobry kil i zamierzała to udowodnić. Wyprostowała się, gwałtownie przechyliła na bakburtę, potem znowu na sterburtę i kołysała się tak przez chwilę pod naporem fal. Wszyscy musieli się czegoś przytrzymać.

Wtedy Connie to zobaczyła: samolot przewalający się z boku na bok jak bladoszare cielsko wypatroszonego rekina. Jedno skrzydło odpadło, ale drugie leżało na wodzie, utrzymując maszynę na powierzchni. Widać było metalowe wręgi, które wyglądały jak obrane z ciała żebra. Osłona kabiny zniknęła. W środku siedział przypięty do fotela pilot z bezwładnie zwieszoną głową. Na oczach miał lotnicze gogle i jedno ze szkieł było pęknięte. Wokół jego kolan kłębiła się wzbierająca woda.

Connie wiedziała, że Japończyk nie żyje. Cały przód kombinezonu był we krwi, we krwi był unoszący się na wodzie biały szalik. Znowu doścignęła ją śmierć. Z każdą nadpływającą falą słyszała jej oschły chichot. Ciężar silnika zaczynał ciągnąć maszynę w dół, nosem naprzód, i z głębiny wypłynęły bąble powietrza.

Nagle skórzana rękawiczka pilota powoli wychynęła z wody, powędrowała do twarzy i ściągnęła gogle na szyję. Spojrzały na nią oczy w kształcie migdałów. Były czarne i oskarżycielskie. Bez chwili wahania Connie puściła rękę Teddy'ego i Mai i skoczyła. Zanim woda zamknęła się naci jej głową, usłyszała jeszcze krzyk Fitzpayne'a.

- Connie, nie!

Ocean pozbawił ją zmysłów. Wciągnął w rozmazany świat, gdzie migotliwe słupy niebieskiego światła, proste i wysokie jak kościelne kolumny, znikwały w cienistej głębinie pod stopami. Przemykały tam jakieś stworzenia, ale nie zwracały na nią uwagi. Był to świat cichy, świat, gdzie milkły wszystkie dźwięki. Miała nieodparte wrażenie, że ten drugi świat, ten na górze, nagle pękł i że wypadła przez jakąś szczelinę.

Włosy i spódnica unosiły się w ciepłej błękitnej toni jak wodorosty. Wyciągnęła w bok ręce, by zmniejszyć prędkość opadania i poczuła, że oto nadeszła jej chwila: chwila odkupienia. Życie za życie. Mogłaby tak opadać przez całą wieczność, w dół, w głębiny, tam, gdzie krążyły mroczne stworzenia o ostrych płetwach i jeszcze ostrzejszych zębach, które jednym kłapnięciem paszczy obierały całe mięso z kości. To była chwila zapłaty.

Kilka szybkich, zdecydowanych ruchów nogami i popłynęła w górę, w stronę oślepiającego świetlistego sufitu, który wzywał ją do jej świata.

Płynęła, mocno pracując rękami. Samolot dryfował. Uszkodzony ogon wznosił się powoli coraz wyżej i wyżej, bo silnik wciąż ciągnął maszynę w dół. Widziała bladą twarz pilota. Jego usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie, ale chociaż woda ciągle wzbierała, ręce nie wykonały najmniejszego ruchu, by rozpiąć krępującą go uprząż. Connie przytrzymała się brzegu kabiny i poczuła, że samolot się przechyla, że może się na nią zwalić.

- Szybko! - Chwyciła za uprząż.

- *Hel* Nie!

Japończyk odtrącił jej rękę.

- Musisz stąd wyjść! - krzyknęła.

- Zginę. - Powiedział to spokojnie, ale jego czarne oczy spokojne nie były. Biła z nich wściekłość.

Nie traciła czasu na słowa. Samolot tonął. Ciemnoczerwona osłona silnika zanurzała się coraz głębiej, wyrzucając na powierzchnię wielkie gejzery bąbli powietrza. Woda sięgała pilotowi do szyi, a ona nachyliła się ku niemu i znowu szarpnęła za uprząż. Japończyk ani drgnął, nie wydał najmniejszego dźwięku. Wciąż nim szarpała i strasznie musiała boleć go pierś, mimo to nie krzyknął ani nawet nie stęknął. Woda dotarła już do jego podbródka, do dolnej wargi, ale on patrzył prosto przed siebie, widząc tylko to, co widzi umierający wojownik.

- Pomóż mi! - krzyknęła.

Ale on jakby jej nie słyszał. Nacierający ocean wyczuł zbliżające się zwycięstwo i zalał mu usta. Japończyk zamknął oczy. Connie rozpaczliwie szarpnęła jeszcze raz, poczuła, że zapięcie wreszcie ustąpiło i zdołała zsunąć pasy z jego bezwładnych ramion. W tej samej chwili samolot zanurkował i pociągnął ją za sobą.

Strach wyrwał jej z płuc resztki bezcennego powietrza. Mocno zacisnęła usta, ze wszystkich sił szarpnęła pilo-

tem jeszcze raz, ale Japończyk utknął. Miał zakleszczone nogi. Connie wierzgnęła, pociągnęła go za ramię, poczuła, że pęka mu kombinezon, mimo to nie mogła go uwolnić. Ciemny błękit wody gwałtownie ustąpił miejsca szaremu, posępnemu mrokowi, gdzie nie sięgały już kolumny światła. Paliły ją płuca.

Przestań, puść go.

Tak mówił jej umysł.

Puść go, bo umrzesz razem z nim.

Jeszcze mocniej zacisnęła palce. Zaparła się nogami o gródź za kabiną, wsunęła pilotowi ręce pod pachy i spróbowała go podnieść.

On już nie żyje, powtarzał z uporem umysł.

Nie posłuchała. Przed jej oczami zaczęły pojawiać się dziwne rozbłyśki światła, wiedziała, że to z niedotlenienia, bo samolot zanurzał się coraz głębiej. Szarpnęła mocniej. Nagle poczuła, że jedna noga puściła. Drgnęła i puściła. Connie załapała falą ulgi. Szarpnęła drugą, ale ta zakleszczyła się w ciasnej kabinie. W jej mózgu coś kipiało, coś jak wrząca smoła, coraz bardziej słabły mięśnie.

Zostaw go. Bo umrzesz.

Paliły ją płuca. Jak w wąskim tunelu zobaczyła czyjeś ręce, ale jej przytępiony umysł przestał wierzyć oczom. Ciemne wybrzuszenie czyjegoś ramienia. Skąd się tu wzięło ramię? I kiedy resztkami sił *szarpnęła ostatni raz, kwadratowe*, ręce, które skądś znała, sięgnęły w głąb kabiny i uwolniły drugą nogę.

A potem pofrunęła. Wydawało jej się, że leci, jak w powietrzu, chociaż tak naprawdę przestała się tylko zanurzać. Kurczowo zaciskała palce na kombinezonie Japończyka, chociaż jej mózg powoli się zamykał, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Wiedziała, że nadchodzi chwila odkupienia. Ale musiała zaczerpnąć tchu. Musiała odetchnąć, wciągnąć do płuc... coś, cokolwiek. Rozchyliły jej się usta, nie mogła ich powstrzymać. Instynkt krzyczał, żeby je zamk-

nąć, ostrzegał, że wypełni je woda, ale rozpaczliwie łaknąc powietrza, otwierały się same.

Chwyciły ją czyjeś ręce. Mocno, za głowę. Ogarnięta paniką chciała się wyszarpnąć, ale ścisnęły czaszkę jak szczęki buldoga. Tuż przed sobą zobaczyła rozmazaną twarz Fitzpayne'a. Przywarł ustami do jej ust, odcinając dopływ wody, i do jej ust wpłynął strumień bąbelków powietrza. Odetchnęła.

## ROZDZIAŁ 25

- Madoc, idź tam.

Pokład tonął w porannej mgle i było chłodniej. Ruchem głowy Kitty wskazała luk, z którego dochodził gwar męskich głosów i snuł się papierosowy dym.

- Cholera jasna, idź tam i zobacz, co uradzili. Odkąd Jasnowłosa i Fitzpayne wyciągnęli z wody

japońskiego pilota, Kitty była w złym humorze. „To Jonasz” - mówiła. - Sukinsyn. Dlaczego nie pozwolili mu pójść na dno?”.

- Gdzie ona jest? - spytał.

- A jak myślisz? Hadley jest wściekły.

- Ty też byłabyś wściekła, gdybym wepchnął ci do wyra jakiegoś żółtka, potem przez całą noc go pielęgnował i musiałabyś spać na ławce w salonie.

- Wścieka się nie tylko dlatego.

- Jak to?

- Nie zauważyłeś? - Kitty zniżyła głos, żeby nie usłyszał jej stojący za sterem Fitzpayne. - Nie znosi, kiedy ona zwraca uwagę na innych facetów, zwłaszcza na tego porucznika. Choć i na Fitzpayne'a też, i na Courta. Chryste, nawet na ciebie! - Pokręciła głową i zerknęła na głuptaka, który z rozpostartymi skrzydłami szybował nad nimi w prądzie ciepłego powietrza. - Ale ostrożna jest. Gdy Hadley wychodzi na pokład, ona patrzy tylko na syna, a nawet na tę małą naiwną Malajkę.

Nie, tego nie zauważył.

Mężczyźni kłócili się w salonie. Madoc wślizgnął się tam po cichu, ale niepotrzebnie się starał: nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wszyscy siedzieli przy okrągłym stole poważni i nabzdyczeni, jak członkowie gabinetu wojennego. Można by pomyśleć, że łamią sobie głowę nad jakimś pieprzonym traktatem międzynarodowym, nie nad losem tego japońskiego sukinsyna i mordercy.

- Trzeba się go pozbyć! - Henry Court grzotnął pięścią w stół. - Nigdy nie wpuściłbym go na pokład. Gdyby to był mój jacht...

Hadley przeszył go zimnym spojrzeniem.

- Ale nie jest.

- To może być ten sam bandzior, który zabił moją żonę.

- Henry - przerwał im Johnnie Blake. Miał spiętą twarz. - Każdy pilot walczy za swój kraj. Kiedy jest wojna, zrzucamy bomby i strzelamy, żeby zabić nieprzyjaciela. Nie ma w tym nic osobistego. Ten Japończyk chciał roztrzaskać się

O jacht, bo taki miał obowiązek. Nie bierz tego do siebie.

- Cholera jasna, moja żona nie żyje! A ty mi mówisz, że bym nie brał tego do siebie?

- Dobrze wiesz, że bardzo ci współczuję, ale...

- Pozbędziemy się go - zdecydował nagle Hadley

I było widać, że czuje się nieswojo w sytuacji, w którą wpakowała go żona. - Przy najbliższej okazji.

- Pieprzony żółtek - syknął Court. - Connie niepotrzebnie go ratowała.

Madoc zauważył, że Court jeszcze bardziej przytył na twarzy, jakby jadł za siebie i żonę.

- On może nam się jeszcze przydać - powiedział. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Do czego?

- Na pewno zna rozmieszczenie japońskich wojsk, wie, jak daleko zaszli na Malajach i tutaj, w tym przeklętym labiryncie wysp. Może wie nawet, gdzie są ich magazyny

paliwa i amunicji. Moglibyśmy to z niego wyciągnąć. -Wzruszył ramionami, oparł się o wspornik i zapalił papierosa. - To tylko taka luźna myśl.

Porucznik zmarszczył brwi i wraz z brwiami zmarszczyła się cała jego przystojna twarz.

- Nic nie powie. Musimy przekazać go odpowiednim władzom.

- Moglibyśmy skłonić go do mówienia - zasugerował Madoc.

Blake zrobił taką minę, jakby miał zaraz zwymiotować, natomiast Hadley i Court się rozpromienili.

- To nasz wróg - przypomniał wszystkim ten pierwszy. Z dołu dochodził rytmiczny stukot. Młody Malaj wypompowywał wodę.

Connie usłyszała, że rzucają kotwicę, skazując ich na kolejny dzień beczynności. Fitzpayne miał rację, że za dnia kazał im się ukrywać, bo japońskie samoloty nie miały już na niebie konkurencji, ale czekanie działało jej na nerwy. Nie mogła myśleć o niczym innym jak tylko o leżącym na łóżku mężczyźnie.

Wbijiała wzrok w jego wąską pierś, patrząc, jak oddycha. Miał takie drobne kości, był taki młody. Bezwłosy podbródek, skóra gładka jak kość słoniowa, ale i nieproporcjonalnie duże dłonie, sprawne palce o stwardniałych kłykciach, jak u rolnika. Był rolnikiem? Młodym rolnikiem, którego cesarz Hirohito oderwał od ziemi i rzucił na niebo?

Przykryła ranę grubym opatrunkiem i obandażowała mu pierś. Poplamiła krwią prześcieradło, ale uraz był lżejszy, niż myślała. Od piersi oderwał się duży płat śliskiej, pomarszczonej skóry. Wisiał na włosku, więc musiała docisnąć go i zdezynfekować. Robiąc to, widziała białe kości żeber błyszczące we krwi. Wyglądało jednak na to, że są całe, i chociaż płuca miał zanieczyszczone wodą morską,



kiedy wdmuchała do nich kilka haustów powietrza, szybko podjęły normalną pracę. Miał również złamany prawy obojczyk - kość sterczała pod dziwnym kątem - i podrapane, mocno posiniaczone czoło od lotniczego hełmu.

Najważniejsze, że żył. I nie zamierzała pozwolić mu umrzeć. Godzinę po godzinie patrzyła, jak oddycha.

Ktoś zapukał. Wróciła do rzeczywistości, do dusznej kajuty cuchnącej potem i środkiem odkażającym. Przez bulaj widziała jaskrawoniebieskie niebo.

- Proszę.

Otworzyły się drzwi i do kabiny wpadł Teddy, patrząc to na nią, to na japońskiego pilota. W linii jego ust było coś tak tęsknego i samotnego, że objęła go i przytuliła. W progu stał Fitzpayne. Jego bystre oczy wysondowały ją dokładniej, niżby chciała.

- Za gorąco tu - stwierdził. Miał rację. Spływała potem.

- Jak się pani czuje?

Tym ją zaskoczył. Myślała, że spyta o samopoczucie Japończyka.

- Dobrze. Uśmiechnął się.

- Widzę, że nieustraszonej pani Hadley nie zaszkodziło nawet to, że omal się nie utopiła.

- Najwyraźniej.

Teddy poklepał ją po ramieniu.

- Dobrze się czujesz, prawda, mamusiu?

- Tak, synku. Panie Fitzpayne, dziękuję, że...

- Nie ma za co - odparł szybko. - Chciałem zobaczyć mmę pana Courta, gdy będzie pani wciągała na pokład tego Japończyka. - Stłumił śmiech. - Nie mogłem oprzeć się pokusie. Już się ocknął?

Wszyscy troje popatrzyli na bezwładną postać na łóżku.

- Chyba tak - odrzekła - chociaż ma zamknięte oczy.  
- Powiedział coś? - spytał szeptem Teddy.  
- Tak, czasem coś mówi. Nagle otwiera oczy, patrzy na mnie, nie mrugając, a potem syczy...  
- Ale co syczy?  
- Nie wiem. Nie znam japońskiego. Wiem tylko, że nic dobrego. On mnie nienawidzi.  
Teddy pocałował ją w policzek.  
- Przynieść wam coś do picia? - spytał.  
- Mam lepszy pomysł. - Fitzpayne wyjął z kieszeni kawałek liny. - Chodźmy na pokład, tam jest przewiewniej. Mamie przyda się trochę świeżego *powietrza*.  
Connie niechętnie pokręciła głową.  
- Muszę pilnować.  
- Pani pacjent pójdzie z nami. Dlatego przyniosłem linę. Spojrzała na niego zaskoczona. Fitzpayne rzucił coś ostro w obcym dla niej języku i Japończyk otworzył oczy. Były jak wąskie szparki.  
- To było po japońsku? - Teddy rozdziawił usta.  
- Hat. - Fitzpayne skłonił się lekko, dokładnie tak, jak kiedyś Sho. - Tak. - Podniósł do góry linę, zakotyssał nią i pytająco uniósł brew.  
Connie przeniosła wzrok na pilota.  
- *Rai* - powiedziała. - Dobrze.  
Przez całe popołudnie na niebie monotennie buczały *przelatujące falami samoloty*. Teddy stał na pokładzie z przyklejoną do oczu lornetką i co jakiś czas wołał:  
- Sześć brewsterów buffalo. Dwa hurricane'y.  
- Osiemnaście bombowców. Japońskich.  
- Dziesięć zer. Japońskich.  
- *Cztery* bristol blenheimy. *Latająca łódź klasy C*.  
Na łukowatym skrawku nieba nad drzewami samoloty

połyskiwały jak ławice ryb, wprowadzając ich w ponury nastrój. „Biała Perła” znowu się ukryła. Powolotku wpłynęła do zielonego tunelu mulistej rzeki osłoniętej baldachimem dżungli. Z góry zwisały szeleszczące liście w kształcie mieczy, gwizdały ptaki, a w błocie na brzegu widać było ślady lamparta. Fitzpayne znowu musiał naprawiać uszkodzony kadłub, załatać poszycie burty, tym razem uszkodzone przez spadający japoński samolot. Connie patrzyła, jak spocony pracuje w nieznośnym upale. Dziękowała wszystkim malajskim bogom, że zesłali jej tak zaradnego szypra. Bez względu na powody, dla których to zrobili.

- Wyrzucimy sukinsyna na brzeg i już. Znajdą go. Na tych cholernych wyspach roi się od żółtków.

Henry i Nigel znowu się sprzeczali. Henry chciał natychmiast pozbyć się Japończyka, ale ku jej zaskoczeniu Nigel zdecydował inaczej.

- Przy najbliższej okazji prześlemy go odpowiednim władzom.

- Tak, a do tego czasu będzie żarł nasze jedzenie, nie wspominając już o tym, że trzeba go ciągle pilnować, inaczej pozabija nas w nocy w naszych własnych łóżkach. Żółtki są chytre i podstępne.

- Henry, on jest związany - wyjaśniła. - Nic nam nie grozi. Jest ranny, a Fitzpayne mówi, że to bezludna wyspa. Umarłby tu.

- No i co z tego? Byłoby jednego mniej.

- Henry - uciął dyskusję Nigel. - Potraktujemy tego człowieka tak, jak Brytyjczycy traktują wszystkich jeńców wojennych. Wiem, czego Japończycy dopuszczali się w Chinach, ale nie zamierzam zniżać się do ich poziomu.

Henry odszedł, a ona usiadła obok męża i lekko dotknęła jego ramienia.

- Dziękuję - powiedziała.

Popatrzył na nią, mrużąc oczy w słońcu, które jeszcze bardziej pogłębiało jego zmarszczki.

- Chcę, żebyś była zadowolona, Constance. - Nie uśmiechnął się, ale oznajmił to z nieoczekiwaną szczerością.

- A ty, Nigel? Jesteś zadowolony? Zacisnął usta.

- Naturalnie. Gdyby tylko nie ta przeklęta wojna.

- Busido to kodeks samuraja.

Bandażowała Fitzpayne'owi rękę i słuchała. Dłuto, którym pracował Madoc, ześlizgnęło się, skaleczyło go w nasadę kciuka i musiał wrócić na pokład. Kitty przeprosiła go za męża, ale on łypnął na nią spode łba i zaproponował, by przeprosiła go kiedy indziej za coś, co zdarzyło się przypadkowo, a nie celowo. Zamiast się oburzyć i zapewnić go o niewinności męża, Kitty wybuchła śmiechem, trzęsąc wielkimi piersiami i wycierając pot pod pachami.

- Dobrze - powiedziała - przełożę go przez kolano i dam mu w tyłek.  
- I zeszła pod pokład.

Ku zaskoczeniu Connie, patrząc, jak Kitty wciska w łuk swoje obfite biodra, Fitzpayne rozciągnął usta w uśmiechu.

- Jest za dobra dla tego łązugi. Rozbawiona Connie podniosła wzrok.

- Jest bardzo pomocna. Dla niego i dla nas. Kiwnął głową.

- Świetnie gotuje i radzi sobie z linami. Pod tym tłuszczem są mięśnie, jakich nie powstydziliby się mężczyzna.

Japoński pilot siedział w skrawku cienia pod masztem, obserwując ją z nieprzejednaną nienawiścią. Ze skrępowanymi rękami i nogami wyglądał jak przywiązany do masztu kozioł.

- Busido - powtórzyła. - Droga wojownika. Niech pan opowie coś więcej.

- To pradawny kodeks samuraja, którego zasady

wciąż wpaja się japońskim dzieciom od najmłodszych lat. Kładzie nacisk na wierność, honor i posłuszeństwo.

Podobało jej się, że ilekroć mówił o takich rzeczach, jego twarz się ożywiała.

Bandażowała mu rękę, czując jej ciężar.

- Takie dzieci to marzenie każdego rodzica.

- Tak, całkowite oddanie i poświęcenie dla rodziny jest dla nich czymś ważnym i oczywistym.

- Aha, znowu to poświęcenie. - Zerknęła na ciemną postać przy maszynie.

- Nawet teraz wierzą, że cesarz Hirohito jest bogiem w ludzkiej postaci. Czczą go i są zaszczytzeni, kiedy mogą dla niego umrzeć. Życie to dla nich ciągle przygotowanie do śmierci, a ostatecznym celem życia jest umrzeć z honorem.

Przypomniał jej się Sho i znowu usłyszała głuchy stukot jego głowy na schodach. Zła śmierć. A teraz ten pilot. On też rozpaczliwie pragnął umrzeć.

- Nic dziwnego, że mnie nienawidzi. Pozbawiłam go chwały. - Skończyła i zawiązała bandaż. Ale Fitzpayne nie zabrał ręki.

- Proszę nie zawracać sobie tym głowy. To tylko głupi idealizm. Jest młody. Kiedy zestarzeje się i posiwieje, będzie całował pani stopy z wdzięczności.

- Mówi pan płynnie po japońsku. Zareagował tak, jakby zarzuciła mu coś złego.

- Mieszkałem tam przez jakiś czas. Niedługo. Ale nie, moja japońszczyzna jest kiepska.

Nie wyglądała na taką, kiedy wydawał rozkazy pilotowi.

- Rozumiem.

Chociaż nie rozumiała. Nie rozumiała, dlaczego nagle zniknęło całe ciepło.

- Idzie deszcz - rzucił opryskliwie. - Niech pani zejdzie pod pokład. O zmierzchu odpływamy.

I *rzeczywiście* lunęło. Bezlitosny deszcz siekał rzekę, zamieniając ją w rwący błotnisty potok, i smagał pokład, aż trzeszczały maszty. Ona jednak lubiła monsunowe deszcze. Zawsze podziwiała je za to, że padają z takim oddaniem, bez żadnych półśrodków. Wszystko albo nic. Znowu włożyła żółty sztormiak i wyszła na pokład, by spojrzeć na Japończyka, który siedział skulony pod kawałkiem płótna. Poczęstowała go papierosem, ale bez słowa odmówił, patrząc na nią z wrogością.

- Życie - powiedziała - dobre czy złe, jest lepsze niż każda śmierć. Jest pan jeńcem wojennym. Nie ma w tym żadnego dyshonoru.

Jego nienawiść oblażała ją jak wszy. Odwróciła się.

- Ich sposób myślenia różni się od naszego - zawołał stojący przy relingu Fitzpayne. On też był w sztormiaku, ale bez tego brzydkiego kaptura. Jego przyklejone do głowy włosy błyszcząły jak skóra fok.

- Niech pan nie pozwoli Madocowi wyrzucić go za burtę, dobrze? Widziałam, jak na niego patrzy. Nienawidzi ich za to, co zrobili z jego domem.

- To pani przyjaciela Henry'ego trzeba pilnować. Japończycy zabili mu żonę. Gdyby tylko mógł, kawałek po kawałku rzuciłby go rekinom na pożarcie. - Fitzpayne przyglądał się jej przez kurtynę deszczu. - I wcale mu się nie dziwię.

- Życie za życie? Uważa pan, że tak jest sprawiedliwie?

- Mniej więcej.

- To okrutne.

- A pani? Uważa pani, że trzeba nadstawić drugi policzek, a potem przytulić wroga?

- Nie. - Musiała przekrzykiwać jazgot deszczu. - Uważam, że każdy powinien kroczyć własną drogą. Nikt nie wie, co kto myśli.

Popatrzyła na wodę kłębiącą się w ujściu rzeki. W ota-

czającej ich zewsząd mrocznej dżungli hałaśliwie nawoływały się ptaki ukryte w mieniącym się milionami odcieni kokonie zieleni tak gęstej, że wyglądała jak zwarta ściana. Przyłapała się na tym, że wypatruje tam twarzy. Twarzy Japończyków. Japońskich karabinów.

- Nie wiem na przykład, co myśli pan.

Fitzpayne roześmiał się głośno, wystraszył gibona wiszącego na gałęzi w ulewnym deszczu. Ona też drgnęła.

- Lepiej, żeby pani nie wiedziała - powiedział. Kiedy był rozbawiony, zmieniała mu się twarz, inaczej układały się kości. Łagodniał ostry zarys szczęki, a nawet głębokie oczodoły. - Moje myśli są mroczne i poplątane jak dżungla, na którą pani patrzy. Zbyt brudne dla pani pięknych białych rąk.

Spojrzała na swoje dłonie. Na nowo uformowane poduszeczki mięśni i szorstką od lin skórę.

- Pięknych i białych? - powtórzyła z sarkazmem. - Tak pan uważa? Bo ja nie.

Jej ręce były brzydkie. Widziała na nich krew.

- Uważam, że powinna pani być dla siebie bardziej życzliwa.

Powiedział to z nieoczekiwaną łagodnością w głosie. Podniosła wzrok i zobaczyła, że się uśmiecha, że jego oczy, zwykle stalowoszare, są teraz srebrzyste i mają kolor deszczu. Odwróciła głowę. Nie chciała zrobić z siebie idiotki. Nie chciała się rozplakać. Musiała go jednak o coś spytać.

- Dlaczego oni to robią? Akurat tutaj, w tej części świata. Dlaczego rozpętali tę wojnę? Wiem, że na razie wygrywają, że zajmują pola naftowe i zdobywają rafinerie, ale... - Pokręciła głową. - To samobójstwo. Naprawdę myślą, że uda im się pokonać nasze potężne imperium i Stany Zjednoczone?

Zmieniła temat, a on przyjął to wzruszeniem ramion.

- Myślą o przyszłości.

- To znaczy?

- Chcą zadać śmiertelny cios feudalizmowi białych.

*Pokazać światu, kto jest i będzie naturalnym przywódcą wszystkich azjatyckich ludów. - Spojrzał na północ, za mokre zielone wzgórza, jakby zmusiła go do tego odległa Japonia. - I kiedyś wygrają. Bez względu na to, kto zwycięży w tej wojnie, będzie to koniec zachodniej dominacji na wschodzie.*

- A my? Krzyżyk na drogę, tak?

Znowu się roześmiał, ale tym razem trochę nerwowo.

- Pani mąż by się z tym nie zgodził. Connie umilkła. Bo cóż mogła powiedzieć?

*NIENAWIDZĘ RAZAKA.*

Duże litery, grube, czarne i kostropate. Jak kolczasta róża. Czym Razak zasłużył sobie na taki wybuch?

Wiedziała, że nie powinna tego czytać. Pamiętnik to prywatna rzecz, była tego aż za bardzo świadoma. Dając go Teddy'emu, obiecała, że nigdy do niego nie zajrzy, ale kiedy Fitzpayne zawołał go pod pokład, żeby pokazać mu jakąś mapę, syn zostawił notes na pokładzie. Po prostu go zapomniał. Zszedł na dół i zapomniał. Kartki zmoczył deszcz i notes ociekał wodą. Wzięła go w dwa palce i wiedząc, że Teddy bardzo się zmartwi, poszła do kajuty, by go osuszyć.

Wytarła ręcznikiem okładki, które zaczynały się już marszczyć. Biedny Teddy będzie zły na siebie i na deszcz. Rozpięła skórzany pasek i zaczęła wycierać karki. Na niektórych napisane ołówkiem kopiowym słowa były już rozmazane i zupełnie nieczytelne. Z uśmiechem przerzuciła kilka kartek. Małe, staranne literki, gęsto zapisane stronicie. Jej synek bardzo się napracował.

*Widziałem stado meduz. Białych jak mleko.*

Widział meduzy? Nic jej o tym nie mówił.

*Lubię, kiedy wiatr ryczy w żaglach jak tygrys. I trochę dalej: Maya się boi, ale powiedziałem jej, że „Biała Perła” ma duży kil*



*i się nie przewróci. Że prędzej połamią się maszty. Tatuś mi tak powiedział, ale ona się rozplakała i było mi przykro.*

Och, Teddy, słodczy ty moja. Próbując nie czytać, wytarła rącznikiem jeszcze kilka kartek. *Najfajniejsze Boże Narodzenie, jakie miałem w życiu. W takim namiocie.* Roześmiała się i niechętnie przerzuciła kartkę. *Widziałem delfina.* I wtedy to zobaczyła.

*NIENAWIDZĘ RAZAKA.*

To były ostatnie słowa, jakie napisał. Ogarnął ją gniew. Co ten chłopak mu zrobił? Skrzywdził go? Jak? Łamiąc obietnicę, bez skrupulów cofnęła się do poprzedniej strony. Wyrazy zmalowały i ścieśniły się, jakby brakowało im powietrza. Zmrużyła oczy.

*Kocham mamę. Wstrzymała oddech. Ale już nie kocham taty. Zapomniał o mnie. Gra w wisielca, warcaby i węże, i drabiny tylko z Razakiem. Ze mną nie. Dał mu swój supernóż na gwiazdkę.*

Co takiego? Nigel nie pozwalał nikomu dotknąć oprawionego w macicę perłową scyzoryka, który jako dziecko dostał od swojego dziadka. Nigdy się z nim nie rozstawał, nosił go w kieszeni jak talizman.

*Śmieje się z nim.*

To prawda. Connie zdała sobie nagle sprawę, że mąż często się ostatnio śmieje. Słyszała jego śmiech, gdy czytała książkę albo stawiała żagle.

*Głaszcz go po głowie.*

Poczuła, że się czerwieni.

*Widziałem, jak tatuś całował dzisiaj Razaka. W usta. Długo. To niesprawiedliwe. On chce, żeby Razak był jego synem. NIENAWIDZĘ RAZAKA.*

Smutek był jak żałoba. Smutek i poczucie potwornej straty. Dosłownie ją dusił. Serce zwolniło. Biło nierówno i ospale i bolało, jakby ktoś na nie nastąpił.

Chciało jej się krzyczeć. Wrzeszczeć. Tak, żeby wszy-

scy usłyszeli rozpaczliwy skowyt *rozdzierający jej duszę*, mimo to siedziała w salonie, nie mogąc tknąć pysznej ryby z ryżem, którą przyrządziła Kitty. Po posiłku powiedziała:

- Źle się czuję - i zniknęła w swojej kajucie.

Siedziała tam, gapiąc się przez bulaj na wzburzone fale, a gdy zachodzące słońce zaczęło malować chmury na czerwono, nie *zapaliła* nawet *lampy*. Położyła się po ciemku i zwinęła w kłębek.

Nigel nigdy jej nie pragnął. Ich małżeństwo było fikcją. Chciał mieć syna, to wszystko, syna i niby-żonę, która zakamuflowałaby jego prawdziwe pragnienia. Wykorzystał ją i oszukał. Tak żalczarcie walczyła o jego miłość i przychylność, nie *zdając* sobie sprawy, że przez te wszystkie lata wzbudzała w nim odrazę. Jak bardzo musiał jej nie znosić, jak bardzo musiał nienawidzić tego, że noc w noc dzieliła z nim łożę - było gorzej, znacznie gorzej, niż myślała. Z jej ust dobył się zwierzęcy skowyt, załala ją fala poniżenia. Ukryła twarz w poduszce. Doskonale pamiętała jego twarz, gdy bezskutecznie próbowała po raz drugi zająć w ciężę, wysiłek, jaki się na niej malował.

Słyszała o mężczyznach, którzy gustowali w młodych chłopcach, ale nigdy kogoś takiego nie poznała. Tak, szeptano o tym w klubie, wytykano ich palcami na korcie tenisowym. „Widzisz tego przystojniaczka z rakietą? Cóż...”. Albo: „Nie patrz w tamtą stronę, ale ten przy barze ciągle zerka na młodego Macauleya. Tuż pod nosem jego żony”.

Nie zwracała na to uwagi. Jak przez mgłę pamiętała, że brytyjska społeczność na *Malajach* traktowała takich ludzi bardzo ozięble. „To zboczeńcy”, chichotała Harriet i przewracała oczami. Kiedy zaczynano szeptać, kariera takich mężczyzn szybko dobiegała końca.

Nie płakała. Za bardzo ją bolało. Myślała o Razaku, o tym, jaki jest piękny i że to ona wciągnęła go w wir swojego życia. Czy to klątwa ich matki? Czy to właśnie to miała na myśli Sai-Ru Jumat, mówiąc: „Przeklinam cię, biała pani”? Że narzędziem zemsty będzie jej syn?

\*

Teddy przyszedł pocałować ją na dobranoc. Gdy ją objął, zrozumiała, że Nigel nigdy go jej nie odda.

- Mamusiu. - Pocałował ją w policzek. - Poczytam ci, chcesz? Tak jak ty mnie, kiedy jestem chory.

Więc z oczami utkwionymi w sufit leżała na poduszkach, a on czytał jej o sposobach budowania igloo ze swojej ulubionej książki o nabywaniu nowych umiejętności.

- Przydatne - powiedziała, gdy skończył. - Pod warunkiem że pojedę kiedyś do Laponii.

Kiwnął głową. Chciał się roześmiać, ale nie był w stanie.

- Nie martw się, kochanie. Jutro będę jak nowo narodzona. Dzisiaj tatuś położy cię spać.

Zmarszczył brwi.

- Tatuś jest zajęty. Sam się położę.

Pocałowała go w słone włosy i poczuła kwaśny zapach zazdrości. Byli tak samo zdezorientowani, ona i on.

Nigel przyszedł dopiero kilka godzin później. Czujna i spięta czekała na niego w przyćmionym świetle lampy naftowej. Postanowiła z nim porozmawiać. Po cichu. Spokojnie. Bez gniewu i zażenowania. Wiedziała, co mu powie, przemyślała każde słowo. Wciąż wiał wiatr, ale piskliwe potrzaskiwanie drewna było teraz mniej natarczywe, jakby jacht szykował się do snu.

- Lepiej się czujesz? - spytał układnie Nigel.

- Nie.

- Chcesz aspirynę?

- Nie, dziękuję.

- Powinnaś wziąć, staruszko.

- Nie jestem żadną staruszką.

Zdejmował właśnie skarpetki i zaskoczony, znieruchomiał.

- To zwykłe słowo, nic takiego.

Otworzyła usta, by powiedzieć mu, że teraz wie już na pewno, że nigdy jej nie kochał, że zwabił ją na Malaje urokliwymi opowieściami, że okłamał ją i oszukał. Wszystko po to, by urodziła mu syna. Ze łamie Teddy'emu serce, że...

Jednak kiedy na niego spojrzała, szukając w nim kłamcy, oszusta i uwodziciela, starannie przygotowane słowa utknęły jej w gardle.

Mogła czuć się poniżona. Mogła czuć się zraniona i odrzucona. Mogła czuć się zażenowana, że mąż woli malajskiego chłopca od niej. Ale patrząc na męża, zobaczyła, że jego twarz promienieje szczęściem. Jak mogła nie zauważyć tego wcześniej? Ten błysk w oczach. Ta lśniąca skóra. Ta linia ust. Zdawało się, że rysy jego pociągłej twarzy, zwykle stężałej i opanowanej, otarły się o siebie i zmieniły położenie, i mogłaby przysiąc, że ma teraz krótszy nos, mniej sterczący podbródek, mniej wystające kości policzkowe, łagodniejszy łuk brwi.

I nagle, tak jak Teddy, poczuła ukłucie zazdrości, bolesne jak cios nożem. Nigel był zakochany. Nigel był szczęśliwy. Przez dziewięć lat samotnego małżeństwa nigdy go takiego nie widziała i nie mogła zmusić się do tego, by mu to szczęście odebrać. Wpadł w potrzask własnych namiętności i bardzo mu współczuła. Dlatego zamknęła usta i wsunęła się pod prześcieradło, uważając, by go nie dotknąć, gdy będzie się kładł. Bała się, że przypadkowe muśnięcie spowoduje ją do wybuchu, że nie wytrzyma i go uderzy.

- Dobranoc - mruknęła.

- Dobranoc, staruszeko.

Po prześcieradle pełzła wąziutka smużka srebrzystego światła. Na dworze było ciemno, ale przez malutką szparę w chmurach przecisnął się promyk księżyca, który trafił akurat tutaj. Patrzyła, jak powolutku sunie w jej stronę.

Nie spała, bawiąc się perłowym naszyjnikiem, z którym

nigdy się nie rozstawała, podświadomie rejestrując ruchy łodzi, oceniając wysokość fal i prędkość wiatru po skrzypieniu masztów. Całą uwagę skupiała na leżącej w ciemności postaci. Wsłuchiwała się w jego oddech, liczyła, ile razy z głębokim westchnieniem przewrócił się na bok. W pewnej chwili gwałtowny ruch jachtu wyrwał go ze snu, ale udał, że śpi. Mimo to spytała cicho:

- Nigel, lubisz Razaka?

Mąż wymamrotał coś niewyraźnie.

- Lubisz go?

- To miły chłopak. - Za długo się wahał.

- Kochasz go?

- Co takiego?

- Pytam, czy go kochasz. Nigel gwałtownie usiadł.

- Constance, czyś ty zwariowała?

- Ciii. Widzę, że go kochasz. Teddy też. Dlatego jest taki smutny. Myśli, że o nas zapomniałeś.

Nigel głośno prychnął, gardłowo zasyczał i wstał z łóżka. Oparł się na chorej nodze, potknął się w ciemności i zaklął, ale w cienkiej smudze księżycowego światła zobaczyła jego wykrzywioną gniewem twarz. Gniewem, a może strachem?

- Constance - powiedział cicho ze względu na cienkie ściany. - Chcę, żebyś natychmiast to odwołała i mnie przeprosiła.

- Nie, Nigel, nie mogę. Już dawno powinnam była to sobie uświadomić. To prawda, że...

- Nie!

- Och, Nigel, po co się ze mną ożeniłeś? To było okrutne.

- Nie bredź, Constance.

- Proszę, nie okłamuj mnie już. Bądź ze mną szczery.

- Insynuujesz mi coś obrzydliwego i wynaturzonego. I, jak dobrze wiesz, karalnego. - Drżał mu głos. - Ten chłopak potrzebuje pomocy, więc mu pomagam. Czy nie tego chciałeś?

Odwróciła się plecami do niego.

- Nie, Nigel, nie tego.

## R O Z D Z I A Ł 2 6

Madoc martwił się o łódź. Brała za dużo wody i za wolno szła pod wiatr. Deszcz również nie pomagał. Lał, siekąc deski pokładu tak mocno, jakby chciał odebrać mu wymarzoną nagrodę. Nie było nic widać. Potoki wody przesłaniały wierzchołki masztów i ład, jacht płynął w duszącej izolacji, samotnie i w oderwaniu. Jak we własnym prywatnym świecie.

- I co pan myśli?

Madoc oparł się o reling obok porucznika. Blake kulił się w musztardowym sztormiaku ze wzrokiem wbitym w wodę. Mimo to przystojny był, skurczybyk. Może trochę za bardzo gorliwy na jego gust, ale to nie było takie złe. Mogło zadziałać na jego korzyść. Pogryzał herbatnik; zaczynało ich brakować, tak jak pitnej wody. Madoc gotów był postawić własne buty, że świsnęła go dla niego ta mała dzika kotka. Ilekroć porucznik wychodził na pokład, skakała wokół niego, chrobocząc jak karaluch.

- I co pan myśli? - powtórzył.

- O czym?

- O naszych szansach.

Blake nie odrywał oczu od wody.

- Myślę - odparł, siląc się na ironiczny uśmiech - że zaczyna brakować nam wysp.

- No właśnie. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten Firzpayne wodzi nas *za nos*.

Blake powoli odwrócił głowę i zmrużył niebieskie oczy.

- I niby gdzie chce nas zawieźć?

- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

- Nie ufa mu pan? Madoc wzruszył ramionami.

- A mam powody, żeby ufać?

- Dzięki niemu jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie.

- No nie wiem. - Ruchem głowy wskazał przywiązanego do masztu Japończyka, który siedział tam pod kawałkiem zielonego płótna. - Pana przyjaciel Hadley popełnił błąd. Zabrał na pokład wroga. To nie była najlepsza decyzja.

Porucznik zmarszczył czoło, ale nim zdążył odpowiedzieć, Madoc dodał:

- Mam wrażenie, że Fitzpayne'owi nie spieszy się na tę wyspę, i zastanawiam się, ilu... - Urwał i zerknął na stojącą za sterem postać.

- Ilu co? - ponaglił go cicho Blake.

- Ilu z nas będzie musiało umrzeć, zanim znajdziemy bezpieczną przystań.

- Na miłość boską, człowieku. Za daleko się pan posuwa.

- Czyżby?

Nagły szkwał chlusnął im w twarz deszczem i skuleni, odwrócili się tyłem do wiatru.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Madoc widział, że porucznik jest rozdrażniony, ale coś mu mówiło, że nie ma to nic wspólnego z ich rozmową.

- Widział pan, jak Fitzpayne rozmawia z tym żółtkiem? Kiedy myśli, że nikt go nie widzi, kuca przy nim i gada po japońsku jak rodowity Japoniec.

- I co z tego?

- To, że zaczynam się zastanawiać, po czyjej jest stronie.

Deszcz wyplakał się i zasnął. Wreszcie zapadła cisza. Ciepłe palce słońca muskały pokład, deski parowały i Mai przypomniał się dym *pożarów*, które przeskakiwały z chaty na chatę w Palurze. Przypomniały jej się spadające bomby i trawiące wszystko płomienie. Zerknęła na japońskiego pilota i w jej piersiach rozgorzało coś nieprzyjemnie gorącego. Ten człowiek powinien leżeć teraz na dnie morza, w trumnie z wodorostów.

Widziała pełzającą po nim śmierć, szarą i martwą jak pajęczyna. Niczym po tym dziecku, tym, które spłonęło w pożarze i które *niem Hadley* widziała na rękach starca. To nie było moje dziecko. Urodziłam je, ale nie było moje. Maya zadrżała.

Sama była wtedy dzieckiem i matka natychmiast sprzedała je jakiemuś bezpłodnemu małżeństwu. Jej dziecko, ale nie jej. Po całym dniu kręcenia się między samochodami i sprzedawania kwiatów nie chciała go widzieć. Wracała do domu ukradkiem, okrężną drogą, żeby tylko nie zobaczyć jego jasnej twarzyczki. Może to ten japoński pilot zrzucił bombę, która wznieciła pożar.

Patrzyła na niego, czując, jak ściskają ją macki dusznego gorąca. Przypomniało jej się, z jakim zatroskaniem mówiła o dziecku *mem Hadley*. Dlaczego *zależało* na nim tylko tej, którą poprzysięgła sobie znienawidzić?

- Dwadzieścia siedem bombowców Mitsubishi! - krzyknął Teddy.

Siedząc na luku, spojrzała w niebo. Japońskie samoloty leciały w szyku jak stado czarnych pszczoł. Z oddali dochodził pomruk i głuchy stukot wielkich dział. Wieczór zarzucił na ocean szarą sieć i mrok przecinały gniewne smugi ognia.



„Biała Perła” zamruczała i rozłożyła *żagle*, tak jak dostojna dama rozkłada wachlarz, i kiedy woda mocniej objęła kadłub, pokład zaczął się znajomo kołysać. Mayę denerwowało to, ale już nie chorowała. Gdy lecące na Singapur samoloty zniknęły, Fitzpayne wyprowadził jacht spod baldachimu drzew. Mimo ran, jakie odniosła łódź, dzisiaj mieli dotrzeć na wyspę. Tak im obiecał.

Maya nie wiedziała dlaczego, ale wierzyła obietnicom Stalwookiego.

- Proszę. Wypij to.

Złotowłosa przyniósł jej filiżankę herbaty. Anglicy byli głupi, że pili ją przez cały dzień. Smakowała jak psie siki. Ale spojrzawszy na niego z wdzięcznością, odrzuciła do tyłu włosy i przytknęła filiżankę do ust.

- Przedtem widziałam, jak Złotowłosa zaniósł herbatę Japończykowi.

- Dlaczego pan taki dobry dla niego?

- Bo jest pilotem, tak jak ja. Robił swoje.

- On jest zły. Próbował nas zabić.

- Takie miał zadanie.

- Jego zadanie to umrzeć. Byłoby lepiej.

- Nie, Mayu. Jest młody i całym sercem chce służyć cesarzowi. A w razie konieczności nawet za niego umrzeć. Dla nas to niepojęte, bo my, mieszkańcy zachodniego świata, odrzuciliśmy takie podejście.

Nie rozumiała, co znaczą *te* słowa, ale w głosie mężczyzny usłyszała nutę smutku i zobaczyła, że jego złociste rzęsy robią się coraz cięższe, że coraz bardziej zasłaniają morski błękit jego oczu.

- Pan jest dobry - powiedziała, energicznie kiwając głową. - A on zły.

Nie roześmiał się, tak jak zrobiłby to Stalwooki. Ani

nie odwrócił wzroku, jakby raniła jego oczy, tak jak *tuan* Hadley na jej widok. Nie, popatrzył poważnie, wyciągnął rękę, tę bez temblaka, i ujął jej dłoń. Na jego szerokiej białej dłoni jej dłoń wyglądała jak mały, brzydki liść, mimo to objął ją palcami. Mówił coś, ale ona go nie słyszała. Wsłuchiwała się w śpiewające ze szczęścia serce i mogła myśleć tylko o tym, że ta umiejąca kierować samolotem silna ręka pragnie jej ręki. Patrzyła na kościste wzniesienia jego kłykci, na żyłki pulsujące pod nakrapianą piegami skórą.

- Mayu? - Złotowłosa czekał na odpowiedź, ale ona nie miała pojęcia, o co pytał.

Zaryzykowała uśmiech.

- Pan jest szalony - powiedziała.

„Biała Perła” wypłynęła na otwarte morze, jakby do niej należało. Maya widziała białe damy wchodzące tak do sali, z wysoko uniesionymi głowami i kręgosłupami prostymi jak maszty statków. Wchodziły i zamiast przemknąć chyłkiem przez pokój, tak jak ona, od razu brały w posiadanie całą przestrzeń. Podziwiała te kobiety, chociaż ukradły jej kraj.

- Maya!

Podniosła głowę. Młody *tuan* Teddy był na tyle - nie, pomyśl, przypomnij sobie, jak to się nazywa - na rufie i ją wołał. Miał rozwiane włosy i oczy okrągłe jak oczy wystraszonego dziecka. Podbiegła do niego.

- Spójrz! - Wyciągnął rękę.

Jak na rozkaz, uparte wieczorne chmury, które leżały dotąd na wodzie, zakasały brudne spódnice i uciekły za horyzont. Krwawe promienie zachodzącego słońca musnęły wierzchołki fal i policzki Teddy'ego zrobiły się czerwone. Idąc za jego wzrokiem, Maya nie wiedziała, czy młody *tuan* zaczerwienił się od słońca, czy ze strachu, który zagościł nagle i w jej sercu.

- Wróciła - szepnął.

Była to *pinisia*, malajska łódź, którą zauważył już przedtem. Tym razem widać ją było gołym okiem, jej długi, szpiczasty nos, którym węszyła jak idący ich tropem pies.

- To ta sama?

- Tak. - Chłopiec spojrzał na nią, jakby była głupia. - Ma ten sam załatany żagiel.

- Powiedz tuanowi Fitzpayne' owi.

- On mówi, że to tutejsi handlarze.

- Może tak jest.

- A może nie.

Stali obok siebie, patrząc w dal. Łódź przypominała Mai moskita, delikatnego i rachitycznego, ale z długim żądłem, którym mógł paskudnie ukąsić.

- To powiedz *mem* Hadley.

Chłopiec zerknął na matkę i pokręcił głową.

- Mama jest dzisiaj... trochę rozkojarzona.

Maya nie wiedziała, co to znaczy, ale go zrozumiała. Mem Hadley była dzisiaj inna. Miała matową, bezbarwną twarz. Ciągle patrzyła na męża i mówiła do niego łagodnym głosem. Grała w wojnę z synem powoli i niezdarnie, jakby dopiero co nauczyła się grać. A teraz, widząc, że na nią patrzają, wzięła linę, na której wiązała węzły, i chciała zejść pod pokład, ale w tej samej chwili na schody wbiegł pędzący na górę Razak. *Mem* Hadley odskoczyła od niego jak na widok skorpiona. A potem szybko zeszła na dół.

Razak oparł się o reling. Miał nadąsaną minę.

- Umysł białego człowieka jest jak gniazdo leniwego ptaka - wymamrotał. - Rozpada się na silnym wietrze.

Słyszał to Teddy. Teddy znał malajski. Zmarszczył czoło, próbując przetłumaczyć tę obelgę na język rozumiały dla swojego młodego umysłu.

- Jaki diabeł cię opętał? - spytała Maya.

- *Tuan* Hadley jest dzisiaj... - Brat urwał.

- No?

- Nie dostrzega mnie. Odwraca oczy. Zupełnie dla niego nie istnieję.  
Maya przytknęła rękę do jego piersi, obejmując palcami serce. Było jak oszalałe.

- Jesteś głupi, Razak. Wszystko zniszczysz. Odeszła. Brat potrzebował czasem porządnego klapsa.

Ktoś dotknął jej łydki. Akurat mijała maszt i Japończyk wystawił rękę. Kopnęła ją.

- Maya...

Mówił cichym, nosowym głosem. Siedział na pokładzie tyłem do masywnego masztu. Miał wyciągnięte nogi i był w obszytych futrem butach. Odrzucił brezent i widziała opatrunek na jego piersi, duży, kwadratowy i poplamiony zaschniętą krwią. Czarne włosy sterczały mu na głowie jak zjeżona szczecina. ,

- Czego? - spytała niegrzecznie.

- Chcę porozmawiać.

- *Tidak*. Nie.

- Pomóż mi.

- *Tidak*. :

- Proszę. *Onegai shimasu*.

Miał zwróconą ku niej twarz - to chłopiec, stwierdziła, to jeszcze chłopiec - i wyraźnie zobaczyła wstyd zduszony w jego zawziętych oczach, wstyd, że musi błagać o pomoc dziewczynę. Ciężko oddychał, pierś podnosiła mu się i opadała. Miał podrapane czoło i sine worki pod oczami. Nie chciała na niego patrzeć.

- Nie. - Nogi poniosły ją dalej.

- Mogę ci pomóc - powiedział szybko pilot.

Kiedy się odwróciła, patrzył na stojącego na rufie Raza-ka. Przykucnęła.

- Jak?

Próbowała znaleźć twarz matki w ciemniejącej wodzie, ale nie mogła. Nasłuchiwała jej głosu, kiedy fale obmacywały dno łodzi, lecz słyszała tylko sykliwy oddech morza. Bardzo chciała wiedzieć, czy jej duch jest zadowolony. Dogadała się z pilotem.

- Czego chcesz? - spytała.

Uśmiechnął się do niej, ale był to uśmiech pusty i nijaki.

- Mogę pomóc.

- Jesteś głupi, idź do diabła. Nie chcę.

Kiwnął głową, jakby spodziewał się tych brzydkich słów.

- Ty pomożesz mnie. A ja tobie. Widzę, jak ty i twój brat patrzycie na tę białą. Macie sztylety w oczach.

- I co z tego?

- Chcę jej śmierci. Wy też.

- Śmierci? - Powtórzyła to słowo cicho i spokojnie, żeby sprawdzić, jak smakuje.

- Kiedy jej nie będzie, uciekniemy.

- Ha! Uciekniemy? Zwariowałeś.

Miał niezwykle gładką twarz. Co ten dureń wiedział? Łódź była wrzącym kotłem, a on myślał, że może uciec z niego, nie parząc swojej delikatnej skóry. W tej samej chwili zza obudowy luku wybiegł pies chłopca, koszmarny stwór, kłębowisko pcheł z wywieszonym jęzorem. Szukał cienia. Chciała odepchnąć go bosą nogą, ale on zatańczył, zachrobotał pazurami po pokładzie i z uśmiechniętymi ślepiami podbiegł bliżej. Chciał się bawić.

- Jestem tu, żeby pomścić moją matkę - szepnęła. - Biała pani ją zabiła.

- To jak? - spytał Japończyk. - Umowa stoi?

Maya zawahała się, nienawidząc siebie za to, że się waha. Przecież powinna powiedzieć od razu „tak”, zrobmy to, niech biała pani cierpi. Jednak oporny język zwlekał. Powiodła wzrokiem po pokładzie, ale nie, *mem* Hadley

nigdzie nie było, musiała zejść na dół. *Tuan* Teddy i jego ojciec w krepującej ciszy czytali książki na ławce.

- Tak. - Wypowiedziała to słowo na siłę. - Stoi.

- Ale jak mi pomożesz? - spytała.

Japończyk znowu rozciągnął usta w pustym uśmiechu.

- Tak.

Szybki jak wąż, wysunął w bok ręce i chwycił za kark psa. Pies zaskamlał. I nagle Japończyk wstał i wziął zamach. Zastygł bez ruchu, a potem związanymi rękami machnął w stronę burty. W ostatniej chwili rozluźnił palce. Pies poszybował w powietrzu długim łukiem jak ptak, który zapomniał rozłożyć skrzydła. W proteście pokazał różowy język, błysnął białymi zębami i z jego pyska dobyło się mrozące krew w żyłach wycie, zbyt potworne jak na tak małe płuca. Maya podbiegła do relingu i zobaczyła, jak Pippin wpada do wody i jak korek natychmiast wypływa.

- Nie! Pippin, nie! - krzyknął przeraźliwie Teddy. -Nie! Tatusiu, Pippin!

Przednimi łapami pies rozpaczliwie młócił wodę, miał wytrzeszczone z przerażenia oczy, bo łódź coraz bardziej się oddalała. Jego czarna głowa zniknęła za ścianą wody i kiedy przełamała się nad nim fala, rozpaczliwie zaszczekał.

- Pippin! - krzyczał Teddy. - Tatusiu, pomóż mu!

Na widok jego wykrzywionej z przerażenia twarzy Mayę ścisnęło w brzuchu i jej usta wypełniło coś kwaśnego. Zerwała się na równe nogi i w tym momencie zdarzyły się trzy rzeczy naraz.

Chłopiec stanął na burcie, przygotowując się do skoku.

*Tuan* Hadley zrzucił buty.

Na pokład wybiegła *mem* Hadley, a tuż za nią pędził z rykiem Stalwooki.

## ROZDZIAŁ 27

Serce omal nie pękło jej z ulgi. Krzyk syna zmroził jej duszę, ale kiedy wypadła na pokład, zobaczyła, że Teddy żyje. Że ma ręce i nogi. Że nie jest zakrwawiony. Że bom nie roztrzaskał mu czaszki. Tyle tylko, że stał na burcie, chcąc skoczyć do wody.

- Teddy! Nie!

Rzuciła się w jego stronę, ale ubiegł ją Nigel. Odciągnął syna do tyłu, zaklął i dał nurka. Dlaczego? Po co to zrobił?

Zanurkował i zniknął, ale ona ciągle miała go przed oczami. Nie wiedziała, że umie tak skakać, takim długim, efektownym łukiem, rozcinając wodę prawie bez jednej zmarszczki. Dlaczego nigdy przedtem tego nie widziała?

Ścisnęła syna za ramię.

- Co się stało?

- Pippin!

Teddy wyciągnął rękę. Słońce schowało się już za horyzont, niebo pociemniało i w dolinach między falami grasowały mroczne cienie. Nie widziała Pippina. Chwyciła pas ratunkowy, który wisiał obok luku, i rzuciła go w stronę męża, ale Nigel szybko się oddalał. Podziękował jej gestem ręki i zawrócił, ale na widok brutalności, z jaką atakowało go morze, poczuła, że stają jej dęba włoski na karku. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zamiast Henry'ego jachtem steruje Fitzpayne.

- Zwrot przez sztag! - krzyknął.

Zakręcił kołem i Razak z Henrym rzucili się do lin: bom przeleciał nad pokładem, dziób jachtu zatoczył wdzięczny łuk i zawrócili.

- Już płyniemy, Nigel! - zawołała z głucho walącym sercem.

Już płynę, Nigel, już płynę. Zerknęła na syna. Wbijał wzrok w ojca.

- Mamusiu, nie pozwól mu utonąć.

- Nie pozwolę.

- Słowo harcerza?

To było ich powiedzonko. Mówili tak, gdy chodziło o coś ważnego.

- Słowo harcerza.

Wtedy dostrzegła psa. Tego przekłętego psa. Rozpaczliwie płynął w stronę Nigela i kiedy wreszcie dopłynął, zaczął obsypywać pocałunkami jego słone policzki. Nigel roześmiał się i przy okazji połknął haust wody. Connie odetchnęła. Wszystko będzie dobrze. Mąż zaimponował jej swoim spokojem. Ani śladu paniki. Całkowite opanowanie. Rytmiczne ruchy nogami, mimo głębokiej rany. Pływał w miejscu, przytrzymując Pippina i czekając, aż po niego wróca.

Gdyby z tą angielską pewnością siebie nie czekał, gdyby popłynął w ich kierunku, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Madoc naciągnął spodnie i wybiegł na pokład, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie. Niechętnie zostawił w kajucie ciepłą i chętną Kitty, ale wyglądało na to, że są jakieś kłopoty. Kłopoty dla jednego to szansa dla drugiego, więc szybko przekroczył próg.

Wybiegł, przystanął i błyskawicznie ocenił sytuację: Hadley w wodzie, obok niego biały pas ratunkowy, skrócone żagle, szybko zapadająca noc. Wszyscy stali obok siebie przy relingu, tyłem do niego, jak kaczki z wypiętymi



kuprami. Krzyczeli coś do Hadleya, nie zważając na to, że jacht stracił równowagę i przechylił się niezdarnie na ster-burtę. Fitzpayne zawiązał na sterze linę i zwinnym ruchem ręki wrzucił ją do wody. Upadła tuż przed Hadleyem, a on chwycił ją mocno i przytrzymał. Dopiero teraz tuż obok jego głowy Madoc zobaczył mokry łeb psa.

- Co się tu dzieje? - spytał, kiedy z luku wyszła ubrana już Kitty.

- Nigel uratował psa - rzucił przez ramię Court.

- Tatuś uratował życie Pippinowi - dodał z dumą chłopak.

- Pies wpadł do wody? Jakim cudem? Porucznik zmarszczył brwi.

- Właśnie. Dobre pytanie.

Madoca uderzyła szarość jego twarzy. Ale może była to tylko gra cieni.

- To on! - krzyknął chłopak. Wszyscy spojrzeli na niego.

- To ten Japończyk, widziałem! - Twarz Teddy'ego wykrzywił gniew. - Wyrzucił Pippina za burtę!

Jasnowłosa szybko podeszła do jeńca.

- To prawda? - spytała. - Wyrzucił pan psa za burtę?

- *Hai*. Tak.

Jasnowłosa uderzyła go w twarz. Chlasnęła tak mocno, że wszyscy to usłyszeli, zwłaszcza że było cicho i spokojnie. Natychmiast wróciła do syna i zawołała:

- Nigel, zaraz cię wyciągniemy.

- Niech pan chwyci się liny! - krzyknął Fitzpayne. - Wciągniemy pana na pokład.

Ale nawet teraz Hadley zachowywał się jak dżentelmen doskonały. Najpierw dzieci, kobiety i zwierzęta, cholera. Ten dureń zaczął obwiązywać psa liną i Madoc wykorzystał tę chwilę - gdy wszyscy stanęli tyłem do niego, patrząc na wodę - by cofnąć się i wyjąć pistolet z kieszeni w spodnicy żony. Do lądu było tylko parę kilometrów, a więc niedaleko - dla tych, którzy umieli pływać.

- Nie - szepnęła Kitty.

Chwyła go za rękę, a palce drugiej zacisnęła na lufie tokariewa.

- Przestań, Madoc.

Próbował się wyszarpnąć, ale była silna. Ich ręce toczyły bezgłośnie bitwę.

- Nie będzie żadnego strzelania - rzuciła.

- Nie będzie. Namówię ich tylko, żeby dołączyli do Hadleya.

Poczuła, że jej palce zaraz nie wytrzymają. Ale w tej samej chwili wcisnęła się między nich mała brązowa ręka, która dźgnęła go syczorykiem w ramię. Z płytkiej rany popłynęła krew, ale Madoc ani pisnął. Kitty roześmiała się wesoło.

- Dziękuję ci, Mayu - powiedziała i schowała pistolet do kieszeni.

Madoc zeszytniał i przeszył Malajkę wściekłym spojrzeniem. Wiedział, że pewnego dnia będzie musiał pozbyć się tego ścierwa.

- Przygotuj się, Teddy. Weźmiesz Pippina. - Fitzpayne ściągał linę, szybko, naprzemiennymi ruchami rąk.

- Jestem gotowy.

Robiło się coraz ciemniej. Connie wyczuwała panujące na pokładzie zdenerwowanie. Nikt nic nie mówił, ale słyszała, jak tamci bezgłośnie powtarzają: zostaw psa, Nigel. Zostaw psa i włącz na pokład. Mimo to była z niego ogromnie dumna. Udowodnił wszystkim, jak bardzo kocha syna. Teddy nie uwierzy teraz, że bardziej zależy mu na Razaku. I za to była mu niezmiernie wdzięczna. Oczywiście nadal jej nie kochał, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia.

- Dalej, Nigel! - zawołała, by dodać mu otuchy.

Niebo i morze zaczynały zlewać się z sobą i prąd powoli ściągał go do tyłu. Mąż miał przyklejone do czoła włosy i jego znajoma twarz podskakiwała na falach jak balon. Uśmiechnęła się do niego i pomachała ręką. On też się uśmiechnął i przyspieszył, mocniej pracując zdrową nogą. Kiedy mokry i rozentuzjasmowany Pippin wpadł wreszcie w wyciągnięte ręce Teddyego, Razak krzyknął coś po malajsku. Connie nie zrozumiała co. Ale zobaczyła, jak zareagował na to Fitzpayne, który właśnie uwalniał obwiązanego liną psa: momentalnie zamarł, a potem podniósł głowę. Stało jej serce. Fitzpayne powiódł wzrokiem po wodzie i szybko wstał.

- Hadley! - krzyknął. - Łap linę! Szybko!

Miał ostry głos. Ostry i ponaglący. Connie przeszedł dreszcz niepokoju. Lina znowu śmignęła w powietrzu i wylądowała w zasięgu ręki Nigela. Mąż zaczął przywiązywać ją do pasa ratunkowego, przez który przełożył rękę, ale Fitzpayne nie chciał czekać.

- Zostaw to! Chwyć się liny!

Coraz bardziej zniecierpliwiony mocno szarpnął, ciągnąc Nigela w stronę jachtu. Connie przestała patrzeć na męża i przeszukała wzrokiem wodę. Wtedy to zobaczyła: wierzchołek cienkiej czarnej płetwy. Płetwa przecinała fale jak nóż. Zataczała leniwe kręgi, jakby nigdzie się jej nie spieszyło.

- Nigel! - wrzasnęła Connie. - Szybciej!

Nigel usłyszał strach w jej głosie. Wszyscy usłyszeli. Mąż odwrócił się i dopiero teraz to zobaczył. Płetwa była ledwie kilka metrów od niego.

- Rekin! - ryknął Johnnie, chwytając linę. - Nigel, wychodź...

Później, znacznie później Connie nauczyła się wyciszać potworny krzyk męża. Ale kiedy rekin zaatakował, krzyk ten rozsadził jej czaszkę.

Wszystko odbyło się tak szybko. Tak nagle. Tak gwałtownie.

Nigela wyrzuciło z wody. Z bezwładnie rozłożonymi rękami przeleciał trzy metry w prawo, potem w lewo, bo rekin potrząsał nim jak szmacianą lalką. Connie przytuliła do siebie Teddy'ego, zasłaniając mu twarz sukienką. Na ułamek sekundy Nigel wychynął z głębin w fontannie krwi i przeraźliwie krzyknęła, gdy znowu zniknął pod powierzchnią. Nad jego głową zamknęły się czerwone fale. Zapadła cisza. Nad wodą pojawiła się jeszcze samotna ręka, jak w geście ostatniego pożegnania. Potem nie było już nic.

Ten potworny krzyk wciąż tłukł się w jej głowie, odłupując fragmenty czaszki.

Sześć godzin. Krążyli tam sześć godzin. W ciemności, po mrocznym morzu, uganiając się za cieniami, ryzykując, że wróg dostrzeże błysk zapalanej latarki. Wszedł księżyc. W jego świetle woda zmieniła się w metal, twardy i nieprzenikniony.

Nigela nie było. Wszyscy wiedzieli, że nie żyje, ale dopiero kiedy Firzpayne z zaciśniętą szczęką, zahaczył bosakiem o rękaw niegdyś białej koszuli, Connie była w stanie kiwnąć głową, dając mu znak, że pora podnieść żagle. Zdradzieckie mięśnie. Ze też mogły ugiąć szyję. Zdradliwe kości.

„Biała Perła” złapała wiatr i odpłynęła, ale ona wciąż stała tam, gdzie usłyszała ten potworny krzyk. Stała przez całą noc, słuchając Nigela.

- Bardzo mi przykro.

Fitzpayne. Tuż obok niej, przy relingu. Jak długo stała tak po ciemku? Była mu wdzięczna, że na nią nie spojrział, że nie naruszył jej prywatności. Patrzył na rozkołysane czarne morze, głośno wypuszczając przez nos powietrze.

- Zrobił pan wszystko, co się dało - powiedziała sztywno.
- Za wolno płynęliśmy. - Potrząsnął głową. - Jacht jest uszkodzony, o ciężale reaguje na ster. Nie mogłem...
- Zrobił pan, co się dało - powtórzyła.
- Mogłem zrobić więcej. Morze nie wybacza błędów.
- Błąd popełnił tylko Nigel.

Długo milczeli. Teddy spał między nimi na stojąco, opierając się o matkę i obejmując ją rękami. Zwieszoną głową, ciepłą i ciężką, dotykał jej boku. Po nocnym niebie sunęły zwarte zastępy chmur, przesłaniając księżyc i gwiazdy, tak że przeciskała się przez nie tylko wąska srebrzysta smużka światła, która muskała grzbiety fał.

- Wie pan, co chciałabym zrobić? - spytała gniewnie.
- Nie.
- Włożyć rękę do wody i wyrwać go śmierci. - Spuściła głowę i wciągnęła ustami powietrze, by nie słyszał jej chrapliwego oddechu.

Pogłaskał ją po włosach. Zrobił to tak czule i łagodnie, że wstrząsnął nią spazm rozpacz. Nie zabrał ręki, dopóki się nie uspokoiła.

- Zaniosę go - powiedział.
- Bez wysiłku wziął Teddy'ego na ręce. Syn wciąż spał i cieszyła się, że może uciec w niebyt.
- Jeśli pani woli, pójdziemy do kajuty Madoców. Przeniosą się do głównej sypialni.

Ścisnęło się jej serce. Skąd wiedział, że nie chce wracać do pokoju, który dzieliła z Nigelem, bojąc się, że martwy mąż wstanie z łóżka pokryty solą i wlokąc za sobą pęk wodorostów, oskarżycielsko wskaże ją palcem?

- Dobrze. Dziękuję.
- Wciąż ma pani syna. Nic mu nie grozi.
- Tak.

Poszła za nim do luku z oczami utkwionymi w zwisających bosych stopach syna. Jej nogi poruszały się tak, jakby należały do kogoś innego.

- Morze jest potworne - rzuciła z zaciekleścią w głosie.

Fitzpayne przystanął. I nie odwracając się, odrzekł:

- Wiem.

Powiedział to tak łagodnie, że omal się nie rozpląkała. Potem poszedł dalej.

Ona jednak się zawahała. Wiedziała, że udusi się pod pokładem. Że fale zaleją jej usta i nos. Dobiegł ją znajomy chlupot omywającej burty wody i spojrzała na bezlitosne czarne morze.

- Żegnaj, Nigel - szepnęła i poszła za synem.

Ktoś zapukał do drzwi i odwróciła głowę. Zrobiła to z trudem. Siedziała na łóżku tak sztywno, że zastały jej się kości. Siedziała, ale nie wiedziała, jak długo. Kilka godzin? Kilka dni? Nie, na pewno nie dni. Tuż obok, z głową na jej kolanach, jak zmęczone kocię leżał zwinięty w kłębek Teddy.

Pukanie rozległo się ponownie. Dotknęła wilgotnych włosów syna, jakby nie chciała, by go obudziło, ale nawet się nie poruszył. Jego czoło przecinała gniewna zmarszczka, miniaturowa wersja zmarszczki, jaką często widywała na czole jego ojca, więc ostrożnie wygładziła ją kciukiem.

Nie chciała z nikim rozmawiać.

Usłyszała szelest ocierającego się o drzwi rękawa, kiedy ktoś podniósł rękę, by znowu zapukać. Miała zbyt wyostrzone zmysły i każdy bodziec sprawiał jej ból, nawet mdłe światło lampy naftowej, irytujące furkotanie skrzydeł muchy, trzeszczenie drewna. Wszystkie odgłosy mieszały się ze zgrzytem w mózgu. Wysunęła nogi spod głowy Teddy'ego, wstała i podeszła do drzwi, otwierając usta, by powiedzieć: odejść. Przekręciła klamkę.

To był Henry, ostatnia osoba, jakiej się spodziewała. Był skrępowany i miał zaczerwienioną twarz.

- Tak?

- Chcę... - Urwał. I zaczął od początku. - Jak się czujesz?

- Przeżyję.

Henry zagryzł policzek, szukając słów, z którymi do niej przyszedł.

- Kiedy Harriet odeszła, bardzo mi pomogłaś. Wiem, że chcesz być sama, ale samotność nie zawsze jest dobra.

- Mam Teddy'ego.

- Wiem.

Stali, patrząc na czubki swoich butów.

- Żałuję, że ten Japończyk żyje - wybuchnął nagle Henry. - Podziwiam cię. Dałaś mu w twarz.

- Zrobiłbyś to samo dla Harriet.

Kiwnął głową. Ale smutek ją odmienił. Nie widziała już jego pokrytych plamami policzków, tego, że nieświadomie głaszcze się po brzuchu, co kiedyś tak ją irytowało. Widziała jedynie samotność, którą próbował ukryć. Mroczny gniew, lękliwie wykrzywione usta.

- Prawda? - dodała cicho.

- Tego już się nie dowiem.

Dotknęła jego ramienia i poczuła, że jest zupełnie puste, jakby Harriet była szpikiem jego kości.

- Constance, zabiłbym go, gdybym tylko miał odwagę. Trzęsły mu się ręce. Szybko odszedł.

Do kajuty zajrzał świt. Z zęzy dochodził rytmiczny stukot pompy. A więc wciąż brali wodę. Madoc usiadł ubrany na brzegu łóżka i wytężył słuch. Z sąsiednich kabin nie dochodził ani płacz, ani zgrzytanie zębami. I bardzo dobrze. Nikt nie panikował. Tego właśnie chciał, bo gdy wybucha panika, łatwo jest dostać się pod ostrzał z dwóch stron. Spał tylko dwie godziny, mimo to krew żwawo krążyła mu w żyłach. Dzisiaj był jego dzień - czuł to w kościach.

Spojrzał z uśmiechem na wielką pupę Kitty i dał jej klapsa.

- Wstawaj, żono. To, że leżysz w królewskim łożu, nie znaczy, że możesz tkwić w nim przez cały dzień.

Kitty mruknęła, chrząknęła, otworzyła jedno oko i dźgnęła go palcem w bok.

- Odwal się. - Odwróciła się do niego plecami.

Musiał przyznać, że rano żona rzadko kiedy była w formie. Podniósł z podłogi jej sukienkę. Myślał, że będzie ciężka, ale okazała się lekka. Potrząsnął nią sfrustrowany.

- Gdzie pistolet? - szepnął.

- Tu go nie ma.

- A gdzie jest?

- W razie potrzeby będzie gotowy. Dzisiaj ci się nie przyda.

- A ty co? W kryształowej kuli to zobaczyłaś? Jasno-widzką zostałaś?

- Nie krzycz.

Potrząsnął ją za ramię, ale nie za mocno - nie chciał zrobić jej krzywdy - i Kitty usiadła. Miała nagie piersi i poczuł senny zapach jej ciała.

- Jest mi potrzebny - powiedział szeptem. - Dzisiaj lądujemy na tej choleralnej wyspie. Gdybyśmy nie stracili tylu godzin na te obłąkane poszukiwania, już byśmy tam byli. Bóg wie, co może się zdarzyć, więc muszę być przygotowany na...

- Najpierw zorientujmy się w sytuacji, dobrze?

- Nie. To nasza szansa, Kitty. - Odruchowo pogłaskał jej blade piersi, gładkie, miękkie i wielkie jak dojrzałe melony. - Nie zmarnuj jej, to dla mnie jedyna.

- Dla nas, Madoc, dla nas.

- Właśnie to chciałem powiedzieć.

- Pamiętaj, że przez cały czas pilnuję cię i ubezpieczam. Nie chcę, żeby cię też pożarły rekiny. - Kitty odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów i patrząc na jego rękę,



w zadumie wymamrotała: - Ty też będziesz wciąż szukał mojego ciała, jak umrę?

Serce grzmotnęło go w żebra. Na myśl, że rekin mógłby przegryźć ją na pół, ścisnęło go w żołądku. Pchnął ją na wypełnione gęsim puchem poduszki i delikatnie zatopił zęby w jej szyi.

- Kitty - warknął - powiedz, gdzie jest ten cholerny pistolet albo osobiście rzucę cię rekinom na pożarcie.

- Razak.

Nie podniósł głowy. Szarpnęła go za włosy.

- Przestań się mazać. Brat jęknął.

- On nie żyje. Ale zaopiekuje się nami *mem* Hadley. *Mem* Hadley nie pozwoli...

Brat znowu jęknął. Siedzieli na pokładzie ukryci przed wzrokiem Japończyka i Maya podniosła jego głowę. Razak płakał. Wielkie łzy spływały mu po policzkach i skapywały na kolana. Przestraszyła się.

- Razak - powiedziała cicho - matka jest już zadowolona. Ta zemsta jest dla niej jak słodki miód na języku. - Poglaskała go po policzku. - Rozchmurz się.

Swoją głową dotknął głowy siostry. Poczwała, jak jego ból przenika do jej czaszki i osiada tam niczym rzeczny muł. Objęła go i przytuliła, cichutko nucąc kołysankę.

- Teraz - szepnął - musisz przestać nienawidzić.

Dopiero co wstał świt, a wszyscy byli już na pokładzie - wszyscy z wyjątkiem Jasnowłosej i jej syna. Panowało dziwne poruszenie, bo pasażerowie chodzili tam i z powrotem, jakby chcieli uciec przed ścigającymi ich

myślami. Madoc był spięty. Jacht włókł się jak ślimak, z trudem dawał się sterować, a widoczna na horyzoncie małajska łódź rosła w oczach.

Hadleya już nie ma - omal się nie uśmiechnął, ale nie, nie mógł się uśmiechnąć, bo na pokładzie panował posępny nastrój. Fitzpayne był milczący i ponury, więc on, Madoc, nie mógł chodzić, pogwizdując. Tak, bez dwóch zdań, współczuł żonie Hadleya i jej synowi - biedny chłopak -ale cieszył się, że siedzieli na dole. Wolał, żeby ich widok nie przypominał mu - tak jak Courtowi, którego unikał jak zarazy - że mąż może umrzeć na oczach żony, a żona na oczach męża. Że mogłby zostać sam, przez nikogo niekochany. Och, Kitty, nie waź się umrzeć przede mną.

Kłótnia była krótka, bo - szlag by to trafił - żona miała rację. Najpierw będzie musiał poczekać, aż naprawią jacht. Myśl o wyspie Fitzpayne'a go denerwowała. I to cholernie.

Connie czekała. Słyszała kroki na górze i niski głos Fitzpayne'a wydającego rozkazy, mimo to wciąż czekała, chcąc się najpierw upewnić, że Teddy znowu zasnął.

Spoczywająca na poduszce twarzyczka była zaczerwieniona i bezbronna, ale syn już przynajmniej nie drżał. Gdy obudził się w środku nocy, utuliła go i ukołysała, przemawiając do niego, tłumacząc mu, że śmierci tatusia jest winny tylko japoński pilot, nikt inny. Ani on, ani Pippin, ani tatuś, ani mamusia. Ani ci, którzy sterowali wtedy jachtem. Tylko on, Japończyk, który wrzucił Pippina do wody. Że to on jest winny.

Nie ty, mój kochany synku, na pewno nie ty.

Fitzpayne przesłuchał pilota, spytał, dlaczego to zrobił.

- Mówi, że pies go denerwował.

Jednak gdy spojrzała w niespokojne skośne oczy, wy-

czytała z nich, że był to akt celowej zemsty, czyn, który miał zranić właśnie ją.

- Nikt nie mógł przewidzieć, że tatuś wskoczy do morza, żeby go ratować - zapewniła syna. - Był bardzo dzielny.

- Jest bohaterem - wyszłochał Teddy.

- Tak, to prawda. Bardzo cię kochał.

- Nienawidzę wszystkich Japończyków.

Czy mogła mu się dziwić? Najpierw odebrali mu dom, a teraz ojca. Dlatego wciąż czekała, głaszcząc syna po głowie, i dopiero kiedy mocno zasnął, otworzyła stojącą na podłodze skórzaną torbę. W środku był pistolet, który dostała od Fitzpayne'a w dniu, kiedy zaatakował ich sztorm.

Nie przypuszczała, że wojna może tak kogoś odmienić. Wyszła na zalany porannym światłem pokład i wciągnęła do płuc wilgotne powietrze - zaraz miała zabić człowieka. Tym razem nie w ulicznym wypadku i nie w leśnej chacie na odludziu. Tym razem popychała ją żądza krwi.

Podeszła do masztu, stanęła przed więźniem, którego sama uratowała, i nie zobaczyła już w nim młodego rolnika wyrwanego z farmy rodziców ani nawet patrioty, wiernego sługi kraju, za który walczył. Nie, już nie. Teraz widziała tylko ponurą twarz i pełne nienawiści czarne oczy człowieka, który zabił jej męża, więc podniosła pistolet i wycelowała w jego pierś.

Zerwał się na równe nogi. Powiedział coś po japońsku.

Nie słyszała krzyku Johnniego Blake'a, nie widziała, że Fitzpayne, który siedział na pokładzie, pomagając Kitty patroszyć ryby, podniósł głowę. Słyszała tylko głuchy ryk - czy to wiatr w takielunku? - widziała tylko twarz japońskiego pilota na końcu wąskiego tunelu.

- Zabiłeś mojego męża. - Mówiła cicho i spokojnie. - Życie za życie.

W jego oczach dostrzegła cień strachu, ale błyskawicznie się opanował. Zastygł bez ruchu, krótko skinął głową, powoli zamknął oczy i jego długie rzęsy spoczęły na policzkach. Usta poruszyły się bezgłośnie i zdała sobie sprawę, że Japończyk się modli. O co? O błogosławieństwo dla duszy? Zegnał się z rodziną? Po raz ostatni ślubował wierność swojemu cesarzowi? A może spokojnie i beznamiętnie rzucał na nią klątwę? Ryk w uszach spotężniał - nie, to nie był wiatr, nie wiatr. To dudniła krew w jej uszach. Znowu zalała ją fala nieokielznanego gniewu.

Zacisnęła palec na spuście. Wymierzyła w pierś, czując ciężar pistoletu, twardość metalu, czując, jak jej duszę pustoszy żądza zemsty.

- Życie za życie - *powtórzyła*.

- Śmiało. Niech go pani zastrzeli.

Zawahała się, bo głos Firzpayne'a zagłuszył dudnienie w jej głowie.

- Jeśli uważa pani, że poczuje się pani potem lepiej, to niech go pani zastrzeli, Connie.

„Connie”. Nigdy tak się do niej nie zwracał. Zawsze mówił: „pani Hadley”. Może gdyby powiedział tak i teraz, nie posłuchałaby go, bo nie była już panią Hadley. Kątem oka widziała, że z beztróskim uśmiechem opiera się

O maszt, że ma rybie łuski na palcach i długi nóż w ręku. Wokół niego majaczyły jakieś sylwetki, ale były rozmazane

I nie widziała, ile osób się tam zebrało. Twarz Japończyka natomiast widziała bardzo wyraźnie. Drobne kości policzkowe, blada skóra, posiniaczone czoło, gładkie, wilgotne powieki - mózg zarejestrował każdy szczegół.

- Wie pani, co to znaczy zabić człowieka? - spytał Fitz-payne tak lekko, jakby pytał ją, która godzina.

Tak. Wiem, co to znaczy.

- Fatalne uczucie - ciągnął łagodnie. - Fatalne. Niech mi pani wierzy, on nie jest tego wart.

Japończyk otworzył oczy i przeszył ją spojrzeniem.

- Dla mnie jest - syknęła.

- Ani nie poczuje się pani lepiej, ani nie ożywi pani Ni-gela. Jeśli jednak naprawdę chce go pani zabić...

Jeszcze mocniej zacisnęła palec na spuście.

- ..zrobię to za panią - dokończył Fitzpayne. Wyciągnął rękę. - Dla mnie to nie pierwszozna.

Dudnienie się wzmogło, stało się chaotyczne, dołączył do niego krzyk i ruch. Japończyk nie patrzył już na nią, tylko z otwartymi ustami gapił się ponad jej ramieniem.

- Connie? - Wyrósł przy niej Fitzpayne. Wszystko się uspokoiło. - Już ci to niepotrzebne. - Położył dłoń na jej uzbrojonej dłoni i zerknął tam, gdzie Japończyk.

Odwróciła się i zobaczyła kilka łopoczących na wietrze brudnych żagli i długi, szpiczasty dziób *pinisią*, malajskiej łodzi, która tak długo płynęła ich śladem i która teraz, cicha jak rekin, dobijała do burty jachtu. Przez reling „Białej Perły” przerzucono haki z siecią do abordażu. Ktoś krzyknął. Wszyscy wiedzieli, że z taką butą i arogancją na pokład wchodzi tylko piraci Morza Południowochińskiego.

## R O Z D Z I A Ł 2 8

Cholera! Jasna cholera! Mech to szlag!

Madoc wyszarpnął pistolet z kieszeni żony i potrząsnął nim, tak żeby to zobaczyli. Na tych wodach aż się od nich roiło, od bandziorów, którzy ukrywali się w labiryncie tysiąca wysp jak szczury w norze. Byli rabusiami i mordercami, z tego właśnie słynęli. Pociągnął Kitty do tyłu, stanął przed nią i wymierzył w pierwszą łepetynę, która ukazała się nad burta jachtu. Była brązowa, porośnięta kłakami i miała mordę pomarszczoną jak stare jabłko.

- Precz stąd! - krzyknął.

Blake i Henry Court stali ramię w ramię gotowi do walki, ale on oddał najpierw strzał ostrzegawczy. Kula musnęła *policzek tego* z kłakami i pirat wykrzywił twarz. Zaskoczony wytarł krew i zlizął ją z palców. Na plecach miał strzelbę.

- Następna rozpirzy ci łeb! - ryknął po malajsku Madoc. - Jeśli nie...

Na szyi poczuł dotyk cuchnącego rybą noża. Chryste! Zesztywniał i tuż przy uchu usłyszał cichy szept Firzpay-ne'a.

- Jeśli jeszcze raz pociągniesz za spust, obetnę ci język, nim nasz przyjaciel zdąży stanąć na pokładzie.

Powiedział to tak, że Madoc omal nie zsikał się w spodnie.

- Mówię ostami raz: odłóż pistolet. Jest niepotrzebny. Oddaj go żonie. Ona wie, kiedy lepiej go schować.

- Wal się, Fitzpayne. Co ty, do diabła, robisz? Fitzpayne roześmiał się nieprzyjemnie.

- Rób, co mówię, i nie pakuj nas w kłopoty. Rzuć pistolet.

Madoc wykonał rozkaz i pistolet zaklekotał po pokładzie.

- Kopnij go.

Madoc kopnął, choć niezbyt daleko. Chciał splunąć, ale w ustach miał sucho jak w sercu dziwki.

- A teraz z nimi porozmawiamy - oznajmił spokojnie Fitzpayne.

Wtedy zaskoczyła ich Jasnowłosa. Podeszła do pirata, który wciąż stał za relingiem, zdjęła z ręki złoty zegarek i podała mu go. Pistolet, z którego chciała zastrzelić Japończyka, gdzieś przepadł.

- Proszę - powiedziała. - Niech pan to weźmie. Jeśli zostawicie nas w spokoju, dostaniecie jeszcze więcej precjozów.

Jakby ten głupi dupek wiedział, co znaczy „precjoza”. A jednak tak, na pewno znał wartość złotego cartiera, bo wyrwał go jej i schował do sakiewki u pasa. Uśmiechnął się, pokazując pułk złotych zębów. Gapił się teraz na jej perłowy naszyjnik. Podczas gdy tamci dokonywali wymiany, Fitzpayne zabrał nóż. Maya patrzyła na nich z na wpół gniewną, na wpół przerażoną miną, ale jej brat chyba się nie bał. Z żywym zainteresowaniem przyglądał się łodzi.

- Fitzpayne! - krzyknęła Kitty.

Rzuciła się do przodu, mimo tuszy szybka jak lampar-cica, i porwała z pokładu pistolet. Chwyciła go obiema rękami i wycelowała w jego plecy. Wylot lufy ani drgnął.

- Jeśli jeszcze raz przyłożysz nóż do szyi mojego męża, przysięgam, że odstrzelę ci jaja.

Fitzpayne nawet się nie odwrócił, ale wszyscy usłyszeli jego stłumiony śmiech.

- Nie wątpię - powiedział i minąwszy Blake'a i Courta, podszedł do sieci, na której stał nowy właściciel złotego

cartiera. - Szanowni pasażerowie, pozwólcie, że przedstawię wam mojego przyjaciela Nurula.

- Teddy, obudź się.

Syn niechętnie otworzył oczy. Rzęsy, ciężkie i ospałe, poruszyły się powoli jak kończyny zepsutej lalki, ale kiedy zobaczył twarz matki, natychmiast usiadł.

- Co się stało?

Connie opadła na brzeg łóżka.

- Pamiętasz tę łódź, która za nami płynęła? Kiwnął głową.

- Chyba miałaś rację. Dogoniła nas i dobiła do burty. Rozszerzyły mu się oczy.

- Kto to jest? - spytał szeptem. Zawahała się, więc szybko dodał: - Piraci?

- Nazywają siebie handlarzami, ale wyglądają na piratów.

- I mają kordelasy?

Connie widziała, że jest podekscytowany, ale ponieważ przestał rozpaczać po stracie ojca - chociaż na chwilę - nie chciała sprowadzać go na ziemię.

- Nie, strzelby - odparła.

- Ilu ich jest?

- Widziałam sześciu. Jeden ma złote zęby, a inny bandolier z kulami cięższy od niego samego. Wygląda jednak na to, że są znajomymi pana Firzpayne'a.

- Znajomymi?

- Tak powiedział. Syn rozdziawił usta.

- I co robią?

- Pan Fitzpayne przeszedł na ich łódź, żeby z nimi porozmawiać, a dwóch jest na naszym pokładzie.

- Ze strzelbami?



- Tak, ale noszą je na plecach, więc się nie martw. Robią wrażenie... dość przyjaznych.

Kłamała. Jeden, smukły i wysoki, miał smutne usta i nerwowe oczy, którymi strzelał na wszystkie strony jak wystraszony kot. Drugi, niski i przysadzisty, o złowrogiej twarzy, ciągle żuł tytoń i zawsze trzymał rękę na uchwycie malajskiego krisa, noża o faliście zakrzywionym złowieszczym ostrzu. Obaj byli brudni, obaj w wypłowiałych od słońca koszulach, choć - musiała przyznać - nie zachowywali się agresywnie, tylko rozglądali się, patrząc na jacht jak na kobietę.

Teddy zerwał się z łóżka. Włożył koszulę i szorty, żeby jak najszybciej wyjść na pokład, ale kazała mu usiąść.

- Teddy - powiedziała spokojnie - to nie jest zabawa. To nie jest bajka o piratach.

- Wiem. - Chłopiec poczuł się urażony. - Mam już siedem lat.

- Musisz tu zostać. Tu jest bezpieczniej.

- Nie, proszę... .

- Nie wiadomo, co mogą zrobić.

- Będę grzeczny, obiecuję, będę cicho.

Ujęła w dłonie jego cudowną twarzyczkę i pocałowała go w głowę wciąż pachnącą snem.

- Wiem. Dlatego musisz się schować. Żeby cię nie znaleźli.

- Nie!

- Tak, Teddy.

- Nie! - Oderwał jej ręce od twarzy. Była zdumiona jego siłą. - Mamusiu, nie chcę stracić i ciebie. Pozwól mi tam iść.

- Oparł się o nią ramieniem. - Proszę cię, mammo, proszę...

Objęła go mocno i ukołysała.

- Dobrze - wymamrotała w jego włosy. - Pójdziemy razem.

Siedzieli, nasłuchując jakichś odgłosów, ale nie słyszeli, ani kroków, ani żadnych oznak życia, nic oprócz krzyku krążących nad jachtem mew.

- Teddy - szepnęła.

Syn podniósł głowę i znowu wygładziła kciukiem zmarszczkę między jego oczami. Była szorstka od smutku.

- Teddy... - Zmusiła się do uśmiechu. - Ci ludzie mogą być... - Chciała powiedzieć „niebezpieczni”, ale nie powiedziała. - ...Nieprzewidywalni. Nie rób nic, co mogłoby ich zdenerwować. Oni nie są tacy jak Long John Silver czy Kapitan Hak. Rozumiesz?

- Nie martw się, mamusiu, będą dla nas mili, pan Fitz-payne im każe.

- Oczywiście.

Syn uśmiechnął się niepewnie.

- Ale tatuś nie chciałby, żeby tu byli, prawda?

- Nie, chyba nie.

Znowu to zobaczyła. Razak na kolanach: bije czołem w pokład i przerażająco zawodzi, modląc się do ducha zmarłej matki, żeby ocaliła tuana Hadleya. Obraz ten poraził ją, zwiększył ciężar smutku. Przesunęła ręką po twarzy, jakby chciała go zetrzeć, tak jak ściera się rozmazaną krew.

Spojrzała w dół i zobaczyła zatroskane oczy syna. Jak długo milczała? Dotknęła jego policzka.

- Teddy, w życiu nie ma drugiej szansy. Musimy to dobrze rozegrać.

Na pokładzie nic się nie działo. Żagle były zwinięte, a jacht zataczał się jak pijany na falach, które pędziły z szumem od *Pacyfiku*. *Słońce wychynęło* już zza horyzontu i centymetr po centymetrze wspinało się do góry. Dzisiaj robiło to z dużym wysiłkiem.

Fitzpayne chodził nerwowo po pokładzie *pinisiq* pogrążony w rozmowie z Nurulem, tym ze złotymi zębami. Ich łódź była dłuższa od „Białej Perty”; miała połatane żagle i pokrywał ją solny osad. Pokład dzieliły na pół dwa duże

luki i Connie zastanawiała się, co jest w ładowni - na pewno coś ciężkiego, bo mieli bardzo duże zanurzenie. Może Fitzpayne nie kłamał, mówiąc, że jest to zwykła łódź handlowa, że lawirując między wyspami, tak jak oni ucieka przed japońskimi samolotami. Może. A może nie.

Podeszła do Johnniego i Henry'ego, czując na sobie wzrok japońskiego pilota, który obserwował ją czujnie spod masztu. Nie mogła na niego patrzeć. Wzięła Pippina na smycz i kazała Teddy'emu mocno go trzymać.

- Co się dzieje, Johnnie?

- Fitzpayne próbuje chyba się z nimi dogadać.

- Dogadać?

- Nie wiem. Domyślamy się tylko, że chce utargować coś dla siebie, bo raczej nie dla nas. Będziemy mieli przez nich kłopoty, to pewne.

Henry nachylił się do przodu z wilgotnym czołem i szepnął:

- Ucieknijmy. Fitzpayne jest u nich. Postawmy żagle i...

- Nie - ucieła ostro. - Wynajęłam go, bo zna te wody. My nie. Ufam mu. ,

- Nigel mu nie ufał - zauważył łagodnie Johnnie.

- To nie fair. Nigela tu nie ma.

- Wiem. - Johnnie zacisnął usta. - Strasznie mi przykro. Kiwnęła głową. „Przykro” to za słabe słowo.

- Mamy mapy - nie ustępował Henry. - Możemy sami nawigować...

- Bądź rozsądny. Jacht bierze wodę. Jest niestabilny, powolny i trzeba go naprawić. Tamci bez trudu by nas dogonili.

- O czym, do diabła, ten Fitzpayne z nimi gada? Z takimi typami? Nie podoba mi się to.

Jej też się to nie podobało, ale nie dała się sprowokować.

- Będziemy musieli go o to spytać - odparła z przekąsem. - Na pewno ma powody.

Kiedy Fitzpayne wrócił na pokład, ogarnęły ją wątpliwości. Miała dziwne wrażenie, że właśnie straciła kogoś, z kim paliła papierosy i piła whisky po sztormie, wrażenie, że stojący przed nią człowiek - podejrzanie ożywiony mężczyzna o ciemnych włosach, które w promieniach wschodzącego słońca *zaczynały przybierać* kolor miedzi - jest jej zupełnie obcy. Jakby przez cały czas ukrywał się w kimś, kogo miała za przyjaciela. Czy to był prawdziwy Fitzpayne? Fitzpayne bardziej dziki i nieprzewidywalny niż ten, którego dotąd nie знаła? Powiedziała, że mu ufa, ale teraz...

Z kciukami zatkniętymi za pas stanął w rozkroku, bez najmniejszego trudu balansując na piętach na rozkołysanym pokładzie i czekając, aż zasypią go gradem pytań.

- Co to za ludzie?
- Czego od nas chcą?
- Chryste, to naprawdę pana przyjaciele?
- Nie może pan się ich pozbyć?

Ona jednak milczała. Widziała ożywienie na jego twarzy, pragnienie zrealizowania planu, który uknuł ze swoim złotoustym przyjacielem, i wiedziała, że bez względu na to, co powiedzą - Johnnie, Henry czy Madoc - on obrał już kurs.

- I co teraz? - spytała spokojnie, kiedy tamci skończyli. Nie obchodziła ją przeszłość. Obchodziła ją tylko przyszłość.

- Teraz zmienimy środek transportu - odparł z uśmiechem.
- Nie! - wybuchnął Henry. - Nie zejść z pokładu „Białej Perły”.
- Wiedziałem, że pan to powie.
- To świetnie - wtrącił Johnnie. - Nigdzie się stąd nie ruszymy.

Fitzpayne pstryknął papierosem za burtę.

- Uspokójcie się.
- Zdradził nas pan? - spytała beznamiętnie.

- Oczywiście, że nie. - Powiedział to sztywno i gniewnie, ale z dziwnie łagodną miną. - Dzisiaj na niebie zaroi się od japońskich samolotów lecących na Singapur. Wszyscy ci, którzy mają łódź, spróbują uciec. Japończycy będą strzelać do nich jak do kaczek. Nikt nie będzie miał najmniejszych szans. - Wyjął kolejnego papierosa i gdy pocierał zapalną, zauważyła, że trzęsą mu się ręce. - Łódź taka jak wasza... - starannie dobierał słowa - elegancki jacht, który na pewno należy do białych, będzie pierwszą, którą wezmą na celownik.

- Moglibyśmy się ukryć. Tak jak przedtem, w ujściu jakiejś rzeki.

- Nie.

- Dlaczego?

- Czy wy nic nie rozumiecie? - Rozdrażniony popatrzył po ich twarzach. - Wasz jacht tonie. Naprawiałem go, zrobiłem, co mogłem, ale to za mało. Ustaliłem z Nurulem, że zamienimy się łodziami. Przesiadziemy się na „Bu-rung Camara” i pod pełnymi żaglami popłyniemy prosto na wyspę, gdzie będziecie bezpieczni, tymczasem Nurul i część jego załogi ukryje jacht. Pod osłoną ciemności wyślę tam kogoś ze sprzętem i materiałami do naprawy, a kiedy skończą, przyprowadzą jacht na wyspę, też nocą.

- Dlaczego ten Nurul miałby nam pomagać? Fitzpayne roześmiał się, nie próbując nawet śmiać się szczerze.

- Obiecałem, że dobrze zapłacicie mu za te usługi. Connie pokręciła głową.

- Skąd możemy mieć pewność, że jacht do nas wróci? Pytanie zawisło w rozgrzanym powietrzu jak miecz.

Zniecierpliwiony wyraz twarzy mężczyzny prawie nie uległ zmianie, drgnęły mu tylko oczy, kiedy podeszła bliżej.

- Daję wam moje słowo - odparł szybko.

- To bardzo ładnie - wypalił Henry - ale dlaczego mamy panu wierzyć?

Connie zignorowała go i spytała:

- Co się za tym kryje? Jaki jest prawdziwy powód? Skoro żeglowanie eleganckim jachtem dla białych staje się na tych wodach tak niebezpieczne, dlaczego Nurul ryzykuje?

Stalowe oczy Firzpayne'a zbladły, powieki lekko opadły, a na ustach - wbrew jego woli - zaczął pojawiać się uśmiech.

- Robi to, ponieważ jest moim przyjacielem i ponieważ go o to poprosiłem. - W teatralnym geście pogardy wzruszył ramionami. - Pieniądze oczywiście też pomagają.

Sprzeczali się na osobności w głównej sypialni. Ona, oficjalna właścicielka „Białej Perły”, i on, oficjalny nawigator i szyper. Rozmawiali półgłosem, gniewnie i wrogo. Ciągłe wydawało jej się, że z łóżka obserwuje ich Nigel z dezaprobatą i zaciśniętymi ustami.

- Jest pan jednym z nich, tak? - mówiła oskarżyciel-sko. - Jest pan piratem, należy pan do ich bandy. Że też nie podejrzewałam pana wcześniej, musiałam chyba zwariować.

- Mam do czynienia z łodziami, tak jak oni. Są handlarzami, więc...

- Mówił pan, że kupuje pan i sprzedaje jachty, tak pan mówił. - Potrząsnęła głową, odrzucając kosmyki wilgotnych włosów. - Okłamał mnie pan.

- Nie, to prawda.

Miała ochotę potrząsnąć nim tak mocno, żeby aż zagrzechotały mu zęby, chwycić go i wydobyć z niego całą prawdę. Chciała, żeby powiedział, że jej nie oszukał, że nie jest oportunistą, któremu chodzi tylko o pieniądze, że może mu całkowicie zaufać i powierzyć życie swoje i syna. Chciała, by ją przekonał. Ale on tylko kiwnął głową, nie mówiąc ani słowa o swoich związkach z Nurulem i jego złodziejską bandą.

- Connie, śmierć Nigeła jest dla pani i pani syna potwor-

nym ciosem, dlatego myślę, że lepiej by było, gdyby... -Urwał i zacisnął usta świadom, że dzieli ich granica, którą może zaraz przekroczyć.

- Gdybym co? - spytała.

- Gdyby wraz z synem jak najszybciej uciekła pani z tego przeklętego jachtu.

Odwrócił się, pochylił głowę i wyjrzał przez bulaj. On patrzył w niebo, ona gapiała się tępo w jego płaskie plecy pod czarną koszulą. Od natłoku myśli kręciło jej się w głowie. Czy to dzieje się naprawdę? Czy nad „Białą Perłą” naprawdę ciąży klątwa matki Mai i Razaka? Dotknęła palcem drewnianej ściany, czując, jak jej ciepło wnika w skórę. Zabrała rękę. O co mu chodziło, co miał na myśli? Że „Białą Perłę” prześladowuje pech? Ta bezlitosna wojna? Czy klątwa sprowokowana jej czynami? Dusila się w tej ciszy. Fitz-payne podszedł do niej szybko i kajuta stała się nagle za ciasna, zbyt intymna. Żadne z nich nie patrzyło na łóżko, które dzieliła z Nigelem. Fitzpayne stał blisko, tak blisko, że myślała, iż ją obejmie, ale nie, miał spuszczone ręce.

- No więc? - spytał.

- Popłynę z Teddym. A pan? Z nimi?

- Nie mam najmniejszego zamiaru was zostawiać.

- To dobrze. Dziękuję.

Otworzył jej dłoń i upuścił na nią złotego cartiera.

## ROZDZIAŁ 29

- Są z Sumatry - powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

Mówił o trzech piratach, którzy sterowali łodzią. Wziął ją za rękę i szybko oprowadził po pokładzie. Pokazał małą budkę na rufie, gdzie załoga jadła i odpoczywała. Dach był niski i okrągły, zrobiony z palmowych liści.

- Niestety, nie ma tu osobnych kajut. Kiedy mocno pada, śpią w ładowni. Trochę tu prymitywnie.

Spojrzał na nią tak, jakby oczekiwał protestu, ale ona nie zaprotestowała. *Zajrzała do mrocznej budki.* W wiszącej pod sufitem bambusowej klatce trzepotał się koliber, ale kiedy pochyliła głowę, by wejść, zobaczyła, że po ścianie pełzną ku niej trzy krocionogi długości dłoni. Cofnęła się. Fitzpayne roześmiał się, ale nie puścił jej ręki.

- Co jest w ładowni? - spytała.

- Towary.

- Jakie?

Spojrzał na nią i powiedział coś, czego się nie spodziewała.

- Kauczuk.

- Kauczuk? Kauczuk Hadleya?

- Możliwe. - Roześmiał się cicho do siebie. Wyobraziła sobie, jak statek handlowy z kauczukiem

Nigela w ładowniach płynie do Singapuru, skąd mają go przetransportować dalej i przetworzyć na niezbędne podczas wojny opony i kable. Jak piraci napadają go z hakami



i sieciami, jak kradną ładunek i zatapiają statek. Tak się już zdarzało, Nigel wpadał wtedy w furję.

- Rozumiem - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Co znaczy „Burung Camar”?

- Mewa. " Kiwnęła głową.

- Ptak rabuś.

Obrócił ją za łokieć, stali twarzą w twarz. Był lekko rozbawiony, ale w głębi jego oczu dostrzegła cień niepewności i zdała sobie sprawę, że nie jest pewny jej reakcji, jakby ona też się zmieniła.

- Niech pani nauczy się nie zadawać pytań - powiedział stanowczo. - Dłużej pani pożyje.

- Pan tak robi? Nie ma pytań, nie ma kłamstw?

- Tak jest bezpieczniej.

- Bezpieczniej? W tym przeklętym zakątku świata pełnym krwiożerczych moskitów i spadających bomb ma być bezpieczniej?

- Pewnie ma pani rację. - Obojętnie wzruszył ramionami.

Nie, jednak nie dała się oszukać. Widziała go na pokładzie. W tym, jak musztrował załogę, jak wybierał żagle, wykorzystując najmniejszy nawet podmuch wiatru, nie było nic obojętnego. Ani w tym, w jaki sposób wypatrywał w chmurach nadlatujących samolotów czy spoglądał za rufę. Gdy spytała go, czego tam szuka, zamknął się w sobie i wyczuła, że narasta między nimi jakiś dystans.

- Chodzi o Nurula? - drążyła. - Martwi się pan o niego?

- To mój przyjaciel. Oczywiście, że się martwię.

Ten cherlawy pirat o rozdziawionych ustach żaby, świecący w słońcu złotymi zębami. Ten, który chciał zabrać jej zegarek, który jako pierwszy wdrapał się na pokład ze strzelbą na ramieniu. Ten człowiek był jego przyjacielem. Jak to możliwe? A teraz, tylko dlatego, że Fitzpayne go o to poprosił, utknął na jachcie, który Japończycy mieli z radością zmieść kulami z powierzchni morza.

- Wygląda na kogoś, kto umie sobie *radzić*. - Dotknęła jego ramienia.
- Niech się pan nie martwi.

Spojrzał na jej rękę.

- Odpowiedzialność za czyjąś śmierć wydziera część serca. Jeśli zabijasz dalej, z czasem nic z ciebie nie zostanie. Tylko zewnętrzna skorupa, która je, oddycha i oszukuje ludzi, którzy myślą, że ty to wciąż ty.

Smutek w jego głosie wezbrał jak fale, rzucając nim w morskie doliny i porywając go ze sobą. Przez chwilę widziała podskakujące na wodzie twarze Sai-Ru Jumat, Shohei Takehashiego i Nigela. Machnęła ręką, rozgarniając wilgotne powietrze i odpędzając ten widok. Ale twarz japońskiego pilota pozostała i wciąż śmiała się z niej w rozbryzgach piany.

- Fitz - powiedziała surowo. - Ufam panu. - Otwartą dłonią klepnęła go w pierś, czując słoneczne ciepło jego skóry. - Pan wciąż ma serce. Pracuje jak pompa w zębie.

Myślała, że się roześmieje, jak to on, ale się nie roześmiał. Podniósł rękę i położył ją na jej ręce, tej, którą wciąż dotykała jego serca.

- Connie, przykro mi, że nie mogłem go uratować.

- Niech pan przestanie.

- Ta tragedia na zawsze pozostanie z nami.

- To był rekin. To nie pana wina. Powoli wykrzywił usta w uśmiechu.

- Nie umie pani dobrze kłamać, prawda?

Głośno wypuściła powietrze i wyciągnęła rękę spod jego ręki.

- Niech pan da mi lepiej papierosa.

Malajska łódź poruszała się inaczej, bardziej jak szczupły długodystansowiec niż pretensjonalna sprinterka, jaką była „Biała Perła”. Chociaż wiozła ciężki ładunek, pewnie

rozcinała fale. Jej łopoczące trójkątne żagle bez trudu łapały zachodni wiatr, takielunek niecierpliwie wył i piskliwie zawodził. Connie stała na pokładzie, patrząc, jak po błękitnej toni mkną białe odkosy fal dziobowych i widok ten skojarzył jej się z kobietą zrzucającą halkę po halce.

Wiedziała, że Nigel byłby zły, gdyby stał teraz u jej boku.

Ale czuła, że coś się w niej rozwija, rozpręża - podniosła rękę, osłoniła oczy przed słońcem, wyteńczyła wzrok i ponad liściastym dachem budki spojrzała za rufę, na błękitny bezkres oceanu. Gdzieś tam była „Biała Perła”. Po zażartej kłótni z pasażerami porzuciła i ją, i wszystko to, co jacht sobą reprezentował.

- Jeśli chcecie, możecie zostać - oznajmiła - ale ja i Teddy przesiadamy się na łódź. Pan Fitzpayne twierdzi, że rzucający się w oczy zachodni jacht jest dla Japończyków bardziej łakomym celem niż zwykła malajska łódź, nawet piracka, i ja mu wierzę. - W końcu straciła cierpliwość. - Chyba nawet wy widzicie różnicę, prawda?

Mimo to zdziwiła się, kiedy dołączyli do niej Henry Court i Johnnie, Henry nadąsany, co i raz jej dogryzając, Johnnie dziwnie milczący. Unikał jej wzroku. Wiedziała, że doskonale zdaje sobie sprawę z ich wspólnej zdrady. Zdjął temblak, chodził ze sztywną ręką i poszarzały mu usta, jakby cierpienie wycisnęło z nich całą krew.

- Cieszę się, że się zdecydowałeś - powiedziała.

- Nigel nie wybaczyłby mi, gdybym puścił cię samą.

- Johnnie - przypomniała mu łagodnie - jego już tu nie ma.

Pochylił się, pocałował ją w czoło i usiadł na pokrywie luku tak gwałtownie, jakby ktoś podciął mu ścięgna w nogach. Przycupnęła obok niego, czując, że drewno parzy ją w uda.

- On wybaczyłby ci wszystko. Przecież wiesz, jak cię lubił, jaki był z ciebie dumny. Na fortepianie miał wasze

zdjęcie. Często brał je w ręce, uśmiechał się i mówił: „Ciekawe, co robi teraz nasz Johnnie?”. I wznosił za ciebie toast.

- Naprawdę?

- A kiedy do niego napisałeś, nosił list w kieszeni, dopóki atrament nie rozmazał się od potu.

- Nigdy mi o tym nie mówił.

- Dlatego wybaczyłby ci wszystko - powtórzyła. - Nawet to, że pocałowałeś jego żonę.

Zadrżała mu ręka i kiedy na nią spojrział, zobaczyła, że ma mokre od łez policzki.

- Pocałowałeś mnie wtedy tylko dlatego, że do niego należałam, prawda? - spytała ostrożnie. - Ja to rozumiem, rohnnie. Rozumiem, jak bardzo się kochaliście i... - Pogłaskała go po palcach. - I cieszę się, że byłeś, że się nim opiekowałeś.

Patrzył na nią zakłopotany i skrępowany.

- Naprawdę - dodała. - Kochałeś go bardziej niż ja.

Złotowłosy płakał przed *mem* Hadley. To bolało, piekło tak, jakby w serce ukąsiła ją osa. Jak to możliwe, że *mem* miała nad nim aż tak wielką władzę? Maya obserwowała ją uważnie, żeby odkryć ten sekret, ale widziała jedynie czułość. Czułość w tym, jak dotykała palcami jego ręki, jak na niego patrzyła, czułość w jej cichym melodyjnym głosie. Ta czułość kusila, wciągała ją do ich ciepłego kręgu, ale Maya odwróciła wzrok. Biała pani była intruzem, natrętem, mat-kobójczynią. Jakąż musiała mieć moc, że tak łatwo wchodziła do czyjegoś serca?

Maya potrząsnęła głową, gniewnie sycząc, jakby mogła tę moc poskromić, i wbiegła do rojącej się od karaluchów budki, by nastawić wodę w garnku na rachitycznej kuchence naftowej. Herbata. Białego mogła wyleczyć tylko herbata i Złotowłosy tego właśnie potrzebował.

Chłopiec, *tuan* Teddy, siedział na brudnej macie, bawiąc się z małą pirata, malutkim zwierzakiem o wielkich oczach w kolorze łąjna, zupełnie gołym, różowym pyszczku i ostrych zębach. Chodziła przepasana skórzanym paskiem i miała małe, srebrne bransoletki na łapach. Pies tuana przypatrywał się jej nerwowo. Maya była zdumiona, że *mem* Hadley zatrzymała psa po tym, jak doprowadził do śmierci jej męża. Ona rzuciłaby go rekinom na pożarcie, ale umysł białych był jak obcy kraj pełen pokrętnych ścieżek.

Umysł Japończyka też. Nie miała pojęcia, dlaczego pilot nie powiedział nikomu, że to przez nią wyrzucił psa za burtę. Naprawdę chciał, żeby *mem* aż tak go znienawidziła? Mimo to trochę się bała. Nie chciała, żeby nakarmili ją rekiny ani żeby wpakowali jej kulę w głowę, zamiast wpakować ją jemu. Była gotowa całować Stalwookiego w stopy, kiedy uparł się, żeby pilot został na „Białej Perle” do czasu, aż ją naprawią. Jeśli ten sukinsyn z Sumatry, ten ze złotymi zębami, ma choć trochę oleju we łbie, poderżnie mu to żółte gardło i dokończy to, co zaczęła *mem* Hadley -będzie jednego mniej do wykarmienia.

Dziwne było tylko to, że ten cwaniak o twarzy łasicy i jego gruba żona też zostali na jachcie zamiast popłynąć z nimi. Mem Hadley podziękowała mu, ucieszyła się, że ktoś będzie pilnował jachtu. Aj! Łasica chciała odgryźć jej palce, już się szykowała. Może Japończycy rozwalą go kulami, gdy tamci naprawią jacht.

- Jeszcze mleko.

Właśnie wlewała wrzątek do cynowego kubka. Rzuciła na wierzch trochę herbacianych liści i spojrzała na chłopca.

- Co?

- Trzeba dolać mleka - wyjaśnił grzecznie.

- Nie ma.

- A cukier?

Zajrzała do pudełka z zapasami.

- Też nie ma. - Pogrzebała głębiej i znalazła mały słoik. - Miód?

- Może być.

*Wlała do herbaty cztery łyżki i zamieszała.* Nie wyglądało to za ciekawie. Liście pływały po wodzie jak mrówki.

- To dla tuana Johnniego - powiedziała.

Chłopiec roześmiał się, podszedł do niej i włożył palec do słoika. A potem zaczął go oblizywać na zmianę z małą i psem.

- Szczęściarz z tego Johnniego - powiedział.

Wyspa wyglądała jak krab, tylko była zielona. I porośnięta dżunglą tak gęstą, że wyglądała jak twardy pancerz, którego nic nie przebije. Maya patrzyła z lękiem. Wyspa miała wysokie garby na środku i wypiętrzenia, które rozciągały się na boki jak kleszcze gotowe schwytać każdego intruza.

- Czym ona różni się od innych? - szepnął jej do ucha Razak. Miał smutny głos i wiedziała, że tęskni za tuanem Hadleyem.

Wzięła go za rękę.

- Nie wiem. Mam już dość nowych rzeczy. Codziennie nadlatują jak strzały i wszystko mnie od nich boli. Chcę usiąść w chacie na suchym lądzie, zjeść gulasz z papai i z nikim nie rozmawiać.

- Tylko ze Złotowłosym.

Maya zaczerwieniła się i łypnęła spode łba na wyspę. Maszerowała na nich armia czarnych chmur. Nadciągał deszcz.

- Siostro - szepnął Razak - on nie jest dla ciebie, tak jak *tuan* Hadley nie był dla mnie.

W oczach zapiekło ją od łez, w piersiach znowu zabrzęczały osy.

- Kto tak mówi? Brat objął ją i przytulił.

- Ja.

Ból w głowie trochę *zelżał*, bo wiedziała, że zawsze będzie się nią opiekował i osłaniał ją przed strzałami nowości. Ból w sercu był za silny, by o nim mówić, bo słowa mogły dać mu moc, jakiej potrzebował, by ją pożreć.

Wyspę otaczał zwarty mur drzew. Jej brzegów nie zdobiły białe plaże i wydawało się, że nie ma tam również żadnych zatoczek ani zapraszających strumieni, gdzie dzikie zwierzęta przychodziłyby w poszukiwaniu żółtych jaj. Kiedy Fitzpayne wprawnie prowadził łódź przez rozbijające się o mangrowce fale, ciemność przesuwiała się za pniami drzew jak coś żywego. Długi bukszpryt był odchylony na sterburtę, w takielunku świstał wiatr, pokład trząsał się i trzeszczał.

Powietrze stało się gęste i przytłaczająco ciężkie, więc deszcz przyniósł ulgę. Connie przemokła, ale nie miała nic przeciwko temu. Wypełniała ją niespokojna energia dorównująca energii deszczu, dlatego wolała stać na miotanym przez morskie prądy pokładzie, niż siedzieć w budce. Próbowwała wypatrzeć choćby zarys wyspy, ale ta ukryła się za kurtyną deszczu. Wszystko było szare i oślizgłe, wszystko z wyjątkiem błyskawic, które przecinały mrok niczym krwawe żyły.

Fitzpayne skręcił gwałtownie na sterburtę i przez chwilę była przekonana, że się roztrzaskają o mur szarych pni. Chwyciła się relingu i krzyknęła do Teddy'ego, który siedział w budce, gdy nagle ryk fal ustał. Powietrze zmieniło kolor: zrobiło się zielonkawe i lśniące, jakby znaleźli się pod wodą. Kompletnie zaskoczona, bo nie zauważyła żadnej luki w zwartej ścianie zieleni, zdała sobie sprawę, że Fitzpayne jak po sznurku skręcił w ukryty wąski przesmyk i że płyną teraz pod gęstym zielonym sklepieniem.

- Co to za wyspa?

- Ma wiele nazw w wielu językach. - Lustrował wzrokiem brzegi, gdzie poruszały się tylko krople deszczu. Wyczuła, że jest mu przyjemnie, jakby to miejsce coś dla niego znaczyło.

- A jak pan ją nazywa? - drążyła. Nie odpowiedział, więc dodała: - Domem?

Roześmiał się i usłyszała nutkę zadowolenia w *tym* śmiechu.

- Nazwa dobra jak każda inna.

Wszystko wyglądało inaczej, niż się spodziewała. Stała zdenerwowana na pomoście, patrzyła na kipiącą pod deskami wodę i miała ochotę paść na błotnistą ścieżkę, przywrzeć do ziemi i poprzysiąc sobie, że już nigdy, przenigdy nie postawi nogi na czymś, co się porusza.

- Spójrz do góry - powiedział Razak z oczami błyszczącymi z podniecenia.

- Nie!

- Tu jest naprawdę ładnie.

- Nie!

- Będziemy jak te małpy na drzewach.

- Nie chcę być małpą.

Tupnęła nogą w pomost, by przypomnieć mu, że urodziła się do życia na ładzie, ale on roześmiał się tylko zauroczony płataniną lin i kładek, które wisiały między drzewami jak pajęczyna.

- Chodź, Mayu. - Ktoś wziął ją za rękę. - Obejrzyjmy nasz nowy dom.

Deszcz przeszedł w ponurą mżawkę i *mem* Hadley łagodnie przeprowadziła Malajkę przez pomost. Maya z ulgą upadła na kolana i obiema rękami poklepała błoto jak starego, dobrego przyjaciela. *Mem* wcale się z niej nie śmiała, tylko stała bez ruchu, patrząc na dziwny, zielony świat, w którym się znalazły.



- Teddy'emu się tu spodoba - powiedziała z uśmiechem.

- Tak, *mem*.

- Razakowi chyba też.

- Tak, *mem*. Mężczyźni są głupi.

*Mem* Hadley roześmiała się cicho i w jej śmiechu było coś, czego Maya nigdy dotąd nie słyszała, czysta, melodyjna nuta, jak dźwięk dzwonu, który urwał się ze sznura. Jak to możliwe, żeby ktoś o tak smutnej twarzy miał tak radosny głos? Słyszając go, poczuła, że ucisk, który czuła na szyi, odkąd tuana Hadleya połknął rekin, odrobinę się zmniejszył. Przełknęła strach i tym razem nic jej nie zabolowało.

- *Mem*. - Rozejrzała się ostrożnie. - Chyba wdepnęliśmy w gównno.

„Chyba wdepnęliśmy w główwno”.

Dziewczyna była przerażona. Connie ją rozumiała. W zaułkach Paluru szybka i dzika Maya umiała unikać niebezpieczeństw, ale tu, w splątanym świecie dżungli, czuła się tak samo niepewnie i obco jak ona. Wyciągały się do nich długie gałęzie drzew i żarłoczne liście krzaków, wisiał nad nimi cuchnący oddech tropikalnego lasu.

Rozumiała, dlaczego Fitzpayne przywiózł ich na wyspę, która ukrywała twarz przed światem, ale gdy spojrzała za wąską rzekę, gdzie stało na kotwicy kilkanaście łodzi, poczuła niepokój. Wysokie sklepienie, które osłaniało ich od góry, było utkane nie tylko z gałęzi wysokich drzew pochylających się nad srebrzystą rzeką. Było utkane też z sieci. Sieci przerzuconych z drzew rosnących na jednym brzegu na te rosnące na drugim, dzięki czemu mogły oplatać je dzikie pnącza i liany, które wiły się tam i szczepiały ze sobą, tworząc gęstą zieloną matę. Miała wrażenie, że są w więzieniu.

Z brzegu rzeki nie widziała żadnych budynków, tylko

sieć linowych pomostów wysoko w koronach drzew, ale gdy idąc gęsiego za Fitzpayne'em, zagłębili się w las, wyczuła jakiś ruch, usłyszała czyjeś głosy. Kurczowo trzymała za rękę Teddy'ego, który niósł pod pachą Pippina. Ktoś obserwował ich z góry. Doszły ją czyjeś krzyki, zobaczyła ręce podniesione w geście powitania. Szli zielonymi tunelami, które zbiegły się nagle w nieoczekiwanej eksplozji światła, gdy otworzyła się przed nimi polana.

Connie podniosła wzrok i wytarła pot z czoła. Panującą tu wilgoć można było kroić nożem. Musiała siłą *wciągać* powietrze do płuc. Tu też było zielone światło, tu też były sieci i splątane liście nad głową, jednak widok otwartej przestrzeni przyniósł ulgę. Gęstwina drzew była wprost klaustrofobiczna, dusił ją zapach gnijącej roślinności.

- To... - Fitzpayne odwrócił się do nich, wskazując duży budynek na środku polany. - To jest psiarnia. - Patrzył na nich, oceniając ich reakcję, najdłużej zatrzymując wzrok na twarzy jej syna.

Psiarnia? Nigdy w życiu takiej nie widziała. Zerknęła w górę i zobaczyła jakiegoś mężczyznę, który ze strzelbą w ręku siedział na linowej kładce kilkanaście metrów nad ziemią. Lufa celowała prosto w nich.

- Możemy tam wejść? - Nie chciała, by Teddy zobaczył strzelbę.

- Tak, właśnie - poparł ją Johnnie.

- Proszę bardzo. Ale uprzedzam, że może się wam tam nie spodobać - ostrzegł Fitzpayne. Wzruszył ramionami i wszedł na schody pod rzeźbionym nadprożem w kształcie jaszczurki.

Budynek zbudowano z bambusa. Stał na palach, miał dach pokryty długimi, zwisającymi liśćmi, a każdy jego pionowy wspornik i belkę pokrywały kunsztowne płaskorzeźby zwierząt i owadów. W środku mocno pachniało dymem. Izba - była tam tylko jedna - miała około dwudziestu metrów długości i bez względu na to, co Connie

spodziewała się zobaczyć, w najmniejszym stopniu nie przypominało to tego, co zobaczyła.

Najpierw uderzył ją hałas. Wycie stada upiorów. Grupa złożona z ponad dwudziestu dzieci - w różnym wieku i wszystkich kolorów skóry - stała kręgiem, podskakując na bosaka na drewnianej podłodze i przeraźliwie krzycząc z podniecenia. W gęstym od kurzu powietrzu falował las zaciśniętych pięści.

Na środku kręgu, między ich czarnymi głowami Connie dostrzegła złotawobrazowy błysk, zobaczyła fragment lśniącego zielonego skrzydła. Dopiero teraz z odrazą zdała sobie sprawę, co to takiego: walka kogutów. Wysoki, chudy, półnagi chłopiec z bielmem na oku trzymał w ręku garść monet i uśmiechał się do nich szeroko. Przy oknie, opierając się o ścianę, stał jakiś mężczyzna: miał senne czarne oczy, tatuaż na policzku, a z jego ust zwisał papieros. Za pasem nosił nóż.

Connie się odwróciła. W twarzach Johnniego i Henry'ego też dostrzegła odrazę, więc we troje ruszyli szybko do drzwi, ale Teddy pociągnął ją za sobą w stronę kręgu.

- Nie, Teddy - powiedziała ostro.

- Banda dzikusów! - syknął Henry.

Fitzpayne roześmiał się pogardliwie i rzucił srebrną monetę chudemu chłopcu, który zwinnie chwycił ją w powietrzu.

- Na tego małego złocistego.

- Tak jest, panie Fitz. - Chłopiec odruchowo zagryzł monetę silnymi białymi zębami, sprawdzając jej wartość.

Któryś z kogutów żałośnie zapiał. Connie spojrzała na krąg i zobaczyła, że ptak ma na ostrogach długie metalowe kolce. Podłoga była zbryzgana krwią.

Pociągnęła Teddy'ego za sobą. Miała ochotę chwycić dzieci za kark, zderzyć je ze sobą głowami i natychmiast to przerwać, ale wiedziała, że nie ma tu żadnej władzy. Irytowało ją, że Fitzpayne zachęca ich do patrzenia.

Złocisty kogut, ten, na którego postawił, wydał przeszywający krzyk, bo jego pierś rozdarły kolce przeciwnika. Posypało się pierze. I to właśnie fruujące w gorącym, wilgotnym powietrzu pióra okazały się nieodpartą pokusą dla Pippina. Dzielnie zniósł krzyki i zapach krwi, ale pióra go złamały. Wyrwał się Teddy'emu, ciągnąc za sobą smycz, przebiegł zygzakiem przez las nagich nóg i chwycił za szyję jasnozielonego koguta. Jedno szybkie kłapnięcie i ptak zwiśł mu bezwładnie z pyska.

Z kręgu buchnął wściekły ryk. Dzieci rzuciły się na psa. Teddy rzucił się na dzieci, a za Teddym pobiegła Connie, żeby wydobyć go spod ciał napastników.

- Natychmiast przestańcie, dzikusy! - krzyknęła, ściągając z jego pleców jakiegoś małego urwisa.

Brnąc przez morze wijących się ciał, stuknęła o siebie kilkoma parami głów, chwyciła Pippina i podniosła go wysoko za obrożę. Pies zaczął krztusić się i kaszleć. Wtedy ten chudy, wysoki chłopak wyjął z kieszeni kamień i rzucił nim w Teddy'ego. Ale Teddy miał refleks. Pochylił głowę, kamień trafił Henryego w łokieć, a wtedy on zaatakował: zrobił krok do przodu i lewym hakiem trafił przeciwnika w szczękę. Chłopiec zawył z bólu.

- Dość tego! - ryknął Fitzpayne.

Wszedł w rozedrgany tłum, rozdzielając kopniaki i kuksańce, dopóki nie zapanował porządek.

- Winszuję - warknął. - Wspaniale przywitaliście naszych gości!

W kącikach jego ust Connie dostrzegła cień uśmiechu. Dlaczego mężczyźni tak bardzo lubili się bić? Johnnie też się uśmiechał, z aprobatą kiwając głową do Teddy'ego, który miał rozciętą wargę, porwaną koszulę i zaczerwienioną z wściekłości twarz.

- Trzymaj - powiedziała gniewnie, podając mu psa. - Następnym razem lepiej go pilnuj.

- Z psami tu nie wolno! - krzyknął jakiś chudzielec, trzymając się za bok.

- Słucham?

- To prawda - wtrącił Fitzpayne. - Na wyspie nie wolno trzymać psów. Za bardzo rzucają się w oczy i trudno nad nimi zapanować.

Connie osłupiała.

- I nie uprzedził pan nas? Fitzpayne spojrzał na jej syna.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść Pippina na śniadanie.

Teddy nie zaprotestował, nie nachmurzył nawet czoła. Ku jej zdumieniu podszedł do niego i wybuchnął śmiechem, wesołym śmiechem, którego tak dawno nie słyszała.

- Jeśli mu każe - odparł - Pippin zje na śniadanie tego chłopaka!

- W takim razie trzymaj go na krótkiej smyczy - mruknął Fitzpayne i potargał jego już i tak rozczochrane włosy. W końcu się uśmiechnął. - Chodźcie - rozkazał.

Było wysoko i bardzo się jej to podobało. Z góry mogła patrzeć na świat z innej perspektywy. Na ziemi wszystko, wydawało się takie małe. Tu, w koronach drzew, czuła morską bryzę na policzkach i słyszała śpiew ptaków. Na morzu była jedynie małą drobinką zagubioną w błękitnym bezkresie, ale tu czuła się wysoka i wszystkowidząca. Dziwnie potężna.

Nigel na pewno by się krzywił. Gdyby utkwiał w bambusowej chatce zawieszanej nad ziemią, której dachem targa sztormowy wiatr, gdyby na poziomie swoich oczu zobaczył małą jedzącą owoc papai, nie byłby chyba zadowolony. Zrobiła miotłę do zamiatania z ostro zakończonych gałązek i powoli przywykała do obecności pajaków, krocionogów, jaszczurek i żab, a nawet zwinnych węży, na których widok wciąż wzywała na pomoc Teddy'ego.

Wciągnięcie na górę Mai okazało się sporym proble-

mem. Dziewczyna szlochała, błagała, przysięgała, że pójdzie spać do psiarni, ale nie. To była kolejna zasada. „Nikt nie śpi na ziemi”.

- Ale dlaczego? - spytała Connie.

Fitzpayne potrząsnął mokrą głową, rozbryzgując wodę jak pies.

- Bo jeśli ktoś nieproszony zakradnie się tu nocą, kolonia musi wyglądać na opuszczoną. Za dnia strzegą jej strażnicy i obserwatorzy, ale w nocy trudno jest kogoś wypatrzeć.

Z chatki w koronie drzewa zwisała długa drabinka linowa. Maya oświadczyła, że prędzej umrze.

Fitzpayne uśmiechnął się do Connie i wskazał torbę na jej ramieniu.

- Ma pani jakąś apaszkę?

Connie pogrzebała w torbie i wyjęła jedwabną bluzkę. Fitzpayne wziął ją i cieniutki materiał przelał mu się przez palce. Był to gest tak dziwnie intymny, jakby zamiast bluzki dotykał jej. Potem zawiązał Mai oczy. Zarzucił sobie nieszczęsną dziewczynę na ramię i nie zważając na jej dziko wierzgające nogi, szybko wspiął się po drabince. Connie przypomniało się, jak niósł pod pachą Teddyego po tym, jak znaleźli go w dżungli i jak wciągnął Mayę na pokład „Białej Perły” w Palurze. Roześmiała się cicho, zastanawiając się, jak to jest, kiedy mężczyzna traktuje kobietę tak bezpardonowo. Nigel nigdy się tak daleko nie posunął, ani razu. Nigela jednak już nie było.

- Twoja kolej, Teddy - zawołała.

Ze zdenerwowanym Pippinem, owiniętym kurczowo wokół szyi, syn wdrapał się na górę ze zwinnością gekona, a za nim Connie, pamiętając, by przedtem dla przyzwoitości - podwinąć spódnicę. Za nią wspinał się zasapany Henry, za Henrym Johnnie, trochę niezdarnie, bo miał niesprawną rękę. Ich podniebny pochód zamykał Razak. Drabinka zakołysała się niepokojąco, gdy postawiła nogę na szczeblu.

- Wszystko w porządku? - spytał Fitzpayne.
  - Tak.
  - Przywykniecie.
  - Jak długo zamierza pan nas tu trzymać? Złagodniały mu usta.
  - Jak długo będzie pani sobie tego życzyła, pani Had-ley. - Postawił skamlącą Mayę na kładce i szybko poprowadził ją przez zielony labirynt. Z trudem za nim nadążali.
  - Nich go szlag - mruknął Henry. - On świetnie się bawi.
  - Długo tu nie będziemy - zapewnił go Johnnie. Przez gałęzie i sieci spojrzął w niebo. Było tak, jakby patrzył przez dno zielonej butelki. Nie, samoloty jeszcze nie nadlatywały. Jeszcze nie.
- Connie słyszała niepokój w jego głosie i mogła się tylko domyślać, jak bardzo chce wrócić do swego dywizjonu, jak tęskni. Nigdy o tym nie wspominał i unikał odpowiedzi, ilekroć podnosiła ten temat, ale widziała wyraz jego oczu, gdy patrzył w niebo. Przynajmniej miał cel w życiu, miał przyszłość. Miał więcej niż ona.

## ROZDZIAŁ 30

- *Mem*. - Maya przyglądała się nieufnie milczącej kobiecej postaci.

Znajdowały się w chacie. Nienawidziła tej chaty. Życie na drzewie było czymś nienaturalnym i mogła wejść tu po tej głupiej drabinie tylko wtedy, kiedy Razak niósł ją na plecach. Mocno zamykała oczy i wyobrażała sobie, że to Złotowłosey Johnnie niesie ją na barana. Zdziwiła się, kiedy Stalwooki kazał jej zamieszkać z *mem* Hadley i jej synem. *Mem* nie zaprotestowała, ale ona była zakłopotana.

Łypnęła spode łba na Stalwookiego.

- Tak jest niedobrze-powiedziała.-Tak jest źle.

- Mayu, choć raz zrób to, co ci każą - odparł.

I ścieżką ze sznurów, rozgarniając nisko zwisające gałęzie, poprowadził Złotowłosego i grubego tuana do chaty na innym drzewie, niecierpliwiąc się, że idą tak wolno. Chata *mem* była malutka, z trudem mogli się w niej położyć na trzech ratanowych matach na podłodze. Trzy maty, to wszystko. Dziura na okno była zasłonięta skośnymi bambusowymi deszczułkami na sznurkach, tak samo jak dziura na drzwi. Maya poszukała w twarzy *mem* oznak dezaprobaty, ale ich nie znalazła.

- Niesamowite, prawda? - *Mem* spojrzała na syna, który wciąż ścisnął kurczowo psa, jakby bał się, że ci z dołu przyjdą tu i go zjedzą.

- Tak! - zgodził się z nią *chłopiec ochoczo*. - Mieszkamy na drzewie!



*Mem* roześmiała się, ale wyglądała tak, jakby coś ją bardzo bolało. Wzięła psa i postawiła go na podłodze. Zwierzę kłapnęło zębami na przelatującego motyla i w mroku błysnęły jego oczy.

- Teraz musicie dobrze się sprawować.

Maya myślała, że *mem* mówi do niej, i posłusznie kiwnęła głową, ale nie, po chwili zdała sobie sprawę, że chodziło jej o syna i psa. Potem *mem* pochyliła się i pocałowała chłopca w mokre włosy, i czule pogłaskała Pippina. Maya zastanawiała się, czy gdyby siedziała bliżej, *mem* pogłaskałaby i ją. Od śmierci tuana Hadleya czuła się z nią dziwnie związana. Czasem, kiedy w drzewach gwizdał wiatr, słyszała nawet złowieszczy rechot matki. Sai-Ru Jumat była podła nie tylko za życia, ale i po śmierci.

Usiadła ciężko w kącie, żałując, że Razak jest tak daleko. Wiedziała, że pewnie gania teraz po drabinach i zwiedza okolicę, podczas gdy ona utknęła na drzewie z *mem* Hadley. Jakby jej życie splotło się z życiem *mem* tak mocno jak sznury w drabinie.

Nadleciały samoloty, całe stado samolotów buczących jak szerszenie. Leciały nisko, siekąc kulami nieszczęsne łodzie, które dały się przyłapać na otwartym morzu. Maya zatkała uszy, zgięła się wpół i przycisnęła czoło do kolan.

- Teddy - powiedziała spokojnie *mem*. - Nie możesz tu używać lornetki. Nigdy.

*Tuan* Teddy nosił ją na szyi i czasem głaskał futerał, jakby był częścią jego ojca.

- Ale dlaczego?

- Bo błysk soczewek może zdradzić naszą pozycję japońskim samolotom.

- No tak. Nie pomyślałem o tym. - Spojrzał ze smutkiem na lornetkę.

Maya miała ochotę wyrwać mu ją i wyrzucić z chaty. Niedobra lornetka. *Mem* za bardzo mu ufała.

- Jak się miewacie?

W brzuchu Mai zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Szybko podniosła głowę i uśmiechnęła się do stojącego w drzwiach mężczyzny. Johnnie - w zielonkawym świetle jego złociste włosy miały kolor morskich wodorostów.

- Bardzo dobrze, dziękujemy - odrzekła *mem* Hadley.

- Słyszeliście te karabiny?

- Koszmar. Gdyby Firzpayne nas tu nie przywiózł, moglibyśmy tam teraz być.

Nad ich głowami buczały ciężkie bombowce.

- Dużo ich dzisiaj - zauważyła *mem*.

- Boję się, że Singapur tego nie wytrzyma.

- Firzpayne mówi, że nasze cofające się wojska wysadzają mosty, żeby spowolnić Japończyków w Johor.

Złotowłosy pokręcił głową.

- To ich nie zatrzyma.

- Nic ich nie zatrzyma.

- Nie mamy czołgów, mamy za mało samolotów. Co ten Percival sobie myślał? Bardzo nas zawiódł. Wszystko straciliśmy.

Maya słuchała, nie rozumiejąc, dlaczego są tacy spokojni. Na Anglików miejscu krzyczałyby i płakała, i poderżnęłyby gardło wszystkim Japończykom na ziemi.

- A ty, Mayu? - Złotowłosy był tak wysoki, że musiał pochylić głowę, żeby wejść do chaty. - Dobrze ci w tym podniebnym bastionie?

Uśmiechnął się, więc odpowiedziała mu uśmiechem.

- Co to jest bastion?

- Twierdza tak wysoka, że orły wiją na niej gniazda.

- Ha! Ja nie jestem ani orłem, ani małpą. Jestem jak szczur, lubię chodzić po ziemi. - Zmarszczyła nos, a on się roześmiał.

- Idę na dół. Chcesz, żebym pomógł ci zejść?

- Nie jestem głupia, zostanę. Nie lubię drabin. - Zerknęła na *mem* Hadley, która patrzyła w okno. Myślami była zupełnie gdzie indziej. Rękę miała opartą o parapet i duży nakrapiany pajak powoli obchodził jej dłoń, pewnie zaciekawiony kolorem jej skóry. - Popilnuję *mem* - dodała cicho.

Złotowłosey spojrział na *mem* Hadley.

- Dziękuję, Mayu - powiedział. - Pani Hadley potrzebuje teraz opieki, chociaż nie chce się do tego przyznać. Chodź, Teddy - rzucił wesoło. - Zobaczmy, co nas tu czeka.

- Mogę, mamusiu?

- Pod warunkiem że z nikim nie będziesz się bił. Obiecujesz?

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

- Obiecuję.

Zniknęli i w chacie znowu zrobiło się ciemno i ponuro. Przez długi czas kobiety milczały. Przez szparę w suficie przecisnęła się smuga zielonego światła. Sunęła powoli w stronę jej bosych stóp, więc szybko je zabrała. Smuga dotknęła nagiego ramienia *mem* Hadley i *mem* zadrżała.

- *Mem* - powiedziała Maya, kiedy myśli zaczęły jej ciążyć. - Przykro mi, że *mem* smutna.

Niebieskie oczy spojrzały na nią z zaskoczeniem.

- Dziękuję, Mayu. - *Mem* przeczesła ręką włosy, jakby chciała zmącić wspomnienia, które pozostawiły tak głębokie cienie na jej twarzy. - Podczas wojny wielu ludzi ogarnia smutek.

- Rekin nie wie, że jest wojna. *Mem* roześmiała się.

- To prawda. Ale gdyby nie wojna, mojego męża nie byłoby na jachcie... - Zrobiła pauzę i zdjęła świerszcza ze spódnicy. - W życiu zawsze są jakieś „gdyby”, Mayu. Gdyby nie wojna, gdybyśmy zostali w Palurze, gdybym nie uratowała tego pilota, gdybym... - Urwała i klepnęła się w kolano.

Maya nie wiedziała, czy po to, żeby strzepnąć jakiegoś owada, czy po to, by odpędzić myśli. Mem przez chwilę milczała i Maya czuła, że w powietrzu coś wisi.

- Mayu - spytała nagle *mem* - czego byś chciała, gdybyś mogła wybierać?

- Wzięłabym miskę ryżu i kurczaka w sosie z orzeszków ziemnych.

- Nie - powiedziała z uśmiechem *mem* - chodziło mi o przyszłość, gdyby... gdyby udało ci się wyjść z tego cało.

- To łatwe. Poprosiłabym o dużo jedzenia. I rower.

- Rower?

- Żeby nie musiała cały czas chodzić piechotą.

- I gdzie byś nim jeździła?

- Wszędzie.

Niebieskie oczy przyglądały się jej z powagą.

- Nie masz zbyt wielkich marzeń, prawda? Nie poprosiłabyś o nic więcej?

*Mem* patrzyła zbyt przenikliwie. Maya spuściła wzrok. *Zdrapała* kawałek zaschniętego błota z kostki, ale nie mogła zdrapać słów, które *cisnęły się na język*.

- Chciałabym być ładna. Mieć złote włosy i białą skórę, tak jak *mem*. Poprosiłabym, ale nikt by mnie nie wysłuchał.

- Och, Mayu...

Na wiszącej między drzewami kładce ktoś krzyknął. Popatrzyły w tamtą stronę i spotkały się wzrokiem.

- Przecież ty jesteś ładna. Twoja skóra jest...

- Ciemna. I wstrętna.

- Nie, jest jak aksamit. Jest piękna. Co ważniejsze, jesteś bystra i szybko się uczysz. Powinnaś być z siebie dumna.

- Dlaczego *tuan* Blake jest taki smutny?

*Mem* zamrugała zaskoczona tak szybką zmianą tematu, ale dla *Mai* to był ten sam temat.

- Bo nie może latać. I dlatego, że przyjaźnił się z moim mężem na długo przed tym, jak ich poznałam. Chodzili razem do szkoły i Johnnie bardzo za nim tęskni.

- Razak też.

Twarz *mem* Hadley zatrzasnęła się jak wieko skrzyni. *Mem* nie lubiła Razaka. I nagle znowu wyjęła z torby jedwabną bluzkę.

- Pora stawić czoło naszym strachom. Ty zawiążesz sobie oczy, a ja... poszukam twojego brata.

Szła wąską ścieżką, mlaszcząc nogami w błocie. Fitz-payne przywiózł ich do miejsca ciemnego i tajemniczego. Strome brzegi wyspy porastała gęsta dżungla, która górowała również nad wąskim wąwozem wyrzeźbionym przez rzekę. Bezustanne nawoływania ptaków, krzyk małp i grzmiące dudnienie ryczących żab przytłaczało ją. Poczuli się nagle jak w potrzasku, mimo że przez cały czas słyszała za sobą chlupot stóp Mai.

Ludzie to się pokazywali, to znikali. Niektórzy byli na ziemi, ale większość stała wysoko na kładkach albo wychylała się przez okna chat, paląc papierosy i obserwując otoczenie. Nikt do niej nie podszedł, nikt nie zagadał. Ostrzeżono ich?

Nie zauważyła ani jednej kobiety.

Zajrzała do psiarni, ale dzieci już tam nie było. Zamiast nich na podłodze siedziało w kręgu siedmiu Chińczyków, pracownicy naprawiając rybackie sieci. Na jej widok błyskawicznie poruszające się palce jednego z nich znieruchomiały. Wszyscy byli w podartych tunikach i luźnych spodniach, wszyscy patrzyli na nią czujnymi czarnymi oczami. Wymienili ze sobą kilka słów po chińsku i pokiwali głowami. Zdenerwowana Maya przystanęła w progu i cichutko zapiszczała.

Connie podeszła do nich z przyjaznym uśmiechem.

- Szukam młodego Malaja, który ze mną przyplynał. Ma na imię Razak. Wiecie, gdzie...

- Pani... - przerwał jej najstarszy Chińczyk. Skóra na jego twarzy była pomarszczona, ale oczy miał bystre. -Wieczorem wypływamy. Do Cejlonu. Płyniesz z nami?

- Słucham?

- Płyn z nami, pani. - Rozciągnął usta w uśmiechu. -Uratujemy cię. Jego sąsiad coś wymamrotał.

- I tę dziewczynę - dodał starzec, zerkając na Mayę. W powietrzu unosił się kurz i smród ryb. Connie zrobiła krok do tyłu.

- Nie, dziękuję.

- Zapłacimy. - Szybkim ruchem ręki Chińczyk podniósł leżącą obok pelerynę, pokazując jej srebrną szkatułkę. - Dobrze zapłacimy.

Był tak grzeczny, że nie mogła uwierzyć, iż chce ją kupić.

- Nie. - Cofnęła się w stronę drzwi. Chińczyk zagryzł wargę i przykrył szkatułkę.

- Razak jest z Fitzem. Kopiają dół, mają dużo pracy. -Machnął ręką. - Tam.

- Dziękuję. - Connie skłoniła się grzecznie i szybko odeszła, żeby Mai nie przyszło do głowy powiedzieć „tak”.

Stali w głębokim dole.

Nad ziemią widać było głowę i nagie ramiona Fitzpay-ne'a, reszta ciała ginęła w jamie o powierzchni ponad pół metra kwadratowego. Jego włosy były oproszone ziemią i wiórami, skóra lśniła od potu. Właśnie wziął zamach kilofem, gdy zobaczył ją na ścieżce, i kilof znieruchomiał w powietrzu. Czują, że spódnica przywiera jej do nóg i znowu przeklęła ten cholerny klimat. Obok Fitzpayne'a stał Razak.

- Widzę, że jest pan... - Chciała powiedzieć „zajęty”. Mogłaby również dodać, „że pracuje pan jak tubylcy”.

Ale wtedy zobaczyła, co jest na dnie dołu. Sterczały tam złowieszczo rzędy skierowanych do góry, ostro zakończonych żerdzi, które jak śmiertelnie niebezpieczne włócznie czekały tam na niczego nieświadomych przechodniów. Krew w jej żyłach, sekundę przedtem tak gorąca, momentalnie zmieniła się w lód, język przymarzył do podniebienia.

Fitzpayne rzucił kilof i bez trudu wyskoczył z dołu. Poczula zapach potu, drewna i ziemi na jego palcach. Przez chwilę myślała, że jej dotknie, ale w ostatniej chwili opuścił rękę.

- Wszystko w porządku? - spytał z z troskaniem.

- Tak, jak najbardziej. Szybko szłam, to z gorąca. - Mocniej naciągnęła kapelusz, żeby nie zobaczył jej oczu.

Wtedy cofnął się i przez jedną koszmarną sekundę myślała, że wpadnie do dołu.

- Fitzpayne!

Ale on chciał tylko pomóc Razakowi, tylko podał mu rękę. Razak też był półnagi i znowu uderzyło ją piękno jego ciała. Nigel, mój biedaku, to musiało być dla ciebie nie do zniesienia.

- Co tu robicie? - spytała. Jakby nie było to oczywiste. Fitzpayne wzruszył ramionami. Jego mięśnie drgnęły pod wilgotną skórą.

- Szykujemy dół. Nie spytała po co.

- Zadzomowiła się pani? - Zmienił temat. Niezbyt subtelnie.

- Tak - odparła ze śmiechem. - Wyjęcie książki, szczotki do włosów i ubrania na zmianę nie zajęło mi dużo czasu. Aha, mam jeszcze igłę i nici. Chcę przerobić spodnicę na spodnie.

Zerknął na jej nogi i zatrzymał na nich wzrok.

- Mogę poszukać jakichś spodni... jeśli pani chce. Był skrepowany. To ją zaskoczyło.

- Chyba nie będę tędy chodziła. - Znowu spojrzała na dół.

- Tu jest ich pełno - ostrzegł.

Wyobraziła sobie, jak ostre żerdzie przeszywają pierś Teddy'ego, i zadrżała.

- Gdzie? - spytała. ;

- Spokojnie, nic wam nie grozi. Są przykryte.

Znowu miała wrażenie, że chce jej dotknąć, przekazać część swojej siły, otrzeć się o nią, tak jak kot ociera się o nogi właściciela, zostawiając na nich swój zapach.

- Chciałabym porozmawiać z Razakiem. Zwolni go pan na chwilę?

- Oczywiście. - Wskoczył do dołu i podniósł kilof. -Razak, zajmij się panią.

Z dżungli wyszło dwóch mężczyzn z pękami żerdzi na ramieniu. Jeden był Hindusem o gęstych kręconych włosach i Fitzpayne przedstawił go jako Suppa. Supp gapił się bezczelnie na nią i na Mayę, dopóki Fitzpayne nie dźgnął go w stopę ostrzem kilofa. Wtedy głośno zaklął.

- Nie zwracajcie na niego uwagi. Jest niewychowany.

- Zauważyłam - powiedziała - że nie ma tu kobiet.

- Kilka jest - odparł wciąż z uśmiechem. - Ale tak, brakuje tu takich jak pani.

Nie była pewna, co miał na myśli.

- Razak.

- Tak, *mem*.

- Chcę cię o coś spytać.

- Tak, *mem*.

Nie rozmawiała z nim od śmierci Nigela. Nie pozwalał jej na to gniew, ale teraz wyczuła w chłopaku smutek, który bił z niego jak zapach zjełczanego potu.

- Czy kazałeś temu Japończykowi wyrzucić za burtę psa?



Razak wytrzeszczył oczy.

- Nie, *mem*, nie. Ja... nie, ja... - Przełknął łzy. - Nie -powtórzył z mocą.  
- Nie. Dlaczego miałbym...

- Żeby zrobić mi krzywdę. Żeby zrobić krzywdę mojemu synowi.

- Nie. Nigdy bym *mem* nie skrzywdził. *Mem* należy do tuana Hadleya.

Uwierzyła mu. Nagle zobaczyła przed sobą nie złośliwą rękę jego zmarłej matki, tylko młodego smutnego chłopca, którego oszołomiła władza, bogactwo i względy jej męża. Tak jak ją przed laty oszołomiły jego egzotyczne obietnice.

- Przykro mi - powiedziała cicho.

Razak spuścił głowę i po jego policzku spłynęła łza błyszcząca zielonkawo w tym dziwnym podwodnym świetle.

- Mnie też, *mem*.

## R O Z D Z I A Ł 3 1

Madoc cieszył się, że ma „Białą Perłę” tylko dla siebie. Kitty zeszła na ląd rozprostować nogi i żeby od niego uciec. Była w pięknych butach do jazdy konnej Nigela Had-leya i z rozkoszą rozdeptywała pijawki, które spod gnijących liści wystawiały małe ohydne łebki. Ścierwa. Aż się tu od nich roiło.

- Jeśli nie zaczniesz rozsądnie gadać - warknęła - tobie też rozdepczę łeb. - A potem sobie poszła.

Pokłócili się. Nie znosił się z nią klócić. Zawsze ścisnęło go wtedy w brzuchu, *zawsze narastała tam* wtedy twarda gęstwa, która wypychała do góry całą żółć. Kiedy się klócili, twarz Kitty gwałtownie się starzała, drobniutkie jak pajęczyna zmarszczki pogłębiały się, a usta robiły się cienkie -nie mógł tego znieść. Ale najgorsza była uraza w oczach żony i strach, że kipi ona gniewem.

- Chodź do mnie - powiedział.

Próbował ją przytulić, ale spojrzała na niego tak, że od razu wiedział, iż lepiej sobie odpuścić, chyba że chce, by przyłożyła mu kolanem tam, gdzie najbardziej boli. Szybka była z tym kolanem. Dzięki temu trzymała na dystans klientów ich leśnego baru, którzy próbowali pomacać ją po obfitym zadku. Pokłócili się o czas. Czas był teraz najważniejszy.

Zapalił papierosa, wychylił się za rufę i zobaczył wydrę morską, która wystawiła na sekundę łeb z wody i zniknęła. Jacht był dobrze ukryty w ujściu wąskiej błotnistej rzeki;

cumował przy samym brzegu, pod koronami palm areka. Na drugim brzegu znajdowała się piaszczysta łąka, gdzie jego trzech towarzysze kopali właśnie przynętę.

Musiał przyznać, że ci piraci znają te wyspy jak własną kieszeń, tak jak on znał kiedyś Londyn, wszystkie jego uliczki i sekretne zakamarki.

Splunął do wody. Do diabła z nimi. Kiedy ich ścieżki, jego i Fitzpayne'a, przecięły się w Szanghaju, on wyszedł gorzej na kłótni o transport rosyjskich dziewczyn do burdeli na Filipinach. Musiał wyjechać, i to szybko. Dlatego tym razem był ostrożniejszy. Zaczął grać w karty z Faridem, piratem z Batawii, tym z wielbłądzim nosem i umysłem prostaka. Po troszku, po troszeczkę wyciągał od niego skrawki użytecznych informacji. Następnym razem zamierzał postawić swoją obrączkę ślubną, ale nie powiedział o tym Kitty. Postanowił być cierpliwy. To dziwne, ale to właśnie ona napierała, żeby przejąć jacht i wziąć nogi za pas, jak tylko tamci skończą latać kadłub.

- Nie, Kitty - powiedział. - Najpierw niech go dobrze naprawią na tej pieprzonej wyspie, dopiero potem...

- Potem będzie ich za dużo. I nie damy rady go wykraść. Czy ty tego nie rozumiesz, ptasi mózdzku?

Westchnął.

- Nie. Kiedy go naprawią, natychmiast damy nogę na wschód, do Australii, albo na zachód, na Cejlon czy do Indii, gdzie zechcesz. To dla nas nowy świat, nowe życie, będziemy mogli...

Chłasnęła go z obrotu otwartą dłonią.

- Nie przeginaj, Madoc. Tym trzem damy radę, mamy duże szanse, chociaż ich szef, ten Nurul, obserwuje cię jak jastrząb. Nawet teraz: kopie robaki, ale jednym okiem gapi się na ciebie i daje głowę, że spyta, o co nam poszło. Założę się, że gdy tylko odwrócę się do ciebie plecami, przyleci tu, postawi ci piwo i spróbuje pociągnąć cię za język. Dobrze się zastanów, zanim otworzysz gębę.

No i teraz lustrował wzrokiem skraj puszczy, nadślu-

chując szelestu gałęzi i wypatrując jej białej bawełnianej bluzki, lecz połknęła ją *zwarta* ściana lasu. Niepokoiły go węże i jadowite pająki, ale gdyby zabronił jej iść, przyłapałyby mu znacznie mocniej. Spojrzał na butelkę piwa w rękę. Niech to szlag, miała rację co do Nurula. Mimo to uśmiechnął się do siebie, wyjął kolejnego papierosa - dunhilla z zapasów Hadleya - i odpalił go od tego, którego właśnie skończył. Było coś, czego nie zamierzał mówić żonie. Po kilku piwach pirat ze złotymi zębami wyznał mu, że ma słabość do blondynek, zwłaszcza do jednej: do tej, która dała mu zegarek cartiera...

Uważaj, Fiizpayne, inaczej ktoś wbije ci malajski kris tak głęboko w plecy, że zjesz własne serce.

- Panie Firzpayne, chciałabym, żeby oprowadził mnie pan po tej swojej wyspie... jeśli ma pan czas.

- Zastanawiałem się, kiedy mnie pani o to poprosi. Fitzpayne skończył ostrzyć czubek drewnianej żerdzi

i rzucił ją na stos innych. Mężczyźni, którzy z nim pracowali, na jej widok wtopili się w las, zerkając na nią nieufnie i podejrzliwie.

- Nie podoba im się, że tu jestem - *zauważyła*.

- To oczywiste.

- Dlaczego?

- Bo jest pani cudzoziemką, a cudzoziemiec to wróg.

- Przecież pan też jest cudzoziemcem.

Kiwnął głową i podniósł z ziemi koszulę. Brzuch miał płaski, twardy i mocno umięśniony.

- Tu, w Azji Wschodniej, wszyscy jesteśmy cudzoziemcami, dlatego musimy dać im powód, by nas polubili. Powód, by nam zaufali.

Włożył koszulę i Connie zauważyła krew na jej rękawie. W tej samej chwili usłyszeli ryk silników samoloto-

wych i bez słowa, nawet nie spojrzawszy w górę, chwycił ją za rękę i pociągnął w głąb dżungli. - W strachu nie ma nic złego - powiedział łagodnie. - Jest wojna. Wszyscy się boją.

Stała oparta plecami o pień drzewa, na którym roiło się od mrówek. Trzęsła się jej ręka.

- Gdzie Teddy? - spytała szeptem.

- Nic mu nie grozi.

- Ale gdzie jest?

- Pokażę pani.

Poczuła się jak w piekle. Dym, gorąco, ogłuszający hałas, od którego drżały płuca, zapach rozgrzanego metalu -wszystko to zaatakowało ją, gdy tylko weszli do ogromnej podziemnej komory.

- To jest nasz warsztat - oznajmił Fitzpayne. Powiedział to z nutą arogancji w głosie. Przyjrzała się

jego twarzy w migotliwym świetle lamp naftowych i dostrzegła w niej wyraz dumy. Komora należała do wszystkich, ale nie miała wątpliwości, że była jego dziełem. Przypominała długą jaskinię o łukowatym sklepieniu i ścianach z ziemi. Pod jedną stały trzy kowalskie piece, przy których mężczyźni o błyszczących od potu plecach pochylali się nad miechami, z rozrywającym uszy hukiem kując rozgrzany do białości metal. Cienie płomieni pełzały po ścianie jak udręczone duchy.

- Nie zdradzi was dym? - spytała.

- Nie. Odprowadzamy go do bocznej komory i wypuszczamy tylko nocą. Wtedy rozpalamy też ogień, żeby coś ugotować. W psiarni, tylko po zmroku.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała, przekrzykując huk młotów. - Nic dziwnego, że chce pan przyprowadzić hr „Białą Perłę”.

- Chodźmy.

Znowu wziął ją za rękę i poprowadził w stronę ciężkich drewnianych drzwi w bocznej ścianie. Otworzył je i znaleźli się w sąsiedniej komorze, nieco węższej niż tamta, ale równie długiej i pełnej poukładanych w stosy desek. Fitzpayne mocno zamknął drzwi, by nie wpuścić dymu, a kilka szarych smużek, które zdążyły wślizgnąć się wraz z nimi, nie zabiło unoszącego się tu cudownego zapachu świeżo ściętego drewna. Kilku mężczyzn szlifowało dwa leżące na kozłach maszty. Kilka kroków dalej zęby pił wgrzyzały się w wysuszone już drewno i Connie zobaczyła sterczące wręgi łodzi wiosłowej przymocowane do stępki metalowymi kłami.

- Tu robimy części do pani jachtu. Zawieziemy je Nurulowi, Nurul podszkuje go i przyprowadzi tu na właściwy remont. - Zmarszczył czoło. - Niech się pani nie martwi! Już niedługo...

- To już nie jest mój jacht. Więź pękła.

Fitzpayne wyprostował się, jakby przerzucał niewygodny ciężar z ramienia na ramię.

- Może jeszcze powróci. Kiedy to wszystko się skończy.

- Wtedy będziemy już inni. Kiwnął głową, krótko i szybko.

- Niech pani spojrzy na syna.

- Na kogo?

Poszła za jego wzrokiem. Między pracującymi mężczyznami jak pszczoły uwijało się czterech młodych chłopców, każdy z miotłą w ręku. Głowy obwiązali szmatami, by ochronić się przed pyłem. Byli tylko w uciętych na wysokości kolan spodniach i sandałach ze sznurka. Trzech miało brązową skórę, ale jeden, ten odwrócony tyłem do niej, miał białą.

- Teddy? - powiedziała cicho Connie.

Syn zamiatał wióry i upychał je w jutowym worku. Był bardzo ożywiony i widziała, że świetnie się bawi, nurzając się w brudzie. Z ratanowego koszyka na jego piersi wy-

stawała czarna głowa Pippina, który *zlizywał słony* pot ze skóry swojego pana.

- Boże święty! - Connie spojrzała na Fitzpayne'a. - Jak to się stało?

- Chłopcy muszą zapracować na kolację - odparł z uśmiechem.

- Nawet tacy młodzi?

- Im wcześniej zaczną, tym lepiej. - Zerknął na szczupłego, wysokiego chłopca, który bił się z Teddym w psiarni, a teraz obcęgami wyrywał gwoździe ze starych desek. - Inaczej by go nie zaakceptowali.

Zalała ją fala wdzięczności. Wyglądało na to, że Fitz-payne zna się na wychowaniu dzieci lepiej niż ona.

- A Johnnie i Henry? - spytała. - Pracują na kolację, kopiąc doły?

Roześmiał się z ulgą. Zdała sobie sprawę, że bał się, iż natychmiast zabierze stąd syna. Tak mało ją znał?

- Aż tak to nie, ale blisko. Są w psiarni, obdzierają pnącza z włókien na sznury. Blake ma chorą rękę, ale dobrze sobie radzi. .

- A Maya?

- Ta dzika kotka spojrzała na skrzynkę ryb, które miała wypatroszyć, i zniknęła.

Connie kiwnęła głową.

- Cała Maya. A ja? Jak ja mam zapracować na kolację?

Fitzpayne założył ręce, uniósł krzaczastą brew i spojrzał na nią, na twarzy błyszczał mu czarny zarost. Wzruszył ramionami.

- Podobno umie pani szyć.

- Niech pana diabli wezmą, stać mnie na więcej.

- To znaczy?

- Mogłabym robić coś bardziej pożytecznego.

- Umie pani gotować?

- Nie.

- Umie pani naprawiać sieci?

-Nie.

Wziął ją za łokieć i krótkim ciemnym tunelem wyprowadził na świeże powietrze. Lało jak z cebra. W niecałe pięć sekund przemokli do nitki.

- Będzie pani szyła - oświadczył. - Każę im przynieść ubrania i co tam jeszcze mają.

- A inne kobiety?

Uśmiechnął się powoli i bez rozbawienia.

- Gotują. Ale nie ma tu miodowłosych piękności o szyi koloru pereł i nogach długich jak nogi lemura.

Zniknął w lesie, zostawił ją na deszczu, a ona stała tam, zastanawiając się, czym, na Boga, znowu go zirytowała.

Na wyspie obowiązywały Zasady, takie przez wielkie „Z”. Każde ich naruszenie karano śmiercią przez powieszenie. Bez sporów i dyskusji. Bez sędziego i przysięgłych. Sznur na gałąź, i do widzenia. Szybko. Bez żadnej zwłoki.

Za dnia kąpiel w morzu była zabroniona.

Łodzie mogły odpływać i przyplływać tylko nocą.

Nie wolno było strzelać z broni palnej.

Ani używać lornetek.

Ani lusterek na dworze.

Podczas bójk wolno było używać pięści, noży i bosaków. Bosaków?

Gotować można było tylko w psiarni.

Obowiązywało całkowite zaciemnienie. Po zachodzie słońca wszystkie zasłony musiały być zaciągnięte.

Nie wolno było używać pochodni ani latarek.

Nie wolno było trzymać kurcząt, kóz, świń, krów, kotów ani psów.

Obowiązywał całkowity zakaz rozpalania ognia.

Connie spojrzała na listę. Nie miała pojęcia, jak Fitzpayne obszedł zakaz posiadania psów, ale Teddy przez cały dzień nosił Pippina w bambusowym koszyku na piersi i pozwalał mu się wybiegać tylko nocą. Musiała przy-



znać, że zasady miały sens - chroniły ich przed światem zewnętrznym. Niepokoiła ją tylko ich surowość. Wśród tych pozornie kruchych kolonistów byli ludzie o stalowej duszy, jakich nigdy dotąd nie spotkała. Wiedziała, że Fitz-payne jest jednym z nich i teraz patrzyła na niego o wiele ostrożniej.

Gdy tylko zapadł zmrok, wszystkich nowo przybyłych zaprowadzono do psiarni i jak przed plutonem egzekucyjnym ustawiono pod ścianą przed dziesięcioma ponurymi mężczyznami. Na obu końcach zadymionej izby płonął jasny ogień, przy którym kręciła się grupa starszych kobiet w grubych chustkach na głowie. Między paleniskami stał tłum tubylców ciekawych widoku Europejczyków.

Zapach gotowanej ryby był tak intensywny, że Pippin ślinił się w koszyku na nagiej piersi Teddy'ego. Teddy stał wyprostowany, z wysoko podniesioną głową i Connie poczuła dumę, że jest taki odważny. Nie wzięła go za rękę, zauważywszy, że stanął między Johnniem i Henrym, między mężczyznami.

- Tu nie wolno rozpalać ognia. Nie wolno rozpalać ognia. Mężczyzna powtórzył to już czwarty raz. Był chudym,

dobrze umięśnionym Mokenem o ciemnej skórze, na szerokim nosie miał okulary bez oprawki. W brązowej koszuli i prostej, czarnej tunice do kostek, stał przed swoimi ludźmi z dumnie wypiętą pierśią, jak ważny generał przed swoimi żołnierzami.

- Jestem Badan. - Uderzył się pięścią w pierś. - I mówię: tu nie wolno rozpalać ognia. - Zwężonymi czarnymi oczami powiódł powoli po twarzach zebranych. Zadowolony z siebie, wskazał palcem Connie. - Zrozumiano?

- Tak.

- Rozpalisz ogień i umrzesz.

- To trochę zbyt surowo - zauważył łagodnie Johnnie.

- Takie są zasady!

Stojąca obok Maya wiła się, kurczowo ściskając Razaka za rękę. Jej brat z wyraźnym zaciekawieniem przyglądał

się mężczyznom. Connie rozejrzała się i wypatrzyła przez dym Fitzpayne'a, który opierał się niedbale o ścianę ze szklanką w jednej i papierosem w drugiej ręce. Obserwował ją uważnie. Skinęła głową, a on podniósł szklankę jak do toastu.

Badan podszedł nagle bliżej, o wiele za blisko. Poczowała, że zamiast w piersiach serce bije jej teraz w gardle, ale nie, nie chodziło mu o nią. Chodziło mu o Mayę. Chwycił ją za włosy i dziewczyna cicho zaskomlała. Badan pociągnął ją do przodu i przez izbę przetoczył się pomruk aprobaty.

- Ty! - warknął Moken. - Rozpaliłaś ogień w chacie! Maya wytrzeszczyła oczy.

- *Tidak!* Nie! - Błagalnym gestem chwyciła go za ramię. - Puść mnie. - Próbowała uklęknąć, ale on wciąż trzymał ją za włosy.

- Rozpaliłaś ogień. Gotowałaś wodę. - Zawłókł ją na środek izby i zerknął na gruby, tłusty sznur z pętlą na krokwi pod sufitem.

- *Tidak!* - krzyknęła Maya. - Nie!

- Niech pan przestanie! - zawołała Connie, rzucając się w ich stronę. Chwyciła Mayę za rękę. - Ona nie rozpaliła ognia. To była tylko maszynka naftowa, małe płomyczek, na którym podgrzała wodę. Ona nic nie gotowała, zaparzyła tylko herbatę, to wszystko. - Herbata była dla Johnniego. - Dajcie jej spokój.

- Będzie wisiała - oświadczył Badan. Skierował te słowa do zebranych w izbie mężczyzn.

Byli wygłodniali, pragnęli śmierci - zapach ich głodu był bardziej wyczuwalny niż obojętniający smród gotowanej ryby. Głucho, warczeli jak wilki, budząc przerażenie w sercu Mai. Connie zalała falą wściekłości tak wielkiej, że zatrzęśły się jej ręce. Badan zobaczył to i uśmiechnął się z zadowoleniem, myśląc, że Connie się boi. Ktoś sięgał już kijem do krokwi, żeby zdjąć sznur.

- Panie Badan - powiedziała Connie bez cienia gniewu w głosie - niech pan będzie rozsądny. Nikt z nas nie znał

wtedy waszych zasad. To był błąd, za co my i Maya bardzo przepraszamy. Obiecuję, że już się to nie powtórzy. Ona zaparzyła tylko kubek herbaty na malutkiej maszynie, którą przynieśliśmy tu w skrzynce z zapasami. Popatrzyła na stojących rzędem mężczyzn.

- Mam tam również whisky - dodała z uśmiechem. Z szyku wyłamał się ktoś w zielonej bandanie.

- Ile whisky? - spytał.

- Tylko jedną butelkę. Ale to dobra whisky, szkocka... Kątem oka zobaczyła, że Badan chwytła sznur. Na jego końcu była pętla.

- Mam jeszcze to - powiedziała głośno.

Jej ręce powędrowały do szyi i rozpięły sznur pereł, którego dla bezpieczeństwa nigdy nie zdejmowała. Przesunęła nim między palcami, perły cichutko zagrzechotały, błyszcząc w świetle jak mleczone gwiazdy.

- To wystarczy na whisky dla wszystkich. - Podeszła do dziewczyny i powoli przesypała perły do jej dłoni. - Maya chciałaby, żebyście przyjęli je w ramach przeprosin za to, co zrobiła.

Dziewczyna stała sztywno, szcękając zębami.

- Skłoń się - szepnęła Connie. Maya się skłoniła.

- Przepraszam.

- Przepraszam - zaskrzeczała Maya jak żaba. Mężczyźni nie spuszczaali wzroku ze sznura idealnie dobranych pereł.

- Zgoda? - spytała Connie. Uśmiechnęła się i chociaż, nie słyszała, co mówią, bo w jej uszach dudniła krew, widziała ich poruszające się usta i kiwanie głowami. Przyciągnęła Mayę do siebie.

Badan pociągnął ją z powrotem.

- Ona złamała zasady! - ryknął i zarzucił jej pętlę na szyję.

Razak krzyknął coś po malajsku i wtedy odezwał się Johnnie. Wysunął się do przodu i powiedział:

- Posłuchaj, panie kolego, wiem, że wasze zasady są ważne. Robicie wszystko, żeby przelatujący nad wyspą samolot czy przepływająca w pobliżu łódź nie zobaczyła dymu, to oczywiste, ale ta biedna dziewczyna nie wiedziała, że nie wolno jej rozpalać głupiej maszynki. - Uśmiechnął się szeroko. - Bądźmy sprawiedliwi. Ona tylko zaparzyła herbatę.

Badan zacisnął pętlę i Maya przeraźliwie krzyknęła. Powietrze zgęstniało i w głowie Connie zaczął narastać dziwny szum. Tłum mężczyzn zaszurał nogami po zakurzonej podłodze, z kolan wstały nawet dzieci, bawiące się dotąd w kącie izby - wstały i poszły w ich ślady. Connie nie wiedziała, co to znaczy, ale miała złe przeczucia.

- Dość tego, głupcy.

To był Fitzpayne. Szedł przez izbę leniwym krokiem, jakby sprawa nie miała żadnego znaczenia. W brudnej koszuli, z głową owiniętą brudną szmatą wyglądał bardziej jak pirat niż jak kapitan „Białej Perły”.

Uśmiechnął się swobodnie do swoich kompanów i powiedział:

- Za to ja mam aż dziesięć skrzynek whisky. Są na pokładzie „Burung Camara” i czekają na *kupca*.

- Skąd ją masz? - krzyknął ktoś z tłumu. - Pewnie smakuje jak małe pieczywo.

- Nie, to whisky prosto z piwnic pewnego białego bogacza. Był na tyle głupi, że zabrał ją na swój szkuner, wypłynął na ocean i... - Fitzpayne rozciągnął usta w uśmiechu. - Z dobrego serca postanowiłem uwolnić go od tego ciężaru, żeby jacht mógł *szybciej uciekać przed Japończykami*.

Ktoś się roześmiał. Ktoś inny krzyknął:

- Nie, dziewczyna ma wisieć!

Zaczęli się kłócić i w izbie rozbrzmiał gwar gniewnych głosów. Badan mocniej chwycił Mayę.

- Będzie wisieć!

- Proszę bardzo. - Fitzpayne obojętnie przypalił kolejnego papierosa. -  
Wasz wybór.

Zerknął na Connie, na perły, podszedł do ściany, wziął stamtąd specjalnie zbitą w tym celu skrzynię i ustawił ją pod krokwią ze sznurem.

- Śmiało - rzucił. - Nic chcę psuć wam zabawy. Ale przy dziesięciu skrzynkach whisky bawilibyście się przez całą noc zamiast przez pięć minut.

Connie podeszła do pirata w okularach, zabrała Mai perły, powiesiła mu je na ręce, którą trzymał skazaną za włosy, i zapięła klamerkę, tak że wyglądały teraz jak duża bransoleta. Cisza chwyciła izbę za gardło.

- Whisky? - spytała Connie. - Za te perły kupicie dziesięć skrzynek.

Przez izbę przetoczył się pomruk.

- No to whisky - powiedział Fitzpayne. Dał znak i dwóch mężczyzn pobiegło do łodzi po skrzynki. - A teraz muzyka! - krzyknął. - Dalej, Wong Yee, zagraj nam coś. Ale migiem!

Młoda Chinka oderwała się od garnków, skłoniła się nisko ze złożonymi rękami i powiedziała coś po kantońsku. Była w długiej czarnej sukience, z której fałdów wyjęła flet nosowy. Wsunęła go z wprawą do lewego nozdrza i nabrała powietrza. Izbę wypełnił cichutki srebrzysty dźwięk, który to wznosił się i zawisał w powietrzu, to opadał w zapadającej w pamięć melodii. Razak ściągnął koszulę, wyszedł na środek izby i zaczął tańczyć, powoli, z wdziękiem poruszając wygiętymi do tyłu palcami i rękami, które rysowały w dymie kapryśne wzory, jakby coś opowiadając. W świetle lamp jego naga skóra błyszczała jak wypolerowany bursztyn. Wszyscy patrzyli na niego jak zahipnotyzowani.

Tymczasem Connie rozwarła zaciśniętą dłoń Badana, uwolniła Mayę i zdjęła pętlę z jej szyi. Fitzpayne zsunął perły z jego ręki i szybko je schował.

- To za whisky - stwierdził.
- Są warte więcej niż twój samogon - warknął Badan.
- Umowa to umowa.

- *Bajaklaut!*

Ku jej zdumieniu obydwaj wybuchli śmiechem. Całe napięcie i wrogość momentalnie wyparowały i kiedy Badan zdjął okulary, Fitzpayne poklepał go po plecach jak starego kamrata.

Nie oglądając się na Mayę, jakby całe to zamieszanie nie było warte funta kłaków, okularnik ruszył w stronę paleniska, gdzie gotowała się ryba.

- Co to znaczy? - spytała szeptem Connie. - To *bajak laut*.

Spojrzał na nią i spowaźniał.

- Pirat.

- To prawda?

- Że jestem piratem?

- Tak. Jest pan jednym z nich?

Nachylił się ku niej i mimo panującego w izbie tłoku połączyła ich krótka chwila intymności.

- Gdybym nie był - odparł - już byście nie żyli.
- On naprawdę by powiesił Mayę?
- Oczywiście.

## ROZDZIAŁ 32

Jej umysł *zrzucił* powoli jarzmo dyscypliny poprzedniego życia. Mijały dni; nie wiedziała, ile ich było. Rozleniwiła się. I zasymilowała. Chodziła teraz w krótkich orientalnych spodniach od Firzpayne'a i brunatnozielonej bluzce, w którą wycierała ręce, ilekroć uwalala je błotem -to znaczy: często. Głowę owijała kawałkiem muślinu ze starej sukienki, żeby pot nie zalewał jej oczu i żeby nie wyróżniać się zbytnio spośród ciemnowłosych wyspiarzy.

Godzinami patrzyła na deszcz. Codziennie lało tak mocno, że pękały gałęzie drzew i milkły rozgadane gibony. Deszcz odpędzał myśli. Zamazywał obrazy z przeszłości, z trudem przypominała sobie, jaki odcień miały włosy Ni-gela i jak pachniała blada skóra Sho Takehashiego, chociaż była przekonana, że nigdy tego nie zapomni. Ten dziwny zielony świat wchłaniał ją i wlewał się do jej głowy. Zatapiał dawny świat w sposób, który początkowo ją przerażał, ale który potem zaczął sprawiać jej przyjemność.

Ból po błędach przeszłości powoli wyblakł i gdy oparłszy głowę o futrynę drzwi w chacie, spojrzała prosto na wielkiego jak pięść nakrapianego pająka, odkryła, że wyblakł również lęk. Straciła pająka na kładkę i patrzyła, jak ucieka przed bombardującymi go kroplami deszczu.

Za dnia spała albo chodziła na spacer brzegiem rzeki, zwykle gapiła się po prostu na deszcz. Straciła poczucie czasu. Nie chodziła do psiarni na wieczorne posiłki, ale ktoś - Teddy albo Maya - zawsze przynosił jej coś do je-

dzenia: kawałek ryby, garść ryżu czy *otak-otak*, dla niej nowość, pieczone nad ogniem pikantne rybne kotleciki - były pyszne. Czasem jadła, czasem nie.

Codziennie rano próbowała uczyć Teddy'ego - czytania, pisania i arytmetyki - ale pochylając się razem nad książkami, po  *pewnym czasie* spoglądali na siebie w niemym porozumieniu i lekcje stawały się coraz krótsze. Syn całował ją w policzek, przytulał się na chybcika i z Pippi-nem w koszyku szybko zbiegał po bambusowej drabince. Już się o niego nie bała. Cieszyła się. Cieszyła się, że Teddy jest szczęśliwy. Codziennie przynoszono jej ubrania i pościel do zacerowania, ale rzucała ją tylko na wciąż wyżej rosnący stos. Nocą spał na nim Pippin.

Powoli, stopniowo, przestawała czuć na karku oddech przeszłości. Leżąc na macie i wsłuchując się w deszcz albo senne mamrotanie syna, dopuszczała do siebie tylko teraźniejszość.

- Jest pani chora? - spytał Fitzpayne.

- Nie.

- Boli coś panią? - Stał w drzwiach chaty.

- Nie.

Leżała na macie w sfatygowanej bluzce i spodniach, delektując się kołysaniem chatki na sztormowym wietrze.

- Więc co się dzieje?

- A co się dzieje?

- Wie pani, która godzina?

- To ważne? - Przekrzywiła głowę, spojrzała w okno i stwierdziła, że ściana zieleni jest trochę jaśniejsza. - Południe?

- Pora wstawać.

Roześmiała się. Widziała tylko jego podświetloną od tyłu sylwetkę i nie wiedziała, jaką ma minę, ale po głosie poznała, że jest rozbawiony.



- Nie tknęła pani ubrań - *zauważył*. Zamknęła oczy.

- Przestaję...

- Przestaję?

- Przestaję być Constance Hadley.

*Zapadła* cisza gęsta i napęczniała. Connie znowu zamknęła oczy. Nie słyszała kroków, ale poczuła jego oddech i zapach mokrych włosów, więc wiedziała, że podszedł bliżej.

- Wolałem dawną Constance Hadley - powiedział cicho.

- Już jej nie ma.

- A dokąd poszła?

- Poszła... - Chciała powiedzieć: do Nigela, na dno morza, gdzie jej miejsce, ale nie powiedziała. - Na jacht, pograć w karty.

Nagle trącił ją butem. Przestraszona, otworzyła oczy. Stał nad nią wysoki jak góra. I znowu trącił ją w bok. Twarz miał w cieniu.

- Więc kim jest ta zgnuśniala istota, zbyt leniwa, by kiwnąć palcem?

Uśmiechnęła się.

- To Connie.

- Jak się masz, Connie.

- Jak się masz, Fitz.

- Czy to twój syn biega tam jak dzikus, pobierając od kolegów opłatę za czytanie książek?

Przerażona Connie zerwała się na równe nogi.

- Co takiego?

- Ha! Wiedziałem, że to podniesie cię z łóżka.

Znalazła go. I jego schowek. Był z Akilem, swoim nowym przyjacielem, wysokim, szczupłym chłopcem, z którym pobił się pierwszego dnia w psiarni. Siedzieli pod wydrążonym w pniu starym kanu, które utknęło między

dwoma *glazami*, tworząc coś w rodzaju długiego szalasu. Wypatrzyła ich tylko dlatego, że towarzyszący im Pippin w *vstawił* ogon i zamiatął nim po mokrym piasku.

- Teddy! Proszę natychmiast do mnie.

Przez chwilę myślała, że jej nie posłucha, ale w końcu w *vpełznął* z kryjówki ze zwieszoną głową, stanął *przed* nią i spojrzał jej prosto w oczy. Wzięła go za rękę i *odprowadziła* na bok.

- Co ty wyprawiasz?

- Nic.

- Podobno każesz sobie płacić za czytanie dzieciom książek. Zaszurał nogami.

- To prawda? - drążyła. - No? Słucham.

Teddy zerknął przez ramię na Akila, który przykucnął pod parasolem z szerokich liści trzy metry od nich. Nachmurzył czoło. I niechętnie kiwnął głową.

- Tak - szepnął. - Ale tak jest sprawiedliwie. Tłumaczę wszystko na malajski, bo oni słabo znają angielski.

- Teddy, ci chłopcy nic nie mają, tak nie wolno.

Wysunął ramię spod jej ręki. Pierwszy raz zauważyła, że od pracy fizycznej zaczynają rozwijać mu się mięśnie, że urosły mu bicepsy. Miała ochotę mocno go przytulić. Ale przypomniało jej się to, co powiedziała Fitz-payne'owi o dawnej Connie i zrobiła krok do tyłu. Spojrzała na potargane włosy syna i surowym głosem rozkazała:

- Pokaż.

- Ale co?

- To, co im zabrałeś. Opadły mu ramiona.

- Skonfiskujesz to.

„Skonfiskujesz”. Mówił jak jego ojciec.

- Może. A może nie. Pokaż.

Zlany deszczem, pobiegł przodem i zaprowadził ją do dziupli w powalonym drzewie, z której wyjął stare meta-

lowe pudełko. Kiedy je otwierał, na jego palcach wykwitły plamki rdzy. W środku była miniaturowa kostnica. Leżał tam mały nietoperz, dwa kameleony, kilka gekonów i jaszczurek, kilka czarnych rogatych żuków i żółto-czerwony motyl większy od jej dłoni. Zauważyła, że nie ma tam ani jednego ptaka.

- Boże święty, co to za makabra? Po co ci to?

- No jak to? Do sekcji.

- To wszystko, co im zabrałeś?

- Tak.

Ale Connie za dobrze go знаła.

- Nie kłam. - Wyciągnęła rękę. - Co jeszcze? Powoli, z nieszczęśliwą miną wyjął coś z tylnej kieszeni

i położył to na jej dłoni. Moneta, złota gwinea. Spojrzeli na nią oboje. Jaki ojciec, taki syn, zwłaszcza w interesach. Connie wiedziała, że nie może mu jej zabrać.

- Teddy, podoba ci się tu?

- Tak.

- Dlaczego?

Syn podrapał się w głowę.

- Bo mogę robić, co chcę.

Uważnie mu się przyjrzała i wyczuła, że powstaje między nimi mała, lecz trwała szczelina.

- Więc dlaczego jesteś smutny? Spuścił głowę.

- Bo źle się z tym czuję.

- Jak to? Z czym?

- To skomplikowane.

To też były słowa jego ojca. Nigel mówił tak, gdy nie chciał jej czegoś wytłumaczyć.

- Zobaczymy. Słucham.

- Bo jestem tu tylko dlatego, że nie ma taty. - Powiedział to bardzo cicho.

Pogłaskała go po mokrych włosach.

- Wolność ma swoją cenę, synku.

Teddy kopnął w pień drzewa, płosząc z dziupli żuka i przyglądając mu się z zainteresowaniem.

- Możesz zatrzymać monetę - powiedziała. - Ale w zamian za to musisz coś dla mnie zrobić.

- Boże wszechmogący, co to jest?

Madoc stał na pokładzie „Białej Perły”, rozglądając się na wszystkie strony. Na rufie zagrzechotał łańcuch - Nu-rul rzucił kotwicę. Ruchliwe kładki w koronach drzew skojarzyły mu się z wnętrzem ula, tylko że ten ul był mocny, solidny, zielony i kipiał energią. Zapadł wieczór i zrobiło się prawie ciemno. Kiedy wpływali do cieniejszej zatoczki, słońce schowało się litościwie za garbatymi wzgórzami.

- I co myślisz? - spytała stojąca obok Kitty.

- Ciekawe.

- Widzisz te strzelby?

Z ukrytych na drzewach punktów obserwacyjnych śledzili ich wzrokiem mężczyźni z lufami strzelb opartymi o przedramię.

- Miły komitet powitalny.

- Ostrzegalam cię - wymamrotała pod nosem Kitty. - Powinniśmy byli uciekać, jak jeszcze mogliśmy.

Strzepnął ćmę z jej potarganych włosów.

- No tak, przyznaję, nie spodziewałem się, że są tacy... zorganizowani.

- Madoc - Kitty odwróciła się i poczuł jej ciepły oddech na wilgotnym policzku. - Uciekajmy. Jeszcze dzisiaj. Wykradniemy jacht. Nie będą się tego spodziewali...

- Uśmiechnij się ładnie. Nasz przyjaciel wyszedł nam na spotkanie.

Kitty zakłęła i spojrzała na brzeg rzeki, gdzie z założonymi rękami stał Fitzpayne. Głowę miał obwiązaną apaszką, był w zdeformowanych skórzanych butach do kolan i chociaż pistoletu chyba nie nosił, u jego pasa wisiał ciężki

parang. Przy „Białej Perle” cumujące tam łodzie wyglądały jak szare żółwie. Jej elegancja przyciągała zazdrosne spojrzenia ukrytych wśród drzew ludzi.

Madoc objął żonę w obfitej talii i czując na sobie wzrok Fitzpayne'a, przyglądali się razem brzegowi rzeki.

- Nie pobędziemy tu długo, masz moje słowo. Właśnie przyszło mi do głowy, że są tacy, którzy dużo by zapłacili za namiary tej kryjówki.

Kitty oparła się o niego.

- Lepiej uważaj. Spójrz na tego sukinsyna. Nie myśl, że tego nie przewidział.

- Możliwe. - Madoc nie mógł powiedzieć tego bez nutki zadowolenia w głosie. - Nie wie jednak tego, czego dowiedziałem się od Farida. - Farid był piratem, z którym grywał ostatnio w pokera. - Na pokładzie „Burung Camara” jest krótkofalówka. I wiem, gdzie Fitzpayne ją ukrył.

Kitty uśmiechnęła się tak słodko, że uznał, iż warto było przegrać obrączkę.

- Widzę, że wciąż żyjesz - powitał go Fitzpayne.

- W dodatku jestem w świetnej formie - odparł Madoc.

- A ten Japończyk? Zabiliście go już?

- Twój przyjaciel Nurul próbował, i to kilka razy, ale nie, żółtek też żyje.

- Cholera, kolejna gęba do wykarmienia. Każę Nurulo-wi wrzucić go do ładowni „Burung Camara”.

- Niezłe miasteczko tu macie - zauważył Madoc.

Ale Fitzpayne odwrócił się na pięcie i zniknął w głębi lasu, więc poszli za nim. Wieczne powietrze było gęste od moskitów i po świeżych wiatrach na otwartym morzu wlewało się do płuc jak zupa, ale Madoc był za bardzo zaniepokojony tym, co widział, by zwracać uwagę na powietrze. Strzelał oczami w koło. Nie ma co, ktoś zaprojektował tu sprytną fortecę. Wszędzie stali strażnicy, czujni

i uzbrojeni. Kitty trąciła go w plecy, jakby chciała powiedzieć: ostrzegałam cię. Tak, Fitzpayne był przygotowany na wszystko.

- Od dawna to tutaj jest? - spytał, z trudem zachowując równowagę na błotnistej ścieżce.

- Od dawna - rzucił przez ramię Fitzpayne.

- Dziwne, że nigdy o tej wyspie nie słyszałem. Takie coś trudno zachować w tajemnicy.

- Mamy swoje sposoby.

- Jakie?

- Zabijamy każdego, kto zaczyna gadać.

- Jezu Chryste! Proste, ale skuteczne.

- Radzę o tym pamiętać.

Madoc przesunął palcami po rękojeści ukrytego pod koszulą tokariewa. Pistolet to też sposób prosty, acz skuteczny.

- Nie widzę tu żadnych *warsztatów* - powiedział, spoglądając w mrok.

- Gdzie naprawiacie łodzie? Gdzieś tutaj?

Fitzpayne zatrzymał się tak gwałtownie, że Madoc omal na niego nie wpadł.

- Madoc, kłopot z tobą polega na tym, że zadajesz za dużo pytań.

- Bez urazy - wtrąciła ciepło Kitty. - Jesteśmy po prostu ciekawi i tyle.

- Nie słyszeliście, że ciekawość zabiła kota? Fitzpayne rozgarnął ręką gęstą kurtynę ze zwisających

liści, które przesłaniały widok na polanę, i wszedł na schody prowadzące do długiej izby.

- To jest psiarnia - oznajmił. Ale kiedy pochylił głowę, by wejść, zniżył głos i dodał: - Uważaj, Madoc. Tu nie lubią intruzów z pistoletami za pasem.

Kitty mocno uszczypnęła męża w plecy, poczuł jakby ugryzł go pies.

- Głupi dupek - warknęła i weszła do słabo oświetlonej sali.

Przy zamkniętych okiennicach kilka miejscowych kobiet rozpałało ogień na wieczorny posiłek. Na podłodze siedzieli grupkami mężczyźni, grając w karty i mah-jon-ga czy rzeźbiąc coś w wyrzuconym przez morze drewnie. Większość po prostu siedziała i paliła grube skręty albo dziwnie pachnące gliniane fajki. Wszyscy żłopali piwo. Powitały ich jedynie nieufne spojrzenia i podejrzliwe szepty. Madocowi to nie przeszkadzało. Nie zamierzał przebywać tu dłużej, niż będzie to konieczne.

Na końcu izby siedziały rzędami dzieci, które z rękami na brudnych kolanach recytowały coś chórem. Między ciemnymi głowami dostrzegł małego Hadleya i Razaka. Ale jego uwagę zwróciło to, jak swobodnie czuł się tu Fitz-payne, jak serdecznie witał się z kompanami, jak się z nimi śmiał i częstował ich papierosami.

- Madoc - szepnęła Kitty.

Wcisnęła mu do ręki kawałek tektury. Światło było kiepskie, więc zmrużył oczy i zobaczył, że to spis zasad. Przeczytał je pobieżnie, doszedł do zakazu używania broni palnej i zaklął pod nosem. Ze zmarszczonymi brwiami zerknął na żonę, ale ona nie zwracała na niego uwagi. Z rozdziawionymi ustami gapiała się na dzieci.

- Co? - mruknął. - To tylko dzieciaki.

- Spójrz na ich nauczycielkę.

Spojrzał, początkowo obojętnie, na pełną wdzięku kobietę siedzącą swobodnie na podłodze naprzeciwko dzieci. Nachylała się nad jednym z nich i słuchała go z poważną miną. Głowę miała owiniętą długim pasem poplamionego materiału i była w zbyt obszernym dla niej ubraniu. Dopiero kiedy podniosła wzrok i spojrzała na inne dziecko, dotarło do niego, kogo widzi.

- Jasnowłosa! - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Jak ona się zmieniła.

- To małe niedomówienie. - Kitty stłumiła śmiech.

- Obcięła włosy.

- Wygląda... Zupełnie nie wygląda na Europejkę.

Przedtem była sztywna jak kij, tak jak one wszystkie, a teraz jakby kości jej odtajały. Widziałam zasymilowanych facetów, ale kobiety? Nigdy.

Madoc rozejrzał się po hałaśliwej izbie i zauważył, że wielu mężczyzn gapi się otwarcie na białą nauczycielkę, skubiąc brodę i patrząc, jak niesforne kosmyki jej włosów uciekają spod opaski i tańczą w świetle lamp.

- Powinna uważać - szepnęła. - Bo może mieć kłopoty. Kitty wzięła go pod rękę i otarła się o niego piersią,

przypominając mu, kto do kogo należy.

- Spokojna głowa - powiedziała. - Opiekun czuwa.

- Kto to?

Zona zerknęła na stojącego w cieniu mężczyznę.

- Fitzpayne? - zdziwił się Madoc. - Coś ty.

- Boże, dlaczego mężczyźni są tacy tępi? - Żona roześmiała się, wyduła policzki i podeszła do Fitzpayne'a. - Co pan z nią zrobił?

Fitzpayne nie odrywał oczu od Jasnowłosej, ale złagodniała mu twarz i prawie się uśmiechnęła.

- Co ona zrobiła z siebie? - spytał cicho.

Madoc przeklinał księżyc. Był za jasny, świecił jak latarnia. Jego promienie przenikały przez płataninę gałęzi i sieci i padały prosto na brzeg rzeki. Madoc oparł się o pień drzewa i wytężył słuch.

Nic. Tylko plusk wody, znajome krzyki, pohukiwania, furkotanie i terkotanie, conocny chór dżungli. Wiatr szeleścił liśćmi i targał linami takielunku. Co najmniej połowa łodzi podniosła kotwicę i wyszła w morze na pół albo popłynęła gdzieś dalej, ale „Biała Perła” wciąż kotwiczyła za „Burung Camarem”. Piękna i bestia.

Przez godzinę stał w cieniu pod drzewem i czekał. W końcu pokazał się znudzony. Zapalił papierosa - co było oczywistym złamaniem obowiązujących tu przepisów - ale teraz, wiedząc już, że głupek siedzi na jednej



z zawieszonych wysoko platform, Madoc ruszył w górę rzeki, przebijając się przez gęsty zagajnik bambusów. Wybrał kawałek brzegu osłonięty nisko zwisającymi gałęziami i bezszelestnie wślizgnął się do wody.

Była zimniejsza, niż się spodziewał, i ścisnęła mu płuca tak mocno, że omal nie zakaszał. Szybkim kraulem dopłynął na środek rzeki. Woda okazała się wstrętna, mulista i cuchnąca, ale jeszcze gorsze było to, że roiło się w niej od różnych stworzeń, w tym takich, których wolałby raczej nie spotkać. Wpadł w silny prąd i wciągnęło go pod powierzchnię. Na krótką chwilę ogarnęła go panika, strach, że wyniesie go aż na morze, i zaczął pracować mocniej nogami. Wypłynął niczym korek z twarzą białą jak lód w świetle księżyca, dał się ponieść wodzie i kilka metrów dalej zahaczył ręką o łańcuch kotwicy.

Przytrzymał się go w cieniu łodzi, wziął głęboki oddech i rozejrzał się, by sprawdzić, gdzie jest. „Biała Perła” była dokładnie przed nim, a „Burung Camar” chował się za nią jak wstydliva druhna z masztem ostrym i srebrzystym jak igła. Odwrócił się i spojrzał na platformę. Ognik papierosa zniknął w ciemności. Cholera. Serce zabiło mu mocniej, ale wmówił sobie, że jest niewidzialny, jak ciemna zmarszczka na wodzie.

Przełamała się nad nim fala, więc wypluł wodę i z nagłym przyplływem energii popłynął dalej. W ustach czuł smak mułu i chciwości. Tym razem był gotów zrobić wszystko, by Fitzpayne wreszcie zapłacił. Myśl o ukrytej krótkofalówce stała się zbyt kusząca, by się jej oprzeć. Dopłynął do drabinki sznurowej zwisającej z burty „Burung Camara” i wspiał się na pokład.

## R O Z D Z I A Ł 3 3

Connie przycupnęła w cieniu mangrowca i dźgnęła kijem w małą sadzawkę słonej wody, która uwięzła między korzeniami.

- Dobrze się bawisz?

Zaskoczona, podniosła wzrok i osłoniła oczy przed promieniami porannego słońca.

- Jak się masz, Fitz. - Uśmiechnęła się i ze zmarszczonym czołem spojrzała na koniec kijka. - To nie działa.

- Co nie działa?

- Kijek.

Fitz roześmiał się, przykucnął przy niej i przyjrzał się sadzawce.

- Co tam masz?

- Kraba. Takiego dużego. Schował się pod tymi korzeniami, tam, z boku. - Włożyła koniec kijka do dziury, dźgnęła i zielona woda ożyła, wyrzucając na powierzchnię ślimaka morskiego, ale nie kraba.

- Szukałem cię.

- Tak? Dlaczego?

Wyjął kijek z jej ręki i poczuła dotyk jego palców.

- Jesteś za mało odważna. Za mało odważna.

- Z tym krabem?

Spotkali się wzrokiem. Tego dnia miał prawie niebieskie źrenice, ciepłe i zaciekawione. Kątem oka widziała, że

jego ramię jest tylko kilka centymetrów od jej ramienia, że dzieli ich jedynie skrawek gorącego powietrza. Jego nogi złożyły się pod nim jak nogi konika polnego, napiął mięśnie muskularnych ud.

- To trzeba tak - powiedział i trzy razy dźgnął mocno w kryjówkę pod korzeniami.

Natychmiast coś się tam poruszyło, błysnęła jasnoczer-wona skorupa i wyciągnął kijek z przyczepionym do niego krabem. Jak w śmiertelnym boju, skorupiak zacisnął na nim nieproporcjonalnie wielkie szczypce, zbyt rozgniewany, by dać sobie spokój.

- To krab żołnierz. Są dzielnymi wojownikami. Connie usłyszała nutkę respektu w jego głosie.

- Tak jak ty? Pod fasadą dobrych manier kryje się dzielny wojownik? To dlatego tu jesteś?

Fitz ujął kraba w dłonie, delikatnie obejmując obie części skorupy, by uniknąć ataku na bezbronne palce.

- W głębi serca oboje jesteście wojownikami - odparł, unikając jej wzroku. Podniósł kraba wysoko do góry, by obejrzeć go od spodu. Widoczne między drzewami morze było oszałamiająco zielonkawoniebieskie, a silny wiatr zarzucał na fale sieć białych koronek. - Walczymy o to, czego pragniemy, każde na swój sposób.

Connie wyciągnęła rękę, dotknęła skorupy i przesunęła po niej paznokciem aż do szczeliny, z której wyrastało odnóże.

- Wszyscy jednak mają słaby punkt. - Uśmiechnęła się, bo nie chciała się z nim kłócić. - Ale niektórzy ukrywają go lepiej od innych.

- A jaki jest twój słaby punkt?

- Och, łatwo się tego domyślić.

- Twój syn? Teddy?

- Tak.

- Podoba mu się tu. Nie spieszy mu się do wyjazdu.

- Wiem. Dobrze się bawi, sprawdza, na co go stać.

- Nie tylko on. - Poczula na sobie jego wzrok. - Cho ciaz wiesz, ze to nie moze trwac wiecznie. Prawda?

Zaczerwienila sie. I odchyliła sie do tyłu, w głębszy cień. Odkąd tu przyjechała, tyle sie zmienilo. Porozpinały sie wszystkie klamry i zatrzaski, na pokładzie „Białej Perły” tak mocno i porządnie zapięte. No bo proszę, siedziała tu w odrażająco brudnym ubraniu, polowała kijem na kraby i rozmawiała z piratem o swoich słabych punktach. A wszystko to pod niebem, na którym krążyły japońskie samoloty.

- Czasem czuję sie tak, jakbym wpadła do króliczej norki z *Alicji w Krainie Czarów* i trafiła do jakiegoś nieuporządkowanego świata.

- Właśnie dlatego nie mogłem mieszkać w Anglii. Podniosła głowę.

- Jak to?

- Anglia to umierający świat - powiedział ze smutkiem. - Społeczeństwo zbudowane na strachu i pogardzie. Dusilem sie tam. - Przyjrzał sie jej twarzy, rozwianym przez tropikalny wiatr włosom, ubraniu, spojrzal na jej brudne paznokcie. - Ty też będziesz sie dusila.

Na myśl o powrocie ścisnęło ją w brzuchu. A może na myśl o pozostaniu? Potrząsnęła głową, by odpędzić natrętne obrazy.

- Nawet na twojej wyspie obowiązują pewne zasady -zauważyła. - I na pewno nie brakuje tu strachu i pogardy. - Pod wpływem nagłego impulsu zabrała mu kraba i wrzuciła go do wody. - Ale podoba mi sie tu, tak jak jemu podoba sie ta mała sadzawka. Łowię ryby, śpię z mrówkami na twardej macie i myję sie w mulistej rzece. Na razie mi to wystarczy.

- Dodaj jeszcze, że uczysz dzieci angielskiego.

- No właśnie. - Z uśmiechem kiwnęła głową. - Lubię uczyć...

- I patrzeć - dodał ze śmiechem - jak syn zmienia sie w dzielnego żołnierza kraba.

Jej serca dotknęło coś ciepłego i twardego. Ujęła w dłonie jego dłoń i mocno ją ścisnęła.

- Fitz, nie wiem, jak ci dziękować za to, co zrobiłeś.

Jej słowa zawisły między nimi jak na skrzydłach, ale zaraz porwał je wiatr i zapadła cisza, którą burzył jedynie szum łamiących się z łoskotem fał. Zmieniła mu się twarz. Jakby od niej uciekał, jakby się wycofywał. Napiął wszystkie mięśnie. Mimo to podniosła jego rękę do ust i delikatnie ucałowała wierzch jego dłoni. Była słona i pachniała skorupą kraba.

Tworząc między nimi dystans, natychmiast zabrał rękę i wstał. Jego ruchy, zazwyczaj tak zwinne i płynne, stały się nagle sztywne i niezręczne.

- Przyszedłem ci coś powiedzieć - oświadczył oficjalnie. Ona też wstała. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak?

- Ten japoński pilot nie żyje.

- Co się stało?

- Ktoś poderznął mu gardło. W ładowni „Burung Camara”. Nie wiemy kto, pewnie ktoś, kto zwietrzył jego obecność i uznał, że dobry Japończyk to martwy Japończyk.

Dał Connie czas, pozwolił się pozbierać, cierpliwie czekał, aż uspokoi jej się oddech.

- Przykro mi, Connie.

Niemo potrząsnęła głową. Obydwoje milczeli, ale nachyliła się ku niemu i oparła czoło o jego obojczyk. Zastygła bez ruchu. Fitzpayne objął ją ramieniem i mocno przytulił, jakby bał się, że ugną się pod nią nogi i upadnie.

- Dlaczego tak mnie to poruszyło? - wymamrotała z ustami na jego piersi. - Przecież sama chciałam go zabić. Chciałam, ale... - Zawahała się. - Słyszałam za dużo głosów z przeszłości.

Dotknął jej włosów.

- Opowiesz mi o tym?

I mu opowiedziała. Nie o *Sho*: nie, nie o swoim nie-

żyjącym już kochanku. Opowiedziała mu o wypadku samochodowym w Palurze. Wyrzuciła z siebie wszystko, wszystko o tym, jak zabiła matkę Mai i Razaka, jak chciała naprawić tę krzywdę, biorąc pod opiekę jej dzieci. Z trudem, niemal z fizycznym wysiłkiem wytłumaczyła mu, że zabicie japońskiego pilota miało być zapłatą, życie za życie. Ze miało uśmierzyć ból, ukoić duszę. Ze miało być dowodem skruchy.

- Chciałam wszystko naprawić - szepnęła - ale zrobiło się jeszcze gorzej.

Czuła, jak Firzpayne muska ciepłym oddechem skórę na jej skroni. Słuchała go i gniewny chaos, żal po śmierci japońskiego pilota powoli odpływał w niebyt.

Mówił cicho. O tym, że trzeba brać z przeszłości tylko to, co jest potrzebne, pozostawiając resztę za sobą, o tym, że trzeba znać swoje słabe punkty i, co ważniejsze, swoje mocne strony. Mówił, że musi wybrać to, co będzie najlepsze dla niej, jej syna i jachtu. Ale ani razu nie wspomniał

O Nigelu ani o przyszłości. Nie, przeciwnie, namawiał ją do tego, by skupiła się na chwili obecnej, na tu i teraz, na tej wyspie, na mętnej sadzawce między mangrowcami, gdzie właśnie stali. Połączeni ze sobą czymś silnym i trwałym, czymś, czego nie rozumiała.

Ujął w dłonie jej twarz, pocałował ją w czoło, przytulił i stali tak bez słowa, dopóki cienie nie zrobiły się krótsze i dopóki nie zapomniała, że znowu dopadła ją czyjaś niedobra śmierć.

Nie jest ważne to, co widzą oczy. Ważne jest to, co widzi umysł. Kiedy szła przez gęstą dżunglę, uderzyło ją, że światło nie jest już ponure, nie, było miękkie i cieniste. Żuki na korze drzew nie wydawały się już czarne i brzydkie, tylko ładne i opalizujące, z tęczą kolorów na grzbiecie. Gałęzie nie pełzały już jak złośliwe węże czy pająki, tylko kipiały życiem.

Tak, ważne jest to, co widzi umysł.

Wciąż była złana potem, w jej uszach śpiewał chór cykad, między drzewami handryczyły się ze sobą niewidoczne małpy, irytujące jak dzieci bijące się na placu zabaw. Mimo to z uśmiechem wdrapywała się na powalone pnie, czując w kończynach nową siłę, czując, że jej umysł otwiera się na niezmierzone piękno wyspy. Po raz pierwszy naprawdę zobaczyła długie soczyste liście, bogatą czerwoną ziemię pod stopami. Po raz pierwszy przyjrzała się długim na trzydzieści metrów dziwnym pnączom, które wiły się w stronę światła jak splecione z sobą ludzkie palce, po raz pierwszy zobaczyła chmary motyli unoszących się w słońcu jak jaskrawe konfetti.

Umysł zmieniał to, co widziały oczy. Jakby gdzieś w głębi podniosło się ciężkie wieko. Wieko, które własnoręcznie zatrzasnęła, grzebiąc swoje nadzieje i marzenia, wtrącając je do grobu, jakim było jej małżeństwo. Teraz wieko uchyliło się z cichym skrzypnięciem i mroczne zakamarki zalała powódź światła. Jak mogła tego nie widzieć? Była tak oślepiąta śmiercią, że nie widziała życia, nie dostrzegała miłości.

Wciąż czuła ciężar jego ręki na łopatce, w miejscu, gdzie ją trzymał, wciąż pamiętała ten gwałtowny przypływ zrozumienia, gdy dotknął ustami jej skóry. Oddychała nim, tuliła do siebie jego czułość, więziła ją w sercu. Chociaż surowa, zdyscyplinowana część umysłu nie pozwoliła jej zapomnieć, kim naprawdę był: złodziejem, który kradł łodzie i pił z mordercami wieszającymi ludzi dla zabawy.

Była na niego zła. Zła na niego i na siebie za to, że nie umiała pogodzić Fitz'a z psiarni z Fiztpayhe'em z pokładu „Białej Perły”, mężczyzną szczerym, prawym, hojnym i niezawodnym. Zatrzymała się i przez chwilę stała w całkowitym bezruchu. Znowu przypomniał jej się nieustannie zmieniający się kolor jego kapryśnych jak morze oczu, drgające mięśnie twarzy, kiedy próbował się nie uśmie-

chać. Podczas tamtego sztormu, gdy położył rękę na jej ramieniu, połączyła ich więź, której dotąd nie rozumiała.

Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka, prawie niesłyszalnie, więc z uśmiechem otworzyła oczy, przekonana, że to on, że po nią wrócił. Ale nie: naprzeciwko niej na ścieżce stał szeroko uśmiechnięty Nuruł. Sączące się przez zielony baldachim cieniutkie promyki słońca pocętkowały mu twarz, odbijając się refleksami od jego podobnych do nagrobków złotych zębów.

- Dzień dobry, *mem*. Zgubiła się pani?

- Nie. Właśnie wracam do kolonii.

To on przerwał im rozmowę i zepsuł tę nastrojową chwilę. Przyszedł, gwizdząc między mangrowcami i natarczywym głosem powiedział coś po malajsku. Fitz niechętnie zabrał rękę, a ona cofnęła się, czując, że go traci.

- Co się stało? - spytała.

- Potrzebują mnie w warsztacie. - Poglaskał ją po policzku, popieścił krótką, delikatną pieszczotą. - Przepraszam.

- Idź. Bez ciebie sobie nie poradzą.

- Zaczekasz tu?

- Nie, w chacie. Tam jest ustronniej.

Kiwnął głową i wiatr zasłonił mu oczy włosami. Było widać, że nie chce jej zostawiać, bo zwlekał, bo wciąż stał wśród mangrowców, nie mogąc oderwać wzroku od jej twarzy.

- Ta wojna jest okrutna i zachłanna - powiedział. - Obiecuj, że będziesz na siebie uważała. Obiecuj.

- Obiecuję. - Chciała go znowu dotknąć, ale nie dotknęła, nie przy Nurulu, który wsłuchiwał się w każde słowo i uważnie obserwował każdy gest. - Nie martw się o mnie.

- Fitz. - Nuruł zamachał rękami. - Musisz szybko.

I Fitz zniknął. W ciągu kilku sekund jego sylwetka rozmyła się między pniami drzew, ale przedtem podszedł do niej i musnął ustami jej usta. Wtedy w końcu zrozumiała.



A teraz ten sam szeroko uśmiechnięty Nurul stał przed nią na wąskiej ścieżce, ale nie miała ochoty obchodzić go bokiem. Musiałaby przebijać się przez gęste poszycie pełne ostrych cierni i wrednych pijawek.

- Czy pan Fitzpayne już skończył? - spytała.

- Nie, pracuje na „Perle”.

Wciąż ten sam uśmiech. Wciąż zablokowane przejście.

- Dziękuję, że przyprowadził pan bezpiecznie mój jacht.

- To była przyjemność. Wciąż tam stał, ani drgnął.

- Czy mogłabym przejść? - spytała grzecznie.

Złote zęby zniknęły w ustach, zmarszczki, przed chwilą tak łagodne i dobroduszne, zmieniły nagle kształt, nadając jego twarzy wyraz arogancki i pewny siebie. Dumnie wypiął pierś.

- Podobasz mi się - powiedział poważnym głosem. Connie poczuła ostre ukłucie strachu.

- Jestem zaszczycona. - Skłoniła głowę.

- Bardzo mi się podobasz.

Błyskawicznie wyciągnął rękę i chwycił kosmyk jej włosów. Cofnęła się i wyszarpnęła, by zawrócić i uciec tam, skąd przyszła, ale nie chciała odwracać się do niego plecami.

- Nurul, jest pan dobrym przyjacielem Fitz'a. Kiwnął głową.

- Dużo mu zawdzięczam.

- Dlatego myślę, że nie spodobałoby mu się, gdyby pan...

Z błyszczącymi z dumy oczami z fałdów spodni wyciągnął nagle małe, wąskie pudełko. Podał jej i powiedział:

- Spodoba ci się.

Było to obszyte granatowym aksamitem puzderko na klejnoty z pokrytym pleśnią wieczkiem. Pokręciła głową. - Nie, Nurul. Dziękuję, ale nie.

Jego twarz zmarszczyła się jak stara skóra i otworzył

wieczko. W pudełku leżał najwspanialszy naszyjnik, jaki Connie kiedykolwiek widziała, finezyjnie oprawione w białe złoto błyszczące brylanty wielkości ptasich jajek. Z przerażenia rozszerzyły jej się oczy.

- Rosyjskiej księżniczki - zapewnił z dumą Nurul. - Teraz twoje. - Wyciągnął rękę.

- Martwej księżniczki?

Wzruszył ramionami, wyjął naszyjnik z pudełka i zbliżył go do jej szyi.

- Nie. Dziękuję, ale nie. Nie jestem zainteresowana. Tym razem zrobiła kilka kroków do tyłu i cofała się,

nie spuszczać oczu z człowieka, który chciał kupić ją za zrabowane klejnoty Romanowów. Czy wszyscy piraci myśleli, że kobiety są na sprzedaż?

- Nie! - Tym razem krzyknęła.

Szedł za nią, wciąż za nią szedł. Serce tłukło jej się w piersi gorące i kalekie. Mimo to nie chciała odwrócić się do niego tyłem. Właśnie tak poskramiała agresywne psy -stawiając im czoło - więc kiedy Nurul wyciągnął rękę, by chwycić ją za ramię, była przygotowana i odtrąciła ją szybkim uderzeniem.

- Nie! Przestań! Nie interesują mnie...

Wtedy ją uderzył. Dała się zaskoczyć, bo zrobił to bardzo szybko. Zatoczyła się do tyłu. Trafił pięścią w ucho i zadzwoniło jej w głowie, ale zanim zdążyła odzyskać równowagę, pchnął ją na drzewo i przygniótł mocno całym ciężarem ciała. Zabrakło jej tchu. Z pełną pogardy uciechą w czarnych oczach rozchylił nogami jej nogi, podczas gdy jego ręce ciągnęły ją, szarpały i wpełzały pod ubranie. Krzyknęła, głośno i przeraźliwie, choć wiedziała, że krzyczy na próżno, że dżungla wytłumi głos. Rozorała mu policzek paznokciami. Ale jego wargi, grube i duszące, zaczęły już pożerać jej usta. Rozerwał jej bluzkę i chwycił za pierś.

Był za silny. Connie walczyła, ciężko dysząc. Wierzgała, biła pięściami i drapała, ugryzła go do krwi w policzek. Mimo to wciąż ją obmacywał, wciąż szarpał za pa-

sek spodni. W jej głowie dudniły oszalałe bębny i próbowała się opanować, nie ulec panice, bo wiedziała, że samą siłą tej walki nie wygra. Rozluźniła mięśnie, zwiotczała, pozwoliła mu ugryźć się w szyję i wepchnąć rękę do spodni. Czowała się poniżona. Zhańbiona.

I kiedy zaczął ciężko sapać, otworzyła usta i wkładając w to całą duszę, krzyknęła:

- Fitz! Dzięki Bogu, że jesteś!

To wystarczyło. Nurul szarpnął się do tyłu i spojrzał przez ramię. Dał się podejść, na ułamek sekundy odwróciła uwagę napastnika i wtedy ze wszystkich sił uderzyła go głową w twarz. Wypuściła powietrze, wzięła głęboki oddech i krew zalała jej usta i nos. Z krwawą maską wściekłości na twarzy pirat zaskowyczał wysoko i chrapliwie, ale zanim zdążył dojść do siebie, wbiła mu kolano w krocze. Nurul zgiął się w pół, mimo to jedną ręką wciąż ścisnął ją za nadgarstek. Connie nachyliła się, wyrwała mu nóż zza pasa i mocno wbiła w dłoń. Nurul nie wydał żadnego dźwięku, ale przeszywając ją nienawistnym wzrokiem, powoli rozwarł palce.

Nie zamierzała kontynuować walki. Odwróciła się i pobięła przed siebie.

Gonił ją. Z walącym jak oszalałe sercem przebijała się przez zarośla, roztrącając rękami gałęzie i nie zważając na pijawki, ciernie i uciekające spod nóg węże. Musiała utorować sobie nową ścieżkę. Przez cały czas słyszała wyjącego za nią Nurula, słyszała, jak klnie, i nie miała wątpliwości, co by z nią zrobił, gdyby udało mu się ją dopaść.

Zamiast wrogiem dżungla była teraz jej przyjaciółką i jak na dobrą przyjaciółkę przystało, otwierała przed nią wąskie tunele ciemnozielonych przejść, którymi mogła się prześlizgnąć. Zewsząd otaczało ją gęste poszycie. Zwisające liany i pnącza tłumili kroki i szelesty i kiedy znalazła

przetartą przez zwierzęta wąziutką ścieżkę, z ulgą puściła się pędem przed siebie. Była złana potem, oddychała szybko i chrapliwie. Do tego doszło? Doszło do tego, że była teraz pędzącym przez dżunglę dzikim zwierzęciem? Wystarczył jeden brutalny mężczyzna i została odarta z całej przyzwoitości, ze wszystkich atrybutów człowieczeństwa, którymi otaczała się tak szczelnie przez wszystkie lata spędzone w posiadłości Hadleyów?

Przystanęła i wyteżyła słuch. Drżały jej ręce. Mogła go zabić. Kiedy wyszarpnęła mu zza pasa nóż, zamiast w rękę równie dobrze mogła wbić mu go w serce. Ale nie wbiła. Wciąż nad sobą panowała, wciąż wiedziała, jak dalece może sobie zaufać. Życie było zbyt cenne, by nim pogardzać, nawet jeśli...

Znowu te obrazy. Ciało Sho na brzegu rzeki czekające na warana. Sai-Ru Jumat, matka Razaka i Mai, z szeroko otwartymi oczami, czerwonymi w słońcu od krwi. Starzec na ulicy w Palurze, Harriet ze szkarłatnym kwiatem na czole. Samotna ręka Nigela nad falami. Myślała, że próżnując na wyspie i leniuchując, już dawno o tym zapomniała. Ale nie, obrazy powróciły.

- Dziękuję, Nurul - szepnęła. - Dziękuję, że żyjesz. Bo mogłeś umrzeć.

- Fiizpayne.

Powiedziała to na głos. Nie, żeby mógł ją usłyszeć. Chciała się tylko pocieszyć.

- Fitz, którądy?

Zgubiła się. Ile minęło czasu? Godzina? Dwie godziny? Więcej? Jak długo przedzierała się przez dżunglę? Przestała nasłuchiwać odgłosów pościgu, bo Nurul już dawno zrezygnował i pewnie siedział teraz w chacie, polewając rany dżinem. W pewnej chwili natknęła się na mały strumień o porośniętych mchem brzegach: obmyła twarz i stwier-

dziła, że ma spuchnięty i rozcięty policzek. Przykucnęła i spojrzała w górę, na błękitne niebo prześwitujące przez zwarty baldachim dżungli, by śledząc wędrujące cienie, sprawdzić, gdzie jest zachód.

- Cholera jasna, Fitz - powiedziała do ściany zieleni. -To ty jesteś nawigatorem, nie ja. Podpowiedz mi coś.

W końcu postanowiła iść wzdłuż strumienia. Instynktownie wyczuła, że zaprowadzi ją na wybrzeże, a gdyby udało jej się tam dotrzeć, znalezienie kolonii byłoby tylko kwestią czasu.

Strumień zawiódł ją i porzucił. Wpadł pod skalne zawalisko i po prostu zniknął. Ona jednak szła dalej na zachód -przynajmniej tak myślała - coraz częściej przemawiając do Fitz'a. Opowiadała mu różne rzeczy. O koniu, którego miała jako dziecko, i o tym, jak na nim skakała wbrew zakazom ojca. O latawcu, którego puszczała z urwiska w Beachy Head, i o tym, że pragnęła latać tak jak on, rozłożyć skrzydła i wystartować pod wiatr.

Gdy usłyszała głuchy, dudniący odgłos, przez długą chwilę nie wiedziała, co to jest. Fale.

Pobiegła przed siebie.

- Fitz, zobacz! Ocean. Zaraz...

Słowa uwięzły jej w gardle. Była wyżej, niż myślała. Tam, w dżungli, przez cały czas musiała się wspinać. Stała teraz na brzegu skarpy z widokiem na otwarte błękitne morze i oślepiająco białą plażę. Upadła na kolana i zadrżała z ulgi. Chcąc powstrzymać narastający w płucach krzyk, musiała zatkać ręką usta.

Pięćset metrów dalej, na brzegu morza, rząd za rzędem stali żołnierze. W palącym słońcu słuchali tego, co dźgając powietrze mieczem, mówił stojący przed nimi przysadzisty dowódca. I dowódca, i wszyscy żołnierze byli w mundurach Cesarskiej Armii Wielkiej Japonii.

Co tych mężczyzn ciągnęło do wojny? Do strzelb i karabinów. Przemoc wabiła ich jak osy do melona.

Connie wytarła pot z twarzy. Z niedowierzaniem patrzyła na plażę i na dwie łodzie desantowe stojące na kotwicy niedaleko od brzegu. Strach pełzał jej w gardle. Przypadła do ziemi i zaczęła czołgać się do tyłu jak krab. Musiała ostrzec Fitzę. Musiała znaleźć Teddy'ego, musiała znaleźć syna. Musiała uciec z wyspy. Co ściągnęło tu Japończyków? Słyszała swój szybki, gwałtowny oddech. Wiedziała, że musi jak najszybciej wrócić do kolonii.

Pomóż mi, Fiiz.

W szyję ukłuła ją ciepła stal bagnetu. Czyjaś ręka chwyciła ją od tyłu za włosy, szarpnęła do góry, postawiła na nogi i Connie poczuła zapach zjełczanego potu i skóry. Czyjś głos zasypał ją gradem niezrozumiałych słów. Nacisk ostrza nieco zelżał, więc powoli odwróciła głowę i spojrzała na stojącego za nią mężczyznę. Kiedy tylko spotkali się wzrokiem, ten zabrał rękę i wymachując bagnetem, zrobił krok do tyłu.

Nie wiedziała, które z nich jest bardziej przestraszone. Mężczyzna był młodym Japończykiem o łagodnej twarzy dziecka i miękkich, dopiero co ukształtowanych ustach. Wyglądał na nie więcej niż czternaście lat i pewnie skłamał, żeby przyjęto go do wojska. Czarne włosy pod czapką miał ostrzyżone bardzo krótko, a mundur nowy i prawie nieużywany, jakby jego właściciel pierwszy raz w życiu stał na straży. On nerwowo ścisnął bagnet, a ona gorączkowo próbowała przypomnieć sobie słowa, których nauczył ją Sho.

- *Konnichiwa* - powiedziała. - Dzień dobry.

Japończyk zmrużył oczy. Cofnął się krok dalej i znowu zalał ją potokiem słów, które nic dla niej nie znaczyły. Zamiast na bagnecie, którym wciąż wymachiwał jej pod nosem, skupiła się na jego oczach, ciemnych i wystraszonych.

- *Hai* - rzuciła. - Tak.

Ostrożnie, centymetr po centymetrze, przysunęła się bliżej, jakby chciała lepiej go słyszeć, ale on cofnął się i zaczął zdejmować z ramienia karabin. Jednoczesne manipulowanie karabinem i bagnetem było trudne i częściowo odwróciło jego uwagę, wtedy przypomniała sobie nauczkę, którą dał jej Nurul, i zaatakowała. Zdecydowanie i szybko, kiedy najmniej się tego spodziewał. Uderzyła go pięścią w gardło. Kości ręki przeszył gwałtowny ból i kiedy żołnierz przeraźliwie krzyknął, jak cierpiące dziecko, ogarnął ją głęboki gniew.

Wciąż piskliwie krzycząc, Japończyk zatoczył się do tyłu, ale ona wiedziała, że nie może teraz przestać. Szybkim ruchem chwyciła za karabin i widząc, jak jego oczy rozszerzają się z przerażenia, wyszarpnęła mu go z ręki. Trudniej było odebrać lizaka Teddy'emu. Ujęła za lufę, podniosła do góry i wzięła zamach. Ale ani ona, ani on nie mieli serca do walki. On pochylił się, by uniknąć ciosu, ona zawahała się w ostatniej chwili i oboje stracili równowagę. Skutek był taki, że kolba karabinu tylko trąciła go w pierś i pchnęła do tyłu, ale nieszczęśnik miał pecha, bo potknął się o wystający spod liści korzeń.

Upadł niezdarnie i usłyszała trzask pękającej kości. Japończyk sapnął, szeroko otworzył usta, cicho krzyknął i już wiedziała, że krzyk ten dołączy do innych koszmarów w jej głowie. Nie traciła jednak ani sekundy. Porwała bagnet z ziemi, zarzuciła karabin na ramię i zniknęła w dżungli.

## R O Z D Z I A Ł 34

Szukała Johnniego. Czasem nachodziły ją złe myśli, że się przed nią ukrywa i że ona, Maya, jest tylko brzydkim krabem, który łązi za rajskim ptakiem, ale odpędziła ten obraz i mlaszcząc nogami w błocie, szukała dalej. Johnnie wstawił się za nią, próbował ją ratować. Ryzykował życie dla kraba, kiedy ten wstrętny Badan, który powinien tkwić w szambie po uszy, chciał zacisnąć jej pętlę na szyi.

Tak, Johnniemu na niej zależało. Bo inaczej po co miałby robić coś tak odważnego? Na pewno mu na niej zależało. Ale Johnnie był białym, w dodatku Anglikiem, i nie znał słów miłości. Dlatego codziennie szukała go i przynosiła mu rzeczy, które wyrwała z kleszczy lasu: owoc guaja-wy, rozłożysty czerwony kwiat, motyla złocistego jak jego włosy, pióro z ogona żółtoskrzydłej ary i - to było najlepsze ze wszystkiego - wielkiego homara, którego ukradła z garnka i na którego widok Johnnie aż krzyknął z radości. Zawsze przyjmował jej podarunki z uśmiechem, unosząc złocistą brew, ale nie była pewna, czy rozumie, że... ona się do niego zaleca.

Z tyłu głowy, niczym cień skrzydeł sępa, zawsze czaił się strach, że jej unika, że od niej ucieka. Nauczyła się wchodzić i schodzić z tej głupiej drabiny, oczywiście tylko z zamkniętymi oczami. Teraz mogła zakradać się do chaty, w której mieszkał z grubym tuanem, który nie był już gruby, i zostawiać mu na macie garść owiniętych w liście



orzechów albo cztery papierosy zdobyte od cuchnących piratów w zamian za to, że pozwoliła jednemu z nich pomacać swoje piersi.

Teraz miała w ręku kubek pełen ziaren kawy - zwędziła je z worka, który ładowano na łódź - i uśmiechała się od ucha do ucha, pewna, że Johnnie ją za to pokocha. Chociaż tylko troszkę, troszeczkę. Może nawet na tyle, by ją dzisiaj pocałować? Otworzyła drzwi i zajrzała do psiarni. Izbę wypełniał krzyk i szczekanie psa, który ślizgając się pazurami po podłodze, ganiał od ściany do ściany. Chłopcy wrzeszczeli jak małpy. Tyle hałasu, ale Johnniego tam nie było, była tylko banda tutejszych urwisów. Turlali białą lateksową kulą i zakładali się o papierosy, czy kula zdąży dotoczyć się do ściany, zanim pies ją złapie. Zauważyła tu-ana Teddy'ego, który stał wśród nich z niedopałkiem papierosa w ustach.

- Z drogi, dziewczyno.

Maya aż podskoczyła. Badan. Wszedł do izby na czele grupy mężczyzn z workami na plecach. Był wśród nich Razak, ale nawet na nią nie spojrział, tylko minął ją bez słowa. Poszła za nimi ukradkiem, łypiąc spode łba na brata. Miała ochotę wyrwać go im, tak jak wyrwa się pióro z tyłka chudego koguta. Mężczyźni wrócili z wyprawy łodzią i przyszedli do psiarni podzielić się łupami. To z nimi popłynął Razak? To tym się teraz zajmował? Rzucili na podłogę pękate wory, krzycząc, kłócąc się i wyjmując z nich garście srebrnych widelców i noży, którymi bawili się jak mali gówniarze. Jeden z nich, ten z tatuażami w miejscu, gdzie powinny być uszy, zaczął żonglować łyżkami. Przestał, dopiero gdy Badan przewrócił niechcący worek cukru. Cukier wysypał się i zabłyszczał w słabym świetle jak szklisty pył.

To właśnie wtedy pies stracił zainteresowanie piłką i podbiegł do nich. *Tuan* Teddy natychmiast go zawołał, wydając mu ostry rozkaz. Pies musiał go usłyszeć, bo

drgnęły mu uszy, choć bardziej kusił go cukier. Dzieci dobrze wiedziały, że lepiej nie podchodzić bliżej. Maya widziała, jak wysuwają z ust różowe języki, gotowi zlizać cukier z podłogi, kiedy tylko dorośli odejdą.

- Precz stąd! - Badan kopnął psa.

Pies szczeknął. *Tuan* Teddy krzyknął. Pippin przypadł jednak do podłogi, wrócił do kuszącego kopczyka słodkości, wetknął jednak węń pysk i zaczął łapczywie pożerać cukier. Badan nachylił się, by go odpędzić, ale gdy tylko go dotknął, pies odwrócił łeb i zatopił zęby w jego palcach. Szybko. Skutecznie. Gdyby to była łasica, skrzyłby jej kark.

Badan ryknął. Któryś z młodszych mężczyzn roześmiał się głośno. *Tuan* Teddy skoczył do przodu, ale za późno. Badan chwycił psa za kark i zakrwawioną ręką podniósł go do góry. Maya poczuła strach. Tego młodego mężczyzny. Chłopca. Psa. Cofnęła się w stronę drzwi i cicho zagwizdała, żeby zwrócić uwagę Razaka, żeby wyciągnąć go z miejsca, gdzie gromadziły się cienie. Brat zerknął na nią niespokojnymi czarnymi oczami i ani drgnął. Nikt nie wiedział, co się zaraz wydarzy - nikt oprócz Badana.

A on potrzęsnał psem, machnął nim w prawo i w lewo, a potem podszedł do sznura z pętlą. Młody pirat, ten, który się roześmiał, natychmiast podbiegł do niego skory do pomocy, pewnie po to, żeby Badan zechciał mu wybaczyć ten nieostrożny śmiech. Chwycił kij, ściągnął sznur z krokwi i podał go hersztowi. Maya zadygotała. *Tuan* Teddy zaczął krzyczeć. Inny pirat, ten z potarganą brodą i podłużnymi kocimi oczami, przytrzymał go i wykręcił mu rękę.

- Nie, nie, nie! - błagał *tuan*. - On nie chciał ugryźć, on...

Maya przykucnęła w kącie i zatkała uszy. Po twarzy chłopca spływały łzy. Badan wziął pętlę i zacisnął ją mocno na delikatnym psim gardle. Pippin obnażył kły, warcząc na jego rękę. Herszt piratów spojrział na chłopca nieporu-szony jego udręką, z zadowoleniem wykrzywił twarz i roześmiał się pogardliwie.

- Przestań skamleć, chłopcze! - ryknął po malajsku.  
- Proszę - błagał *tuan*. - Proszę... dam panu...  
- Zamknij się, szczeniaku. Nie masz nic, czego bym chciał.  
- Ale ja mam. Mam coś, co ci się spodoba. - Słowa te padły z jej własnych ust i Maya chciała wepchnąć je tam z powrotem.

Badan zmarszczył brwi i rozejrzał się w poszukiwaniu tego, kto je wypowiedział. Wciąż potrząsał psem, wciąż ścisnął go za szyję i wreszcie ją znalazł.

- Chodź tu! - rozkazał.

Jej nogi się poruszyły. Jej mózg przestał działać. Ale nogi szły same i stanęła przed, nim ze spuszczonej oczami i sercem, które chciało wyfrunąć z piersi, jakby nie było w stanie znieść tego, co je czekało. Przez izbę przetoczył się pomruk głosów, ale ona ich nie słyszała, bo w jej uszach huczały łamiące się na brzegu fale, które wszystko zagłuszały.

- Ty? - warknął Badan. - Co ty możesz mieć?

Maya powoli podniosła wzrok. W izbie byli mężczyźni. Mężczyźni na całym świecie byli tacy sami. Z kłębka paniki w głowie wysnuła nić, która zawiodła ją z powrotem do Fioletowego Misiaczka, i cicho nucąc, zaczęła tańczyć. Inaczej niż Razak, nie z takim wdziękiem. I nie tak, jak od wieków tańczyły na Malajach dziewczęta dla swoich panów i bogów, bez tych klasycznych, szerokich ruchów rękami i nogami. Tylko kusząco pochyliła ramię, zakołysała biodrami i zaczęła więc się wokół Badana jak wąż, podwijając kebaję, trzepocząc rzesami, pokazując mu piersi i kusząco przydymione oczy. Rozchyliła dla niego usta, różowe i zapraszające.

Poczuła na sobie, na piersiach, jego gęsty jak smoła wzrok i ścisnęło ją w gardle. Młodzi wytrzeszczyli oczy -widziała wilgotne wnętrza ich ust - starsi głośno oddychali

i podchodzili bliżej. Otarła się o ramię Badana i przesunęła palcami po strużce krwi od palców do nadgarstka.

Rytmicznie napinała mięśnie,, zmuszając piersi do tańca, aż zobaczyła, że z pożądania wiotczeją mu usta, że jego okulary zachodzą mgłą.

Wyciągnęła rękę do sznura. Pies miał wybałuszone oczy i chrapliwie pokasływał, ale ona tego nie słyszała, bo głos w jej głowie przeraźliwie krzyczał, dopytując się, dlaczego ona, Maya, nie może znieść myśli, że zwierzę może zaraz umrzeć. Chwyliła za sznur. Ale w tej samej chwili czyjaś ręka szarpnęła ją i odciągnęła do tyłu. To był Razak z twarzą pociemniałą z wściekłości.

- Przynosisz mi wstyd, siostró!

Zasłonił kebaję jej piersi i potrząsnął nią tak mocno, że jej kości zatrzeszczały jak gałązki na opał, a myśli zderzyły się ze sobą jak kamienie. Niejasno zdała sobie sprawę, że na polanie ktoś krzyczy, że coś głośno mówi, zobaczyła sylwetki zbiegających się ludzi. I znowu krzyk, tym razem przeraźliwy. Próbowwała myśleć trzeźwo, ale wstyd w oczach brata spalił jej mózg na popiół. Przez szary pył tego popiołu zobaczyła, że Badan zaciska usta i puszcza psa, a ten, rozpaczliwie wierzgając, zawisa na końcu sznura. *Tuan* Teddy rzucił się w jego stronę, ale było za późno. Badan szarpnął psa za ogon i ciało zwierzęcia znieruchomiło.

Herszt, nawet nie spojrzawszy w jej stronę, wytarł okulary i wraz z podążającymi za nim mężczyznami i chłopcami szybko wyszedł na dwór, by zobaczyć, co to za zamieszanie. Ona skuliła się w tym przeklętym miejscu, w tej mrocznej izbie śmierci, patrząc, jak chłopcu sztywnieją ręce i nogi. Stał obok psa, który wisiał na sznurze jak kawał czarnego mięsa, ale nie, nawet go nie dotknął. Szepnął tylko:

- Pippin - i umilkł.

Niemy, bez jednej łzy w oczach. Już nie chłopiec. Maya zobaczyła, że coś w nim umiera, i rozboleło ją serce. Gniewnie wyszarpnęła się Razakowi i już miała podejść do tuana, kiedy brat ruchem głowy wskazał drzwi i powiedział:

- Tuanie Teddy, twoja matka wróciła.

Twarz chłopca wykrzywił bolesny grymas, który szybko zniknął, i *tuan* się wyprostował. Wybiegł z Razakiem na dwór, a ona została sama z martwym psem i swoim wstydem.

Uwierzyli jej. Connie bała się, że pomyślą, iż kłamie -żeby ich nastraszyć. Uwierzyli jej, gdy wpadła na polanę półprzutomna, rozgorączkowana, podrapana, zlana potem i przysięgła, że na wyspie wylądowały japońskie łodzie desantowe. Wokół niej momentalnie wybuchł chaos, bo ludzie rozbiegli się z krzykiem na wszystkie strony i zatęchły zielony świat zakipiał nagle energią. Chwilę trwało, zanim zorientowała się, że jest to chaos uporządkowany.

Łańcuch ludzi podawał sobie zawierające Bóg wie co pudła i kufry, które tym żywym, zdyscyplinowanym taśmociągiem trafiały na molo. Szybkość, z jaką w ładowniach łodzi znikaly skrzynki herbaty, i z jaką stawiano żagle, wskazywała, że cały manewr był wielokrotnie ćwiczony. Oddział mężczyzn ze strzelbami zajmował z góry upatrzone pozycje wokół obozowiska. Na specjalnie wzmocnionych platformach w koronach drzew spod zielonego płótna wychynęły lufy karabinów maszynowych. A przez sam środek tego hałaśliwego zamieszania spokojnie i z opanowaniem szedł Fitzpayne. Kazał ludziom zdjąć pokrywy z dołów-pułapek, podnieść drabiny i ponaciągać sprężyny mechanizmów uwalniających sieci. Kilka łodzi wysłał w górę rzeki, pozostałym kazał uciekać na morze.

- ile? - spytał Connie. - Ile mamy czasu? Jak daleko są?

- Najwyżej godzinę. Biegłam najszybciej, jak mogłam, ale... nie zawsze dobrą drogą.

Nie powiedziała mu. Nie wspomniała, że musiała torować sobie drogę bagnetem, że wpadła w panikę, gdy nagle stwierdziła, że ma słońce za sobą zamiast przed sobą. Ze

wpadła do wąwozu, że przebijała się przez las gigantycznych paproci, że jej nogi zapadały się w czerwonej ziemi jak w ruchomych piaskach. Kiedy chwycił ją mocno w ramiona i przytulił, przywarła do niego całym ciałem.

- Lecisz z nóg - szepnął.

- Nic mi nie jest. Idź, rób swoje.

- Najpierw zaprowadzę was do warsztatu. Pod ziemią będzie bezpieczniej. - Objął ją opiekuńczym gestem i poszli po Teddy'ego.

Kiedy wpadła na polanę, syn podbiegł do niej, rzucił się jej w ramiona, ukrył twarz w brudnej bluzce, a potem cofnął się nagle i bez wyjaśnienia. Stał w cieniu rambuta-nu milczący i bez kontaktu, podczas gdy inni wciągali na platformy skrzynie z granatami. Nie podszedł do nich, nie pomógł. W jego młodziutkiej twarzy coś się zmieniło. Nie było jej ledwie kilka godzin, mimo to z nagłym smutkiem zauważyła, że zniknęło z niej coś cennego. Postanowiła porozmawiać z nim o tym w odpowiednim czasie.

- Chodź - rzuciła. - Zabierz Pippina. Szybko.

On tylko pokręcił głową, więc założyła, że ukrył psa w chacie. Pobiegli gęsiego za Fitzem ścieżką wzdłuż rzeki i wtedy usłyszeli ten dźwięk. Fitz zareagował jako pierwszy.

- Ukryjcie się! Nie wychodźcie na otwartą przestrzeń!

- Samoloty! - krzyknął Teddy. Zadarł głowę. Powietrze zawibrowało od ryku silników. Lecąc tuż

nad wierzchołkami drzew, zaatakowały ich japońskie samoloty. Zagrzecotały karabiny maszynowe.

- Zostań tu! - Fitzpayne pchnął Teddy'ego za pień drzewa. - Nie ruszaj się stąd!

- Fitz!

Pocałował ją w usta. Szybko i niecierpliwie.

- Fitz... - Chciała powiedzieć: Nie odchodź. Nie umieraj. Ale nie powiedziała. Ujęła tylko w dłonie jego twarz i uśmiechnęła się. - Pamiętaj... że cię kocham.

Zobaczyła, że coś się w nim otwiera, jakieś głęboko

ukryte mroczne miejsce. Dotknął czołem jej czoła. Wyglądał tak, jakby bolało go coś w środku.

- Co się stało? - szepnęła.

Przytulił ją. Pogłaskała go po karku, kojąc podrażnione nerwy skóry. Nie miała pojęcia, jakiego demona obudziły w nim te słowa, ale wiedziała, że Fitz jej potrzebuje.

- Fitz - szepnęła - weź mnie ze sobą.

- Nie mogę.

- Nie będę ci przeszkadzała.

Mimo dramatycznej sytuacji uśmiechnął się do niej, chociaż był to uśmiech słaby i krzywy.

- Chciałbym, żebyś przeszkadzała mi przez cały czas, nic lepszego nie mogłoby mnie spotkać. - Wziął ją za rękę i dotknął ustami jej dłoni. - Jestem zachłanny, Connie, ale nie mogę pozwolić, żebyś ryzykowała. Musisz myśleć o synu. - Spojrzał na Teddy'ego. - Zostań z mamą. Opiekuj się nią, dopóki...

Jego ostatnie słowa zagłuszył wybuch, który targnął dżunglą, łamiąc gałęzie drzew.

- Bomby! - krzyknął Fitz.

Kolejne eksplozje. Potężna fala dźwiękowa. Ze wszystkich stron buchnął krzyk i Fitz pchnął ich na ziemię u podstawy pnia.

- Nie ruszajcie się stąd!

Connie objęła go za szyję i pocałowała w usta, mocno i gwałtownie. Fitzpayne uśmiechnął się i zniknął.

Japońskie samoloty nadlatywały jeden po drugim jak stado wielkich czarnych ptaków, których skrzydła rzucały cień śmierci. Connie biegła zygzakiem między drzewami, kurczowo trzymając Teddy'ego za rękę. Fitz kazał im zostać na polanie, ale gdyby go posłuchała, skazałaby na Pewną śmierć i siebie, i syna.

Wokół nich rozpełtał się koszmarny zniszczenia. Wszędzie

leżały powyrywane z korzeniami drzewa, z gałęzi zwisały pajęczyny zerwanych kładek, ziemia była zryta kulami. Ilekroć wybuchała bomba, Connie drżała ze strachu o Fi-tza, ale musiała ukryć Teddy'ego w bezpiecznym miejscu. Biegła do warsztatu, ale pocisk rozłupał podziemną komorę jak orzech, rozrzucając wokół kawałki drewna i ludzkich szczątków.

- Schowaj się tam.

Pchnęła syna w stronę kępy bambusów. Jednak gdy tylko zaczęła chodzić od ciała do ciała, szukając w nich oznak życia, Teddy natychmiast wyrósł u jej boku. Chciał "być z matką i potrzeba ta zagłuszyła wszystko inne. Nie kazała mu wrócić. Ten świat należał bardziej do niego niż do niej. Pomagał jej odrzucać na bok połamane deski, dotykać ludzkich rąk, które robiły się już zimne. Przestali dopiero wtedy, kiedy wyczerpawszy wszystkie możliwości, uznali, że nie ma szans na znalezienie kogoś żywego. I dopiero wtedy Teddy się rozplakał, dopiero wtedy, dając gwałtowny upust rozpaczy, powiedział jej, że Pippin też nie żyje. Objęła go, próbując ukryć gniew.

Jak mam nauczyć go radzenia sobie ze śmiercią, skoro sama z nią sobie nie radzę?

Próbowała go uspokoić, opowiadała mu o jego ojcu i o tym, jak bardzo go kochał, powiedziała, że byłby z niego bardzo dumny. I kiedy łzy przestały wreszcie płynąć, pocałowała go w mokre czoło.

- Kochanie, musimy iść. Musimy stąd uciec. Musimy znaleźć Fitza.

Pobiegli dalej. Kiedy wyszli spomiędzy drzew, poczuła, że synowi drży ręka. Byli na brzegu rzeki, a rzeka stała w ogniu. Z wody, niczym błagalna prośba o pomoc, sterczał koniec skrzydła samolotu.

- To zero - szepnął Teddy. - Nasi zestrzelili go karabinami maszynowymi.

Paliwo rozlało się, zapaliło i w wąskiej zatoce szalały płomienie, które pochłonęły już kilka łodzi. W powietrzu



unosił się dym, słońce ginęło za gęstym szarym całunem. W nozdrza uderzył ich gryzący fetor i natychmiast spojrzeli w stronę „Białej Perły”. Jacht jakimś cudem ocalał, ale na jego pokładzie Connie dostrzegła jakiś ruch. Jak tylko podmuch wiatru rozwiał na chwilę dym, zobaczyła, że tłoczy się tam co najmniej dwadzieścia osób, w tym okularnik Badan.

- Mamusiu, spójrz!

Teddy pokazywał na rufę, gdzie ktoś przygotowywał się do podniesienia kotwicy. To był Henry, Henry Court -uciekał bez nich.

- Zaczekajcie! - krzyknęła, lecz jej głos utonął w hałasie. - Zaczekajcie na Fitzpayne'a!

Wiedziała, że jest za późno. Że jacht popłynie w dół rzeki bez niej. Nie była już panią Hadley, właścicielką „Białej Perły”, kobietą, która wypłynęła z Paluru.

- Teddy - spytała niecierpliwie - jak myślisz, gdzie może być teraz Fitzpayne?

Zaświeciły mu się oczy.

- Tam, gdzie karabiny.

- Czyli gdzie?

- W dole z bronią.

- Prowadź.

Pobiegli przez dym, ale zatrzymał ich nagle widok Mai. Ogarnięta paniką dziewczyna biegała tam i z powrotem po brzegu rzeki, na otwartej przestrzeni. Miała splątane włosy i piskliwie nawoływała brata.

- Razak! Razak!

- Boże, Maya, nie! - krzyknęła Connie i szybko pchnęła syna na ziemię. - Zaczekaj tu - rozkazała i ruszyła w jej stronę w chwili, gdy kolejny japoński samolot nadleciał nad rzekę i otworzył ogień.

## ROZDZIAŁ 35

Kitty nie umiała pływać. Madoc przeklął ją za głupotę. Tysiące razy powtarzał jej, że niebezpiecznie jest mieszkać w kraju otoczonym bezkresnym oceanem i nie nauczyć się pływać.

- Na dno idą tylko ci, którzy umieją - odpowiadała ze śmiechem. - Tacy jak ja nigdy nie wchodzą do wody. Zresztą mam ratownika: ciebie. Nie pozwól mi utonąć.

No i w końcu do tego doszło, tu, na brzegu. Spojrzała na niego smutnymi oczami i powtórzyła:

- Nie pozwól mi utonąć.

Potem objęła rękami deskę, którą jej rzucił, i wskoczyła do rzeki. Przez chwilę młóciła wodę jak nowo narodzone kocię, potem puściła deskę i natychmiast poszła na dno, co śmiertelnie go przeraziło. Chwycił ją za włosy, wyciągnął na powierzchnię i serce zabiło mu znowu dopiero wtedy, gdy wzięła oddech.

- Trzymaj się! - rozkazał. Wsunął deskę pod jej ręce i holując ją za sobą, wypłynął na środek rzeki.

Kitty miała panikę w oczach.

- Pracuj nogami! - krzyknął.

Znowu zaczęła młócić wodę, początkowo niepewnie, potem mocniej. Walczyli z coraz silniejszym prądem. Na powierzchni pływały śmieci, jakieś szczątki i plamy ropy, no i musiał omijać pozostałości po kontrabandzie, które wybuchające bomby wyrzuciły z płonących łodzi: setki butelek brandy i długie zwoje jedwabiu, które owijały im się wokół nóg jak macki.

- Madoc.

- Co?

Kitty połykała wodę i otrząsała się jak mokry pies.

- Nie podoba mi się to.

- Miłości ty moja... - Pływając w miejscu obok niej, przerażony podniósł wyżej jej głowę. - Mnie też nie. Komu by się podobał taki syf?

- Nie... - Żona wypluła muł. - Nie podoba mi się... to. - Ruchem głowy wskazała jacht.

Zmienił się wiatr i „Biała Perła” znowu skryła się częściowo za chmurą dymu z kotwiczącej obok kupy złomu. Kadłuba i błyszczącego białego masztu nie było widać, ale dostrzegł ludzi na pokładzie, którzy najwyraźniej szykowali się do ucieczki i byli teraz tak blisko, że słyszał ich podniesione głosy.

- Dam im radę - zapewnił ją.

- Nie. - Kitty przestała poruszać nogami. Jedną ręką chwyciła go za ramię.

- Ten jacht jest nasz - warknął. - „Biała Perła” jest nam przeznaczona.

- Nie tym razem, Madoc.

- Mówię ci, dam radę...

- To śmiertelna pułapka.

- Nie bądź głupia.

Fala zalała mu twarz. Kitty puściła deskę, objęła go za szyję i pociągnęła w dół. Topili się przez chwilę, ale zdołał wywlec ją na powierzchnię i wreszcie złapali oddech. Deska odpłynęła. Jego strach przeszedł w gniew.

- Cholera jasna, przestaniesz czy nie? Potopimy się przez ciebie!

Kitty drżała. Miała zamknięte oczy i nie wiedział, czy wilgoć na jej twarzy to woda, czy łzy.

- Pułapka - powtórzyła i krew ścięła mu się w żyłach. Z trudem utrzymywał się na powierzchni.

- Nie strasz mnie, dobra?

Zerknął na ogarnięty paniką brzeg. Zobaczył wypada-

jącego z dżungli Fitzpayne'a na czele bandy miejscowych dzieciaków. Wszyscy mieli strzelby. Nad wierzchołkami drzew kolejny samolot właśnie rozpoczynał nalot. Madoc zaklął, chwycił Kitty za rękę, zmienił kurs i zamiast do „Białej Perły” popłynął w stronę „Burung Camara”.

Connie zważyło z nóg. Nie wiedziała co, jak i dlaczego. Bolały ją uszy, z trudem wstała. Rozległ się kolejny wybuch. Zakaszła, wykrztusiła dym z płuc, gwałtownie odwróciła głowę i zobaczyła, jak „Biała Perła” rozpada się na tysiące srebrzystych kawałków, które zawisły na chwilę w powietrzu między życiem i śmiercią, a potem spadły do wody. To było celne trafienie.

Jacht przestał istnieć, tak jak wszyscy jego pasażerowie. Connie wstrzymała oddech, przerażona. Pomyślała o Henrym i nie wiedząc, że płacze, popędziła w stronę Mai. Dziewczyna wciąż przeraźliwie krzyczała, wciąż stała na otwartej przestrzeni, na oświetlonym piaszczystym brzegu, podczas gdy między drzewami przetaczał się ryk silników samolotowych. Connie chwyciła ją za rękę i pociągnęła w mrok lasu, gdzie było bezpieczniej.

Jej przeszywający krzyk rozdzierał uszy. Gdy się wreszcie zatrzymały i obejrzały, Maya zamknęła usta i wydała cichy jęk. Łachę zrytego jej bosymi stopami piasku przecinał równy ścieg dziur po kulach. Maya upadła na kolana, objęła ją za kostki u nóg, ucałowała jej stopy i wytarła włosami łydki.

- *Terimah kasih, terimah kasih, terimah kasih* - wyszlochała. -  
Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

- Mayu, przestań...

- Już bym nie żyła.

- Ale dzięki Bogu żyjesz.

- *Mem* mnie uratowała.

- Proszę, przestań. Muszę.....

- *Mem* jest aniołem.

- Nie. - Connie podniosła ją z mokrej ziemi. - Na pewno nie jestem aniołem. A teraz chodźmy poszukać Razaka. Jeśli jeszcze tu jest, na pewno go znajdziemy.

Strach odziera człowieka z własnego ja. Connie czuła, że rozwiązał wszystkie węzły, które ją trzymały. Patrzyła na zdewastowaną dolinę rzeki, oplakując bezmyślną, niczym nieusprawiedliwioną śmierć tylu ludzi. Strach i smutek: dwie strony tej samej monety. Strach o Fitz, smutek po ł len rym. Strach i smutek rozpięły klamry, które zrobiły z niej cywilizowanego człowieka, i z rykiem buchnęła z niej głęboko ukryta pierwotna wściekłość. Dałaby wszystko za karabin, którym mogłaby obronić syna.

Teddy czekał pod mangrowcami, tam gdzie go zostawiła - pewnie dlatego, że tuż obok stał Fitz z ręką na jego ramieniu.

- Connie! - Miał ciemną, stężałą twarz. - Mało brakowało i by cię zabili.

Usłyszała gniew w jego głosie. Kiedy położył rękę na jej ramieniu, spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że z trudem nad sobą panuje. Pragnęła przyłgnąć do niego, opleść go rękami i powiedzieć, że wciąż tu jest, że żyje, że nadał należy do niego.

- Muszę znaleźć Razaka.

- Razaka?

- Tak. Obiecałam Mai. Fitz zabrał rękę.

- Za bardzo szastasz obietnicami. - Zmarszczył brwi i wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Razak jest bezpieczny.

- Chciał odejść bez słowa wyjaśnienia, myśląc, że za

nim pójdą, lecz zawahał się i odwrócił. Wyglądał strasznie. Miał zmierzwiłone, mokre włosy i rozerwaną, zakrwawioną koszulę.

- Chodź - powiedział. - Proszę cię, Connie.

Jak mogła mu odmówić.

Nurul siedział na ławce, mocno pracując wiosłami, i z każdym ich uderzeniem byli bliżej „Burung Camara”. Miał obandażowaną rękę i unikał jej wzroku.

Naloty na chwilę ustały i właśnie wtedy spod korzeni mangrowca wyciągnął łódkę, którą ukrył tam z Fitzem. Czekali już na nich Johnnie Blake z Razakiem i kiedy podpłynęli do brzegu, wziął chłopaka na barana i wsiadł. Łódka zakołysała się niebezpiecznie i Maya cicho krzyknęła. Jej brat miał głęboką ranę na plecach, ale nawet nie jęknął, tylko spojrzał na nią z ławki.

- Nic mu nie jest - powiedział Johnnie.

- Jest. - Maya wskoczyła do rozkołysanej łódki. Johnnie musiał przytrzymać dziewczynę, żeby nie wypadła za burtę.

- Wsiadaj, Teddy - rzucił Fitz. - Pilnuj mamy.

- Jak to? Nie płynie pan z nami?

- Nie. - Fitz spojrzał na Connie. - Jeszcze nie. Connie nawet nie drgnęła. Przeżyła wstrząs. Fitzpayne

wziął ją za rękę, splatając palce z jej palcami.

- Fitz - powiedziała cicho z pustym, ściśniętym sercem. - Musisz z nami płynąć. Tu jest zbyt niebezpiecznie. Nadchodzą żołnierze, widziałam ich. Oni...

Cię zabijają. Zabijają cię.

Chciała powiedzieć mu dużo, ale nie to.

- Oni niedługo tu będą. - Miała ochotę uderzyć pięścią w tę upartą pierś i gołymi rękami rozerwać jego żelazną wolę.

- Na razie muszę zostać - odparł. Mówił cicho i spokojnie, ale nieruchome oczy wypalały dziury w jej myślach. - Nie martw się, wkrótce do was dołączę. Potrzebują mnie tu.

Żadne z tych słów nie wypełniło czarnej wyrwy w jej piersiach. Kiedy skończył mówić, nie powiedziała: „Potrzebuję cię”, tylko starannie wymazawszy zazdrość z głosu, spytała:

- Długo cię nie będzie? Zaczekam.

- Nie, musisz płynąć.

Jak mogła odpłynąć, skoro połowa jej miała pozostać z nim? Ale nie chciała mu tego jeszcze bardziej utrudniać. Kiwnęła głową i wsiadła do łódki. Nie odrywał od niej oczu i nie odszedł, gdy Nurul odbił i gdy metr po metrze zaczęli oddalać się od brzegu. Stał tam i patrzył na nią, samotna postać pod mangrowcem. Kiedy w końcu ukradła go chmura nawianego przez wiatr dymu, poczuła się tak, jakby jej serce spadło w czarną otchłań.

To właśnie wiatr - który zmienił się nagle jak oddech bogów uciekających przed tymi przekłętymi Japończykami - kazał jej krzyknąć. Potem tego żałowała. Żałowała, że nie zacisnęła ust albo nie zasłoniła ich ręką, żeby krzyk został w środku. Siedząc w malutkiej łódce z Johnniem, który zamiast ją pocieszać jej brata, przestała myśleć. Po prostu zobaczyła Japończyków i krzyknęła.

Wiatr sunął w górę rzeki, unosząc z sobą cały dym. Brzeg zalały nagłe jaskrawe promienie słońca i w tych promieniach zobaczyła kilka szarych mundurów skradających się nad wodą jak szczury. Stalwooki stał dokładnie na ich drodze i zamiast być czujnym i mieć oczy z tyłu głowy, wciąż gapił się na *mem* Hadley, czekając, aż ta bezpiecznie dopłynie do „Burung Camara” i podniesie żagle.

- Idą! - zawyła.

Jej dłoń ścisnęła czyjaś mała ręka. To był *tuan* Teddy. Ścisnął jej dłoń i szepnął coś na pocieszenie. Zaskoczyła ją siła jego palców, które na chwilę wycisnęły z niej cały strach. *Mem* wreszcie zrozumiała, że *Stalwooki* znalazł się w niebezpieczeństwie, krzyknęła i zerwała się z ławki. *Stalwooki* zaczął uciekać, jakby w pięty kasał go lampart, ale zanim zdążył ostrzec przed Japończykami tych w dżungli, zabrzmiał pojedynczy wystrzał.

*Stalwooki* runął na ziemię jak podcięty. *Mem* Hadley nie wydała żadnego dźwięku, ale poczuła, że ktoś wyssał z łódki całe powietrze.

- Zawracaj! - krzyknęła *mem* do *Nurula*. - Zawróć! Szybko!

W odpowiedzi *Nurul* tylko pokręcił głową i wiosłował dalej. *Mem* nie marnowała na niego oddechu.

- Johnnie, pilnuj *Teddy*'ego - powiedziała szybko. Pocałowała syna w głowę, zanurkowała do zielonej wody i popłynęła w kierunku mangrowców.

- Nie! - zawołała *Maya*. - To źle!

*Tuan* *Teddy* zadrżał, trzymając się burty tak mocno, jakby chciał ugryźć ją rękami, a mała, jasna głowa jego matki oddalała się od niego między pływającymi łodziami. *Mem* Hadley była dobrą pływaczką, dobrą i silną. *Maya* zastanawiała się, jak silne serce musi mieć *mem*, żeby zrobić coś tak odważnego i szalonego, i na myśl o tym zachciało jej się płakać. Nie po *Stalwookim*, nie dlatego, że współczuła jej synowi. Nie, chciało jej się płakać dlatego, że temu, kto był tak bardzo kochany, z radości musiało pękać serce. I że jeśli ktoś był tak szczęśliwy, na pewno umierał bez bólu.

*Madoc* to wszystko widział. Stał na pokładzie „*Burung Camara*” i z cichym przekleństwem przyjął do wiadomości, że bez *Nurula* nie odpłyną.



- Cierpliwości - wymamrotała mu do ucha Kitty. -Nurul to łatwy cel.  
- Nie pleć głupstw. Jest bystry i ostry jak noże, które tak lubi. I wiernie służy Fitzpayne'owi.

- Nie jestem tego pewna.

Spojrzał na nią. Kitty odgarnęła z twarzy mokre włosy. Ta kobieta wciąż potrafiła go zadziwić. Sprawdził, skąd wieje wiatr, i poluzował żagiel. Chciał odpłynąć, zanim żółtki dotrą do obozowiska i przekonawszy się, że zostało doszczętnie zburzone, zajmą się łodziami. Zastrzelili przynajmniej tego sukinsyna Fitzpayne'a, zawsze to coś.

- Spójrz! - zawołał. - Już płyną. Nasz pilot i te dzieciaki.

Dużo by dał, żeby podnieść kotwicę wcześniej, ale Nurul zostawił na pokładzie trzech swoich ludzi, w dodatku uzbrojonych. Nie był głupi.

- Jeśli Razak zobaczy, że wygrywamy, przejdzie na naszą stronę - powiedziała z przekonaniem Kitty. - A Nurul będzie potrzebował małej... zachęty.

- Jakiej?

Łódka uderzyła dziobem w burtę.

Kitty stłumiła śmiech.

- Ja już wiem, a ty się dowiesz.

Kiedy Nurul wszedł na pokład, Madoc miał ochotę wepchnąć lufę pistoletu w jego błyszczące od złota usta.

## ROZDZIAŁ 36

Connie ukryła go. Głęboko, w kępie ostrych leśnych traw, które zamknęły się nad nimi jak parasol.

- Szybko - powiedziała. - Musimy szybko. Oparł się o nią, gdy zdejmowała mu koszulę.

- Na bandażę - wyjaśniła.

Kiwnął głową i wyjął nóż z pochwy u pasa.

- Nie powinnaś była wracać.

Odezwał się pierwszy raz, odkąd zabrała go z brzegu rzeki. Obejmując go jedną ręką i podtrzymując, zawlekła go do splątanego świata dżungli, by poszukać schronienia w wilgotnym mroku. Wiedziała, że w każdej chwili może paść kolejny strzał, że w każdej chwili może przebić ją ostrze bagnetu. Sporadyczny ogień piratów, którzy pozostali w koronach drzew, na kilka minut przygniótł Japończyków do ziemi, a ona skrzętnie ten czas wykorzystała.

Pracowała szybko. Zaszło jej jednak w ustach, a wargi nie chciały odkleić się od zębów i coś dziwnego działo się z jej oczami. Przez cały czas widziała zielone światełka, które migotały jak szmaragdowe świetliki, zniekształcając obraz. Nie wiedziała, że strach można odczuwać w taki sposób, że lęk może być jak choroba. Fitz krwawił z rany na udzie. Gdy ją obejrzała, jej własna krew omal się nie ścięła.

- Kula przeszła na wylot - powiedział. - Mam szczęście.

Szczyście? Podniosła wzrok i spojrzała na jego twarz. Miał napiętą skórę, ciemne plamy bólu pod oczami i rozszerzone źrenice. Tylko usta lekko się uśmiechały. Wyjęła nóż z jego ręki.

- Nie powinnaś była wracać, Connie - powtórzył.

- Jak mogłam nie wrócić?

- Chciałem, żebyś uciekła z synem.

- I zostawiła cię tu, żebyś mógł bawić się pistoletami beze mnie?

Roześmiał się i była mu za to wdzięczna. Ten śmiech przeniknął do jej głowy i rozproszył strach. Obcięła rękawy koszuli i zrobiła z nich dwa tampony. Przycisnęła jeden do rany wlotowej i przewróciła Fitzę na brzuch, by obejrzeć wylotową. Cicho sapnęła. Wylotowa wyglądała znacznie gorzej.

- Pospiesz się - syknął niecierpliwie. Przycisnęła tampon, tamując krwawienie.

- To nie arteria. -

- Czyli zwykłe draśnięcie.

- Powiedzmy. - Obwiązała mu udo resztą koszuli.

- Wiesz, jak to jest umierać z samotności? - spytał. Podniosła wzrok.

- Właśnie tak się czułem - wymamrotał. - Kiedy odpływałaś z Nurulem.

Dotknęła jego palców.

- Ale wróciłam, więc chyba już znasz odpowiedź. Gdzieś niedaleko gruchnęło kilka wystrzałów.

- Szybko! - powiedział. - Nurul po nas przybędzie. Mamy umówione miejsce na wypadek nagłego niebezpieczeństwa. Mały cypel po drugiej stronie wyspy.

Przed jej oczami znowu stanęła obojętna twarz Nurula w łódce.

- Może dalibyśmy radę dopłynąć do „Burung Camara” wpław? Tam jest Teddy...

Niecałe sto metrów od nich rozległy się krzyki.

- Przykro mi, Connie - szepnął. - Już za późno. Nie

zdążylibyśmy. Nurul nie podpłył do brzegu, na którym roi się od Japończyków, nie jest głupi. Kiedy zrobi się ciemno, popłył na cypel. Pomóż mi wstać. Wzięła go pod rękę.

- Nie możemy zostać tutaj? Ukryć się w trawie i poczekać do wieczora?

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Znaleźliby nas po śladach krwi.

O tym nie pomyślała. Odruchowo popatrzyła pod nogi. Tak, śladów było bardzo dużo.

- Chodźmy.

- Jesteś bardzo dzielna - rzucił krótko i zwyczajnie.

Po jego twarzy poznała, że rozumie, ile dla niego zostawiła, jak rozpaczliwie pragnęła wrócić do syna. Położyła rękę na jego nagich plecach, on wsparł się ciężko na jej ramieniu i ostrożnie ruszyli przez trawę, która falowała nad nimi na wilgotnym wietrze od morza. Chciała mu powiedzieć, że nie jest dzielna, że kiedyś zostawiła martwego mężczyznę na brzegu rzeki i że nie zamierza dopuścić do tego ponownie. Chciała mu powiedzieć, że tym razem będzie inaczej, że jemu nie pozwoli umrzeć.

Tylko chciała. Słowa pozostały w głowie jak ciężkie kamienie, a ona powiedziała jedynie, że jeśli nie będzie kuśtykał szybciej, do wieczora skończą jako pokarm dla ryb.

Znał dżunglę jak własną kieszeń. Była jego domem. Prowadził Connie przez ukryte parowy i zwarte ściany zieleni, prowadził ją ledwo widocznymi ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta, którymi szło się trochę łatwiej. Im dalej w głąb wyspy, tym więcej było much i pijawek, tym powietrze stawało się bardziej wilgotne, aż wreszcie zyskało ciężką, niemal cielesną powłokę, którą mogłaby kroić nożem.

- Musisz odpocząć.

Ilekcroć to mówiła, patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Tym razem się uparła.

- Nie chcę, żebyś wykrwawił się na śmierć.

- Nie zamierzam umierać - odparł. - Przynajmniej na razie.

Powiedział to spokojnie, ale w jego oczach dostrzegła coś okrutnego. Uklękła.

- Co się stało?

Spojrzał na nią znużony i zacisnął powieki, jakby chciał odciąć się od świata. Uświadomiła sobie, śmierć ilu przyjaciół widział tego dnia.

- Japończycy nie zaatakowali nas przypadkowo. Musieli mieć dobry powód, żeby tu przyplłynąć.

- Jak to?

- Coś... Ktoś musiał dać im cynk.

- Ale kto?

- Myślę, że ten śmieć Madoc.

- Co takiego? Nie, nie zrobiłby czegoś tak...

- Ciii. - Przytknął palec do jej ust i uśmiechnął się słabo. - Za bardzo wierzysz w ludzi, Connie. - Pogłaskał ją kciukiem po policzku. - Nie wszyscy są tacy jak ty.

- Ale dlaczego miałyby to zrobić?

- Mówiłem ci o tym japońskim pilocie, którego znalazłem w ładowni „Burung Camara”. Pamiętasz?

Kiwnęła głową.

- Myślę, że to Madoc poderżnął mu gardło. Rozdziawiła usta.

- Nie.

- Podejrzewam, że pod osłoną ciemności popłynął szukać tam nadajnika. I musiał go uciszyć.

- Jakiego nadajnika?

- W ścianie ładowni ukryłem krótkofalówkę. Madoc musiał dowiedzieć się o tym od kogoś z załogi i z jakichś powodów postanowił nawiązać z kimś łączność. Rano widziałem, że był niespokojny.

- Nie, nie wierzę. Nigdy nie wydałby nas Japończykom. On ich nienawidzi. Może to Nurul? Może to on zabił tego pilota?

Fitz roześmiał się krótko.

- Nie, na pewno nie Nurul. Connie, duszę człowieka poznaje się po tym, co widać w jego oczach, nie po jego mętnych słowach. Nie mówię, że Madoc zdradził nas celowo i świadomie, ale Japończycy monitorują cały ruch radiowy. Mógł nawiązać łączność z kimś w Singapurze i powiedzieć mu o wyspie.

Connie zasłoniła ręką usta.

- Naprawdę myślisz, że to on? Fitz pochylił się i ucałował jej dłoń.

- Naprawdę.

- Biedny Henry odszedł - powiedział Johnnie, z posępną miną ciągnąc za koniuszek ucha. - Odfrunął jak ptak. Niech spoczywa w pokoju. - Chyba było mu niedobrze.

Odszedł? Odfrunął jak ptak?

Madoc jęknął. Co tych ludzi napadło? Dlaczego mówili szyfrem? Nie mogli powiedzieć tego normalnie, prosto z mostu?

- Japońska bomba rozerwała go na strzępy. - O właśnie tak. Wyłożył kawę na ławę, tak jak trzeba. Chłopak aż drgnął. - Spokojnie, mały. Twojej matce nic nie będzie. Firzpayne na pewno zaprowadzi ją w bezpieczne miejsce.

Akurat. Pewnie oboje już nie żyją. Leżą w dżungli po-szatkowani kulami i mrówki wyjadają im oczy.

- Proszę - jęknął pacan. - Musimy po nich wrócić.

- Za późno. Rozejrzyj się.

„Burung Camar”, pod pełnymi żaglami i z pustą ładownią, śmigał po wodzie jak kot z płonącym ogonem. Nurul wyciskał z łodzi, ile się dało, chcąc ukryć się gdzieś,

zanim od strony słońca znowu nadlecą z rykiem japońskie samoloty. Mieli nieprzyjemną falę od dziobu, choć wiejący od północnego zachodu świeży wiatr rozdymał wszystkie osiem żagli, szybko unosząc ich poza zasięg lornetek. Ma-doc poczuł, że nareszcie opadają mu włoski na karku.

Nurul był małomówny, i bardzo dobrze. Nic nie powiedział swoim pasażerom. W jego trzyosobowej załodze było dwóch piratów, z którymi grał w karty na „Białej Perle” podczas remontu, i jeden nowy, Jawajczyk o złocistej kobiecej skórze i wielkim brzuchu, który trząsał się, kiedy facet się śmiał. A śmiał się, ilekroć zagadywał go jakiś biały. Raczył rozmawiać tylko z Razakiem, który właśnie przyszedł do nich z wiadomością, że wieczorem wrócą na wyspę.

- Nie ma mowy - powiedział stanowczo Madoc. - Ja nie wracam. Tam się roi od żółtków.

Z ust Teddy'ego wyrwało się pełne desperacji: - Tak!

Do Madoca podszedł Johnnie, porucznik pilot Blake. Podszedł i odciągnął go na bok. Madoc dobrze wiedział, co jest grane.

- Posłuchaj, Madoc, nie chodzi tylko o Teddy'ego. Pani Hadley i pan Fitzpayne należą do...

Przez jedną okropną chwilę Madoc myślał, że powie „dywizjonu”.

- ...naszej drużyny, a my nie zapominamy o swoich. To niehonorowe.

- Na miłość boską, człowieku! Oni już pewnie nie żyją.

- To możliwe, tak. Chociaż mam nadzieję, że żyją. Są bardzo... - Zawahał się, szukając odpowiedniego słowa. - Zaradni.

Zaradny Fitzpayne - Madocowi przychodziły do głowy lepsze określenia, choćby „wredny” i „krwawy”. Japończycy powinni powitać go z otwartymi ramionami.

- Proponuję - ciągnął pilot - przedyskutować to z Nurulem. Mówi pan po malajsku, więc...

- Nurul nie należy do ludzi otwartych na sugestie, panie poruczniku. Jeśli chcemy, żeby zmienił zdanie, musimy go zabić.

- Boże święty, Madoc. Jest pan barbarzyńcą.

- Ale żyję. Tylko to się liczy. I zamierzam jeszcze trochę pożyć.

- Pan i pańska żona zawsze możecie odejść. Jestem pewny, że Nurul chętnie wysadziłby was na brzeg, na jakąś wyspę, gdzie moglibyście poszukać schronienia.

W jego głosie pobrzmiwało pragnienie - skrzętnie ukryte pod warstewką grzeczności - pragnienie, by pozbyć się go na dobre. Gdzie twoja klasa, człowieku? Masz porąbane poczucie wartości. Rozgoryczenie wgryzło mu się w ciało jak czarna pijawka i poszukał wzrokiem Kitty. Stała trochę dalej, na rufie, i głowa przy głowie rozmawiała cicho z Nurulem. Była od niego wyższa i dwa razy szersza, ale twarz miała jasną i bez jednej zmarszczki, promienną i zachwyconą. Nurul ciągle zerkał na jej obfity biust i oblizywał usta, a ona ocierała się tyłkiem o maszt jak suka w rui.

Madoc przesunął ręką po uchwycie ukrytego za pasem pistoletu - stal była miła w dotyku, twarda, brutalna i bezlitosna. Tak jak on. Uśmiechnął się z satysfakcją, wiedząc, że nareszcie nadszedł ten dzień, że dzisiaj to zrobi. Więc dlaczego kiedy spojrzał na Kitty i zobaczył, że prawie wepchnęła biust w złotą paszczę Nurula, dlaczego zrobiło mu się niedobrze?

- Powiedzieć ci, dlaczego Nurul pomaga i zawsze będzie pomagał Fitzpayne'owi? - spytała Kitty, jedząc brzoskwinie.

Pokręcił głową. Nie chciał tego wiedzieć. I nie podobało mu się, że Nurul dzieli się z nią nie tylko brzoskwiniami, ale i swoimi tajemnicami. Ciekawe, czy w ramach rewanzu ona dzieliła się z nim swoimi.



- Nie dąsaj się, Madoc. Wyglądasz jak pięcioletni gówniarz.

Roześmiała się swobodnie, odchylając do tyłu głowę, na co siedzący na rufie Nurul podniósł swoją, jakby był dostrojony do jej głosu. Tylko oczy Kitty się nie śmiały. Były markotne, wycofane i śmiertelnie go przeraziły.

- Nie - mruknął. - Nic nie chcę wiedzieć.

- I tak ci powiem.

Niebo było cynobrowe i jej włosy płonęły w promieniach zachodzącego słońca. Powoli zapadał zmierzch. Nurul przygotowywał się do podniesienia kotwicy i wypłynięcia z ujścia rzeki, gdzie wślizgnęli się, by doczekać wieczoru.

- Niósł jego żonę - powiedziała Kitty.

- Kto?

- Fitzpayne. Żonę Nurula. Była w zaawansowanej ciąży i miała silne bóle, więc zaniósł ją na plecach do szpitala. Szesnaście kilometrów przez dżunglę. Nurul był wtedy na morzu.

Nie, Madoc nie chciał wiedzieć nic więcej.

- Przeżyła - ciągnęła bezlitośnie Kitty - i urodziła mu zdrowego syna. Ale pięć lat później oboje umarli na malarię.

- Więc Nurul nie ma żony? To pewnie szuka nowej.

- Na miłość boską, nie bądź idiotą.

On jednak nie czuł się idiotą. W twarzy żony czaiło się coś mrocznego i porażającego.

- O co chodzi, Kitty?

Spojrzała na niego oczami jak krople błyszczącej oliwy na coraz czarniejszym tle.

- Nurul mówi, że wydałeś nas Japończykom.

- To jakiś obłąd! Dobrze wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił.

- Wiem. - Unikała jego wzroku.

- To dlaczego, do cholery, wierzysz jemu, a nie mnie? Spojrzała na młodą Malajkę, która stała obok Blake'a, Psując mu ramię swoimi małymi chętnymi rękami.

- Wierzę mu...

Mówiła spokojnie, ale on wolałby, żeby krzyczała, żeby uderzyła go, tak jak robiła to przedtem, w tysiącach kłótni, które mieli na koncie.

- ...bo cię widział.

- Że co?

- Widział, jak wchodziłeś w nocy na łódź. Widział pilota z podejrzanym gardłem, wie, że majstrowałeś przy radiostacji. - Wreszcie spojrzała mu prosto w oczy. - To byłeś ty?

- Tak, ja. Do tego się przyznaję. Japoniec mi przeszkadzał. Mówiłem ci, że władze w Singapurze są gotowe zapłacić grubą kasę za informację o tej wyspie, o tym, co tu jest. Więc...

- Przechwycili ją. Przechwycili twoją wiadomość. Japończycy. Tak się dowiedzieli. Wszystko to stało się przez ciebie, tylu ludzi zginęło, tyle dzieci. Tyle śmierci, tyle zniszczeń tylko dlatego, że mało ci było jachtu. Chciałeś mieć więcej, musiałeś. Boże, jakiś ty chciwy. Och, Madoc, Madoc...

Nigdy dotąd tak do niego nie mówiła. Nie chodziło o słowa - nieraz obrzucali się gorszymi - chodziło o rozpaczliwy smutek w jej głosie, nieuchronność w oczach. Madoc poczuł, że strach skręca mu kiszki. Chwycił ją za rękę.

- Kitty, ja nie chciałem. Przecież wiesz, że nienawidzę Japończyków tak jak ty, zwłaszcza teraz. - Umilkł.

Kitty pokręciła głową.

- Musimy pozwolić Nurulowi wrócić po Fitzpayne'a i panią Hadley.

- Nie, wykluczone. Umówiliśmy się, Kitty.

- Wiem, że to ryzykowne, ale dość, wystarczy już tego. -Dotknęła jego piersi tuż nad sercem i posłała mu dziwny uśmiech. - Spróbujmy coś z tego ocalić. Ten chłopiec potrzebuje matki.

- A ja ci mówię, że tam nie wrócimy.

Cofnęła się w aksamitny mrok, który powoli wkładał się na pokład.

- W tej sprawie ma coś do powiedzenia i Nurul. -Wzruszyła ramionami. - Pewnie gdybym go ładnie poprosiła, mógłby się jeszcze zastanowić...

- Nie - warknął. - Nie waż mi się do niego zbliżyć. Nie chciał, żeby się tak stało. Nie chciał robić tego sam,

bez niej, bez obstawy. Mimo to podszedł bez słowa do Nurula, który związał akurat linę, słuchając, jak niecierpliwie mówi coś do niego dzieciak Hadleyów. Wyjął pistolet i wycelował w pierś pirata.

- Podnoś te pieprzone skrzydła. Wypływamy. Czujne oczy Nurula spojrzały na niego, potem na lufę, potem znowu na niego. Błysnęły złote zęby.

- Dokąd?

- Do Indii.

Weszli wyżej, by minąć środek wyspy. Wszędzie zawisła mgła jak oddech samej ziemi, tłumiąc panującą w dżungli wrzawę. Nadawała liściom metaliczny połysk i wysysała jaskrawe kolory ze skrzydeł motyli, zmieniając je w wirujące w powietrzu duchy. Connie zrobiła dla Fitz'a kulę z gałęzi, ale widziała, że każdy krok kosztuje go coraz więcej wysiłku. Nadeszła pora na kolejny odpoczynek.

- Myślisz, że Japończycy zajdą aż tak daleko?

- Tak - odparł. - Boję się, że tak. Przykro mi, Connie, na tej wyspie nie będzie już bezpiecznie. Oni są bardzo dokładni. Świetnie walczą w dżungli. - Powiedział to z respektem w głosie.

Usiedli obok siebie na głazie u podstawy małego wodospadu, z nogami w sadzawce zielonej wody. Znowu obmyła mu rany i przepłukała czerwone od krwi bandaże.

- Zmienił się cały twój świat - powiedział cicho i przytulił ją do siebie.

Objęła go opiekuńczym gestem, czując, jak ciepło jego ciała wnika głęboko w jej skórę, stając się jej częścią.

- Nie tylko mój, Fitz. Oboje wiemy, że to koniec dominacji Zachodu na Dalekim Wschodzie. Brytyjskie imperium zaczyna się rozpadać i wszyscy będziemy musieli się zmienić, chcemy tego czy nie.

Pocałował ją w skroń i poczuła, że wdycha jej zapach, zapach potu, brudu i strachu.

- Podoba ci się to, ta konieczność zmian?

Zadał to pytanie obojętnie, jakby z przelotnej ciekawości. Ona jednak dobrze wiedziała, o co mu chodzi, jak bardzo jest to ważne. Splotła palce z jego palcami.

- Nienawidzę, kiedy ludzie się zabijają - odparła żarliwie. - Cały ten ból i okrucieństwo wprawiają mnie w taką wściekłość, że mogłabym...

- Z trudem urwała, nie chcąc ujmować w słowa gniewu szalejącego w jej duszy. Podniosła głowę z jego nagiego ramienia i już spokojniej dodała: -Czas jest nieubłagany, Fitz. Nie da się go schwytać, zatrzymać i odwrócić. Wszystko idzie naprzód tak szybko, że nie ma sensu mówić: jak śmiesz mnie zostawiać? My też musimy iść naprzód.

- I ty to właśnie robisz? Idziesz naprzód? Zaczerwieniła się, poczuła, że ma gorące policzki.

- Muszę, kocham mojego syna - odrzekła bezbarwnym głosem, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Wiem.

Jego twarz złagodniała, straciła całą surowość i przez chwilę wyglądał tak, jak musiał wyglądać jako mały chłopiec. Spróbował stanąć na zdrowej nodze, ale mu nie pozwoliła. Był wyczerpany. Bez względu na to, co mówił, nie wierzyła, żeby japońscy żołnierze mogli zajść tak daleko.

- Czy jako chłopiec byłeś nieposłuszny? - spytała nagle. - Jaki byłeś? Rozbawiła go. Najpierw uśmiechnął się lekko, potem się roześmiał.

- Bardzo rozrabiałem.

- Tak myślałam. Mówiłeś, że urodziłeś się nad brzegiem morza, ale nie powiedziałeś gdzie.

- Tu, na Filipinach. Moi rodzice mieli cyrk...

- Cyrk? - Roześmiała się wesoło i ochlapała go wodą. - Pewnie byłeś akrobatą i występowałeś na latającym trapezie.

- Coś w tym stylu. - Jego stalowe oczy rozbłyły na niebiesko. - Skakałem z wysokiej platformy do małego basenu. - Nagle jego twarz zamknęła się jak ostryga i szybko dodał: - Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym w Szanghaju, kiedy miałem dwanaście lat, i odesłano mnie z powrotem do Anglii, do wujka, który zapisał mnie do szkoły dla chłopców w Harrow. Nazywał mnie malaj-ską małpą i próbował, naprawdę próbował zrobić ze mnie cywilizowanego angielskiego dżentelmena.

- Widzę, że bez wielkich sukcesów - powiedziała z uśmiechem.

Uniósł brew. Rozbrzmiewający echem grzmot działał start uśmiech z jego twarzy. Connie zadrżała mimo otępiającego upału.

- Dużo ich - wymamrotał Fitz.

Zamknął oczy i bojąc się, że wpadnie do zielonej sadzawki u ich stóp, objęła go, przytrzymała i przywarła do niego całym ciałem.

- Wesprzyj się na mnie - szepnęła. Ścisnął ją za rękę.

- Dowiedziałem się wczoraj, że Singapur się poddał. Generał Wavell wprowadził politykę spalonej ziemi, kazał wysadzić w powietrze fabryki i spalić magazyny, żeby nic nie wpadło w ręce japońskich najeźdźców. Bombardowania były tak silne, że miasto leży w gruzach.

- Boże, biedny Singapur...

- 18. Dywizja Piechoty, ich najlepsi żołnierze, ci spod znaku chryzantemy, pokonali cieśninę Johor i zdobyli wyspę o szóstą wieczorem w zakładach Forda w Bukit Timah generał Yamashita przyjął bezwarunkową kapitulację

naszych wojsk. - Stwardniał mu głos, zdawało się, że każde słowo ociera się z chrobotem o zęby. - Do niewoli trafiło sto trzydzieści tysięcy żołnierzy. To największa kapitulacja w historii Wielkiej Brytanii.

Connie zalała fala wstydu. Oboje wiedzieli, że zdarzyło się niemożliwe. Zadrzała, a on łagodnie przytulił jej głowę do piersi, czekając, aż ból minie. Pomogła mu wstać. Wsunęła się pod jego ramię - idealnie pasowali do siebie wzrostem - i poszli dalej, by znowu przedzierać się przez dżunglę. Przez cały czas w uszach słyszała bicie jego serca i wypowiedziane przez niego słowa.

Lunał deszcz, gęstymi, rzęsiстыми strugami. Ziemia zrobiła się śliska i zboczem wzgórza zaczęły spływać zdradliwe strumienie błota. Jediną ulgą było to, że ulewa przepłoszyła natrętne muchy i uciszyła gibony na drzewach. Nie uciszyła jednak japońskich żołnierzy, karabinowych wystrzałów, które coraz częściej przebijały się przez monotony szum deszczu.

- Posłuchaj. - Fitz oparł się o pień drzewa. Ciężko oddychał. Ścisnęła go mocniej za mokre ramię. Miał gorącą skórę. - Nurul nie wypłynie przed zmrokiem, nie zaryzykuje.

- Jak daleko jest stąd do cypla?

- Godzinę. - Spojrzał na chorą nogę. - Może więcej.

- To dobrze. Możemy się gdzieś schronić. Musisz dać odpocząć nodze i uciec z deszczu, bo...

- Bo?

Rozmawiali szeptem, chociaż bębnienie deszczu zagłuszało wszystkie odgłosy.

- Bo... - Przytuliła mokry policzek do jego policzka.

-Bo będę musiała cię rozebrać.

Roześmiał się cicho i zrobiło im się trochę cieplej. Nie spytała, dlaczego tak bardzo wierzy w Nurula. Musia-

ła wierzyć w to, co on, bo jej syn był na pokładzie łodzi i tylko tak mogła do niego wrócić. Dlatego posadziła Frifza pod drzewem - nie zważając na jego protesty - i ściąwszy nożem garść olbrzymich paproci i liści palmowych, zaczęła go nimi owijać, aż zniknął w zielonym kokonie. Wtedy wpełzła do środka, usiadła obok niego, osłoniła ich od góry kilkoma dużymi, błyszczącymi liśćmi i pierwszy raz poczuła się bezpiecznie. Wiedziała, że to tylko iluzja. Ale była to iluzja, w którą mogła i chciała wierzyć.

Ciepło i namacalność jego ciała kołły chaotyczne myśli. Teraz mogła myśleć o synu bez lodowatej paniki. Nurul, przysięgam, że gdybym wiedziała, nigdy bym cię wtedy nie dźgnęła... Fitz musiał wyczuć jej rozpacz, bo objął ją i mocno przytulił, jakby chciał, by w niego wniknęła i poczuła się bezpieczniej. Obydwoje milczeli. Odpoczywali. Dotykali się głowami, a on jedną ręką osłaniał chorą nogę.

- Fitz - szepnęła w końcu. Na jej kolano kapały krople deszczu. - Jeśli tobie uda się wrócić na „Burung Camara”, a mnie nie, wyślesz Teddy'ego do moich rodziców w Anglii? Dopilnujesz, żeby tam bezpiecznie dotarł? Mieszkają w Compton Bassett w Wiltshire. Harringtonowie, tak się nazywają.

Poczuła, że zadrżał. Długo nie odpowiadał i zastanawiała się już, czy o za wiele go poprosiła, ale nie, wziął jej rękę i przycisnął mocno do serca.

- Nie pozwolę ci umrzeć. Powiedz to swojemu synowi.

- A jeśli umrę?

- Nie umrzesz.

- Pamiętaj - powtórzyła. - Campton Bassett. Harringtonowie.

Cicho prychnął i już się nie odezwał.

Mierzyła upływ czasu. Liczyła uderzenia serca. Fitz miał zamknięte oczy i płytki oddech, ale wiedziała, że nie śpi, bo po prostu to czuła, jakby jego mózg był połączony z jej mózgiem. Zwinięta w kłębek w zielonym kokonie, obserwowała dżunglę przez szparę między liśćmi, nasłuchu-

jąc w deszczu kroków żołnierzy. To dziwne, bo mimo strachu przed tym, co ich czekało, mimo rozpaczliwej tęsknoty za synem, zdarzyło się coś zdumiewającego: zalała ją fala szczęścia i zasnęła z głową na ramieniu Fitz'a.

Obudziła się z jego palcem na ustach. Cicho syknął do jej ucha. Przez szparę zobaczyła mundury, szare i złowrogie. Z sercem w gardle, w pierwszej chwili chciała zerwać się na równe nogi i uciec, ale mocno ją trzymał. Zobaczyła nóż w jego ręku i przeklęła szarego wroga, który nie zważając na deszcz i dżunglę, maszerował przed siebie tak szybko i wytrwale. Żołnierze poszli dalej, ale on jeszcze długo siedział bez ruchu. W końcu zburzył kokon, chwycił ją za rękę i ze stężałą twarzą pokuśtykał w dżunglę.



## R O Z D Z I A Ł 3 7

W kark dźgnęła ją lufa karabinu. Connie nie krzyknęła. Nie poruszyła się. Gardłowy krzyk potwierdził to, czego już się domyśliła: że to lufa japońskiego karabinu.

Fitz, nie wracaj po mnie. Uciekaj.

Od krzyża po podstawę czaszki przeszedł ją dreszcz przerażenia. Powiedziała jednak spokojnie:

- Dzień dobry, *konnichiwa*. Mam na imię Connie. -1 odwróciła się ostrożnie.

Deszcz ustał. Ukrywała się pod skalnym nawisem nad widniejącym w dole brzegiem, niedaleko cypla, który wrzynał się w morze jak palec. Kiedy wyszli z mrocznej dzungli, kiedy zobaczyła te jaskrawe kolory i usłyszała szum fal omywających oślepiająco białą plażę, omal się nie rozpląkała. Ten cypel i morze były drogą do wolności, do jej syna.

- Już tu byli - powiedział Fitz, gdy położyli się na brzuchu w zaroślach. Wskazał długie rzędy śladów na piasku.

- Nurul?

Pokręcił głową. Zobaczył bezgraniczny smutek w jej oczach i nagle chwycił ją za włosy. Zaczął potrząsać jej głową, mocno, energicznie, w tę i we w tę, jakby chciał wytrząsnąć z niej całą rozpacz. Zaszokowało ją to i jego gwałtowność. Jakby nie mógł już znieść cierpienia. Potem Przyciągnął ją do siebie i gwałtownie pocałował.

- On przyplynie - powiedział. - Nurul przyplynie. Ukrywali się aż do zmroku. Nie chciał, żeby zmieniła

mu opatrunek na nodze, tylko tulił ją do siebie i cicho przemawiał, aż jego myśli stały się jej myślami. I zrozumiała, że obwinia siebie za to, że znalazła się w tak strasznej sytuacji.

- To była moja decyzja - szepnęła. - To ja chciałam tu wrócić. - Zlizwała sól z jego skóry. - To ja.

- Nie powinienem był przywozić was na tę wyspę. Myślałem, że będziecie tu bezpieczni, ale żałuję, że nie zostaliście w Palurze.

- Gdybyś mnie tam zostawił, już bym nie żyła. Nie tylko z powodu Japończyków.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował we włosy.

- Śmierć jest czasem lepsza od piekła.

Podniosła głowę. Twarz miał w cieniu, ale czuła, jak serce dudni mu w piersi.

- Jesteś w piekle, Fitz? - spytała cicho. Uśmiechnął się szeroko.

- Nie. - Objął ją mocno. - Bliżej nieba pewnie już nie będę.

- Nie bądź tego taki pewny.

Cicho szepcząc, pchnęła go na plecy, na parującą z gorąca piaszczystą ziemię, pocałowała w usta, potem w grube ścięgna jego szyi, jeszcze potem w szeroką pierś. Była słona, biła z niej siła i upór. Zsunęła bluzkę z ramion. Zobaczyła, jak z pożądania rozszerzają mu się źrenice, gdy czule pieścił jej piersi, badał palcami kremową skórę i sunął dłońmi po krągłościach ciała, a z jej gardła wydobywał ciche, intymne dźwięki.

- Connie... - powiedział głosem nabrzmiałym i chrapliwym. Odsunął ją od siebie i przytrzymał. - Connie, nie chcę tak, tak szybko, ukradkiem, tak rozpaczliwie... -Urwał.

Początkowo myślała, że coś go zabolalo i szybko się podniosła, ale on wciąż leżał nieruchomo. Nasłuchiwał, oczy miał czujne i skupione. Pochyliła się i stoczyła z niego na ziemię. Wciąż słyszała tylko szum fal i hałaśliwy krzyk ozywionych po deszczu ptaków.

- Są tu - szepnął Fitz.

- Gdzie?

- Za nami. W dżungli.

Connie *poczula*, że ściąga jej się skóra.

- Musimy iść. - Naciągnęła bluzkę, przykucnęła i wzięła go za rękę. -  
Przytrzymaj się mnie.

Nie zareagował. Powiodła wzrokiem po zaroślach, po pniach drzew. Chwilę trwało, zanim znowu na niego spojrzała. Wstrząsnął nią wyraz jego twarzy. Miał dziwne oczy, matowoszare, w kolorze gołębic skrzydeł, i patrzył na nią z nieskrywanym podziwem. Zaczerwieniła się.

- Chodź - szepnęła i pociągnęła go za rękę.

Bez słowa poszli ścieżką między drzewami, które porastały brzeg aż do podstawy cypla, gdzie prastare osuwisko stworzyło coś w rodzaju skalnego lasu. Nisko pochyleni, przez chwilę szli między głazami, wreszcie padli na piasek w głębokim cieniu. Zamarli tam ramię przy ramieniu i długo wytężali słuch. Wszędzie panowała cisza.

- Myślisz, że odeszli? - spytała Connie.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Pójdę się rozejrzeć.

- Nie. - Chwyła go za rękę. - Nie.

- Zostań tu. Nie ruszaj się.

Pocałował ją, a właściwie tylko otarł się ustami o jej usta, i zniknął. Omal za nim nie pobiegła, omal nie przyciągnęła go z powrotem, ale wiedziała, że gdyby rzeczywiście byli tam *Japończycy*, mogliby zabić ich oboje. Stała nieruchomo, z policzkiem przyciśniętym do ciepłej skały patrzyła przez malutką szparkę między głazami i modliła się do Boga, proponując mu układ: jej duszę, za jego życie. Proszę, błagam... Minuty ciągnęły się w nieskończoność, przesuwwały się cienie.

I właśnie wtedy lufa japońskiego karabinu dźgnęła ją w kark.

- Dzień dobry, *konnichiwa*.

Tym razem nie był to młody, niedoświadczony rekrut,

przerażony karabinem w swoich rękach. Ten był zaprawionym w boju żołnierzem o ostrych rysach twarzy i z żądzą krwi w czarnych oczach. Krzyknął coś po japońsku i gwałtownym ruchem lufy kazał jej wyjść z ukrycia. Podniosła ręce do góry i wyszła, ale idąc przed nim po białym piasku, przez cały czas zerkając ukradkiem na drzewa.

Nie wracaj po mnie, Firz. Trzymaj się z daleka. Zaopiekuj się moim synem.

Wiedziała, że umrze. Teraz. Tutaj. Samotnie. Na tej obcej plaży. Że zastrzeli ją i nawet nie pogrzebią. Że z następnym przyplływem zjedzą ją ryby, jeśli pierwsze nie dopadną jej mrówki. Myślała, że wpadnie w przerażenie, w panikę, że będą miotały nią skrajne emocje, tymczasem umysł miała dziwnie spokojny. Widziała wszystko z nadzwyczajną jasnością i ostrością: długie, błyszczące liście palm, które machały jej na koniec, jaszczurka, która zegnała ją podniesionym grzebieniem, jasne, błyszczące morze, które już po niej żałośnie wzdychało, krwawy odcisk palców Fitz'a na ręku. Wszystko w żywych kolorach, jakby jej oczy wiedziały, że to ostatnia szansa, by popatrzeć na świat.

Otoczyły ją mundury, szare jak wszy. Dziesięć, dwanaście, dwadzieścia - straciła rachubę. Dźgali ją kolbami karabinów, zapędzili ją pod drzewa, jak prowadzone na rzeź jagnię. Kłócili się między sobą z twarzami gniewnymi, wyczerpanymi i pełnymi pożądania. Gdy ich słuchała, otępienie zaczęło ustępować miejsca zaszokowaniu. Naszły ją gwałtowne mdłości. Zwymiotowała na buty jakiegoś żołnierza. Ten kopnął ją, ale nie mocno.

Wyglądało na to, że ten, który ją znalazł, rości sobie prawo, by ją zastrzelić. Ciągłe podnosił karabin, ciągle w nią celował, wreszcie pozostali obojętnie wzruszyli ramionami. Jej serce przestało bić. Zamknęła oczy i zobaczyła twarz czekającego na nią Fitz'a. Fitz'a trzymającego za rękę Teddy'ego. Zalała ją fala głębokiego smutku, bo wiedziała, że nie zobaczy, jak jej syn wyrasta na mężczyznę, że nie zobaczy...

Jakieś krzyki. Kakofonia głosów, które zasiały chaos w jej głowie - bo ten, który najgłośniej krzyczał, należał do Fitz'a. Tylko że krzyczał po japońsku. Gwałtownie otworzyła oczy i zobaczyła go, dokładnie na wprost siebie. To nie była wyobraźnia. Widziała żywego człowieka, człowieka z krwi i kości i gdyby zrobiła krok do przodu, mogłaby go dotknąć. Nie rozumiała, dlaczego żołnierze go nie zastrzelili.

Jego słowa popłynęły w dżungłę chrapliwe i gniewne. Spojrzał na nią ze stężałą twarzą i zobaczyła, że ma obojętne oczy i pogardliwie wykrzywione usta. Nie rozumiała tego, co mówił, ale słyszała powtarzające się słowa, które pokrywający ją pot zmieniły w lód: „Constance Fładley. Takehashi”. I znowu: „Constance Hadley. Takehashi”.

Shohei Takehashi wrócił, by znowu ją straszyc.

## ROZDZIAŁ 38

Trzy dni.

Trzy dni potu i przekleństw.

Trzy noce moskitów i drapania ziemi paznokciami, żeby poluzować stalowy pał, do którego przywiązali jej ręce.

Co godzinę, we dnie i w nocy, przychodził strażnik, by sprawdzić, czy jest dobrze skrępowana i czy pał jest dobrze osadzony. Za pierwszym razem przyszedł z kowalskim młotem, przy którym wyglądał jak karzeł, i myślała, że chce ją zabić, roztrzaskać jej głowę. Na szczęście nie, przyszedł wbić głębiej pał i wbijał go, wrzeszcząc coś po japońsku, zły, że znowu próbowała go wyciągnąć.

Wsadzili ją do zielonego namiotu rozbitego na polanie, gdzie przed nalotem był budynek psiarni. W środku było straszliwie duszno i z trudem mogła tam stanąć jedna osoba. Ale nie ona. Ręce miała przywiązane tuż przy ziemi, sznurem długości ramienia, przełożonym kilka razy przez wywiercone w pału otwory. Mogła jedynie dosięgnąć wiadra, które opróżniano pod koniec dnia, i podnieść do ust cynowy kubek z wywarem z ryby, który przynoszono jej o świcie. W południe dostawała malutki kubek wody, drugi o zachodzie słońca. To wszystko.

Trzy dni.

Potu. Łez. Wściekłości.

I zawsze obecnego strachu, namacalnego, tak rzeczywistego, że stał się jej nieodłącznym towarzyszem, towarzyszem, którego nienawidziła, z którego drwiła i szydziła, by

sprawdzić, ile zniesie, zanim trzaśnie ją na odlew w twarz i powali zapłakaną na kolana. I przez cały ten czas widziała obojętną twarz Fitz'a.

Zdradziłeś mnie. Zdradziłeś mojego syna.

Na języku leżały się słowa, ale zasłoniła ręką usta, by je tam zatrzymać. Oparła się czołem o ziemię i scena po scenie, zaczęła odtwarzać w pamięci historię ich znajomości: Fitz śmiejący się z nią na jachcie, Fitz uczący Teddy'ego wiązać węzły marynarskie, Fitz, który pyta: „Wiesz, jak to jest umierać z samotności?”. Jego ciepłe, zachłanne usta na jej piersiach. W każdej z tych scen szukała jakiegoś klucza, wskazówki, aż myśli splątały się ze sobą w znużony kłębek.

Myślała o Sho, zastanawiała się, dlaczego Fitz wypowiedział jego nazwisko. Była niewyspana i głodna. Jej umysł zaczął płać figle i po trzech dniach odosobnienia usłyszała jego głos. Leżała na ziemi w kałuży potu, zdrapując strupy z ramienia, kiedy wyraźnie usłyszała, jak mówi po angielsku: „Constance Hadley to, niebezpieczna kobieta. Uważajcie na nią. Ona jest jak samica pająka, która zabija kochanka po tym, jak ją pokryje”.

Connie usiadła. Chciała oberwać sobie uszy, chciała zabić ten głos i wyrzucić go z głowy.

- Sho! - krzyknęła do ociekających wilgocią ścian namiotu. - Jeśli naprawdę tu jesteś, trafiłam do piekła.

Próbowała przegryźć sznur krępujący jej nadgarstki. I dopiero gdy poczuła w ustach smak krwi, przestała, zastanawiając się, jaki demon ją opętał.

Przyszli po nią, dwóch żołnierzy o gładkich twarzach, niewiele wyżsi od niej. Kiedy jeden z nich przeciął sznur, którym była przywiązana do stalowego pala, nie prosiła,

nie płakała, nie czołgała się u ich stóp, błagając o życie, chociaż podświadomie chciała. Stała prosto, spokojnie wyszła z namiotu i po raz ostatni wciągnęła do płuc zapach dżungli, oszałamiający po panującym w namiocie zaduchu.

Chwycili ją pod rękę, ale zamiast na rozstrzelanie poprowadzili ją w stronę dużego brązowego namiotu nad brzegiem rzeki, szeroko otwartego na wiejący od morza wiatr. Wędrowały po nim cienie drzew i zdawało się, że ciągle zmienia kształt. Weszła do środka i stanęła jak wryta.

- Sho?

Eskortujący ją żołnierze popchnęli ją do przodu.

- Sho? - powtórzyła szeptem.

Szybko zamrugała. Pod ścianą namiotu stał stół zasłany mapami i dokumentami i dwa składane krzesła: na jednym leżała lornetka, o drugie opierały się dwie drewniane kule. Z trudem to zarejestrowała, bo jej mózg na próżno zmagił się ze wszystkim, co widziała naprzeciwko. Na ziemi, jak rozlane mleko, leżał duży, kwadratowy jedwabny obrus. Na obrusie stał zabytkowy gliniany imbryk, dwie pozbawione uszka małe filiżanki z porcelany tak cienkiej, że aż przezroczystej, i mały bambusowy wazon z jaskrawym kwiatem pomarańczy, jakiego nigdy dotąd nie widziała. Przy obrusie, jak przy stole, siedziało dwóch mężczyzn. Fitz. I Shohei Takehashi.

Sho wydał po japońsku jakiś rozkaz. Kiedy nie zareagowała, jeden z żołnierzy uderzył ją kolbą karabinu z tyłu w nogi. Zatoczyła się do przodu i upadła na kolana. Któryś z nich głośno syknął, ale nie wiedziała który. Jej głowa była teraz na wysokości ich wzroku i gdy na nich spojrzała, w jej piersiach z rykiem ożył ból. Fitz, kim ty jesteś? Miał zimną, ponurą twarz i myśli ukryte za oczami czarnymi jak jego koszula.

Spróbowała powrócić do rzeczywistości, chwycić ją i kurczowo się przytrzymać.

Nie, to nie był Sho. To niemożliwe. W słabym świetle



zobaczyła, że to... prawie Sho - ale nie całkiem. Siedzący naprzeciwko niej mężczyzna miał identyczny kształt głowy, identyczny wykrój brwi, identyczny kształt oczu i identyczne pełne usta. Teraz była bliżej i widziała, że ten jest starszy, że ma przyprószone siwizną włosy. I głębokie zmarszczki między nosem i ustami. Siedział w mundurze ze sztywno wyprostowanymi ramionami i wypiętą piersią. To był mężczyzna pełen dumy, mężczyzna, jakim Sho mógłby się stać. Gdyby żył.

- To jest Constance Hadley - powiedział bezbarwnym głosem Fitz.

Nie rób tego. Nie mogła na niego patrzeć.

- A to generał Takehashi - ciągnął. - Ojciec Shohei Takehashiego.

Zrobił pauzę, pauzę tak króciutką, że prawie niezauważalną, ale ona go знаła. Robił tak tylko wtedy, kiedy był zły.

- To dla mnie wielki zaszczyt, że pan generał jest moim przybranym ojcem i ojcem Shohei Takehashiego, mojego ukochanego przybranego brata.

Rozwarła się przed nią czarna otchłań. I Connie wpadła w nią głową naprzód. „Mojego ukochanego przybranego brata”. Zabiła kogoś, kogo Fitz kochał.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Wiedziałeś - rzuciła. - Wiedziałeś od samego początku.

- Tak.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Odwrócił się gwałtownie do generała, zamienił z nim kilka słów po japońsku i znowu przeniósł wzrok na nią.

- Pan generał chce wiedzieć, co dokładnie stało się z jego synem.

Przyjrzała się twarzy, która była i nie była twarzą Shohei. Wciąż klęczała i powoli skłoniła się przed nim, dotykając czołem wilgotnej ziemi. Odebrała ojcu syna i z bólu Pękało jej serce.

- Proszę przyjąć moje tysiąckrotne przeprosiny, generale Takehashi - powiedziała z powagą. - Serce krwawi mi na myśl o tym, co zrobiłam panu i pańskiemu synowi. - Lekko podniosła głowę, lecz pozostała nisko pochylona. - Wycierpiałam katusze, po tysiąckroć tego żałowałam, choć to nie przywróci mu życia. To był wypadek. Przysięgam na moje życie, że mówię prawdę. - Związanymi rękami dotknęła serca.

- Jaki wypadek? - spytał chrapliwie Fitz.

- Pokłóciliśmy się i doszło do bójki. Odepchnęłam go. Nieszczęśliwie upadł, prosto na swój nóż.

Słowa wytoczyły się z jej ust jak ciężkie kamienie i w namiocie zapadła cisza.

- Pokornie proszę o wybaczenie.

Nie powiedziała nic więcej, ale wiedziała, że właśnie podpisała na siebie wyrok śmierci.

Fitz wymamrotał coś po japońsku i generał odwarknął mu w tym samym języku. Cichutko zadzwoniła porcelana i w powietrzu rozszedł się zapach jaśminu. Mijały minuty i w końcu Connie wyprostowała się na kolanach. Ojciec Shohei patrzył ze smutkiem na dno filiżanki - miał twarde, ściągnięte policzki - a Fitz na nią. Przez krótką ulotną chwilę widziała w jego oczach coś, co zatrzymało jej serce: wyraz tak strasznej rozpacz, że chciała zerwać się z ziemi i podbiec do niego. Dowiedzieć się prawdy. Ta chwila minęła, zanim zdążył otworzyć usta, i na jego twarz powrócił wyraz ledwo skrywanej pogardy.

Wyobraziłam to sobie? A może zwariowałam?

- Panie Fitzpayne... - powiedziała cicho.

- Tak?

- Skąd pan wiedział? Chciałabym wiedzieć, zanim... Zanim mnie zastrzelicie. Zanim osierocę syna. Generał nachylił się ku niej z rękami na jedwabnym obrusie i doskonałą angielszczyzną powiedział:

- Powiedz dziwce. Opowiedz jej, jak szedłeś jej tropem jak pies za suką w rui.

Fitz spojrział na swoje silne ręce. Wciągnął powietrze i rozszerzyła mu się pierś, jakby brakowało mu powietrza w tym brązowym namiocie. Podniósł wzrok.

- Kiedyś uratowałem Shohei życie - powiedział spokojnie i bez emocji. - Nieważne jak. Ważne jest to, że włączyłem się wtedy bez celu po Azji Wschodniej i generał Ta-kehashi raczył mnie przyjąć. Adoptować. To był dla mnie wielki zaszczyt.

Odwrócił się twarzą do przybranego ojca i pokłonił mu się nisko. Coś między nimi przemknęło, coś jak cień sympatii i generał po raz pierwszy rozluźnił mocno zaciśnięte usta. Powiedział coś po japońsku i położył rękę na kolanie jego chorej nogi.

- Shohei i ja zostaliśmy braćmi krwi - ciągnął Fitz. - Kiedy podróżował po Malajach...

- Szpiegując dla Japonii - przerwała mu Connie.

- Służąc swojemu cesarzowi - poprawił ją surowo i zmrużył oczy. - O to się pokłóciliście?

- Tak. Odkryłam, czym się zajmował.

Fitz nalał sobie herbaty, ale nie tknął filiżanki.

- Shohei pisał codziennie list do ojca. Wiedziała pani o tym?

- Nie.

- Opisywał mu, co robił i widział. Connie zadrżała.

Byle nie wszystko. Błagam, byle nie wszystko. Fitz wziął głęboki oddech.

- Pisał mu o pani. O pani domu i posiadłości pani męża. Opisał... - Urwał, jakby zabrakło mu słów.

Generał Takehashi czekał z zaciśniętymi pięściami.

- Opisał waszą chatę nad rzeką - dokończył beznamiętnie Fitz. - Miłosne gniazdko, w którym się spotykaliście. Napisał, że chce przywieźć panią do Tokio i poślubić. Ze tego dnia był z panią umówiony. Potem już się nie odezwał. Zamierzał poprosić panią...

Connie potrząsnęła głową. Pamiętała jedwabny kwa-

drat na podłodze chatki, wstrząs, jaki przeżyła, słysząc jego prośbę. Doskonale pamiętała, że dopiero wtedy zdała sobie sprawę, iż Sho chce od niej znacznie więcej, niż myślała. Jak mogła być tak ślepa? Wtedy w Palurze miała zamknięte oczy i umysł sparaliżowany przez samotność w małżeństwie bez miłości.

- .. .o rękę. Zrobił to?

- Tak.

Generał Takehashi splunął na ziemię.

- Po co mu była taka dziwka? Spójrz na nią.

Tak, patrzyli na nią, powoli ją oglądali, czuła na sobie ciężar ich wzroku. Twarz miała podrapaną i pogryzioną przez owady, włosy sklezione brudem i potem, ubranie w strzępach, a gdy spojrzała w dół, wstrząśnięta zobaczyła, jak strasznie schudła. Generał miał rację. Dlaczego ktoś miałby jej pragnąć?

- Ona nie jest dziwką - oznajmił spokojnie Fitz. Wypił łyk herbaty.

- Powiedziałaś „tak”? - warknął generał. - Zgodziłaś się za niego wyjść?

Nagle zrobiło jej się zimno. Zgasła ostatnia iskierka nadziei.

- Nie - odrzekła. - Zdawałam sobie sprawę, jak wielki zaszczyt mi czyni, ale nie mogłam wyjechać z Malajów ze względu na mojego syna.

- Teraz wyjechałaś.

- Oczywiście. A czego się pan spodziewał, generale? Postanowiliście zająć ten kraj...

- Uwolnić go spod tyranii zachodniego imperializmu. Nie chciała z nim polemizować. Nie teraz. Nie w takiej chwili. Nie kiedy chodziło o tak wysoką stawkę.

- Panie generale - powiedziała. - Pana syn był dobrym człowiekiem. Nigdy nie życzyłam mu źle.

- Był za dobry dla takiej suki jak ty. Odwróciła głowę.

- Jak pan mnie wytropił? - spytała Fitz.

Nie zważając na pełne dezaprobaty syknięcie z ust przybranego ojca, Fitzpayne wstał, wziął kulę i zaczął kuśtykać tam i z powrotem. Musiała boleć go noga, ale dobrze to ukrywał.

- To nie było takie trudne - odparł. - Przyjechałem na Malaje, popytałem o Hadleyów i w pociągu z Kuala Lumpur bez trudu nawiązałem znajomość z porucznikiem Bla-kiem, o którym wiedziałem, że jest najbliższym przyjacielem pani męża.

- Rozumiem.

- Czyżby?

- Tak. Wykorzystał pan nas. Wykorzystał pan gościnność Nigela. - Mówiła gniewnie. Atakowała. - To godne pogardy.

- Byłem w waszej chacie - powiedział zimno. Zaczerwieniła się ze wstydu.

- Nic tam nie było.

- Bo wszystko spaliłam.

Z kieszeni czystych spodni wyjął srebrną papierośnicę i otworzył ją. Connie cicho sapnęła.

- Poznaje ją pani? - spytał.

- Jest identyczna jak ta, którą miał Sho - szepnęła.

- Tak. Różni się tylko inicjałami. Mój ojciec... - Gestem ręki wskazał generała. - Dostaliśmy je od naszego hojnego ojca. - Zapalił papierosa i jakby po namyśle dodał: - Ma ją pani?

- Została w Pałurze.

- Gdzie? - Generał Takehashi niecierpliwie pochylił się do przodu.

Jak ojciec, który pragnie ocalić ostatnią cząstkę swojego martwego syna.

Spytaj warana. Spytaj żarłocznych mrówek.

- Czy to coś zmieni, jeśli powiem?

Generał zbył jej pytanie machnięciem ręki, jak służący, który odpędza natrętne muchy.

- Gdzie? - powtórzył, uparty jak jego syn.

- W domu. W szufladzie komody w mojej garderobie. Przez twarz generała przemknął uśmiech tak podobny do uśmiechu Sho, że aż zadrżała.

- Znajdziemy ją - powiedział do Fitz'a ze ściągniętymi szarymi ustami. Fitz patrzył na nią. Z jego oczu wyczytała nieme pytanie. Dlaczego ją zatrzymałaś? Tyle dla ciebie znaczyła?

Nie, nie znaczyła nic. Przysięgam. Trzymałam ją tylko po to, by przestać wymazywać go ciągle z pamięci, z mojego życia.

Generał wydał rozkaz i żołnierze postawili ją na nogi. Słyszała, jak z ust Fitz'a ucieka oddech i nagle wszystko do niej dotarło, wszystko stało się jasne i wyraźne, bo umysł wiedział, że to już koniec, i głośno protestował.

- Fitz, ty też byłeś szpiegiem, tak jak Sho? - spytała. - Tym się przez cały czas zajmowałaś? Udawałaś, zdradzając ojczyznę?

- Ja nie mam ojczyzny.

Poczuła się tak, jakby jej serce przeszył zimny nóż. Fitz mówił coś półgłosem do generała i chociaż nie wiedziała co, było oczywiste, że się od niej odciął. Ani śladu rozpacz, ani śladu miłości. Bardzo by chciała porozmawiać z nim ostatni raz, ale bała się, że powiedziałyby coś nie tak. Wszystko zaczęło ją boleć.

Generał zaczynał się niecierpliwie, chciał się jej już pozbyć i lekceważącym gestem ręki dał znak strażnikom. Zobaczyła, jak Fitz zaciska usta i wypuszcza dym, który zwinął się w powietrzu jak szare przekleństwo. Odszukał oczami jej oczy, potem przesunął wzrokiem po jej policzku, jakby czule go pieścił, ale nic nie powiedział, nie zaprotestował przeciwko temu, co miało się zaraz stać. Nie kiwnął palcem, by ją ocalić.

Strażnicy poprowadzili ją do wyjścia. Zdołała poruszyć nogami, choć nie wiedziała jakim cudem. Jak mogli prowadzić ją na śmierć, skoro jej życie zostało tam, w tym

ciemnym brązowym namiocie, skoro stało tam, miotając przekleństwa? Dziękowała Bogu, że Teddy jest z John-niem.

- Pani Hadley.

Głos Fitz. Odwróciła się i zobaczyła, jak z napięcia rozszerzają mu się nozdrza, jak sztywnieją mu palce, w których trzymał papierosa. Strażnicy się zatrzymali. Jej oczy napawały się nim, choć tego nie chciała.

- Tak? - spytała spokojnie.

- Kochała go pani?

- Shohei?

- Tak. Czy kochała pani mojego brata?

Powiedz „tak”. Powiedz, że uwielbiałaś go tak bardzo, że postanowiłaś zostawić dla niego syna. Porzucić męża. Wyrzec się całego swojego życia. Że marzyłaś, by dożyć swoich dni u jego boku w Japonii, że pragnęłaś się z nim zestarzeć. Że był twoim słońcem, księżycem i gwiazdami.

Powiedz to. Powiedz.

Może wtedy jego ojciec ulegnie i daruje ci życie.

- Nie, Fitz. Nigdy nie kochałam Shohei Takehashiego. W ciszy wyszła z namiotu.

Dlaczego jej nie zastrzelili?

Umierała z pragnienia. Dusila się między ścianami więziennego namiotu.

Nic z tego nie rozumiała. Czy generał Takehashi się nią bawił? Chciał ją zadrzeć, tak jak zadrecał się losem swojego syna? Szybko zamrugła, by się skupić.

Leżała na boku, przywiązana do stalowego pala w ziemi, i znowu zobaczyła ten obraz: smużka papierosowego dymu uciekająca z ust Fitz jak dusza. Wiła się wokół jego wilgotnych warg i nosa, jakby próbowała wrócić, ale na próżno.

Obraz nie chciał zniknąć: Fitz wyrzucający z siebie coś, czego już nie chciał, wydychający ją jak dym. Nie miała wątpliwości, że to on wezwał ojca Shohei. Ze od samego początku miał taki plan.

Próbowała to zrozumieć, ale nie mogła. Ilekroć pomyślała o Teddym, nachodziły ją mdłości, lecz zwalczała je, modląc się, by Johnnie dobrze zaopiekował się synem, którego Takehashi odbierał jej w zemście za śmierć Sho. Jej odwodniony umysł nie mógł pojąć, dlaczego Fitz nie wezwał go wcześniej. Skoro już zwabił ją na wyspę, dlaczego tak długo zwlekał? Po co udawał? Zdrada to zdrada, w każdym języku znaczy to samo.

- Fitz - szepnęła gniewnie. - Fitz, dlaczego mnie w sobie rozkochałeś?

I nagle coś w niej pękło, coś otworzyło się i wybuchło, paląc ją w środku i piekąc. Wszystko to, nad czym do tej pory panowała, uwolniło się z uścisku i zaczęła niepohamowanie drżeć. Widziała przed sobą tylko czerń, nic więcej.

Czyjeś ręce dotknęły jej twarzy. Strużka wody omyła jej usta i spłynęła na język. Jej skroń spoczywała na czymś ciepłym i twardym, w głowie słyszała uporczywe dudnienie, które wgryzało się w zwoje mózgu.

- Connie!

A więc jeszcze się nie skończyło. Jeszcze nie.

- Connie, nie waż się teraz poddawać.

- Odejdź - mruknęła. - Idź sobie.

Nie chciała żadnych zwidów, omamów czy cokolwiek to było. Bo to był głos Firza, jego dotyk, bicie jego serca, i wiedziała, że żadna z tych rzeczy nie może być prawdziwa. Usta musnęły czoło w pocałunku. Wzdrygnęła się na zapach swojego brudnego ciała. Otworzyła oczy.

Leżała w jego ramionach. Nie miała już sznura na rę-



kach, na dworze było ciemno, widziała jedynie trójkątny zarys czarnego namiotu. Do środka wpadała tylko cieniutka smużka księżycowego światła, która srebrzyła mu włosy. Uśmiechnęła się do niego. Nie dbała już, czy jest wytworem trawionej gorączką wyobraźni, czy nie, bo liczyło się tylko to, że przyszedł do niej ostatni raz.

- Wstań.

- Żeby twoi japońscy przyjaciele mogli mnie zastrzelić? Nie, dziękuję. Powiedz im, żeby przyszli i zrobili to tutaj. A może... - Wykrzywiła usta w smutnym uśmiechu. -Może ty dokończysz dzieła?

Potrząsnął nią.

- Wstawaj, Connie. Szybko.

Przytknęła butelkę do jej ust i zaczęła łapczywie pić. Wsuniecie się z jego ramion kosztowało ją bardzo dużo wysiłku.

- Kolejny podstęp, panie Fitzpayne?

- Skarbie mój, nie dziwię się, że mi nie ufasz. Ale po tym, jak żołnierze schwytali cię na cyplu, tylko tak mogłem uratować ci życie. - Ostrożnie pomógł jej wstać. - Musimy iść.

- A strażnicy?

- Zdjąłem ich.

- Dokąd idziemy?

- Po twojego syna.

## ROZDZIAŁ 39

Ciemność szeptała. Droczyła się z nią. Trudno jej było znaleźć granicę między tym, co prawdziwe, i majaczącymi wokoło cieniami, tym, co podsuwała wyobraźnia. Serce waliło jej mocno. Nie mogła zapanować nad szczękającymi zębami, mimo to szła szybko i bezszelestnie, kurczowo obejmując go w pasie. Nie wiedziała, czy to on podtrzymuje ją, czy ona jego, tak jak nie wiedziała, czy słusznie jest na niego zła.

„Tylko tak mogłem uratować ci życie”.

Co to znaczy?

Zza drzew wyglądał niespokojny księżyc. Zerwał się wiatr i las ożył, więc na każdy odgłos, na każdy trzask, każde skrzypnięcie gałęzi i szelest liścia, odwracała głowę, wypatrując niebezpieczeństwa.

- Spokojnie - szeptał łagodnie Fitz. - Wiem, gdzie stoją straże. Nic nam nie grozi.

Wmawiała sobie, że tak jest, ale serce podpowiadało co innego - bo jeśli to była prawda, to dlaczego mówił szeptem, dlaczego uciekali w takiej ciszy? Bo wiedział, co zrobi im generał Takehashi, jeśli zostaną schwytani? Wciąż jednak szła. Podtrzymała go, kiedy potknął się w ciemności chorą nogą i zaklął. Gdy ostrożnie wyszli z dżungli na wąski brzeg rzeki, niedaleko miejsca, gdzie kiedyś była kolonia, dotknął jej skroni.

Znieruchomiała. Ujęła w dłonie jego twarz, przytrzymała go, spojrzała mu w oczy i czując pod palcami kłującą szczecinę na jego policzkach, spytała:

- Gdzie jest mój syn?
- Na „Burung Camarze”.
- Żyje?
- Tak.

Ulga wyparła cały gniew.

- Jak go znajdziemy? Pewnie już dawno odpłynęli.
- Mam łódkę. Ukryłem ją w mangrowcach.

Wciąż obejmowała dłońmi jego twarz, czując, że chce coś dodać.

- Wróciłem po ciebie, Connie.
- Wiem.

Położył jej ręce na swoim sercu.

- Nie rób mi tego więcej - powiedział. - Nigdy. Nigdy więcej nie każ mi tak cierpieć. - Objął ją i przytulił, dotknął policzkiem jej policzka. I trzymał ją tak. Bez słowa. Ciężko oddychając. - Ten widok, ty przed generałem... To było nie do wytrzymania.

- Widziałam twój gniew - szepnęła. - Widziałam, jak tobą targa, ale nie wiedziałam, że to z mojego powodu. Myślałam, że...

- Connie, skarbie mój, oczywiście, że z twojego. - Nagle odsunął ją na długość ramienia i przyjrzał się jej w ciemności. - Nie widzisz, że cię kocham? Nie rozumiesz, że nie mogę pozwolić ci umrzeć, nawet gdybyś chciała?

- Nie jestem jeszcze gotowa na śmierć - odrzekła gwałtownie.
- Wiem. Masz syna.

- Generał Takehashi miał dwóch. Teraz nie ma ani jednego, przeze mnie. Ma powody, żeby życzyć mi śmierci. Co mu powiedziałaś, że nie kazał mnie zabić, jak go przekonałeś?

- Zawarłem z nim układ.
- Boże, Fitz. Jaki... Przytknął palec do jej ust.
- Zaufaj mi.

Dlaczego? Dlaczego mam ci ufać, skoro mnie zdradzi-

leś? Pytanie to żyło w jej głowie jedynie przez parę sekund. Musiała tylko wsłuchać się w jego głos, w słowa, które wypowiadał. Tak jak w tej speluncie w Palurze, gdy poprosiła go, żeby został szyprem „Białej Perły”. Tak, mogła mu zaufać. Czuła to wtedy, czuła i teraz.

Łódka była dziurawa, miała wybite dno. Fitz ukrył ją pod korzeniami mangrowca, ale jakiś bystrooki Japończyk wypatrzył ją tam i roztrzaskał kolbą karabinu. Fitz był wściekły, z jego ust wydobył się cichy jęk rozpaczy.

- Tylko nie to - szepnął. - Tylko nie to...

To był jego głos, ale brzmiał jak głos kogoś obcego i przeszedł ją zimny dreszcz.

Siedzieli w kucki przy szczątkach łodzi, gdy nagle coś do niej dotarło. Szybko wstała, czując w ustach smak żółci.

- Co się stało? - Fitz wyciągnął do niej rękę. Cofnęła się.

- Powiedz, jaki układ zawarłeś ze swoim przybranym ojcem?

- Co?

- Powiedz - powtórzyła głucho i beznamiętnie. - Powiedz, co zaproponowałeś mu w zamian za moje życie.

Zaszedł księżyc i kiedy Fitz powoli wstał, jego ciemna sylwetka zlała się z czernią dżungli.

- Przestań, Connie. - Nie powiedział nic więcej.

- Powiedz!

Splunął na ziemię. Jakby chciał coś z siebie wyrzucić.

- Przyrzekłem mu twojego syna.

- Nie-jęknęła.-Nie...

- To był jedyny sposób.

- Ja za syna?

- Tak. Odebrałaś mu dziecko. Teraz on chce odebrać ci twoje.

„Nie rozumiesz, że nie mogę pozwolić ci umrzeć, nawet gdybyś chciała?" - słowa te nabrały nagłe straszliwego sensu.

- Dobrze wiesz, że prędzej tysiąc razy bym umarła, zanim pozwoliłabym go skrzywdzić. Przecież wiesz, przecież wiesz! Naprawdę myślałeś, że mogłabym bez niego...

Zrobił krok do przodu, chwycił ją za ręce i ścisnął je jak kleszczami.

- Wiem - odparł beznamiętnie. - Wiedziałem, że ten układ mi ciebie odbierze, ale nie mogłem pozwolić ci umrzeć. Nie mogłem.

Próbowała się wyszarpnąć, ale mocno ją trzymał.

- Powiedziałem generałowi, że twój syn jest na pokładzie „Burung Camara". On wie, że to moja łódź, ale nie wie, gdzie teraz jest, bo podczas nalotu opanowali ją tubylcy.

Próbowała go słuchać. Próbowała trzeźwo myśleć. Rozszyfrować jego słowa. Ale w jej głowie szalała tylko jedna myśl, myśl, że Teddy'emu grozi niebezpieczeństwo, a ona utknęła na wyspie, na której roi się od Japończyków.

- Posłuchaj. - Zbliżył twarz do jej twarzy, jakby chciał wcisnąć te słowa prosto do jej mózgu. - Teddy jest bezpieczny. Takehashi nie ma pojęcia, gdzie jest łódź.

- My też nie - szepnęła.

- Oczywiście, że wiemy. Dziś wieczorem Nurul będzie na cyplu.

- A więc wszystkie nadzieje pokładamy w Nurulu? Od takiego człowieka ma zależeć życie mojego syna?

- Nie bądź taka uszczypliwa. Nurul przyplynie. Będzie przyplływał, dopóki nie przyjdę.

Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie. Już go tu nie ma.

- Connie, nie pozwolę Takehashiemu odebrać ci syna, przysięgam.

Przyciągnął ją do siebie, przytulił do piersi i przytrzymał, dopóki nie przestała się wyrywać.

- Nie mamy łodzi, więc musimy iść piechotą. Do świtu nie damy rady przebić się na drugą stronę wyspy, co znaczy, że będziemy musieli przeczekać w ukryciu cały dzień i poszukać Nurula dopiero jutro wieczorem. - Przycisnął usta do jej czoła. - Ale damy radę, zobaczysz.

Umysł Connie zaczął wreszcie pracować. Jego głos, spokojna pewność siebie uspokoiła ją, tak jak dotyk jego ręki. W dżungli coś nagle trzasnęło i wciągnął ją między mangrowce. Po chwili minęło ich dwóch japońskich strażników. Patrolowali brzeg, ale robili to pobieżnie. Stali się nieostrożni, myśląc, że wypłoszyli z wyspy wszystkie szczury.

- Fitz - szepnęła mu do ucha. - Chyba wiem, gdzie jest łódź.

- Trudno to nazwać łodzią-mruknął.

- Dla nas wystarczy.

- Potopimy się.

- Zaryzykuję.

Łódź robiła wrażenie chwiejnej i niebezpiecznej. Było to stare, wydrążone w pniu canoe, pod którym znalazła syna, dowiedziawszy się, że czyta dzieciom książki za opłatą. Choć mocno podniszczone i nadgryzione zębem czasu, wciąż było całe i wyglądało na to, że nie przepuszcza wody. Zepchnęli je do rzeki i Fitz kazał jej usiąść z przodu, podczas gdy on z grymasem bólu na twarzy usiadł z tyłu. Zamiast wiosła musiały im wystarczyć dwa kawałki rozłupanego bambusa, które wyrzucił na brzeg wybuch bomby.

Dając się ponieść prądowi, bezszelestnie popłynęli w dół rzeki. Widzieli masywny zarys namiotu Takeha-shiego, ale ona natychmiast odwróciła głowę i skupiła się na tym, by - tak jak Fitz - rytmicznie pracować prowizorycznym wiosłem. W ciemności majaczyły kadłuby wypalonych łodzi i płytkie canoe musiało się między nimi

przeciskać. Gdy na niebie zamknęły się chmury, Connie wcale nie żałowała, że zasłoniły księżyc. Trudniej im było utrzymać kurs, ale chętnie ryzykowała w zamian za czapkę niewidkę, którą podarowała im noc.

Nie rozmawiali, bojąc się, że woda doniesie dźwięk do brzegu. Ich milczenie wynikało zresztą nie tylko z potrzeby zachowania ostrożności, ze strachu, że mogą usłyszeć ich rozstawieni tam strażnicy. Wypełzająca z wody cisza wślizgiwała się do canoe, tłoczyła między nimi i łódź zrobiła się nagle za ciasna dla kłębiących się tu emocji. Ale ona mogła myśleć tylko o jednym: musiała znaleźć syna, zanim znajdzie go generał Takehashi.

Kiedy dopłynęli do ujścia rzeki i fale zrobiły się większe, moskity zniknęły, bojąc się ryku morza tak samo jak ona. Zdawało się, że canoe jest o wiele za wątle, za płytkie, by wytrzymać napór grzywaczy, mimo to nic nie powiedziała, nie okazała strachu. Nieoczekiwanie poczuła na plecach dotyk ciepłej ręki, która przemówiła do niej bardziej niż słowa. Oparła się o nią i na krótką chwilę plusk wioseł ucichł.

Ocean rozciągał się przed nimi jak czarne prześcieradło, wielkie i rozfalowane.

- Musimy przyspieszyć. - Fitz przesunął się do przodu. - Łatwiej nam będzie pokonać fale. Wtedy nas nie zaleją. - I znowu położył rękę na jej plecach, podtrzymując ją, osadzając w miejscu, pomagając się pozbierać.

- Teraz! - rzucił i wypłynęli na otwarte wody.

Maya ciągle słyszała głuche dudnienie bębna. Bum-bum-bum. Ale ilekroć przekrzywiła głowę, żeby poszukać go wzrokiem, zawsze stwierdzała, że bęben bębni w jej własnych uszach.

Złotowłosa Johnnie poszedł porozmawiać z szalonym Madokiem.

- Tak nie może dłużej być - powiedział.

Zaczęli się kłócić i szalony Madoc wycelował pistolet w niego. Maya zasłoniła oczy i próbowała nie słuchać tego, co mówią.

- Skończ z tym idiotyzmem, Madoc, i to natychmiast - nakazał Johnnie. Ona od razu wiedziała, że użył niedobrego głosu, bo mówił powoli i stanowczo, jak do dziecka. -Popełniasz poważne przestępstwo, to jest akt piractwa i próba uprowadzenia obywateli brytyjskich. Na miłość boską, przestań, nim będzie za późno. Przekaż ster Nuru-lowi. Nie zawiadomimy...

Szalony Madoc - widocznie jemu też nie spodobał się ten głos - zaczął obrzucać go wyzwiskami, ale tylko on, jego żona się nie przyłączyła. Wyglądała tak, jakby przez pomyłkę połknęła węża, bo miała ściągniętą twarz i mocno zaciśnięte usta. Broń załogi została zebrana i związana w najeżony lufami wielki toból strzelb i długich noży, który leżał teraz u stóp Madoca, a czarne oko lufy jego pistoletu *patrzyło prosto w pierś Nurula*.

- Nie mam map - *jęczał* pirat. - Bez map nie dopłyniemy.

- To nawiguj według *gwiazd*, kretynie. Widzisz Krzyż Południa? Indie są na zachód stąd. To proste.

Maya zadarła głowę, ale na czarnym niebie nie zobaczyła żadnego krzyża, tylko miliony małych oczu. Powoli wschodził księżyc, bo pewnie on też chciał zobaczyć szalonego Madoca. Wschodząc, rzucał blade światło na twarz tuana Teddy'ego, który stał przed nim i z mokrymi od łez policzkami błagał go, żeby zawrócili. Gdy Maya to zobaczyła, bęben jeszcze głośniejsze zabębnił w jej głowie. Podreptała na długi nos łodzi, gdzie Razak robił coś przy fok. Chciała, by ją pocieszył.

- Nasza matka nie żyje - powiedziała. -1 jeśli dalej będziemy się tu ukrywać, *mem* Hadley też umrze.

Brat milczał przez chwilę, patrząc na zwój liny w ręku.

- Aż tak ci na niej zależy? - spytał cicho.



- Tak, żebyś wiedział. *Mem* uratowała mi życie. Mój duch chodzi teraz krok w krok za jej duchem. Nie mogę od niej uciec, tak jak nie mogę uciec od ciebie, mój bracie. -W ciemności rozległ się krzyk szalonego Madoca. - Pomóż mi, Razak - szepnęła.

Brat bez słowa podniósł skraj tuniki, odsłaniając czarny pistolet za paskiem spodni. Maya wyciągnęła rękę i dotknęła go. Pistolet też ją dotknął, musnął jej palce, jakby chciał z nimi porozmawiać. Maya wyszarpnęła go zza paska.

- Maya, nie!

Tak, Maya, tak! - powiedział pistolet. Był ciężki.

Przemknęła chyłkiem na rufę, gdzie tyłem do morza stał szalony Madoc, który chciał zostawić *mem* Hadley na pewną śmierć. Wciąż miał w ręku ten wielki, paskudny pistolet i wciąż celował w Nurulę, przez cały czas zerkając na załogę. Na pewno do głowy mu nie przyszło, że Razak dostał na wyspie broń. Nie zwracał też najmniejszej uwagi na nią, na Mayę, bo ona zawsze była tylko niepozorną myszką i zawsze schodziła wszystkim z drogi. Poczekaj, szalony Madocu, teraz na pewno mnie zauważysz. W Palurze widywała mężczyzn z pistoletami, wiedziała, gdzie jest i do czego służy bezpiecznik, więc podkrađła się po ciemku jeszcze bliżej, stanęła za nim i wycelowała mu w plecy. Zamknęła oczy i pociągnęła za spust.

Pistolet ryknął. Coś kopnęło ją w ramię tak mocno, że upadła na pokład, a pistolet uciekł od niej, jakby już z nią skończył i szukał sobie kogoś innego. Wtedy *tuan* Teddy szybko skoczył, podniósł go i wycelował w żonę Madoca, która rzuciła się na nią z wściekłym krzykiem, ale Mai było wszystko jedno, bo strasznie trzęsła jej się ręka. Patrzyła na swoje palce, jakby należały nie do niej, tylko do kogoś innego, jakby miały zupełnie niezależną wolę.

Oczy wciąż jej słuchały, więc skierowała je na ciało Madoca, które leżało w kałuży czegoś, co wyglądało jak oliwa. Szalony Madoc był teraz martwym szalonym Madokiem. Jego żona przewróciła go na plecy, ułożyła jego głowę na

swoich grubych udach i nisko pochylona wycierała włosami krew, która sączyła mu się z ust. Potem pocałowała go w powieki i w szpiczasty nos, przez cały czas wydając dziwny, otępiający umysł jęk, który przeszywał czaszkę i kołatał się w niej jak ptak w klatce.

Dudnienie bębna stało się jeszcze głośniejsze. To głucho bum-bum-bum w uszach.

Chodziła za Złotowłosym po pokładzie jak kot, który ze stojącymi uszami cicho truchta za kłębkim włóczki. Ale od czasu do czasu wyciągała łapki i atakowała. Teraz już wiedziała, że jest „niewiarygodnie odważna”. Sam Johnnie tak powiedział. Więc to musiała być prawda.

- Odważna i waleczna - powiedział.

Nie była tylko pewna tej waleczności. Trochę niebezpiecznie to brzmiało.

Piracka łódź nie wyglądała tak ładnie jak „Biała Perła”. Nadawała się tylko dla szumowin i drani. Kotwiczyła niedaleko brzegu, mrużąc i utyskując na nocnym wietrze, czekając, aż jak delfiny z wody wyskoczą Stalwooki z *mem* Hadley. Maya była zła na Nurula. Skąd *mem* miała wiedzieć, że *tuan* Teddy opłynął wyspę i że są teraz z drugiej strony? *Mem* się zdenerwuje. Bardzo się zdenerwuje.

- Ona nie żyje - powiedział Razak. Mówił tak do swojej ręki, żeby mały *tuan* tego nie słyszał.

- Nieprawda - skarciła go Maya. - *Mem* Hadley i Stalwooki zadźgają tych żółtków bagnetami.

Brat spojrzał na nią jak na wariatkę.

- Widziałas, ilu ich tam jest? Dla *mem* nie ma już żadnej nadziei. To czekanie jest niebezpieczne, to strata czasu, bo moglibyśmy już płynąć do...

- Dokąd?

- Do Indii.

- Gdzie są Indie?

Razak machnął ręką za siebie, tam gdzie była tylko niezmierna czerń.

- Gdzieś tam.

Maya nachmurzyła czoło.

- Mnie się podobają biali.

- W Indiach mieszka dużo białych.

- Skąd wiesz?

- *Tuan* Hadley mi powiedział.

- Szalony Madoc też chciał płynąć do Indii.

Na wspomnienie o szalonym Madocu Razak spojrział na nią niepewnie i uśmiechnął się zimno.

- Teraz może sobie chcieć. Powiedział to tak, że ją zmroziło.

- Razak - syknęła z desperacją. - Jesteś moim bratem. Jesteśmy tej samej krwi.

- Tak - odrzekł w zadumie. - Jesteśmy tej samej krwi.

- Johnnie mówi, że jestem odważna.

- Siostro, gdybyś nie zastrzeliła Madoca, byłibyśmy już daleko stąd. Bylibyśmy bezpieczni. A ty kazałaś nam stanąć na drodze japońskich żołnierzy. To nie jest odwaga. To jest... - zawahał się, spojrział na nią i przełknął słowo, które miał już na czubku języka. - Niemądre - dokończył łagodnie.

Maya ucieszyła się. Nie chciała, żeby ją znienawidził. Wystarczyło, że żona szalonego Madoca ciągle obrzucała ją wyzwiskami, słowami, które brzęczały w jej głowie jak muchy. W środku nocy Złotowłosa Johnnie wyprawił Madocowi „przyzwoity pogrzeb” i przeczytał na głos coś z ich świętej księgi, ale dla niej wyglądało to tak, jakby po prostu wyrzucili trupa za burtę, by nakarmić nim rekiny. Kitty Madoc cała się trzęsła. Ale nie płakała, nie uroniła ani jednej łzy, jakby wszystkie połknął wstyd za męża. Tylko C1agle zaciskała i rozwierała pięści, tylko bezgłośnie krzyczała z bólu i jakby zapadła się w sobie.

A potem obrzuciła ją wyzwiskami, i to właśnie wtedy Johnnie powiedział, że ona, Maya, jest odważna. W głębi serca jednak Maya nie czuła się odważna. Wciąż patrzyła na rękę, którą trzymała pistolet, żałując, że nie należy do kogoś innego.

## R O Z D Z I A Ł 4 0

W twarz uderzył ją świeży wiatr i canoe zakołysało się gwałtownie. Próbowwała utrzymać rytm. Wargi miała pokryte solą i umierała z pragnienia. Fale atakowały dziób, znosząc ich z kursu, a jej zadaniem było wybieranie rękami wody. Opływali właśnie skalisty cypel, gdzie najmocniej wiało. Na szczęście Fitz powiedział, że po zawietrznej stronie wyspy będzie łatwiej. Miał rację. Było tak, jakby ktoś opuścił nagle zasłonę. Morze się uspokoiło i o wiele lepiej radzili sobie z wiosłami.

Teraz płynęli szybko i jej nadzieje rosły. Chociaż nie bardzo wierzyła, że Nurul dotrzyma słowa, szum atakujących łódź fal zagłuszył przekonanie, że „Burung Camar” odpłynął, szukając schronienia na bezpieczniejszych wodach. W miarę jak wraz ze wzburzonym morzem uspokajały się jej myśli, coraz częściej docierało do niej, że to nie szum fal każe jej zaufać Nurulowi, tylko siedzący za nią mężczyzna: jego równy oddech i rytmiczne ruchy rąk. To, jak mówił, jak wyrywał ją z zamyślenia krótkimi komentarzami, jak podtrzymywał na duchu.

- Teddy się ucieszy - rzucił, kiedy fale znowu urosły.

-Pewnie ma już dość zabawy w piratów.

Uśmiechnęła się w ciemności.

A kiedy okrążali cypel, powiedział:

- Będziemy musieli do nich podpłynąć. Oni nie mogą, tu jest pełno podwodnych skał.

Jak w życiu, pomyślała.

I trochę później:

- Dobrze nam idzie.

Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła, że Fitz wciąż zerka na wschód. Oboje wiedzieli, że gdy tylko słońce ozłoci horyzont, „Burung Camar” podniesie żagle i odpłynie.

Jak to możliwe, że była w stanie nienawidzić kogoś, kogo tak bardzo kochała?

Maya obserwowała światło księżyca, które podskakiwało na falach i tańczyło na masztach. Księżyc ją denerwował. Złotowłosa Johnnie powiedział, że japońskie samoloty przylatują tu na nocne patrole i chociaż nie zapalili ani jednej lampy, w świetle księżyca byli jak kaczkę siedzące na wodzie. Na myśl o bombach ugięły się pod nią kolana, a w ustach poczuła smak morskich wodorostów. Zwinęła się w kłębek za budką na tyle łodzi - na „rufie”, jak mówił *tuan* Teddy - i wyteżyła słuch.

Umiała słuchać. Zbierała słowa dla Johnniego. Pochwalił ją, kiedy powiedziała mu, że pirat o świńskim brzuchu powiedział Nurulowi, że nie powinni dłużej czekać na Firzpayne'a, dlatego teraz znowu przycupnęła w czarnym kwadratowym cieniu, słuchając, jak Kitty Ma-doc i Nurul rozmawiają w budce. Żona szalonego Madoca miała dziwny głos, jakby język latał jej na wszystkie strony. Jakby go sobie złamała, tak jak Johnnie rękę. Od tego głosu rozboleły ją uszy, dlatego po krótkiej chwili odeszła i natknęła się na Razaka z Johnniem. Złotowłosa Johnnie lubił rozmawiać z jej bratem - poznała to po pięknym uśmiechu, który błąkał się na jego ustach jak motyl gotowy rozłożyć skrzydła. Ilekroć to widziała, między oczami czuła ukłucie bólu.

- Chodź do nas, Mayu.

Wyciągnął do niej rękę i kiedy podała mu swoją, przyciągnął ją bliżej. Stała przed nim, ciesząc się, że jest ciemno. Nie widział przynajmniej, że płoną jej policzki.

- Co robił mój mały wróbelek?

- Słuchał.

Wróbelek? Szare, brzydkie ptaszyczo. Nic, tylko skacze i dziobie okruchy.

Johnnie roześmiał się wesoło.

- I co usłyszał tym razem?

Widziała, jak patrzy na Razaka i jak Razak patrzy na niego.

- Nurul mówi, że *mem* Hadley nie żyje - powiedziała okrutnie i zobaczyła, że twarz Johnniego bieleje jak mleko.

Jednak gdy pogłaskał ją po rękę, od razu chciała cofnąć te słowa.

- Ale Kitty Madoc mówi, że *mem* jest twarda i nie umrze. Chce tu na nią zaczekać.

- Pani Madoc to silna kobieta. Mimo bólu, ma głowę na karku.

Na karku? A gdzie ma mieć?

- Mówi, że jej przykro, że szalony Madoc rozmawiał przez radio.

Złotowłose Johnnie ścisnął ją za rękę i wytrzeszczył oczy, jakby zdzieliła go kijem do krykieta.

- Przez radio? - spytał. - Przez jakie radio?

- To na łodzi.

- Co takiego? Na łodzi jest krótkofalówka?

Maya kiwnęła głową, ciesząc się, że tak mocno ścisną ją za rękę.

- Wiesz gdzie?

- Wiem.

Oczywiście, że wiedziała. Dokładnie zwiedziła całą łódź, śledząc Nurula.

- Na miłość boską, Mayu, dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Zaprowadź mnie tam.

- Szalony Madoc rozmawiał i zaraz potem przyleciały samoloty. Ty nie rozmawiaj, Johnnie. Sprowadzisz tu więcej Japończyków.

Puścił jej rękę.

- Boże, nie bądź niemądra, dziewczyno. To jedyny sposób, żeby wypłatać się z tej matni.

Księżyc ich zaskoczył. Wyślizgnął się z uścisku chmur, nadając wodzie lekki, srebrzysty połysk. Niezadowolony Fiiz cicho chrząknął, ale ona się ucieszyła. Ciemność była klaustrofobiczna, zmuszała myśli do krążenia w kółko.

- Fitz - spytała nagle, nie przerywając wiosłowania, chociaż bolały ją ręce. - Co wtedy myślałeś? Kiedy przychodziłeś do mojego domu. Nienawidziłeś mnie?

Przestał oddychać. Zaczął dopiero po długiej chwili.

- Tak. Nienawidziłem Constance Hadley, kobiety, która, byłem tego pewny, zniszczyła mojego brata. Ale... - Głos zmienił mu się i złagodniał. - Ale nigdy nie nienawidziłem ciebie, Connie. - Roześmiał się dziwnym, niskim śmiechem. - Boże, naprawdę próbowałem. Próbowałem cię znienawidzić tak bardzo, że aż skręcało mnie w środku. Jednak nie mogłem, nie miałem żadnych szans. Najpierw próbowałem trzymać się od ciebie z daleka, potem postanowiłem się do ciebie zbliżyć i odkryć wszystkie twoje wady, żebyś przestała mi się wreszcie podobać...

- I przestałam?

- Podobać mi się?

- Tak.

- Nie.

Znowu dotknął jej pleców. Wiosła przestały wiosłować i canoe zboczyło z kursu.

- Pokochałem cię tak bardzo, że omal mnie to nie zabiło. Codziennie widziałem cię z mężem, to była tortura.



Czasem myślałem, że to Shohei mści się na mnie za to, że ja nie pomściłem jego.

Odwróciła się gwałtownie i łódź zatańczyła, ale to zignorowali.

- Wydałeś mnie generałowi Takehashi. Zdradziłeś mojego syna. To ma być miłość?

Gniewnie machnął wiosłem, ale głos miał wciąż łagodny.

- Connie, kiedy schwytali cię Japończycy, mogłem nie wychodzić z ukrycia. Mogłem zaczekać na Nurula i odpłynąć jeszcze tej samej nocy. Ale nie odpłynąłem. Bo życie bez ciebie nie byłoby życiem.

Położyła rękę na jego ręce. Fala przelała się przez burtę i zmoczyła ich splecione palce.

- Mogłem cię uratować tylko w jeden sposób: powołując się na wielkiego generała Takehashiego. Na dźwięk tego nazwiska żołnierze omal w portki nie narobili i wysłali wiadomość na Okinawę. Generał przyleciał natychmiast. Ciąg dalszy znasz.

Canoe dryfowało jak ciemny punkcik na anonimowym oceanie. Connie ścisnęła go za rękę.

- A ta scena w namiocie? To działo się naprawdę?

- Connie, miłości moja, jak możesz pytać?

- Wszystko wydawało się takie prawdziwe.

Nachylił się ku niej, aż jego twarz znalazła się o szerokość dłoni od jej twarzy. Zrobił to tak powoli i z takim rozmysłem, że zatarły się dzielące ich linie. Nie było już końca jej ani początku jego. Zmieniało się coś ważnego.

- Zapierałaś dech w piersi - wyszeptał. - Nigdy nie kochałem cię bardziej niż wtedy, kiedy klęczałaś przed moim przybranym ojcem. Twoja odwaga była uosobieniem piękna.

Słyszała uśmiech w jego głosie, czuła zapach morza w jego włosach.

- Byłeś okrutny.

- Wiem.

- Więc dlaczego miałabym ci wybaczyć? - Chciała powiedzieć to gniewnie, ale na jej wargi wkradł się uśmiech i pocałowała go w słone usta.

Canoe zachwiało się niebezpiecznie i Fitz chwycił wiosło.

- A teraz - powiedziała - znajdź mojego syna.

Nie zostawiaj mnie! Maya wykrzyczała te słowa tak głośno, że Johnnie musiał je usłyszeć, chociaż krzyczała tylko w swojej głowie. Nie zostawiaj mnie!

Kłócił się z Nurulem. Nurul stał na szerokim końcu łodzi, pokazywał cienką złocistą wstążkę na wschodnim horyzoncie i kręcił głową. Zamierzał odpłynąć. Wiatr wspierał go, szarpiąc takielunkiem, jakby chciał, by „Bu-rung Camar” jak najszybciej podniósł kotwicę. Nurul był zły, że Johnnie rozmawiał przez radio. Uderzył ją za to, że mu je pokazała, ale to nic, bo zaraz potem Johnnie pocałował ją w policzek i powiedział, że ona, Maya, jest „darem niebios”.

- Co ja bym bez ciebie zrobił? - spytał.

Już miała odpowiedzieć, że przecież nie musi się z nią rozstawać, że zawsze mogą być razem, kiedy krzyknął do Teddy'ego, że przyleci po nich samolot. Omal się nie roześmiała. Samolot? Niby gdzie by wylądował? Ale *tuan* Teddy mu uwierzył.

- Nie - powiedział. Bardzo stanowczo. Z głębokim smutkiem. - Ja nie polecę. Zaczekam na mamę.

- Teddy - wyjaśnił mu łagodnie Johnnie. - Nurul chce podnieść kotwicę i odpłynąć. Czekamy tu już czwartą noc. Przykro mi, chłopcze, lecz w tej sytuacji możemy liczyć tylko na to, że mama pojawi się w którymś z japońskich obozów dla jeńców wojennych.

*Tuan* Teddy wyglądał tak, jakby zrobiło mu się niedobrze.

- Żeby czegoś się o niej dowiedzieć, musimy wrócić do domu - tłumaczył Johnnie.

- Ja nie mam domu - wypalił *tuan*.

- Zawsze jest Anglia, Teddy. - Johnnie położył mu rękę na ramieniu. - Anglia zawsze będzie twoim domem.

Johnnie to dobry człowiek. Powinniśmy jednak poczekać na *mem*.

Wszyscy popatrzyli przez morze na wyspę, która przycupnęła w ciemności jak wielki krab. W zmieniającym się świetle księżycy zdawało się, że podpełza coraz bliżej nich.

- Jaki to samolot? - spytał *tuan*. Nie mógł się powstrzymać.

- Short sunderland. Nasi patrolują te okolice. Wypatrują japońskich łodzi podwodnych i zrzucają na nie bomby głębinowe. Powinni tu być w ciągu pół godziny, zanim Japończycy zdążą namierzyć naszą krótkofalówkę. - Johnnie objął chłopca i przytulił go. - I już nas tu nie będzie.

Nie będzie. Nie będzie. Nie będzie. Nie zostawiaj mnie, Johnnie. Maya podeszła bliżej.

- Co to jest short sunderland?

- Latająca łódź.

Przez jedną cudowną chwilę myślała, że Złotowłosa Johnnie tylko tak żartuje, że to wszystko nieprawda. Czasem tak robił.

- Jak łódź może latać? - Wyobraziła sobie „Białą Perłę” ze skrzydłami i roześmiała się wesoło.

Johnnie zmarszczył brwi.

- To samolot, który może startować i lądować na wodzie. Wojskowa wersja łodzi latającej typu C, samolotu o bardzo dużym zasięgu, który wozi pasażerów po całym świecie.

Nie podobało mu się, że wyśmiała jego łódź. Popatrzył w nocne niebo, na rozmazane czarne chmury i gwiazdy.

- Wytężajcie słuch - powiedział. - Bo mogą tu przy-

lecieć i Japończycy. - A potem znowu poszedł klócić się z Nurulem, który chciał już stawiać żagle.

Jak mogła wyteżać słuch, skoro słyszała tylko płacz swego serca?

- Fitz, czy generał Takehashi będzie cię ścigał; kiedy dowie się, że wystawiłeś go do wiatru?

- Na sto procent.

Usłyszeli jakiś hałas i przestali wiosłować. Wsłuchali się w ciemność. Samolot. To był warkot lecącego w oddali samolotu. Connie odwróciła się gwałtownie, uderzając kolanem w jego udo. Spojrzała w dół, ale nie, na bandażu nie było śladów świeżej krwi.

- Connie, ja nie zdradziłem Teddy'ego. Powiedział to ze smutkiem w głosie. Miał do niej żal, że tak pomyślała.

- Zawsze wiedziałem, że dotrę do niego przed generałem - dodał. - Że dam radę ochronić twojego syna przed zemstą. Zrobiłbym wszystko, żeby tak było.

Pogłaskał ją po włosach. Dotknął jej ust.

- Nie mogłem pozwolić, żeby cię zastrzelili. Miałem w zanadrzu tylko Teddy'ego, ale to nigdy nie była prawdziwa propozycja.

Podniósł jej głowę, żeby spojrzała mu w oczy.

- Wierzysz mi? - spytał.

- Tak. Wierzę.

Ryk nadlatującego samolotu rozdarł ciszę i wzburzył fale. Canoe zakołysało się gwałtownie, grożąc wywrotką do góry dnem. Fitz przyciągnął Connie do siebie i przytulił.

- Generał Takehashi jest szybszy, niż myślałem - szepnął w jej mokre włosy.

Księżyc znowu schował się za chmurami i w kompletnej ciemności nie widzieli ani samolotu, ani wyspy. Nie widzieli również „Burung Camara”. Znaleźli się w odizolowanym nie-świecie. Zaczęli szybciej wiosłować, świadomi ulotności tej chwili, tego, że zaraz może zostać im odebrana.

- Fitz, co my zrobimy?

- Nie myśl o tym. - Przesunął ręką po jej ramieniu, pieszcząc zmęczone mięśnie. - Myśl o tym, co jest teraz. - Oparł czoło o tył jej głowy.

- Nie, nie pytam, co zrobimy, kiedy złapią nas żołnierze generała...

- Tylko?

- Co zrobimy, kiedy stąd uciekniemy? Dokąd pójdziemy?

W ciemności zabrzmiał jego cichy, radosny śmiech.

- Skarbie mój, jak ja cię kocham. Kocham cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

To był samolot potwór, wielki i gruby jak cielsko brą-zowozielonego wieloryba. Cztery silniki ryczały tak głośno, że mogły obudzić cały świat, i ryk ten rozrywał głowę. Mimo to Maya wciąż siedziała skulona w budce na rufie łodzi, nie będąc w stanie pożegnać się z Johnniem.

Złotowłosa Johnnie był podekscytowany; widziała go przez dziurę, gdzie powinny być drzwi. Cieszył się, że ją zostawia. Na wodę spuszczone łódkę, która miała zawieźć ich do latającego potwora bez żagli, i wszyscy bardzo się spieszyli.

Kitty Madoc chwyciła Johnniego za rękę, zatrzymując go tuż przy ścianie budki.

- Ja nie lecę - powiedziała. Głos miała wciąż martwy, tak jak martwy był jej szalony mąż. - Postanowiłam zostać tutaj, na łodzi. Zaryzykuję.

- Pani Madoc - odrzekł szybko Johnnie - nie możemy *zwlekać*, ale proszę się jeszcze zastanowić. To są bardzo niebezpieczne wody. Niech pani leci z nami, przynajmniej ...

- Nie.

- Jest pani pewna?

- Tak. Nie chcę, wolę już płynąć.

- Z Nurulem?

- Tak. Z Nurulem.

Nurul krzyknął, żeby się pospieszyli.

- Cóż, w takim razie do widzenia - powiedział uprzejmie Johnnie. - I szczęścia życzę. Przykro mi, że nasza znajomość była taka...

- Do widzenia, panie poruczniku - przerwała mu trupim głosem żona szalonego Madoca. - A tej smarkuli, która zastrzeliła mojego męża, życzę, żeby się utopiła. Niech pan jej to ode mnie przekaże. - Odeszła i jej kroki ucichły.

Johnnie wetknął głowę do budki i Maya zasłoniła uszy, nie chcąc usłyszeć, że ma się zaraz utopić. On jednak nachylił się, oderwał jej rękę od skroni i z szerokim uśmiechem spytał:

- Idziesz, wróbelku? Gotowa do lotu?

Usłyszeli, jak samolot uderza w wodę.

- Bombowiec spadł - orzekł Fitz.

- Oby japoński - powiedziała z nagłym gniewem. - Nie nasz.

Uderzyła w nich powstała w wyniku upadku fala, dziób łodzi zniknął pod wodą i Connie omal nie wypadła za burtę. Fitz, który umiał żeglować jak mało kto i w którego żyłach płynęła morska woda, utrzymał równowagę i chwycił ją za rękę. Connie odwróciła głowę, by mu podziękować i serce zabiło jej szybciej.

- Spójrz! - krzyknęła.

Morze zalało światło księżyca i w oddali zobaczyli czarny kadłub dużego samolotu. Fitz pomachał wiosłem.

- Connie! Nikt się tam nie rozbił, to nie japoński bombowiec! To latająca łódź RAF-u!

Trochę dalej na wschód dostrzegli długonosą sylwetkę kołyszącej się na kotwicy łodzi. Czekał na nich „Burung Camar”.

Wiosłowali jak szaleni, krzycząc co sił w płucach, kiedy pozwalał im na to oddech. Zagłuszał ich warkot silników, nie sprzyjał im również wiatr. I chociaż każdy ruch rąk wspierali całym ciężarem ciała, chociaż przeklinali liche wiosła, siłą woli próbując zatrzymać łódź i samolot, powoli tracili nadzieję. „Burung Camar” podniósł grot, potem bezan i fok. Łódź rozłożyła skrzydła jak wielki nocny ptak i odleciała na zachód, ku tajemnym ławicom ciemności, gdzie nikt jej nigdy nie wytropi.

- Nie widzą nas - wysapał Fitz. - Za nisko siedzimy na wodzie.

Connie zaczęła wymachiwać wiosłem i krzyczeć, lecz wiedziała, że to daremny trud. Dlatego wyruszyli w pościg za samolotem, ale przedtem musiała wyzbyć się wrażenia, że wraz ze słoną pianą znowu spływa na nią klątwa Sai-Ru Jumat. Wyraźnie czuła dotyk jej zimnych palców, ucisk jej ostrych zębów. Skupiła się na wiosłowaniu, na rytmicznych ruchach rąk: do wody i mocno pociągnąć, do wody i pociągnąć. Skup się, skup się!

Ale to nie wystarczyło. Sai-Ru Jumat wygrała. Silniki samolotu ryknęły z większą mocą i przestraszony hałasem księżyc schował się za chmury. Powróciła ciemność. Connie zadrżała, bo oboje słyszeli, że maszyna przygotowuje się do startu, że zaczyna się od nich oddalać.

- Connie. - Poczowała na karku dotyk ręki Fitz'a i prze-

nikające do szpiku kości ciepło. - Teddy na pewno tam jest. Cały, zdrowy i bezpieczny. Nie musisz się o niego martwić.

Oparła głowę o jego kolana, a on pocałował ją w czoło.

- A my? - Uśmiechnęła się do niego, chociaż nie mógł tego widzieć. - Co będzie z nami?

Rzucił wiosło i objął ją.

- Masz ochotę popłynąć do Australii?

- Wskaż mi tylko kierunek. - Roześmiała się namiastką śmiechu.

- Australia jest tam... - Umilkł. - Posłuchaj! Warkot silników zmienił natężenie i wysokość.

- Oni zawracają. Ustawiają się pod wiatr.

Usiadła prosto i usłyszała, że maszyna pędzi prosto na nich. Nie miała włączonych świateł, więc Connie jej nie widziała - nie było również nadziei, że piloci zobaczą ich - mimo to wyteżyła wzrok. Chciała choć przez chwilę popatrzeć na samolot, który unosił jej syna.

Fitz zerwał z siebie koszulę. Pochylił się, wyjął z kieszeni zapalniczkę i wetknął ręce w zagłębienie pod burta. Rozległ się cichy trzask. Bez skutku.

- Zamokły. - Cicho zaklął.

- Szybko - szepnęła Connie. - Spróbuj jeszcze raz. - Serce waliło jej jak młotem.

Fitz spróbował i wreszcie zapalniczka zapłonęła, najpierw jedna, potem druga, i Connie przytrzymała nad ogniem koszulę. Materiał tlił się żałośnie przez kilka sekund, w końcu się zajął. Samolot był coraz bliżej. Fitz podniósł rękę i zaczął wymachiwać płonąca koszulą jak pochodnią, podczas gdy ona rozpaczliwie wiosłowała, by zejść z kursu pędzącej coraz szybciej maszyny. Dmuchał wiatr i koszula zmieniła się w kulę ognia. Oboje zdawali sobie sprawę, że może to zwrócić uwagę tych na wyspie, wiedzieli, jak bardzo ryzykują.

Ryk silników gwałtownie przycichł.



- Zwalniają! - Connie wyrwała Firzowi płonącą koszulę, żeby nie poparzył sobie ręki. - Zobaczyli nas!

Pod skrzydłami zapłonęły reflektory i zalała ją fala ulgi. Maszyna sunęła w ich kierunku jak zwalisty anioł z rozpostartymi skrzydłami.

- Connie! - krzyknął Fitz. - Wiosłuj ze wszystkich sił!

- Twój generał już wie, gdzie jesteśmy, i wyśle za nami pościg...

Gdy tylko rzucili się do wiosł, usłyszeli w oddali głucho dudnienie silnika japońskiej kanonierki.

Boże, tylko nie teraz. Nie kiedy mój syn jest tak blisko. Nie kiedy Sai-Ru Jumat zdjęła ze mnie klątwę.

Podmuch śmigieł wzmaczał fale i canoe nabierało coraz więcej wody. Connie już nie traciła czasu na jej wybieranie. Wiosłowała jak szalona. Minęli pływaki, przepłynęli pod olbrzymim płatem skrzydła i zobaczyli, że w kadłubie otwierają się drzwiczki, dokładnie pod podwyższoną kabiną, małej prostokąt przyjaznego światła.

- Co wy tak wolno? - krzyknął do nich pilot. - Muszę podnieść to bydło w powietrze, inaczej będziemy jeść surową rybę na śniadanie.

Dołączył do niego inny głos, wesoły i roześmiany.

- Szybciej, kapitanie! Cholera jasna, nie wie pan, że jest wojna?

Connie usłyszała śmiech. Tak, na pokładzie słychać było śmiech.

## R O Z D Z I A Ł 4 1

Ile jest warte życie dla kogoś, kto myślał, że umrze?

Ile jest warte to, że można trzymać w ramionach syna i czuć jego gorące łzy na policzku, kiedy było się pewnym, że go już nie ma?

Jak to jest siedzieć obok ukochanego mężczyzny i widzieć, że się do ciebie uśmiecha?

Słowa tego nie opiszą. Są zbyt ubogie. Nigdy tego nie oddadzą.

Trzęsła się, drżała i dygotała w wielkiej ładowni ze stalowymi wręgami wygiętymi w łuk jak żebra wieloryba, podczas gdy samolot pędził po morzu, próbując zadrzeć dziób, zwiększyć siłę nośną i oderwać się od wody. Fale mocno go trzymały, nieustannie atakując jego brzuch i burty. Karabiny maszynowe na pokładzie japońskiej ka-nonierki otworzyły ogień i kilka kul trafiło w koniuszek skrzydła, lecz zwalisty anioł otrząsnął się tylko i z gwałtownym przyplływem energii wzbił się w powietrze. Connie usłyszała jego radosne westchnienie. Kochał wolność, tak samo jak ona.

- No więc? - Oparła głowę o metalową ścianę maszyny, mając wrażenie, że słyszy bicie czyjegoś serca. - Dokąd teraz?

- Do Darwina. - Fitz był szary z bólu i zmęczenia, ale oczy miał jasne i rozbawione. - Do Darwina - powtórzył.

- Do Darwina... w Australii?

- Otóż to.

Aż sapnęła z zaskoczenia. Tego się nie spodziewała.

- Myślałam, że do Nowej Gwinei.

- Nie, tam jest zbyt niebezpiecznie. Lecimy do Darwin. To duży port, niezwykle ważny dla państw sprzymierzonych biorących udział w wojnie o Pacyfik. Ważny strategicznie, bo można stamtąd przeprowadzać ataki na Japonię. Stacjonuje tam 33. Dywizjon Pościgowy naszych myśliwców P-40 i australijskich patrolowców Hudson. -Fitz sprawdził, jak na to zareagowała i dodał: - Jest wojna. Będzie dużo pracy. Może się przydamy.

Connie była tym podekscytowana.

- Ale co z twoją łodzią? - spytała. - Co z Nurulem?

- Łódź i Nurul mogą poczekać. - Roześmiał się cicho. -W przeciwieństwie do innych rzeczy. - Nachylił się, pocałował ją w usta i uśmiechnął się szeroko.

- Lepiej? - spytała.

- Znacznie lepiej, dziękuję.

Przykryła dłonią jego dłoń, a on zacisnął na niej palce.

Wnętrze latającej łodzi przystosowano do potrzeb wojskowych, dlatego było urządzone po spartańsku: stało tam tylko kilka foteli, stół z mapami dla nawigatora i skomplikowana radiostacja. Na dwóch podwyższonych platformach siedzieli strzelcy z karabinami maszynowymi, ale jej uwagę przykuła kabina pilota. Zalewały ją złociste promienie porannego słońca i zobaczyła połyskujące jak miedź kędzierzawe włosy swojego syna, który jak zahipnotyzowany stał między Johnniem Blakiem i pilotem Re-evesem: pilot tłumaczył mu właśnie, jak zmniejsza się ciąg silników.

Wiedziała, że Teddy dojdzie do siebie. Był młody i silny, ale wiedziała również, że minie sporo czasu, zanim miłość i czas zaleczą rany w jego sercu. Początkowo tulił się do niej, zalewając ją łzami i zasypując pocałunkami, jednak jego wrodzona ciekawość i zainteresowanie samolotami szybko wzięły górę i zaciągnęły go do kabiny.

Ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że są z nimi Maya

i Razak. Maya leżała na koi, ukrywając głowę pod poduszką i żałośnie jęcząc, lecz Connie uważała, że zniesie tę podróż bardzo dobrze. Była dziewczyną niezwykłą i niezwykle silną. Australia nie wiedziała, co ją czeka.

- Tak się cieszę, że tu jest - powiedziała. - Będę mogła mieć na nią oko i ją uczyć.

Fitz zmarszczył brwi.

- Uważaj, żeby ona nie nauczyła czegoś ciebie - mruknął i Connie parsknęła śmiechem.

Jak tylko weszli na pokład, Maya podbiegła do niej i z rozszerzonymi z niedowierzania oczami i promiennym uśmiechem na twarzy kilka razy dźgnęła ją palcem w ramię, by sprawdzić, czy ona to naprawdę ona.

- To nie sen! - krzyknęła. - *Mem* tu jest!

- Jestem, Mayu. Koniec z chatami na drzewach!

- Cieszę się. - Maya ścisnęła ją za rękę. - Dopilnuję, żeby pani została.

Cztery proste słowa. Dla Connie znaczyły tak dużo, że objęła ją, mocno przytuliła i puściła dopiero wtedy, gdy samolot gwałtownie przechylił się na skrzydło i dziewczyna uciekła z powrotem do swojej poduszki.

To Razak czuł się chyba nieswojo. Siedział w kącie milczący i zdenerwowany. Connie zastanawiała się, jak, u licha, siostra zdołała wyrwać go z tej pirackiej bandy i zaciągnąć na latającą łódź. Ale byli bliźniętami i mieli tę samą krew, która płynęła w nich jak w sieci wspólnych żył.

Na pokładzie był ktoś jeszcze, ktoś w wojskowym mundurze. Początkowo myślała, że to członek załogi, lecz szybko spostrzegła swój błąd. Gdy wchodzili, nieznajomy siedział na końcu ładowni, ale natychmiast wstał, podszedł do Fitz'a i uścisnął mu rękę.

- Jak się pan miewa, Fitzpayne?

- Nieźle.

- Cieszę się, że uciekł pan z tej dziury. Były kłopoty?

- Niewielkie.

- To świetnie.

Na tym się skończyło. Potem już się do siebie nie odzywali. Ale kiedy spytała Fitz, kto to jest, ten przymknął powieki i wycofał się na z góry upatrzone pozycje.

- Nazywa się Hodgkins. Jest chyba z wywiadu. Oni ciągle się tu kręcą.

Nie spytała o nic więcej. Fitz składał się z tylu warstw, że to wcale jej nie zaskoczyło. Hodgkins znał go - czyżby ze sobą współpracowali? Czy Fitz dostarczał Brytyjczykom informacji o ruchach japońskich wojsk na tych terenach? Czy jego związki z Japonią były jedynie przykrywką?

Zdała sobie sprawę, że nie wie o nim tylu rzeczy, ale miała przed sobą całą przyszłość, by je odkryć. Czowała, że ich umysły splatają się ze sobą w jeden, była świadoma zarówno bólu, jaki ona zadała jemu, jak i cierpienia, na jakie on naraził ją. Wiedziała, że czas ich uzdrowi. Byli sobie pisani. Za bardzo go kochała, by okiełznać jego energię - czy choćby tylko spróbować - ale czuła, że będą razem. Kiedyś, kiedy to wszystko się skończy.

Kiedy nastanie lepszy świat. Bo ten stary kruszył się i rozsypywał. Stary porządek zniknął, mocno jednak wierzyła w to, że mieszkańcy Zachodu zakąszą rękawy i zbudują nowy. Lepszy. Zbudują świat, w którym ludzie nie będą już rozpętywać straszliwych wojen i posyłać na śmierć swoich dzieci. Teddy szybko dorastał, nie chciała, by musiał brać udział w kolejnej wojnie. Widział tyle śmierci, że wystarczy mu to do końca życia.

Wyjrzała przez malutkie okno. Zobaczyła tylko bezkres błękitnego morza. Malaje zniknęły, lecz obiecała sobie, że pewnego dnia zabierze tam Teddy'ego, by odwiedził dom swego ojca.

- Connie.

Odwróciła się zaniepokojona.

- Noga? - spytała z troską. - Boli? Pokręcił głową.

- Posłuchaj... Hodgkins to indywidualista. Lubi wyzwania i ma odwagę stawić im czoło. - Uniósł brew. - Tak jak ktoś, kogo znam.

Roześmiał się i poczuła ten śmiech w duszy.

- No i? - spytała.

- Gdybyś chciała, mógłbym z nim porozmawiać. Ciągłe szuka zdolnych ludzi.

Connie spojrzała mu w oczy i serce zabiło jej szybciej. Ścisnęła go za rękę.

- Cóż, Darwin to chyba dobre miejsce na rozpoczęcie nowego życia - odparła niezobowiązująco. Nowego życia z nowymi możliwościami i szansami.

- Mógłbym was często odwiedzać.

- Łodzią?

- Tak.

- Teddy byłby tam bezpieczny.

- A po wojnie moglibyśmy... Przytknęła palec do jego ust.

- Ciii. Na razie tyle.

Czuła ciepły ucisk jego ramienia, czuła dotyk jego twardego uda. Przyszłość rozciągała się przed nimi kusząca jak wiosenna trawa.

- W Darwinie będziemy bezpieczni, bo japońskie samoloty tak daleko nie dolecą\*.

- Podjęła decyzję i uśmiechnęła się do niego.

- Prawda?

\* Japończycy zbombardowali Darwin 19 lutego 1942 r. Był to pierwszy i najcięższy z ponad stu nalotów, jakie przeprowadzili na to miasto w latach 1941-1943 (przyp. tłum.).

# BRYLANTY W GARŚCI PYŁU

*Darwin, Australia, sierpień 1942*

Hatti Hoot. Co to za głupie nazwisko?

Spojrzała na swój podpis. Każda litera strzelała w inną stronę, jakby próbowała uciec z leżącego przed nią formularza. Hatti ćwiczyła czasem inne podpisy, wymyślała dla siebie lepsze nazwiska, takie, które brzmiały bardziej elegancko. Jej ulubionym było Bette Hepburn. Miało klasę. Zawsze uważała, że dobre imię i nazwisko potrafi zapewnić dobre życie. Bo niby po co tyle gwiazd filmowych przybierało nowe, efektowne nazwiska, by z nowym, efektownym uśmiechem demonstrować je przed kamerą?

Hatti Hoot. Głupie nazwisko, głupie życie.

Przesunęła formularz po ladzie i siedząca po drugiej stronie kobieta przejrzała go pobieżnie z miną kogoś ssącego limonkę. Miała zaciśnięte usta i wąskie, świdrujące oczy.

- W porządku, pani Hoot.

- Da mi pani znać, jeśli...

- Oczywiście. - Baba powiedziała to z przemądrzałą miną. Tylko dlatego że była w mundurze.

Bo tak się właśnie mieszkało teraz w Darwinie. Był sierpień tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku i ta przeklęta wojna zagościła w Australii na dobre. Miasto pękało w szwach od mundurów - było ich więcej niż moskitów - i ten, kto jakiegoś nie nosił, stawał się po prostu niewidzialny. Hatti mierzyła prawie metr osiemdziesiąt w pończochach, ważyła blisko osiemdziesiąt dziewięć kilo



i dumna ze swych grubych, ciężkich loków, jaśniejszych niż sierść rudego kangura, w wieku trzydziestu dziewięciu lat nie lubiła być niewidzialna.

Babsztyl ssący limonkę odwrócił się w drugą stronę. Sprawa załatwiona.

Nie pierwszy i nie ostatni raz, ot, zwykła obojętność. Ale tym razem, tylko dlatego, że jeśli ciągle dźgasz muła kijem, zwierzę w końcu nie wytrzyma i któregoś dnia cię kopnie, Hatti kopnęła z hukiem ladę. Ta z limonką omal nie spadła z krzesła.

- Posłuchaj no, paniusiu! - wrzasnęła Hatti. - Mam to gdzieś, czy jesteś kapitanem, czy kapralem, bo nie wiem, co to za paski nakleili ci na te chude jak szczapa ramiona... - Nie zrobiła nawet pauzy na oddech. - Ale powiedz ode mnie swojemu szefowi, że dowiem się tego, choćbym miała...

Przerwał jej ryk syren przeciwlotniczych. No nie, tylko nie to! Hatti przeklęła swoje szczęście i w tej samej chwili wszystko wokół niej zaczęło się zamykać. Urzędnicy odchodzili od lad, zaciągnano zasłony, ludzie wybiegali z budynku i jak szczury pędzili do schronów. Ona też znalazła się na ulicy, ale kiedy zatrzaśnięto za nią drzwi, stwierdziła, że jest zbyt wkurzona, by zaszywać się w jakiejś ciasnej, cuchnącej norze. Dlatego głośno tupiąc w pełnym buntzie proteście, wyszła na jaskrawe słońce i gdy ogrzało jej twarz, żołądek znowu podjechał jej do gardła. Znajome uczucie.

Cholerne Japońce!

Zasiali strach wśród spokojnych mieszkańców Darwin, plując z nieba śmiercią i zalewając brudne ulice krwią. Pierwszy nalot, ten w lutym, wszystkich zaskoczył i sto osiemdziesiąt osiem samolotów pozostawiło za sobą setki zabitych i rannych.

Hatti zadarła głowę i zobaczyła formację japońskich bombowców o podwójnych ogonach, które jak zwykle leciały z rykiem w kierunku bazy marynarki wojennej w Sto-

kes Hill Wharf. Rzecz w tym, że zawsze znalazło się wśród nich kilku maruderów, którzy lubili zabawić się w kotka i myszkę z mieszkańcami Darwina. Jednego dnia bomba spadająca ze świstem na dom, drugiego kilka zrównanych z ziemią sklepów. Najgorsze były myśliwce, upiornie buczące zera, które ot tak, dla zabawy, jakby grały w kręgle, lubiły ostrzeliwać ulice z karabinów maszynowych, rywalizując ze sobą o to, kto zabije więcej przechodniów. Każda taka zabawa wyrywała miastu serce z piersi. Idąc przed siebie, Hatti czuła, że Darwin krwawi i teraz.

Sklepy przy Cavanagh Street były zamknięte i opustoszałe, nawet lodziarnia, gdzie lubiła przychodzić na lody w rożku za trzy pensy. Dlatego zdziwiła się, widząc, że drzwi tego, który właśnie mijiała, nagle się otwierają. Wpadli na nią dwaj mężczyźni. Wpadli, nadepnęli na nogę i potracili w ramię. - Hej! - zawołała. - Uważajcie, jak idziecie.

Oni nie uważali, ale ona tak, ona wszystko dobrze widziała i w tej samej chwili jej rude włosy zafalowały jak na wietrze. Mężczyźni z trudem odzyskali równowagę. Dwóch cherlaków, wronożerców z południa. Ręce mieli obładowane biżuterią, sznurami pereł, które zwisały im spomiędzy palców, błyszcząc w słońcu jak strużki śliny z pyska wściekłego psa. Hatti zmrużyła oczy i przyjrzała się im uważniej. Nie, to nie byli mężczyźni. To były chu-derlawe wyrostki, czternasto-, najwyżej piętnastoletni chłopcy. Biali ulicznicy o wystraszonych twarzach i blade-niebieskich rozbieganych oczach. Pewnie bracia, pomyślała w pierwszej chwili. Szabrownicy, pomyślała w drugiej i na tę myśl znowu się najeżyła. Chwyciła ich za rękawy.

- Co wy, do diabła, robicie? - wrzasnęła. Wyprostowała się na pełną wysokość, górując nad nimi jak wieża. -Kradzież jest grzechem - oświadczyła. - Pójdziecie za to do więzienia, macie to jak w banku.

W jednej parze bladoniebieskich oczu zagościł jeszcze większy strach. Druga zrobiła się zimna i bezduszna i Hatti wyczuła, że ten chłopak, choć niższy od niej, zbiera się

właśnie, by jej solidnie przyłożyć. Jego grube kłykcie zacisnęły się kurczowo na broszkach i pierścionkach, które trzymał w ręku.

- Rzuć to - rozkazała.

- Idź sobie, paniusiu - syknął ten wystraszony.

- Bo co?

- Mój brat trenuje boks. Da pani taki...

Hatti nie czekała. A to gówniarze! Me dość, że szabro-wali, to jeszcze śmieli jej grozić. Mieli pecha, wybrali zły dzień. Puściła rękaw tego wystraszonego, wzięła zamach torebką - miała w niej puszkę peklowanej wołowiny na kolację - i grzmotnęła nią boksera. Trafiła prosto w szczękę i głowa poleciała mu do tyłu, a oczy powędrowały na chwilę w głąb czaszki. Chłopak zachwiał się i zatoczył. Jego brat musiał rzucić biżuterię, żeby go podtrzymać, bo bokser zachwiał się jeszcze mocniej, rozwierając palce i upuszczając swój łup.

- A teraz wynocha stąd!

- Pani zwariowała!

- Ale nie na tyle, żeby pozwolić wam kraść

- Ja się nie boję...

- Boisz się, oj, boisz.

Ten wystraszony szybko się wycofał, klnąc pod nosem i ciągnąc za sobą wciąż chwiejącego się brata. Zanim Hatti zdążyła przyłożyć mu jeszcze raz, zniknęli w pobliskim zaułku. Hatti wzięła głęboki oddech i dopiero wtedy spojrzała na ziemię. U jej stóp leżał stosik błyskotek, równowartość ponad pięciu lat jej skąpych zarobków. Mrugały do niej brylanty. Aż prosiły się, żeby je podnieść.

- Patrzy pani? - spytał czyjś młody głos. - Czy bierze? Małe brązowe ręce zaczęły zgarniać biżuterię szybkimi drapieżnymi ruchami. Jak szpak podkradający winogro-

na. Twarz kucającej dziewczyny kryła się pod zasłoną prostych czarnych włosów. Skąd ona się tu wzięła?

- Zostaw to.

Hatti była zaskoczona, że słowa te padły z jej własnych ust. Bo chciała powiedzieć: to moje.

Gdzieś w pobliżu wybuchła bomba i dziewczyna miauknęła jak kot. Podniosła głowę i kiedy Hatti zobaczyła jej wielkie, przerażone oczy, zdała sobie sprawę, że jest niewiele starsza od braci-szabrowników. Ale zakrzywione jak szpony palce wciąż miała wbite w kupkę klejnotów. Była Azjatką o ciemnej aksamitnej skórze i rękach drobnych jak łapki misia koala. Hatti poczuła się przy niej jak dziesięcotonowa ciężarówka.

- Patrzy pani? - powtórzyła dziewczyna. - Czy bierze?

- Ani jedno, ani drugie.

- To ja biorę. - Jej małe palce zamknęły się na garści złotych łańcuszków i pierścionków.

- Nie! - powiedziała Hatti.

- Tak, *mem*, wezmę, bo zaraz...

Jej szczupłe ramię drgnęło, kiedy Hatti położyła na nim swoją *ważącą* tonę rękę.

- Musimy to oddać, panienko.

Dziewczyna powoli wstała z błyskotkami, które przywarły do jej dłoni jak druga skóra. Jej czarne oczy spojrzały z wściekłością na piegowate ramię Hatti. - Nie, *mem*.

Hatti z trudem oderwała wzrok od mrugających do niej brylantów. Na ulicy było pusto, wszyscy siedzieli w schronach. Ciszę co i raz przerywał huk wybuchających w porcie bomb.

- Nie, *mem* - powtórzyła dziewczyna, tym razem łagodniej.

- To nie nasze - powiedziała Hatti.

- Teraz już nasze.

- To kradzież.

- Nie. Leżało na ziemi. To wzięłam. - Dziewczyna pró-

bowała się wyszarpnąć, ale Hatti jej nie puściła. - Ja nie ukradłam. Ja tylko znalazłam. - Uśmiechnęła się nieśmiało, pokazując piękne białe zęby, których Hatti jej pozazdrościła. - *Mem* też.

Hatti poczuła, że przewraca się jej w żołądku i że zaschło jej w ustach. Dziewczyna dostrzegła swoją szansę. Strzeliła oczami w lewo, strzeliła w prawo. Przykucnęła, zgarnęła z ziemi garść błyszczących pokus i wcisnęła je do wolnej ręki Hatti. Stały w porannym darwińskim słońcu zahipnotyzowane rozbłyskami błękitu, zieleni i złota, kołyszącymi się sznurami mlecznych pereł i skrzącą się brylantową broszą w kształcie łabędzia, który zdawał się płynąć ku nim w drżącym od upału powietrzu. Stały tak z kropelkami potu zbierającymi się na górnej wardze, patrząc i uśmiechając się, uśmiechając się i patrząc.

- A co my tu mamy? - Surowy męski głos. Blisko, tuż obok. - Nie lubimy tu szabrowników.

Hatti odwróciła się i zobaczyła kolejny mundur. Ten należał do policjanta.

Pałący wstyd. Dosłownie się w nim topiła. Nie mogła spojrzeć policjantowi w oczy, temu na posterunku, chyba sierżantowi. Wymamrotała swoje głupie nazwisko, powiedziała, ile ma lat i gdzie mieszka, a on to wszystko zapisał.

- Buty.

Podawała mu buty, a on wyjął z nich sznurowadła. Pasek też jej zabrał. W pokoju przesłuchań czekał na nią mężczyzna o surowych oczach i kanciastej twarzy, więc opowiedziała mu o dwóch młodych ulicznikach, którzy wypadli ze sklepu jubilerskiego, rzucili klejnoty na ziemię i uciekli. Surowe oczy zwięzły się jeszcze bardziej. Twarz stała się jeszcze bardziej kanciasta. Hatti wiedziała, że jej nie uwierzył.

Kazał jej powtarzać tę historię tyle razy, że w końcu sama przestała w nią wierzyć, ale nic nie zmieniła, ani jednego słowa. Nie zmieniła nic nawet wtedy, gdy policjant uśmiechnął się ze współczuciem i zasugerował, że jeśli Hatti przyzna się do włamania, wstawi się za nią, żeby dostała krótszy wyrok. Dopiero wtedy zamknęła się w sobie jak ostryga. I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że potrzebuje adwokata.

Kiedy kryjący się za surowymi oczami surowy umysł doszedł do wniosku, że niczego więcej z niej nie wyciągnie, zaprowadzono ją do celi. Cella miała ciemnobrązowe ściany i cuchnęła środkiem odkażającym tak bardzo, że ścisnęło ją w gardle, ale trzymała się prosto aż do chwili, kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi i szcęknął przekręcany w zamku klucz. Był to odgłos tak przerażający i tak przerażająco samotny, że nogi ugięły się pod nią, jakby pękły w nich ścięgna. Osunęła się na koniec wąskiej pryczy, z odrazą słysząc żalony jęk, który wyrwał jej się z ust. Na drugim końcu pryczy siedziała zwinięta w kłębek drobna Azjatka, spięta i nieufna. Zza zasłony długich jedwabistych włosów gniewnie błyszczało dwoje czarnych oczu. Gdyby ktoś się do niej za bardzo zbliżył, nie wahałaby się pewnie użyć tych pięknych białych zębów.

- Wszystko w porządku? - spytała Hatti.

- Tak, w porządku - odparła. Trzęsły jej się kolana, chociaż obejmowała je mocno rękami i opierała na nich podbródek.

- Jak ci na imię?

- Maya.

- Cóż, Mayu, wygląda na to, że wpadłyśmy w nieliche gównno. Musimy pomyśleć, co z tym zrobić.

- My?

- Tak, ty i ja. - Hatti przeszyla ją wzrokiem. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie, *mem*.

- I nie nazywaj mnie tak. Tak nazywają te głupie stroj-nisie. A ja, jak sama widzisz, nie jestem żadną strojnisią.

Dziewczyna zrobiła skonsternowaną minę.

- Ale *mem* jest biała. Białe panie są *mem*.

- Ale nie tutaj, nie na Terytorium Północnym.

- To jak mam do pani mówić?

- Po prostu Hatti.

Dziewczyna pochyliła głowę i jej twarz znowu zginęła za zasłoną jedwabistych włosów.

- Miło mi panią poznać. Po Prostu Hatti.

Śmiech, który wezbrał w gardle Hatti, był czymś o niebo miłszym niż tkwiąca tam gruda ołowiu.

- Co im powiedziałaś?

- Nic.

- Zupełnie nic?

- Tylko to, że nie mówię po angielsku.

- Ha!

Spod czarnej zasłony wychynęło jedno oko.

- To źle?

- Nie, to dobrze. Chcesz wiedzieć, co ja im powiedziałam?

Dziewczyna milczała. Kiwnęła tylko głową i nawinęła na palec kosmyk włosów, żeby przestał się ruszać.

- Powiedziałam prawdę: że dwóch łobuziaków wybiegło ze sklepu jubilerskiego z naręczem biżuterii, że wpadli na mnie, upuścili to wszystko na ziemię i uciekli. I że podniosłam te błyskotki, żeby, jak na praworzadną obywatelkę przystało, zwrócić je właścicielowi.

W ponurej brązowej celi zapadła bolesna cisza. Było gorąco i duszno, bo nie było tam okna, tylko słaba żarówka migocząca w stalowej klatce pod sufitem. Od czasu do czasu coś cicho chrobotowało. Pewnie karaluch.

- A ja? - szepnęła dziewczyna.

- Co ty?

- *Mem* powiedziała, że Maya wzięła klejnoty? Hatti głośno prychnęła.

- Oczywiście, że nie. Powiedziałam, że uciekałaś przed bombami i że jak na panienkę o czystym sercu przystało, pomogłaś mi pozbierać te błyskotki, żeby zwrócić je prawowitemu właścicielowi.

Spojrzało na nią dwoje czarnych błyszczących oczu.

- Te, wszystkie słowa znaczą „nie”?

Hatti nachyliła się i poklepała małe, trzęsące się kolano.

- Tak. Powiedziałam im, że jesteś uczciwa. Dziewczyna patrzyła na nią pustym wzrokiem.

Hatti westchnęła, nie wiedząc, czy smarkuła dobrze ją zrozumiała.

- Uczciwa znaczy dobra. Maya kiwnęła głową.

- Znaczy, że nas wypuszczą?

- Absolutnie. - Hatti stłumiła śmiech. - Znaczy, że tak. Ku jej przerażeniu dziewczyna się rozplakała.

Hatti bardzo chciała skorzystać z kubła w kącie, ale za nic nie pokazałaby swego tłustego tyłka smarkuli, z którą dzieliła celę. Trochę już tam siedziały, ale nie wiedziała jak długo. Było jeszcze goręcej i sączący się spod piersi pot przemoczył przód bluzki. Siedzenie. Czekanie. Za dużo myślenia. Doprowadzało ją to do szału. Wytarła twarz rękawem. Maya ciągle chodziła po celi, cztery szybkie kroki w jedną stronę, cztery kroki w drugą i Hatti była pewna, że zaraz zrobi cztery kroki po ścianie.

- Mayu - powiedziała ciężko - musimy znaleźć jakiegoś adwokata. Ale nie szemranego ani wkurzonego jak wściekły pies. Takiego, który umie ładnie mówić.

Dziewczyna nie przestała chodzić, ale jeszcze niżej zwiesiła głowę. Niedobry znak.

- Domyślam się, że nie masz pieniędzy... Maya zerknęła na nią kątem oka.

- Nie patrz tak na mnie. Ja też mam puste kieszenie.



Dziewczyna gwałtownie przystanęła i przykucnęła przed nią.

- Co teraz? Co z nami będzie?

- Cóż, pewnie potrzymają nas tu do rana, podduszą jak gulasz, a potem zaprowadzą do sądu, gdzie adwokaci-na z przydziału powie coś na naszą obronę. Zanim się spo-strzeżesz, wsadzą nas do furgonetki, i pół roku więzienia mamy z głowy.

- Nie!

Słowo to wyrwało się z ust dziewczyny jak okrzyk przerażenia i Hatti poczuła, że stają jej dęba włoski na karku. Wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała ją po głowie, tak jak głaszczę się zdenerwowanego szczeniaczka.

- Ciii, nie trzeba. Musisz ich zrozumieć. Mamy być przykładem dla innych. Chcą wszystkim pokazać, jak władza rozprawia się z tymi wstrętnymi, chciwymi szabrownikami. - Hatti roześmiała się ponuro. - Dobrze, że nas nie rozstrzelają, mamy szczęście.

- Nie!

- Tylko żartuję.

- Dlaczego *mem* nie uwierzyli? Przecież *mem* jest biała.

- Bycie białym niczego na tym świecie nie gwarantuje. Możesz być tego równie pewna jak śmierci.

Ciemne oczy dziewczyny zmętniały, mały podbródek opadł jeszcze niżej.

- Za dużo widziałam śmierci.

Hatti poczuła się tak, jakby poraził ją prąd, jakby coś kopnęło ją boleśnie w serce. Nagle zgęstniała krew była zbyt lepka, zbyt zawieszista, żeby precyzyjnie się przesuwać przez żyły. Zadudniło jej w uszach, jakby ktoś zaczął bić w bęben w tunelu. Zamknęła oczy i na oślep poszukała palcami miękkich włosów dziewczyny.

- *Mem* będzie na mnie zła. Lepiej nic nie powiem.

- Nie nazywaj mnie *mem*.

- Nie. Ta druga *mem*.

- Co?

- *Mem* jest chora? - spytała Maya zatroskanym głosem.

- Nie. Jaka „druga *mem*”!

- *Mem* Hadlev.

- Kto to jest *mem* Hadley?

- Moja przyjaciółka. Ona zna dużo ludzi. Hatti usiadła prosto.

- To dlaczego, do diabła, mówisz mi o tym dopiero teraz?

- Bo będzie na mnie zła, jak się dowie. - Maya zawahała się i zerknęła na nią z ukosa. - Obiecałam jej, że tu, w Darwinie, będę już grzeczna.

Hatti chrząknęła.

- Nie musi nic wiedzieć o tym twoim „to ja biorę”. Nie martw się, nic jej nie powiem.

Mai złagodniały usta. Przełknęła ślinę i spuściła głowę. Hatti przyglądała jej się w milczeniu. A więc to tak, co? Nie przywykłyśmy do uprzejmości ze strony obcych. Nie ty jedna, dziewczyno, nie ty jedna.

- Dobrze. - Hatti wstała i cela natychmiast stała się mniejsza. Betonowe ściany zbliżyły się do siebie, przestrzeń kurczyła się, jakby z każdym oddechem jej ubywało. - Niech będzie *mem* Hadley.

Podeszła do drzwi i zaczęła walić w nie pozbawionym sznurowadeł butem.

Czekanie było trudne. Przez cały ten czas dziewczyna siedziała po turecku w kącie, dla ochłody podwinawszy nad kolana prostą bawełnianą sukienkę. Bez odrobiny zażenowania skorzystała z kubła i Hatti zaczęła się zastanawiać nad jej przeszłością, nad tym, jakie prowadziła kiedyś życie. Ale znaczyło to przynajmniej, że ona też może teraz usiąść na kuble. Przyniosło jej to tak wielką ulgę, że prawie poweselała.

- Ale *mem* jest duża - powiedziała Maya, patrząc, jak

Hatti podciąga majtki. Żeby stłumić śmiech, zasłoniła ręką usta i z wysiłku zognomniały jej oczy.

- Tak duża, że mogę cię zlać, ty mały pyskaczu.

- *Mem* mnie nie złapie.

Spomiędzy palców dziewczyny wyrwał się cichy chichot i Hatti roześmiała się pełną piersią. Spotkały się wzrokiem i długo na siebie patrzyły, wreszcie Hatti usiadła z westchnieniem na pryczy i nachyliła się ku niej z łokciami na kolanach.

- Skąd jesteś, Mayu?

- Z Paluru. i

- Gdzie to, u licha, jest?

- Na Malajach. - Dziewczyna zrobiła urażoną minę. -Wszyscy to wiedzą.

- To co robisz w Darwinie?

- Przyszli Japończycy. Wszędzie Japończycy.

- Rozumiem. Tak mi przykro.

Blask w czarnych oczach zgasł, śmiech ucichł, pozostał tylko smutek. W kącie celi pociemniało.

- I to ta *mem* Hadley przywiozła cię do Australii? Krótkie skinienie głową.

- I mojego brata. - Maya skrzywiła się. - Każe nam chodzić do szkoły.

- I rano szłaś na lekcje? Jakoś mi na to nie wyglądało. Dziewczyna przytknęła do ust mały brązowy palec.

- Ciii! Niech *mem* nic nie mówi.

Hatti uśmiechnęła się i ponieważ na ułamek sekundy opuściła gardę, na moment się rozproszyła, zanim zdążyła się powstrzymać, z jej ust wymknęły się dwa słowa.

- Mam syna.

Bez żadnego ostrzeżenia. Bez świadomości, że spływają po cichu na koniec języka. Przyrzekła sobie, że nigdy nie będzie o nim mówiła, ale jej mała, urocza towarzyszka niedoli zupełnie ją rozbroiła. Walcząc o spokój, głęboko odetchnęła, ale słów cofnąć się już nie dało.

- Jutro kończy dziewiętnaście lat - dodał szybko język i nawet ona usłyszała, że powiedziała to z dumą.

Maya radośnie zaklaskała.

- To dobrze. Bardzo dobrze. *Mem* Hadley pomoże i jutro będzie pani w domu. Zaśpiewa mu pani *Happy Birthday*.

Hatti spojrzała na swoje buty, na grube, kościste kłykcie, szerokie kolana, na których syn związał się kiedyś w kłębek - patrzyła na wszystko, byle tylko nie widzieć obrazów w swojej głowie. Serce rozrosło się tak bardzo, że nie mieściło się w piersi.

- Nie - powiedziała cicho. - On jest w wojsku. Stacjonuje na Malajach.

Maya jęknęła.

- Niedobrze. Bardzo niedobrze.

- Wiem. Wiem.

Kobieta, która stanęła w progu, podziałała na nią lepiej niż szklanka zimnej lemoniady. Wniosła do celi nową energię i zapach otwartej przestrzeni, który dźwignął ciężar stęchłego powietrza i bardzo ułatwił oddychanie. Kobieta ogarnęła spojrzeniem przytłaczające ściany, kubeł w kącie, rozbiegane oczy dziewczyny. Bez słowa objęła ją, odwróciła się i wyciągnęła do Hatti rękę.

- Dzień dobry. *Connie* Hadley.

Szczupła, pięć lat młodsza od niej, miała jasne włosy poprzecinane słonecznymi pasemkami i była w wygodnej, luźnej sukience, w której robiła wrażenie spokojnej i zrelaksowanej. Ale jej niebieskie oczy były inteligentne i czujne, a delikatne kości policzkowe nadawały twarzy baczny wyraz, jakby nie do końca ufała temu, co oferował jej świat. Miała silny uścisk dłoni.

- Pani Hoot, prawda?

- Wystarczy „Hatti”.

- Dziękuję, że zajęła się pani Maya.

- Zajmowałyśmy się sobą nawzajem. To dobre dziecko. Kobieta uśmiechnęła się, pierwszy raz, odkąd weszła do celi, i uśmiech ten, serdeczny i ciepły, sprawił, że Hatti trochę dłużej przytrzymała jej rękę.

- Wie pani, o co nas oskarżają?

- Tak. Ale mam dobre nowiny. - Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Znalazłam świadka, który potwierdza waszą wersję wydarzeń.

- Świadka?

- Tak. Staruszkę, która mieszka nad sklepem naprzeciwko.

- I ta staruszka wszystko widziała? - Hatti ścisnęło w gardle tak bardzo, że omal się nie zakrztusiła.

- Tak, podpisała oświadczenie, w którym potwierdza, że to prawda. - Kobieta machnęła ręką w stronę drzwi. - Jest pani wolna.

Maya aż zapiszczała z radości.

- Chodź. Po Prostu Hatti, musimy wypić herbatę. Mówiłam, że *mem* jest dobra.

Hatti otaksowała twarz Connie czujnym, byстрыm spojrzeniem.

- Tak, jest bardzo, bardzo dobra.

Starym, sfatygowanym fordem pojechały do domu Connie na skraju miasta. Hatti spodziewała się czegoś imponującego, a przynajmniej eleganckiego, lecz przeżyła zawód. Kiedy dojechały na miejsce, niebo było już prawie ciemne, ale w gasnącym świetle dnia zobaczyła stary parterowy dom stojący w cieniu górskich sosen. Najlepsze czasy miał już za sobą. Podwórko otaczał niepomalowany płot, ceglana ścieżka była popękana, w siatkowych drzwiach

ziały dziury. Ale kiedy weszły do środka, od razu poprawił jej się nastrój. Dom był urządony po spartańsku, ale tak jak jego właścicielka, kipiał życiem i energią.

Gramofon grał płytę Glenna Millera, a czterech rośliwych, hałaśliwych białych mężczyzn wypełniało salon gwarem i śmiechem. Najpierw przedstawiono ją bliźniaczemu bratu Mai, grzecznemu, przystojnemu Małajowi o poważnych oczach, potem mężczyznom. Wszyscy byli młodzi i muskularni, wszyscy palili cygara, pili piwo i mieli potężne bary. Wszyscy byli w wojskowych mundurach.

- Witaj, Hatti - powiedział jeden i od razu wetknął jej piwo do ręki. Patrzył skorymi do uśmiechu jasnymi oczami. - Miała pani ciężki dzień.

- Dziękuję. - Hatti wzruszyła ramionami. - Był trochę inny.

- Na pewno.

- Dobrze, że pani Hadley znalazła tego świadka. Mężczyzna stłumił śmiech.

- Oj, tak.

Jeden z pozostałych żołnierzy podszedł do nich i klepnął go w plecy.

- Ani słowa, Alfie, ani słowa.

- To znaczy? - nie zrozumiała Hatti.

- Nic, nic. Skąd pani pochodzi, Hatti?

- Z Brisbane.

- Niech pani porozmawia z Dougiem. On też jest z Brizzie.

Żołnierz imieniem Doug był wysoki i miał łagodny głos. Widok jego krótkich rudych włosów i ufnych, poważnych oczu poruszył jej wnętrze, ale wypła piwo i pogadała z nim o polowaniu na oposy. I to właśnie wtedy, kiedy rozmawiali, Maya ogłosiła wszem i wobec, że:

- Hatti też ma syna w wojsku.

Wszyscy spojrzeli na nią z zainteresowaniem i uznała, że pora wracać do domu, ale u jej boku wyrosła Con-

nie Hadley, która dotknęła jej ramienia, jakby chciała ją zatrzymać.

- Gdzie służy?
- Na Malajach.
- O Chryste... - jęknął któryś z żołnierzy.
- Nie, nie - przerwała mu szybko Connie - pewnie jest w japońskim obozie jenieckim. Przeżyje, niech się pani nie martwi.
- Jutro ma urodziny - wypaliła Hatti, bo co innego miała powiedzieć? Wszyscy zaśpiewali Tomowi *Happy Birthday* i żeby się nie rozplakać, wychyliła jeszcze jedno zimne piwo.
- Powinna pani wpaść kiedyś do kantyny - zaproponowała nagle Connie. - Naprawdę. Ciągłe szukamy ochotników do pomocy, no i nigdy nie wiadomo, może spotka pani kogoś z dywizji syna, kogoś, kto go zna i...
- Tak.
- Przyjdzie pani?
- Przyjdę.
- To dobrze. - Connie spojrzała jej prosto w oczy, uśmiechnęła się łagodnie i powtórzyła: - To dobrze.

Na tym się skończyło. Zaraz potem wyszła. Jeszcze raz podziękowała Connie za ratunek i odmówiła podwózki do domu, ale Alfie i Maya uparli się, żeby ją odprowadzić, bo ulice tonęły już w ciemności. Niebo było usiane gwiazdami i idąc, pomyślała, że te same gwiazdy świecą pewnie na Malajach. Od morza wiał wiatr, który ochłodził jej gorące policzki i pozwolił zebrać myśli. Głupia baba. Wypiła za dużo piwa. Ale miała do wyboru piwo albo łyżę, jedno albo drugie.

Kiedy dochodzili do domu - baraku z przerdzewiałej blachy z wychodkiem na podwórzu - kiedy słychać było tylko tupot bosych stóp Mai, która ledwo nadążała za ich długimi krokami, podjęła decyzję i spytała:

- Alfie, dlaczego Brian nie pozwolił panu dokończyć?

- Brian? Kiedy?

- Kiedy rozmawialiśmy o świadku, którego znalazła Cormie. Zaciekawiona Maya przekrzywiła głowę.

- Nieważne - odparł Alfie, szurając nogami.

- Co wam powiedziała? - drążyła Hatti. - Ta staruszka.

- Zresztą co tam - mruknął Alfie. - Chyba mogę pani powiedzieć. Tylko proszę obiecać, że nikomu ani słowa.

Hatti kiwnęła głową. Przystanęli pod drzwiami.

- Piliśmy herbatę u Connie - zaczął Alfie. - Często nas zaprasza, to bardzo miło z jej strony. Chce, żebyśmy pożyli trochę domowym życiem, zamiast ciągle siedzieć w koszarach czy w barze. Kiedy dowiedziała się, że policja aresztowała tę smarkulę... - żartobliwie pociągnął Mayę za włosy - kazała nam iść tam i poszukać świadków.

Maya podeszła bliżej, jakby bała się tego, co miała zaraz usłyszeć.

- I kogo znaleźliście? - nie ustępowała Hatti.

- Nikogo, cholera, ani jednego. Nikt nic nie widział. Ale nad sklepem po drugiej stronie ulicy mieszkała ta staruszka...

- I coś widziała? Alfie roześmiał się.

- Nie, nie. Choruje na serce i leżała w łóżku, ale Connie poszła do niej i babci wszystko się nagle przypomniało: dwóch chłopców, którzy wybiegli na ulicę z biżuterią w rękach...

- Tak - przerwała mu Hatti. - Resztę już znam. - Uśmiechnęła się z boleśnie ściśniętym gardłem. - Musisz dużo dla niej znaczyć, Mayu.

- *Mem* to moja przyjaciółka. - Dziewczyna ostrożnie dotknęła jej ramienia. - Teraz ty też jesteś moją przyjaciółką. Przyjdę w odwiedziny.

- Koniecznie - mruknęła szorstko Hatti. - Dobranoc. -



Szybko weszła do domu, żeby nie widzieć, jak młody żołnierz macha jej na do widzenia.

Oliwna lampka oświetlała pokój żółtym światłem, które omywało również zdjęcie na kominku. Było oprawione w drewnianą ramkę i uśmiechnęło się do niej, gdy zawołała:

- Cześć, Tom.

Przedstawiało jej syna w wojskowym mundurze - zrobiono je w dniu, w którym odpływał na Malaje - i kiedy przyglądała mu się z bliska, pod maską uśmiechu widziała zdenerwowanie, lekkie napięcie wokół oczu. Ale dzisiaj się nie przyglądała, bo chciała widzieć tylko ten beztroski uśmiech.

A Tom uśmiechał się jak jego ojciec i miał zęby jak on, bo jej były krzywe. Odziedziczył za to jej rude włosy i budowę. Ojciec zwał przed ponad piętnastu laty - krzyżyk na drogę, sukinsynu - żałowała tylko, że jako dziecko, Tom, bardzo za nim tęsknił. Od tamtej pory nie widziała go ani o nim nie słyszała.

Weszła do kuchni, zrzuciła buty i wyjęła spod zlewu ostatnią butelkę piwa, tę, którą trzymała na specjalną okazję. Otworzyła ją i pociągnęła łyk. Bardzo tego potrzebowała, żeby odpędzić wspomnienie wesołego uśmiechu syna, kiedy machał do niej, wołając: „Ja wrócę, mamo. Czeka na mnie z zimnym piwem”.

Coś w niej znowu zhardziało na wspomnienie tego, jak wypełniała rano kolejny formularz, chcąc znaleźć jakiś ślad, dowiedzieć się, gdzie go wysłano. Ze zmarszczonym czołem i znajomym niepokojem w brzuchu weszła do jego pustej sypialni. Nie zapalając lampy, stanęła w ciemności i wsłuchiwała się w swój szybki, płytki oddech. W nieregularnej plamie światła gwiazd podeszła powoli do jego

starego munduru, który, czysty i wyprasowany, wisiał na drzwiach szafy.

Nie spieszyła się. Nie pędziła. Nie biegła. Nie przytuliła się. Czubkami palców musnęła szorstki materiał, szukając ukrytego pod nim ciepłego ciała. Powoli oparła czoło o kołnierz i wciągnęła do płuc jego zapach. Stała tak długo, po ciemku.

Nie mogła się powstrzymać - chociaż próbowała - i włożyła rękę do kieszeni. Palce zamknęły się na kartce i wyjęła ją, wsłuchując się w jej szept i szelest. Wyczuła kanty i zagięcia, rogi wystrzępione od miesięcy składania i rozkładania. Treść telegramu tonęła w ciemności, ale nie musiała czytać, bo знаła ją na pamięć.

„Poległy na polu chwały”.

Zacząła cicho śpiewać *Happy Birthday*.